



Bryant i May rozwiązują zagadkę latem roku Whitstable'ów

CHRISTOPHER FOWLER

Siedemdziesiąt
siedem zegarów

Wydawnictwo Dolnośląskie

Christopher Fowler

Siedemdziesiąt siedem zegarów

przełożył

Piotr Grzegorzewski

Wydawnictwo Dolnośląskie

Tytuł oryginału *Seventy-Seven Clocks*

SEVENTY-SEVEN CLOKS © Christopher Flower/Defiant Films 2005

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o..

Wrocław 2006

Na okładce użyto zdjęć:

© Andrés Harambour,

© Chris Schmidt

Redaktor

Anna Kosmulska

Redaktor techniczny

Alicja Sławińska

Korektor

Ireneusz Kasprzak

Wrocław 2006

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp. z o.o.

ul. Podwale 62

50-010 Wrocław

Dział Handlowy: tel. (071) 7859054,

Promocja: (071) 7859050

www.wd.wroc.pl

ISBN 83-7384-570-4

ISBN 978-83-7384-570-1

*Jimowi.
Śmiałym szczęście sprzyja*

Czy to w ogóle możliwe, żeby odnieść sukces bez zdrady?

Jean Renoir

*Osąd nietrzeźwy, oszustwa ogarnięty mocą,
Na manowce zwodzi, oko puszcza, dzień nazywa nocą*

William Cowper

(przełożyła Tatiana Grzegorzewska)

PROLOG

- Nie czaję, o co biega z tymi „osobliwymi”.

- O czym ty, na miły Bóg, mówisz? - zapytał Arthur Bryant.

- Chodziło mi o to - wyjaśnił młody kronikarz - że nie rozumiem, dlaczego pański wydział zajmuje się tylko przestępstwami osobliwymi.

- Więc jednak umiesz wyrażać się poprawnie. Nie cierpię slangu - powiedział Bryant, bawiąc się mankietem spodni i przypadkowo znajdując za nim fajkę. - O, tu jest, szukałem jej cały ranek. Kiedy powstawał nasz eksperymentalny wydział, słowo „osobliwe” znaczyło tyle, co „specjalne”. Byliśmy więc czymś w rodzaju wydziału do spraw specjalnych. Z biegiem czasu zaczęto nam jednak przydzielać sprawy, które albo były niewygodne dla rządu, albo nikt nie umiał sobie z nimi poradzić. I nagle, zanim się spostrzeżliśmy, mieliśmy na karku śledztwa, w których główne role odgrywali lubieżni biskupi i transwestyci z Partii Konserwatywnej (nie, żeby ci ostatni stanowili jakąś osobliwość w dzisiejszych czasach). Przekazywano nam sprawy, które wydawały się zbyt mało konkretne dla tradycyjnie działającej policji.

- Jak na przykład sprawa podziemnych rzek Londynu. – Kronikarz dopiero co skończył zapisywanie przemyśleń Bryanta na ten temat. Mimo że śledztwo zostało niedawno zamknięte i pozostawało świeżo w pamięci wszystkich, opisujący je prezentowali rozbieżności godne *Rashomona*.

- Chyba nie zetknął się pan przedtem z niczym podobnym.

- Mylisz się, miałem do czynienia z jeszcze jedną sprawą, w której ważną rolę odgrywały dzieła sztuki i woda, chociaż była zupełnie inna niż ta. I zdarzyła się dawno temu, w roku 1973. - Bryant popatrzył na młodego człowieka. Przez chwilę zastanawiał się, czy ujdzie mu na sucho zapalenie fajki w tym małym pomieszczeniu.

- Porozmawiajmy o tym. - Kronikarz porzucił próby nadania wspomnieniom porządku chronologicznego. Z nadzieją włączył dyktafon.

- Co pan pamięta z tej sprawy?

- Niewiele - westchnął Bryant. - Nie byłbym zbyt dobrym słoniem.

- Nie rozumiem.

- Ze względu na pamięć. - Policjant postukał się pomarszczonym palcem w łysiejącą głowę. - A raczej jej brak. Wiedza i doświadczenie. Straciłem bezpowrotnie i jedno, i drugie.

- Gdyby pan się trochę postarał... - Kronikarz popatrzył na niego błagalnie. Po kilku tygodniach spędzonych z tym człowiekiem jego cierpliwość była bliska wyczerpania. Zaczynał żałować, że w ogóle podjął się prac nad *Historią śledztw Bryanta i Maya*. Nikt jeszcze nie pisał o legendarnym londyńskim Wydziale Przepęstw Osobliwych i rozumiał już, dlaczego.

- 1973... niech no się zastanowię... - Bryant wbił swe wodniste błękitne oczy w sufit, dumając przez chwilę. - Tego roku dołączyliśmy do Wspólnego Rynku, chociaż wątpię, czy ktokolwiek to zauważył. Minister spraw zagranicznych sir Alec Douglas-Home sporządził porozumienie i przypominam sobie, że musiało zostać przyjęte na podeście schodów piętnastego piętra siedziby głównej EWG w Brukseli, bo już nikogo nie było w biurach. Na szczęście portier pamiętał o wciągnięciu flagi brytyjskiej. Pomyślałem, że to raczej złowieszczy początek roku. - Pamięć Bryanta oscylowała między dwoma skrajnościami: beznadziejnym roztargnieniem i absurdalną drobiazgowością.

- Chodziło mi o to, czy pamięta pan sprawę, nie rok. Czy może mi pan podać jakieś szczegóły dotyczące śledztwa? - zapytał kronikarz.

- Mieliliśmy straszne upały - odparł Bryant, swoim zwyczajem odpowiadając na zupełnie inne niż zadane pytanie. - Prezydent Nixon zaczynał drugą kadencję, chociaż afery Watergate już wypłynęła na światło dzienne. Na Trafalgar Square odbywały się ciągle manifestacje antywojenne. Spiro Agnew został oskarżony o korupcję i po jego rezygnacji wiceprezydentem został Gerald Ford. Elton John nagrał płytę *Goodbye Yellow Brick Road*, na której znalazły się *Funeral For A Friend* i *Candle In The Wind* - ta ostatnia stała się później piosenką ku czci księżnej Diany, czy to nie dziwne? - Zacisnął usta, myśląc. - Picasso zmarł w sędziwym wieku dziewięćdziesięciu jeden lat. Wdaliśmy się w tak zwaną wojnę dorszową z Islandią o dostępność do łowisk. To były czasy straszliwych fryzur. Mój przyjaciel John zapuścił bokobrody - wyglądał beznadziejnie, ale przeżywał kryzys wieku średniego. W każdym razie tak to się teraz nazywa. Wtedy mówiliśmy na to: załamane nerwy. Co jeszcze się wydarzyło? Zdaje się, że Bahamy uzyskały niepodległość, bo pamiętam, jak

podczas uroczystości na głowę księcia Karola spadł baldachim. W Shaftesbury Theatre zawalił się sufit i musiano przerwać wystawianie *Hair*. Wielka szkoda, uwielbiałem ten musical. Zwłaszcza ciepło wspominam *Let The Sunshine In*. Co jeszcze? IRA robiła zamachy bombowe, a pół kraju zostało sparaliżowane przez strajki. Związki zawodowe były wtedy o wiele silniejsze niż teraz. Mieliśmy przerwy w dostawach energii elektrycznej i wszyscy gromadzili świece. Trwał kryzys paliwowy. Ustawialiśmy się w kolejkach do stacji benzynowych. Arabscy terroryści zaatakowali amerykański samolot na lotnisku w Rzymie. A ja kupiłem nowe buty u Mr. Byrite'a, ale podeszwy się odkleiły.

- Świetnie - powiedział kronikarz doprowadzony do rozpaczy - ale czy pamięta pan coś dotyczącego śledztwa?

- Tak, oczywiście. Mam wszystko zapisane w notesie.

- To znaczy, że cały czas prowadził pan notatki? - Młody człowiek nie posiadał się ze zdumienia.

- Tak, ale szyfrowałem je. - Bryant przewrócił kilka kartek, zmieszany. - W tamtych czasach wszystko pisałem szyfrem. Nie mam pojęcia, dlaczego to robiłem, moje pismo i bez tego jest nie do odczytania. Sporządzałem klucze do szyfru i trzymałem je wszystkie w krowie swojej gospodyni.

- Słucham?

- Moja gospodyni miała w kredensie porcelanową krowę. Edwardiański dzbanek na mleko. Pamiątka rodzinna, ale dobrze służyła swojemu przeznaczeniu.

- Więc może pan rozszyfrować zapiski?

- Nie, Alma z niewiadomych przyczyn wyrzuciła krowę po śmierci królowej matki... Zaraz, coś sobie przypominam. Gazety nazwały to sprawą siedemdziesięciu siedmiu zegarów. Swego czasu było o tym głośno. Mieliśmy straszliwe kłopoty. Ale pewnie wszystko to wiesz.

- Nie, nie wiem - wyznał kronikarz.

- Nie wiesz? Drogi chłopcze, to była jedna z naszych najbardziej osobliwych spraw. Kiedy tak się na nią spojrzy z perspektywy czasu, wydaje się wręcz absurdalna. Musisz pamiętać, że wtedy nie było komputerów ani telefonów komórkowych. Większość urządzeń była mechaniczna. Maszyny do pisania, kopiarki i teleksy - to wszystko cię straszliwie spowalniało. Teraz byłaby

to dla nas betka. A tak mieliśmy przerażające zabójstwa, a do tego jeszcze musieliśmy użerać się z tą upiorną rodziną. Pamiętam, jakby to się stało wczoraj.

- Była to oczywista nieprawda, ponieważ Bryant pamiętał bardzo mało z tego, co się wydarzyło wczoraj.

- Czy mógłby mi pan o tym wszystkim opowiedzieć? - poprosił z pewnym lękiem kronikarz.

1 ŚWIATŁA GASNĄ

Momentalnie rozpoznała oznaki.

Strużka potu spływająca jej po plecach. Ból głowy. Panika. Idąc coraz szybciej, myślała: to absurd, nic mi się nie stanie. Ale gdzieś w zakamarkach umysłu słyszała głos: ty wcale się nie boisz nocy, tylko tego, co w niej na ciebie czyha.

Słońce dopiero co zaszło, ale droga przed nią była niewyraźna. Wołała nie myśleć, co się kryje w zapadającym mroku. „Księżę ciemności jest szlachcicem”¹ - przypomniała sobie zdanie, które poznała w szkole. Nie miała zamiaru spotykać tego wieczoru księcia i przyspieszyła kroku, bojąc się obejrzeć za siebie. Mrok rozprzestrzenił się niczym atrament wlany do wody. W koronach drzew słychać było nawoływania ptaków.

¹ William Shakespeare, *Król Lir*. Przełożył Józef Paszkowski (przyp. tłum.).

Sam Gates bała się ciemności, odkąd sięgała pamięcią. Powód tej nyktofobii był jej nieznaną: może u jej źródeł leżało jakieś dziecięce traumatyczne przeżycie? Matka zarzucała jej, że ma zbyt bujną wyobraźnię; w jej ustach brzmiało to jak obelga. Inni po obu stronach drogi widzieliby tylko pograżone w mroku pola i wiązy o nagich gałęziach. Sam widziała demony.

Usiłowała zobaczyć, która godzina, ale było już za ciemno, żeby dojrzeć wskazówki. Cholerny Nicholas i jego weekend na wsi, pomyślała. Gdyby wcześniej ujawnił swoje intencje, nigdy by tu nie przyjechała. Przez cały czas puszył się jak paw. Jego zachowanie zmieniło się dopiero w chwili, gdy zrozumiał, że Sam nie zamierza z nim pójść do łóżka.

A teraz zrobiło się już prawie zupełnie ciemno i tkwiła na pustkowiu gdzieś

w hrabstwie Kent w niedzielny wieczór, bez samochodu, na zimnie, z irracjonalnym lękiem, który pozbawiał ją tchu. Była dziewczyną z miasta, przyzwyczajoną do świateł, samochodów i ludzi. Chciała słuchać radia Caroline. A tu było tak cicho, że mogła usłyszeć krowę ryczącą pięć mil dalej. Gdzie, do diabła, wszyscy się podzieli?

Wspominała wydarzenia całego weekendu, ciągle nie mogąc sobie darować przyjęcia zaproszenia. W sobotę rano „pojechali na daczę” (jak to określił Nicholas, zupełnie jakby żyli w latach pięćdziesiątych) czerwonym MG, w którym co chwila gaś silnik, a dach samochodu złożyli, żeby poczuć rześkie wiejskie powietrze.

„Dacza” okazała się leżącym za Detling wilgotnym wiktoriańskim ohydztwem, do którego nie docierało nikłe ciepło zimowego słońca. Parter był otoczony wysokimi pokrzywami, ściany zagrzybione. Pokoje praktycznie pozbawione umeblowania. Nie było centralnego ogrzewania. Rodzina Nicholasa może i miała dobre pochodzenie, ale z pewnością nie miała pieniędzy. Utrzymanie takiej posesji, wyjaśniał, przekraczało ich możliwości i dlatego rodzice zdecydowali się przeprowadzić do mieszkania w Knightsbridge.

Nie zajęło jej zbyt wiele czasu zorientowanie się, że Nicholas uczynił sobie z opuszczonego domiszcza miejsce schadzek. Wystarczyło jedno spojrzenie na sypialnię. Pisma „tylko dla dorosłych”, butelki wina, lustra i świece reprezentowały żalosne chłopięce wyobrażenie, że takie rzeczy „kręcą” kobiety. Okiennice w pokojach na górze były zamknięte i prawdopodobnie od dawna ich nie otwierano.

Przy kolacji Nicholas opowiadał głównie anegdoty z życia college'u - wszystkie z podtekstem erotycznym. Okazał się zupełnie innym człowiekiem - pyszałkowatym i aroganckim. Nie podobało jej się to. Odnosiła wrażenie, że przestała być dla niego po prostu koleżanką, a stawiała się - łupem. Kiedy po raz drugi musnęła jej piersi, sięgając po chianti, Sam oznajmiła, że idzie spać. Żadne perswazje jej nie zatrzymały.

Spędziła bezsenną noc zabarykadowana w pokoju, ze znużeniem nadśluchując jego próśb i gróźb dobiegających zza drzwi.

Nigdy jeszcze nie wyczekiwała z takim utęsknieniem świtu. Wstała najwcześniej, jak tylko mogła, i, smażąc bekon, wysłuchiwała prognozy pogody

zapowiadającej deszcz. Tuż po dziesiątej pojawił się Nicholas w szlafroku. Ponury nastrój ledwie pozwalał mu dostrzegać obecność dziewczyny. Reszta ranka minęła w lodowatej ciszy. Jej kompan zachowywał się jak obrażony uczeń.

Najbardziej martwiła ją kwestia powrotu do domu. Problemy z samochodem, pod którym spędził większość popołudnia, nie pozwoliły Nicholasowi odwieźć jej na stację. Oczywiście w okolicy nie było też żadnych taksówek. Pozostawiona sama sobie Sam szwendała się po pokojach starego domu. Przyglądając się grzbietom wypłowiałych książek, czuła się coraz bardziej znudzona i smutna. W końcu spakowała się i ruszyła przez pole w kierunku głównej drogi.

Najchętniej nie zobaczyłaby go już nigdy, ale wiedziała, że nazajutrz zastanie go w pracy. Oboje byli recepcjonistami w hotelu.

Odgarnęła kasztanową grzywkę z oczu i wpatrzyła się w pogrążoną w mroku drogę, mając nadzieję, że dojrzy światło, ale zawiodła się. Nic nie widziała. Nawet wschodzącego księżyca. Ciemność była prawie całkowita. Sam wpatrywała się w nią z zapartym tchem.

Gdy tylko poczuła pierwsze krople, zaczęła biec. Deszcz jeszcze bardziej ograniczał widoczność, pogłębiając jej panikę. Nagie gałęzie splatały się nad głową dziewczyny niczym kolczaste odnóża owadów. Drzewa i żywopłoty były pełne czarnych chochlików, które spadały z kroplami deszczu i próbowały ją dopaść, ale biegła dalej, trzymając się środka drogi.

W ciemności czyhali na nią mężczyźni. Leżeli w kopczykach mokrych liści, rozcapierzając palce jak kosy. W Londynie, gdzie zawsze jest tyle światła, nie mieli racji bytu. Dopiero tutaj, wśród ciemnych lasów i łąk, mogli oddawać się do woli swym grzesznym przyjemnościom...

A potem zobaczyła światło budki telefonicznej.

Takiej czerwonej, znajomej niczym stary przyjaciel, z prostokątnymi oknami, książkami telefonicznymi i żarówką, która świeciła przez strugi deszczu. Przewyciężając lęk, skoncentrowała się na dotarciu do schronienia. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Ulga wywołana widokiem pojedynczej gołej żarówki była ponad jej siły. Osunęła się na podłogę, wściekła na siebie za swoją słabość. Wszystko poszło nie tak. Ten weekend miał być manifestacją jej niezależności. Zamiast pójść z

rodzicami na jakąś straszną kolację charytatywną w hotelu Claridges i zaliczyć sesję u terapeuty, wyjechała na weekend z mężczyzną, którego ledwie знаła. Może i nawet przespałaby się z nim, gdyby tylko okazał choć trochę ludzkich uczuć. Chciała pokazać wszystkim, że ma swój rozum, ale nawet to proste zadanie przerosło ją.

Podczas gdy deszcz uderzał o dach, usiadła, oparła brodę na kolanach i rozpłakała się w tej cuchnącej kabinie, otoczona przez ciemność wrogą niczym powierzchnia obcej planety.

Pozostała w tym schronieniu, bojąc się poruszyć, dopóki przejeżdżający kierowca nie uratował jej ponad dwie godziny później.

2 NAPAD

DAILY TELEGRAPH, PONIEDZIAŁEK, 6 GRUDNIA 1973

POGODA NA PONIEDZIAŁEK

SŁONECZNA POGODA PANUJĄCA PRZEZ OSTATNIE KILKA DNI SKOŃCZYŁA SIĘ I ŻEGNAMY SIĘ Z NIETYPOWYM DLA TEJ PORY ROKU BEZCHMURNYM NIEBEM. SPADEK TEMPERATURY I SILNE WIATRY Z PÓŁNOCY PRZYNIOSĄ OPADY DESZCZU, KTÓRYCH LONDYŃCZYCY MOGĄ SIĘ SPODZIEWAĆ W NOCY. NIKT W LONDYNIE NIE POWINIEN BYĆ ZASKOCZONY TAKĄ POGODĄ. W TYM ROKU MOŻEMY BYĆ PEWNI JEDNEGO: ZIMA ZAGOŚCIŁA JUŻ U NAS NA DOBRE.

Stary prawnik rzucił gazetę na marmurowy blat w toalecie. W dziale gospodarczym nie znalazł ani słowa o ofercie Japończyków. Przynajmniej z tego jednego można się cieszyć. Poza tym miał co innego w głowie. Wciąż był zdenerwowany z powodu pomyłki w rezerwacji. Nie miał jednak możliwości, by nadać sprawie dalszy bieg. Gdyby zrobił coś więcej, mógłby zwrócić na siebie uwagę. A tego nie chciał.

Napełnił zlew gorącą wodą i ochlapał twarz. Co za historia; nigdy, przez wszystkie te lata prowadzenia interesów rodziny nie słyszał o czymś takim. Przekrwionymi oczami wpatrzył się w swoje odbicie w lustrze. Potrzebował snu. I mógłby też stać się o jakieś dziesięć lat młodszy. Czuł się już zmęczony odwalaniem brudnej roboty. Pomyśleć tylko, że jego zawód był kiedyś jednym z bardziej szanowanych.

Wytarł ręce grubym bawełnianym ręcznikiem. Hałas sprawił, że odwrócił się od umywalki. Jedna z kabin była zajęta. Jej drzwi właśnie się otworzyły. Za nimi stała w cieniu jakaś postać, wpatrując się w niego w milczeniu.

Przesunął się, usiłując dojrzeć jej twarz. Drzwi otworzyły się na oścież, uderzając w wyłożoną płytkami ścianę.

Chciał wszczać alarm, ale postać podbiegła do niego zaskakująco szybko. Uniosła ręce i przycisnęła je do twarzy prawnika.

Po tym nie było już nic.

Zupełnie nic.

I tak przez sekundę, minutę, a może godzinę.

Nie miał pojęcia, ile czasu minęło, ale wciąż znajdował się w toalecie. Leżał przy umywalce, kręciło mu się w głowie. Popatrzył na swój złoty zegarek, ale nie mógł dojrzeć wskazówek. Niesamowicie bolała go głowa. I szyja. Toaleta była pusta. Drzwi wszystkich kabin były pootwierane na oścież, ciszę zakłócało jedynie jednostajne kapanie wody. Ogarnęła go senność. Nie mogąc ustalić, co się stało, Maximillian Jacob podniósł się, wziął gazetę i powłókł się do holu hotelu Savoy. Wybrał głęboki fotel w cichym kącie, gdzie nikt mu nie będzie przeszkadzał.

Sam Gates po raz kolejny spojrzała na zegarek i zasepiła się. Za pięć szósta. Za pięć minut dyżur przejmie wieczorny recepcjonista. Przez drzwi frontowe widziała taksówki szatowane przez strugi deszczu. Ulica przed Savoyem była jedyną w Londynie, na której obowiązywał ruch prawostronny; wszystko związane z tym hotelem było w jakiś sposób ekscentryczne.

Myśl o ostatniej nocy wciąż sprawiała jej ból, ale nie zamierzała pozwolić mu dojść do głosu. Do domu dotarła już po północy. Nigdy jeszcze nie widziała rodziców tak wściekłych. Na szczęście Nicholas ignorował ją przez większą część dnia, jeśli nie liczyć uszczypliwego komentarza odnoszącego się do jej zmęczonego wyglądu.

Hotel był niespotykanie cichy jak na poniedziałkowe popołudnie, ale ten spokój nie potrwa długo. Wiele z trzystu pokoi nad ich głowami zostało zarezerwowanych na przyjazd delegatów państw Wspólnego Rynku. Przyjeżdżali na konferencję, która miała się rozpocząć przy Downing Street równo za

tydzień, 13 grudnia. Do udziału w niej zaproszono również przedstawicieli Wspólnoty Narodów. W związku z tym personelowi hotelu przypomniano stosowne formy grzecznościowe.

Jednakże w tej chwili hol hotelu był oazą spokoju. Zdezorientowani Włosi stali z planami miasta pod pachami, czekając, aż przestanie padać i będą mogli wyjść na ulicę w nowych płaszczach przeciwdeszczowych. Ktoś ucinął sobie drzemkę za gazetą w jednym z foteli obok wejścia do baru amerykańskiego. Nicholas zajmował się dwiema stałymi klientkami, płaczącymi Hiszpankami, które zatrzymywały się tu od końca wojny. Dla wielu gości Savoy był bardziej drugim domem niż hotelem, ze zrozumieniem podchodzącym do wszelkich ich próśb i słynącym z przywiązania do tradycji.

Mimo że Sam pracowała tu ledwie od kilku tygodni, czuła się już jak członek ekskluzywnej, choć raczej dalekiej, rodziny. Jej matka była wstrząśnięta, kiedy obwieściła, że zamierza podjąć pracę. Gwen i Jack oczekiwali, że obejmie stanowisko w rodzinnej firmie. Nie do pomyślenia było dla nich, że ich córka może zechcieć wybrać własną drogę życiową - i do tego tak nieodwziętną. Skrzywiła się teraz na samo wspomnienie ich reakcji. Niech sobie myślą, co chcą. Rozkoszowała się swoją świeżo uzyskaną wolnością.

- Spieszysz się - zauważył Nicholas. - Czyżbyś miała dzisiaj randkę? - Nie było ani cienia sarkazmu w jego głosie, ale wiedziała już, że nie może mu ufać.

- Marzy ci się. - Wrzuciła książkę do plecaka i zasunęła go. - Mam zajęcia z rysunku.

- To oczywiście nie moja sprawa - Nicholas przyjrzał się swojej blond fryzurze w lustrze - ale jeśli chcesz studiować sztukę, dlaczego tu pracujesz?

- Masz rację - zgodziła się Sam - to nie twoja sprawa.

Zauważyła nagle, że Nicholas ma cienkie owłosione nadgarstki, kościstą szyję, a z nozdrzy wystają mu włoski. Był tępym snobem, który używał akcentu nabytego w szkole prywatnej do odpędzania niepożądanych gości niczym łowca wampirów z krucyfiksem. Jak mogła tego nie dostrzegać przedtem? Jego zwyczaj żartowania z kobiet powinien ją uczyć, że ma jakiś kompleks natury seksualnej. Całe szczęście, że nie otworzyła tych drzwi. Miała nadzieję, że nigdy nie wspomni o ich weekendowym wypadzie. Mężczyźni tacy jak on za wszelką cenę chcą zachować twarz.

- Chwileczkę. - Nicholas wskazał na drzwi obrotowe. Bagażowy ugiął się właśnie pod ciężarem starych, obdrapanych walizek. - Mam nowych gości. Zanim sobie pójdziesz, musisz ich jeszcze przyjąć.

- Dzięki. - Rzuciła plecak na krzesło i wróciła za kontuar. Mężczyzna idący w jej kierunku był wysokim, barczystym Murzynem. Jego skóra wydawała się przedłużeniem brązowej skórzanej kurtki. Idealnie przycięta fryzura afro sięgała mu prawie do ramion, otaczając twarz ciemną aureolą. Przesadził trochę z tym wyglądem jak z rock-opery, pomyślała nieco zirytowana.

- Witam, mam rezerwację na nazwisko Joseph Herrick. - Mówił z nieznanym szkockim akcentem. Kiedy potwierdzała rezerwację nowego gościa i przydzielała mu jeden z większych apartamentów, starała się na niego nie patrzeć, czyniąc zadość głównej zasadzie Savoyu: nigdy nie okazywać zdziwienia. Jednak była zdziwiona.

Stare Hiszpanki spojrzały z obrzydzeniem na ciężkie buty do jazdy na motocyklu, które miał na nogach młodzieniec, po czym odwróciły wzrok. W następnej chwili popatrzyły ponownie w jego kierunku, jakby spodziewały się, że ktoś już zdążył go stąd usunąć.

Sam uznała, że musi stanąć w obronie pana Herricka. Po zaakceptowaniu jego formularza meldunkowego powiedziała głośniejszym głosem niż zwykle:

- Oto klucz do pańskiego apartamentu. Jeśli mogę zrobić coś, co uczyni pański pobyt tutaj przyjemniejszym, proszę się nie wahać do mnie zadzwonić.

- Taka obsługa to rozumiem - odparł, po czym uśmiechnął się uprzejmie do obserwujących go z dezaprobatą matron. - Dobry wieczór paniom - powiedział i stukając obcasami, przeszedł hol, by odebrać bagażowemu pierwszą ze swoich walizek.

- Nie chciałbym pozbawiać cię pracy, stary, ale lepiej mi ją daj. - Jego głos był donośny i życzliwy. - Nie obraż się, ale mam w niej coś bardzo cennego. Dlatego nie pozwolę dotykać jej nikomu obcemu.

Jego pogodne nastawienie przywołało uśmiech na twarz Sam. Anglicy wchodzą chyłkiem do eleganckich hoteli, jakby to były katedry. Kwestionują szeptem rachunki, po czym zakradają się do swoich pokoi jak przestępcy. Przystojni czarni mężczyźni nie zatrzymywali się w Savoyu. W Anglii wciąż

w najlepszym czasie antenowym leciał w telewizji *The Black And White Minstrel Show*¹. Równouprawnienie kończyło się na okładkach płyt Hendrixa i musicalu *Hair*.

¹ Program rozrywkowy telewizji BBC, w którym role czarnych odgrywali biali wykonawcy z poczernionymi twarzami. Mimo postępujących od końca lat sześćdziesiątych oskarżeń o propagowanie rasizmu utrzymał się na antenie do 1978 roku (przyp. tłum.).

- Lepiej sprawdź tę jego rezerwację - poradził jej Nicholas. - Wiesz, to jest Savoy. Inni goście mogą sobie nie życzyć... - szukał przez chwilę odpowiednich słów - ...takich ludzi jak on... kręcących się po hotelu.

- Nie rozumiem, jak możesz tak łatwo kogoś osądzać.

- Założę się, że to jeden z wykonawców z tego strasznego rockowego musicalu - prychnął Nicholas. - To ich puszenie się w krzykliwych strojach jest dowodem braku gustu.

- Zabawne, zawsze tak myślałam o obwieszonych złotem białych kobietach, które widuję w Knightsbridge - odparła. Do tej pory Nicholas nie zdradzał się ze swoimi uprzedzeniami. Zdecydowała, że bezpieczniej będzie odejść stąd jak najszybciej. - Jestem już spóźniona - powiedziała. - Do jutra.

Kiedy z pokoju dla personelu wróciła w swoim kożuszk, ponownie rzucił się jej w oczy śpiący mężczyzna. Siedział w kącie z „Daily Telegraph” na twarzy już od dłuższego czasu. Mijając Nicholasa, wskazała na śpiącego.

- Lepiej go obudź.

- Jesteś bliżej. Ty to zrób.

- Już ci mówiłam, spieszę się.

Westchnąwszy, podeszła do fotela i delikatnie usunęła gazetę. Odsłonięta twarz była rumiana i należała do mężczyzny w średnim wieku. Siwy kosmyk włosów opadał mu na czoło niczym skrzydło mewy. Rozpoznała w śpiącym gościu, który zatrzymał się w hotelu w piątek. Postukała go lekko w ramię. Światło zamigotało, na chwilę pograżając hol w mroku.

- Panie Jacob, proszę się obudzić...

Jacob prychnął i wyprostował się raptownie.

- Co się dzieje...? - Wytrzeszczył oczy, po czym poleciał do przodu, w ostatniej chwili chwytając się poręczy fotela. Przez chwilę Sam myślała, że przerwała gościowi sen. Teraz widziała, że się dusi. Zanim zdołała coś zrobić, zgiął się w pół, charcząc i plując krwią.

Gdy usiłowała podtrzymać gościa w fotelu, kątem oka dostrzegła Nicholasa sięgającego po słuchawkę telefonu.

- Nicholas, pomóż mi, on ma jakiś atak.

Jacoba ogarnęły konwulsje. Jego lewa noga kopnęła ją boleśnie w goleń. Sam upadła na kolana, akurat w chwili, gdy pojawił się przy niej Nicholas.

- Co mu się stało? - zapytał, ostrożnie próbując chwycić mężczyznę za ramię.

- Skąd mam wiedzieć? Może to padaczka. Dodzwoniłeś się do lekarza?

- Zajęte.

Żrenice Jacoba przesunęły się do góry, tak że widać było tylko białka. Sam nie była pewna, co robić. Wsadziła mu końcówkę krawata do ust, by zapobiec odgryzieniu języka, po czym wyjęła z kieszeni jego marynarki portfel.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknął Nicholas.

- Szukam kartki z informacją o stanie zdrowia.

Kończyny Jacoba nagle zwiotczały i stał się ciężki, ześlizgując się na podłogę i ciągnąc Sam za sobą. Przez chwilę pozostawali w całkowitym bezruchu. Dziewczyna odniosła wrażenie, jakby dusza mężczyzny uwalniała się z jego ciała. A potem opróżnił zawartość żołądka, plamiąc wzorzysty dywan.

- Fuj, co za obrzydlistwo - skrzywił się Nicholas.

Sam oderwała wzrok od trupa w swych objęciach i spojrzała na cherubiny na suficie. Wiedziała, że mężczyzna nie żyje. Zaszumiło jej w uszach, a hol oddalił się, aż wreszcie cały świat wypełniła ciemność.

3 AKT WANDALIZMU

Londyn dobrze skrywał swoje tajemnice.

Pod wilgotną, szarą zasłoną zimowego popołudnia życie wewnętrzne miasta biegło tak jak zwykle. Rytuály ukryte w ciężkich kamiennych budynkach przetrwały równie niezmienione jak cegły. Miasto wciąż nosiło ślady minionej imperialnej świetności - jej podeptanej wspaniałości, jej uporu i, coraz częściej, gwałtowności.

Mając za sobą kolejny dzień spędzony na bezowocnym przetrząsaniu toreb

w poszukiwaniu pistoletów, noży i bomb IRA, strażnicy stojący przy wejściu do National Gallery mogli wreszcie uraczyć się mocną herbatą.

George Stokes spozjrzał na srebrny zegarek kieszonkowy, który otrzymał na pamiątkę trzydziestoletniej wiernej służby, i odwrócił się do kolegi.

- Za dwadzieścia szósta - powiedział. - Za dziesięć minut będziesz mógł nacisnąć dzwonek. Nikt już dzisiaj nie przyjdzie.

- Jesteś pewien, George? - zapytał drugi strażnik. - Na moim zegarku jest za kwadrans.

Na zewnątrz przenikliwie zimny grudniowy deszcz zaczynał bębnić o niemal pusty Trafalgar Square. Pośrodku placu stała strzelista świąteczna choinka. Drzewko było nieoświetlone, jego najwyższe gałęzie skrzyły się na wietrze.

Ponad budynkiem galerii rozciągało się niespokojne, sine niebo. Chmury prawie nie przepuszczały światła. Galeria opustoszała, niedobitki zwiedzających wyglądały przez drzwi z rozłożonymi parasolami, przygotowując się do stawienia czoła wieczorowi.

Kiedy dwóch strażników porównywało czas na swoich zegarkach, drzwi wejściowe otworzyły się i pojawiła się w nich przemoczona postać.

- Leje jak z cebra - powiedział Stokes, adresując słowa do nowo przybyłego. - Niestety, zamykamy za kilka minut, proszę pana.

- Czasu aż nadto, by wykonać to, com zamierzył.

Strażnik wzruszył ramionami. Przywykł już do tego, że powracający do domu urzędnicy czasami zatrzymywali się tutaj na chwilę, by nacieszyć oczy widokiem jakiegoś ulubionego obrazu. Kiedy jednak baczniej się przyjrzał stojącemu przed nim mężczyźnie, ogarnął go niepokój.

- Czy pozwoli pan, że sprawdzę jego bagaż? - zapytał. Zagrożenie terrorystyczne kazało podejrzliwie podchodzić do każdego.

Na podłodze National Gallery jest mozaika ułożona z pięknych haseł. Pośród nich widnieją: WSPÓŁCZUCIE, ZACHWYT, CIEKAWOŚĆ, RADOŚĆ i ROZSADEK. Bill Wentworth zaczynał się zastanawiać, czy nie istnieją one jedynie tutaj, na tej podłodze. Pociągnął za daszek czapki, przepuszczając grupkę japońskich uczniów. Cieszył się, że tu pracuje, ponieważ miał możliwość obcowania z dziełami sztuki. Idąc, muskał koniuszkami palców rdzawo-czerwoną ścianę galerii. Wszedł do sali numer 3 (kolekcja malarstwa

niemieckiego i niderlandzkiego). Deszcz zacinął o świetliki na górze.

To był jego pierwszy dzień pracy i aż się palił do odpowiadania na pytania zwiedzających. Miał nadzieję na wykorzystanie swojego wykształcenia historyka sztuki.

- Może pan o tym zapomnieć - ostrzegł go podczas przerwy na poranną herbatę jego przełożony pan Stokes. - Czasy się zmieniły. Mało ludzi dziś już pyta o Rafaela, Tycjana czy Rembrandta. Chcą tylko, żeby im pokazać, gdzie znajduje się toaleta albo kolekcja francuskich impresjonistów. Nie interesuje ich malarstwo dawnych mistrzów, bo jest dla nich za trudne.

Stokes był miłośnikiem malarstwa włoskiego. Wolał Tiepoła od Turnera i bez przerwy to podkreślał.

Nowy strażnik szedł wolno po sali, czekając na wyjście ostatnich zwiedzających. Słyszał tylko jedno skrzypienie ich butów na wypolerowanej drewnianej posadzce i bębnienie deszczu o szyby na górze. Zatrzymał się przed płótnami Vermeera, zachwycając się tym, jak malarz uchwycił drobne, ciche chwile w życiu zwykłych ludzi, spokojnych postaci w świetle i półmroku, otwierających listy, zamiatających izby, opanowanych i ponadczasowych.

- Zwiedzający nie są problemem - poinformował go Stokes. - Wkrótce nawet nie będzie pan ich dostrzegał. Ale proszę uważać na obrazy. One żyją własnym życiem. - Wskazał ręką na otaczające ich ściany. - Zacznie pan widzieć rzeczy, których dotąd nie zauważał. Nowe detale obrazów. Plamkę czerwieni w *Liliach wodnych* Moneta, jeszcze jedną postać na drugim planie sceny ukrzyżowania. Będą pana niepokoić i intrygować. Z pewnością nie pozostaną panu obojętne. I dobrze, bo nie ma tu nic innego do roboty.

- To naprawdę jest aż tak nudne? - zapytał Wentworth, coraz bardziej przybity.

Stokes w zamyśleniu skubał wąsa.

- Wiem, jak powiedzieć „nie dotykaj tego, synku” w siedemnastu językach. Co w tym pan widzi ciekawego?

Wentworth wciąż myślał o ich rozmowie, kiedy nagle ujrzał zasapanego Stokesa biegnącego od głównego wejścia galerii. Jego przełożony był zarumieniony i zdenerwowany.

- Panie Wentworth, widział go pan?

- Kogo, panie Stokes?

- Tego starego dziada!

- Nikogo tu nie ma, jak pan sam widzi. - Wentworth zrobił gest ręką. Było tylko jedno wejście do sali wystawowej, które z powrotem wiodło na główną klatkę schodową.

- Ale on musiał tędy przechodzić!

- Jak wyglądał?

Stokes zatrzymał się, by nabrać powietrza.

- Wysoki, przy kości, z bokobrodami i wąsami. Ciężka tweedowa peleryna i śmieszny kapelusz - coś w rodzaju cylindra, jak u edwardiańskiego dżentelmena. Taszczył torbę podróżną.

Przez chwilę Wentworth zastanawiał się, czy jego szef nie postradał zmysłów na skutek zbyt długiego przebywania wśród pamiątek przeszłości.

- Co on takiego zrobił? - zapytał.

- Usiłowałem przeszukać jego torbę, ale mnie odepchnął i ruszył przed siebie - wyjaśnił Stokes. - Wbiegł po schodach i zniknął, zanim pobiegłem za nim. Odezwała się moja rana po szrapnelu.

- Pomogę panu szukać.

Strażnicy wyszli z sali i udali się w kierunku kręconych kamiennych schodów wiodących na niższe piętro galerii. Dotarli do sali numer 14 (kolekcja malarstwa francuskiego sprzed XIX wieku), kiedy stanął przed nimi zadyszany młody strażnik.

- Widzieliśmy go w okolicach sali Sunleya! - krzyknął.

- W którą stronę szedł?

- W przeciwną niż my.

- W takim razie idzie do sal z malarstwem brytyjskim - stwierdził Stokes. - Możemy odciąć mu drogę, przechodząc przez sale 44, i 45.

Świadomi, że ich skarbnica jest w niebezpieczeństwie, trzej strażnicy rzucili się w pościg przez puste korytarze. W jednym z nich omyłkowo wzięli jednego ze zwiedzających za ściganego, chwycili go za ramiona i rozplaszczyli na podłodze. Niechlujny, łysiejący mężczyzna podniósł się z oburzeniem i, ciągnąc za sobą długi szal w kolorze sepia, usiadł na ławeczce, złorzeczając przeproszającym

go strażnikom. W kącie następnej sali natknęli się na przestraszonego czwartego strażnika.

- Idzie w stronę...

- Nowej ekspozycji - wszedł mu w słowo Stokes. - Wiemy.

Dział artystów brytyjskich zajmował szereg sal odchodzących od ośmioboku. Na ścianach rozmieszczono imponujące portrety zapomnianych właścicieli ziemskich. Wystawione na widok publiczny i oprawione w złote ramy wisały pod wspianą szklaną kopułą, na której krople deszczu lśniły w prysznicy ciemnych diamentów. Wentworth nie miał czasu zachwycać się tym widokiem. Właśnie dostrzegł podejrzanego stojącego w sali przed nim.

Czterech strażników zatrzymało się w wejściu do sali numer 37.

Pod przeciwległą ścianą stał edwardiański dżentelmen z torbą podróżną przy nogach i laską włożoną pod ramię. Wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z jednego z obrazów wiszących na ścianach. Zdawał się nie dostrzegać strażników, rozglądając się po sali. Kiedy już znalazł to, czego szukał, sięgnął do torby.

- Stać! - zawołał Wentworth, wyciągając przed siebie rękę. Pozostali strażnicy stłoczyli się za nim. Nigdy nie myśleli, że naprawdę przyjdzie im chronić obrazy.

Przez chwilę nikt się nie ruszał.

Edwardiański dżentelmen wolno uniósł głowę i popatrzył na strażników, jakby dopiero teraz ich zauważył. Jego oczy błyszczały pod rondem wysokiego kapelusza.

- Zaniechajcie mnie, a nikt nie ucierpi - powiedział z nieznaczną groźbą w głosie. - Ostrzegam: jestem uzbrojony.

- Czy wcisnąłeś alarm? - wyszeptał Stokes do jednego ze strażników.

- Tak jest - odszepnął chłopak. - Zaraz po tym, jak zaczął biec.

- W takim razie musimy powstrzymać go do czasu przyjazdu policji.

Wentworth nie bardzo wiedział jak. Najbardziej niebezpiecznym przedmiotem, jaki miał przy sobie, był plastikowy grzebień. Wiedział, że żaden ze strażników nie jest wyposażony choćby w pistolet. Najlepsze, co mogli zrobić, to stać i patrzeć, jak staruszek schyla się i sięga do torby.

Gdy tylko Wentworth zorientował się, co mężczyzna chce zrobić, zaczął biec w jego kierunku, ale nie udało mu się zapobiec nieszczęściu.

Dżentelmen wyjął z torby flakon i wyciągnął z niego szeroki gumowy korek. Po chwili zawartość flakonu wylądowała na jednym z obrazów, paląc werniks i farbę i wypełniając powietrze wonią kwasu. Wentworth rzucił się na podłogę, uderzając o ścianę, a wandal cisnął puste naczynie prosto w niego. Rozbiło się z hałasem.

Pozostali strażnicy przebiegli obok jego głowy, ich kroki zaczęły dobiegać z odległych sal. Usłyszał krzyk, a potem wystrzał, oba odgłosy były ciche i ostre. Stokes upadł ciężko obok niego, z nosa leciała mu krew. Przy listwie przypodłogowej widać było kałużę skwierczącego kwasu. Wentwortha piekły oczy. Uświadomił sobie, że nie jest bezpieczny i wstał.

Strażnicy przedstawiali żałosny widok. Stokes był nieprzytomny. Inny wyglądał na postrzelonego. Z jednego z obrazów coś kapało i tliło się. Przyjechali policjanci i krzyczeli do radiotelefonów. Po edwardiańskim dżentelmenie nie było ani śladu.

- Przepraszam.

Niechlujny mężczyzna, na którego omyłkowo napadli w korytarzu, postukał jednego z mundurowych w ramię.

- Powiedziałem: przepraszam.

Posterunkowy odwrócił się do niego i zaczął go odpychać w stronę wejścia do sali.

- Sala jest zamknięta dla zwiedzających - powiedział.

- Zdecydowanie nie jestem zwiedzającym - odparł mężczyzna, owijając szyję swoim zdającym się nie mieć końca szalem. - Jestem inspektor Arthur Bryant, a wy właśnie pozwoliliście zbiec przestępcy.

George Stokes spoglądał ponuro przez wysokie okno jak człowiek szykujący się na śmierć na szafocie. Wyraźnie martwił się o swoją przyszłość.

Arthur Bryant przemierzył mroczną służbówkę i stanął obok niego.

- Jak nos? - zapytał.

- Trochę stłuczony - odrzekł Stokes, ostrożnie dotykając nozdrza. - Biedny chłopak. Nie do wiary, że został postrzelony.

- Nic mu nie będzie. Kula ledwie drasnęła go w ramię. Przeszła na wylot i zrobiła małą dziurkę w martwej naturze Petera de Winta. Nie ma powodu do zmartwienia.

- Nie rozumie pan, panie Bryant - powiedział Stokes, wpatrując się w deszcz bębniący o opustoszały plac pod nimi. - Jesteśmy stróżami skarbów imperium. Obrazy tu zgromadzone są częścią naszej spuścizny. Powierzono je nam, a my zawiedliśmy zaufanie.

- Ludzie nie są idealni, panie Stokes. Nigdy nie osiągniemy doskonałości cudownych obrazów zgromadzonych w tej galerii. Tego rodzaju akty wandalizmu zdarzały się już przedtem, prawda? - Bryant rzucił szal na krzesło. Odwrócił się do stojących na stole kubków z parującą herbatą i wyjął z kieszeni płaszcz srebrną piersiówkę, po czym wlał do każdego z nich kilka kropli wiśniówki.

Policjanci usiłowali doprowadzić salę do porządku. Kilku wzburzonych członków kierownictwa już czekało, by porozmawiać z szefem ochrony. Bryant chciał przesłuchać Stokesa, póki wspomnienie wydarzeń ma jeszcze świeżo w pamięci.

- Tak, to zdarzało się już wcześniej. Zniszczono *Madonnę* Leonarda da Vinci. Było też kilka innych pomniejszych aktów wandalizmu. - Stokes potrząsnął głową w zdumieniu. - Ci, którzy robią takie rzeczy, muszą być szaleni.

- Pana zdaniem ten edwardiański dżentelmen był szalony?

Stokes zastanawiał się przez chwilę, po czym odwrócił się od okna.

- Nie, właściwie nie.

- Dlaczego nie? Twierdził pan, że dziwnie mówił.

- Jego mowa była archaiczna. Wyglądał i mówił jak dżentelmen z dawnych czasów. Taki z początków wieku. Zabawna maniera.

Bryant odsunął krzesło i usiadł przy stole. Dyskretnie notował, podczas gdy strażnik pił wzmocnioną herbatę.

- Czy coś jeszcze poza jego sposobem wysławiania przywoływało na pamięć edwardiańskiego dżentelmena?

- Pan sam go chyba też widział. Jego ubiór wyszedł z mody jakieś siedemdziesiąt lat temu. Kiedy wszedł do galerii, kogoś mi przypomniał.

- Kogo?

Stokes machnął ręką.

- Och, nikogo, kto by jeszcze żył. Wyglądał jak malarz John Ruskin. Ze względu na bokobrody.

- I wydawał się dobrze wiedzieć, dokąd pójść?

- Musiał doskonale znać rozkład pomieszczeń. Jest tylko jedno wyjście z tej strony galerii. Po zniszczeniu obrazu pobiegł prosto do niego. Trzeba przejść przez dwie sale, 34, i 41, a potem dociera się do schodów, które prowadzą do jednego z wyjść.

- Pana zdaniem nieprzypadkowo zniszczył akurat ten obraz? Nie byłby tak samo usatysfakcjonowany, powiedzmy, odłupując głowę jakiegś rzeźbie?

- Och nie, z całą pewnością nie. Miałem uczucie, że dokładnie wie, dokąd idzie.

- A dokąd szedł?

- Prosto do nowej ekspozycji prerafaELITÓW w salach brytyjskich. Szukał określonego obrazu. Oblał kwasem tylko ten jeden.

- Który?

- *The Favourites of the Emperor Honorius* Johna Williama Waterhouse'a. To całkiem duże płótno, ale zdołał oblać je całe.

- Nie wiem zbyt dużo o renowacji - wyznał Bryant. - Czy pana zdaniem uda się je uratować?

- To zależy od tego, jakiego kwasu użył. To bardzo delikatna sprawa, panie Bryant. Wiele obrazów na tę ekspozycję wypożyczono z innych krajów Wspólnoty Narodów.

- Także ten, który został zniszczony? Stokes skinął głową.

- Skąd pochodził?

- Został wypożyczony z Australii, bodajże z Adelajdy.

- Z pewnością był ubezpieczony.

- Nie o to chodzi. - Stokes opróżnił kubek i postawił go na stole. - To nie jest jakiś szczególnie ważny obraz, ale i tak bezcenny. Jeśli nie zdoła się go uratować, część naszego dziedzictwa zostanie utracona na zawsze.

4 ROZPUSZCZONE WNEŁTRZNOŚCI

Mężczyzna staje, a ja pędzę za nim tak szybko, że nie mogę się zatrzymać. Obrzydliwy potwór jest znajomy, dziwny i przerażający zarazem, a spotkanie z nim - nieuniknione. Otwieram usta, żeby krzyknąć, ale zatyka mi je ręką i nie mogę oddychać, jego palce sięgają do mojego gardła, paznokcie wbijają się w usta i wiem już, że umieram...

Jej krzyk zdusiła kołdra, w którą się zawinęła. Sam wyswobodziła się i wyskoczyła z przeпоconego łóżka. Upadła na podłogę i leżała przez chwilę naga na dywanie, czekając aż serce przestanie jej bić jak oszalałe.

Nigdy jeszcze nie była świadkiem czyjejś śmierci. Czy można się dziwić, że dręczyły ją koszmary? Zapewne miał atak serca. Ale dlaczego w takim razie było tak dużo krwi? Ten człowiek był już na tyle stary, że mógł umrzeć, pewnie po prostu jego czas nadszedł i dlatego udał się na spotkanie ze Stwórcą. Dzieciństwo minęło jej we frustracji, że nikt jej tak naprawdę nie zauważa, na cierpliwym oczekiwaniu na szansę pokazania światu, na co ją stać - czy to, że właśnie teraz spotkała się twarzą w twarz ze śmiercią, znalazła się w uścisku człowieka opuszczającego ten świat, nie stanowiło złowróbnego znaku na przyszłość?

Tak naprawdę to była nowa wersja jej starego koszmaru. Ze złością uderzyła pięścią poduszkę.

Terapeuta będzie chciał wiedzieć, dlaczego opuściła ostatnią sesję; czekał, by zdać Gwen relację z jej ostatniej wymagowanej dolegliwości. Przynajmniej okłamywanie go dawało jej trochę satysfakcji.

DAILY TELEGRAPH, WTOREK, 7 GRUDNIA 1973

ZNISZCZONY OBRAZ PRZYCZYNĄ WZMOŻENIA ŚRODKÓW BEZPIECZEŃSTWA

NATIONAL GALLERY ZNAJDUJE SIĘ W CENTRUM MIĘDZYNARODOWEJ AWANTURY WYWOŁANEJ WCZORAJSZYM INCYDENTEM, W WYNIKU KTÓREGO ZOSTAŁO NIEODWRACALNIE ZNISZCZONE CENNE DZIEŁO SZTUKI. OBRAZ *THE FAVOURITES OF THE EMPEROR HONORIUS* WIKTORIAŃSKIEGO ARTYSTY JOHNA WILLIAMA WATERHOUSE'A BYŁ JEDNYM Z KILKU WYPOŻYCZONYCH PRZEZ AUSTRALIJSKI RZĄD NA NAJWIĘKSZĄ EKSPOZYCJĘ SZTUKI PRERAFaelICKIEJ ZORGANIZOWANĄ W ANGLII W TYM STULECIU.

AUSTRALIJSKI MINISTER SZTUKI DAVID CARRERAS PODDAŁ OSTREJ KRYTYCE NATIONAL GALLERY ZA „TANIE I DALECE NIEWYSTARCZAJĄCE” ŚRODKI BEZPIECZEŃSTWA I ZAPOWIEDZIAŁ WYSTOSOWANIE OFICJALNEGO PROTESTU DO RZĄDU BRYTYJSKIEGO.

BIORĄC POD UWAGĘ FAKT, ŻE NA TEGOROCZNEJ KONFERENCJI PAŃSTW WSPÓLNOTY NARODÓW PLANOWANE JEST Poddanie REWIZJI ZASAD PRZEKAZYWANIA SKARBÓW DZIEDZICTWA NARODOWEGO DO KRAJÓW CZŁONKOWSKICH, PROTEST PANA CARRERASA MOŻE OKAZAĆ SIĘ TRUDNYM ORZECHEM

DO ZGRYZIENIA DLA NASZEGO RZĄDU. W ŚWIETLE OSTATNIEGO AKTU WANDALIZMU GRECKI RZĄD ZAPEWNE WZNOWI ZABIEGI O POWRÓT MARMURÓW ELGINA.

LESLIE FARADAY, NOWO MIANOWANY PODSEKRETARZ STANU W MINISTERSTWIE SZTUKI, PRAWDOPODOBNIENIE ZARZĄDZI DOCHODZENIE, KTÓRE BĘDZIE MIAŁO NA CELU ZBADANIE ŚRODKÓW BEZPIECZEŃSTWA W GALERII. NOMINACJA FARADAYA JEST NIEZWYKLE KONTROWERSYJNA. MINĘŁY ZALEDWIE DWA TYGODNIE OD CZASU, GDY POZWOLIŁ NOWOJORSKIEMU MUSEUM OF MODERN ART KUPIĆ OD TATE GALLERY *BUTELKĘ COCA-COLI* ANDY'EGO WARHOLA, KWITUJĄC TĘ TRANSAKCJĘ SŁOWAMI: „KRZYŻYK NA DROGĘ!”...

Wydział Przestępstw Osobliwych ostatecznie otworzył swoje podwoje nad czerwonymi łukami stacji metra Mornington Crescent. Po dwóch miesiącach wciąż pełno tam było skrzyń w większości wypełnionych maszynami do pisania i nieporęcznym sprzętem.

Wydział porzucił dawną siedzibę przy Bow Street (gdzie mieścił się przez ponad trzydzieści lat), by poświęcić więcej czasu swoim specyficznym dochodzeniom z dala od rozpraszających drobnych przestępstw. Utworzony przez dalekowzroczny rząd podczas wojny, pozostawał ostatnim miejscem, w którym rozwiązywano niedające się jednoznacznie zaklasyfikować i wymagające delikatnego podejścia sprawy. Komisariaty takie jak West End Central czy ten przy Bow Street były pochłonięte pracą nad codziennymi wykroczeniami, pełne kolegów ciągle proszących o rady oraz raportów czekających na napisanie. Zbyt dużo roboty papierkowej, a zbyt mało czasu na myślenie. Pewnego dnia Wydział Przestępstw Osobliwych zostanie uwolniony spod kurateli policji londyńskiej, ale na ten dzień przyjdzie jeszcze długo poczekać.

Tutaj, nad tętniącą życiem stacją metra, przynajmniej można było skoncentrować się na skomplikowanych sprawach. Pytanie, czy nowy system się sprawdził, pozostawało na razie bez odpowiedzi. Przegrana kosztowałaby dużo zarówno policję, jak i społeczeństwo.

Seria przeszywających klaksonów sprawiła, że May przechylił krzesło do przodu i wyrzwał przez łukowate okno tylko po to, by przekonać się, że to kolejna czarna limuzyna jakiegoś dyplomaty przejeżdża ulicą eskortowana przez policjantów na motocyklach. Czytał gdzieś, że delegaci państw EWG zbierali

się w Londynie na mającą się odbyć w przyszłym tygodniu konferencję. Zazwyczaj oznaczało to nadużywanie immunitetów dyplomatycznych, a także wzrost liczby wypadków samochodowych i kradzieży w sklepach. Przez chwilę rozkojarzony nie dosłyszał ostatnich słów Oswalda Fincha.

- Możesz powtórzyć? - poprosił, przyciskając słuchawkę mocniej do ucha.

- ...nadzwyczajny poziom obrażeń, zmiany w tkankach tak znaczne, że mógłbyś palcami przejść przez nie na wylot...

- Zaraz, poczekaj chwilę, Oswaldzie, nie nadążam.

Po drugiej stronie kabla telefonicznego rozległo się pełne irytacji westchnienie.

- Naprawdę, John, lepiej by było, gdybyś przyjechał i sam go sobie obejrzał. Leży właśnie przede mną. To wprost niewiarygodne.

- Czy naprawdę muszę? - May przypomniał sobie odór chemikaliów i taniej wody po goleniu, które zawsze towarzyszyły jego spotkaniom z patologiem. Finch był doskonałym fachowcem, ale podchodził do swojej pracy z równie upiornym entuzjazmem jak dzieci do dręczenia owadów. Został patologiem nie tylko dlatego, że nie bał się śmierci. Został nim również dlatego, że naprawdę, ale to naprawdę sprawiało mu przyjemność to, co robił. W następnych latach będzie coraz bardziej zafascynowany procesem starzenia się własnego ciała i straci niemal wszystkich pozostałych jeszcze przy życiu przyjaciół.

- Wiesz, autopsje zwykle zajmują około dwóch godzin, ale nad tym ciałem spędziłem ponad siedem. Musiałem poprzestawiać swój grafik. Naprawdę powinienś to zobaczyć, John.

- No dobrze. Daj mi kwadrans. - May odłożył słuchawkę, popatrzył na szare niebo za oknem i sięgnął po płaszcz przeciwdeszczowy. Musiał znaleźć swojego współpracownika, i chyba wiedział, gdzie go szukać.

Przystojna twarz Johna Maya, jego proste plecy i jasne spojrzenie natychmiast zwracały na niego uwagę otoczenia. Osoby nieobznajomione z jego profesją brały go za prezesa korporacji. Cały czas ubierał się modnie, chociaż było to trudne w Londynie opanowanym przez tanie garnitury z klapami szerokimi na sześć cali, i mimo że w jego nienagannie wypielęgnowanych włosach widać było kilka siwych kosmyków, w dalszym ciągu nie przestawał fascynować się tym, czym w młodości. Owa fascynacja obejmowała, niekoniecznie w tej właśnie kolejności: policyjne śledztwa, gadzety, kobiety, stare samochody,

telewizję (wszystkie trzy kanały) i *science fiction*. Przedstawicielki tego, co kiedyś określano mianem płci pięknej, cały czas zajmowały ważne miejsce w jego życiu; zawsze był czuły na kobiece wdzięki. O niebezpieczeństwach, jakie wiążą się z prowadzeniem bujnego życia seksualnego, miano się dowiedzieć dopiero w odległej przeszłości.

Dziewczyna stojąca za wielobarwnym kontuarem Brasilia Coffee House uśmiechnęła się na jego widok.

- Jeśli szukasz Arthura, siedzi z tyłu - powiedziała. - Jest dzisiaj strasznie markotny. Najwyższy czas, żebyś mu jakoś poprawił nastrój.

- Dobrze, spróbuję. - Poszedł na tyły kawiarni.

Przyjaciel Maya nie mógł się bardziej od niego różnić. Arthur Bryant był zaledwie trzy lata starszy, ale wydawało się, że dzieli ich całe pokolenie. W swoim obszernym, niedopasowanym płaszczu, który kupiła mu gospodyni, wyglądał jak strach na wróble. Mały, łysiejący człowieczek, niemający czasu na pośpiech współczesnego świata. Bryant był tak niezależny, że aż irytujący, i tak oryginalny, że prawie dziwaczny. Podczas gdy jego współpracownik był za pan brat z najnowszymi zdobyczami techniki, on je uparcie odrzucał. Był czytany i skrytym odludkiem, którego umysł pracował - kiedy znalazł coś wartego uwagi - w sposób tak nieszablonowy, że aż momentami absurdalny.

Przyjaciel Bryanta był dla odmiany towarzyski i powszechnie lubiany. May był metodycznym pracownikiem, który rozwiązywał zagadki dzięki starannym badaniom materiału dowodowego. Mimo że wiele ich łączyło, ich przyjaźń nie powinna w ogóle zaistnieć. Stanowili raczej dziwaczny parę, ale nic sobie z tego nie robili.

Chociaż z upływem czasu stawali się coraz bardziej podobni do siebie, to właśnie starcia ich osobowości były tajemnicą ich sukcesu jako policjantów. Żaden z mężczyzn nie miał szacunku dla władz i żadne z ich dochodzeń nie biegło oficjalnymi torami. Tolerowano ich z powodu sukcesów w poważnych śledztwach i byli uwielbiani przez młodszych policjantów, ponieważ wybrali pozostanie na placu boju, zamiast przyjąć awans i zaszyć się za zamkniętymi drzwiami. Zwykle przyjeżdżali do pracy wcześniej, żeby podkreślić innym policjantom najbardziej interesujące sprawy. A przynajmniej robili to jeszcze dwa miesiące temu. Teraz już byli na swoim.

- Zamówić ci jeszcze jedną kawę? - May wskazał na pustą filiżankę przyjaciela.

- Chyba tak - odparł Bryant apatycznie, rozszeptując szal. - Żadnego śladu po moim miotaczu kwasu.

- Ktoś musiał widzieć, jak wychodził z galerii. Wygląda na to, że miał na sobie raczej niespotykane ubranie. Założę się, że brak mu piątej klepki.

- Właśnie w tym rzecz. Wcale tak nie myślę. - Wodniste błękitne oczy Bryanta odbijały światła kawiarni. - Chodziło mu o ten konkretny obraz. Dokładnie nie wiedział, gdzie go szukać. Wystawa była otwarta dopiero od tygodnia, więc musiał odwiedzić ją wcześniej, żeby opracować drogę ucieczki. Być może podczas tej pierwszej wizyty nie nadarzyła się okazja, żeby zniszczyć obraz. Aha, to przyszło z zakładu medycyny sądowej. - Bryant pogrzebał w kieszeniach płaszcza i wyjął zapisaną kartkę. Rękawy płaszcza były tak długie, że sięgały mu do koniuszków palców. - Ta substancja, będąca połączeniem chlorowęgla etylowego, chloroacetylu chloru i czegoś jeszcze, czego nie dali rady rozpoznać, miała za zadanie doprowadzić do jak największych zniszczeń w jak najkrótszym czasie. I dokonała tego. Obraz jest nie do uratowania.

- Zupełnie?

- Może da się ocalić krawędzie. Płótno zostało przeżarte na wylot. Musieliby zaczynać praktycznie od zera i chociaż mają slajdy, nie dadzą rady odtworzyć oryginalnych pigmentów. Wygląda na to, że nie umiemy już wytwarzać takich farb. Oryginał został zniszczony na zawsze. Boję się myśleć, co się stanie, kiedy rząd Australii to odkryje. Ich minister, sztuki stara się odzyskać pewną liczbę przedmiotów związanych z kulturą Aborygenów, ale do tej pory odmawialiśmy ich zwrotu. Australijczycy byli niechętnie nastawieni do pomysłu wypożyczenia nam dzieł preraphaelitów. To, co się stało, dowodzi tylko, że ich obawy były uzasadnione.

- Masz coś jeszcze?

- Niewiele - odparł Bryant, po czym wypił łyk kawy. - Na flakonie nie było żadnych odcisków palców. Nikt w najbliższej okolicy nie zapamiętał sprawcy, mimo jego niespotykanego wyglądu. Pogoda była straszna. Ludzie mieli pochylone głowy wskutek deszczu. Jestem jednym z niewielu wiarygodnych świadków.

- Byłeś w tej galerii? - zapytał May zaskoczony.

- Przez czysty przypadek. Wiem, że sam pomysł oglądania obrazów wydaje ci się niedorzeczny, ale powinieneś spróbować tego od czasu do czasu. Facet, który przygotowywał tę ekspozycję, jest moim starym znajomym. Zobaczą się z nim jutro. Chodź ze mną.

- Nie mogę. - May dokończył kawę. - Muszę jechać do hotelu Savoy. Wczoraj wieczorem jednego z gości trafił szlag, kiedy czytał gazetę w holu. Lekarz hotelowy myślał początkowo, że miał krwotok.

- A nie miał?

- W sumie miał. Jak cholera. Finch przeprowadził autopsję i znalazł jego wnętrzności dosłownie rozpuszczone. Sanitariusze mieli szczęście, że po drodze nie rozpadł im się na kawałki. Nie znamy choroby, która może coś takiego wywołać. Lekarze zastanawiali się, czy nie wypił jakiejś substancji chemicznej.

- Siedząc w holu hotelu Savoy? Wydawało mi się, że ich koktajle są pierwszej klasy. Gdyby zażył truciznę, byłoby to po nim widać. To wcale nie takie łatwe. Im mocniejsza jest, tym ostrzejszy ma smak. - Oczy Bryanta rozbłysły. - Bardzo dziwne. - Dopił kawę i odstawił filiżankę.

- Mógłbyś się zająć tą sprawą - zauważył niewinnie May. - Oczywiście pod warunkiem, że dołączyłbyś do naszego zespołu przy Mornington Crescent.

Bryant w sposób ostentacyjny wpatrywał się w swoje dłonie.

- Cały czas zastanawiałem się, kiedy mi to zaproponujesz.

- Czekałem na zgodę z góry. Oczywiście to oznacza, że będziesz musiał dzielić ze mną gabinet, przynajmniej do czasu, aż wszystko uporządkujemy.

Bryant pozostał w komisariacie przy Bow Street - mały przejaw niezależności, który tak naprawdę miał wywołać u Maya tęsknotę za nim.

- Wciąż palisz te ohydne cygara? - zapytał.

- Obawiam się, że tak.

- Powiedzieli ci już, kto będzie szefem?

- Raymond Land. Wiem, że nie jesteś z nim w zbyt dobrych stosunkach, ale ma nim być jedynie tymczasowo, dopóki nie wybiorą kogoś na stałe.

- Bo ja wiem... Przykro mi będzie opuszczać Bow Street.

- Kogo chcesz oszukać, Arthurze? Obaj wiemy, że dobre czasy wkrótce się skończą.

- Chodzą słuchy, że będziesz mógł wybierać sobie śledztwa. Ludzi już ogarnia zazdrość.

- Niezupełnie. To ma być ściśle wyspecjalizowany wydział zabójstw, który nie będzie się zajmował sprawami złodziei brylantów czy wojnami gangów. To oznacza długotrwałe śledztwa w niewyjaśnionych sprawach. Śledztwa wymagające wnikliwego badania. - Te ostatnie były specjalnością Bryanta.

Dotychczas w Wielkiej Brytanii nie było ani jednego wydziału, który zajmowałby się wyłącznie zabójstwami. Wynikało to w pewnej mierze stąd, że popełniano ich względnie mało. Do poszczególnych spraw powoływano zespoły tworzone przez funkcjonariuszy oddelegowanych z AMIP - Centralnego Wydziału Śledczego - i miejscowych policjantów.

Teraz ten system się przekształcił. Jeśli Wydział Przepływów Osobliwych będzie odnosił sukcesy, struktura policji londyńskiej się zmieni. Powstaną inne wyspecjalizowane wydziały. John May miał świadomość, że wielu jego kolegom z AMIP odpowiadał obecny stan rzeczy i nic ich tak nie ucieszy, jak porażka WPO. Dlatego też potrzebował wsparcia z każdej strony. Potrzebował powrotu starego przyjaciela.

- Czy ten twój gabinet ma duże okna? - zapytał Bryant.

- Jedno, ale za to ogromne.

- To dobrze. Ostatnimi czasy potrzebuję dużo światła. Czy mogę go odmawiać? Nie potrafię myśleć w niegustownym otoczeniu.

- Możesz go sobie pomalować na jaki tylko zechcesz kolor. Jak twoje obecne sprawy?

- Chciałbym dokończyć śledztwo w sprawie tego aktu wandalizmu w National Gallery. Resztę podrzucę komuś, kogo nienawidzę. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie oczekiwałem twojej propozycji. Choć muszę przyznać, że ci się nie spieszyło.

- Najpierw musiałem wszystko urządzić. Chyba nie myślałeś, że cię zostawię, co? - May uśmiechnął się. Wiedział doskonale, jak bardzo codzienna rutyna komisariatu przy Bow Street nudzi jego starego przyjaciela, i nie mógł znieść myśli, że zdolności Bryanta się marnują. Kiedy wstali, promienie popołudniowego słońca wpadły przez brudne okna kawiarni. W końcu mamy szansę zadać naprawdę potężny cios systemowi, pomyślał May. Postanowił nie mówić

Bryantowi, że dostali na to zaledwie dwa miesiące.

- Wykonałem standardowe nacięcie w kształcie litery Y, od ramion do piersi i dalej do kości łonowej - zaczął Finch, pokazując zwłoki leżące przed nimi - i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Organy są po prostu nieprawdopodobnie zniszczone.

Finch był wysoki i chudy, miał nastroszone włosy i kościste ręce, a kiedy siadał, kolana skrzypiały mu jak szuflady biurka. Opalenizna nabyta podczas ostatnich wakacji stanowiła jedyną cechę odróżniającą go od Stana Laurela. Jak zwykle zalatywał od niego mdlący zapach taniej wody po goleniu.

- Nic tu nie widzę - wyznał May, zmuszając się do spojrzenia na ciało. Biel skóry szokująco kontrastowała ze szkarłatną dziurą, która powstała po otwarciu ciała ofiary.

- Widziałem wiele wnętrzności, John, i wiem, kiedy coś nie gra - stwierdził Finch, wycierając ręce o swój zielony plastikowy fartuch. - Powiedz mi, co o nim wiesz. - Podeszedł do wagi i poprawił szalki, po czym zabrał z niej nerkę.

May otworzył teczkę i przeczytał raport.

- Maximillian Jacob, 59 lat, 5 stóp i 11 cali wzrostu, 196 funtów wagi, wspólnik firmy prawniczej Jacob & Marks, mającej siedzibę w Norwich. Zameldował się w Savoyu w piątek. Przyjechał do Londynu w niejasnych interesach - w każdym razie przedstawił żonie i wspólnikowi dwa różne powody wyjazdu. Żadnych kłopotów ze zdrowiem, w ogóle nic niezwykłego, ale wciąż szukamy. - Spojrzał ponownie na zwłoki leżące na stole. Wyglądało na to, że im bardziej porządne człowiek prowadzi życie, tym trudniej znaleźć coś o nim po śmierci. - W tej chwili jawi się nam jako przykładowy obywatel - westchnął. - Gdyby był przestępcą, mielibyśmy chociaż jakiś punkt zaczepienia.

- Cóż, wiadomo przynajmniej, że ktoś nienawidził go tak bardzo, że aż go zabił - powiedział Finch.

- Nikt na razie nie mówi o zabójstwie.

- Więc ja będę pierwszy. Popatrz na to. - Skinął na Maya. - Żołądek Jacoba jest masą rozpuszczonych tkanek. Rozległy krwotok tutaj, tutaj i tutaj. - Finch trzącał krwawą miazgę końcem długopisu. - A także tutaj, w sercu, wątrobie i płucach.

- Jaka była, twoim zdaniem, bezpośrednia przyczyna śmierci?
- Zaburzenia czynności serca. Serce nie pracowało właściwie, ponieważ łożysko naczyniowe zostało zniszczone. To musiała być jakaś substancja żrąca, ale ponieważ nie ma żadnych śladów oparzenia w jamie ustnej i tchawicy, zacząłem wypatrywać śladu ukłucia. Nietrudno go dostrzec, kiedy się wie, czego szukać. Tutaj.

Odwrocił głowę Jacoba na bok i wskazał kropkę pod lewym uchem. Opuchlizna na arterii szyjnej była pokryta zaschniętym czarnym płynem.

- Jeśli przyjrzyysz się tej ranie z bliska, odkryjesz nie jeden ślad po ukłuciu, lecz dwa, jak od ugryzienia wampira. Piękne, nieprawdaz? - Odstąpił dwa małe ślady. - A potem wdała się gangrena. Ciało stało się papką. Przeprowadziłem rutynowe testy toksykologiczne, sprawdziłem na okoliczność obecności w organizmie alkoholu, kokainy, barbituranów i tak dalej - i nic nie znalazłem. Nie zrobiłem testów na obecność bardziej egzotycznych substancji, ale to mi nie dawało spokoju. Wysłałem próbki krwi i tkanek do Krajowego Centrum Toksykologicznego, spodziewając się wyników dopiero za kilka dni. - Finch bezwiednie potarł koniuszek nosa długopisem. - A tu niespodzianka: przesłali mi je teleksem już godzinę temu. Wygląda na to, że ich to też zaintrygowało. To mokasyn błotny.

- Co takiego? - May był sparaliżowany widokiem zwłok. Trudno uwierzyć, że ten biedny, leżący tu człowiek będzie poskładany na nowo i pochowany pod kamieniem nagrobnym, na którym zostaną wyryte słowa „niech spoczywa w pokoju” albo jakieś takie. - Jak powiedziałaś? Zabłocony mokasyn?

- Mokasyn błotny. Po łacinie *Agkistrodon piscivorus*. Gatunek z podrodziny *Crotalinae*. - Finch mówił szybko, podekscytowanym głosem. Zawsze, ilekroć dokonał odkrycia na otwartym ciele, wpadał w euforię.

- Oswaldzie, co to, u licha ciężkiego, jest mokasyn błotny?

- To właśnie jest w tym wszystkim najdziwniejsze. - Finch w zamyśleniu podrapał się długopisem w lewe ucho. - To północnoamerykański wąż.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek został ukąszony przez węża?

- May uniósł bezradnie ręce. - Musieli się pomylić.

- Pomyłka wykluczona. Ponowili testy. - Finch wskazał na zwłoki. - Zobacz, jakie to efekty wywołało. Tym jadem najprawdopodobniej dysponują tylko żyjące w środowisku wodnym grzechotniki.

- Mój Boże, Oswaldzie - w jakim środowisku wodnym? Czy zastanawiałeś się choćby przez chwilę nad tym, że to się wydarzyło w holu hotelu Savoy?

- Muszę przyznać, że to mi trochę dało do myślenia - zgodził się Finch. - Mokasyny błotne spotyka się zwykle na terenach bagnistych.

- Nie wydaje ci się to dziwne?

- Każdy zgon z przyczyn nienaturalnych jest dziwny.

- Czy powiedzieli ci, ile czasu upływa zwykle od ukąszenia do śmierci?

- Tak. Natychmiast po ukąszeniu rana zaczyna swędzieć, po czym ofiara staje się rozdrażniona. Następną fazą jest otępienie, a potem nagle następuje zapaść i śmierć. W sumie dziesięć minut. Chciałbym ci pokazać coś jeszcze. - Finch uniósł plastikową torbę i ostrożnie umieścił jej zawartość w misce. May zrozumiał, że patrzy na mózg Maxa Jacoba.

- Jak ci zapewne wiadomo - powiedział Finch - ludzki mózg ma konsystencję gęstego budyniu. Płyn chroni go przed uderzeniem w czaszkę. Popatrz na to. - Dotknął długopisem ciemnej linii na płacie czołowym. - Przy mocnym uderzeniu w głowę powinny być trzy ślady: na skórze, na czaszce i na samym mózgu. Nazywamy to bezpośrednim urazem mózgu. Na mózgu Jacoba znajduje się ślad z przodu, ale nie ma odpowiadających mu śladów na czaszce i skórze.

- Jak to?

- Zamiast tego mamy ślady z tyłu głowy. Jeśli ktoś traci przytomność i uderza głową o podłogę, mózg uderza o przód czaszki. To pośredni uraz mózgu i to właśnie przytrafiło się Jacobowi. Wygląda na to, że upadł niedługo przed śmiercią.

- Dzięki, Oswaldzie, wykonałeś kawał dobrej roboty. - May z ledwością wydusił słowa podziękowania i pospiesznie wyszedł z sali. Smród środka dezynfekującego połączony z zapachem wody po goleniu stał się nie do zniesienia.

- Daj mi znać, jak się skończyło to śledztwo - powiedział Finch, odwracając się z powrotem do trupa. - Czuj się tu jak u siebie w domu. Zawsze się cieszę na twój widok.

W holu hotelu Savoy panował chaos. Goście z krajów Wspólnoty Narodów zaczęli tłumnie napływać, a sterty drogiego bagażu stały w kątach pośród kompozycji z zasuszonych roślin, przypominających snopki zboża. Sam cały ranek rozlokowywała w pokojach gości porozumiewających się z nią za pomocą uprzejmych uśmiechów i łamanej angielszczyzny.

- Ma już swoje lata, nie? - wymamrotał Nicholas lekceważąco. - Mogliby tu przysłać kogoś młodszego.

- Mów ciszej - upomniała go zawstydzona Sam. - Usłyszysz cię.

- Inteligencja jest rekompensatą za odejście młodości, synku. - John May wyjął ciężki magnetofon i postawił go na kontuarze. - Może nawet sam się o tym przekonasz pewnego dnia. Muszę zamienić słowo z tą młodą damą, więc jeśli zajmiesz się przez kilka najbliższych minut obsługą gości, będę ci niewymownie wdzięczny.

Sam uśmiechnęła się do siebie. Było coś niesamowicie pociągającego w tym policjancie. Wyglądał na człowieka, który zachował młodość dzięki temu, że przebywał głównie w towarzystwie młodych ludzi.

- Chodźmy do służbówki - powiedziała. - Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Kiedy już usiedli w pomalowanym na kremowo niewielkim pokoiku służbowym, May ponownie wyjął z torby tranzystorowy magnetofon i wcisnął przycisk nagrywania. Spojrzał do notatek.

- Mam nadzieję, że już pani doszła do siebie, panno Gates. Nie lubi pani swojego pełnego imienia...

- Samantha? Nie, nie bardzo.

- To musiał być dla pani szok.

- Zemdląłam, to wszystko. Wszędzie było tyle krwi...

- Czytałem pani niezwykle jasne i klarowne zeznanie. Chciałbym wyjaśnić kilka rzeczy. Zameldowała pani pana Jacoba w ostatni piątek, zgadza się?

- Wzięłam od niego wypełniony druk meldunkowy, zostawiłam mu kopię i dopilnowałam, żeby jego bagaż znalazł się na górze. Zarezerwował pokój dwuosobowy, chociaż mieliśmy wolne jedyne. - Odchrząknęła, bardziej

zdenerwowana niż myślała. - Wiem o tym od Nicholasa - naszego drugiego recepcjonisty - bo to on przyjął rezerwację przez telefon.

- Sądzi pani, że pan Jacob zamierzał się z kimś spotkać? Na przykład z kobietą? W domu w Norwich zostawił żonę i rodzinę. Nie wpisał się jednak jako pan Smith, prawda? - Przyjazny uśmiech policjanta miał ją rozluźnić.

- Pan Jacob nie wyglądał na cudzołożnika, jeśli to ma pan na myśli - odparła. - Na ogół łatwo ich rozpoznać.

- Naprawdę? - May uniósł ze zdziwieniem brwi. - Niby jak?

- Zwykle to drobiazgi. Ubrani są zbyt sztywnie. Wie pan, wystrojeni na randkę. - Zamyśliła się na chwilę, wspominając gości. - Często czują się niepewnie w takim ekskluzywnym hotelu. Dają za wysokie napiwki. Pan Jacob był inny. Można by rzec: dżentelmen starej daty.

- Dlaczego pani tak uważa?

Sam poprawiła się na krześle, usiłując przypomnieć sobie mężczyznę, który szedł w jej kierunku przez hotelowy hol w ostatni piątek.

- Miał klubowy krawat z małym węzłem. Bardzo starannie zawiązany. Wykrochmaloną koszulę. Był gładko ogolony. - Wzruszyła ramionami, mając nadzieję, że to nie zabrzmiało głupio. - Przyjechał późnym popołudniem, a nie miał śladu zarostu. Krótkie włosy, błyszczące od brylantyny. Drogie buty, wypucowane na glanc. Pomyślałam sobie, że to były wojskowe. Miał taki wygląd.

- Jest pani niezwykle spostrzegawcza, panno Gates. - May uśmiechnął się po raz wtóry i popatrzył do swoich notatek. Sam dużo by dała, by dowiedzieć się, co tam jest napisane.

- Przejdźmy do poniedziałku. Wspominała pani, że pan Jacob siedział w holu jakieś pół godziny. Czy ktoś podchodził do niego w tym czasie?

- Nikt. Łało jak z cebra i w ogóle mieliśmy niewielki ruch.

- Czy zanim zasnął z gazetą na twarzy, stało się coś niezwykłego?

- Chyba nie.

- Wydaje się pani inteligentną młodą kobietą, więc mogę wyznać pani coś w sekrecie. - May skinął palcem, by się do niego przybliżyła.

- Mamy podstawy, by sądzić, że państwa gość nie umarł z przyczyn naturalnych.

Sam była zaskoczona. W ogóle nie brała pod uwagę morderstwa. Wydawało jej się odległe i nierealne.

- Myślałam, że ma atak serca - wyjąkała. - Nie wiedziałam, co robić.

- Proszę spróbować przypomnieć sobie wydarzenia tamtego wieczoru w świetle tego, co pani przed chwilą usłyszała. Może przypomni pani sobie coś jeszcze. Pan Jacob zszedł do holu, usiadł w fotelu i zmarł pół godziny później. Musiało się coś zdarzyć. Proszę się nad tym zastanowić.

Sam myślała dłuższą chwilę, zadowolona, że policjant wyłączył magnetofon.

- Coś dziwnego stało się ze światłem... - wyjąkała w końcu. - W pewnej chwili zamigotało. To chyba z powodu burzy. W każdym razie nie miało to związku z panem Jacobem.

- Coś jeszcze?

- Chwileczkę, wydaje mi się, że poszedł do łazienki. Nie było go przez kilka minut. - Nie wspomniała o tym, składając poprzedniego dnia zeznanie. - Nie przypuszczałam, że to może być ważne.

- To dla mnie w pełni zrozumiałe - zapewnił ją May. - To zbyt banalne wydarzenie, żeby o nim wspominać w zeznaniu. - Włączył ponownie magnetofon. - Czy po wyjściu z toalety pan Jacob nie zachowywał się dziwnie? Proszę sobie przypomnieć, jak siada w fotelu...

- Na twarzy miał grymas niezadowolenia - stwierdziła Sam ku swemu zaskoczeniu. Usiłowała przywołać na pamięć tę scenę w holu.

- Wiercił się. Pamiętam, że spoglądałam na niego kilka razy znad książki meldunkowej, a on cały czas drapał się w kark.

- Bardzo dziękuję, że zechciała pani poświęcić mi trochę czasu, panno Gates - powiedział May, zamykając notatnik i raz jeszcze się uśmiechając, po czym podniósł się z krzesła.

Szybkość, z jaką wyszedł, zaniepokoiła ją. Tak groteskowe odejście z tego świata rozbudziło jej ciekawość. Chciała wiedzieć więcej o tej śmierci i o dalszych poczynaniach policjantów. Dla nich był to jeszcze jeden niewyjaśniony zgon. Dla niej - przepustka do świata, którego nie rozumiała.

5 ROTANG

Czwartek rozpoczął się od nienaturalnego powiewu ciepła, pary wznoszącej się znad wilgotnych ulic wschodniego Londynu i przybierającej formę porannej mgły. Arthur Bryant zapłacił taksówkarzowi, po czym wyjął z kieszeni notes, by w nim odszukać hackneyowski adres Peregrine'a Summerfielda. Właśnie myślał o tym, że dobrze by było ułożyć listę znajomych w porządku alfabetycznym, kiedy usłyszał znajomy tubalny głos.

- Na górze, Bryant!

Zadarł głowę i ujrzał potężną postać Summerfielda balansującego na szczycie wysuwanej drabiny opartej o ścianę walącego się szeregowca. Jego przyjaciel nadzorował prace nad ogromnym malowidłem ściennym. Jak na razie ukończona została zaledwie jedna trzecia, ale można już było domyślić się wyglądu całości. Pół tuzina dzieci w wieku szkolnym, uzbrojonych w pędzle i pojemniki na farbę, pracowało nad niższą częścią obrazu. Summerfield zszedł z głuchym odgłosem z drabiny, w wyniku czego zatrzęsło się całe rusztowanie. Pochwycił w obie ręce dłoń Bryanta i potrząsnął nią, bryzgając przy tym na wszystkie strony farbą w kolorze indygo.

- Cóż za miła niespodzianka. - Odwrócił się do dzieci. - Na dzisiaj koniec. Idźcie do szopy umyć pędzle. Jak na jeden dzień dokonaliście wystarczająco dużo zniszczeń. - Na te słowa rozległ się grupowy jęk zawodu. Kombinezon Summerfielda był umazany we wszystkie kolory tęczy. - Musisz mi wybaczyć - powiedział, wskazując na swój strój. - I nie śmieć się z tych bohomazów. To projekt środowiskowy. Nie wybierałem tematu.

Malowidło na ścianie przedstawiało wysoki na trzydzieści stóp grzyb atomowy, wokół którego maszerowali protestujący z transparentami i zaciśniętymi pięściami.

- Podobny niedowład wyobraźni wpędza mnie zwykle w depresję, ale miejscowe władze uznały, że ten landszafcik doda otuchy społeczności lokalnej. - Summerfield zanurzył palce w swojej bujnej, pobrudzonej farbą brodzie i podrapał się w podbródek. - Proponowałem jakąś ładną abstrakcję, barwy kojarzące się z jeziorami i drzewami, naturalne kształty, coś, co choć trochę

rozweseli mieszkańców miasta. Nazwali mnie reakcjonistą.

- Dlaczego na transparentach nie ma żadnych napisów? - zapytał Bryant, gapiąc się na malowidło.

- Specjalnie, żeby mieszkańcy mogli na nich wypisywać swoje pretensje do rządu Heatha. Sztuka interaktywna. Jakiś bystrzacha z wydziału planowania wpadł na ten pomysł. Mieliśmy tu już kilka haseł.

- Naprawdę?

- Tak. „Brian posuwa psy”, „Tracy to zdzira” - tego rodzaju rzeczy.

- Hm. Chyba wolę jednak tę twoją abstrakcję - wyznał Bryant. - Czy możemy gdzieś w spokoju porozmawiać?

- Jasne. - Summerfield przyjrzał się farbom na rękach. - Daj mi pięć minut. Muszę się doprowadzić do porządku. - Rzucił przyjacielowi pęk kluczy. - Mieszkam pod numerem 54. To ten budynek z kutą bramą. Zrób sobie herbatę.

Dom był ciasny, zagracony i, o dziwo, całkowicie pozbawiony obrazów. Ogromne sterty książek leżały w każdym kącie. Wiedza Summerfielda na temat malarstwa wiktoriańskiego czyniła go jednym z największych autorytetów w tej dziedzinie w kraju i często proszono go o pomoc w organizowaniu wielkich wystaw; wyrzekł się jednak stałej posady, woląc zamiast tego uczyć dzieci w szkole podstawowej. Arthur zawsze cenił jego bezpośredniość i bezpretensjonalność. Właśnie znalazł wysłużony czajnik pod stertą starych gazet, kiedy jego przyjaciel wrócił.

- Nie mam dzisiaj za dużo czasu, Arthurze - usprawiedliwił się. - O osiemnastej muszę iść na lekcję rysunku. Facet, który zwykle jest Chrystusem, zachorował, więc będę go zastępował. Moja broda, jak widzisz, doskonale się nadaje. Nie mam nic przeciwko temu, ale jest to trochę męczące dla ramion. - Rozłożył ręce, jak w scenie ukrzyżowania, po czym zaczął rozglądać się za ścierką do naczyń. - Przepraszam za ten bałagan. Nie mogę się pozbierać po odejściu Lilian.

- Nie miałem pojęcia, że nie jesteście już razem - powiedział Bryant, szukając czystych filiżanek. - Przykro mi.

- Niepotrzebnie. Zawsze nadawaliśmy na różnych falach. Miała dosyć tego, że mieszam farby w jej miseczkach Tupperware. Domyślam się, że twoja

wizyta ma związek ze zniszczeniem obrazu Waterhouse'a?

- Zgadza się. Pomagałeś w zorganizowaniu tej ekspozycji, prawda?

- W rzeczy samej, i wierz mi, to była czysta przyjemność, już choćby dlatego, że mogłem zagrać na nosie tym wszystkim sceptykom.

- Jak to? - wybąkał Bryant. Summerfield nalał herbatę do kubków, po czym wyszli z kuchni.

- Biedni starzy prerafaelici nigdy nie cieszyli się uznaniem krytyków. Ich zdaniem byli zbyt średniowieczni, zbyt gotyccy, zbyt sentymentalni, zbyt moralizatorscy. Żaden styl nie był tak obsmarowywany. Większość obrazów prerafaelickich ma charakter narracyjny, a to strasznie niemodne. Są przesycone symboliką i dekoracyjne, a to również grzech. Kto w obecnych czasach potrzebuje obrazów, które ładnie wyglądają? Żyjemy w świecie strajków i zamachów bombowych. Minie dużo czasu, zanim ludzie wrócą do tych dzieł i odkryją na nowo ich piękno. Rzuć na to okiem. - Wybrał kilka albumów stojących na półce i z lubością zaczął je otwierać.

- Artyści, tacy jak Rossetti, Holman Hunt i Millais, przywrócili poezję i wartości duchowe piętnastowiecznej sztuki włoskiej. Tchnęli romantyzm i barwę w szary zastały świat. Początkowo wszyscy się z nich śmiali, ale wkrótce zyskali popularność. Pomogły też, oczywiście, nagie cycki. W czasach wiktoriańskich sutki były dopuszczalne tylko w scenach mitologicznych. Wiele nieciekawych ścian zostało rozjaśnionych miłym kociakiem w starym stylu. - Zastukał brudnym paluchem w kolorową reprodukcję obrazu zatytułowanego *Hylas and the Nymphs*. - Spójrz na te gorące mieszkanki jeziora. Popularne były również pejzaże, pięknie oddawane z detalami przez takich artystów jak Brett czy Inchbold. A także malarstwo sakralne, jak na przykład ohydne *The Light of the World* Hunta, które wisi obecnie w St. Paul's. Sztuka popularna to w dzisiejszych czasach brzydkie słowo. Możesz co najwyżej zaśpiewać o prerafaelitach piosenkę. Krytycy lubią dzieła, które rozumieją jedynie członkowie ich małej koterii.

- Opowiedz mi o tej wystawie.

- Była piekielnie trudna do zorganizowania, bo niska wartość obrazów sprawiła, że wchodziły one głównie w skład kolekcji prywatnych. Manchester Art Gallery ma większość tych przyzwoitych prac. Reszta jest rozproszona.

Do tej pory nie wiemy, gdzie znajdują się niektóre obrazy Waterhouse'a. Ktoś powinien zacząć prowadzić rejestr dzieł sztuki. To szkic tego zniszczonego obrazu. Gotowy obraz ma o wiele więcej detali. Summerfield podniósł album do światła. Reprodukacja przedstawiała młodego człowieka siedzącego na tronie i karmiącego gołębie, podczas gdy jego doradcy czekali na audiencję.

- *The Favourites of the Emperor Honorius*, wczesna praca, datowana na 1883 rok. Jego pierwszy poważny historyczny obraz. Przedstawia cesarza Flawiusa Honoriusa, jednego z zapomnianych władców Rzymu. Był ostatnim gnojkiem pod każdym względem: leniwym, chciwym; widzisz go tutaj, jak jest zbyt zajęty karmieniem swoich ptaszków, żeby zwrócić uwagę na doradców. Nawet na tej marnej reprodukcji można dostrzec cały geniusz artysty. Chwila oczekiwania utrwalona na wieki. Tytuł jest ironiczny, słowo „favourites”- „ulubieńcy” - odnosi się do ptaków, nie do mężczyzn czekających na audiencję.

- Jak ten obraz trafił do Australii?

- Pod koniec dziewiętnastego wieku wielkie australijskie galerie rozbudowywały swoje zbiory. Kupiły sporo dzieł prerafaelitów. Są dwa szkice olejne tego obrazu, oba znajdują się w kolekcjach prywatnych. Jeden z nich przez lata nosił błędny tytuł *The Emperor and Tortoise*.

- Czy twoim zdaniem jest jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć zniszczyć to płótno?

Summerfield potarł pomazaną farbą brodę.

- Z pewnością nikt nie może się czuć obrażony jego tematyką. To naprawdę niewinna praca. Może twój wandal chciał wywołać skandal dyplomatyczny? Dzieła sztuki pochodzące z krajów Wspólnoty Narodów to w tej chwili nader delikatna kwestia.

- Rozumiem. Czy wypożyczyliśmy jeszcze jakieś obrazy?

- Tak, dwa inne Waterhouse'a. *Circe Invidiosa* z Adelajdy i *Diogenesa* z Sydney. - Znalazł ich reprodukcje w albumie. - Myślisz, że też znajdują się w niebezpieczeństwie?

- Na wszelki wypadek usuniemy je z wystawy. Chciałbym, żebyś jeszcze nad tym pomyślał.

- Jest coś jeszcze... - Summerfield przeniósł wzrok z jednej reprodukcji na drugą. - Coś dziwnego, czego do końca nie mogę sobie przypomnieć...

- Coś związanego z obrazami?
- Niezupełnie. Bardziej z samym aktem wandalizmu, jest dziwnie znajomy.
Muszę jeszcze o tym pomyśleć.

- Jeśli przyjdzie ci coś do głowy - powiedział Bryant - zadzwoń.

Przenikliwy dźwięk wystraszył ich obu.

- To ten głupi nowy pager, który May kazał mi nosić - wyjaśnił policjant, przeszukując kieszenie swego płaszcza. - Czy mogę zadzwonić?

- Arthurze, wiem, że jesteś zajęty, ale potrzebuję twojej pomocy - odezwał się May. - A poza tym mam nowy ślad w sprawie twojego wandal.

- Oczywiście to nie tyle sam wąż mnie zaskoczył, ile raczej ukąszenie - powiedział May, kiedy szli garbatym mostkiem w Camden Town. Cienka warstwa mgły unosiła się nad kanałem - w latach siedemdziesiątych w Londynie było chłodniej niż obecnie. Bryant ukrył nos pod szalem. Gdyby wiedział, co globalne ocieplenie zrobi z pogodą kilkadziesiąt lat później, pewnie rozkoszowałby się teraz wilgocią mgły.

- Jeśli zostajesz ukąszony przez węża, biegniesz z krzykiem, ostrzegając ludzi - kontynuował May. - Z pewnością nie siadasz jak gdyby nigdy nic w fotelu i nie oddajesz się lekturze prasy.

- Wspominałeś, że prawdopodobnie gdzieś upadł?

- Do tyłu. Tak twierdzi Finch.

- To może być odpowiedź na twoje pytanie. - Wodniste oczy Bryanta wyglądały nad szalem jak dwa niewystarczająco ścięte jajka. - Może został uspio-ny chloroformem? Kiedy upadł nieprzytomny na podłogę, zabójca sprowokował węża, żeby go ukąsił w szyję.

- Nie bądź śmieszny. Jedynym możliwym wytłumaczeniem użycia tak dziwnej broni byłoby wystraszenie nią ofiary. Dlaczego morderca miałby sobie tym zwracać głowę, skoro ofiara nawet go nie widziała?

- Nie mam pojęcia. Zresztą, to nie moja sprawa. Powiedz mi lepiej, co masz nowego na temat mojego wandal?

- Zdaje się, że w czasie ucieczki coś zniszczył - powiedział May, delektując się niecierpliwym oczekiwaniem przyjaciela. - Znaleźliśmy to na schodach galerii. - Wyjął przezroczystą plastikową torebkę i wytrząsnął z niej na rękę kawałek drewna długi na jakieś dwa cale. Zielone plamki na pomalowanej

powierzchni dawały opalizujący połysk. - To kawałek jego laski. Lakier jest nowy. - May podał go koledze, wiedząc, że ten upora się z wyjaśnieniem jego pochodzenia szybciej niż policyjny dział badania dowodów. - Stokes przypomniał sobie, że twój wandal pod pachą miał laskę robioną na zamówienie. Zanim przyniosłem to do rzemieślnika w Burlington Arcade. Zgodził się, że to kawałek ręcznie robionej laski z rotangu. Zna tylko jedną firmę, która wciąż zajmuje się takimi rzeczami.

- James Smith & Sons - powiedział Bryant, który kilka lat temu dostał na gwiazdkę podobną laskę.

- Właśnie - przyznał mu rację May. - Masz ochotę na małą przechadzkę?

Sklep na rogu Gower Street i New Oxford Street sprzedawał laski i parasole niemal od zawsze. Odporny na zmieniające się mody, przetrwał z anachronicznym wystrojem i obsługą w dawnym stylu, stanowiąc uroczą osobliwość rodem z dawnych czasów.

Policjanci przeszli obok świeżo wypolerowanej tabliczki z nazwą firmy i znaleźli się w pomieszczeniu pełnym lśniącego drewna. Laski, stołki myśliwskie i parasole wszelkich rozmiarów i typów wisały na wieszakach niczym zapomniane narzędzia tortur. Miły ekspedient potrzebował ledwie jednego rzutu okiem na kawałek drewna, by określić, z której laski pochodził.

- Powinniśmy mieć w księgach jakiś ślad po tym zleceniu - powiedział, odwracając ów kawałek na dłoni. - Tak bogato mazerowane laski są drogie i wytwarzane jedynie na specjalne zamówienie. Klient zwykle wymaga grawerowanej srebrnej końcówki. - Wziął kawałek w dwa palce i ostrożnie go powąchał. - Z pewnością ma mniej niż rok. Proszę chwilę poczekać.

Zawołał pomocnika i obaj udali się na zaplecze. Kilka minut później wrócił z kartką papieru.

- Zrobiliśmy tylko dwie takie laski w ubiegłym roku, jedną dla klienta z Japonii...

- To nie jest osoba, której szukamy - zapewnił go May.

- ...a drugą dla pewnego starszego dżentelmena.

- Jakiego grawerunku sobie zażyczył?

- Chciał, żeby mu wygrawerować małe symbol, płonący znicz. Był bardzo precyzyjny, jeśli chodzi o wzór, nawet go nam narysował. Obsługiwałem go osobiście.

- Czy ma pan jego adres?

Mężczyzna popatrzył na kartkę.

- NW3. Wygląda na to, że to gdzieś w Hampstead.

- Pewnie nie pamięta pan, czy w tym kliencie było coś szczególnego? - zapytał Bryant.

- Oczywiście, że tak! - odparł ekspedient. - Jego ubiór. Pamiętam, że nawet powiedziałem kasjerowi, że jego strój wygląda, jakby pochodził z poprzedniego stulecia. I wie pan co? Wtedy można było kupić u nas dokładnie takie same laski jak teraz.

6 MATKA I CÓRKA

Nietypowa łagodność dnia przyniosła znad Tamizy mgłę, która gęstniała wraz z mijającymi godzinami. Do szóstej trzydzieści w czwartkowe popołudnie spowijała już większą część promenady South Bank, zapewniając tym nielicznym turystom, których nie wystraszyła pogoda, iście Turnerowski widok miasta.

Po sesji z doktorem Waylandem, swoim terapeutą, Sam pojechała taksówką na Waterloo Bridge. Zeszła po kamiennych schodkach, kierując się do udekorowanego kolorowymi lampkami baru w National Film Theatre.

W ostatniej chwili matka zadzwoniła do niej, by oznajmić, że zmieniła plany. Tłumaczyła, że o ósmej ma ważne spotkanie towarzystwa dobroczynnego, w związku z czym będzie jej mogła poświęcić zaledwie godzinę.

Sam miała nadzieję, że przynajmniej będzie to godzina wolna od zwyczajowych bezcelowych kłótni. Niechęc Gwen do miejsca ich spotkania widać było po jej minie. Pojawiwszy się w niepasującym do tego lokalu kostiumie od Diora i złotej biżuterii (wygląd, który trzydzieści lat później nazwałoby się pewnie „wypasionym”), siedziała przy oknie wśród długowłosych studentów i kinomanów. Chociaż udawała, że skupia uwagę na zasnutej mgłę rzece, nie przepuściła żadnej okazji, by zmanifestować obrzydzenie do otoczenia.

Kiedy Sam pojawiła się w drzwiach, Gwen dała znać, gdzie siedzi, gniewnie zaciśniętą pięścią, ostentacyjnie odganiając dym z czyjegoś papierosa.

Ponieważ sama była palaczką, ten gest jedynie rozbawił córkę. Sam podeszła do stolika i musnęła ustami policzek matki.

- Wszystkie te znaczki, które masz przypięte do kożucha, niszczą go, Samantha - przywitała ją Gwen, ostrożnie odsuwając pustą filiżankę od jakiegoś wymyślnego śladu na blacie. - Dziwię się, że wyznaczyłaś nam spotkanie w takim okropnym miejscu. Z pewnością kilka płóciennych obrusów nie stoi w sprzeczności z ideami socjalizmu. Jeśli chcesz kawy, sama musisz ją sobie przynieść.

Sam podeszła do baru i wróciła do stolika z filiżanką.

- Przykro mi, że nie miałaś czasu, żeby ze mną zjeść obiad - powiedziała. - Chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

Gwen uniosła ze zdziwieniem brwi. Rzadko ze sobą poważnie rozmawiały.

- Jeśli chodzi o pracę, to wiesz, co o tym myślę - stwierdziła. Decyzja Sam o samodzielnym znalezieniu pracy była źródłem konfliktu między nią a rodzicami. Liczyli na to, że dołączy do ojca w jednej z jego firm. Mówili o emancypacji i o kobietach, które mają dobre posady w City. Kiedy oznajmiła im, że rezygnuje ze studiów, nie potrafili ukryć swego niezadowolenia. Aby jakoś przetrwać, dopóki nie podejmie ostatecznej decyzji w sprawie swojej przyszłości, dziewczyna znalazła pracę, którą jej matka określała jako „usługiwanie innym”.

- Lubię tę pracę, mam. To Savoy, na miłość boską, nie jakaś noclegownia. Co wcale nie oznacza, że wiąże z tym miejscem nadzieje na przyszłość.

Gwen przyjrzała się podejrzliwie zawartości swojej filiżanki, po czym westchnęła.

- Przynajmniej obracasz się wśród ludzi z wyższych sfer.

- Ja ich obsługuję. A to co innego. Zresztą to nie o tym chciałam porozmawiać.

- W takim razie o czym? - Gwen postawiła filiżankę na stoliku i zaczęła szukać w torebce papierosów.

- Chcę się wyprowadzić.

- Nie bądź śmieszna, moje dziecko, nie masz jeszcze nawet osiemnastu lat.

- Wyjęła z paczki sobranie ze złotym ustnikiem.

- Zaproponowano mi wspólne mieszkanie w Maida Vale. Będzie mnie stać na czynsz, ale trzeba wpłacić kaucję...

Gwen nadstawiła ucha.

- Wspólne? Masz na myśli mieszkanie z chłopakiem? Masz kogoś?

- Nie, nic z tych rzeczy. Kolega z pracy wynajmuje po prostu to mieszkanie z dwoma chłopakami i jeden z nich ma się wyprowadzić.

- Wiesz doskonale, że nigdy ci na to nie pozwolimy. - Matka wydmuchała obłok sinego dymu w stronę okna. - Musisz zrozumieć, że chodzi nam o twoje dobro. Nie ma najmniejszej potrzeby, żebyś tłoczyła się w jakiejś okropnej klitce, kiedy masz do dyspozycji cały dom. Nie chodzi o to, że chcemy ograniczać ci swobodę albo trzymać z dala od przyjaciół...

Sam powinna wiedzieć, że ta rozmowa przybierze taki obrót. Wyglądało na to, że nie ma sposobu, by tego uniknąć.

- Chcę na jakiś czas stać się w pełni niezależna, z pewnością mogłabyś to docenić.

- Ale dlaczego? Dlaczego młodzi ludzie muszą odrzucać pomoc rodziców? Inne dziewczynki byłyby wdzięczne za pomocną dłoń.

- Nie jestem już małą dziewczynką, mamo. - Nie chciała objąć cieplej posadki w rodzinnym interesie. Niedawno zaczęła myśleć o pójściu do college'u sztuki. Popełniła błąd, dzieląc się z Gwen swoimi planami. - Widzisz, chodzi mi tylko o małą pożyczkę na początek. Potem nie będę was już naciągać. To nie jest duża suma.

- Nie o to chodzi, Sam. Najpierw za naszymi plecami znalazłaś sobie pracę, teraz chcesz się wyprowadzić. Wiesz, że twój terapeuta uważa, że nie umiesz podporządkować się autorytetom i masz trudności w kontaktach z innymi ludźmi. Poza tym sztuka to nie jest praca dla kobiety, to co najwyżej hobby. Miałabym wielki kłopot z przypomnieniem sobie choćby jednego nazwiska artystki, która odniosła sukces.

- To mówi więcej o systemie niż o samych artystkach, a poza tym...

- Więc teraz jesteś przeciwko systemowi! - Gwen potrząsnęła ze smutkiem głową. - Wiem, że młodzi ludzie mają potrzebę buntu, ale wierz mi, to po kilku latach mija. Potępiam tych wszystkich studentów protestujących przeciwko wojnie w Wietnamie. Amerykanie starają się powstrzymać zalew komunizmu, a nie doczekali się za to nawet zwykłego „dziękuję”. Zobaczysz, że prędzej czy później zapragniesz rzeczy, których my pragnęliśmy, będąc w twoim wieku...

- Nie jestem taka jak ty i Jack. Cenię inne wartości. Nie widzisz, jak wiele się zmieniło? Zresztą, ja nawet jeszcze dobrze nie wiem, czego chcę. Na razie jestem na etapie uświadamiania sobie, czego nie chcę.

- Założę się, że masz nas za snobów - odparła matka, wyraźnie dotknięta. - Cóż, tym razem nie ustąpię. Nie pozwolę ci na opuszczenie domu. Nie chciałam tego mówić, ale... - Sam jęknęła, wiedząc, co zaraz nastąpi - ...po tym, jak zachorowałaś, twój ojciec i ja zrozumieliśmy, że musimy cię jakoś zabezpieczyć. Dlatego ustanowiliśmy fundusz powierniczy. Chcieliśmy ci ułatwić życiowy start. Fundusz będzie do twojej dyspozycji, kiedy ukończysz dwadzieścia jeden lat. Do tego czasu mamy pełne prawo wpływać na twoje decyzje dotyczące przyszłości. - Przykryła ręce córki swoimi, stukając różowymi paznokciami o blat stolika. - Wiesz dobrze, że cię kochamy. Skarbie, to dla twojego dobra. Pewnego dnia zrozumiesz, że miałam rację. Kiedy osiągniesz odpowiedni wiek, zadecydujesz o swoim losie. Do tego czasu możesz dalej pracować tam, gdzie pracujesz, jeśli tego właśnie chcesz. Ale pomyśl też o ofercie ojca. W końcu spotkasz miłego chłopca. Zapragniesz się ustatkować i zaczniesz myśleć o dzieciach. To naturalne. Mamy nadzieję, że do tego czasu będziesz gotowa do objęcia obowiązków w firmie, nic wielkiego, tylko kilka dni w tygodniu. Masz szczęście, że w dzisiejszych czasach tak poważnie traktuje się pracujące kobiety. Bycie matką wcale nie przekreśli twojej kariery.

- Tak jak nie przekreśliło twojej.

W tej chwili nic nie wydawało jej się mniej pociągające niż pójście w ślady matki. Wiedziała, że Gwen tego nie zrozumie.

- Co tam słychać w Savoyu? - zapytała matka, by przerwać kłopotliwe milczenie.

- W poniedziałek jeden z gości umarł w hotelowym holu. Policja uważa, że to było morderstwo. W gazetach sugeruje się, że był szpiegiem.

- Dlaczego o tym nie słyszałam? Czy gdziekolwiek jeszcze jest bezpiecznie? Widziałaś tych bezdomnych śpiących na Strandzie? To straszne. - Gwen popatrzyła na zegarek i wstała od stolika. - Muszę już iść. Zostań i dopij kawę. I zastanów się nad tym, co ci powiedziałam. Możesz jeszcze porozmawiać z ojcem, ale nie sądzę, żeby był innego zdania niż ja. Zobacz, co się dzieje na dworze. Ostatni raz taka mgła była w latach pięćdziesiątych.

Sam widziała przez zaparowaną szybę, jak matka zatrzymała się, by włożyć rękawiczki, po czym ruszyła szybko, znikając we mgle. Zawsze była taka, zawsze sugerowała pójście po linii najmniejszego oporu. Czy Samantha zdaje sobie sprawę, jak wielkie szczęście miała, przychodząc na świat w rodzinie z odpowiednią pozycją społeczną i cieszącą się powszechnym szacunkiem? Czy rozumie, jak szczerzy dla niej byli zawsze rodzice? I jak ona była niewdzięczna?

Chłód, który narastał między nimi, wynikał z koszmarnego czternastego roku jej życia - nieznośnego ciągu konfliktów i pobytu w drogich klinikach. Po tem nastąpiło częściowe pojednanie, ale wraz z nim przyszło po obu stronach barykady uświadomienie sobie, że im Sam będzie starsza, tym mniej będzie podobna do swych rodziców.

Coraz bardziej drażniło ją ostentacyjne obnoszenie się z bogactwem przez matkę i czuła się niegodna tego wszystkiego, co jej ofiarowano. To było zupełnie tak, jakby mieli wspólny sekret: że jest zwykłym podrzutkiem, którego obecność toleruje się jedynie ze względu na korzyści płynące dla obu stron.

Kiedyś Sam nie mogła zrozumieć, jakie korzyści mogła mieć z tego Gwen, która okazywała córce ledwie cień zainteresowania przez pierwsze czternaście lat jej życia. Pamiętała bezcelowe, nudne dzieciństwo spędzone w starym domu w Chelsea, gdzie wyciągnięta na granatowym dywanie w salonie czytała całymi godzinami, pilnowana przez nierozgarniętą opiekunkę, czekając na powrót rodziców. Pamiętała myszkowanie na wyższych piętrach, po których skradała się ze strachem, że w każdej chwili rodzice mogą odkryć, że jest niepożądanym gościem, i wyrzucić ją na ulicę. Ale oczywiście były też czasy, kiedy ją rozpieszczali, szczególnie Gwen. I w końcu zrozumiała. Była ostatnim kawałkiem układanki, dopełniającym wizerunek matki. Miała jej pomóc stworzyć lepszy, kochający obraz świata. Przyjaciółki Gwen miały podziwiać, że tak dobrze układa jej się z córką. Miały szeptać do siebie: jakąż ona jest idealną, kochającą matką. Jak jej się udaje pogodzić to z działalnością w towarzystwach dobroczynnych?

- Rany, ty tutaj?

Odwrociła się i spojrzała do góry.

- Pamiętasz mnie? - zapytał Joseph Herrick, uśmiechając się zawadiacko. - To znaczy, jak mogłabyś zapomnieć?

Sam była zbyt zaskoczona, by odpowiedzieć. Cieszyła się, że Gwen już wyszła.

- Jesteś recepcjonistką w Savoyu, zgadza się? Skoro zatrzymałem się u ciebie, że tak powiem, chciałem skorzystać z okazji i podziękować ci za gościnność. Dużo gości odwala kitę w waszym holu? Czy jest w tym jakaś prawidłowość, o której powinienem wiedzieć? - Usiadł na krześle naprzeciwko i bez pytania postawił na stole swoją filiżankę. Miał na sobie skórzany strój motocyklisty bardziej pasujący do zlotu fanów *science fiction* niż do baru w National Film Theatre. Jego ogromne afro wciąż było dla niej atrakcją. Dziwnie wyglądało, ale pasowało do niego. Ona ubrała się tradycyjnie, spodziewając się obiadu z matką.

- Właściwie to pierwszy trup w tym tygodniu.

- Przepraszam. Słyszałem, że to ty go znalazłaś.

Uśmiechnęła się zakłopotana, nie chcąc o tym mówić. Doświadczenie śmierci nie było tym, czym można się dzielić.

- Jak ci się u nas podoba?

- Cóż, wolałbym coś bliżej ulicy, ale może być. W głowie mi się nie mieści, ile u was kosztuje zwykła kawa. Cieszę się, że to nie ja zapłacę swój rachunek.

- Więc jesteś tu w interesach. - Patrzyła, jak Joseph wsypuje cztery torebki cukru do kawy. Był nieco starszy, niż początkowo myślała, musiał mieć jakieś dwadzieścia pięć lat.

- Będę pracował przy przedstawieniu, jako scenograf. To moje pierwsze tak duże zlecenie. Umieścili mnie w Savoyu na czas rozmów ze sponsorami. Na jutro jestem umówiony z kasiastymi Japończykami. Tasaka Corporation. Ich szef nazywa się Kanero Miyagawa. W Japonii uchodzi za wielkiego mecenasa sztuki, a teraz przyleciał do Londynu. To dlatego dzisiaj tu jestem. - Wyjął z kieszeni kurtki program National Theatre. - Idę na przedstawienie do Cottesloe. Podobno chałowe, ale dobra scenografia. Wielkie marzenia z ograniczonym budżetem. A ty co tu porabiasz?

Sam odgarnęła grzywkę lecącą jej do oczu. Terapia nauczyła ją jednego: łągania jak z nut.

- Byłam na kawie z dawną koleżanką ze szkoły.

- Słuchaj, może pójdziesz tam ze mną? Dali mi masę wejściówek.

Roześmiała się nerwowo.

- Nie mogę.

- Dlaczego? Jeśli przedstawienie będzie naprawdę do kitu, wyjdziemy. Jestem sam i bez przyjaciół w obcym kraju, wiele tysięcy mil od domu...

- Skąd jesteś?

- Z Edynburga.

Sam wybuchnęła śmiechem.

- Dużo podróżowałem, jestem kosmopolitą, byłem w Europie. Dziesięć krajów w osiem dni, wycieczka zorganizowana. Nie polecam. A teraz wybieram się do teatru. Idziesz ze mną?

Próbowała wymyślić, w jaki sposób go spławić, ale nagle uświadomiła sobie, że nie ma absolutnie żadnego powodu, dla którego miałyby to zrobić. Powinna spróbować wyprzeć wspomnienie Nicholasa.

- Jak masz na imię? Jeśli mi nie powiesz, sam zgadnę, a to zawstydzi nas oboje. - Wpatrywał się w jej twarz z tak poważną miną, że skapitulowała.

- Sam - powiedziała, podając mu rękę.

- Sam, miło cię poznać. Czy to skrót od Samantha?

- Cholera - zakłęła. - A już się tak dobrze zapowiadało.

- A jeśli już nigdy nie wypowiem przy tobie tego imienia? - zapytał.

- No, chyba że nigdy nie wypowiesz - zgodziła się.

A potem poszli do teatru.

7 EKSPLOZJA

- Stopa mi zdrętwiała - narzekał Bryant, głośno tupiąc. Przez ostatnią godzinę stali w spowitym mgłą ogrodzie przy domu podejrzanego. - Już prawie jedenasta w nocy. Lepiej, żeby się pospieszył. Z przykrością muszę wyznać, że nie stanowisz zbyt ciekawego towarzystwa.

- Wcale nie muszę tu tkwić - odgryzł się May. - To nie moja sprawa.

- Tak, wygląda na to, że obserwacja domu podejrzanego jest poniżej twojej godności. Ja tam lubię trzymać rękę na pulsie. Popatrz na tę mgłę. Wilgoć osiada w kościach. To niezbyt dobrze wpływa na moje płuca. Muszę chyba iść do sauny. - Bryant opuścił szal i spojrzął ponad mokrym żywopłotem. Rosa osiadła na jego łysinie i uszach, nadając mu wygląd postaci wyjętej z książek Tolkiena.

- Dziadziejesz - stwierdził May. - Trudno mi sobie wyobrazić ciebie w wieku lat osiemdziesięciu.

- Moim zdaniem ja po prostu starzeję się z wdziękiem, co oznacza, że nie staram się za wszelką cenę wyglądać jak członek zespołu Lot Cepelii.

- Chodziło ci chyba o Led Zeppelin. Czy ty też słyszysz kroki?

Z mgły wynurzyła się jakaś postać. Bryant poczuł dreszczyk emocji, kiedy dostrzegł bokobrody, cylinder i laskę. Podbite mosiądzem podeszwy brzęczały głośno na chodniku. May klepnął przyjaciela w ramię i obaj policjanci podeszli do bramy ogrodu. Człowiek, na którego czekali, zatrzymał się przed nimi, jego oczy wpatrywały się w nich gniewnie spod krzaczastych brwi. Towarzyszył mu jakiś nieodparty powiew przeszłości. Męczyzna sprawiał wrażenie, jakby przeszedł przez dziurę w czasie.

- Pan William Whitstable?

- Nie mogę zaprzeczyć.

May pokazał mu swój identyfikator.

- Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań na temat incydentu, który miał miejsce w National Gallery...

- W rzeczy samej, to moje dzieło, ale to nie oznacza jeszcze, że to pana sprawa. - Whitstable zacisnął dłoń na lasce.

- Zniszczenie obrazu w galerii jest wystarczającym powodem, aby to jednak była nasza sprawa - odparł gniewnie Bryant - a także do zastosowania wobec pana całej surowości prawa.

Zdawało się, że postać lekko się zachwiała. Kiedy męczyzna przemówił znowu, jego głos był nieco łagodniejszy.

- Solidaryzuję się z panem Waterhouse'em. Natura rozrywa pęta sztuki. Jeśli nie udało mi się usunąć objawu choroby, musiałem przynajmniej przypomnieć o jej korzeniach. - Zaczął się powoli cofać, szorując butami po ziemi. May ruszył do przodu, starając się uważać na jego laskę.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytał. - Dlaczego właśnie ten obraz?

- Jak mógłbym zniszczyć inny?! - wykrzyknął Whitstable. - Uczyliem to na znak, że nasze szeregi zostały złamane. Oni myślą, że mogą robić, co chcą, ale Bóg mi świadkiem, nie jestem już im winny posłuszeństwa i nie dam więcej robić z siebie kiepa.

Nagle uniósł laskę i zaatakował, uderzając Bryanta w rękę. May podbiegł do przyjaciela, podczas gdy Whitstable odwrócił się i zniknął we mgle.

- Nic mi nie jest - wysapał Bryant, leżący pod murem ogrodu. - Biegnij za nim, szybko.

May rzucił się w pogoń, ale ciemność i mgła skryły wszystko pod swoim całunem. Przez chwilę widział pod lampą sodową jakąś postać, ale zaraz zniknęła i tylko stukot obcasów rozlegał się w ciemności.

- Wszystko w porządku? - zapytał, gdy wrócił do przyjaciela.

- Oczywiście, że nie - odburknął Bryant, podwijając rękaw płaszcza i szukając siniaków. - Jestem w szoku, z którego wybawić mnie może tylko łyceczek wiśniówki.

- Musimy gonić Whitstable'a. Nie uda mu się zejść za daleko w tym stroju. - May czekał, podczas gdy jego towarzysz wyciągał mokre liście z rękawów płaszcza.

- Albo courvoisera - dodał Bryant. - Mówił coś o tym, że uczynił to na znak, że ich szeregi zostały złamane. I co miały znaczyć te słowa o naturze, która rozrywa pęta sztuki?

- Nie mam pojęcia. To brzmi jak jakiś cytat. To twoja domena.

- Nic mi się nie kojarzy, ale moja pamięć to już nie to, co kiedyś.

- Miejmy nadzieję, że przynajmniej twoje zdolności śledcze pozostały nieknięte. Musimy wziąć się do roboty.

W piątek rano Bryant przyniósł swoje rzeczy do nowej siedziby nad stacją Mornington Crescent. Ponieważ większość jego kolegów pracowała na dwie zmiany, żeby uporać się z robotą do świąt, nie było czasu na pożegnalnego drinka, przyjęcie czy prezenty. Bryant wyszedł z komisariatu z pudłem pod pachą, czując się bardziej jak więzień opuszczający celę niż przechodzący do innego wydziału funkcjonariusz.

- O dziesiątej masz spotkanie z podsekretarzem stanu w ministerstwie sztuki - powiedział May, kiedy jego przyjaciel przekroczył próg siedziby Wydziału Przystępstw Osobliwych. - Musimy usunąć trochę tego dziadostwa, żebyś miał gdzie urzędować. - Przecisnęła się między olbrzymimi maszynami do pisania, które wciąż zajmowały korytarze siedziby.

- Wystarczy mi jakiś kątek do siedzenia - odrzekł Bryant, rozglądając się z ciekawością. - W tej chwili potrzebny mi tylko notatnik i telefon.

- Będziesz miał swoją własną elektryczną maszynę do pisania. - May wskazał maszynę IBM stojącą na jego biurku, wiedząc aż za dobrze, że chociaż Bryant skończył kurs maszynopisania, uparcie odmawiał obsługi jakichkolwiek urządzeń technicznych bardziej skomplikowanych niż wieczne pióro.

- Bo ja wiem, John... Poprzednią maszynę do pisania wysadziłem w powietrze. - Bryant zdjął płaszcz. - Gdybym wiedział, że jest elektryczna, bardziej bym uważał, gdzie stawiam talerz z zupą. Dlaczego tu jest tak zimno?

- Nie mamy jeszcze podłączonego centralnego ogrzewania. Przyniosę ci piecyk.

- Ale nędza. To będzie moje miejsce. - Bryant klepnął oparcie krzesła i usiadł, patrząc prosto przed siebie i kładąc ręce na biurku.

- Zaraz, zaraz, nie przyzwyczajaj się, to mój gabinet - zaprotestował May.

- Mówiłeś, że będzie wspólny. Masz lepszy ode mnie widok na ulicę i będziesz mógł włączać za mnie te wszystkie elektryczne zabawki, ilekroć będę tego potrzebował.

- Ale ty obracasz każdy gabinet w śmietnik. Dopiero co ustawiłem w porządku alfabetycznym swoje podręczniki toksykologii.

- Jestem gotów tolerować twoje nikczemne nawyki. Na przykład, kiedy myślisz głośno, masz zwyczaj czyszczenia paznokci, już ja cię dobrze znam. Poza tym przydałoby się, żebyś miał obok siebie kogoś, kto będzie kontrolował twoje pomysły.

May wiedział, że już po kilku tygodniach będzie miał bardzo namacalne dowody owego „kontrowania”. Bryant zaczął tymczasem rozglądać się za gniazdkiem elektrycznym.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko muzyce?

- Tylko nie Mendelssohn - jęknął May. - Ta płyta musi być już kompletnie zjechana.

- Łatwiej mi się przy niej myśli. Mógłbyś mi znaleźć wtyczkę z trzema bolcami? Czy mamy tu kogoś do pomocy?

Wyraźnie zaaklimatyzował się już w nowym gabinecie. May nie miał innego wyjścia: musiał się z tym pogodzić.

- Starą znajomą - odparł. - Janice Longbright. Jest w pokoju obok.

- Myślałem, że wyszła za mąż?

- Znowu nic z tego. Ian kazał jej wybierać między małżeństwem a pracą. Lepiej nic nie mów.

Bryant poprawił krawat, po czym wetknął głowę do sąsiedniego pokoju.

- Janice? Co ty tu robisz? Myślałem, że zamierzasz zamieszkać w wielkim domu na wsi i mieć gromadkę dzieci.

- Nie, zamierzam mieszkać w jednopokojowej klitce z labradorem i mężczyzną, który nigdy nie wraca do domu przed dziesiątą. Pomyślałam sobie, że jedyną szansą na regularne posiłki jest powrót do pracy. - Sierżant uściskała go ze wszystkich sił, pozostawiając na jego kołnierzyku ślady makijażu. - Pana gość jest już tutaj. Pomyślałam sobie, że pewnie chce pan się nieco oswoić z nowym otoczeniem, więc powiedziałam mu, że ma pan ważne zebranie i będzie do jego dyspozycji dopiero za kilka minut.

Bryant uśmiechnął się z aprobatą. Podobnie jak niegdyś jej matka, Longbri-ght była typem kobiety, który uwielbiał: silna, zdecydowana i niepoddająca się łatwo emocjom. Na dodatek życie osobiste podporządkowała zawodowemu. Jego uwielbienie dla niej rosło z każdym rokiem, chociaż bardzo się starał tego nie ujawniać.

- Masz na myśli pana Faradaya? Poproś go, dobrze? - Złapał za rękaw Maya, który zamierzał wymknąć się z gabinetu. - Chciałbym, żebyś był przy naszej rozmowie.

- To, że mamy wspólny gabinet, nie oznacza, że również śledztwa. Muszę przesłuchać świadka w sprawie zabójstwa Maxa Jacoba.

- Wcale nie musisz tego robić osobiście. Proszę cię tylko o dwadzieścia minut. Czy miałeś już przyjemność poznać pana Faradaya?

- Chyba nie.

- To oportunistą, ale całkiem użyteczny. Najbardziej pedantyczny spośród wszystkich urzędników służby cywilnej - już samo to o czymś świadczy - jest, można by rzec, etatowym podsekretarzem stanu. Podczas krótkiej i niezbyt efektywnej kariery zdążył już zwiedzić niemal wszystkie ministerstwa. Najpierw był podsekretarzem stanu w ministerstwie transportu i udało mu się doprowadzić do strajku kierowców piaskarek. Potem przerzucono go do ministerstwa sportu, gdzie wywołał skandal na tle rasowym, zapraszając białego południowoafrykańskiego przywódcę organizacji paramilitarnej na mecz krykieta w Brixton Jail...

- Na czym więc polega jego użyteczność?

- To proste. Ma fenomenalną pamięć.

W drzwiach pojawił się pulchny młody człowiek z przylizanymi rudawymi włosami. Ściskanie jego ręki nieodparcie przywodziło na myśl wyjmowanie mokrych ubrań z pralki. Jego brązowy garnitur był drogi, lecz źle skrojony, tak że dół spodni zawijał się na butach. Trudno było sobie wyobrazić człowieka mającego mniej wspólnego ze sztuką.

- Leslie Faraday - przedstawił się mężczyzna. - Poznaliśmy się dwa lata temu, panie Bryant, pamięta pan? Dokładnie siódmego sierpnia. To był ładny, słoneczny dzień, choć po południu się zachmurzyło. W zeszłym roku czytałem o panu w gazecie, rozwikłał pan sprawę wielokrotnego morderstwa. To chyba był „Daily Telegraph”. Ktoś wypadł przez okno, a pan miał kłopoty z powodu porwania porsche. A to na pewno pana współpracownik. Czy mógłbym napić się herbaty? Może być brooke bond, słaba, z dwiema łyżeczkami cukru, jeśli to nie kłopot.

Podsekretarz stanu usiadł na krześle. Pot pokrywał jego czoło, mimo że w pomieszczeniu było zimno.

- Co pana do nas sprowadza, panie Faraday? - zapytał Bryant, nie mogąc się doczekać przerwy w zajmujących czas wspomnieniach gościa.

- Chodzi o ten zniszczony obraz, no, tego... jak mu tam... Watermarka. Wiem, że został namalowany przez Anglika, ale ostatnio mieli go Australijczycy i teraz są wściekli, nie żeby wart był złamanego szylinga. Mówiąc szczerze, to dla mnie zupełnie nowa dziedzina. Niezbyt przepadam za tymi wszystkimi udającymi znawców sztuki snobami. To nie malarstwo, to ekshibicjonizm. Są bardzo dobrzy w budowaniu wysokiej na trzydzieści stóp makiety swoich części intymnych, ale poprosz ich o namalowanie porządnej kaczki w locie, a zobaczysz, co są warcą. Kłopot z artystami polega na tym, że nie mają za grosz głowy do interesów. Co złego jest w dawaniu odbiorcom tego, czego naprawdę pragną? Nie musimy wszyscy kochać Beatlesów.

May siedział przy biurku i patrzył, zafascynowany, podczas gdy Faraday otarł chusteczką mokre czoło.

- Obraz Waterhouse'a - odpowiedział Bryant, kiedy herbata była już gotowa.

- A tak, wygląda na to, że mamy z nim kłopot - wyjaśnił podsekretarz. - Czy to moja herbata? Gorąca, świetnie. Jak panowie wiecie, obrazy zostały

wypożyczone wbrew woli australijskiego rządu, który domaga się cały czas zwrotu pewnych eksponatów z Museum of Mankind. Rząd Jej Królewskiej Mości nie przystąpił do negocjacji w tej sprawie, bo zostałby poczyniony precedens, a i tak mamy już pełne ręce roboty z Grekami. Pewne aborygeńskie przedmioty były wystawiane przed laty jako część budzącej wiele kontrowersji ekspozycji. Ledwie kilka starych masek, nic, o co warto byłoby kruszyć kopie. Widziałem je na wycieczce szkolnej. Padało cały dzień, chociaż pod wieczór się przejaśniło, z tego, co pamiętam. W każdym razie nie odpuściliśmy i australijski rząd zaczął być postrzegany jako taki, który nie potrafi zadbać o własne interesy. Cały ten Carreras psioczy i straszy zbojkotowaniem konferencji państw Wspólnego Rynku. Z tego, co wiem, obraz jest nie do naprawienia, więc pozostaje nam tylko odnalezienie sprawcy tak szybko, jak się da.

- Wiemy już, kto nim jest - powiedział May.

- Naprawdę? - Faraday wyraźnie się ożywił. - Dlaczego w takim razie nie został jeszcze aresztowany?

- Mam nadzieję, że nastąpi to w najbliższych godzinach.

- To nadzwyczajna wiadomość. - Podsekretarz stanu klasnął w dłonie. - Ufam, że zostaną poinformowani, gdy tylko ustalicie motywy tego haniebnego czynu?

- Oczywiście.

- Cieszę się. - Faraday odstawił filiżankę i wstał. - Świetny początek dnia. Myślę, że koniec nie będzie gorszy. Czy mi się wydaje, że tu jest strasznie gorąco? Sam trafię do wyjścia, proszę się nie fatygować.

- Cóż za męczący człowiek - westchnął May, zamykając drzwi. - Dlaczego tak bardzo interesuje go motyw?

- Łudzi się, że uda mu się zachować twarz. Najlepiej by było, gdyby wandal okazał się Australijczykiem, ale na to raczej szansa niewielka. - Bryant przysunął krzesło do okna i wyjrzał na ulicę. - Nie mogę się pozbyć wrażenia, że Whitstable wierzy, że żyje w czasach, w których został namalowany ten obraz. Jego język jest równie archaiczny jak ubiór. Powiedział, że nie da z siebie więcej robić kiepa. Kto tak jeszcze mówi? Może i jest szalony, ale wydawał się szczerzy.

- Szaleńcy zawsze tacy są. Czy zdążyłeś pomyśleć nad tym zdaniem, które brzmiało jak cytaty?

- Chodzi ci o naturę, która rozrywa pęta sztuki? Muszę to sprawdzić.

- Jak dotąd, nie wrócił. Jego dom jest pod stałą obserwacją, ale na razie nie ma tam śladów jakiegokolwiek aktywności. Ma brata o imieniu Peter, który mieszka z nim, ale on też zniknął. Przesłuchamy Williama, kiedy wróci. Lepiej pozwolę ci się teraz rozpakować.

- Wygląda na to, że trochę sobie nie radzisz. - Bryant wskazał na chwiejną stertę tekturowych teczek na biurku przyjaciela. May tradycyjnie brał na swoje barki więcej, niż mógł wykonać.

Podczas gdy Bryant pozostawał w komisariacie przy Bow Street, by nadzorować śledztwa, May organizował życie nowej siedziby. Wreszcie miał szansę ustalić całkiem nowe zasady działania. Zwierzchnicy z policji londyńskiej doceniali ich wyniki, nie mogli jednak zaakceptować nieortodoksyjnych metod pracy. To, że zreorganizowany, niezależny wydział zamierzał wcielić w życie nowe metody, rozumiało się samo przez się; o wiele bardziej zaskoczyło Maya, że udało mu się przekonać do tego niechętne wszelkim zmianom Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Inspektorat Policji Jej Królewskiej Mości. Teraz musieli tylko dotrzymać obietnic.

Bryant zapełnił ostatnią z szuflad biurka teczkami, kiedy światło zaczęło mrugać.

- Czy to może wpłynąć na pracę maszyny do pisania? - zapytał, wpatrując się w klawiaturę, jakby się bał, że go ugryzie.

- Nie powinno - odrzekł May. - Zakład energetyczny ostrzegwał o przerwach w dostawie prądu w tym miesiącu. Są bliscy rozpoczęcia racjonowania energii. Jeśli Edward Heath zostanie zmuszony do przedstawienia narodu na trzydniowy tydzień pracy, będziemy tu siedzieć w ciemnościach, pisząc ołówkami. To dopiero dylemat: albo spełni żądania związku, albo pozbawi cały kraj prądu.

Do gabinetu weszła sierżant Longbright. Podała Mayowi kartkę papieru.

- A to dopiero! - wykrzyknął, zrywając się na równe nogi. - Zgadnij, czyje interesy reprezentuje kancelaria Jacob & Marks?

- Czyje?

- Petera Whitstable'a i Williama Whitstable'a, braci zamieszkałych w Hampstead. Max Jacob był ich prawnikiem i przyjacielem. - Wcisnął guzik interkomu i zawołał z powrotem Longbright. - Powiedz ludziom, którzy mają

przesłuchać Petera Whitstable'a, kiedy się pojawi, żeby na razie ograniczyli się do obserwowania domu i śledzenia jego mieszkańców. - Odwrócił się do Bryanta. - Wygląda na to, że nasze śledztwa zejdą się w jedno.

- Do obu wydarzeń doszło mniej więcej w tym samym czasie, w poniedziałek po południu, w promieniu ćwierć mili. Przynajmniej jedno jest pewne: mordercą nie może być William Whitstable, chyba że potrafi przebywać w dwóch miejscach naraz.

- Ale nie wyklucza to wcale Petera Whitstable'a. Nie możemy dopuścić do tego, żeby William wrócił do domu. Jeśli spróbuje się spotkać z bratem, powinniśmy przy tym być.

Dwadzieścia pięć minut po szesnastej rozległ się dzwonek telefonu.

- Peter Whitstable wrócił do domu kilka minut temu, a potem znowu wyszedł - powiedziała Longbright. - Śledzimy go. Chce pan porozmawiać z naszymi ludźmi?

- Nie - odparł May. - Powiedz im, że jesteśmy w drodze.

Bryant chwycił kluczyki leżące na biurku.

- Ja prowadzę - oświadczył ochoczo.

May doskonale pamiętał ich ostatnią koszmarną podróż. Jego kolega zdradzał większe zainteresowanie poczynaniami innych kierowców niż prowadzeniem własnego pojazdu. Pozostawanie na tym samym pasie ruchu, czekanie na światłach, sygnalizowanie skrętu i pamiętanie o istnieniu hamulca - wszystko to nie było godne jego uwagi.

- Dzięki za propozycję, ale chyba jednak ja poprowadzę.

- To dla mnie naprawdę żaden problem - zapewnił go Arthur. - Bardzo się przy tym uspokajam.

- Daj mi kluczyki.

- Organizacja ruchu drogowego wymaga całkowitej zmiany - powiedział Bryant, kiedy jedyny samochód wydziału, jasnoniebieski vauxhall z całkowicie zajeżdżonym silnikiem, mknął przez Belsize Park. - Popatrz na te znaki drogowe. Ministerialne graffiti.

- To nie wymaga naukowych rozważań, Arthurze. Właśnie dlatego podchodziłeś do egzaminu na prawo jazdy trzydzieści siedem razy.

- Co sprawia, że jesteś dobrym kierowcą?

- Na przykład to, że nie uderzam w żadne przeszkody na drodze. May omi-
nęła korek na Haverstock Hill, skręcając w uliczkę, która biegnie z tyłu, równole-
gle do głównej ulicy.

- Czy wiesz, że w 1943 roku architekci hrabstwa Londyn stworzyli cudow-
ne projekty, które były tak wizjonerskie, że mogłyby zakończyć wszelkie znane
nam problemy z komunikacją? - zapytał Bryant. To była jedna z tych całkowi-
cie nieprzydatnych informacji, w których posiadanie wszedł podczas kursu na
prawo jazdy.

- Co się z nimi stało? - zaciekawiał się May, skręcając w boczną uliczkę.

- Jeden z tuneli, które zaprojektowali, miał biec pod St. James's Park. To
grunty królewskie. Radni podnieśli krzyk i wyrzucili plany do kosza. Walka o
lepszego świat została zatrzymana przez rozpolitykowanych durniów, jak to się
często zdarzało w powojennej Anglii. Tam są, przed nami.

Nieoznakowany wóz policyjny stał dwa samochody dalej w korku na Heath
Street. Zażywny mężczyzna w średnim wieku przedzierał się przez tłumy wy-
chodzące ze stacji metra.

- Mają się spotkać w hali biletowej. Zatrzymaj się. - Bryant otworzył drzwi,
zanim May zdążył zahamować. - Zostaję tutaj. Ty podjedź dalej.

Wyprzedził podejrzanego i zatrzymał się przy stojaku z czasopismami.
Ściemniało się i w wyłożonej płytkami hali biletowej zapalono światło. Bryant
oderwał wzrok od czasopism i wpatrzył się w plan stacji. Jeśli Whitstable miał
spotkać brata w hali, William będzie musiał przejść przez bramkę biletową po
prawej.

Chwilę później w zasięgu wzroku pojawił się Peter Whitstable. Przypominał
brata z twarzy i tuszy, ale w odróżnieniu od niego był normalnie ubrany. Za
nim policjant ujrzał samochód Maya. Nie było za to śladu po wozie policyj-
nym. Bryant miał nadzieję, że jego współpracownik zjawi się tu zaraz do po-
mocy. Nie da sobie rady z dwoma zagniewanymi, potężnymi mężczyznami.

Do czasu przyjazdu kolejnego pociągu hala biletowa opustoszała. Hampste-
ad była najgłębiej leżącą stacją w Londynie i znalezienie się na powierzchni
ziemi wymagało jazdy windą. Bryant ukrył się z powrotem za stojakiem z cza-
sopismami, kiedy do kiosku podszedł Peter. Zapytał kioskarkę o godzinę, po
czym zaczął iść wolno w stronę barierki.

Zegarek Bryanta wskazywał godzinę piątą. Usłyszał, jak wjeżdża jedna z wind, jej przewody brzęczały w szybie.

Drzwi rozsunęły się, ukazując kabinę wypełnioną ludźmi. Kiedy zaczęli wysiadać, Bryant zobaczył czarny cylinder Williama Whitstable'a. Mężczyzna spojrzął na zegarek kieszonkowy na misternym złotym łańcuszku. Bryant rozejrział się z niepokojem. Nigdzie nie widział Maya. Co się z nim stało?

Peter dostrzegł brata i podszedł do barierki. Bryant przesunął się, by zejść z drogi pasażerom i przez to został zauważony przez Williama. Ich spojrzenia spotkały się i Whitstable zawrócił do windy. Zdążył dostać się do kabiny tuż przed zasunięciem drzwi.

Bryant rozejrział się. Peter ruszył w stronę schodów. Dwóch ubranych po cywilnemu policjantów pobiegło za nim.

- Złapią go, Arthurze - zawołał May, stając w wejściu, ale Bryant go nie słuchał. Właśnie znów nadjeżdżała winda.

Na dole udający się do domu podróżni wypełniali peron dla jadących w kierunku północnym. Południowy peron był prawie pusty. Bryant widział swoich ludzi przeciskających się wśród pasażerów. Ciepły powiew wypełnił tunel, a z oddali zaczęło dobiegać dudnienie. Stojąc w krótkim przejściu pomiędzy peronami, Bryant odkrył, że może patrzeć na obydwa perony, samemu nie będąc widzianym.

Kilka chwil później czerwony pociąg wyjechał z tunelu. Kilku pasażerów odsunęło się od krawędzi peronu. Powstało małe zamieszanie po przeciwnej stronie, gdy William Whitstable został zauważony przez jednego z policjantów. Bryant widział ręce, odpychające ludzi na boki. Nagle dotarło do niego, że Whitstable ucieknie, jeśli mu w tym jakoś nie przeszkodzi. Wbiegł na peron, wpadł do stojącego pociągu i usiadł, patrząc przez okno, jak podejrzany pojawia się na opustoszałym peronie, po czym wskakuje do pociągu trzy wagoniki dalej, tuż przed zamknięciem drzwi.

Gdy tylko pociąg ruszył, Bryant wstał i poszedł do przodu. Był właśnie w drugim wagoniku, gdy zauważył Whitstable'a stojącego przy drzwiach trzeciego.

Pociąg zaczął zwalniać, dojeżdżając do stacji Belsize Park. Gdyby Whitstable'owi udało się wysiąść, zanim Bryant zdołałby go zatrzymać, musiałby skorzystać z windy albo ze schodów. Policjant wiedział, że jeśli wybierze

schody, nie dogoni go. Dotarł do drzwi trzeciego wagonika, gdy pociąg zadudnił na rozjazdach. Światło zamigotało niepokojąco. Usiłował otworzyć drzwi, ale ani drgnęły. Whitstable stanął na wprost drzwi, przygotowując się do wyskoczenia.

Pociąg zwolnił, gdy ukazał się peron stacji. Bryant z całej siły naparł na czerwoną metalową klamkę, ale nic to nie dało. Popatrzył przez szybę na Williama Whitstable'a i napotkał jego wzrok. Stali nieruchomo, ścigający i ścigany, nie będąc w stanie wpłynąć na bieg wydarzeń.

Nagle tunelem wstrząsnęła eksplozja. Szyba w drzwiach między wagonikami pokryła się czymś czerwonym. Bryant przez chwilę myślał, że Whitstable rozlał jakiś kwas, powtarzając swój atak z galerii. Dopiero kiedy przeszedł przez częściowo zniszczone drzwi do następnego wagonu, usłyszał pełne paniki krzyki pasażerów, którzy usiłowali się wydostać na peron.

Zszokowana młoda kobieta z zakrwawioną twarzą wpadła mu w ramiona. Zanim zdołał zapytać, co się stało, odwróciła się i pokazała na dymiące szczątki na ścianach wagonu.

- Wysadził się w powietrze! - krzyknęła do niego. - Po prostu eksplodował!

8 ZEGAREK

Swojskość całej tej sytuacji nie osłabiała lęku.

Podeszwy jej butów stukwały na kocich łbach, ślizgała się i wpadała z pluską w płytkie kałuże. Postać przed nią zniknęła za rogiem. Znow biegła przez wąskie alejki, migająca latarnia świeciła na górze, oświetlając mury o wilgotnych ceglach.

A potem potwór stanął nieruchomo. Odwrócił się ze śmiechem, chcąc, żeby go rozpoznała. Jego ręce pokryte były krwią, zupełnie jakby zanurzył je w jakiejś straszliwej ranie.

Sam obudziła się. Poduszka znow była mokra od potu, dom cichy. W kącie paliła się lampka nocna. Budzik stojący przy łóżku wskazywał godzinę czwartą trzydzieści pięć. Gwen i Jack spali w sypialni na końcu korytarza. Włączyła górne światło, wiedząc, że jedynie jasność odgoni zimne dotknięcie koszmaru.

Kiedy wróciła w nocy do domu, odkryła, że Gwen postawiła kieliszek białego wina przy jej talerzu. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie robiła. Być może ten gest wyrażał zrozumienie, że córka dorosła, nawet jeśli nie chciała jej pozwolić na wyprowadzenie się z domu.

Sam wiedziała, że matka chce dobrze. Dlatego nie mogła jej znienawidzić. Rozwścieczona pokrętną taktyką Gwen, celowo hałasowała, mając nadzieję, że obudzi domowników, ale nikt się nie pojawił, by udzielić jej reprimendy. Matka z pogardą odniosłaby się do jej żądania pozostawienia włączonego światła i podważyłaby realność jej lęków. Dla niej rozwiązaniem byłoby wykupienie dodatkowych sesji terapeutycznych. Ojciec opowiedziałby jej jedną z tych swoich historyjek, rozpoczynających się od słów: „W czasie wojny...”. Wyjaśniłby jej na przykład, że „w czasie wojny” nikt nie bał się ciemności. Mężczyźni byli przywoitymi ludźmi, którzy trzymali fason i zaciskali zęby za każdym razem, kiedy szkop uderzał. Sądząc jednak ze sposobu, w jaki Jack natychmiast wykonywał każde polecenie żony, te czasy minęły i już nie powrócą. Gwen rządziła domem żelazną ręką w rękawiczce od Diora.

Sam usiadła i przyglądała potargane włosy. Żałowała, że Joseph nie został na noc. Spędzili razem bardzo miły wieczór. Po przedstawieniu zabrał ją na kolację. Siedzieli obok siebie w obskurnej włoskiej restauracyjce, patrzyli na czerwony wosk spływający ze świeczki stojącej w butelce po chianti, i toczyli niezobowiązującą pogawędkę, usiłując przekrzyczeć ostrą gitarową muzykę.

Joseph skończył college sztuki z głową pełną pomysłów, które teraz miały szansę realizacji. Jego praca została wybrana spośród setek projektów. Sam mówiła o sobie tak mało, jak to tylko możliwe, odmalowując obraz rodzinnej sielanki. Wyjaśniła, że pracuje tymczasowo jako recepcjonistka, zanim pójdzie do college'u sztuki. Przez chwilę, kiedy patrzyła mu w oczy, wydawało się jej, że chce spędzić z nią noc. Ale ta chwila minęła i rozstali się z zakłopotaniem na schodach Waterloo Bridge. Podejrzewała, że nazajutrz wróćą do swych ról gościa i recepcjonistki. Szkoda, polubiła go, ponieważ tak różnił się od niej. Było w nim coś pociągająco bezczelnego - w sposobie, w jaki machał rękami, kiedy szli, w pełnych lekceważenia spojrzeniach, jakie rzucał nieznanym. Męczyła się, żyjąc w otoczeniu ludzi, których matka uważała za wzory do naśladowania. Najwyższy czas mieć własnych przyjaciół.

Myśl o Josephie odgoniła koszmary. Wiedziała już teraz, że mogłaby odzyskać błogi spokój, mając go za anioła stróża.

- Coś wcześniej jesteś. Nie mogłeś spać? Czyżby wyrzuty sumienia?

May powiesił płaszcz na wieszaku i rozejrzał się po gabinecie. Jego nowy współlokator nie próżnował. Zdążył już rozpakować kilka skrzynek z książkami. Półki były teraz wypełnione poradnikami psychoterapii i książkami medycznymi. Na parapecie stała doniczka z jakąś ohydnie wyglądającą roślinką, prawdopodobnie uschniętą aspidistrą. Bryant był błydy i nie w sosie. Usiłował otworzyć okno, wciskając koniec śrubokręta pomiędzy nie a futrynę.

- Nie mogłem spać - wyznał. Na skutek jego działań z futryny odpadł złuszczonego płata farby. - Nie chciałem tracić czasu po próżnicy. W końcu nie każdego dnia podejrzący eksploduje na twoich oczach. Widziałeś nagłówki w dzisiejszych gazetach? To był dar niebios dla prasy brukowej. Wszyscy przygotowywali artykuły o prezentach ślubnych księżniczki Anny, a tu nagle taka gratka! Teraz mogą znów zacząć kampanię prasową przeciwko IRA. Jeśli zła pię którąś z tych gnid w pobliżu mojego świadka, będzie draka. Pomóż mi z tym oknem.

May doskonale wiedział, że to nie prasa była powodem wściekłości Bryanta. Widział go w takim nastroju już wiele razy.

- Nie mogłeś zapobiec jego śmierci, Arthurze - powiedział. - Nikt nie mógł wiedzieć, że ma ładunek wybuchowy. - Razem popchnęli okno, aż wreszcie otworzyło się w obłoku kurzu i płatków zaschniętej farby.

- Jesteś pewien, że to był ładunek wybuchowy? - zapytał Bryant. - Przeczytaj zeznania świadków. Czworo z nich widziało płomień na wysokości brzucha Whitstable'a. Co to za bomba, która zabija jednego człowieka w wypełnionym po brzegi wagonie, nie raniąc nikogo innego? Najpierw jego prawnik, teraz on. Błagam, nie mów mi, że to zbieg okoliczności, bo nie uwierzę. Co jeszcze ustaliliście w sprawie Jacoba?

May zaczął przeglądać papiery.

- Rysy przy umywalkach w toalecie Savoyu wyglądają jak ślady po paście do butów z prawego buta Jacoba. Ich położenie potwierdza hipotezę, że został zaatakowany. Kilka małych włókien z ubrania na miejscu przepychanki, prawdopodobnie z wnętrza kieszeni. Włókna nie pasują do tych z ubrania

Jacoba. Jeszcze jedno - jad nie musiał pochodzić od żywego węża. On zachowuje moc, a to znaczy, że ofiara mogła być ukłuta igłą.

- Tam są dwie dziurki, jak zęby jadowe.

- Może zabójca próbował wbić igłę, ale Jacob się wyrwał i dlatego musiał wbić ją ponownie.

- Ale przecież przed podaniem trucizny pozbawił go przytomności.

May uniósł ręce ze złością.

- W takim razie może chciał, żeby to wyglądało na ukąszenie węża.

- Ale po co? - zapytał Bryant. - Wężę nie są zbyt częstym widokiem w Anglii.

- Jeśli chodzi o resztę, to zjrzyj do gazet. Wygląda na to, że dziennikarze wiedzą tyle samo, co my. Policjanci pilnujący Petera Whitstable'a cały czas odganiają pismaków. - May nagle się zasępił. - Dlaczego chciałeś otworzyć okno? Na dworze jest mróz.

- Nie chciałem go otworzyć - odparł Bryant cierpko. - Chciałem, żeby można je było otwierać. Na ramie znajdowało się chyba ze dwadzieścia warstw farby. Była twarda jak skała. - Wskazał skrzynię zastawiającą Mayowi drogę do biurka. - To ostatnia, której jeszcze nie rozpakowałem.

John wiedział, że jego przyjaciel nie usiedzi w spokoju, dopóki nie uczyni nowego gabinetu bardziej swojskim. Sięgnął do otwartej skrzyni i wyjął brązowy przedmiot inkrustowany srebrem. W pustych oczodołach tkwiły kamienie księżycowe.

- Skąd tyś to wytrzasnął? - zapytał.

- Znajomy przywiózł ją z Tybetu - wyjaśnił Bryant. - To grawerowana ludzka czaszka. Tak długo, jak chiński rząd systematycznie będzie niszczył tybetańską kulturę, będzie stała na półce, żeby mi przypominać zło i niesprawiedliwość tego świata.

- Wystarczy, że rzucisz okiem na spis przestępstw, które wydarzyły się w ciągu ostatniej nocy, żebyś o tym pamiętał - stwierdził May, trzymając czaszkę na wyciągnięcie ręki. - Strasznie śmierdzi.

- Odnoszę wrażenie, że niewłaściwie usunięto z niej mózg.

May patrzył, jak jego kolega rozpakowuje porcelanową figurkę baletnicy w zielonej sukience, pamiątkę ich pierwszej wspólnej sprawy. Dziwnie było stanowiąc znów jeden zespół. Arthur nie wyglądał już obecnie na tak silnego. Sprawiał wrażenie, jakby starzał się szybciej niż inni ludzie.

- Kto przesłucha brata, ty czy ja?

- Biorę to na siebie - postanowił Bryant. - Jest majorem, wielokrotnie odznaczanym i cieszącym się powszechnym szacunkiem. Miejmy nadzieję, że będzie w stanie przedstawić zadowalające wyjaśnienie zachowania Williama. Wiesz, to wszystko wina genów. Stare rody nigdy nie stroniły od zawierania małżeństw między krewnymi. Łatwo poznać: ich oczy są zbyt wąsko rozstawione i lubią muzykę ludową.

Do gabinetu weszła sierżant Longbright z małą plastikową torebką w ręce. Skończyła służbę ledwie cztery godziny wcześniej, o trzeciej nad ranem. Gruby makijaż skrywał wory pod oczami.

- Przykro mi, że ściągnęliśmy cię tutaj, choć masz dzisiaj wolne - powiedział May. - Raymond Land martwi się, że śledztwo zyskało zbyt duży rozgłos. Skasował wszystkie wolne dni w najbliższym czasie.

- Nie ma sprawy, ja tylko spałam. - Nawet jeśli była wściekła, nie miała zamiaru tego okazywać. Rzuciła torebkę na biurko Maya.

- Land był tu kilka minut temu i zostawił to dla panów. - Pociągnęła nosem. - Co tu tak śmierdzi?

- Powinnaś o to zapytać Bryanta. Czy Land kazał ci coś przekazać - Przybliżył torebkę do światła i wolno ją obrócił. W środku zabłyśły kawałeczki metalu.

- Powiedział, że zadzwoni, kiedy uda się panom to sprawdzić.

- Czy Land, nie daj Boże, ma tutaj swoją siedzibę główną? - zapytał Bryant.

- Obawiam się, że tak, staruszk. Zajmuje gabinet na końcu korytarza. - Raymond Land był dość zdolnym specjalistą w dziedzinie medycyny sądowej, ale jego pedanteria i poczucie wyższości raczej nie zapewniały mu uznania kolegów. Szczególnie wyprowadzał go z równowagi Bryant i jego nieortodoksyjne metody śledcze. Land był od jakiegoś czasu pomijany przy awansach, a kierowanie Wydziałem Przepływów Osobliwych było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął.

May otworzył torebkę i ostrożnie wytrząsnął jej zawartość. Oddzielił palcem kawałeczki złota.

- Co o tym powiesz? - zapytał przyjaciela.

Bryant wyjął z szuflady szkło powiększające i podszedł do biurka. - Wygląda na stare złoto. Zapewne z czasów wiktoriańskich. O wiele czystsze niż to,

które można kupić dzisiaj. Prawie czerwone i bardzo miękkie. Tu jest coś napisane... - Podstawił jeden z kawałków pod szkło i skierował nań światło lampki.

- Cyfry rzymskie. Widziałem już kiedyś coś podobnego.

- Może to kawałki medalionu - zasugerował May.
- Nie, to fragment jakiegoś urządzenia. Jedna z części nie jest ze złota. Wygląda jak srebro wysokiej próby. - Odwrócił kawałek. - Po tej stronie jest matulki zawias. To wieczko pudełka. - Rozległ się dzwonek telefonu. - To pewnie Land. Ten to jest w gorącej wodzie kąpany. Siedzi przy biurku i się niecierpliwi.
- I co o tym myślisz, John? - zapytał Land, mówiąc zdecydowanie za głośno do słuchawki.
- Nie mam jeszcze pewności. Gdzie to znaleźliście?
- Finch wyjął te kawałki z waszego wybuchowego Whitstable'a. Były w jego żołądku, siła eksplozji je tam wepchnęła. Podejrzewam, że to część bomby.
- Powiedz mu, że nie - oznajmił Bryant scenicznym szeptem. Trzymał w palcach jeden z kawałków złota. - Zresztą, daj mi słuchawkę.

May uczynił zadość jego prośbie.

- Halo?! - wykrzyknął Bryant. - To fragment małego złotego zegarka. Takiego, jakie daje się zwykle w prezencie.
- To śmieszne - odparł Land. - Nie zrobisz bomby z metalu szlachetnego.
- Dlaczego nie? Dziewiętnastowieczni rzemieślnicy wszystko misternie inkrustowali.
- Bryant, mamy rok 1973 - warknął Land.
- Tak się składa, że wiem. Mimo to chciałbym, żebyście poddali te kawałki bardziej szczegółowym testom.
- Naprawdę nie widzę powodu...
- Za to ja tak - przerwał mu Bryant. - Bądź tak dobry i zrób to, o co cię prosiłem. - Odłożył słuchawkę.
- Nie będę miał zbyt wielu przyjaciół do czasu, kiedy skończysz to śledztwo - zauważył May. - Sprawdźmy lepiej, czy Peter Whitstable ma nam coś ciekawego do powiedzenia.

Zamierzali przesłuchać majora natychmiast po śmierci jego brata, ale był zbyt wstrząśnięty, by mieli z niego jakikolwiek pożytek. Dopiero teraz nadzedł czas na pytania.

9 ZGAŚNIĘCIE ŚWIATŁA

Prawie tydzień minął od dnia, kiedy była świadkiem morderstwa, ale wciąż czuła śmierć na swoich rękach. Obracała je przy świetle, usiłując przypomnieć sobie, w których miejscach była na nich krew i w którym dokładnie miejscu na dywanie starszy człowiek wydał swoje ostatnie tchnienie.

- Zastanawiam się, dlaczego policja uważa, że to było morderstwo - powiedziała głośno, wpatrując się ze swego miejsca w recepcji w brązowy skórzany fotel.

- Wcale nie było - odparł Nicholas. Uważał, że rozmowy, które prowadzili ze sobą przez ostatni tydzień, wyczerpały temat. Obsesja Sam zaczynała go nudzić. Już i tak wystarczy, że z powodu delegatów zjeżdżających tłumnie na konferencję państw Wspólnego Rynku wszyscy pracowali w nadgodzinach. - Policja nie ma pojęcia, co tak naprawdę się stało. Wczorajszy „Telegraph” wykazał ich niekompetencję. Starają się wyciszyć całą sprawę.

- Ale to się nie uda. Sprawa nabrała już za dużego rozgłosu. Prawda w końcu wyjdzie na jaw. - Wraz z wybuchem afery Watergate, którą prezydent po drugiej stronie Atlantyku miał przypłacić karierą, wszyscy zaczęli węszyć wszędzie spiski.

- Przypuszczam, że tak będzie, zwłaszcza jeśli nie przestaniesz w kółko o tym gadać - powiedział Nicholas. - Kolejna grupa delegatów przyjeżdża o dwunastej trzydzieści. Przywódcy nowych państw. Wielu w niezwykłych nakryciach głowy, z hymnami państwowymi granymi na bębnach, tego rodzaju rzeczy. Będziesz musiała sama ich przyjmować, bo ja będę już po pracy. - Odgarnął długi kręcony kosmyk z czoła, po czym wrócił do księgi meldunkowej.

- Jeśli to nie było morderstwo - nie ustępowała - dlaczego nie zdjęli policyjnych pieczęci z pokoju Jacoba?

- Zdjęli. - Nicholas spojrzał na nią ze złością. - Umieścimy tam dzisiaj kogoś. - Spojrzał na zegarek. - Za jakieś piętnaście minut.

Sam nie była pewna dlaczego, ale nagle zapragnęła zobaczyć ten pokój. Zdjęła klucz z tablicy, wyszła zza kontuaru i wjechała windą na czwarte piętro. Drzwi pokoju na końcu korytarza zostały zapieczetowane, żeby uniemożliwić

wstęp osobom niepowołanym. Teraz jednak pieczęci już nie było, a do środka wpuszczono pokojówki.

W pokoju nie został najmniejszy ślad po ostatnim gościu. Czy naprawdę sądziła, że coś znajdzie? Policja zabrała rzeczy należące do Jacoba i przekazała je rodzinie. Pokój został przeszukany, ale technicy policyjni nie musieli go dokładnie badać. W końcu nie było to miejsce zbrodni. Zamiast tego skoncentrowali się na toalecie dla mężczyzn na parterze.

Sam weszła do łazienki i zapaliła światło. Z lustra spoglądała na nią blada dziewczyna o kasztanowych włosach opadających na błękitne oczy. Odsunęła zasłonkę prysznicową i popatrzyła na ceramiczną mydelniczkę. Max Jacob wstał i wziął prysznic w poniedziałek rano, nie wiedząc, że to jego ostatni dzień życia. Co go sprowadziło do Londynu? Jak spędził ostatnie godziny? Zapewne policjanci znali już odpowiedzi na te pytania. Może zadzwonić do tego, który ją przesłuchiwał, i zapytać? Miała jego numer. Czy nie wyda mu się dziwne, że ją to interesuje?

Słyszała deszcz uderzający w szyby w sypialni. Dzień rozpoczynał się równie mgliście, jak kończył się ostatni poniedziałek. Wiedziała, że coś jest z nią nie tak; to na pewno z powodu tego, że była świadkiem czyjejś śmierci. Jacob zapewne niczego się nie spodziewał. Wcześniej tego dnia podszedł do kontuaru recepcji i żartował z Nicholasem. Z pewnością nie bał się wówczas o swoje życie.

Wróciła do sypialni i przeszukała szuflady biurka. Hotelowa papeteria została już uzupełniona i leżała przygotowana dla następnego gościa. Jeśli Jacob zostawił nawet jakieś ślady, zostały usunięte przez policję i pokojówki.

Otworzyła szafkę nocną. Już chciała ją zamknąć, gdy zauważyła Biblię. Przebiegła wzrokiem stroną zaznaczoną zakładką, po czym przeczytała fragment, który był podkreślony.

Ewangelia według Św. Jana 3, 19-20

(...) lecz ludzie bardziej umiłowali ciemność aniżeli światło: bo złe były ich uczynki. Każdy bowiem, kto się dopuszcza nieprawości, nienawidzi światła i nie zbliża się do światła, aby nie potępiono jego uczynków¹.

¹ Wszystkie cytaty biblijne według: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. II poprawione, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań-Warszawa 1971 (przyp. tłum.).

W środku tkwił kawałek papieru listowego. Był na nim napisany numer. 216. Przekartkowała Biblię, odnajdując inne zaznaczone fragmenty.

Psalm 139, 11

(...) i noc mnie otoczy jak światło.

Ewangelia według św. Jana 12, 35

Chodźcie, dopóki macie światłość, aby was ciemność nie ogarnęła.

Księga Rodzaju 1,16

Bóg uczynił dwa duże ciała jaśniejące: większe, aby rządziło dniem, i mniejsze, aby rządziło nocą (...).

Znalazła dziesiątki podkreślonych ołówkiem fragmentów, a wszystkie dotyczyły światła i ciemności. Przypuszczalnie to Jacob je zaznaczył, najwyraźniej był osobą głęboko wierzącą. Ale to nie miało sensu. Przecież Jacob to żydowskie nazwisko. Chciała jeszcze raz sprawdzić, czy czegoś tam nie było, kiedy usłyszała nadjeżdżającą windę. Nowy mieszkaniec pokoju mógł ją nakryć. Wsunęła Biblię pod żakiet, zamknęła za sobą drzwi i ruszyła na drugi koniec korytarza.

John May przycisnął dzwonek i zrobił krok do tyłu.

Pod dużym jaworem w ogrodzie stał na straży posterunkowy. Woda ciekła z jego kurtki, nasączając spodnie w kolanach. W opustoszałej alejce w Hampstead nie słychać było nic poza jednostajnym szumem deszczu. Bryant przedzierał się przez zarośla z boku domu, odsuwając na boki mokre liście. Usiłował dojrzeć coś przez brudne okna.

W końcu zza drzwi dobiegł jakiś hałas, odgłos kroków w korytarzu. Mężczyzna, który z mozołem otworzył drzwi, był nieco młodszy od swojego brata, ale pod każdym innym względem był jego sobowtórem. Z gruba ciosana twarz z kartoflowatym, szkarłatnym nosem i obwisłą dolną wargą przywodziła na pamięć karykatury Hogartha. Ciężkie brązowe ubranie z wełny było stare i niemodne. Peter Whitstable miał trudności z otwarciem drzwi. Gdy w końcu udało mu się ta sztuka, spojrzał na Maya, zatoczył się, po czym padł mu w ramiona.

- Mój Boże - westchnął Bryant, podchodząc do drzwi. - Przecież on jest kompletnie pijany.

- Pomóż mi zaprowadzić go do kuchni. - May włożył ręce pod ramiona majora i powlókł go przez korytarz, próbując nie zwracać uwagi na cierpki smród whisky. - W takim stanie jest dla nas kompletnie nieprzydatny.

- Kawa powinna postawić go na nogi - stwierdził Bryant - ale najpierw zadamy mu kilka pytań. Pijani bywają szczerzy.

Dom pachniał lawendowym środkiem do czyszczenia i starą whisky. Kiedy mijali salon, Bryant zajrzał do niego przez otwarte drzwi. Wszystkie meble sprawiały wrażenie pochodzących z końca XIX wieku. Obrazy olejne, akwarele wszelkich rozmiarów i rodzajów zapełniały ściany, wisząc tuż obok siebie. Odnosiło się wrażenie przebywania w wiktoriańskim domu nietkniętym przez upływ czasu. Ciężkie zielone zasłony z aksamitu powstrzymywały światło i czas przed dostaniem się do środka. Bryantowi oczy zabłysły na widok fotografii w złotych ramach na ścianach korytarza wiodącego do kuchni.

- To jak podróż w czasie - zauważył.

- Jak pan śmie - wymamrotał nagle major, unosząc głowę i przesywając policjanta wściekłym spojrzeniem. - To były nasze dni chwały. Pozwólmy dalej brukać przeszłość hałaśliwą muzyką, wolną miłością i... - przerwał, niezdolny do podania trzeciego przykładu.

May posadził go na krzesło, a Bryant zaparzył mocną kawę. Pod zlewem stało kilkanaście butelek po whisky. Peter Whitstable nie zaczął pić na wieść o śmierci brata. On i Johnnie Walker byli starymi przyjaciółmi.

Kuchnia urządzona była w staromodnym stylu i wyszorowana do czysta. Ogromna żelazna kuchenka zajmowała większą część pomieszczenia. Miedziane rondle wisiały w lśniących rządках. Wiktoriańska maszyna do lodów stała obok suszarki z łyżkami i chochlami i wyglądała, jakby wciąż była używana. Bracia nie wydawali się ludźmi będącymi w stanie się tym wszystkim zajmować, musieli zatrudniać gospodynię.

- Panie starszy, doleję no pan tu setkę - powiedział major, kiedy Bryant podsunął mu kubek z parującą kawą. A kiedy policjant nie spełnił jego prośby, wyjął z kieszeni swetra srebrną piersiówkę, otworzył ją i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, dolał do kawy alkoholu.

- Nie chcielibyśmy zakłócać panu żałoby - zaczął May - ale musimy zadać kilka ważnych pytań.

Whitstable zamknął oczy, odchylając się na krześle.

- Nie mogę uwierzyć w to, że już go nie ma - powiedział. - A raczej mogę. - Nagle zapadł w sen. Bryant szturchnął go, niezbyt delikatnie, i wyjął kubek z jego rąk.

- Tym łajdakom nie ujdzie to na sucho! - krzyknął nagle Whitstable, przynosząc wzrok z jednego policjanta na drugiego. - Nie jesteśmy ich jedynymi przeciwnikami.

- Co się przydarzyło pańskiemu bratu? - zapytał May. - Dlaczego ktoś mógłby chcieć go zabić?

- To jasne - odrzekł Peter Whitstable, podejmując niezbyt udaną próbę wyprostowania się. - Wrogowie. Anarchiści. Sybaryci i sodomici. Nikt z nas nie jest bezpieczny! Kraj stacza się po... po czym?

- Nie dowiemy się od niego niczego sensownego - wyszeptał May.

- Może ja spróbuję. - Bryant przysunął krzesło do wojskowego. Majorze Whitstable... Peter... mogę mówić panu po imieniu? Wiem, że wolałbyś zostać sam. Jeśli chcesz, możemy odwołać policjantów i zostawić cię w spokoju.

- Mój Boże, tylko nie to! - krzyknął major, a przerażenie sprawiło, że na chwilę wytrzeźwiał. Usiadł prosto, jego oczy się rozszerzyły. - Jesteśmy w strasliwym niebezpieczeństwie, mogą nastąpić potworne rzeczy!

- Myślisz, że ten, kto zabił twojego brata, teraz będzie chciał to samo zrobić z tobą?

- Jestem o tym przekonany. Tak. - Zaczął szukać w kieszeniach piersiówki.

- I was też to czeka, jeśli staniecie temu na drodze. Ciemność nadciąga.

- Mógłby pan wyjaśnić, co ma na myśli? - zapytał May.

- Dobrze. Chodźcie za mną. - Wstał chwiejnie, przykładając palec do ust i kiwając głową do policjantów. - Musimy pójść na górę.

Na podeście schodów Bryant musiał podtrzymać majora, żeby nie upadł. Weszli do ciemnego pokoju. Smród środka do czyszczenia i zatęchłego powietrza był tu silniejszy niż na parterze. Ciężkie, sięgające do podłogi zasłony były nieznacznie rozwarłe. Na wyłożonym zielonym płótnem gzymsie kominka znajdowały się fotografie w ramach i odznaczenia wojskowe, a na ścianach

wisały wyblakłe obrazy olejne z końmi. Major podszedł chwiejnym krokiem do orzechowego kredensu i wyjął z niego karafkę.

- Dobrze się temu wszystkiemu przyjrzyjcie - powiedział. - Jesteśmy starą rodziną. Arystokratyczne brytyjskie pochodzenie. Tradycyjne wartości. Wierność zasadom. Jeśli ktoś jest atrakcyjny, ustrzel go, jeśli jest brzydki - weźcie ślub. Niewielu nas przetrwało. William i ja... Biedny William. Nie wydaje mi się, żeby z niego zbyt dużo pozostało.

- Złapiemy ludzi, którzy to zrobili, jeśli nam pan pomoże - zapewnił May, ale major nie słuchał.

- Wiedzieliśmy, czego oczekuje się po nas w dzisiejszych czasach - ciągnął. - Mieć mnóstwo dzieci, bogato wydać córki, umieścić mądrych synów w firmach, tępych - w kościele, a szalonych - w wojsku. Oczywiście mieliśmy wrogów. To normalne. - Usiadł ciężko, po czym wsunął karafkę między kolana. - Pewnie chcecie wiedzieć, kto go zabił?

- Tak - odparł May, ciesząc się, że cel ich wizyty został w końcu zrozumiany. - Chociaż może pan zacząć od wyjaśnienia, dlaczego pana brat zniszczył obraz.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobił. Nasza rodzina ma długie tradycje... - przerwał dla złapania tchu - ...mecenatu sztuki, więc wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy usłyszałem, co się stało. Poprosiłem go, żeby wyjaśnił swoje postępowanie, ale powiedział mi tylko, że sam powinienem rozumieć, co nim powodowało. - Niepewnie napełnił szklaneczkę i wypuścił karafkę, którą w porę udało się złapać Bryantowi. - Ale ja nie rozumiałem. William był tak mocno związany z przeszłością - jak mógł zniszczyć jej część? - May wykonał gwałtowny ruch do przodu, by wyrwać mu szklaneczkę z whisky, ale Whitstable przycisnęła ją do piersi obiema rękami. - Biedny, zagubiony William. Nasi wrogowie śmieją się z nas, ale zostaniemy pomszczeni. - Poczzerwieniał ze złości i krzyknął: - Nienawidzą potęgi światła, ponieważ będą potępieni za swoje złe uczynki! Gdybyście zapytali Maxa Jacoba, tej oślizgłej gnidy, powiedziałby wam. Wąż jest tradycyjną bronią, mającą napełnić lękiem.

- Znowu odpływa - wymamrotał May. - Zabierz mu szklanekę, szybko.

Bryant nie był jednak wystarczająco szybki. Whitstable'owi udało się unieść ją do ust i opróżnić.

- Czy Max Jacob został zabity przez tę samą osobę, co pana brat? - zapytał May.

Major zwiesił głowę i wpatrzył się z rozdrażnieniem w policjantów.

- Nie bądź głupi, człowieku. Mój brat nie został zabity przez „osobę”, tak samo jak i nie został przez nią zabity ten Izraelita, nasz prawnik. To nie „ktoś” go zabił, ale „coś”. I to coś przerażającego.

- W takim razie, jeśli wiesz, powiedz nam - poprosił Bryant. - Możesz pomścić śmierć Williama.

- William, William, William. - Major potrząsnął gwałtownie głową. - Wielu jeszcze dołączy do niego.

- O czym pan mówi? - zapytał May. - Czy więcej ludzi zginie?

- O wiele więcej, masa, krew i ciała wszędzie, Armagedon dla naszej całej rodziny, aż do zgaśnięcia światła. Jeśli spróbujecie coś zrobić, też zginiecie. „Na zewnątrz są psy, guślarze, rozpustnicy, zabójcy”¹.

¹ Apokalipsa św. Jana 22, 15 (przyp. tłum.).

Bryant wahał się, czy zostawić go śpiącego, czy przesłuchiwać dalej. Był pewien, że major nie odpowie na ich pytania na trzeźwo.

- Nie rozumiemy - powiedział. - Musisz nam wyjaśnić, co masz na myśli.

- Żeby dowiedzieć się, co zabiło Williama, musicie zrozumieć nas wszystkich i rodziny innych takich jak my. - Sięgnął po karafkę i odkrył, że jej nie ma. - Musicie stanąć twarzą w twarz z prawdziwą ciemnością, jeśli ją jeszcze znajdziecie w dzisiejszych czasach, co jest bardzo wątpliwe.

Bryant syknął ze złością. Major nigdy nie udzielił im prostej odpowiedzi.

- Jeśli nam nie pomożesz, Peter - ostrzegł - odwołam policjantów z twojego domu.

- A zabieraj ich sobie! - krzyknął Whitstable. - Podejmę ryzyko. Przywykłem do walki w czasie wojny. Pojutrze będę bezpieczny.

- Jak to?

- Moja Bella przyjedzie, żeby się mną zaopiekować.

Bryant spojrział na swojego współpracownika i wyszeptał:

- Kto to jest Bella?

Major odrzucił głowę do tyłu i wypuścił szklankę z rąk.

- Moja cudowna Bella - westchnął, zamykając oczy. - Łaska naszego Pana, Jezusa Chrystusa, niech zawsze będzie z wami, amen i dobranoc. - Tym razem zapadł w głęboki sen i zaczął głośno chrapać, zanim jeszcze policjanci wyszli.

10 OPUSZCZENIE POSTERUNKU

Sam obróciła Biblię w rękach. Szła przez ogród, wydychając obłoczki mroźnego powietrza i patrząc, jak ostatnie spóźnione ptaki opuszczają niebo. Spokojny zakątek Chelsea, w którym rodzina mieszkała od jej przyjścia na świat, był na tyle zielony, że można było odnieść wrażenie, iż jest się na wsi. Szelest drzew przypominał szum odłączonego kanału telewizyjnego. Trudno uwierzyć, że za skrywającymi wszystko bukami rozciąga się błyszcząca elektrycznym światłem King's Road.

Dom za nią był pełen jasności, sztucznego światła. Gwen i Jack wyszli na swojego tradycyjnego niedzielnego brydża, zostawiając zapalone wszystkie żarówki w domu, ponieważ żywili błędne przekonanie, że to odstraszy włamywaczy. Sam dotarła do pokrytej śniedzią ławki w małej murowanej altanie i usiadła, skupiając całą swoją uwagę z powrotem na Biblii.

Kiedy zobaczyła ją w szufladzie, o mało nie dała się zwieść oprawie. Choć książka była o wiele starsza i w gorszym stanie, przypominała standardowe Biblie leżące w pokojach hotelowych. To jednak nie była jedna z Biblii Savoyu. Jedna z tych, które umieszczano w szufladzie nocnego stolika po prawej stronie łóżka. Teraz po raz kolejny przeczytała nieznaną nazwisko na wyklejce: W. Whitstable, St. Peter's, Hampstead, i przewracając wyschnięte, pół-prześwitujące kartki, zrozumiała, że Biblia jest starsza, niż początkowo sądziła. Szczególny zapach bił od tych kartek, zapach ławek kościelnych i spokojnych, wypełnionych tykaniem zegarów pokoi. Na stronie tytułowej znalazła rok wydania: 1873. Dokładnie sto lat temu. Czuła, że Biblia musiała być prezentem, czymś, co miało wielką wartość dla pana Jacoba. Wiedziała, że powinna zanieść ją na policję, ale wiedziała również, że jeśli to robi, nigdy nie pozna znaczenia swojego odkrycia.

Wróciła do domu i rozpoczęła poszukiwania. W książce telefonicznej znalazła trzydziestu jeden abonentów o nazwisku Whitstable mieszkających w

centrum Londynu, imiona ośmiu zaczynały się od litery W, trzech z nich mieszkało w Hampstead. Postanowiła, że będzie dzwonić do nich po kolei.

Rozłożyła książkę na kolanach, najechała kciukiem na pierwszy numer i zaczęła go wybierać.

Pierwsze dwa telefony pozostały nieodebrane. Trzeci na liście był Whitstable, William, Mayberry Grove, Hampstead. Do tej pory słońce zdążyło już zejść i ogród skrył się w półmroku. W tym mieście nigdy nie było całkowicie ciemno. Nawet w najgłębszą noc niebo przypominało kalkę kreślarską. Wpatrywała się w podświetlane klawisze z cyframi na słuchawce i czekała na połączenie. Nagle nabrała pewności, że dzwoni pod właściwy numer. Starszy głos po drugiej stronie linii był pełen podejrzliwości, zupełnie jakby ten ktoś oczekiwał podobnego telefonu.

- Dlaczego dzwoni tutaj? Czego chce?

- Czy dodzwoniłam się do domu pana W. Whitstable'a? - zapytała głosem wyćwiczonym podczas odbierania telefonów w Savoyu.

- Williama? - W głosie pojawiło się zmieszanie. - Nie ma go tutaj...

- Chciałabym mu coś oddać. Coś, co zgubił.

- Co to takiego? - Jej rozmówca wydawał się poruszony. Jego słowa zlewały się w jedno, jakby był pijany. Sam pomyślała, że nic nie zyska, ukrywając przed nim powód swojego telefonu.

- Mam Biblię należącą do W. Whitstable'a.

- Williama - uściślił głos, po czym zapadła cisza. Sukces. Sam uśmiechnęła się.

- Czy mogę mu ją oddać? - zapytała.

- Nie ma go już tutaj - odparł mężczyzna pospiesznie. - Proszę mi ją przysłać.

- Wołałabym nie powierzać poczcie czegoś tak delikatnego - powiedziała. - Przyniosę ją panu, jeśli pan chce.

- Nie sądzę, żeby... w każdym razie, nie dzisiaj, nie przyjmuję gości po zmroku...

- To może jutro? - zaproponowała. - Zadzwoń rano, dobrze?

Połączenie zostało przerwane. Sam odłożyła słuchawkę zaintrygowana. Przynajmniej ustaliła miejsce zamieszkania właściciela Biblii. Zastanawiała

się przez chwilę, czy nie zawiadomić o wszystkim Maya, tak na wszelki wypadek, jednak w końcu uznała, że nie ma potrzeby. Głos należał do starego człowieka. Poradzi sobie. Wstała z fotela i potarła ręce, żeby się rozgrzać, zastanawiając się, co właściwie wyprawia.

Zmienna pogoda znów przyniosła mgłę. Czepiała się żywopłotów na cichych ulicach jak mleko osiadające w wodzie. Sam wyszła ze stacji metra Hampstead i ruszyła krętą ulicą biegnącą do góry.

Mayberry Grove była ślepą uliczką, przy której stały solidne wiktoriańskie domy z czerwonych cegieł, schowane za pasami zieleni; miniaturowe zamki wzniesione przez pewnych siebie ludzi, którzy nie wyobrażali sobie zmierzchu imperium. Kiedy Sam zbliżyła się do domu, ku swemu zaskoczeniu ujrzała w ogrodzie nieprzyjemnie wyglądającego policjanta.

- Byłam umówiona z panem Whitstable'em - powiedziała, pchając mokrą od deszczu furtkę.

- Ach tak? A kim pani jest? - Policjant, mimo że niewiele od niej starszy, był chłodny i oficjalny.

- Rozmawiałam z panem Whitstable'em wczoraj wieczorem. Przyniosłam mu coś, co do niego należy.

- Nie może przyjmować gości. - Policjant zakołysał się na swoich szerokich wypolerowanych butach i wytarł radiotelefon. - Proszę mi to dać, przekażę mu.

- Prosił, żebym dostarczyła to osobiście.

- To niemożliwe, moja droga. - Uśmiechnął się i odwrócił wzrok, jakby parzył na coś w dali. Sam była już bliska wszczęcia kłótni, kiedy nagle drzwi domu otworzyły się i stanął w nich rumiany mężczyzna w źle dopasowanym garniturze w kratkę i krzywo zawiązanym krawacie. Wydał się Sam dziwnie znajomy. Dyskutował zawzięcie z drugim policjantem, który pojawił się obok niego, również wyszedłszy z domu.

- Nic mnie nie obchodzi, co wam powiedział wasz szef! - krzyczał Peter Whitstable. - Chodzę tam co dwa tygodnie od zakończenia wojny i żaden cholerny niższy rangą funkcjonariusz policji nie powstrzyma mnie przed tym.

- W takim razie ktoś musi panu towarzyszyć - przekonywał policjant, próbując dotrzymywać mu kroku, kiedy szli ścieżką w ogrodzie. - Panie majorze, to może być niebezpieczne.

- Dobrze o tym wiem - warknął major, idąc w kierunku młodego policjanta.
- Naprawdę pan myślisz, że zmienię swoje życie z powodu jakiegoś tchórzliwego zabójcy, który boi się ujawnić swoją twarz? To po to mój brat stracił życie? Gdzież podział się duch, który uczynił ten kraj wielkim? Nigdy, panie! Powinienem stawić czoła wrogowi z nieulękłym sercem i... - zapomniał, co miał powiedzieć, i dokończył niepewnie: - ...zdecydowanym krokiem. - Odepchnął policjanta, który stał przy bramie. - I co więcej, będę z powrotem za godzinę. - Wyszedł na ulicę.

- Na miłość boską, idź za nim, Kenworth - polecił drugi policjant - jeśli go zgubimy, będzie draka.

- Dokąd on idzie? - zapytała Sam, patrząc na szybko oddalającą się postać.

- Ostrzyc się - odparł, unosząc bezradnie ręce. - Jest potencjalnym celem mordercy, a idzie na Strand do fryzjera.

Sam dogoniła majora w alejce prowadzącej na Haverstock Hill. Młody policjant szedł sto jardów za nim, zatrzymując się tylko, żeby nadśłuchiwać trzasków w swoim radiotelefonie. Whitstable dotarł do głównej ulicy i skręcił w stronę Belsize Park. Kiedy obejrzał się, Sam zatrzymała się raptownie i wpatrzyła w wystawę apteki. Więc ten człowiek był pod ochroną, ponieważ jego brat został zamordowany? Jeszcze jedna śmierć oprócz śmierci Jacoba? To było zbyt dziwne, żeby to zignorować. Życie majora Whitstable'a nie mogło znajdować się w prawdziwym niebezpieczeństwie, gdyby tak było, policja trzymałaby go pod kluczem, prawda? A jeśli on w ogóle nie zamierza iść do fryzjera? Jeśli chce im się wymknąć? Może policjanci specjalnie mu na to pozwolą, żeby zobaczyć, dokąd pójdzie?

A może byli po prostu niekompetentni.

W każdym razie na to wyglądało, ponieważ major właśnie prześlizgnął się pomiędzy samochodami stojącymi na światłach i skierował się do następnej wciąż zasnuwanej mgłą uliczki po drugiej stronie, a policjant to przegapił. Całe szczęście, że chociaż ona była czujna. Kiedy światła na skrzyżowaniu zmieniły się na żółte, co w Wielkiej Brytanii powszechnie jest rozumiane jako „gaz do dechy”, przebiegła pomiędzy samochodami i wbiegła w uliczkę. Początkowo myślała, że to przy niej znajduje się zakład fryzjerski, do którego udaje się

major, ale nie znalazła nic oprócz kilku pozbawionych klientów butików.

Na końcu uliczki rozległ się warkot taksówki. Przyspieszyła kroku i ujrzała majora zatraskującego drzwi pojazdu. Zanim dobiegła do głównej ulicy, samochód zdążył już odjechać. Sam kątem oka dostrzegła oślepiałego posterunkowego, który krzyczał coś do radiotelefonu.

Chwileczkę, gdzie major mógł się strzyc w wojskowym stylu? Nagle przypomniała sobie narzekanie policjanta: jego podopieczny wybierał się na Strand. Było tylko jedno miejsce, do którego mógł jechać. Sam złapała pustą taksówkę i krzyknęła:

- Do Savoyu, proszę. Najszybciej, jak się tylko da.
- Nie ma sprawy, złotko.

Niecałe dziesięć minut później zajechali pod błyszczące metalowe litery hotelowego wejścia. Stalowa markiza z przodu budynku przypominała jej przód rolls-royce'a. Zakład fryzjerski w hotelu był ostoją tradycji, czymś wymarzoną dla takich ludzi jak major.

Hol był już pełen delegatów na konferencję państw Wspólnego Rynku, która miała się rozpocząć przy Whitehall tego ranka. Sam zignorowała pytające spojrzenie Nicholasa i skierowała się na górę do zakładu. Wiedziała, że tam, w męskim świecie wyłożonych białymi płytkami ścian, narzędzi z nierdzewnej stali i wykańczanych chromem skórzanych foteli fryzjerskich, jest szansa na znalezienie majora. I może uda się go nakłonić do wyjaśnienia związku między starą wiktoriańską Biblią a śmiercią prawnika.

Jedna myśl nie dawała spokoju Peterowi Whitstable'owi, odkąd policja poinformowała go o śmierci brata. Jak to się mogło stać? Jak? W dzisiejszych czasach, oczywiście, mieli wielu wrogów. Można się było tego spodziewać. Świat zmienia się tak szybko. Nie ma już w nim miejsca na szlachetność czy honor. Wojna na to wpłynęła. Jaki ma sens bycie przyzwoitym, skoro wrogowie tylko czekają, żeby cię wykończyć? Zawsze bardzo kochał brata, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: William utracił kontakt z rzeczywistością.

Kiedy taksówka mijala stację Aldwych, ujrzał bezdomnych zawiniętych w kartony z tektury falistej i pomyślał: mój Boże, ludzie znowu żyją na ulicy. Co ich wielkie ideały znacząły dla nich i tysiący im podobnych, przyjeżdżających

tu w poszukiwaniu miasta, w którym możliwe są cuda? Przez ostatnie sto lat nic się nie zmieniło. Wśród bezdomnych było wielu ludzi, którzy mieli jak najlepsze intencje, ale systematyczne pozbawianie ich złudzeń i poczucia własnej wartości sprawiło, że skończyli w rynsztoku.

Oczy majora Whitstable'a zaszyły łzami, kiedy taksówka podjechała pod Savoy. Płacąc, odwrócił głowę od kierowcy. Nigdy nie patrz w oczy służbie, pomyślał z przyzwyczajenia, po czym przypomniał sobie, że już nie ma służby. Teraz wszyscy byli sobie równi. Spróbuj powiedzieć to żebrakom, pomyślał, kiedy szedł przez zatłoczony hol hotelu. Wyniszczeni, pozbawieni praw obywatelskich, nastoletni zbiegowie - inni ludzie - byli nikim w porównaniu z bogatymi gośćmi tego hotelu. Jesteśmy teraz wszyscy równi, pomyślał z goryczą, jeśli nie liczyć sędziów, właścicieli ziemskich, polityków i dyplomatów. Jeśli nie liczyć takich rodzin jak nasza.

Wszedł po kręconych schodach i otworzył szklane drzwi na górze. Zapach mydła i gorących ręczników nieco poprawił mu humor. Zdziwił się, że w poniedziałkowy ranek w lokalu nie ma innych klientów. Co więcej, wyglądało na to, że nie ma również Maurice'a. Fryzjer, którego nigdy przedtem nie widział, ostrzył brzytwę o skórzany pasek.

- Dzień dobry, panie majorze - powiedział wesoło. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że jednak go już kiedyś widział. W każdym razie jego wybrylantynowane, zaczesane do tyłu włosy, przykrywające łysinę i niewielki wąsik wydawały mu się dziwnie znajome. Ten człowiek zdawał się jednak mieć makijaż. Jego twarz była pokryta cienką warstwą jasnego pudru, która kończyła się na brązowej szyi. Dziwne.

- Dzień dobry - odrzekł Whitstable, zdejmując marynarkę. - Co się stało z Maurice'em? - Wyjął wiktoriański zegarek z kieszonki kamizelki i postukał w niego z irytacją.

- Jakiś wirus krąży w powietrzu - wyjaśnił fryzjer. - Jestem Eric. - Nie wyglądał na Erica. Mówiąc szczerze, wyglądał na Hindusa, i to bardzo chorego Hindusa. Major postanowił przejść nad tym do porządku dziennego.

- Dobrze, Ericu, zaczniemy w takim razie od początku. - Napotkał spojrzenie wodnistych czerwonych oczu mężczyzny w lustrze.

- Nie ma potrzeby, proszę pana - odparł fryzjer. - Miałem już przyjemność golić pana kiedyś, dawno temu. Pan Maurice poinformował mnie, że nic się nie zmieniło w pana przyzwyczajeniach. Proszę siadać.

Kiedy fryzjer pochylił się, major wyczuł dziwny, zapomniany zapach. Przypominał mu czatni¹. Kim był ten człowiek? Hinduski zapach, hinduski akcent. Zasepił się.

¹ Indyjska ostra przyprawa z marynowanych owoców i warzyw (przypr. tłum.).

Eric rozpostarł białą pelerynę z trzaskiem świeżego płótna, który zabrzmiał jak wystrzał pistoletu, po czym zawirował nią ponad głową Whitstable'a niczym matador, usiłujący rozwścieczyć byka. Major zamknął oczy i wsłuchał się w dźwięki, które słyszał przez całe swoje życie. Świeża piana pluskająca w miseczce ceramicznej, rytmiczne ostrzenie otwartej brzytwy. Poczul sztywne włosie pędzla, pokrywającego pianą policzki i wspomnienia wróciły.

- Gdzie mnie pan golił? Bo z pewnością nie tutaj?

- Nie, proszę pana. W Indiach.

Światło nad lustrem zapaliło się i oślepiło go, kiedy poczuł pierwsze dotknięcie brzytwy. Nawet w Afryce, kiedy walczyli przeciwko wojskom Rommla, nigdy nie golił się sam, podobnie zresztą jak i William. Te czasy odeszły na zawsze.

- To nie potrwa długo, panie majorze - powiedział Eric uspokajająco.

Ostra stał pozbawiła zarostu jego podbródek. Ostrze zostało wypłukane do czysta i wróciło do jego twarzy gorętsze niż wcześniej.

- Gdzie w Indiach?

- W Kalkucie, proszę pana, jakieś piętnaście lat temu. Bodajże w 1958 roku.

- To prawda, stacjonowałem wtedy w Kalkucie.

- I tam właśnie się spotkaliśmy, proszę pana.

- Kto by pomyślał.

Ostrze przebiegło delikatnie po jego policzku i wbiło się w zarost nad tchawicą. Trochę za głęboko, pomyślał.

- Spokojnie.

Brzytwa uniosła się, muskając jego podbródek, a potem nagle płomień przeszył jego gardło. Był pewien, że został skaleczony. To niewybacalne!

- Chwileczkę... - zaczął.

Stalowe ostrze przeszło jego skórę jak bagnet i rozdzieliło ją szerokim łukiem. Major uniósł ręce, kiedy krew trysnęła z palącej rany, spływając po jego podbródku i szyi. Próbował krzyknąć, ale ostrze zagłębiało się coraz bardziej, kiedy rozwścieczony fryzjer, który z pewnością nie miał na imię Eric, kończył swe dzieło, a jego oczy szaleńczo błyszczały.

- Dokąd idziesz? - zapytał Nicholas, łapiąc ją za rękę. - Powinnaś zacząć pracę ponad godzinę temu.

- Czy nie możesz mnie zastąpić? - poprosiła Sam. - To naprawdę ważne.

- Niby czemu miałbym to zrobić? To nie pierwszy raz, kiedy się spóźniasz, gdy mamy tu urwanie głowy.

Sam popatrzyła zrozpaczonym wzrokiem na drzwi zakładu fryzjerskiego.

- Masz rację - powiedziała. - Przepraszam. - Nicholas zwolnił uścisk. - Będę tam za chwilę. - Pobiegła w górę schodów, zostawiając protestującego kolegę za sobą.

Drzwi były zamknięte. Popatrzyła na zegarek. Piętnaście po dziesiątej. Dziwne. Zakład był otwarty od wpół do dziesiątej. Poza tym Maurice nigdy nie zamykał drzwi. Za matową szybą nie widziała żadnego ruchu. Pomieszczenie wydawało się puste.

Uklękła i zajrzała przez szparę pod drzwiami. Na jednym z foteli siedziała jakaś postać. Jedna ręka zwisała na podłogę. Biała peleryna przykrywająca ciało była zabarwiona na czerwono.

Zerwała się na równe nogi i całym ciałem zaczęła uderzać w drzwi, aż drewno rozprysło się na wszystkie strony, a stara szyba pękła. Popchnęła roztrzaskane drzwi i weszła do środka. Wyciągnięta w fotelu postać miała rozcięte gardło. Na jej twarzy malował się wyraz niedowierzania, oczy wytrzeszczone były w zaskoczeniu. Rączka otwartej brzytwy wystawała z ust ofiary. Tylko wypucowane na glanc buty wojskowe, które wystawały spod peleryny, przypomniały Sam, że patrzy na ciało majora Petera Whitstable'a.

11 SPUŚCIZNA

Ciężka drewniana kłapa otworzyła się, wzbijając tumany kurzu.

John May zajrzał do środka, przyświecając sobie latarką. Strych zajmował całą długość domu. Krokwie były czyste i pozbawione pajęczyn, a podłoga wyłożona nowymi deskami.

Podciągnąwszy się, May przebiegł latarką po ścianach i znalazł włącznik. Rtęciówka dawała na tyle dużo światła, żeby oświetlić środek pomieszczenia. Wytarł pobrudzone dłonie i usiadł przy jednej ze skrzyń. Było ich tam co najmniej dwadzieścia: wszystkie zamknięte, wszystkie przeznaczone do transportu herbaty. Oprócz tego na strychu znajdowały się sterty książek, zakurzone meble, narzędzia stolarskie, stara prasa litograficzna, gipsowe posągi, a nawet klawesyn. Bracia Whitstable trzymali w ukryciu dużą część swej przeszłości i całą ją teraz trzeba było przejrzeć.

Zdjął z jednej ze skrzyń płachtę chroniącą przed zakurzeniem i poświecił latarką. W środku ujrzał zapuszczony wiktoriański serwis obiadowy i leżące luzem porcelanowe figurki. Uniósł dwie i przyjrzał się im. Żołnierz na koniu, inny obok kuchni polowej, prawdopodobnie postaci z wojny krymskiej. Bryant z pewnością wiedziałby, kim są. Kilka obrazów z końmi, popiersie Walpole'a, numerowane, oprawne w skórę, pierwsze wydania książek. Próbował sobie wyobrazić, ile to wszystko jest warte. Pobieżny rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że bracia zgromadzili tu fortunę. Zastanawiał się, kto to wszystko odziedziczy.

Była w tej całej sprawie pewna sztuczność, która martwiła go bardziej niż wszystko inne. Tajemnicze morderstwa wśród ludzi z wyższych sfer należały do świata edwardiańskiej fikcji. Takie przestępstwa po prostu się nie zdarzały we współczesnym świecie. Przez tydzień na West Endzie popełniono pół tuzina morderstw, ale wszystkie były banalne do szpiku kości. Młody Chińczyk zadźgany w Chinatown w biały dzień, prawdopodobnie z powodu długów karcianych. Klient klubu nocnego znaleziony martwy na ulicy - zabity przez bandę wyrostków, którzy widzieli, jak szastał pieniędzmi. Sprzeczka pod barem, której efektem był jeden martwy i jeden w stanie krytycznym - noże plus alkohol

równa się awantura. Bryant miał rację - zwykle zbrodnie w mieście były krwawe i niepotrzebne. Z profesjonalnego punktu widzenia - ledwie warte uwagi.

W latach siedemdziesiątych do większości zabójstw dochodziło w zaciszu domowym. Kobiety padały ich ofiarą częściej niż mężczyźni, prawie połowa ginęła z ręki męża lub kochanka. Mężczyźni byli mordowani przez znajomych lub obcych, po prostu dlatego, że wychodzili z domu częściej niż ich partnerki. Morderstwa popełniane przez gangi mniejszości etnicznych stanowiły margines. O przestępstwach związanych z narkotykami w ogóle się nie słyszało. Rzadko widywano broń palną. Mieszkańcy East Endu wciąż wspominali z szacunkiem braci Kray¹, ale nikt naprawdę nie uważał ich za bohaterów.

¹ Ronald i Reginald Kray - bracia bliźniacy w latach sześćdziesiątych XX wieku rządzący światkiem przestępczym północnego i wschodniego Londynu (przyp. tłum.).

May wiedział, że statystyki były zaniżone. W rzeczywistości odnotowywano więcej przestępstw, niż się oficjalnie mówiło. Właściwie można było być pewnym tylko dwóch rzeczy. Morderstwa najczęściej popełniali członkowie rodziny zabitych. I każdego roku ich liczba rosła.

Przyglądał się nagromadzonym przez ponad stulecie pamiątkom przeszłości, wypełniającym każdy kąt. Było tu coś z klimatu powieści Roberta Louisa Stevensona, poczucie wieloletnich zatargów rodzinnych sięgających punktu krytycznego. O co? O spadek? O zaginiony testament? Ta myśl brzmiała przesadnie gotycko, ale obiecująco, zwłaszcza że prawnik rodziny również został zabity. Jakie były jeszcze inne możliwości? Zemsta? Dług honorowy? Śledztwo musi nabrać teraz tempa i niebezpieczeństwo tkwiło w tym, że z pośpiechu mogą przeczytać coś ważnego.

Wysocy funkcjonariusze już naciskali, by dochodzenie jak najszybciej zakończyć. Raymond Land złożył wizytę Mayowi. Wyjaśnił, że Whitstable'owie to nie byle kto, są ustosunkowaną rodziną, której zdanie wciąż się liczy. Na miłość boską, Peter był osobistym przyjacielem marszałka Montgomery'ego. Dorównywał mu, jeśli chodzi o cierpliwość i zdolności strategiczne, i był wraz z Ósmą Armią na wschodnim wybrzeżu Włoch. Został odznaczony za udział w kampanii w Normandii, lego brata Williama przedstawiono królowej w Sandringham, chociaż Land nie miał pojęcia dlaczego.

Ale jeśli William Whitstable był taką wpływową figurą, zachodził w głowę May, dlaczego podjął ryzyko zniweczenia konferencji państw Wspólnego Rynku, niszcząc obraz? I czy to możliwe, żeby teraz ktoś z kręgów rządowych chciał wziąć odwet za ten czyn?

Spotkanie z Landem zakończyło się oskarżeniami o zdradę stanu.

May wiedział, że z tych wszystkich powodów nie uda się zbyt długo trzymać dziennikarzy z dala od tej sprawy. Szybkie rozwiązanie zagadki było rzeczą niezbędną; to było pierwsze śledztwo niezależnego wydziału i wszyscy czekali z niecierpliwością na jego wynik.

Nic tak jak delikatny nacisk z góry nie posuwa sprawy naprzód, pomyślał May, kiedy uniósł wieko następnej skrzyni. Wypełniały ją herbarze. W środku ujrzał płaską mahoniową skrzynkę z mosiężnym kluczykiem w zamku. Nie dostali pozwolenia na przeszukanie domu, ale policjant był przygotowany na nagięcie zasad, zanim zjawią się krewni.

Jak wynikało z jego informacji, Bella Whitstable od sześciu tygodni była w podróży służbowej za granicą. Zostawiła Peterowi adres do korespondencji i została przez niego powiadomiona o tragedii, która przydarzyła się Williamowi. Kiedy jednak w Kalkucie wsiadała na pokład samolotu British Airways, nie wiedziała pewnie, że jej drugi brat również padł ofiarą morderstwa.

Wszystko wskazywało na to, że Whitstable'owie nie utrzymywali z nią bliskich stosunków, Bella planowała jednak spędzić z braćmi kilka dni w nadchodzące święta. Teraz czeka ją podwójny pogrzeb. May miał nadzieję, że była silną kobietą. Nie ma nic gorszego niż święta w cieniu śmierci.

Przekręcił klucz i otworzył skrzynkę. W środku leżała cienka, błękitna jedwabna szata z wyszytą tarczą strzeżoną przez jednorożce. Pod nią widniały wyszyte ciemnozłotą nicią słowa: *Justitia Virtutum Regina*. Miał pewność, że to symbole jednego z cechów miasta Londyn. Nie zdziwiło go, że bracia należeli do tego typu organizacji. Delikatnie zamknął skrzynkę. Cała zawartość strychu przybliżyła mu wizerunek rodziny Whitstable'ów, chociaż wątpił, czy to pomoże wpaść na trop ich mordercy. Jak większość arystokratycznych rodzin Whitstable'owie w obliczu kryzysu się jednoczyli. Prasa dopiero całe lata później miała złamać znowę milczenia, która utrzymywała skandaliczne szczegóły z życia wyższych sfer w tajemnicy. Zasady postępowania

dziennikarzy londyńskich zostały ustanowione przez potężne związki zawodowe. Bezwzględna rywalizacja, która zmieni oblicze prasy brytyjskiej, rozpoczęła się dopiero za jakieś dziesięć lat. Obecnie trudno zdobyć dokładne informacje o arystokratkach. May wrócił na dół i zadzwonił do Raymonda Landa.

- Właśnie otrzymałem wyniki ekspertyzy tej waszej bomby - powiedział przełożony. - Twój kolega miał rację. To dosyć niezwykły mechanizm, wyjątkowo skuteczny. Czy możesz przyjechać, gdy tylko skończysz?

Do wieczora zakład fryzjerski w hotelu Savoy został sprawdzony przez techników policyjnych, wyczyszczony i doprowadzony do poprzedniego nieskazitelnego stanu, z wyjątkiem sześciostopowego obszaru odgradzonego taśmą. Arthur Bryant stanął na kawałku świeżo wytartej podłogi i przypatrzył się swemu odbiciu w wysokim lustrze nad umywalką. Ależ ze mnie niechluj, pomyślał. Muszę koniecznie sobie sprawić lepiej dopasowaną sztuczną szczękę i porządny płaszcz zimowy, taki, z którego nie będą się ciągnąć nitki. Przydałoby się mu również strzyżenie, ale takie zakłady jak ten nie były w jego stylu. Lśniący chrom i ceramiczne umywalki z namalowanymi nazwami producentów, opalizujące płytki i bielutkie ręczniki - to wszystko należało do przedwojennego świata służących i pokojowych, a Bryant wiedział doskonale, że w systemie klasowym tamtych czasów znajdowałby się pośród tych, którzy służyli.

Jego ojciec spędził całe życie na służbie. Zapewnił rodzinie względny dostatek i do końca zachował godność. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może być tyle samo wart, co ci, którym usługiwał. Po latach stało się to nieustannym źródłem konfliktów między nim a synem.

Bryant odwrócił się i popatrzył na skórzany fotel fryzjerski. Ktoś wykonał kawał dobrej roboty; po zebraniu odcisków palców wypucowano go do połysku. Nikt by nie pomyślał, że tego ranka kogoś na nim zamordowano.

Dziewczyna z miną winowajczyni siedziała przy wieszaku na ręczniki. Miała zwyczaj patrzenia w ziemię, kiedy mówiła, tak że kasztanowe włosy spadały jej na twarz, zasłaniając oczy. Była jedną z tych ładnych kobiet, które w ogóle nie wykorzystują swojej atrakcyjności.

- Możemy zacząć? - zapytał Bryant, siadając w fotelu fryzjerskim i unosząc nogi z podłogi. - Tak więc weszła pani tutaj i zobaczyła majora Whitstable'a z brzytwą wystającą z ust. Gdzie był fryzjer?

- Nie było go tutaj - odparła Sam. - Inaczej pewnie by mnie zaatakował, wie pan.

- Domyślam się.

- Zakład ma drugie wejście dla dostawców, które wychodzi na uliczkę za hotelem. Miał idealną drogę ucieczki.

- Rozumiem. Przy okazji, czy ktoś ostrzegał panią przed rozmowami z prasą?

- Wolałabym ich uniknąć.

- I jest pani całkowicie pewna, że nie widziała pani nikogo poza majorem tutaj ani na zewnątrz?

Sam potrząsnęła głową i wpatrzyła się w drzwi. Całe szczęście, że młodzi są tacy odporni, pomyślał Bryant. Ta dziewczyna była przy dwóch zgonach, co powinno ją uczynić podejrzaną, gdyby nie to, że nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł choć przez chwilę myśleć, że miała z nimi coś wspólnego. Wydawała się wstrząśnięta, ale nie w szoku. Cały czas jednak istniała możliwość, że coś ukrywa.

- Proszę mi powiedzieć, co w ogóle pani tu robiła?

- Chciałam zapytać Maurice'a, czy nie mógłby mnie obciąć - odrzekła Sam.

- Co się z nim stało?

- Mniejsza o to. - Im mniej dziewczyna wiedziała, tym lepiej. Ktoś zadzwonił do fryzjera w sobotę i poinformował go, że w poniedziałek zakład będzie zamknięty z powodu wymiany rur. Miał przyjść do pracy dopiero we wtorek. Bryant obrócił fotel do dziewczyny. - Coś mi mówi, że wie pani więcej, niż chce mi powiedzieć.

- Ja po prostu tutaj pracuję. - Sam zwiesiła głowę.

- Jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze, niezależnie od tego, jak nieważne będzie się to wydawać, proszę powiadomić mnie lub pana Maya, dobrze? - powiedział Bryant, wstając z fotela. - Każda gwałtowna śmierć jest tragedią, ale może również niekorzystnie odbić się na reputacji hotelu, nawet jeśli jest tak stary i poważany jak Savoy. Proszę przyjść do mnie, zanim porozmawia pani z kimkolwiek innym.

- Panie Bryant? - Spojrzała na niego.

- Tak?

- Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią pana Jacoba?
- Wiem tyle samo, co pani.
- Musi mieć, prawda? Oni się znali.

Bryant nie miał w zwyczaju wtajemniczać obcych w sprawy wydziału, czasami jednak mu się to zdarzało.

- Za wiele zbiegów okoliczności, żeby nie miało, prawda? Ale musimy opierać się na dowodach, a tymi na razie nie dysponujemy.

- Chciałabym pomóc - zapewniła go. - Jestem już w to zaangażowana. Mogę dla was pracować.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Ale jesteście przecież eksperymentalnym wydziałem. Tak było napisane w gazetach. Pracujecie na swoim. Nikt nie może wam niczego zabraniać.

- Dziękuję za propozycję. - Poklepał ją po ramieniu. - Będę o tym pamiętał. A teraz proszę już wracać do pracy. Prawdopodobnie będziemy jeszcze rozmawiać.

Wracając do siedziby nad stacją metra Mornington Crescent, Bryant próbował połączyć ze sobą wydarzenia minionego tygodnia. Cała ta historia była nie tylko jedyna w swoim rodzaju; była absurdalna. Trzy śmierci - wąż, ładunek wybuchowy i brzytwa. Co będzie następne? Balon? Armata? Trójzab? Przez chwilę zastanawiał się, czy cała ta sprawa nie jest jakimś wymyślnym żartem, mającym skompromitować wydział.

- Proszę popatrzeć.

Raymond Land powierzył przeprowadzenie eksperymentu ubranemu w białe fartuch młodemu człowiekowi o ziemistej cerze, który w jednej ręce trzymał probówkę z czymś, co wyglądało jak płynna rtęć, a w drugiej pędzelek. Ostrożnie zanurzył pędzelek w roztworze, po czym rozprowadził cienką warstwę płynu na boku dziecięcego klocka. Bryant wyjął z kieszeni brudne okulary do czytania i umieścił na nosie. May siedział na jedynym krześle w sali.

- Musimy poczekać kilka sekund, aż wyschnie - powiedział młody technik. - To coś, czego nie widzieliśmy od lat. Acetylenek srebra. - Uniósł probówkę. - Dopóki jest mokry, wszystko jest w porządku, ale gdy tylko spróbuje się go osuszyć... - Uniósł klocek i przyjrzał się śladowi po roztworze. Zadowolony, rzucił klocek na biurko. Rozległ się huk i z poczerwiałej dziury w meblu uniósł

się dym. - ...staje się niebezpieczny - dokończył, już całkowicie zbytecznie.

- To mienie państwowe - zauważył Land, szacując zniszczenia.

- Jakie, pana zdaniem, urządzenie domowej roboty zdolne byłoby wywołać taką reakcję chemiczną? - zapytał May. - Jakiej wielkości musiałyby być?

- Mogłoby być niewielkie, chodzi tylko o to, żeby obszar wysychania płynu był wystarczająco duży. Proszę zobaczyć. - Wyjął z kieszeni plik kartek i zaczął rysować. - Złożywszy kawałki metalu, które znaleźliśmy w żołądku Williama Whitstable'a, otrzymaliśmy coś takiego. Płyn gromadził się tutaj...

- Zastanawiałem się, dlaczego jeden kawałek wykonany został ze srebra - włączył się Bryant. - Teraz już wiem. To była część zbiornika.

- Mechanizm zegarowy uwalnia płyn do zbiornika osuszającego. Proszek zaczyna wysychać, powiedzmy, pod wpływem ciepła ciała. Kiedy jest suchy, wybucha. - Uniósł skończony rysunek, który ukazywał metalowy zbiornik wielkości i kształtu zegarka kieszonkowego.

- Wymarzona rzecz dla edwardiańskiego dżentelmena - powiedział Bryant.

- Dziękujemy za pokaz. - Klepnął Maya w ramię. - Chodź. Mamy spotkanie.

O pół do dziewiątej wieczorem w hali Victoria Station przemieszczały się jedynie niewielkie grupki podróżnych krążących między pociągami i kasami biletowymi.

Bryant stał przy barierce, obserwując przyjeżdżających.

- Jeśli jest taka jak reszta jej rodziny, powinna mieć na sobie krynolinę i turniurę. - Spojrzał na Maya, który właśnie sprawdzał godzinę na zegarku.

- Założę się, że to ona.

Bryant popatrzył w kierunku wskazywanym przez przyjaciela. Bella Whitstable była szeroką w ramionach i przysadzistą damą, która wyglądała, jakby spędziła pół życia na hodowli pszczoł albo naprawianiu kamiennych murów. Szła do nich pewnym krokiem. Praktyczność jej butów i kurtki zimowej kontrastowała z niebieską broszką i złotymi kolczykami łagodzącymi surowość fryzury. Uścisk jej ręki był silny, a sposób bycia - bezpośredni.

- Nie życzę sobie żadnego cackania - powiedziała policjantom. - To żadna tajemnica, że ja, William i Peter nie byliśmy ze sobą zbyt blisko, ale to oczywiście przerażające, że spotkał ich taki koniec.

- Więc wie pani o Peterze - wybąkał zaskoczony May.
- Raczej trudno przegapić takie nagłówki - odparła Bella, podając mu egzemplarz „Evening Standard”.

ZAGADKOWA ŚMIERĆ W ZAKŁADZIE FRYZJERSKIM HOTELU SAVOY

ZMARŁY BYŁ BRATEM OFIARY EKSPLOZJI W METRZE!

Dziennikarze naprawdę siedzieli im na ogonie. Ponieważ tożsamość Petera Whitstable'a nie została jeszcze ujawniona, May zastanawiał się, jak udało im się połączyć te dwie śmierci tak szybko. Oficjalne oświadczenie na temat wybuchu w metrze sugerowało, że w jednym z wagonów doszło do awarii. Kłamstwo było konieczne, aby ludzie nie martwili się, że to IRA rozpoczyna świąteczne ataki na stolicę.

- Przykro mi, że dowiedziała się pani o tym w taki sposób - powiedział May, biorąc jej torbę. - Nie udało nam się wcześniej z panią skontaktować. - Planował wysłać kogoś na lotnisko, ale nie zdążył.

- Rozumiem - odparła Bella ze znaczącym spokojem. - Zajmie mi dobrą chwilę pełne zrozumienie, co się stało.

- Biorąc pod uwagę okoliczności; raczej odradzam zatrzymywanie się w tym domu.

- O, to na pewno. Szkopuł w tym, że ja chcę w nim być. Mam tam rodzinne pamiątki. Nie przepadam za Londynem, więc zostanę tu najkrócej, jak się tylko da.

Poszli do czekającego na nich samochodu.

- Mogą panowie mnie pytać, o co tylko zechcą - oznajmiła Bella, zajmując miejsce. - Wróciłam z miasta, w którym nagła śmierć jest częścią codziennego życia. Nie będę się oburzać.

- Wspominała pani o niezbyt bliskich stosunkach z braćmi, prawda? - zaczął Bryant.

- Były między nami od dawna spory. Teraz wydaje się to wszystko śmieszne. Nie pochwalałam całego tego życia przeszłością. To zakrawało na czysty obłąd. Z kolei William nie pogodził się z tym, że tak wcześnie znalazłam partnera, i doprowadził do zerwania. Nigdy mu tego nie wybaczyłam. Były też inne rzeczy, głównie finansowej natury. Trudno tak na poczekaniu mówić o

konkretach. Muszą mi panowie dać trochę czasu na zastanowienie.

- Będziemy potrzebowali szczegółów dotyczących wszystkich spadkobierców. Podejrzewam, że Peter mówił pani, że państwa prawnik Max Jacob również nie żyje.

- Tak, to niezwykle. Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas jest bezpieczny. Bardzo bym chciała rzucić na to trochę światła, ale po prostu nie wiem, od czego zacząć.

- Pozostaje jeszcze kwestia pogrzebu - powiedział Bryant łagodnym głosem. - Chociaż pewnie wolałaby pani o tym porozmawiać później...

- William i Peter zostaną pochowani razem. Mamy grobowiec rodzinny na cmentarzu Highgate - odparła Bella, patrząc przez okno na oddalającą się stację. - Tak chyba będzie najlepiej.

- Musimy prosić panią o zgodę na obecność policji w czasie uroczystości - oznajmił May. Często się zdarzało, że mordercy uczestniczyli w pogrzebie ofiar.

- Rozumiem. Czy macie panowie jakikolwiek pogląd na temat tego, co to może być za osoba?

- Mamy nadzieję, że pani nam pomoże - odrzekł Bryant. - Dlaczego, pani zdaniem, William żył przeszłością?

- Och, jesteśmy dosyć staroświeccy. Historia naszej rodziny jest nierozdzielnie związana z historią Anglii. - Bella wyjęła z torby ogromną płócienną chusteczkę i głośno wydmuchała nos. - Wydaje mi się, że William nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że czasy się zmieniły. Koniec dziewiętnastego wieku był czasem naszej świetności. Fortuny naszych przodków powiększały się wraz z rozwojem imperium, tak samo jak i rodziny. Synowie i córki w każdej znaczącej placówce. Bezlitośni chrześcijanie i biznesmeni bez serca. Tak było z wieloma starymi rodami. Teraz spotkał je podobny los do naszego - upadek. Chociaż nie wydaje mi się, żeby znikwały w równie drastycznych okolicznościach. Zastanawiam się, czy mamy w tej chwili jakichś rywali w interesach. Powinniście to sprawdzić, panie Bryant.

- Próbujemy, ale teraz, po śmierci Petera, będzie to trudniejsze. Czy obydwaj pani bracia byli na emeryturze?

- Z wyjątkiem tego, że grali trochę na giełdzie, nic nie robili. Słyszałam o Williamie i tym obrazie. Co za przerażająca historia.

- Nie ma pani jakichś sugestii, dlaczego to zrobił?
- Najmniejszych. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby którykolwiek z nich miał prawdziwych wrogów. I kto mógłby chcieć ich zabić z powodu obrazu? Z tego, co mówił mi Peter, wynika, że on nie był zbyt cenny.

- Czy dobrze znała pani Maxa Jacoba?

- Niezbyt dobrze, niestety. Zarządzał posiadłością rodzinną i wszystkimi naszymi sprawami finansowymi, ale kontaktował się tylko z Williamem.

- Okłamał swoją rodzinę co do powodu wyjazdu do Londynu - oznajmił May. - Jeśli nawet widział się z Williamem, nie natrafiliśmy na najmniejszy ślad tego spotkania.

Samochód wjechał do dzielnicy St. John's Wood. Uwagę Belli zwrócił mijany budynek.

- Proszę spojrzeć - powiedziała, wskazując tabliczkę na ścianie. - Tadema House. Jakże wspomniałbym malarzem był Alma-Tadema. Wszyscy uwielbialiśmy prerafaelitów, nawet Peter. Matka miała kilka ich obrazów. Oczywiście wszystkie zostały przekazane do galerii.

- Czy miała jakiś obraz Waterhouse'a? - zapytał Bryant.

- Nie, chyba nie. Czy to właśnie Waterhouse'a zniszczył mój brat?

Bryant skinął głową.

- Co mu strzeliło do głowy? - Bella ponownie wydmuchała nos. Kiedy samochód dojechał do Hampstead, zaczęło mżyć.

- Dom jest pod naszą całodobową ochroną - poinformował ją May, kiedy skręcili w Mayberry Grove. - Jeśli planuje pani wyjście, proszę podać mi trasę.

- Jutro wieczorem spotykam się ze swoim towarzystwem - powiedziała Bella, wysiadając. - Wiem, że William i Peter chcieliby, żebym tam poszła. Podejrzewam, że ktoś będzie musiał mi towarzyszyć.

- Co to za towarzystwo? - zapytał Bryant.

- Towarzystwo Sabaudzkie - odparła Bella, zamykając drzwi. - Gilbert i Sullivan. Jestem przewodniczącą. Proszę się mną nie przejmować, sama trafię do domu.

- I co o niej myślisz? - zapytał May, kiedy wracali do siedziby nad stacją metra Mornington Crescent.

- Wygląda na to, że ma niezwykle spokojne podejście do tego wszystkiego.

Albo rzeczywiście nie jest zbyt przejęta tym, co się stało, albo nie mówi nam wszystkiego. - Bryant wpatrzył się w deszcz za oknem. - Mam nadzieję, że czegoś się od niej dowiemy.

- Nie jestem pewien, czy ona będzie chciała nam coś powiedzieć - podzielił się swymi wątpliwościami May. - Jeśli coś łączy członków rodziny Whistable'ów, to na pewno to, że żaden z nich nie wie, jak zachowuje się normalny człowiek. Jak w ogóle uda nam się ustalić motyw?

- W tej chwili o wiele ważniejsze jest co innego - odparł Bryant. - A mianowicie: jak uda nam się utrzymać ich wszystkich przy życiu?

12 SABAUDCZYCY

Przestraszył ją widok krwi na poduszce.

Musiła we śnie przygryźć wargę. Sen znów powrócił, jego siły nie stępiło to, że był już znany. Obudzona, odwróciła głowę do rosnącego paska światła dziennego przepoławiającego sufit pokoju. Wciąż jednak czuła zimno tych niekończących się alejek.

W minionym tygodniu widziała dziwniejsze rzeczy i nie były one snami. Po raz pierwszy rzeczywistość jawiła się jej bardziej niepokojąca od wyobrażeń. Pomyślała o trupie w zakładzie fryzjerskim i poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Udało jej się wyjść poza azyl stworzony przez rodziców na teren całkowicie nieprzewidywalny. Ta myśl ekscytowała ją. Doktor Wayland, jej terapeuta, skończył zorganizowaną na poczekaniu sesję ostrzeżeniem przed krzywdą, jaka może ją spotkać, jeśli pozwoli, by to, co nazywał „negatywnymi aspektami” jej natury, wysunęło się na pierwszy plan. Przede wszystkim chyba jednak martwił się, czy otrzyma od Gwen swój comiesięczny czek.

Popatrzyła na budzik i wstała z łóżka. O ósmej rano dom pogrążony był jeszcze w ciszy. Ani Jack, ani Gwen nie obudzą się przez najbliższe pół godziny. Kiedy już dostarczą im gazety, przeczytają o ostatnim makabrycznym odkryciu w miejscu pracy ich jedyne dziecko. Gwen zapewne znajdzie sposób, by jej zasugerować, że w jakimś stopniu ponosi za to winę.

Przyjaciele jej rodziców stanowili gałęzie tego samego drzewa. Mężczyźni

piastowali wysokie stanowiska, ich partnerki były przede wszystkim żonami, dopiero potem kobietami. Na najwyższych gałęziach znajdowały się rodziny z gromadzonymi od pokoleń pieniędzmi, funduszami powierniczymi i mało znaczącymi tytułami. Niżej były gałązki nuworyszy. Jack i Gwen znajdowali się dokładnie na poziomie brytyjskiej klasy średniej, błyszcząc niczym gwiazdy w swojej warstwie śmietanki towarzyskiej Londynu. Mieszkali w mieście, które stało się zbyt „kosmopolityczne” dla niektórych spośród ich znajomych, co było eufemizmem oznaczającym, że Londyn jest pełen obcokrajowców. Na szczęście dzielnica Chelsea stanowiła enklawę białych rodzin takich jak oni. Oprócz tego mieli wiejski domek w Warwickshire i dom letni o pomarańczowych dachówkach na Cap Ferrat. Gwen uważała się za kobietę pracującą. Była członkinią rad nadzorczych firm męża i gospodynią wielu wieczorków charytatywnych, które organizowała dla propagowania modnych idei, najlepiej związanych z końmi lub fotogenicznymi dziećmi. Oto właśnie wyższe rejony klasy średniej, pozostające wierne swym zasadom. Pieniądze Jacka nie były na tyle stare, by pozwoliły im zachowywać się tak, jakby chcieli.

Kolejny cios dla pozycji rodziny stanowił fakt, że z powodu trudnego charakteru Sam musiała pójść do małej szkoły prywatnej w Chelsea, która pełniła funkcję zakładu wychowawczego dla sprawiających kłopoty dzieci z dobrze sytuowanych rodzin.

Sam nigdy nie sprzątała w swoim pokoju; ta czynność była zarezerwowana dla szwedzkiej *au pair*. Nigdy też nie pozwolono jej wieszać plakatów z powodu śladów pozostających na ścianach. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby opowiedziała Gwen, że była przesłuchiwana przez policję. Matka prawdopodobnie zemdłałaby ze wstydu. Podejrzewała, że jej rodzice boją się dzieci o bogatej wyobraźni. W ich oczach rozbudzała ona inwencję twórczą, która nie pozwalała młodym ludziom stać się w pełni produktywnymi członkami społeczeństwa. Zależało im, żeby ich córka robiła coś pożytecznego.

Kąpiąc się i ubierając, zastanawiała się, czy kiedykolwiek pozwolą jej wybrać własną drogę życia. Tak wiele wydarzyło się w ciągu jednego tygodnia. Widziała dwa zgony, rozmawiała z ludźmi, dla których było to częścią ich codziennego życia; nic dziwnego, że chciała wiedzieć więcej. Wciąż miała tę

Biblię. Musiała zastanowić się nad następnym krokiem.

Kiedy wycierała parę z lustra i czesała mokre włosy, myślała o Josephie Herricku. Był zajęty pracą nad projektami dla teatru, ale następnym razem, kiedy będzie przechodził obok recepcji, zaprosi go na randkę.

Wyglądało na to, że wszystko jest możliwe, pod warunkiem że będzie trzymać język za zębami.

DAILY MAIL, WTOREK, 14 GRUDNIA 1973

NOWA POSZŁAKA W ŚLEDZTWIE W SPRAWIE ŚMIERCI WHITSTABLE'ÓW ODRZUCONA PRZEZ POLICJĘ

WEDŁUG ŹRÓDŁA ZBLIŻONEGO DO ZESPOŁU NAJBARDZIEJ KONTROWERSYJNEGO LONDYŃSKIEGO WYDZIAŁU ŚLEDZCZEGO NIEZBITY DOWÓD ŁĄCZĄCY TRZY DZIWNE ZGONY, DO KTÓRYCH DOSZŁO W OSTATNIM TYGODNIU, ZOSTAŁ Z ROZMYSŁEM ZIGNOROWANY.

OD CHWILI POWSTANIA WYDZIAŁ PRZESTĘPSTW OSOBLIWYCH SPOTYKA SIĘ Z OSKARŻENIAMI O ELITARYZM I WZBUDZA FAŁĘ KRYTYKI Z POWODU SWOICH NIEKONWENCJONALNYCH METOD ŚLEDZCZYCH. WSZYSTKO WSKAZUJE NA TO, ŻE OBECNIE POLICJANCI ZLEKCEWAŻYLI WAŻNY TROP ŁĄCZĄCY WSZYSTKIE TRZY ZGONY.

WILLIAM I PETER WHITSTABLE ORAZ ICH PRAWNIK MAXIMILLIAN JACOB ZOSTALI RZEKOMO ZAMORDOWANI W OKOLICZNOŚCIACH, KTÓRYCH NIC NIE ŁĄCZYŁO, JEDNAK „DAILY MAIL” DOWIEDZIAŁ SIĘ, ŻE POLICJI ZNANY JEST DOSKONAŁE SYMBOL ŁĄCZĄCY WSZYSTKIE OFIARY.

ZNAK ŚWIĘTEGO PŁOMIENIA BYŁ UŻYWANY PRZEZ CZŁONKÓW RODZINY WHITSTABLE'ÓW I ICH WSPÓLNIKÓW W INTERESACH. JEDNAK PODCZAS DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ TEN SYMBOL ZYSKAŁ ZŁOWIESZCZE ZNACZENIE. BYŁ TO ZNAK ROZPOZNAWCZY UŻYWANY PRZEZ NIEMIECKICH ZAMACHOWCÓW DLA OZNACZENIA USTALONYCH ZAWCZASU CELÓW ATAKÓW.

W LATACH 1941-1944 NIE MNIEJ NIŻ TRZYDZIEŚCIORO SIEDMIORO ANGLIKÓW, KTÓRZY ZOSTALI UZNANI ZA GROŹNYCH DLA LOSÓW NIEMIECKIEJ INWAZJI, NAZNACZONO ZNAKIEM ŚWIĘTEGO PŁOMIENIA, A NASTĘPNIE WYELIMINOWANO W RÓŻNYCH DZIWNYCH OKOLICZNOŚCIACH. ŚWIĘTY PŁOMIEŃ MA POCZODZENIE MITOLOGICZNE I ZWIĄZANY JEST Z IDEAMI OLIMPIJSKIMI.

NIEWIELU PAMIĘTA STRACH, JAKI WYWOŁYWAŁ KIEDYŚ TEN ZNAK. JEGO PONOWNE POJAWIENIE SIĘ, ZBIEGAJĄCE SIĘ W CZASIE Z ROZPOCZĘCIEM KONFERENCJI, TAK NIEZMIERNIE WAŻNEJ DLA BRYTYJSKIEGO PRZYŁĄCZENIA SIĘ DO WSPÓLNEGO RYNKU, MOŻE OZNACZAĆ POWRÓT DO GŁOSU POTĘŻNYCH SIŁ PRAWICOWYCH W NIEMCZECH.

EKSPERCI TWIERDZĄ, ŻE RODZINA WHITSTABLE'ÓW MIAŁA ZWIĄZKI BIZNESOWE Z NIEMIECKIMI DELEGATAMI NA KONFERENCJĘ. NIEDAWNO ICH BIURO W HAMBURGU ZOSTAŁO ZNISZCZONE, A DWIE OSOBY RANNE PO EKSPLOZJI ŁADUNKU WYBUCHOWEGO.

SKONFRONTOWANY Z TYM NOWYM DOWODEM RZECZNIK PRASOWY POLICJI OŚWIADCZYŁ, ŻE WSZELKIE TWIERDZENIA, JAKOBY WHITSTABLE'OWIE MIELI JAKIŚ ZWIĄZEK ZE ŚWIĘTYM PŁOMIENIEM SĄ „DELIKATNIE MÓWIĄC, NIEUZASADNIONE”.

Rankiem 14 grudnia Bryant i May rozpoczęli drugi tydzień śledztwa, stając twarzą w twarz z dwoma ważnymi problemami.

Pierwszym były braki kadrowe. Jako jedyny wydział, który nie działał w strukturach AMIP, musieli liczyć na pomoc z zewnątrz. Niestety, wszystkie jednostki wchodzące w skład AMIP cierpiały na niedobór personelu. Teoretycznie nowy wydział miał otrzymywać pomoc od oficerów śledczych AMIP, w praktyce było to jednak niemożliwe. A to oznaczało, że Wydział Przestępstw Osobliwych, oprócz Bryanta i Maya, tworzyli Raymond Land, dwoje sierżantów (w tym Janice Longbright) i kilku zwykłych funkcjonariuszy, których oczywiście brakowało.

Drugi problem stanowił czas. Pierwsze siedemdziesiąt dwie godziny po zabójstwie są najważniejsze. Pod koniec trzech dni zwykle już wiadomo, czy sprawa zostanie zakończona szybko, czy nie. Ten czas upłynął już w przypadku Maxa Jacoba i Williama Whitstable'a - a wciąż nie było żadnych uzgodnień co do motywu czy jakiegokolwiek poszlaki. Niewiele ustalono poza faktem, że były to trzy zabójstwa z premedytacją. Teraz policjanci zrozumieli, że przed nimi długa droga. W rezultacie postanowili podzielić się obowiązkami, biorąc przy tym pod uwagę swoje predyspozycje.

Bryant miał wypytać Bellę Whitstable o braci, a May spędzić czas z patologiem. Mienie wszystkich trzech ofiar było właśnie przeszukiwane i katalogowane,

a rodzinę Jacoba po raz drugi przesłuchano. Zeznania świadków zestawiała ze sobą Longbright, która dodała je do góry papierów rosnącej w siedzibie nad stacją metra Mornington Crescent.

Leslie Faraday, podsekretarz w ministerstwie sztuki, dzwonił dwa razy, żeby dowiedzieć się, dlaczego nikogo jeszcze nie aresztowano, a ekspert z National Gallery przysłał szczegółowy raport dotyczący problemów przy renowacji obrazu Waterhouse'a.

Z zakładu medycyny sądowej zaczęły napływać ekspertyzy dotyczące śmierci majora Petera Whitstable'a, ale nikt nie miał czasu, żeby je przejrzeć. May uznał ich sytuację kadrową za skandal. Co gorsza, niewykłuczone, że odpowiadają za to ich wrogowie w policji londyńskiej.

Równie frustrujący był fakt, że brakowało czasu, by pójść śladem sugestii „Daily Mail”. Ta teoria brzmiała równie prawdopodobnie jak każda inna, może nawet bardziej, ale Bryant musiał odrzucić ją do czasu, aż zespół będzie w stanie się tym zająć. A kto wie, kiedy to nastąpi?

Gdy May przyjechał do kostnicy, zastał Oswalda Fincha nagrywającego na magnetofon grundig wnioski wypływające z autopsji młodszego brata Williama. Powietrze w wyłożonej białymi płytkami sali było chłodne i antyseptyczne, ale i tak nic nie mogło ukryć faktu, że wokół jest mnóstwo bakterii, jak to zwykle przy badaniu czyjeś ciała.

- Cieszę się, że wróciłeś - oznajmił Finch, wstając i podając mu chudą, oślizłą rękę. - Jak sobie radzicie z tym ukąszonym przez węża?

- Nie za dobrze - odparł May. - Szkoda, że nic nie znaleźli. - Technicy sprawdzili wszystkie trzy trupy, ale nie udało im się znaleźć nic, co by je łączyło. Właściwie to wręcz przeciwnie: zgromadzili włosy i kawałki naskórka kilku różnych typów ciał. Stało się jasne, że chociaż morderstwa były ze sobą powiązane, nie sposób tego udowodnić.

- Arthur uważa, że wybór metod śmierci ma jakieś znaczenie symboliczne - powiedział May. - Że miały one wywołać teatralny efekt. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie tyle trudu?

- Twój przyjaciel zawsze wydaje się rozczarowany, kiedy słyszy, że ktoś zmarł z przyczyn naturalnych - odrzekł Finch, podchodząc do rzędu szarych stalowych szuflad stojących pod ścianą. - W sprawie Jacoba myślę, że w grę

może wchodzić samobójstwo. Niewykluczone, że sam sobie wstrzyknął jad. To by wyjaśniało, dlaczego spokojnie wrócił na fotel i dalej czytał gazetę. Z kolei śmierć waszego wybuchowego Whitstable'a mogła być nieszczęśliwym wypadkiem. Być może sam niechcący włączył to urządzenie. W ostatniej sprawie pojawiło się coś nowego, co chyba cię zainteresuje. - Wysunął jedną z szuflad i sprawnie otworzył plastikowy worek, w którym leżało ciało Petera Whitstable'a. - To wygląda bardziej na egzekucję niż zabójstwo.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - May próbował nie patrzeć na zaschnięte, szerokie pręgi na gardle majora i jego rozerwane usta.

- Jeśli atak byłby rezultatem kłótni, spodziewałbym się znaleźć znaczne obrażenia twarzy i ślady obrony. Ale mówiłeś, że na zewnątrz nie było słychać żadnych krzyków. Napastnik mógł uzbroić się w jakiekolwiek ostre narzędzie, ale wybrał brzytwę. Był bardzo zręczny, przeciął struny głosowe w poprzek gardła. Ofiara nie miała czasu, żeby się bronić. Szybko i skutecznie. A potem znalazłem to.

Wskazał wewnętrzną stronę ramienia ofiary i poświecił latarką.

- Zajmując się kimś, kto przez większą część życia był wojskowym, spodziewałem się znaleźć na jego ciele tatuaż - powiedział Finch. - Ale jest w bardzo dziwnym miejscu. Nigdy nie widziałem tatuażu na wewnętrznej stronie ramienia. To zaledwie kilka centymetrów pod pachą.

Nikt nie mógł go zobaczyć.

John May wpatrzył się w znajomy kształt. Znicz i płomień były takie same jak te znalezione na lasce Williama Whitstable'a.

- Czy pozostali też mają takie tatuaże?

- Nie, tylko major. To prawdopodobnie jakieś wojskowe oznaczenie. Musi być sposób, żeby odkryć, co to znaczy.

- Tak - zgodził się May, dobrze wiedząc, że może nie mieć ludzi do wykonania tego zadania. - Jeśli wierzyć gazetom, zostaliśmy zaatakowani przez współczesnych nazistów, którzy chronią swoje interesy. Dziennikarze zdobywają informacje wcześniej niż my.

- Nie wiem, od czego zacząć - westchnęła Bella Whitstable, stojąc na strychu domu swoich braci. - Wątpię, czy któryś z nich pamiętał, co gdzie jest. - Wnosząc z jej starannego makijażu i eleganckiego wyglądu, miała za sobą

spokojną noc. Z pewnością nie płakała całymi godzinami.

- Tutaj są jakieś ceremonialne szaty - powiedział Bryant, przesuwając mahoniową skrzynkę, którą następnie otworzył. - Może wie pani, jakie było ich przeznaczenie? - Domyślał się, ale oczekiwał potwierdzenia.

- Och, to proste - odrzekła Bella, wyjmując błękitną jedwabną szatę i unosząc ją do światła. - To szata cechu Williama. Peter też taką miał. Podobnie jak większość mężczyzn w naszej rodzinie.

- Co to za cech? - Zjrzał do skrzynki i wyjął z niej gronostajowy kołnierz. Spodziewał się znaleźć gdzieś ciężki złoty łańcuch - i faktycznie, leżał na dnie skrzynki.

- Czcigodne Stowarzyszenie Złotników. Jesteśmy rzemieślniczą rodziną. To właśnie na rzemiośle Whitstable'owie się wzbogacili. Złoto i srebro. Nasi przodkowie byli wymienieni wśród założycieli cechu w 1339 roku.

Bryant wiedział, że stare cechy nadal funkcjonują, zajmując się głównie działalnością charytatywną. Ich szkoły nauki zawodu były kiedyś otwarte dla wszystkich, ale potem stały się elitarne. Dzieci takiego pochodzenia jak on nie miały tam już prawa wstępu.

- Czy William i Peter podtrzymywali kontakty z cechem, uczestniczyli w zebraniach i tak dalej?

- Wątpię. Nie należeli do ludzi zbyt towarzyskich. Zawsze byli za bardzo podejrzliwi wobec innych, żeby mieć wielu przyjaciół. Dorastanie z nimi nie było zbyt zabawne.

- Więc raczej wątpliwe, żeby ich śmierć mogła być rezultatem jakiegoś wykroczenia z przeszłości. - Przebiegł palcami po ściegu szaty.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne, panie Bryant. Nasze interesy zawsze prowadziliśmy w sposób bezkrwawy. Nigdy nie mieliśmy kłopotów z powodu rywalizacji.

Przez chwilę miał przed oczami obraz sędziwych członków cechu, kłócących się o oszukańczą umowę, dawną zdradę. Tajemnicze okoliczności śmierci jakoś dziwnie do tego pasowały.

- Muszę wyjść - powiedziała Bella. - O siódmej spotykam się ze swoimi Sabaudczykami.

- Może pójde tam z panią? - zaproponował Bryant. - Wspominała pani, że to ma jakiś związek z Gilbertem i Sullivanem.

- Jak najbardziej - odrzekła Bella. - Będziemy na nowej inscenizacji *Princess Ida*. Dzisiaj premiera.

Jak mógł zapomnieć? Nowa wersja tej opery przygotowana przez Kena Russella otrzymała pochwały po pokazach przedpremierowych. Bryant obiecał sobie kupić bilet, ale z powodu wydarzeń ostatniego tygodnia porzucił myśli o jakiegokolwiek rozrywce.

- Jestem pewna, że uda nam się znaleźć jakieś wolne miejsce - zapewniła Bella ucieszonego policjanta.

Pod London Coliseum, siedzibę English National Opera i największego teatru w Londynie, zajeżdżały tłumy wielbicieli. Puryści wciąż częściej odwiedzali Royal Opera House, lecz w ENO było coś gwarantującego przednią zabawę. Udział w odbywających się tutaj przedstawieniach stanowił jedną z grzesznych przyjemności Bryanta. Dla odmiany May wzdrygał się na samą myśl, że znajdzie się wśród publiczności w średnim wieku. Wolał towarzystwo młodych i zawsze słuchał tego, co mieli do powiedzenia.

Zimne wieczorne powietrze zapędziło wszystkich do środka. Bella Whitstable przebrała się w zatrważająco luźną, ozdobioną czarnymi koralikami suknię, którą zniosła ze strychu domu braci i która roztaczała woń naftaliny. Bryant był ostatnią osobą uprawnioną do krytykowania stroju towarzyszki, jako że sam miał na sobie swój zwykły wysłużony brązowy płaszcz, a na szyi kolejny z szalików wydzierganych przez gospodynię.

- Powinni gdzieś tu być - powiedziała Bella, wchodząc na stopień schodów i rozglądając się po zatłoczonym westybulu. - Na pewno ich pan nie pomyli z nikim innym.

- Dlaczego? - zapytał Bryant, a po chwili zauważył grupę ludzi w wymyślnych strojach. Jeden z nich, niski mężczyzna w kaftanie i rajtuzach, podszedł i potrząsnął ręką Belli.

- Dobra robota! - wykrzyknął, lustrując jej suknię. - Doskonała replika stroju Lady Blanche! - Wskazał na swój ubiór. - Sięgnąłem do inscenizacji Jamesa Wade'a z 1954 roku. Oryginalny kostium ważył za dużo z powodu futra i kolczugi, chyba że było się królem Hildebrandem. Chciałem być Cyrilem, ale facet mający przebrać się za Floriana uległ wypadkowi, więc zająłem jego miejsce.

Bryant dotknął ręki Belli.

- Czy to znaczy, że wszyscy przebrani są za postacie z opery? - zapytał.

- Oczywiście - odrzekła zapytana. - Sabaudzcy różnią się od innych grup miłośników Gilberta i Sullivana tym, że ożywiają postacie z każdej opery. To nie takie głupie, jak się wydaje. Zbieramy fundusze na cele charytatywne i płacimy za konserwację i renowację pamiątek związanych z Gilbertem i Sullivanem.

- Rozumiem, że pani bracia nie mieli żadnych związków z tą grupą? - dociękał Bryant.

- Dobry Boże, nigdy w życiu. W naszej rodzinie teatr jest uważany za miejsce, w którym mężczyźni mogą wreszcie się wyspać.

Podziwiając rozmiary niektórych kobiecych fryzur, Bryant zastanawiał się, jak reszta publiczności zareaguje na to przebranie, dopóki nie wyjaśniono mu, że Sabaudzcy mają zarezerwowane łoże G i H po prawej stronie widowni, gdzie mogą cieszyć się swoim towarzystwem we względnym odosobnieniu.

Kiedy szli do łoża, Bryant, przyglądając się Sabaudzcykom, przyłapał się na tym, że szuka wśród nich ewentualnych podejrzanych. Kwadrans przed podniesieniem kurtyny otwarto szampana, a kilku członków towarzystwa złożyło Belli niezręczne kondolencje. Jeden z nich siedział w drugim końcu łoża w hełmie z opuszczoną przyłbicą, przez którą nie widać było twarzy. Bryant przeprosił na chwilę Bellę. Ważne było ustalenie tożsamości wszystkich zgromadzonych.

- Witam. - Przsunął niewielkie złożone krzeselko. - Czy mogę się przyłączyć? - Mężczyzna w hełmie odpowiedział coś, czego Bryant nie zrozumiał, i pokazał bezradnie na bok swojej głowy. Policjant poluzował nakrętkę i mężczyźnie udało się unieść przyłbicę. Miał spoconą i czerwoną twarz.

- Uf, serdeczne dzięki - powiedział rycerz z wdzięcznością. - To cholerstwo ciągle się zacina. Żałuję, że nie znalazłem sobie jakiegoś innego kostiumu. - Wyciągnął rękę. - Oliver Pettigrew. Zwykle nie chodzę tak ubrany. W cywilu jestem pośrednikiem handlu nieruchomościami. A pan jest z policji, prawda?

- Zgadza się - przyznał Bryant, rozwijając szal i kładąc go na oparciu krzeselka. Pod nimi gwar rósł w miarę, jak sala się zapełniała.

- Co pan myśli o tym wszystkim? Obaj jej bracia jeszcze nie ostygli, a ona

już jest tutaj. Twarda z niej sztuka, co? - Pettigrew potrząsnął głową ze zdumieniem.

- Jak często się spotykacie? - zapytał Bryant.

- Co sześć tygodni na próby kostiumowe, zwykle w salce parafialnej, za każdym razem, kiedy opera Gilberta i Sullivana wchodzi na afisz, na przyjęciach dobroczynnych i przy okazji zbiórek pieniędzy na utrzymanie rękopisów i rekwizytów w kraju. Opery naszych ulubieńców cieszą się ogromnym zainteresowaniem w innych krajach Wspólnoty Narodów i w Ameryce. Mamy nawet oddział w Chicago.

- Sam jestem miłośnikiem Giberta i Sullivana - zapewnił go Bryant - ale po raz pierwszy usłyszałem o was dopiero teraz, od pani Belli.

- To dlatego, że oni wyszli już z mody - powiedziała Bella, włączając się do rozmowy. - To nasza reakcja na to wszystko, co teraz cieszy się popularnością w kraju. Ludzie zapomnieli, że satyryczne pióro Gilberta dotykało systemu sądowniczego, Izby Lordów, policji i członków rodziny królewskiej, czyniąc go *enfant terrible* swojej epoki.

- To wszystko prawda - potwierdził rycerz Pettigrew, majstrując przy przyfbycy. - Wyśmiewał pretensjonalność, snobizm, elitaryzm, nepotyzm. Brutalne teksty Gilberta sprawiły, że dopiero tuż przed śmiercią otrzymał tytuł szlachecki. Epoka wiktoriańska umarła wraz z nim. Lewis Carroll, Ruskin, Gladstone, William Morris, D'Oyly Carte, Oscar Wilde i królowa Wiktorja - wszyscy oni odeszli wraz z końcem wieku.

- Muzyka Sullivana to muzyka zwykłych ludzi - dodała Bella z entuzjazmem, chociaż nader wątpliwe, by wiedziała cokolwiek o zwykłych ludziach. - Jest bezpośrednią spadkobierczynią piosenek ludowych, które kiedyś scementowały nasz naród. - Ponownie napełniła ich kieliszki. - To właśnie dlatego popiera nas cech.

- Cech? - Bryant nadstawił ucha. - Czy to znaczy, że pieniądze złotników pomagają działać Sabaudczykom? - zapytał.

- Czasami - odparła Bella. - To działa w obie strony. Wiele organizacji charytatywnych jest w to zaangażowanych. - Popatrzyła na swój złoty zegarek. - Chyba zaraz się zacznje.

Światła na widowni przygasły i wszyscy zajęli miejsca. Bryant dość dobrze znał fabułę *Princess Ida*, surowej satyry na prawa kobiet, ale nigdy nie widział

jej na scenie. Z powodu nużących recytatywów współcześnie rzadko się po nią sięga. Szkoda, ponieważ w drugim akcie zawiera coś, co znane jest jako „sznur pereł Sullivana” - kilka jego najlepszych kompozycji.

Opera składała się z trzech aktów, z dwoma przerwami po piętnaście minut każda. Podczas pierwszej przerwy Sabaudczycy odwrócili się do siebie i dyskutowali zawzięcie. Przedstawienie wyraźnie zyskało ich przychylność. Akcję z sukcesem uwspółcześiono. Nowa wersja pozwalała na różnorodne żarty z ruchu wyzwolenia kobiet, ale to partie śpiewane wzbudziły największy entuzjazm. Bryant w pewnej chwili ujrzał, że Bella Whitstable kieruje się w stronę drzwi, i zawołał ją.

- Jeśli chce pani iść do toalety - powiedział - proszę wziąć kogoś ze sobą.
- Idę tylko przypudrować nos - odparła wyniośle.
- W takim razie proszę zrobić to tutaj. Nie chcę pani tracić z oczu.

Rycerz Pettigrew zdjął hełm i ponownie napełnił kieliszek szampanem. W wejściu ukazało się kilku Sabaudczyków z sąsiedniej łoży. Biżuteria kobiet i wypolerowana broń mężczyzn błyszczały w łagodnym czerwonym świetle, chociaż był też ktoś przebrany za obdartego żebraka w kapeluszu z opadającym rondem. Bryant uznał, że to mało przyjemny widok.

Pettigrew poklepał go po ramieniu.

- Wie pan, ludzie nie zdają sobie sprawy, jak bardzo Gilbert i Sullivan są związani z życiem naszego narodu - powiedział. - Weźmy choćby *Princess Ida*. Teksty wiele zawdzięczają Tennysonowi, wiedział pan? BBC puszczało pierwszy akt trzeciego września, tuż przed ogłoszeniem przez Neville'a Chamberlina stanu wojny z Niemcami. A zna pan ostatnie wersy, usłyszane tego pamiętnego dnia, zanim w radiu wyciszyli muzykę? „Rozkaz walki wydany, cha, cha, cha, rozkaz wykonany”.

Bryant spojrzął na rozochoconą minę swego rozmówcy i domyślił się, że ma on w zanadru setki podobnych anegdot. Ludzie tacy jak Pettigrew byli stosunkowo niegroźni, ale lepiej nie okazywać im zbyt dużego zainteresowania. Podczas gdy pośrednik handlu nieruchomościami trajkotał dalej, policjant zastanawiał się, ilu z obecnych opowiada kolegom o swoim dziwnym hobby.

Światła zamigotały i przygasały na chwilę, prawdopodobnie, by dać znak publiczności, że czas wracać na miejsce.

Nagle zauważył poruszenie po drugiej stronie łoży. Kilka kobiet pochyliło się nad czymś krzesłem. Wstał i podszedł, by zobaczyć, że jedna z nich wachluje Bellę programem teatralnym.

- Poczula się słabo - wyjaśniła. - Tutaj jest bardzo ciepło. Czy nie sądzi pan, że lepiej by było wyprowadzić ją na zewnątrz?

- Nic mi nie jest, naprawdę - zapewniła Bella. - Po prostu trochę dziwnie się czuję.

- Skarżyła się, że nogi i ręce jej zdrętwiały - powiedziała jej przyjaciółka. - Zastanawiam się, czy... - Nie dokończyła, ponieważ Bella nagle upadła do przodu, jej mięśnie się napięły. Wszyscy odskoczyli przerażeni, kiedy jej kończyny zaczęły dygotać.

- Ona ma atak! - Pettigrew wepchał się pomiędzy zszokowanych gapiów.

Bryant wyłuskał z tłumu dwóch najpotężniejszych mężczyzn, jakich miał w zasięgu wzroku.

- Przytrzymajcie ją - polecił, sięgając po radiotelefon przypięty do paska. To było jedyne urządzenie techniczne, którego nie zgubił.

- Włóżcie jej między zęby coś miękkiego, co będzie mogła ugryźć - poradził Pettigrew. - Coś, czego nie połknie.

- Czy ktoś z państwa ma valium? - zapytał Bryant, klękając obok Belli. Kilka kobiet natychmiast sięgnęło do torebek.

Policjant wezwał karetkę, nie odrywając wzroku od Belli, która rzucała się na podłozę łoży. Mężczyźni próbowali trzymać ją za ręce i nogi, ale była od nich silniejsza. Ktoś zaczął dobijać się do drzwi za nimi.

- Każ im przestać! - krzyknął Bryant, kiedy jedna z kobiet pobiegła do wejścia łoży. Domyślał się, co się stało, i wiedział, że światło i hałas tylko pogorszą stan chorej. Jej twarz, wykrzywiona w pełnym udręki grymasie, zaczęła sinieć. Właśnie podawał jej valium, kiedy drzwi łoży otworzyły się i do środka wpadli sanitariusze z St. John's Ambulance.

Konwulsje Belli zaczęły słabnąć, ale wypukłość jej przerażonych oczu i zastrygły wyraz twarzy sugerowały, że nie jest z nią dobrze. Pomagając przymocować ją do noszy, Bryant ujrzał kątem oka ludzi zajmujących miejsca na dole, nieświadomych prawdziwego dramatu rozgrywającego się nad ich głowami.

Pozostało mu jedynie czekać i modlić się, by okazało się, że karetka przyjechała na czas.

13 PANDEMONIUM

- Spóźniłaś się - zauważył Nicholas. - Powinnaś być tutaj i mi pomagać. Nie masz pojęcia, ilu delegatów wyjechało dzisiaj rano.

Sam schowała torbę i zajęła miejsce za kontuarem. Pół tuzina ochroniarzy stało w recepcji, czekając na wyjazd kolejnego dostojnika.

- Z taką liczbą ochroniarzy, jaką mamy, tu byłoby bezpieczniej.

- Myślisz, że cała ta sprawa może mieć źródło polityczne? Czytałem w „Telegraph”, że ten gość, któremu poderżnięto gardło, był szpiegiem.

- Nie powinienes wierzyć we wszystko, co czytasz.

- Podejrzewam, że ty wiesz lepiej. - Nicholas odgarnął do tyłu włosy i zajął się sprawami papierkowymi. Sam miała już odpowiedzieć na pytanie jednego z gości, kiedy zobaczyła Josepha schodzącego po schodach. Uśmiechnął się do niej przelotnie i wszedł do pokoju śniadaniowego.

- Bądź tak dobry i obsłuż tego pana, Nicholas. - Zsunęła się ze stołka, poprawiając bluzkę. Raz kozie śmierć. Przebiegła palcami po włosach. - Zaraz wracam.

- Co ty wyprawiasz? - zawodził Nicholas - dopiero co przyjechałaś. Dokąd znowu idziesz?

- Krótka przerwa śniadaniowa. - Wiedziała, że może sobie na wiele pozwalać tak długo, jak będzie gapił się na jej piersi, kiedy myślał, że go nie widzi. Wspomnienie niedawnego upokorzenia, jakiego doznał w domu rodziców, wyraźnie zaczynało już się mu zacierać w pamięci.

Joseph siedział samotnie pod szklaną ścianą z widokiem na Embankment i wpatrywał się w szarą nitkę znaczonej deszczem rzeki.

- Będziesz miał coś przeciwko temu, żebym się przysiadła?

- Absolutnie nie - odparł, wskazując krzesło na wprost. - Czy zawsze jadasz śniadania z gośćmi?

- Cały czas. To należy do moich obowiązków. - Usiadła i rozpostarła serwetkę na kolanach. - To dziwne, że jeszcze tu jesteś. Większość delegatów

już się wyprowadziła. Przenieśli się do pilnie strzeżonej rezydencji.

- Cóż, dwa zgony w jednym hotelu to niezbyt dobra reklama prawda?

- To nie nasza wina - powiedziała Sam. - Takie rzeczy normalnie się u nas nie zdarzają. To były prawdziwe zabójstwa.

- Rozumiem. Kiedy zostanie się zabitym w czasie napadu, to nie będzie prawdziwe zabójstwo, tak?

Sam poczekała, aż kelnerka postawi talerze.

- Miałam na myśli morderstwo z premedytacją - wyjaśniła. - Wszystko zostało dokładnie zaplanowane.

Joseph ugryzł posmarowaną masłem grzankę i żuł ją powoli, z pobłażliwym uśmiechem przyglądając się swojej towarzyszce.

- Chodzi ci o to, że to coś w stylu tych wszystkich historyjek o Sherlocku Holmesie? Wiesz, *Związek Rudowłosych*, *Znak czterech* i tak dalej?

- Jeśli chcesz tak to określać, to tak.

- Zapomnij o tym, Sam, to się nie zdarza. Śmierć jest tak naprawdę okropna i prosta. Ludzie zabijają, żeby zaspokoić żądzę seksualną albo dać ujście wściekłości bądź jedno i drugie. Upijają się i napadają na kobiety albo biją się, kiedy są wściekli. Nie wierzę, że jest coś takiego, jak zaplanowane morderstwa.

- Mylisz się. Dziewczyny idą na fałszywe rozmowy w sprawie pracy i znikają. Potem znajduje się ich ciała w wagonach kolejowych. Mordercy są mężczyznami, a mężczyźni są pokręcani.

- I myślisz, że w Savoyu grasuje jakiś pokręcony morderca? Może nawet w nim mieszka?

- Nie wiem. - Sam wpatrzyła się w talerz, zawstydzona. - Może.

- Co powiedziałaś policji?

- To, co widziałam. - Musiała zmienić temat. - Jak idą przygotowania do przedstawienia?

- Dobrze - odparł, nalewając herbatę. - Zacząłem wczoraj. Ten teatr to ruina. Prace remontowe się opóźniają. To zajmuje więcej czasu, niż ktokolwiek się spodziewał.

- W którym konkretnie teatrze pracujesz? Wiele jest remontowanych.

- Myślałem, że ci mówiłem. - Podał jej filiżankę. - W tym obok, w teatrze Savoy. To dlatego zatrzymałem się tutaj. Japończycy płacą za renowację i poprosili mnie o przygotowanie scenografii do pierwszego przedstawienia. Otwieramy nową inscenizację Gilberta i Sullivana, bardzo nowoczesną i prześmiewczą. Właściwie nie jest całkowicie nowa. Przez jakiś czas to przedstawienie jeździło po kraju, ale w Londynie zrobimy mu lifting, więc tu będzie właściwy debiut i tu znajdą się moje projekty. Dam ci bilety na premierę, jeśli chcesz.

- Może spotkamy się też wcześniej?

- Jasne. Będę tutaj aż do otwarcia. - Popatrzył na zegarek. - Muszę już iść. Obiecałem, że zadzwonię do swojej dziewczyny.

Serce zabiło jej mocniej. No tak, oczywiście ma dziewczynę. Pewnie była szczupła i piękna. I, niestety, wciąż żyła.

- Gdzie ona jest? - zapytała.

- Studiuje w Oksfordzie, ale na święta pojechała do rodziców w Edynburgu. Słuchaj, to nie przeszkadza, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Jej pierwszą reakcją była chęć odrzucenia tej oferty, ale wiedziała, że to dziecinne.

- Dobrze - zgodziła się niechętnie. - Bądźmy więc przyjaciółmi.

Joseph sprawiał wrażenie naprawdę zadowolonego.

- Skoro już rozbiliśmy tę minę, możesz mi opowiedzieć o swoich teoriach na temat morderstw.

- Jeśli chcesz...

Przyłożył smukły palec do ust.

- Ale dopiero dziś wieczorem po pracy - powiedział z uśmiechem.

Johna Maya obudziło bębnienie deszczu o świetlik w sypialni. Wpatrzył się w ciemność za oknem. Brzydka pogoda miała panować przez cały dzień. A właśnie oddał płaszcz do czyszczenia. Musiał się napić kawy, ale odsłuchanie wiadomości na automatycznej sekretarce sprawiło, że porzucił myśli o śniadaniu.

Kiedy biegł z samochodu do wejścia University College Hospital przy Gower Street, ramiona jego marynarki nasiąkły deszczem. Pięć po szóstej w środę rano w holu szpitala znajdowała się jedynie stara sprzątaczką. Słowo zamienione z pielęgniarką wystarczyło, by pospieszył korytarzem do izby przyjęć.

Znalazł Bryanta śpiącego na zielonej skórzanej kanapie. Zaszył się w swoim za dużym płaszczu niczym żółw w skorupie. Buty Maya piszczały na wypastowanym linoleum, kiedy się zbliżał, i łysiejąca głowa Bryanta wolno uniosła się na ten dźwięk.

- Co się stało, Arthurze? - zapytał May. - Dlaczego, na miłość boską, od razu mnie nie wezwałeś?

- W niczym nie mogłeś pomóc - odparł policjant ze znużeniem. - Było tam naprawdę dużo ludzi. Tylko byś przeszkadzał. Umarła o trzeciej nad ranem. Z powodu niezwykłej natury jej śmierci poprosiłem lekarkę, żeby sporządziła swego rodzaju raport wstępny. Raymond wpadnie w szal, kiedy odkryje, co się stało, i muszę mieć do tego czasu wszelkie informacje, jakie tylko zdołam zdobyć.

May usiadł obok starego przyjaciela, który wyglądał na załamanego.

- Co się stało? - zapytał.

- Dostała jakiegoś ataku. Gwałtownych konwulsji, niekontrolowanych skurczy mięśni podobnych do tych, których doznaje się na skutek otrucia. Prerażający widok. - Wpatrzył się w pusty korytarz, nad słuchując odległych odgłosów budzącego się szpitala. - Sprawiała wrażenie dobrej kobiety - powiedział ze smutkiem.

Lekarka z izby przyjęć właśnie skończyła dyżur. Zatrzymała się na ich widok.

- Nie chciałam, żeby te notatki zostały wykorzystane jako podstawa do jakiegokolwiek oficjalnego dokumentu dowodowego, Arthurze - oznajmiła, trzymając teczkę przy piersi - ale lepiej, żebyś rzucił na to okiem. - Bryant domyślał się, że ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła po długim nocnym dyżurze, było pogrążenie się w robocie papierkowej dla przyjemności policji, ale młoda Irlandka pomagała mu kilka razy w przeszłości i nigdy się nie skarżyła.

- To bardzo miło z twojej strony, Betty. Uczynię dla ciebie zapis w testamentcie.

- Lepiej pożycz płaszcz swojemu koledze - odrzekła Betty, patrząc na May-a. - Zaziębi się na śmierć w samej marynarce.

Kiedy przemierzali puste korytarze, Bryant kartkował zapełnione starannym pismem strony.

- Najpierw myślała, że to tężec, ale potem zaczęło to wyglądać bardziej na otrucie strychniną - powiedział. - Też tak sobie pomyślałem. Umarła na skutek

uduszenia i wyczerpania organizmu. Czas reakcji na truciznę trwa zwykle od dziesięciu do dwudziestu minut, ale został wydłużony, bo wcześniej coś jadła i udało mi się podać jej valium, żeby zmniejszyć spazmy. - Zajrzał powtórnie do notatek. - Za późno już było na płukanie żołądka. Zamiast tego podali jej succinylcholinę, żeby zmniejszyć konwulsje i odciążyć serce. To jednak nic nie dało.

- Co jadła? - zapytał May. - Widziałeś?

- To nie mogła być żadna z potraw zamówionych z restauracji. Jadła to samo, co inni. I przesiedziała cały pierwszy akt bez zdradzania jakichkolwiek objawów. Była dosłownie kilka stóp ode mnie.

- A może jadła coś innego podczas przedstawienia? Na przykład czekoladki?

- Nie. Piła tylko szampana, zarówno przed przerwą, jak i w jej trakcie.

- Czy któraś z butelek była otwarta?

- Było ich naprawdę dużo, ale wydaje mi się, że wszystkie były zamknięte. Miałem oko na tę, z której piła Bella. Odkorkowała ją sama i wszyscy napiliśmy się po kieliszku. John, musimy zgromadzić wszystkich jeszcze raz w tej loży i odtworzyć całą sytuację, dopóki wciąż jeszcze mają ją świeżo w pamięci. I chcę trzymać dziennikarzy jak najdalej od tego. Im później się dowiedzą, tym lepiej.

W strugach ulewnego deszczu pobiegli do samochodu.

Raymond Land nigdy nie należał do ludzi, którzy potrafią cieszyć się życiem, a tego dnia lubił je jeszcze mniej niż zwykle. Jego wąskie ramiona unosiły się i opadały, kiedy wiercił się, siedząc za pustym biurkiem. Często unosił rękę, by przygładzić cienkie włosy. W ogóle nie chciał tu być, ale skoro już był, pragnął mieć przynajmniej święty spokój. Nowy wydział mu się nie podobał. Był zbyt eksperymentalny, zbyt chaotyczny i zbyt anarchistyczny jak na jego gust. Cała nadzieja w tym, że ktoś jednak przejmie jego obowiązki. Miał tylko dwa pragnienia: nie wychylać się i powstrzymać swoich niesfornych policjantów od wprawiania w zakłopotanie wszystkich dookoła. Teraz jednak zaczęli tę niedorzeczną sprawę i na horyzoncie widział już wstyd i upokorzenie.

Land nie unióś wzroku, kiedy Arthur Bryant wszedł do gabinetu.

- Wiem, że ty i twój kolega macie swoje własne, dziwne metody śledcze -

zaczął, próbując powstrzymać drżenie głosu - ale to dochodzenie zniszczy nasz wydział. Cztery ofiary, Bryant! - wybuchnął. - Ta ostatnia śmierć zdążyła trafić jeszcze do przedpołudniowych wydań gazet. Prasa urządziła sobie cholerne używanie. „Sun” posunął się do ogłoszenia konkursu. „Rozwiąż sam tę zagadkę, wygraj forda fiestę”. To pandemonium. Nigdy czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy. - Stał przy oknie, naciskając palcami wskazującymi na górną część nosa. - Żyjemy w niepewnych czasach. Ludzie z dnia na dzień są wyrzucani na bruk. - Wskazał kciukiem za okno. - Fala strajków przetacza się przez kraj. Heath to najgorszy premier, jakiego mieliśmy od wojny. Mężczyźni tracą żony, rodziny, pracę i domy. Powody morderstw są równie absurdalne, jak czasy, w których żyjemy.

Bryant wszystko to wiedział. Co więcej, był na wykładzie Landa na ten temat w Hendon Police College.

- Statystycznie rzecz biorąc, łapiemy mniejszą liczbę przestępców. Wiesz równie dobrze jak ja, że w takich sprawach konieczna jest pomoc społeczeństwa. Nie możemy szukać rozwiązania całą wieczność. A coraz więcej spraw mamy nierozwiązanych. Teraz te trzy zgony w jednej rodzinie w ciągu sześciu dni i żadnych śladów, świadków ani tropów. To nie są przypadkowe akty przemocy, na miłość boską. Ktoś bawi się z nami w kotka i myszkę. Chcę wiedzieć, jak to możliwe, że tak dużo się stało, a tak mało wiemy.

- Problem leży w śladach - wyjaśnił Bryant. - Czy też raczej w ich nadmiarze. To zupełnie tak, jakby za każdym z tych zabójstw stała inna grupa ludzi. Mamy niezliczoną ilość odcisków palców, ale żaden z nich do niczego nie pasuje. Poza tym jest sprawa motywu.

- A co z tym niemieckim tropem, o którym pisał „Daily Mail”, łącząc morderstwa z konferencją państw Wspólnego Rynku?

- Święty płomień Whitstable'ów co prawda przypomina symbol używany przez niemieckich zamachowców w czasie wojny, ale jestem pewien, że to tylko zbieg okoliczności. Nic tego nie potwierdza.

- Jesteś pewien, tak? W takim razie nie rozumiem, jakim cudem udało ci się tak dobrze chronić Bellę Whitstable, że zginęła dosłownie na twoich oczach?

- Dopóki nie odkryjemy, w jaki sposób została zabita, będę traktował tę uwagę jako głęboko niesprawiedliwą - odparł Bryant. - Poza tym chciałbym

nadmienić, że w tego rodzaju śledztwie powinienem mieć co najmniej sześćdziesięciu ludzi do pomocy. May i ja pracujemy ledwie z kilkoma. Powinniśmy przesłuchać pozostałego przy życiu współnika kancelarii Jacob & Marks, ale ponieważ mieszka w Norwich, żaden z nas nie miał jeszcze czasu tego zrobić.

- Wiem - zachnął się Land - i w tej chwili nie mogę na to nic poradzić. Sami jesteście temu winni. Jak sobie wyobrażacie jakikolwiek wydział bez struktur? Chcecie prowadzić dochodzenia, ale nie ma nikogo do czarnej roboty. Nie ma tu żadnej hierarchii...

- Celowo.

- I w konsekwencji wasze dane są nieuporządkowane, i nie możecie z nich w pełni korzystać, bo nie macie dostępu do każdej informacji otrzymywanej przez policję.

- Mamy tak wiele tropów, za którymi trzeba iść... - powiedział Bryant ze znużeniem. - Potrzeba nam tylko więcej ludzi.

- Zobaczę, co się da zrobić - zapewnił Land, otwierając teczkę i przeglądając jej zawartość. - Ale chyba nie muszę mówić, jak wielką niechęć czuje się do tego wydziału. Dodatkowy personel po prostu nie wchodzi w rachubę. Całkiem sporo ludzi w policji londyńskiej tylko czeka na wasze najmniejsze potknięcie. Ale dopóki nie mam żadnych dowodów, że ktoś utrudnia wam śledztwo, nie mogę nic zrobić.

Mimo całej niechęci, jaką Bryant czuł do przełożonego, wiedział, że Land to rozsądny człowiek i w tej chwili jedynie on może poprawić ich sytuację. Dobrze mieć go po swojej stronie.

- Przynajmniej będę miał szansę przejrzeć twój raport - powiedział Land, wymachując plikiem kartek. Bryant był zadowolony, że znalazł czas, by go sporządzić; biedził się nad nim przez większą część weekendu.

- Zanim się za niego weźmiesz, chciałbym ci coś wyjaśnić. - Usiadł po drugiej stronie biurka. - Nie mogłem tego umieścić w tym dokumencie. Tak naprawdę to załedwie przecucie. Szukamy kogoś więcej niż tylko sprytnego mordercy. W grę wchodzi raczej zemsta.

- Nie zaczynaj, Bryant. Moja cierpliwość też ma swoje granice.

- Metody zależą od wiedzy o ofiarach - ciągnął policjant - a te morderstwa są teatralne, zupełnie jakby każda śmierć była pomyślana jako ostrzeżenie. Standardowe metody śledcze na nic się nie zdadzą, bo mamy tu do czynienia z

dokonanymi na zimno egzekucjami, odcinaniem kolejnych gałęzi drzewa rodowego. Nie mam nawet pewności, czy tu wchodzi w grę jakaś premedytacja. Z czymś takim spotykam się po raz pierwszy w swojej karierze. - Spodziewał się, że nawet Raymond będzie zaskoczony, słysząc od niego podobne wyznaczenie. Prawie wszyscy byli świadomi rozległości wiedzy Bryanta.

- Czy macie już jakieś informacje o przyczynie śmierci pani Whitstable?
- Niestety, nie.

Land był wyraźnie niezadowolony ze swojej bezsilności. Stał przy oknie, wydłubując płatki farby ze złuszczonego parapetu.

- Mam nadzieję, że uwagę od nas odciągnie przynajmniej to, że podobno australijscy delegaci na konferencję państw Wspólnego Rynku dostali listy z pogrózkami. Ich minister sztuki Carreras zaplanował konferencję prasową, na której ma się poskarżyć na niedostateczne środki bezpieczeństwa, żeby zmusić nasz rząd do działania.

- Nie zauważyliśmy związku między...
- Czy wiesz, że aż do tego ranka minister mieszkał w Savoyu?
- Tak, wiem o tym.
- A wiesz, że był wczoraj w teatrze?

Bryantowi zrobiło się słabo.

- W Coliseum?
- Jak najbardziej. Loża L.

Loża L znajdowała się dokładnie naprzeciwko tej, w której była Bella Whitstable. Zaczął w nim wzbierać gniew. Dlaczego wcześniej tego dostrzegł?

- Wzmoczymy nasze wysiłki - obiecał, wiedząc, że trzeba będzie zwołać konferencję prasową. Uczyni to dzisiaj późnym popołudniem. Najpierw jednak musi przeprowadzić wizję lokalną.

Wychodząc z gabinetu Landa, natknął się na Sam Gates. Wpadła do ich siedziby w przerwie na lunch. Miała na sobie uniform hotelowy.

- Co pani tutaj robi? - Spojrzał na nią, marszcząc gniewnie brwi.
- Mówił pan, że całkiem prawdopodobne, że będziemy musieli znowu porozmawiać.
- Mówiłem, że zadzwonię. Jak się pani tutaj dostała?
- Sierżant Longbright mnie wpuściła. Chcę pomóc. Wiem coś jeszcze. Jeśli tylko zechciałby pan mnie wysłuchać...

- Panno Gates, ani ja, ani mój współpracownik nie mamy teraz czasu. Proszę, niech pani wraca do pracy i zostawi nam podjęcie odpowiednich kroków.

Oni drepczą w miejscu, pomyślała. Lepiej będzie, jeśli zacznę działać na własną rękę. A jeśli coś złego się stanie, będą mogli tylko siebie winić za to, że mnie nie słuchali.

Spotkali się w foyer Coliseum, stroje mieli schowane w reklamówkach - żaloszny, przemoknięty tłum ludzi w garniturach i płaszczach, jak grupa turystów zgromadzonych na wyjątkowo niepopularnej wycieczce. Pozbawieni swoich odświętnych strojów wydawali się mniejsi i mniej znaczący. Składali Bryantowi niezręcznie kondolencje, zupełnie jakby uczestniczyli w stypie.

- Bardzo mi przykro, ale muszę poprosić państwa, żebyście wrócili do tamtej łoży, i to koniecznie w swoich kostiumach. Wiem, że może się to wydawać makabryczne, ale jest niezbędne dla ustalenia wszystkich okoliczności śmierci Belli Whitstable. To może pomóc nam zrozumieć, co się stało.

Pod nimi odbywały się próby przedstawienia. Sabaudzycy wciskali się raz jeszcze w zbroje i rajtuzy. Bryant stał cierpliwie z tyłu łoży z uśmiechniętym fotografem policyjnym u boku. Potem poprosił wszystkich o zajęcie miejsc, zaznaczając krzesło, na którym siedziała Bella.

- Dobrze - powiedział, unosząc ręce, by ich uciszyć. - Ile osób mamy tu dzisiaj?

- Dwadzieścia dwie - odparł Oliver Pettigrew. - Towarzystwo liczy więcej członków, ale gromadzi się nas dokładnie tylu, ile jest postaci w danej operze. Cała główna obsada aktorska *Princess Ida* to piętnaście osób.

- Więc kim jest reszta?

- To postacie epizodyczne, takie jak dworzanie czy żołnierze.

- Chcę, żeby wszyscy zajęli miejsca, na których znajdowali się wczoraj wieczorem, kiedy zauważono, że pani Whitstable źle się czuje - poprosił Bryant. Przemieścili się, powłóczęgając nogami i zaczepiając o wszystko pelerynami.

- Chwileczkę - powiedział policjant, kiedy już wszyscy zajęli swoje miejsca - kogoś mi tu brakuje. - Sabaudzycy popatrzyli po sobie, po czym przenieśli wzrok na niego. - Pod ścianą stał żebrak w kapeluszu.

- Jest pan pewien? - zapytał Pettigrew. - W obsadzie *Princess Ida* nie ma żadnych żebraków.

- Doskonale go pamiętam - odparł Bryant. - Łachmaniarz. Nie przyjrzałem mu się bliżej, ale na pewno ktoś jeszcze musiał go zauważyć. - Patrzył po otaczających go twarzach, optymistycznie zakładając, że zabójca został wykryty, ale Sabaudczycy potrząsali głowami. Popatrzył na krzesło, na które opadła Bella, i miejsce, gdzie upuściła torebkę. Co mógł zrobić żebrak, żeby spowodować jej śmierć?

Ruszył w kierunku drzwi, ale jeszcze odwrócił się do zgromadzonych, którzy wciąż patrzyli na niego i czekali na dalsze polecenia.

- Dziękuję, że zechcieli państwo tu przybyć - powiedział skonsternowanej grupie osób. - Proszę sprawdzić, czy posterunkowy poprawnie zapisał państwa dane. Zwrócimy się do państwa, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Z tymi słowy pośpiesznie wyszedł.

- Nie znaleźli śladu strychniny w szampanie?

- Ani żadnej innej trucizny - odparł Raymond Land. - O czym myślisz? - Bryant wparował do jego gabinetu jak strzała, mocząc wszystko kroplami deszczu z parasola i płaszcza.

- O strychninie - wyjaśnił. - Cóż za staromodna trucizna. Naprawdę szybka w działaniu, więc musiała zostać jej podana już w łoży. Dlaczego zabójca dawał sobie tyle trudu? Dlaczego podał truciznę o tak gwałtownym działaniu i ryzykował wpadkę, wciąż tam będąc, kiedy zaczął się jej atak?

Rzucił na biurko Landa wielką nieprześwitującą plastikową torbę.

- Chciał mieć pewność, że jego metoda poskutkuje, prawda?

Ostrożnie otworzył torbę z dowodami i wyjął z niej torebkę Belli Whitstable, wciąż jeszcze pokrytą proszkiem daktyloskopijnym.

- Kiedy zobaczyłem jej początkowe objawy, wykrzywioną twarz - ciągnął - wiedziałem, że coś sparaliżowało jej mięśnie. Strychnina zaczyna działanie od twarzy i szyi. - Wyjął z torebki jakiś przedmiot, chowając go w zaciśniętej pięści. - Tak wygląda, kiedy kupujesz ją w formie, powiedzmy, trutki na szczury?

- To proszek - odparł Land. - Krystaliczny i bezbarwny.

- I może zabić przez kontakt ze skórą albo oczami. - Otworzył pięść, by

ukazać puderniczkę. - Sama podała sobie truciznę, kiedy poprawiała makijaż w przerwie spektaklu. Założę się, że nasz żebrak dosypał trucizny do jej puderniczki, kiedy oglądaliśmy pierwszy akt.

Land wziął puderniczkę z wyciągniętej ręki Bryanta i ostrożnie otworzył. Na wierzchu leżało kilka granulek, które wyglądały nieco inaczej niż puder pod nimi.

- Niech mnie diabli! - wykrzyknął. - Wygląda na to, że ktoś się naczytał pieprzonej Agathy Christie. - Popatrzył na Bryanta z wyrazem bezbrzeżnego zdumienia na twarzy.

14 TAJEMNICA

Joseph poświecił latarką na pokrytą smugami farby ceglana ścianę, a potem na odległe poczerniałe krokwie.

- Chodź. Nic ci się nie stanie.

- Boję się ciemności - wyznała, patrząc przed siebie. - To głupi strach. Jeśli jest jakieś światło, to w porządku.

- Jest tu gdzieś skrzynka elektryczna. - Promień latarki powędrował w górę do szarej, stalowej szafki z tabliczką ostrzegawczą na drzwiach. - Cała konstrukcja została już wyremontowana, ale nie powinienem nikogo tu sprowadzać. Jeśli podłoga się pod tobą załamie, nie licz na to, że dostaniesz pieniądze z ubezpieczenia.

Joseph szarpnął drzwiczki skrzynki i oświetlił rząd włączników. Przyćmione światło żarówek awaryjnych, które włączył, utworzyło żółte wysepki jasności na widowni. Sam próbowała się uspokoić, nie myśleć o otaczającej ją ciemności.

Część teatru była wciąż okopconca i spustoszona przez ogień, ale proscenium i scena zostały już całkowicie odremontowane i czekały pod płachtami ciężkiego plastiku na odsłonięcie przed publicznością.

- Pewnie nie mieści ci się w głowie, że zaledwie kilka tygodni dzieli nas od otwarcia - powiedział Joseph. - Nikt nie myślał, że po pożarze teatr w ogóle zostanie otwarty. Wygląda nawet na to, że ściany nie zdążą wyschnąć na czas.

W teatrach i restauracjach - pracowałem w jednych i drugich - zawsze wszystko robi się na ostatnią chwilę.

Zauważyła, że wiele siedzeń zostało wymienionych. Kiedy szła za Josephem w dół bocznym przejściem, słyszała odległe uderzenia kropli deszczu o szyby.

- Richard D'Oyly Carte wyprzedzał swój czas - stwierdził, odwracając się do niej. - Jego teatr został zaprojektowany tak, żeby z każdego miejsca widoczność była równie dobra, nieważne, ile płacono za bilet. Skończył z napiwkami dla szatniarki i dał im zamiast tego przyzwoite zarobki. A przede wszystkim rozprawił się z obskurnymi ciemnymi ścianami i ciężkimi aksamitami tak lubianymi przez wiktorianów.

Cała widownia została pomalowana na żółto i złoto i obita aksamitem. Fotele były błękitne, a łóżka czerwone. A podłoga w westybulu - wyłożona czarno-białym marmurem. To był pomnik wzniesiony ku czci nowego, jasnego stylu. W tym miejscu stał w średniowieczu pałac książęcy. Wydaje mi się, że D'Oyly Carte starał się wskrzesić jego ducha. - Usiadł na scenie i skinął, by dołączyła do niego. Chciała po prostu usiąść i porozmawiać, ale brak światła zaniepokoił ją i bała się, że powie coś głupiego. Jego wiedza i energia sprawiały, że sobie samej wydawała się nudna.

Wstał i oczyścił dzinsy z pyłu.

- Tasaka Corporation pokrywa większość kosztów renowacji - wyjaśnił, idąc na tył sceny. - Pomaga też w podejmowaniu kluczowych decyzji.

- To nie wygląda nawet na w połowie gotowe do otwarcia - zauważyła, stając na przedzie sceny.

- Ale zostanie otwarte, w Nowy Rok. To będzie japońsko-brytyjska koprodukcja z prawami do tournée na wschodzie. Pan Miyagawa ma nadzieję, że Savoy stanie się forum światowego teatru. Cały czas nie mogę uwierzyć we własne szczęście.

Sam patrzyła, jak chodzi w kółko po scenie: wysoka postać ubrana na czarno, z ogromnym afro niczym czarnym słońcem. Miała wielką ochotę podbiec do niego i przyłożyć mu dłoń do serca, żeby poczuć pulsujące w nim życie.

Gdzieś z tyłu widowni rozległ się hałas, zupełnie jakby rozwijał się zwój liny. Sam zatrzymała się i zaczęła nadśledzać. Dźwięk został zagłuszony

przez wzmagające się bębnienie deszczu o dach. Z przodu zastawiały jej drogę metalowe bębny i zwoje kabli.

- Gdzie jesteś? - krzyknęła. - Uważaj, żebyś się nie potknął.

- Spokojna głowa - odparł. Jego głos dobiegał zza kurtyny, która zwisała z jednej strony łuku proscenium. - Znam to miejsce jak własną kieszeń.

Dźwięk, który dobiegł do jej uszu tym razem, dochodził z bliska. Metaliczny zgrzyt, zupełnie jakby ktoś odwijał stalowe druty.

- Joseph! - zawołała. - Czy na pewno nikogo oprócz nas tutaj nie ma?

Nie doczekała się odpowiedzi. Żarówki nad sceną zamigotały.

- Joseph? - Sama spojrzała przez szparę między parą stalowych słupków i weszła głębiej na scenę. Po jej bokach było pełno sprzętu i gruzu. Na górze deski skrzypiały, jakby przetaczano po nich coś ciężkiego.

Spojrzała do góry, ale nic nie zobaczyła.

Z pewnością nie zostawiłby jej tutaj samej. Szła wolno w kierunku kanału orkiestrowego, omijając obszary pogrążone w ciemności. Chłodne powietrze szczypało ją w skórę na rękach, odniosła wrażenie, że obok przechodzą duchy. Miała uczucie, jakby ktoś na nią patrzył. Uśmiechnęła się na tę myśl: w końcu była na scenie.

Rozległ się brzęk metalu i mała stalowa śruba upadła na podłogę tuż obok niej. Popatrzyła w górę na rusztowania na w pół przykryte zakurzoną płachtą. Wyczuła postać, zanim ją jeszcze ujrzała. Niewysoki mężczyzna, zawinięty w brązową tkaninę jak postać ze sztuki kostiumowej, siedział na nich jak nieruchomy owad, patrząc w milczeniu w dół, prosto na nią.

Sam krzyknęła, kiedy postać odepchnęła się od ściany.

Ze skrzypieniem i trzaskiem rusztowania zaczęły przesuwają się w jej stronę. Deski spadały z łoskotem na podłogę. Kiedy odwróciła się, by uciec, zdała sobie sprawę, że stalowa konstrukcja zaraz wyląduje na niej. Na wprost znajdował się kanał orkiestrowy. Nie wiedziała, jaką ma głębokość, ponieważ jego podłoga była skryta w mroku.

Kiedy rusztowanie zaczęło spadać, skoczyła prosto w ciemność, urzeczywistniając swe najgorsze koszmary.

Kanał okazał się płytszy, niż się spodziewała. Za ledwie uderzyła mocno o podłogę, rusztowanie runęło na scenę i rozpadło się na dzwoniące stalowe

kawałki. Nad nią leżała sieć ocynkowanych rur. Jedna z żarówek świeciła, jej prosto w oczy. Podniosła się na stłuczonym łokciu, a tajemnicza postać potruchała do szczątek rusztowania i popatrzyła na nią.

Sam skoczyła w bok kanału i wyszła na korytarz. Postać ruszyła do przodu, a po chwili zatrzasnęły się za nią drzwi z tabliczką „wyście awaryjne”.

Rzuciła się w pogoń i znalazła się w pomalowanym na czerwono korytarzu wiodącym na tyły teatru. Rygiel na drzwiach prowadzących na zewnątrz zgrzytnął. Otworzyła je kopniakiem i wybiegła prosto w ulewę. Zauważyła obdartą postać idącą w kierunku Tamizy.

Z trudem szła po śliskiej od deszczu ulicy zaledwie kilka jardów za mężczyzną. Słyszała jego świszczący oddech. Dotarli do rzeki. Aureole światła otaczały kule latarni biegnących wzdłuż Embankment.

Droga przed nią była pusta. Nie dostrzegła miejsca, w którym mężczyzna mógłby się schować lub do którego uciec. Deszcz kapał rytmicznie z płachty, w którą się zawinął, jego głowa skrywała się pod brudnym brązowym kapeluszem.

Sam przypomniała sobie nagle swój sen. Brakowało biegnących z dwóch stron ceglanych murów, ale mężczyzna wyglądał równie szpetnie jak potwór z koszmaru. Wspomnienie było tak żywe, że zwolniła kroku.

Kolka, którą poczuła, sprawiła, że dystans między nimi się zwiększył. Mężczyzna skręcił w uliczkę, po czym zwinnie przeskoczył ogrodzenie, za którym rozciągał się ogród. Sam zgięła się w pół z bólu, ledwo oddychając. Nie było sensu go gonić. W głowie jej się nie mieściło, że została zdystansowana przez jakiegoś włóczęgę. Podciągnąwszy poły bluzki, przyjrzała się swojemu brzuchowi i dostrzegła powód problemów. Pod żebrami biegł długi, czerwony ślad po uderzeniu. To pamiątka po skoku do kanału orkiestrowego.

Wypłoszyłam mordercę z jego kryjówki, pomyślała. Wiedział, że szuka go policja. Pewnie nie miał innego miejsca, w którym mógłby się ukryć. Chcąc odnaleźć Josepha, ruszyła w drogę powrotną do teatru. Czekał na nią przed wejściem. Był brudny i pokryty pyłem.

- Co się stało? - zapytała, klepiąc go gniewnie w ramię. - Dlaczego nie odpowiedziałeś, kiedy cię wołałam?

- Nie mogłem. Ktoś wepchnął mnie do szafy.

- Jak to? Kto?

- Do diabła, niby skąd mam wiedzieć? Po prostu poczułem czyjeś ręce na plecach. I ocknąłem się w kompletnej ciemności.
- Jesteś na tyle silny, żeby sobie poradzić. Dlaczego nic nie zrobiłeś?
- Zaskoczył mnie.
- Dlaczego nie wzywałeś pomocy?
- Wzywałem, ale przykrył to cholerstwo jakimis płachtami. O mało się nie udusiłem. Potem rozległ się hałas, brzęk spadającego żelastwa, Bóg wie czego. Udało mi się w końcu wydostać, ale nie mogłem cię nigdzie znaleźć. Wyłączył wszystkie światła.
- W takim razie musiało być ich dwóch. Jeden był na rusztowaniu. Próbował mnie zabić.
- No coś ty...
- Nie widziałeś go, ja tak. Zrzucił rusztowanie na ziemię, o mało mnie nie przygniotło.
- Może zrobił to niechcący. Nic ci się nie stało? - Joseph spojrzął do tyłu na cichy budynek teatru, odgarniając włosy z oczu. - Jak wyglądał?
- Jak włóczęga. Chociaż nie, bardziej jak aktor grający włóczęgę, ktoś, kto myśli, że tak powinien wyglądać włóczęga.
- To by się zgadzało - stwierdził Joseph. Otrzeptał sweter, ale udało mu się jedynie wklepać kurz w mokrą wełnę. - Kiedy ostatnio weszliśmy do teatru, spotkaliśmy włóczęgów, wystraszyli się na śmierć.
- To nie był zwyczajny kloszard.
- Na Strandzie jest mnóstwo bezdomnych, którzy szukają jakiegoś miejsca do spania. Może udało im się włamać do teatru.
- Nie, to było zamierzone. Przeciął liny trzymające rusztowanie. I musiało ich być co najmniej dwóch - drugi zamknął cię w szafie.
- Posłuchaj sama siebie, twierdzisz, że ktoś chciał cię zamordować.
- A niby czemu nie?! - krzyknęła Sam. - Oni padają jak muchy tu, w sąsiedztwie, zapomniałeś? Byłam już świadkiem dwóch morderstw.
- Gdybyś była prawdziwym świadkiem, widziałabyś, kto to zrobił - powiedział Joseph spokojnie. - A nie widziałeś, prawda?
- Nie o to chodzi. Jeśli inni mogli zostać napadnięci, dlaczego nie ja? Kierownictwo hotelu zwołało ostatnio zebranie całego personelu. Uważa, że jesteśmy zagrożeni. Może ktoś poszedł za mną do teatru.

Joseph zaczął iść w kierunku błyszczącej fasady Savoyu.

- Jesteś pracownicą hotelu, nie sprzedasz sekretów państw Wspólnego Rynku Związkowi Radzieckiemu. Dlaczego ktoś miałby cię prześladować?

Czuła, że ogarnia ją wściekłość, złość, że nie traktował jej poważnie, uważał za niewiele znaczącą. Ostatni raz czuła się tak w dzieciństwie.

- Dlaczego nie?! - krzyknęła. - Czy naprawdę tak bardzo się od nich różnię?

- Wygląda na to, że bardzo ci zależy, żeby stać się częścią tego wszystkiego, zupełnie jakbyś miała kompleks ofiary.

- Ja tylko chcę...

Odwrócił się.

- Sam, jutro mam naprawdę ciężki dzień, muszę już iść spać. Możemy o tym porozmawiać kiedy indziej?

- Cieszę się, że robisz karierę! - krzyknęła z rozpaczą. - Cieszę się, że wszystko w twoim życiu jest takie doskonałe. Ale nie jesteś jedyną osobą na świecie, która została stworzona do wielkich rzeczy. Jeszcze cię zadziwię, zobaczysz.

- Możliwe - przyznał ze znużeniem. - To był męczący wieczór. Idę do łóżka. Dobranoc, Sam. Ty też powinnaś trochę odpocząć.

Kopnęła drewniane ogrodzenie otaczające teatr, kopała je raz po raz, dopóki lzy wściekłości nie pocięły jej z oczu. Deszcz przesłaniał pociemniały budynek i okrywał miasto skrzącym się całunem.

15 PIWNICA

Biura kancelarii prawniczej Jacob & Marks przesycone były wonią starości, dostatku, dębu i mahoniu. John May, który dopiero co przybył do Norwich w wietrzny czwartkowy poranek, znalazł się w świecie wypolerowanych parkietów i tradycji. Eleganccy młodzi pracownicy, którzy pospiesznie przechodzili obok, mieli na sobie tradycyjne garnitury. Żadnych tam szerokich klap czy naszywanych kieszeni. Kancelarie prawnicze tego formatu pracowały jedynie dla dużych firm i starych rodów. Nie miał wątpliwości, że sklepikarzy zachęciano do skorzystania z usług kogo innego.

May czekał pół godziny, a ponieważ z powodu trwającego strajku do pociągu

nie dołączono wagonu restauracyjnego, brak śniadania zrekompensował sobie dwiema herbatami i talerzem herbatników.

Na dworze niebo było ponure i niespokojne, barwy letniego morza, a unoszone na wietrze liście uderzały w okna, brzęcząc o szyby. May powiedział sobie, że powinien częściej wyjeżdżać poza Londyn. Zapomniał już, jak wspinała jest angielska wieś. Nawet w grudniu zielone zarysy wzgórz wyglądały nad wyraz kusząco.

Policjant rzadko miał jednak sposobność jeździć na wieś. Większość jego rodziny odumarła go, a ci nieliczni przyjaciele, z którymi jeszcze utrzymywał kontakt, byli mieszczuchami, tak więc nie miał potrzeby podróżowania. Zdąrzyło mu się, co prawda, pojechać na południowe wybrzeże do siostry, ale tę przyjemność nieco pomniejszał fakt, że miała troje szokująco rozpuszczonych dzieci, dla których wujek John stanowił osobliwe połączenie skarbonki i drabinki do wspinania.

Bryant, oczywiście, na samą wzmiankę o opuszczeniu miasta reagował przesadnym przerażeniem. Za każdym razem, gdy May proponował wyjazd na wieś, jego przyjaciel wykrzywił twarz w serii grymasów rodem z teatru kabuki, mających symbolizować odrazę wywołaną samą myślą o czymś takim jak świeże powietrze czy liczne drzewa. Ostatnimi czasy najdalszym miejscem jego wycieczek był Battersea Park, leżący w okolicy, gdzie mieszkał, tak więc trudno to w ogóle nazwać wycieczkami. Bryant z nieklamaną ulgą pozostawił wyjazd do Norwich przyjacielowi.

Pięć po dziesiątej w drzwiach pojawił się Leo Marks i wśród przeprosin zaciągnął Maya do swojego gabinetu, równocześnie wydając skomplikowane instrukcje dwóm surowo wyglądającym młodym sekretarkom.

Policjant spodziewał się, że jego rozmówca będzie o wiele starszy. Marks wyglądał na człowieka pod trzydziestkę, choć nadwaga i styl ubierania dodawały mu lat. Siedząc naprzeciwko niego, May czuł lekki niepokój, ponieważ szare źrenice młodego prawnika miały tendencję do obierania różnych kierunków, tak że trudno było orzec, czy patrzył prosto na niego. Po zleceniu sekretarkom niełączenia telefonów przybrał wystudiowany wygląd człowieka pogrążonego w żalu po śmierci bliskiej osoby i całą swoją uwagę zwrócił na gościa.

- Strasznie przeżyliśmy wiadomość o śmierci Maxa - zaczął wyważonym tonem. - To był wielki cios dla Anne...

- Jego żony? - upewnił się May.
- Wszystkie te spekulacje w gazetach wywarły na nią straszliwy wpływ. Była mowa o tym, że zaatakował go wąż...

- Ktoś wstrzyknął Maxowi Jacobowi truciznę, rzadki jad. Jeden z naszych ludzi znalazł igłę w korytarzu przed toaletą.

- Ktoś powinien był nas zawiadomić, panie May.

- To świeże znalezisko. Została wdeptana w chodnik i przegapiliśmy ją za pierwszym razem. Czy nie myślę się, że Max i pana ojciec byli współnikami kancelarii?

- Ściśle mówiąc, to mój pradziadek założył tę firmę z dziadkiem Maxa.

- Więc wasze rodziny były od dawna ze sobą związane.

- Nadal są. Jesteśmy sobie wierni od ponad stu lat.

- Czy pański ojciec wciąż tu pracuje?

- Po ataku serca tylko w niepełnym wymiarze godzin, choć od śmierci Maxa w ogóle się nie pokazał. To był dla niego straszliwy cios. Najgorsza ze wszystkiego jest niepewność.

- Niepewność co do tego, kto go zabił, czy niepewność odnośnie do tego, co robił w Londynie?

Leo Marks przewrócił oczami, po czym spojrzął na Maya.

- Wydaje mi się, że mogę panu powiedzieć, dlaczego pojechał do Londynu - wyznał. May pochylił się do przodu wyczekująco. - Był umówiony z Peterem Whitstable'em.

- Dlaczego miałby się z nim spotkać? - zapytał policjant. - Jego siostra powiedziała nam, że w sprawach finansowych spotykał się tylko z Williamem. Gdyby miał się spotkać z Peterem, z pewnością mógłby powiadomić żonę o celu swojego wyjazdu.

- Cóż, to było spotkanie nieoficjalne. Oni byli starymi przyjaciółmi. Wszyscy studiowali razem w Oksfordzie.

- Czy Max Jacob miał zwyczaj jeżdżenia do Londynu, żeby spotkać się z braćmi, nie mówiąc o tym nikomu?

- Niezupełnie, ale wspominał o możliwości odbycia takiej podróży.

- Kiedy to było?

Leo przewrócił kartki swojego notatnika i odszukał datę.

- W poprzedni czwartek - powiedział. - Drugiego grudnia. Rozmawiał z Peterem kilka razy w tym tygodniu. Bracia mieli kolejną z tych swoich kłótni.

- Czy domyśla się pan, o co się kłócili?
- Nie. Ale na pewno nie o pieniądze, tego jednego jestem pewien.
- Skąd pan wie?
- Ich finanse były zamrożone. Wypłacaliśmy każdemu z nich określoną roczną sumę, dochód z pewnych inwestycji i tak dalej. Całkiem im to odpowiadało.

- Kto skorzysta finansowo na ich śmierci?
- Nikt, w każdym razie nie od razu. Musi pan wiedzieć, że imperium finansowe Whitstable'ów jest tak nieprawdopodobnie skomplikowane, że połowa ze spadkobierców nie zobaczy ani pensa przez najbliższe lata. Czasami zastanawiam się, czy Dickens nie wzorował na nim *Bleak House*.

W takim wypadku możemy winić prawników, którzy przede wszystkim stworzyli ten system, pomyślał May.

- A jak to jest w przypadku Maxa Jacoba? - zapytał.
- Tu nie ma żadnych wątpliwości. W testamencie Max wszystko zapisał swojej żonie Anne.

May przejrzał notatki, czując, że kręci się w kółko.

- Będę z panem szczerzy, panie Marks...
- Proszę do mnie mówić Leo.
- Im więcej wiem o Whitstable'ach, tym mniej ich rozumiem. Bracia byli finansowo zabezpieczeni, szanowani, ustabilizowani. Z moich informacji wynika, że ich najbardziej zuchwałe występkę polegały na czytaniu „Daily Telegraph” i słuchaniu radia. Nikogo nie niepokoiło. Kiedyś mieli potężne wpływy, ale to stara śpiewka. I nagle pewnego dnia, bez widocznego powodu, William najpierw dopuszcza się aktu wandalizmu, a potem zostaje wysadzony w powietrze, Petera zaś znaleziono z poderżniętym gardłem. Niemal równocześnie prawnikowi ich rodziny wstrzyknięto jad grzechotnika, a wreszcie ich siostra zostaje otruta strychniną. Bomby, brzytwy, trucizny i węże. I jakimś cudem całe to *Grand Guignol*¹ nie zostawia żadnych świadków. - May pochylił się do przodu, ostrożnie wpatrując się w młodego prawnika. - Co takiego, na miłość boską, ci ludzie skrywali? Nie byli przypadkowymi ofiarami; ich zgony zostały pieczołowicie zaplanowane i dlatego musiały służyć jakiemuś celowi. Zabójca niczego nie szukał. Nie zdradzał najmniejszego zainteresowania ich domami. Mój współpracownik podejrzewa, że to akty zemsty, ale mnie się tak nie

wydaje. Moim zdaniem celem była jakiegoś rodzaju wiedza, wiedza, którą posiadał również partner pańskiego ojca. Coś na tyle ważnego, że Max Jacob pojechał do Londynu, nie wspominając żonie o prawdziwym celu swojej podróży.

Grand Guignol (fr.) – przen. okropność, niesamowitość, makabra.

- Rozumiem - powiedział Leo, nie sprawiając wrażenia, jakby faktycznie coś rozumiał. - Może ktoś próbował ich poniżyć, wiążąc rodzinę z tak olbrzymim skandalem?

Są prostsze sposoby na poniżenie ludzi niż wysadzanie ich w powietrze w wagoniku metra, pomyślał May, ale roztropnie zachował tę myśl dla siebie.

- Proszę opowiedzieć mi o Whitstable'ach.

Leo Marks zastanawiał się przez chwilę, pocierając rumiane policzki koniuszkami palców.

- Wywodzili się od założycieli jednego z najznakomitszych londyńskich cechów, jak z pewnością panu wiadomo.

- Złotników, prawda?

- W zasadzie ich oddziału, cechu zegarmistrzów przy Blackfriars Lane. Cały czas istnieje wiele takich stowarzyszeń - cechy szewców, bednarzy i tak dalej - wiele z nich ma swoje szkoły, trusty i fundacje charytatywne rozrzucone po całej stolicy. Jak nietrudno się domyślić, mają one silne powiązania z masonerią. Peter i William byli masonami. Max zresztą też.

- Czy w tej rodzinie są jeszcze jacyś masoni?

- Całkiem sporo, jak myślę. Whitstable'owie zbijali i tracili fortuny przez dziesięciolecia, ale większość swoich obecnych dochodów zawdzięczają przedsięwzięciom zawartym w czasach wiktoriańskich...

May poprawił się na krześle. Jego nadzieje na powrót przedpołudniowym pociągami topniały z minuty na minutę.

- Powinienem wiedzieć więcej o samej rodzinie - powiedział. - Przypuszczalnie cały czas prowadzi ożywione interesy. Na pewno ma jakichś młodszych członków?

- Może kilku, ale podobnie jak wiele innych starych rodów, Whitstable'owie są na wymarciu. We wcześniejszych wiekach często zawierano małżeństwa w obrębie rodziny, ale podejrzewam, że największego dzieła zniszczenia dokonało częściowe załamanie systemu klasowego. Mamy niekompletne drzewo

genealogiczne rodziny i kilka aktualnych adresów jej członków. Mogę dać panu fotokopię.

- Byłbym bardzo wdzięczny.

- Będzie pan miał masę roboty, jeśli planuje się pan z nimi wszystkimi skontaktować. Ostatni wielki wyż demograficzny w tej rodzinie nastąpił sto lat temu. Większość wnuków zdążyła już zawrzeć małżeństwa, rozwieść się albo wyjechać z kraju.

- Mimo to muszę porozmawiać z jak największą liczbą z nich - stwierdził May. Skoro troje członków tej samej rodziny zostało zamordowanych, trudno powiedzieć, ilu jeszcze znajduje się w niebezpieczeństwie.

- Rozumiem. - Leo wstał i wezwał jedną ze swoich sekretarek.

- Jeszcze coś. - Pchnął oprawny w czerwoną skórę terminarz przez biurko i odwrócił go w kierunku Maya. - Tego dnia, kiedy Max pojechał do Londynu, nie miał umówionych spotkań w terminarzu, ale zapisał to. - Postukał palcem w kartkę, na której była napisana liczba: 216.

- Czy to panu w czymś pomoże?

- Na razie trudno powiedzieć - odparł May, który przy liczbie zauważył naskikowany pospiesznie rysunek przedstawiający płomień w zniczu, do złudzenia przypominający tatuaż Petera Whitstable'a.

- Nigdy nie powiedziałem, że zasłużyli na śmierć - obruszył się Arthur Bryant. - Jak możesz wkładać takie słowa w moje usta.

- Ale to sugerowałaś - odparł May, rozwijając kartkę z drzewem genealogicznym rodziny Whitstable'ów i przypinając ją do tablicy obok swojego biurka. Kiedy wrócił do Londynu, niebo miało barwę wody w rynsztoku, a chmury gromadziły się ponad wilgotnymi budynkami w oczekiwaniu na burzę.

- Powiedziałem jedynie, że nie pochwalam sposobu, w jaki Whitstable'owie weszli w posiadanie pieniędzy. Brytyjskie wyższe sfery wyzyskiwały kolonie i rujnowały życie pracowników, żeby zachować *status quo*. Zasłużyły na swój los.

- Wliczając w to morderstwo? Chciałbym przypomnieć ci w tym miejscu, co przysięgałeś, wstępując do policji. - Właśnie kiedy wypowiadał te słowa, dwaj robotnicy, którzy weszli do już i tak zatłoczonego gabinetu kilka minut temu, włączyli starą lampę lutowniczą.

- Co oni, do diabła, wyprawiają? - May usiłował przekrzyknąć hałas.
- Postanowiłem przywrócić ścianom oryginalny kolor - oświadczył radośnie Bryant. - Widziałeś barwę parapetów.
- Czy oni naprawdę muszą to robić właśnie teraz?
- Jeśli nie zrobimy tego teraz, uda nam się to dopiero po świętach - wtrącił się jeden z robotników, przesuując skrzynkę, żeby dotrzeć do okna. - Heath może doprowadzić nas do strajku.

- Musimy się skontaktować ze wszystkimi żyjącymi krewnymi wymienionymi tutaj - stwierdził May, usiłując się skoncentrować.

- Poproszę o listę miejsc, w których można dostać strychninę - powiedział Bryant. - Według Landa strychnina w granulach jest bardzo rzadko spotykana. Praktycznie nie do kupienia.

- Dobrze. Obawiam się, że będziemy musieli odbyć kolejne spotkanie z panem Faradayem. To niezbędne do ustalenia, czy istnieje związek między zgonami a zniszczeniem obrazu.

Bryant podszedł do płachty z drzewem genealogicznym i zaczął mu się przyglądać.

- Dlaczego Max Jacob tu przyjechał? - zastanawiał się głośno. - Co takiego Peter Whitstable mu powiedział, że było to tak ważne, by rzucić wszystko i zjawić się w Londynie? - Poskrobał się w zamyśleniu po podbródku. - Jest jakaś straszliwa reguła, która tym wszystkim rządzi. Czuję to. Ustawia wszystko we właściwej kolejności. Dlatego trzeba dokładnie przyjrzeć się każdemu z tych morderstw.

- Co masz na myśli?

- Zwykle widzi się, kto najbardziej traci, a kto zyskuje na czyjejś śmierci. Ale te morderstwa wydają się pozbawione motywu i, co ważniejsze, nie przynoszą żadnego efektu. Nic nie zmieniają. Co dała śmierć Belli? Zgon z przyczyn nienaturalnych zwykle wiąże się z seksem i pieniędzmi. Dlaczego nie w tych przypadkach? Rzuć na to okiem. - Postukał w jedno z nazwisk na drzewie genealogicznym. - Bella Whitstable nigdy nie wyszła za mąż. Na niej linia rodowa się kończy.

- Ilu żyjących członków rodziny mieszka w kraju?

- Na pewno więcej niż piętnastu, być może nawet trzydziestu. Peter Whitstable miał żonę, która rozwiodła się z nim pod koniec lat sześćdziesiątych,

dlatego nie ma jej na tym drzewie. Z tego małżeństwa mieli dwóch synów, ale obaj mieszkają za granicą z wujkiem. Resztę mamy tutaj.

- Jeśli Jacob zajmował się majątkiem całej rodziny, nie powinno być trudności z ustaleniem motywu jego śmierci.

- *Cherchez la femme*¹ - powiedział jeden z robotników, wycierając ręce o niebieski kombinezon i włączając ponownie lampę lutowniczą. - Założę się, że za tym stoi jakaś baba.

¹ *Cherchez la femme* (fr.) - dosł.: szukajcie kobiety (jeśli nie wiadomo, dlaczego coś się dzieje).

- Bardzo panu dziękujemy - odparł Bryant lodowatym tonem. - Jeśli będziemy potrzebować pańskiej pomocy, poprosimy o nią.

- Myślę, że przyda się wam każda pomoc, sądząc z tego, co wypisują o was w gazetach - zauważył drugi robotnik.

- Może w takim razie się zamienimy? Pan zajmie się naszym śledztwem, a my ramami okiennymi. - Bryant odwrócił się i nagle w drzwiach ujrzał Sam. Dziewczyna miała mokre ramiona i bladą, zatroskaną twarz. Wyglądała na o wiele mniej niż siedemnaście lat. - Czy mogłaby pani przestać pojawiać się tu jak duch?! - krzyknął policjant. - O mało nie dostałem ataku serca. Proszę, niech pani wejdzie. Czemu tym razem zawdzięczamy pani wizytę?

- Przyniosłam pewien dowód - powiedziała Sam, skrzepowana nieco obecnością dwóch robotników, którzy przerwali pracę i przyglądali się zebranym z wyraźnym zaciekawieniem.

- Jaki dowód? - zapytał May.

Sam wyjęła zza pazuchy Biblię i położyła ją na biurku. May ostrożnie otworzył ją i wpatrzył się w wyklejkę.

- Skąd pani to ma?

- Znalazłam ją w pokoju Maxa Jacoba. Policja ją przegapiła.

- Co pani tam robiła? - zapytał Bryant.

- Wpadłam tylko rzucić okiem.

- A dlaczego pani sądzi, że to może nas zainteresować?

Sam przez chwilę wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Niektóre fragmenty są zaznaczone - powiedziała. - Mogą mieć jakieś znaczenie.

- Chce pani powiedzieć, że zataiła dowód w sprawie?

- Nie - odparła dziewczyna z oburzeniem. - Po prostu poszłam tam się rozejrzeć i...

- A nie przyszło pani do głowy, że morderca mógł właśnie tego szukać? - zapytał Bryant. - Mogła się pani znaleźć w niebezpieczeństwie. Czy pomyślała pani o tym?

- Nie - odrzekła Sam, zwieszając głowę. Bryant nagle zrozumiał, ile kosztowały ją ostatnie przeżycia. Trzymała blade dłonie złożone, żeby powstrzymać ich drzenie. Zastanawiał się, jaki to wszystko miało wpływ na jej życie.

- Zjawia się jak jakiś duch - powiedział Bryant, kiedy samochód skręcił w kolejną pełną kałuż uliczkę. - Wyraźnie przejawia chorobliwą fascynację całą tą sprawą. Zaczyna mnie przyprawiać o gęsią skórkę. Chciałbym, żeby przynajmniej od czasu do czasu się uśmiechała.

- Nie możesz jej winić za to, że chce być częścią tego dochodzenia - odparł May. - Bliskość śmierci stanowiła dla niej duży wstrząs.

- Nic jej nie będzie. Zamierzasz ją zatrudnić?

- Jest dosyć bystra, a ja muszę mieć kogoś do pomocy. Tylko trzeba to zachować w tajemnicy. - May zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik. Uderzenia deszczu o dach auta stanowiły akompaniament do ich rozmowy.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebował, dzwoń do mnie na ten numer. - Podał przyjacielowi karteczkę. - Albo użyj radiotelefonu. - Bryant niechętnie wziął karteczkę i włożył do kieszeni, podczas gdy May patrzył na niego podejrzliwie.

- Nie wzięłeś go, prawda? - zapytał w końcu.

Bryant spojrzał na niego z miną niewiniątka, ale zobaczył, że to nie działa, i poddał się.

- Eee... nie - przyznał.

- Jaki był sens w tym, żebym ci sprawił radiotelefon, skoro bez przerwy go zapominasz?

- Włożyłem go do kieszeni dziś rano - zaklinał się Bryant - ale... hm... niszczył krój marynarki.

- O czym ty mówisz? - May wpatrzył się w przyjaciela, który przez ostatnie dwadzieścia lat zaopatrywał się w garnitury w sklepach z odzieżą używaną, a wszystkie były brązowe i bezkształtne. - Lepiej od razu się przyznaj, że go zgubiłeś.

- Nie zgubiłem, John, po prostu gdzieś zapodziałem. Zresztą, i tak żadne z tych urządzeń, które mi dałeś, nie działało.

- Nic dziwnego, skoro napełniałeś je resztkami obiadu. - May odpiął swój radiotelefon i podał koledze. - Weź mój. Jeśli go zgubisz, zabiję.

Bryant wysiadł z samochodu i patrzył, jak May odjeżdża. Potem poszedł w cieniu przemoczonych klonów do domu Belli Whitstable.

Posesja leżała przy cichej uliczce w Chiswick, ładnej części przedmieść zachodniego Londynu. Eleganckie nowe samochody stanowiły jedyny znak, że dzielnica została opanowana przez yuppie. Jak sama przyznawała, przez ostatnie kilka lat Bella rzadko zatrzymywała się tutaj, woląc spokój wsi. Do niedawna miała lokatora, który mieszkał w zamian za opiekę nad posesją.

Bryant otworzył furtkę z kutego żelaza i wszedł do ogrodu. Nagła zmiana światła spowodowała, że spojrzął w górę na dach. Słońce, niewidoczne przez cały dzień, wyglądało nieśmiało zza chmur, korzystając z przerwy w deszczu, zanim zajdzie.

Kiedy wreszcie udało mu się dopasować odpowiedni klucz do zamka, wszedł do holu i wcisnął włącznik światła, ale nadal było ciemno. Energia elektryczna została już najwyraźniej odcięta. Wyjął z kieszeni latarkę i zapalił ją.

Dom Belli stanowił przeciwieństwo domu jej braci. Urządzony został po spartańsku, co sugerowało, że właścicielkę niezbyt interesowała wygoda czy pogoń za modą. Pomieszczenia wypełniały tylko najprostsze meble, ściany ozdobiono kilkoma grafikami przedstawiającymi sceny z polowań. Jedyne pełen wdzięku wystrój sypialni na górze wnosił nieco ciepła. Szafy i szafki były w większości puste. W komodzie leżał pojedynczy nieoznaczony klucz.

Bryant skierował promień latarki na podest schodów, a potem na sufit. W domu nie było strychu. Ostrożnie zszedł na parter, zatrzymując się po drodze na podeście schodów i nadsłuchując. Niewiarygodne, znowu zaczynało padać. Ciągłe opady oznaczały długą, wilgotną zimę z szafranowymi zmierzchami i rozmokłymi drózkami, okres wzmożonych morderstw i samobójstw.

Bryant poprawił szal i omiół promieniem latarki kolejne okropne wiktoriańskie grafiki ze scenami polowań. Może była tu przynajmniej piwnica.

Wszedł do kuchni i w świetle latarki przyjrzał się ścianom, szukając drzwi.

W końcu je znalazł - wąskie, drewniane, pomalowane na biało, ale były zamknięte, a na pęku swoich kluczy nie znalazł takiego, który by pasował do zamka. Zagłębił rękę w kieszeni i wyjął z niej nieoznaczony klucz, który zabrał z sypialni, włożył go do zamka, po czym nacisnął kłamekę. Wilgotne drewno spuchło i w pierwszej chwili drzwi nie chciały się otworzyć. Szarpnął je i w końcu mu się udało. Zajrzał do środka.

Kamienne schodki prowadziły prosto w ciemność. Temperatura w piwnicy była kilka stopni niższa niż w domu. Czuć było grzybem.

Schodząc, Bryant widział w świetle latarki obłoczki wydychanego powietrza. Sprzęt ogrodniczy stał po jednej stronie schodów. Za grabiami i łopatami znajdowały się słupki ogrodzenia i bele drutu, które prawdopodobnie miały być wykorzystane w posiadłości wiejskiej Belli. Gdzieś przed nim woda kapła miarowo na przemoczone drewno. W Londynie trudno było o całkowicie suchy wiktoriański dom.

Promień latarki wyłonił z mroku bok olbrzymiej skrzyni. Bryant poszedł w jej kierunku po mokrej podłodze. Wystawały z niej stare zabawki. Ujrzał tam sterty zapomnianych gier, które przywołały wspomnienia z jego dzieciństwa: *Lotto*, *Escalado*, *Flounders*, *Tell Me*, *Magic Robot*. Opuszczając latarkę, sięgnął pomiędzy rozerwane misie pluszowe, porcelanowe lalki bez oczu i kończyn, pandy i rozbebeszone szmacianki i wyjął sepiową fotografię w spleśniałej ramce z szarej tekturki.

Troje dzieci stało obok siebie na wypielęgnowanym trawniku, niepewnie się uśmiechając, jakby zostały poinstruowane, że tak wypada, przez zniecierpliwionego rodzica. Dziewczynka, blada i krępa, miała na sobie luźną lnianą sukienkę, a we włosach niedobrane kokardy. Dwaj chłopcy byli starsi i ubrani na galowo w garnitury i getry - starzy maleńcy. Mimo że zdjęcie zostało wykonane w słoneczny dzień, wyczuwało się w nich wszystkich jakąś nutkę melancholii. Za nimi widać było parter imponującej rezydencji wiejskiej.

Na dole ramki napisano fioletowym atramentem: *Will Whitstable, lat 13. Bella Whitstable, lat 8. Peter Whitstable, lat 11. Lato, 1928.*

Koturkowość fotografii przynębiła Bryanta. Wsunął ją do kieszeni, wiedząc, że może się przydać.

Za pierwszą skrzynią znajdowała się druga, identyczna, wypełniona po brzegi, ale trudniej było do niej sięgnąć. Światło latarki stawało się coraz słabsze.

I w tym momencie w ciemności obok siebie usłyszał czyjś oddech. Tak jakby ktoś się właśnie budził.

Najwyraźniej wyrwał ze snu włóczęgę. Musiał się dostać jakoś do domu i zasnął w piwnicy. Świecił latarką dookoła, usiłując dostrzec postać w jej ciemniejącym promieniu, ale usłyszał jedynie szelest na drugim końcu pomieszczenia.

Z kuchni padało na schody nieco światła. W miarę jak promień latarki przygasał, ogarniała go coraz większa ciemność. Bryant przesunął się. Owionął go dziwny zapach perfum, który kojarzył mu się z hippisami z lat sześćdziesiątych. Kiedy doszedł do schodów, poczuł nieznaczny powiew; tylko to uratowało go przed pozbawieniem przytomności.

Uzbrojonemu w drewnianą pałkę napastnikowi udało się jedynie musnąć go w ramię i uderzył w ścianę. Drugą ręką chwycił policjanta za płaszcz, próbując przewrócić. Bryant skierował promień latarki na twarz napastnika. Mężczyzna krzyknął i odwrócił głowę. Policjant zamachnął się latarką i uderzył go. Ręka trzymająca jego płaszcz nagle rozluźniła uścisk.

Bryant rzucił się na schody. Był już w połowie drogi, kiedy silne ręce chwyciły go za nogi. Poczuł, że się przewraca, promień latarki zamigotał, a w końcu zgasł, on zaś spadł ze schodów prosto na kartonowe pudła. Impet upadku został złagodzony, ale do czasu, kiedy się pozbierał, napastnik zdążył już wbiec po schodach, zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Bryant zajączał, bardziej z wściekłości niż z bólu. Próbował włączyć latarkę, ale baterie wyczerpały się już do końca. Gdzieś na górze rozległo się trzaskanie drzwiami, potem drugie. Jeśli kiedykolwiek uda mu się stąd wydostać, zemści się. Tylko May wiedział, że tu jest, a jego przyjaciel był przyzwyczajony do tego, że Bryant całymi dniami nie dawał znaku życia.

Wygrzebał się na szczyt zgniecionych pudeł i sięgnął do kieszeni po zapalniczki. Chociaż tylko od czasu do czasu palił fajkę, zawsze nosił ze sobą zapalniczki ze względu na nazwę firmy zapalniczanej. „Bryant & May rozświetla mrok” - stary

żart, jeden z tych, które wciąż go bawiły. Wyjął pudełko z kieszeni i potarł zapalką o draskę.

W nikłym świetle zobaczył, że siedzi naprzeciwko wysokiego na cztery stopy obrazu w bogato zdobionej, połączanej ramie. Uświadomił sobie, że upadając, musiał spowodować jego wysunięcie się z jakiejś skrzyni.

Obraz zaczął się przewracać. Zanim płomień zapalki poparzył mu palce, Bryant ujrzał postać rzymskiego cesarza karmiącego gołębie. *The Favourites of the Emperor Honorius...*

Woń siarki wypełniła jego nozdrza i znów zapadła ciemność. Wyjął następną zapalkę, zapalił ją i uniósł rękę. Nawet w migocącym świetle udało mu się zobaczyć, że obraz sygnowany jest: John William Waterhouse.

16 NADEJŚCIE NOCY

John May stał u stóp schodów i ostrożnie składał parasol. Po bokach miał marmurowe posągi, symbolizujące cztery pory roku. Nad jego głową znajdowała się złocona kopuła, z której zwieszał się ogromny żyrandol. Na rozworach unosiły się ręce Ryszarda II; na mocy jego edyktu w 1393 roku został utworzony cech złotników.

Goldsmiths' Hall znajdowała się za nierzucającą się w oczy żelazną bramą przy Foster Lane i nic nie przygotowało Maya na olśniewające widoki w środku. Złote herby błyszcząły na każdej ścianie. Lustra były kryształowe. Ornamenty pieściły oko oglądających. Wzdłuż korytarzy biegły przeszklone gablotki z cennymi platerami.

May był umówiony z Alison Hatfield, specjalistką od public relations reprezentującą Czcigodne Stowarzyszenie Złotników. Interesowały go rozmiary kontaktów rodziny Whitstable'ów z cechem zegarmistrzów. Obcasy butów panny Hatfield stukały na marmurowej posadzce, kiedy się zbliżała, wkładając płaszcz przeciwdeszczowy. Miała ogromne, bladoniebieskie oczy osadzone na szczupłej twarzy i nerwową energię kogoś, kto ma potężną niedowagę.

- Postaram się pana nie zanudzić - obiecała, potrząsając jego ręką. - Proszę mi przerwać, jeśli zacznę za bardzo trajkotać. Z tym miejscem wiąże się kawał historii.

- Jestem tu po to, żeby się uczyć - odparł May.

- W takim razie od czego by tu zacząć? - Panna Hatfield uśmiechnęła się szeroko. - Sale od frontu zostały zniszczone podczas bombardowania w 1941 roku i oczywiście większa część budynku jest zamknięta dla zwiedzających. Użytkuje ją działająca do dzisiaj gildia londyńska. Cechy rzemieślnicze cały czas popierają swoje branże.

- Podziwiałem właśnie platerę. - May usiłował dotrzymać kroku swej przewodnicze.

- To nie tylko wystawa. Służą również praktycznym celom. Wiele z nich wykonano po to, by stanowiły rezerwy finansowe w trudnych czasach. Niestety, większość wyprzedano w szesnastym i siedemnastym wieku.

Wyszli z budynku na szarą, mokrą od deszczu ulicę.

- To niedaleko. - Panna Hatfield szła, nic sobie nie robiąc z ulewy. - Oczywiście cech zegarmistrzów jest stosunkowo nowym stowarzyszeniem. Pierwsze przenośne zegary pojawiły się na początku XVI wieku, kiedy niemiecki ślusarz odkrył, jak zastąpić ciężarki sprężyną. Cech powstał w 1625 roku, po tym jak żelazne mechanizmy zostały wyparte przez mosiężne i stalowe. Trochę późno jak na cech rzemieślniczy. No, jesteśmy na miejscu. - Zatrzymała się przed żelazną furtką i wcisnęła dzwonek. W odpowiedzi rozległ się brzęczyk. Pchnęła furtkę i weszli do środka. Znaleźli się w holu podobnym do holu cechu złotników, tylko mniejszym.

- Przekażę pana swojemu odpowiednikowi - powiedziała, prowadząc go szybko bogato zdobionym korytarzem, wzdłuż którego stały kolumny korynckie ze scaglioli. - Chociaż w zasadzie jest sekretarzem stowarzyszenia.

- Czy cech zegarmistrzów ma ogólnie dostępną listę członków? - zapytał May.

- Nasze cechy są całkowicie odrębnymi strukturami - wyjaśniła panna Hatfield. - Niestety, musi pan o to zapytać pana Tomlina. - Wprowadziła Maya do niewielkiego, nowocześnie urządzonego gabinetu, który wyraźnie kontrastował z wyszukаныmi ozdobami na zewnątrz. Za niedorzecznie wielkim biurkiem siedział gruby mężczyzna w opiętym szarym garniturze, mówiący coś cicho do dyktafonu. Jego półprzymknięte powieki sprawiały wrażenie, że drzemie.

- Zaraz zajmie się panem - zapewniła panna Hatfield.

- Dziękuję bardzo, panno...

- Proszę mi mówić Alison. - Wyraźnie czuła, że wtargnęła na obce terytorium i z nerwowym uśmiechem zaczęła się zbierać do wyjścia. May przyglądał się pozbawionemu ozdób pomieszczeniu, a Tomlins w dalszym ciągu go ignorował. W końcu spojrzął do góry, ale nie wyciągnął ręki na powitanie.

- Jak się domyślam, chce pan dowiedzieć się czegoś więcej o cechu zegarmistrzów - powiedział zaskakująco wysokim głosem. - Czy mogę zapytać czemu?

Coś w sposobie jego zachowania natychmiast zdenerwowało Maya, który postanowił wyjawić mu jak najmniej.

- Prowadzimy dochodzenie, które pośrednio związane jest z cechem - wyjaśnił. - Zbieram informacje, które mogą rzucić nieco światła na tę sprawę.

- Jeśli mam ich dostarczyć, muszę wiedzieć więcej.

- Obawiam się, że w tej chwili to, niestety, niemożliwe. Ale może pan pomóc, oprowadzając mnie po obiekcie.

Tomlins był wyraźnie niechętny ujawnianiu czegokolwiek poza podstawowymi informacjami. Było to zaskakujące, biorąc pod uwagę, że jego obowiązki polegały na udzielaniu informacji o cechu. Kiedy chodzili po salach wypełnionych gablotkami z ozdobnymi złotymi i srebrnymi zegarkami, mówił jedynie wtedy, gdy May o coś zapytał.

- Co pańskie stowarzyszenie łączy ze złotnikami? - zapytał na przykład policjant, szczerze zainteresowany tym, co zawsze było dla niego nieznaną stroną miasta.

- Cech złotników został założony prawie trzy wieki wcześniej od nas - wyjaśnił Tomlins. Jego małe, wypucowane na glanc buty skrzypiały przy każdym kroku. - Zegarmistrzostwo opiera się w równej mierze na zdobnictwie i mechanice. Złotnicy pomagali naszym członkom nabrać doświadczenia w stosowaniu rzadkich i cennych metali. Złoto i srebro to wciąż najpopularniejsze materiały na zegarki. - Minęli dwa powiązane ze sobą portrety, królowej Wiktorii i księcia małżonka, nie do poznania młodych.

- Wydaje mi się, że ozdoby tych przedmiotów nasycone są symboliką - zauważył May.

- Jak najbardziej. Rzemieślnicy w swoje grawerunki zawsze włączali pewne osobiste wyobrażenia.
- Czy kiedykolwiek widział pan coś takiego? - May wyjął z kieszeni kartkę papieru, na której znajdował się symbol z laski Williama Whitstable'a.
- Nie wydaje mi się. - Tomlins potrząsnął głową, Maya jednak nie przekonało jego pospieszne zaprzeczenie.
- Czy spotykacie się na gruncie towarzyskim?
- Kogo ma pan na myśli?
- Członków cechu. Stare zegarmistrzowskie rody. Regularnie odbywacie zebrania?
- Tak, mamy doroczne spotkania. To, czy są jakieś inne, stanowi indywidualną sprawę każdego członka cechu. Wielu z nas jest również masonami i oczywiście czasami to ze sobą koliduje.
- W takim razie zapewne zna pan rodzinę Whitstable'ów? Za półprzymkniętymi powiekami May ujrzał błysk.
- Od czasu do czasu się spotykamy.
- Z pewnością słyszał pan o śmierci Williama, Petera i Belli Whitstable'ów?
- Wiem tylko tyle, ile dowiedziałem się z gazet. - Odwrócił się, wskazując jedną z gablotek. - Tutaj znajdują się jedne z naszych najwspanialszych zegarków kieszonkowych. Chociaż tradycyjnie noszono dwa takie zegarki, po każdej stronie kamizelki, jeden z nich zwykle był atrapą.
- Ten mógłby być też ładnym zegarkiem na rękę - zauważył May. - Kiedy ostatni raz widział pan któreś z Whitstable'ów?
- Zegarki naręczne zaczęto produkować dopiero po pierwszej wojnie światowej, panie May. W czerwcu byliśmy na uroczystym obiedzie u burmistrza. Członkowie rodziny również mogli być obecni. Zapewne chciałby pan obejrzeć pozostałe sale.
- I nie rozmawiał pan wtedy z żadnym z nich? - naciskał May. - A co pan powie o ich kontaktach z cechem? Czy odgrywali aktywną rolę w państwa codziennych interesach?
- Tego rodzaju informacje znają jedynie członkowie zarządu i dyrektorzy. Nikt z zewnątrz nie ma do nich dostępu. O jednym mogę pana zapewnić: interesy nie miały żadnego związku z ich śmiercią.

May odniósł wrażenie, że został zbyty. Żadne dalsze naciski nie miały sensu. Masońskie powiązania członków cechu nauczyły ich dochowywania tajemnicy. Może zamiast tego uda się dowiedzieć czegoś innego.

- Widzi pan, panie Tomlins, usiłuję ustalić, kto skorzystał, a kto stracił na ich śmierci.

Tomlins zatrzymał się i odwrócił do policjanta.

- Jeśli sugeruje pan, że któryś z członków cechu zegarmistrzów jest za to w jakiś sposób odpowiedzialny...

- Wcale tego nie twierdzę. Muszę zrozumieć każdy aspekt ich życia, a to oznacza wkroczenie w obszar prywatności.

- Ale oni byli ofiarami, nie sprawcami. Z pewnością zasługują na to, aby traktować ich z należytym szacunkiem. Jeśli zamierza pan wścibiać nos...

- Panie Tomlins, muszę wiedzieć, dokąd wędrowały ich pieniądze, z kim byli powiązani towarzysko i finansowo, czym były ich nadzieje i lęki dla nich samych i dla innych. Może pan ułatwić mi całą tę sprawę, pytając o to innych członków cechu. Nasze dochodzenia są utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Wiemy, że William i Peter niedawno się pokłócili i że Bella praktycznie zerwała stosunki z rodziną. Ktoś tutaj musi wiedzieć, dlaczego Whitstable'owie ze sobą nie rozmawiali. Chciałbym, żeby pan zwołał zebranie. Ktoś z was musiał znać dobrze braci. Chce pan strzec interesów członków cechu. Z pewnością Whitstable'owie zasługują na pana pomoc.

- Dobrze - odrzekł w końcu Tomlins. - Zobaczą, co się da zrobić.

Wychodząc, May odwrócił się i zauważył, że Tomlins odchodzi od niego pospiesznie. Coś wydawało się pilnie wzywać go do gabinetu.

Drzwi piwnicy były szczelnie zamknięte. Bryant usiłował przyzwyczaić się do ciemności, ale nie dostrzegł niczego, na czym można by się skupić. Ciężko mu było oddychać. Znajdował się pod poziomem ziemi w ciemnym, zamkniętym domu. W normalnych okolicznościach ciemność mu nie przeszkadzała, ale spotkanie z włóczęgą pozbawiło go sił.

Przezwyćiężywszy niepokój, wszedł po schodach. Kopnął na próbę drzwi, ale zostały zrobione z twardego dębu i mocno trzymały się w zawiasach. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie podział radiotelefon, który dostał od Maya.

Pamiętał, że wyjmował go z kieszeni, na pewno gdzieś w piwnicy, ale izba była pełna rupieci, a jemu skończyły się już zapalki.

Właśnie się nad tym zastanawiał, kiedy do jego uszu dobiegło odległe skrzypienie otwieranych drzwi, a potem stłumiony głos. Ktoś był w domu. Bryant zaczął krzyczeć. Kopał też w drzwi, aż zaczęła go boleć stopa. Nic go już nie obchodziło, czy spotka się z przyjacielem, czy z wrogiem.

- Czy to pan, panie Bryant? - Głos, który dochodził zza drzwi, wydał mu się dziwnie znajomy.

- Oczywiście, że to ja, a któżby inny! - Poczł ogromną ulgę. To było tak, jakby został wydobyty z morza w momencie, kiedy już tonął.

- Proszę się odsunąć od drzwi.

Bryant cofnął się na schody. Drzwi rozwarły się z hukiem i do środka wpadł jeden z ich funkcjonariuszy.

- O rany, proszę pana, chyba nie czas na to, żeby się zakradać do czyjejs piwnicy? - powiedział policjant, wyciągając do niego rękę.

Bryant tak się uradował, że na moment opuściła go zwykła gburowatość. Przypomniawszy sobie o swoim znalezisku, wrócił po obraz i zaczął go taszczyć na górę.

- Musimy go wziąć - wyjaśnił. - To dowód rzeczowy. - I właśnie w tej chwili, jakby chcąc za wszelką cenę pozostać w ukryciu, obraz wysunął się z jego objęć i spadł po schodach na sam dół.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była rozmowa w obecności Nicholasa, ale Joseph już szedł przez hol do recepcji, z włosami wystającymi spod kapelusza kowbojskiego. Sam odłożyła długopis, przygotowując się do kłótni.

- Chciałbym przeprosić cię za wczoraj - powiedział. - Musisz przyznać, że to był naprawdę dziwny wieczór.

Sam nagle stała się bezbronna. Nigdy jeszcze żaden mężczyzna jej nie przeproszał. Przywykła do ciągłych kłótni ze wszystkimi.

- Dasz się w ramach przeprosin zaprosić na kolację? - Z uśmiechem podał swój klucz do pokoju Nicholasowi.

- Nie możesz jeszcze iść - zaprotestował ten ostatni. - Zostało ci pół godziny do końca zmiany.

Sam bez słowa wzięła torebkę.

- Jeśli pójdziesz - syknął Nicholas, a na jego skroni pojawiła się żyła - zamelduję o tym szefostwu. Wyrzucą cię na zbity pysk. Nie zamierzam tego dłużej znosić.

Jego pogroźki na nic się nie zdały. Postanowiła, że nikt nie będzie jej mówił, co ma robić. Nie zastanawiając się ani chwili, wyszła z Josephem przez drzwi obrotowe na ulicę.

W Arizona Grill stoliki miały stalowe blaty z wgnieceniami w kształcie półksiężyców od uderzeń szklankami z tequila. Kelnerka ze zboląłą miną poprowadziła ich do stolika w kącie. Wieczorami Sam lubiła wrywać się z West Endu do alternatywnych centrów rozrywki w Camden Town. Meksykański bar był jakąś nowością. Pozyskiwanie przyjaciół w nocnych lokalach King's Road było niemożliwe. Miała bardzo mało wspólnego z pozerskimi nastolatkami, którzy wypełniali Chelsea Drugstore, rozmawiając o modnych gadżetach. Za to krzykliwe Camden było dla niej drugim domem.

- Jesteś głodna? - zapytał Joseph.

- Zawsze jestem głodna. Potrafię spalić czterodaniowy posiłek w dwadzieścia minut. - Popatrzyli do menu, po czym zamówili tyle jedzenia, że i troje by się najadło.

- Czy jest szansa, żebyś opowiedziała mi coś więcej o sobie? - zapytał.

- A po co chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć? - Przynęła krzesło. - Masz już przecież dziewczynę.

- To wszystko nie jest takie jednoznaczne. Możemy być zainteresowani kimś, wcale nie chcąc iść z nim do łóżka.

- Jakie to w stylu lat siedemdziesiątych. Nie brzmi dla mnie zbyt przekonująco. - Przez chwilę się zastanawiała. - Co chcesz wiedzieć? - zapytała w końcu. - Mam ci opowiedzieć historię całej swojej rodziny?

- Na początek może być.

- Dobrze, więc proszę: moi rodzice są starsi niż ich pieniądze. Właściwie nie mamy życia rodzinnego. Gwen chodzi na tak wiele zebrań towarzystw dobroczynnych, że zastanawiam się czasem, czy nie ma kogoś na boku. Uwielbia przesiadywać w salach posiedzeń. Żyje w nadziei, że rzadkie zwierzęta zostaną wpisane na listę gatunków zagrożonych, dzięki czemu będzie mogła powołać komitet do ich ratowania. Dla Jacka czas zatrzymał się w roku 1944. Może był wtedy szczęśliwy. Moja matka lubi wydawać przyjęcia, ale nie gotować. Na

wszystkie swoje przyjęcia wynajmuje firmę cateringową. Dorastałam, myśląc, że posiłek z rodziną oznacza koreczki na pięćdziesiąt osób. Wszystko jest w porządku, dopóki nie zaczynamy rozmawiać o mojej przyszłości, a oni ciągle chcą o niej rozmawiać.

- Dlaczego?

- Chciałam iść na studia plastyczne, a oni woleli, żebym dołączyła do rodzinnej firmy. Ale wojna między nami rozpoczęła się dużo wcześniej.

Joseph rzucił się na talerz tortilli, zlizując ser z koniuszków palców.

- A jaką firmę prowadzą?

- Import-eksport, złoto i srebro. Nie znam szczegółów i naprawdę nie jestem nimi zainteresowana.

- Dlaczego? Wygląda na to, że mogą z tego być niezłe pieniądze.

Ściągnęła paprykę z frytek i zjadła ją.

- Znam ludzi, z którymi przestają Gwen i Jack. Nigdy nie chciałabym stać się częścią tego towarzystwa.

- Więc próby ucywilizowania cię wzięły w łeb?

- Chyba osiągnęli skutek odwrotny do zamierzonego. A w wieku czternastu lat zaczęłam sprawiać kłopoty... - Wspomnienie tych czasów miała wciąż świeżo w pamięci. Mówienie o tym wymagało odsłonięcia się, ale może przeszłość nie powinna czekać zamknięta w butelce, aż sfermentuje w ciemności.

Szybko wyczuł jej zmieszanie.

- Możemy pomówić o czymś innym, jeśli chcesz.

Pociągnęła łyk piwa.

- Schrząniłam dalekosiężne plany swoich rodziców, bo wyrzucili mnie ze szkoły. Gwen wpadła w szał. Mówiła, że się na mnie zawiodła, jak ma teraz spojrzeć w twarz swoim przyjaciółom i inne tego typu głodne kawałki, więc zrobiłam demolkę w domu i zaczęłam wygadywać naprawdę straszne rzeczy. Nie wiedziałam, co mówię. To było coś w rodzaju załamania nerwowego.

- I co się stało potem?

- Wysłali mnie na terapię. Doktorek uznał moje zachowanie za obrzydliwe, więc dałam mu w gębę. Od ciosu pękło mu naczynko w nosie, zrobiła się afera i Jack musiał zawrzeć ugodę pozasądową. Gwen wysłała mnie do zakładu wychowawczego. Nie mogłam tam wytrzymać, ciągle uciekałam. W końcu ja, Gwen i Jack doszliśmy do porozumienia. Jeśli nauczę się panować nad

zachowaniem, przestanę się mnie czepiać. Utworzyli fundusz powierniczy, z którego będę mogła zacząć korzystać w wieku dwudziestu jeden lat. Zgodziłam się być wzorową córeczką. A nawet obiecałam, że dołączę do rodzinnego interesu.

- Więc jakim sposobem skończyłaś jako recepcjonistka?

- Cóż, złamałam obietnicę.

- A oni są wściekli, że to zrobiłaś?

- Łagodnie mówiąc. A teraz ty opowiedz o sobie.

- Nie zmieniaj tematu.

- Mówienie o tym wpędza mnie w depresję. Kolej na ciebie.

- To moja pierwsza praca po studiach. Otrzymałem szansę urzeczywistnienia marzeń. Już zacząłem prace nad następną produkcją Tasaka Corporation. Opłacają mi hotel i dali zaliczkę, ale wynajmę mieszkanie, gdy tylko dostanę pierwsze większe pieniądze. Możesz mi wierzyć lub nie, nie spodziewałem się spotkać kogoś zamieszanego w sprawę morderstwa. Dowiedziałaś się czegoś więcej od policji?

- Jestem w to zamieszana, ale nie jestem spokrewniona z żadnym ze zmarłych czy coś takiego.

- W takim razie dlaczego to cię aż tak bardzo interesuje?

Zawahała się. To nie było pytanie, na które chciała odpowiedzieć.

- To chyba ma coś wspólnego z moimi lękami.

- Myślę, że to dobry sposób na uporanie się z nimi.

Obserwowała jego twarz, kiedy jadł. Joseph był dokładnie taką osobą, jaką zawsze chciała być: pewną siebie i wytrwale dążącą do celu.

- Chciałabym zobaczyć twoje projekty - wyznała.

- Szczegółowe plany ma ekipa konstrukcyjna, ale mogę ci pokazać szkice. - Uśmiechnął się. - Wpadnij do mnie któregoś dnia, mieszkam na pierwszym piętrze.

- Nie wiem, czy będę miała czas. Od kilku dni nie doszło w hotelu do żadnego morderstwa. Kierownictwo pewnie będzie chciało, żebym była na posterunku, na wypadek gdyby znów coś się stało. - Przerwała na chwilę jedzenie. - Wydawało mi się, że mieszkasz na czwartym piętrze? - Pamiętała numer jego pokoju na karcie rezerwacji.

- Miałem tam mieszkać, ale wynikło jakieś zamieszanie z pokojami. Jestem w pokoju 216.

- 216? - Ten numer był zapisany w Biblii Jacoba. Co za dziwny zbieg okoliczności. - Pójdę z tobą do hotelu - powiedziała.

Kiedy dotarli do recepcji Savoyu, zastali Nicholasa w stanie permanentnej paniki. Ważni goście właśnie jedli kolację, a zwiększone środki bezpieczeństwa oznaczały tłumy skarżących się gości w holu. Nicholas oświadczył, że jest gotów darować Sam, jeśli ta zgodzi się zostać po godzinach.

- Ale to nie powstrzyma mnie od poskarżenia się na twoją punktualność - zastrzegł. - I tak to zrobię.

- Dlaczego zmieniłeś pokój Josephowi?

Nicholas spojrział na odzianego w skórę scenografa.

- To nie moja wina - oświadczył. - Wszystko przez tę telefoniczną rezerwację.

- To znaczy?

- Ten prawnik, no wiesz, Max Jacob - powiedział Nicholas, zniżając głos - złożył telefoniczną rezerwację na dwa dni przed przyjazdem do Londynu, usilnie prosząc właśnie o pokój 216.

- To dlaczego mu go nie dałeś? - zapytała.

Nicholas odwrócił wzrok.

- Pomyliłem się podczas zapisywania. Miałem tyle na głowie, a ochroniarze delegatów kręcili się tu w kółko. Kiedy Jacob przyjechał, obiecałem mu, że porozmawiam z nowym mieszkańcem tego pokoju i zamienimy pokoje z powrotem, ale Joseph nie chciał o tym słyszeć. Co więcej mogłem zrobić? A potem Jacob zginął.

Przeszukałam zły pokój, pomyślała Sam.

- Często zdarza ci się umieszczać gości nie w tych pokojach? - zapytał Joseph.

- Słuszna uwaga - roześmiała się. - Niezadowolony gość. Muszę poskarżyć na ciebie kierownictwu.

- Dobra, Sam, wystarczy - warknął Nicholas. - Tym razem jeszcze ci daruję, ale to już naprawdę ostatni raz.

- Chodźmy do twojego pokoju - powiedziała Sam do Josepha, idąc w kierunku schodów.

- Nie mam pojęcia, co ty się spodziewasz tam znaleźć. - Joseph otworzył drzwi i zapalił światło.

- Ja też nie. Ale dlaczego Jacob upierał się akurat przy tym pokoju? - Sam rozejrzała się. - Nie jest lepszy ani gorszy od tego, w którym ostatecznie się zatrzymał. Właściwie są identyczne.

- Może miał dla niego znaczenie sentymentalne?

- Nie żartuj, on był prawnikiem.

Weszła do łazienki i zajrzała pod umywalkę.

- Może to jakiś rodzaj skrzynki kontaktowej?

Przez następne dziesięć minut przeszukiwała sypialnię, podczas gdy Joseph patrzył na nią w milczeniu. Właśnie w chwili, kiedy już chciał ją powstrzymać, skończyła i wróciła do łazienki. Jeśli Max Jacob przyjechał do Londynu, żeby zabrać coś z pokoju nr 216, musi to być ciągle tutaj.

- Nikt oprócz ciebie nie wchodził do tego pokoju.

- A pokojówki? Personel ma zapasowe klucze. To mógł być każdy... Co tam masz?

Kłęczała, dotykając białych kafelków pod umywalką. Jeden poruszył się pod jej ręką.

- To dojdzie do syfonu - wyjaśniła. Pod kafelkiem był otwór o średnicy sześciu cali. Joseph podszedł do niej.

- Co tam jest?

Ostrożnie wyjęła beżową, rozdartą na górze kopertę.

- Wygląda na to, że się spóźniliśmy - powiedziała. Potrząsnęła kopertą. Wypadł z niej rozdarty kawałek fotografii.

- Ten, kto zabrał to, co było w środku, musiał się spieszyć, bo nie sprawdził do końca zawartości koperty. Założę się, że były tu narkotyki. Pewnie nasz prawnik był kurierem. - Zajrzała do wnętrza koperty, ale nic w niej nie znalazła. A potem popatrzyła na fotografię i jej oczom ukazały się dwie pary gołych nóg, tyłek, pierś i niezbyt pociągający penis.

- Pornografia? - wyjąkała, zmieszana.

17 UZNANIE DLA SZTUKI

- Jak się czujesz? - zapytał May, siadając na tym kawałku kapy na łóżko, która nie była przykryta sobotnimi gazetami. Powieki jego przyjaciela były

zaczernione i spuchnięte, a twarz miała barwę kurczaka z supermarketu.

- Och, wspaniale. Jeszcze tego mi brakowało: przeziębienia. - Bryant popatrzył na niego podejrzliwie. - Zjadłeś wszystkie winogrona?

May rozejrzał się z miną winowajcy. Wyglądało na to, że faktycznie tak. Jak na kogoś, kto nie czuł się zbyt dobrze, jego przyjaciel dostrzegał zaskakująco dużo.

- Było tylko trochę - odparł. - Miałeś wczoraj miły odpoczynek. Do poniedziałku powinieneś być już na nogach.

Popatrzył na okno mieszkania Bryanta. Gdyby wstał, mógłby dojrzeć zabłoczone trawniki Battersea Park i rzekę w oddali. Widok przyjaciela w tak kiepskiej kondycji był dla niego wstrząsem. Zastanawiał się, czy przeziębienie Bryanta to efekt zamknięcia w piwnicy. Piątek upłynął mu na robocie papierkowej, niewnoszącej nic nowego do śledztwa. Potrzebował powrotu współpracownika.

Uratowany obraz Waterhouse'a stał pod ścianą. Sypialnia odzwierciedlała stan umysłu Bryanta, jej brudne półki wypełnione były stertami gier i układanek w starych pudełkach, figurkami i pamiątkami walczącymi o miejsce z książkami o każdej tematyce, jaką tylko można sobie wyobrazić, począwszy od *Czucia i postrzegania w historii psychologii eksperymentalnej*, a na *Ilustrowanych balladach brytyjskich* i *Historii filozofii indyjskiej* skończywszy.

- Co czytasz w tej chwili? - zapytał May.

- *Batmana* - odparł Bryant. - Świetne rysunki.

- Twoja gospodyni mówiła, że nie można ci przeszkadzać.

- Alma zawsze szuka wymówki, żeby nikt mnie nie nachodził. Co godzina przynosi mi talerze obrzydliwie cuchnącego bulionu i siada na łóżku jak Florence Nightingale z nadwagą, wkładając mi termometr w dziurę w zadku. Nic dziwnego, że jej mąż zmarł. Zdajesz sobie sprawę, jak bliscy byliśmy tego, żeby w ogóle nigdy nie znaleźć tego obrazu? - Bryant owinął się szczelniej pledem. - Jestem pewien, że to klucz do całej tej sprawy. Chciałem, żebyś tu przyjechał, bo zaraz powinien się pojawić Summerfield, żeby potwierdzić jego autentyczność. Rozdarłem sobie spodnie. Jedna nogawka jest do niczego.

- Domyślam się, że myśl o kupnie nowego ubrania napełnia cię przerażeniem, Arthurze, ale powinieneś się cieszyć, że w ogóle wyszedłeś z tej przygody cało. - May dopił herbatę i odstawił filiżankę. - Nie zamierzasz wstać? Jesteś tylko trochę przeziębiony. Z pewnością ucieszy cię wiadomość, że Janice

i ja obdzwoniliśmy wszystkich żyjących członków rodziny Whitstable'ów w tym kraju. Zaprosiliśmy ich do nas na jutro po południu.

- Na niedzielę? Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, żeby się nimi zająć.

- Wezmę do pomocy tę dziewczynę z Savoyu. Niedziela uchroni nas od wymówek, że nie mogą przyjść, bo pracują. Chcę, żebyś był tam obecny, o ile, rzecz jasna, czujesz się na siłach.

- Nie jestem symulantem - obruszył się Bryant. - Nie tak jak ty i ten twój tak zwany atak serca, który okazał się dusznicą.

May wiedział, że jego współpracownik był wdzięczny za uratowanie, ale nie spodziewał się, że kiedyś doczeka się podziękowań. Znalazszy radiotelefon na siedzeniu pasażera, poprosił jednego z policjantów, żeby dyskretnie sprawdził dom. Gdyby nie ten chłopak, kto wie, czy Arthur w ogóle zostałby znaleziony.

Rozległ się dzwonek u drzwi i May poszedł otworzyć. W progu stał Peregrine Summerfield, wypełniając swoją zwalistą figurą całą wąską framugę. Pomachał butelką koniaku w mięsistej dłoni. Czerwona i żółta farba wciąż płamiły jego brodę, zupełnie jakby używał jej zamiast pędzla. Niewykluczone, że w ten sposób prezentował swoje prace.

- Gdzie ten symulant? - zapytał, przypatrując się Mayowi. - Ty pewnie jesteś John. Dużo o tobie słyszałem.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy.

- Mówiąc szczerze, same złe. A, tuś mi, bratku! - Summerfield wszedł do sypialni i miał już potrząsnąć ręką przyjaciela, kiedy zauważył obraz.

- Wiedziałem, że to cię zainteresuje - powiedział Bryant, podpierając się na rękach. - Czy to autentyk?

- Zdecydowanie tak. - Summerfield ukucnął i przyjrzał się bacznie płótnu. - W tym właśnie cały urok Waterhouse'a - wymamrotał. - Przechodził prosto od pomysłu do realizacji. Żadnego tam niekończącego się szkicowania czy rysunków kredą. Zakasywał rękawy i brał się do roboty. W każdym razie to z pewnością autentyk. Szkic obrazu. Wiedziałem, że znajduje się w prywatnych rękach, ale nie miałem pojęcia gdzie. Waterhouse zrobił najpierw malutki olejny szkic, a potem to.

- Zechciałbyś opowiedzieć o tym obrazie mojemu koledze?
- Z przyjemnością - odparł Summerfield, nie mogąc oderwać oczu od płótna. - To bardzo dramatyczny temat. Flavius Honorius został władcą całego zachodniego świata w wieku lat dziesięciu. W czasie gdy jego imperium najechały barbarzyńskie plemiona i Rzym został zdobyty przez Wizygotów, on siedział na tronie, zabawiając się swoimi ptaszkami. Jego wojska dostawały w dupę, a on poślubił jakieś dwie lalunie i miał gdzieś całe upadające imperium. W tych nielicznych okazjach, kiedy mógł coś zrobić, wszystko pieprzył. Najślabszy ze wszystkich cesarzy rzymskich i ostatni palant. Widać go tutaj, jak ignoruje rozpaczliwe błagania swoich mężów stanu o audiencję.
- Czy jest duża różnica między tym a skończonym obrazem?
- Ogromna. Stojący pośrodku sługa został usunięty. Waterhouse uznał go za zbyt dominującą postać. Gdzieś ty go znalazł?
- Należał do jednej z ofiar.
- Wygląda na to, że Bella Whitstable nas oszukała - zauważył May.
- Niekoniecznie - odparł Bryant, dźwigając się z łóżka i wkładając szlafrok na piżamę. - Nie mamy powodu, aby przypuszczać, że wiedziała, który z obrazów Waterhouse'a zniszczył jej brat. Poza tym są osoby, które gromadzą cenne dzieła sztuki i całkiem zapominają o ich istnieniu.
- Skoro już o tym mowa, ten obraz nie jest szczególnie cenny - zauważył Summerfield. - Ten niedokończony szkic niedocenianego obrazu może być ciekawy z czysto akademickiego punktu widzenia, chociaż jest naprawdę piękny. Waterhouse jest znany głównie z późniejszych płócien, zwłaszcza z *The Lady of Shalott*, które zostało namalowane pięć lat po tym. Pierwsze, na którym ona jest w łódce, wyglądając żałośnie, a nie drugie, na którym ma grubą dupę i wygląda, jakby puszczała wiatry. Jest w Tate, jak sądzę.
- Bardzo ci dziękuję, Peregrinie - powiedział Bryant. - Masz dar napełniania historii sztuki życiem. - Odwrócił się do Maya. - O ile się nie mylę, na schodach słychać ciężkie kroki Almy Sorrowbridge. Jeśli nie chcesz być karmiony bovrilem¹ przez następne pół godziny, proponuję, żebyśmy udali się na West End najszybciej, jak się tylko da.

¹ Bovril - ekstrakt z drożdży stosowany jako pasta do smarowania pieczywa i przyprawa.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, wspominałeś, że ten akt wandalizmu coś ci przypomina - powiedział Bryant do Summerfielda. - Pamiętasz już, co to było? - Gnietli się w zardzewiałym minicooperze Bryanta. Prowadził May, chociaż ledwo był w stanie wcisnąć nogi pod układ kierowniczy.

- Tak, przepraszam, powinienem do ciebie zadzwonić. To był Whistler.

- To ten z matką o wiecznie skwaszonej minie?

- James Abbott McNeill, ten sam. - Summerfield podpierał głową dach samochodu, ściśnięty niczym sardynka w puszcze. Kiedy odwrócił głowę, jego broda wytarła parę z okna. - Wiesz, sławna akcja przeciw Ruskinowi.

- Nie pamiętam szczegółów, Peregrinie. Przypomnij mi.

- Whistler podjął akcję przeciwko Johnowi Ruskinowi za jego wypowiedź o obrazie *The Falling Rocket*, że to „rzucenie słoika farby w twarz widza”. Dlatego pomyślałem, że może nasz człowiek też dokonał swojego czynu w odwecie. No wiesz, widz manifestujący swoje oburzenie, coś w tym rodzaju. Whistler pisał o Londynie: „Kiedy wieczorna mgła ubiera brzeg rzeki w pozę, ubogie budynki gubią się w ciemniejącym niebie, wysokie budynki stają się podobne do dzwonnicy, a magazyny są pałacami w nocy”.

- To bardzo poetyckie - zauważył Bryant - i kompletnie niezrozumiałe. Coś ty, do licha ciężkiego, chciał przez to powiedzieć?

- Skoro szkic obrazu znajdował się w posiadaniu jego rodziny, niewykluczone, że koleś chciał zwiększyć jego wartość, niszcząc skończone dzieło. - Summerfield wpatrzył się nieobecny wzrokiem w okno. - Może to był dla niego akt poniekąd symboliczny.

- A niby co miałby symbolizować, na miłość boską?

- Cóż, odkrycie tego należy już do was - odrzekł malarz z uśmiechem.

18 RODZINA

Sala konferencyjna Wydziału Przestępstw Osobliwych została pomyślana jako miejsce spotkań z prasą, jednak w niedzielę po południu wypełniona była składanymi krzeselkami i służyła zgola innemu celowi.

Sam Gates stała w drzwiach, przytrzymując rękawy swetra palcami, i przyglądała się zebrany.

W wąskim pomieszczeniu o wysokich oknach zebrały się niejednorodnie gałęzie rodu Whitstable'ów. Członków rodziny przybyło tak dużo, że dla niektórych zabrakło krzesełek i musieli stać pod ścianami. Wszyscy naraz rozmawiali, kłócili się, skarżyli, gestykulowali - jedni do drugich, do policjantów, do każdego, kto chciał słuchać. Widząc ich zebranych w jednym miejscu, Sam wyodrębniła wspólne wszystkim cechy fizyczne, takie jak krzywe zęby, wielkie małżowiny uszne i pewien rodzaj związanych ze stresem plam zwykle znajdowanych u osaczonej meduzy. To nie był specjalnie atrakcyjny widok.

- Czy mógłbym prosić o ciszę? - zapytał Bryant, stając przed zebrany z uniesionymi rękami. - Im wcześniej zaczniemy... - Odwrócił się do Maya, który siedział na pomarańczowym krześle obok niego. - Nie do wiary. Oni mnie kompletnie ignorują. - Nie mógł przedrzeć się przez hałas wywołany tak wieloma równocześnie prowadzonymi rozmowami.

- Musi pan krzyknąć - poradziła Sam. - Nie sądzę, żeby byli przyzwyczajeni, że im się rozkazuje.

- Ach, te wyższe sfery - westchnął Bryant. - Zwróciliby na mnie uwagę, gdybym był koniem. - Zdjął mikrofon ze statywu i zbliżył go do jednego z wiszących na ścianie głośników. Wynikłe z tego sprzężenie spowodowało, że wszyscy jak na komendę zatkali uszy. Ponad trzydzieścioro oburzonych mężczyzn, kobiet i dzieci spojrzało na podwyższenie z przodu sali.

- Dziękuję państwu - powiedział Bryant, umieszczając mikrofon z powrotem na statywie. Wpatrzył się w swoją publiczność jak nauczyciel stający twarzą w twarz z niezdyscyplinowaną nową klasą. Oto oni, pomyślał, Whitstable'owie: dobrze wyedukowani, z koneksjami, po prostu śmietanka towarzyska. Spędzający czas na polowaniach właściciele ziemscy uwielbiani przez takie pisma jak „Tatler”. Fotografowani na ślubach i balach debutantek wydawali się mili i eleganccy, ale zgromadzeni razem zapominali o istnieniu reszty świata.

- Postaram się nie zabrać państwu zbyt wiele czasu - obiecał. - Dobrze by było, gdybyśmy się wzajemnie poznali.

- Czy nie było nikogo wyższego rangą? - krzyknął młody człowiek z końca pierwszego rzędu.

- Jesteśmy wyższymi rangą funkcjonariuszami, do których może pan kierować swoje pytania. - Bryant przedstawił siebie i Maya wśród kpiących prychnięć. Jakies dziecko zaczęło płakać, a z jednego z krzesełek wstała kobieta, szykując się do wyjścia.

- Oczekuję, że zostanie pani na miejscu do końca naszego spotkania - powiadomił ją Bryant.

- W takim razie ja oczekuję, że opłaci pan parkometr. - Kobieta popatrzyła na niego wyzywająco i dalej stała.

Dogadanie się z Whitstable'ami okazało się zadaniem trudniejszym, niż mogli się spodziewać. Trzeba ich było przywołać do porządku, zanim się na nich rzucą.

- Mogła pani pomyśleć o tym wcześniej. Nie rozpocznę, dopóki pani nie usiądzie - powiedział Bryant.

Kobieta burknęła coś pod nosem, ale w końcu zajęła z powrotem miejsce.

- Kto to jest?! - krzyknął ktoś, pokazując Sam. - Nie należy do rodziny.

I całe szczęście, pomyślała dziewczyna, powstrzymując naturalny instynkt ucieczki.

- Panna Gates jest świadkiem i pomaga nam przy prowadzeniu dochodzenia - wyjaśnił Bryant. - Należy się państwu krótkie wyjaśnienie. Chociaż większość z was zna innych, podejrzewam, że niektórzy nigdy jeszcze się nie spotkali osobiście. Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie zgromadzić całą rodzinę razem, aby wszystko wyjaśnić i...

- Co zamierzacie zrobić z tą skandaliczną sytuacją? - krzyknął ktoś, kto wydawał się nie dostrzegać, że policjant właśnie coś mówi.

- Bardzo bym prosił, żeby państwo najpierw się przedstawiali i podawali stopień pokrewieństwa, jeśli zabieracie głos - upomniał go Bryant.

- To w przyszłości nieco ułatwi sprawę.

- Royston Carlyle Whitstable - nadeszła gniewna odpowiedź. - Syn Aleca i Beattie, chociaż nie wiem, co to ma za znaczenie...

- Moi koledzy i ja postaramy się wyjaśnić panu przebieg śledztwa, panie Whitstable - powiedział Bryant. - Czy też może będę do pana mówił Royston. W końcu wszyscy państwo nosicie to samo nazwisko.

- To dla mnie nie do przyjęcia, żebyście mówili do mnie po imieniu - zaprotestował Royston. - Było nie było, odgrywacie rolę służebną wobec nas.

- To może nadamy państwu przezwiska? To nie powinno być trudne.

Szmer oburzenia przetoczył się przez salę. Whitstable'owie nie przywykli do bycia znieważanymi. Bryant spiorunował ich spojrzeniem. Sam pomyślała, że jak na kogoś tak nędznie ubranego, potrafi być zaskakująco władczy, kiedy tylko chce.

- Niektórzy z państwa znali Williama i jego brata Petera. Sądzę również, że wielu z was lubiło Bellę Whitstable. Postanowiliśmy, że będzie o wiele praktyczniej zgromadzić państwa razem niż rozmawiać z każdym indywidualnie. Po pierwsze, chciałbym poprosić, abyście ignorowali spekulacje gazet. Jesteśmy w posiadaniu wszystkich dostępnych faktów i zapoznamy państwa z nimi.

- Bryant poluźnił węzeł krawata i usiadł na brzegu stołu. - Nasza dzisiejsza rozmowa będzie szczerą do bólu. Jeśli ktoś z państwa chciałby, żeby jego dzieci nie były jej świadkami, zajmijmy się nimi poza salą.

Sam wskazała ręką otwarte drzwi. Większość osób pokręciła głowami. Nikt nie wstał. Zapadła złowroga cisza.

- Nie byliśmy w stanie odnaleźć wszystkich, ale mam nadzieję, że pomożecie nam w dalszych poszukiwaniach. Z tego, co wiem, niektórzy członkowie rodziny nie mieszkają już na wyspach. Skontaktujemy się z nimi później.

- Kto nam zwróci koszty podróży? - zapytała siedząca w drugim rzędzie kobieta z grubą warstwą makijażu na twarzy.

- Oczywiście możemy porozmawiać na temat zwrotu wydatków, jakie państwo ponieśliście - powiedział May. - Teraz jednak powinniśmy się skupić na tym, że troje członków państwa rodziny zmarło z przyczyn nienaturalnych. Ponieważ sprawca nie został jeszcze zidentyfikowany, istnieje możliwość, że inni cały czas znajdują się w niebezpieczeństwie. Jeśli chcecie państwo mieć zapewnioną ochronę policji, spróbujemy podjąć stosowne kroki. Nasze zadanie polega na ustaleniu z jak największą dokładnością, kto może być wrogiem całej rodziny Whitstable'ów. Peter, William i Bella padli ofiarą mordercy, którego plany wymagały dokładnych przygotowań. Wydaje mi się, że te morderstwa były nie tylko dokładnie obmyślane. One miały coś symbolizować. Tylko co? Żeby to ustalić, musimy zrozumieć prawdziwe intencje wroga państwa rodziny.

- Chcecie, żebyśmy was wyręczyli - stwierdziła staruszka z pomarszczoną twarzą.

- Proszę się przedstawić - zażądał Bryant.

- Edith Whitstable. Córka Charlesa i Rachel. - Rozejrzała się, szukając oznak aprobaty, ale się nie doczekała.

- Pani wybaczy - odparł Bryant - ale chciałbym przypomnieć, że zatajanie ważnych dla śledztwa informacji to przestępstwo. Chociaż pan May i ja będziemy próbowali uszanować państwa prywatność, musimy wejść w posiadanie informacji dotyczących zarówno zatargów w interesach, jak i sporów rodzinnych. - Wiedział, że jego żądanie wywoła złośliwe plotki i pogłoski, ale nic nie mógł na to poradzić. Możliwe też, że interesy Whitstable'ów staną się niewygodne dla polityków i te informacje zostaną utajnione. - W zamian podejmujemy się trzymać z dala od państwa prasę. W tym momencie pojawiają się pytania. Pierwsze: czy ktoś z państwa zna osobiście mordercę? Drugie: czy ktoś z państwa jest mordercą?

Sala szybko wypełniła się pełnym oburzenia zgiełkiem. Bryant wiedział, że z punktu widzenia prawa on i May stąpali po bardzo kruchym lodzie.

- Słuchaj no pan. - Wysoki młody człowiek o wąskiej twarzy ze spiczastym nosem odsunął krzesło i wycelował kościsty palec w Bryanta. - Jak dotąd, nic nie osiągnęliście. Gazety piszą, że był pan z Bellą, kiedy została zabita. Podobno macie nas chronić, ale co to za ochrona? Nie zrobił pan nic, żeby powstrzymać tego bydlaka.

Miał rację. Trudno będzie udowodnić Whitstable'om, że policja już coś osiągnęła.

- Kim pan jest? - zapytał May.

- Syn Olivera i Peggy, Luke Whitstable. - Bryant próbował w myśli umieścić go na drzewie genealogicznym rodziny. Oni zaś wydawali się przekonani, że powinien wiedzieć, kim są. Być może to cecha zamożnych starych rodzin. Nie miał pojęcia. Był z East Endu; jego matka sprzątała w kinach.

- To prawda, że w tej chwili nie wiemy, jak, kiedy, gdzie i dlaczego ta osoba znów zaatakuje. Zwykle w tego rodzaju sprawach w ciągu kilku godzin po śmierci ofiary powinien być odnotowany znaczący postęp. Ustalenia uzupełniają przesłuchania członków rodziny. Niektórzy podejrzani są eliminowani, inne nazwiska się powtarzają. Sprawca po wykryciu jest konfrontowany z dowodami zgromadzonymi przez techników. Ale tym razem tak się nie stało.

Dlaczego? Dlatego, że dowody są sprzeczne, a na miejscach zbrodni nie znaleźliśmy żadnych jasnych śladów. I dlatego też rozmawiamy z państwem, spodziewając się, że zapoznacie nas z wszelkimi dokumentami, jakich tylko zażądamy, włączając w to szczegółowe dowody, gdzie byliście w momencie popełnienia każdego z morderstw. Pobierzemy również państwa odciski palców.

Wrzawa narastała. Wzburzone nastroje i podniesione ciśnienie krwi do słownie podniosły temperaturę w pomieszczeniu.

Bryant uniośł rękę.

- Musimy oddzielić państwa odciski od tych znalezionych na miejscach zbrodni. Mamy do czynienia ze sprytnym, wyrachowanym mordercą, który potrafi obmyślić każdy rodzaj przebrania i ucieczki. Nie ma sensu udawać, że jesteście w stanie całkowicie państwa przed nim ochronić; nikt nigdy nie jest stuprocentowo bezpieczny. To dlatego właśnie musimy wiedzieć wszystko, niezależnie od tego, jak nieważne i nielogiczne będzie się to państwu wydawać. Zastanówcie się uważnie nad naszymi pytaniami. Byłem świadkiem śmierci Williama. Próbowalem uratować Bellę i widziałem jej agonię. Ta dzielna młoda kobieta stojąca obok była obecna przy śmierci Maxa Jacoba i widziała Petera leżącego z poderżniętym gardłem. Oboje staliśmy się już celem ataków. Chcę zakończyć tę sprawę tak samo jak wy, ale jeśli będziecie utrudniać nam dochodzenie, zaskarżę was.

Bryant wydmuchał nos i usiadł. Zszokowane towarzystwo siedziało w milczeniu. Nagle z pierwszego rzędu wyskoczyła dziewczynka i kopnęła policjanta z całej siły w piszczel.

Zanim wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, May przejął obowiązki prowadzącego zebranie.

- Nikt nie twierdzi, że morderca uderzy raz jeszcze, ale musicie być czujni. Nie pozwalajcie dzieciom rozmawiać z nieznanymi. Nie zapoznawajcie sąsiadów ze swoim codziennym rozkładem obowiązków. Chcemy mieć pewność, że nic wam się nie stanie.

Nagle tłum rozwścieczonych krewnych otoczył biurko, zarzucając ich dzieśniętymi pytań i obelg.

Przez resztę popołudnia policjanci siedzieli w sali konferencyjnej. Whitstable'owie byli swarliwi, apodyktyczni, tajemniczy i, jak zauważyła Sam, w

sposób oczywisty gubili się w zeznaniach, ale przede wszystkim byli przerażeni. Za ich brawurą krył się strach. Jeden z drugim się nie zgadzał, a im więcej się kłócili, tym gorzej się zachowywali.

W końcu jednak ogarnęły ich zmęczenie i rezygnacja. Policjanci pobrali ich odciski palców i rozdali kwestionariusze w nadziei, że uda się wyłonić osobę podejrzaną. Do niektórych krewnych nie udało się dotrzeć, ale ponieważ mieszkali poza Londynem, ich bezpieczeństwo miało drugorzędne znaczenie.

O wpół do dziewiątej wieczorem, po prawie pięciu godzinach wymuszonych obietnic i mało konkretnych zarzutów, zakończyli spotkanie. Sporządzenie raportu spocznie na barkach nocnej zmiany. Potem zostanie on jeszcze sprawdzony i uzupełniony przez Maya i sierżant Longbright. W czasach w których nie używano powszechnie komputerów, podobna praca to była orka na ugorze.

Na razie jednak May zabrał Sam i Bryanta do zadymionego pubu Nun and Broken Compass na piwo.

Mały pub skutecznie opierał się wszelkim zakusom modernizacyjnym. Nie mogąc przyciągnąć młodszej klienteli, poddał się tak kompletnie, że jego jedynym dodatkowym wyposażeniem były tarcza do gry w strzałki, wytarta przez zbyt częste użytkowanie, oraz wyliniały pies o jedynych w swoim rodzaju rasie i woni.

- Nigdy nie spotkałem podobnych ludzi - powiedział Bryant, siedząc w poprzecieranym fotelu i pijąc piwo. - To ma być sól tej ziemi? Raczej jej gównu. Są bardziej zmartwieni tym, że tracą twarz, niż tym, że tracą krewnego. Sam, pochodzisz z bogatej rodziny. Czy twoi rodzice są tacy sami?

- Nie, my jesteśmy tylko średnią warstwą klasy średniej, bo mój ojciec pracuje na utrzymanie. Whitstable'owie w większości są wyższą warstwą klasy średniej i niższą warstwą klasy wyższej, bo posiadają, a nie pracują, z wyjątkiem kilku, którzy dostali tytuły, i dzięki temu zaliczają się do średniej warstwy klasy wyższej.

- Z pewnością bylibyście wyższą warstwą klasy wyższej, gdybyście mieli tytuł? - zapytał Bryant.

- Nie, do wyższej warstwy klasy wyższej należy tylko rodzina królewska. Ale są pewne podobieństwa między nami a Whitstable'ami. Powinien pan zobaczyć ludzi, których moja matka zaprasza na brydża.

- Leo Marks twierdzi, że Whitstable'owie w poprzednim stuleciu żenili się między sobą - powiedział May. - Życie było wtedy dla nich łaskawsze. Ustawiane małżeństwa, dziedziczona ziemia, ochrona, jaką dawało nazwisko. Poczucie obowiązku - wobec kraju, dzierżawców i rodzinnego herbu. Żył wśród nich kilku z tytułami, których teraz już nie ma. Rody takie jak Whitstable'owie stopniowo wymierają.

- Rozumiem, że są przestraszeni, ale nie mogę znieść ich protekcyjności - poskarżył się Bryant.

- Nic nie mogą na to poradzić - odrzekła Sam. - Przyzwyczaili się, że się im ulega.

- I mają potężne koneksje - przypomniał im May. - Trzech członków rodziny w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, czterech na wysokich stanowiskach w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, inni w kościele i siłach zbrojnych. Decydenci. Przyjaciele arystokratów. Nie są rodziną, z której można stroić sobie żarty.

- Czy twoim zdaniem mamy do czynienia z morderstwami na tle politycznym? Wygląda na to, że mogą mieć trochę wrogów za granicą.

- To kusząca myśl - przyznał May - ale wyczuwa się w tym wszystkim pierwiastek osobisty, nie sądzisz? Odnoszę wrażenie, że żaden z nich nie ma najmniejszego pojęcia, dlaczego to właśnie na nich padło. Zresztą, nawet gdyby mieli, pewnie i tak byliby zbyt zawstydzeni, żeby nam powiedzieć. Coś powinno jednak wyjść na światło dzienne. W tej chwili mamy zapewnienia o ich pomocy i powinniśmy się z tego cieszyć. Więc powściągnij swoją zwykłą gburowatość, kiedy rozmawiasz z ludźmi z wyższych sfer.

- Jak śmiesz - zaprotestował Bryant. - Byłem wzorem cnót. Nawet wtedy, gdy to diable nasienie kopnęło mnie w nogę.

- Byłeś dzisiaj świetny. Zobaczmy jednak, jak się zachowasz, kiedy Whitstable'owie zaczną wywierać naciski na Raymonda. Albo zaczną domagać się działania od Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. A na pewno zaczną.

- Jestem pewien, że masz rację - przyznał Bryant z ponurą miną. - I uda im się, bo ich pozycja społeczna sprawia, że odpowiedni ludzie ich słuchają. To nie w porządku. Klasa społeczna nie ma nic wspólnego z inteligencją.

- Arthurze, oni są kompletnie różni od takich jak ty i ja. - May skinął w kierunku dziewczyny. - Sam, chyba się ze mną zgodzisz.

- Widzą w panach tylko służących. To czyni ich innymi.

- Bzdura - warknął Bryant. - Francis Bacon twierdził, że nowa arystokracja to tylko przejaw siły, podczas gdy stara - przejaw czasu. Whitstable'owie wiedzą, że ich siła osłabła i próbują opierać się na swoim dziedzictwie. Widzimy to wszędzie dookoła w dzisiejszych czasach: Anglia zmienia skórę. Już dłużej nie nosi ciężaru przeszłości na barkach. Poza tym przez całe swoje dotychczasowe życie przekonują się, że jedyna różnica między ludźmi wynika z tego, co raniło ich w dzieciństwie i jaki rodzaj ciastek lubią. Każdy ma inne ulubione ciasteczka.

Za niektórymi z teorii Bryanta Sam nie nadążała. To była jedna z nich.

- Jeśli Whitstable'owie są ofiarami powojennej społecznej przemiany w państwie, nie rozumiem, co za znaczenie ma, jakie ciastka lubią.

- Chodzi o związek z dzieciństwem - wyjaśnił Bryant niecierpliwie. - Twoje ulubione ciastka pozostaną takimi przez całe twoje życie, ale życie wymaga od ciebie, żebyś dokonywała pewnych zmian, jeśli nie chcesz wypaść z gry. Whitstable'owie są związani z przeszłością, zostawieni w tyle przez bieg historii i nie potrafią się przystosować do nowych czasów.

- Dalej nie rozumiem...

- Przepraszam na chwilę - powiedział nagle Bryant. - Koniecznie muszę się czegoś dowiedzieć. - Wstał i zaniósł puste kufle do baru. - Dlaczego ten pub nazywa się Nun and Broken Compass? - zapytał właściciela lokalu.

- To długa historia - odrzekł zapytany, nalewając piwo. - A na dodatek nieprzyzwoita. Wie pan. Trochę rabelaisowska. Nie dla uszu młodej panienki.

- Musi ją nam pan opowiedzieć - oświadczył Bryant. - Mamy za sobą długi dzień.

Po wyjściu z pubu Sam udała się do Savoyu. Próbowała z dołu dodzwonić się do Josepha, ale nie odpowiadał. Już miała zamiar wyjść, kiedy pojawił się w holu. Wyglądał strasznie.

Była dziewiąta czterdzieści i w hotelu w końcu zrobiło się cicho. Niedobitki delegatów państw Wspólnego Rynku poszły na uroczystą kolację w Palace. Joseph postawił swoje walizki obok kontuaru i wyjął z kieszeni kurtki portfel.

- Nie wiedziałem, że masz dzisiaj dyżur.
- Bo nie mam. Co się stało?
- Przygotuj mój rachunek - odparł. - Wyjeżdżam.
- Dlaczego, co się stało? - Wyszła zza kontuaru i chwyciła go delikatnie za rękę. - Chcesz się przejść?

Żarówki na Embankment chwiały się jak perły na sznurku, odbijając się w mokrych ulicach prowadzących w kierunku Blackfriars. Lata później miasto nie będzie miało już swoich cichych zakątków; teraz jednak było spokojnie i pusto.

- Nie mieści mi się to w głowie - powiedziała. - Jak to się mogło tak nagle stać?

- Wiem tyle, co i ty. Japończycy po prostu wyjechali bez słowa wyjaśnienia. Miyagawa wezwał mnie dziś po południu do biura i oświadczył, że Tasaka Corporation wraca do Japonii. Wycofali się ze wszystkich planów i sprzedają teatr jakiemuś brytyjskiemu konsorcjum. Umowa jest już podpisana. Zwolnili cały zespół produkcyjny. Bardzo im przykro.

- Dlaczego nie powiedzieli wam tego wcześniej? - zapytała Sam.
- Pewnie bali się, że zagrozimy ich transakcji. Jestem bez pracy. Myśl, że wyjedzie, przeraziła ją.

- Co teraz? - zapytała.

- Wracam do Edynburga. Spróbuję się wkręcić na przyszłoroczny festiwal teatralny. - Spojrzał w bezgwiazdne niebo. Jego głos zdradzał ból. - Będą jeszcze lepsze czasy. Inne okazje.

- A co z forszą?

- Zapłacili mi za następny miesiąc. Tu nie chodzi o pieniądze. To była szansa na zrobienie czegoś, w co wierzyłem.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro. - Zamyśliła się na chwilę. - Właściwie to czemu nie dowiedzieć się, kto kupił Savoy? On znajduje się w rejestrze zabytków. Może być wykorzystywany tylko jako teatr. Może uda ci się zatrudnić u nowych właścicieli.

- Już o tym myślałem.

- W takim razie trzeba spróbować. Znajdziemy ci jakiś tani pensjonat. Jest ich mnóstwo w okolicach Earl's Court. Musisz zostać.

Dotyk ręki na jej talii zaskoczył ją, ale kiedy jego usta znalazły się na jej ustach, nie protestowała.

19 PRZYNEŃTA

Sam patrzyła na plakaty na peronie, które powiewały, gdy pociąg metra ruszył w kierunku Chelsea, i wróciła myślami do piątku, kiedy Jacob pojawił się w Savoyu, wezwany przez jednego z braci Whitstable. Czy to wezwanie miało jakiś związek ze sprawą obrazu Waterhouse'a?

Może Peter poprosił go o odebranie koperty. Ale dlaczego szanowany prawnik miałby szukać kilku świńskich fotografii? Czy to dlatego został zamordowany?

Namówiła Josepha na przesunięcie terminu wyjazdu. Powinien znaleźć niedrogi pensjonat w Earl's Court. Takie sobie wygody w porównaniu z luksusami Savoyu, ale przynajmniej wyjedzie z miasta, wiedząc, że wykorzystał każdą szansę.

Nie mogła się doczekać otwarcia koperty i wyjęcia zniszczonego kawałka fotografii, ale nie chciała zaszokować kobiety siedzącej obok. Uniosła więc tylko kopertę do oczu i zauważyła rząd cyfr. Ktoś umieścił zdjęcie w kopercie, po czym napisał na górze ołówkiem numer telefonu, pośpiesznie go potem ścierając. Przez kilka chwil przypatrywała się sekwencji siedmiu liczb i części imienia - And. To mógł być Andy albo Andrew. Z braku innego pomysłu postanowiła zadzwonić pod ten numer.

Gdy tylko wysiadła z pociągu, skorzystała z budki telefonicznej na rogu Sloane Square.

- Andy?

- A kto mówi?

- Znajoma.

- Proszę poczekać, poproszę go.

- Słucham? - odezwał się po chwili mężczyzna mówiący z silnym cockneyowskim akcentem.

- Mam na imię Sam. Jestem przyjaciółką jednego z pana klientów.

- Tak? Którego?

Odchrząknęła. Trzeba zaryzykować. A co tam, przecież jej nie zna.

- Widziałam zdjęcia, które zostawił pan w Savoyu. Bardzo interesujące.

Czy sam je pan robił?

- Nie wiem, o czym pani mówi. Nie robiłem żadnych zdjęć. - Andy był oburzony albo takiego udawał. Wątpiła, czy jego niechęć do mówienia utrzyma się, gdy wspomni o pieniądzach. Recesja opanowała całą stolicę; praca była towarem poszukiwanym, zarówno ta legalna, jak i nie.

- Mam właśnie jedno z nich przed sobą. Jest na nim pana numer telefonu. - Starła się mówić jak najbardziej przyjacielskim tonem. - Pomyślałam, że może szuka pan następnego zlecenia. Dobrze zapłacę.

- Co jest na tym zdjęciu?

Sam odwróciła kawałek fotografii, starając się dojrzeć coś w przyćmionym świetle budki. Dwa nagie ciała, kobieca pierś, nieapetyczne poślądki. Mężczyzna miał na nogach czarne skarpetki. Ciemność w pokoju rozświetliła tylko lampa błyskowa. Sądząc z dziwnego kąta, z jakiego zostało zrobione zdjęcie, spółkująca para została zaskoczona przez fotografa.

- No cóż - powiedziała Sam od niechcenia - ukazuje ono dżentelmena zabawiającego się z bardzo młodą damą w jednym z pokoi, chyba 216. Zapłacę panu sumę dwa razy wyższą od tej, którą otrzymał pan wcześniej.

Wstrzymała oddech i przycisnęła ucho do słuchawki. Przez chwilę słyszała jedynie szum na linii.

- Chce pani to powtórzyć?

- Zgadza się, z tą samą parą. Może pan to zrobić?

Głos po drugiej stronie linii pozostał ostrożny.

- Nie mogę wziąć tej samej dziewczyny. To będzie musiała być inna. - Więc zaopatrywał również w kobiety. Pełny serwis. - On jednak nie nabierze się na to drugi raz.

- Proszę zostawić to mnie - odrzekła Sam. - Chcę, żeby pan sprowadził taką, jaka według pana mu się spodoba.

- Cóż, Japońce lubią blondynki, mógłbym...

Kaneto Miyagawa, pomyślała Sam. Nagle wszystko stało się jasne. Wciągnęła wolno powietrze.

Szybko odłożyła słuchawkę i wyszła z budki. Musiała to przemyśleć. Andy podesał dziewczynę Japończykowi w ich hotelu. Musiała być prawdziwą profesjonalistką; nigdy nie udałooby się jej dostać w pobliże jego pokoju bez ważnego powodu. To znaczyło, że Miyagawa przyjechał do Londynu wcześniej, niż Joseph myślał. Był ostrożny, ale ktoś wiedział o jego lubieżnej naturze i wykorzystał to.

Usiłowała zrekonstruować przebieg zdarzeń. Dziewczyna przyszła do pokoju hotelowego Miyagawy, zostawiając drzwi otwarte, żeby ktoś wpadł do środka i zrobił zdjęcia. A to oznaczało, że ktoś zapłacił, by wrobić Japończyka. Czyżby był szantażowany przez Maxa Jacoba? I czy prawnik działał na polecenie Whitstable'ów? To miało sens: powszechnie szanowany prezes Tasaka Corporation przyłapano na gorącym uczynku i szantażowany, żeby porzucił swoje plany co do Savoyu. Musiał uniknąć skandalu, który mógłby zniszczyć zaufanie do firmy i obniżyć kurs akcji. Czy to możliwe, że po wszystkim Japończyk zemścił się na Jacobie i jego pracodawcach? Ale jeśli tak faktycznie było, dlaczego zadawał sobie trud zabijania prawnika jadem węża? Czy takie rzeczy naprawdę zdarzały się wśród elit rządzących tym miastem? To bardziej pasowało do jednego z odcinków *Rewolweru i melonika*.

Sam wiedziała teraz więcej niż policja. Pójdzie do nich z tymi rewelacjami, ale najpierw musi swoją teorię sprawdzić. A to oznaczało telefon do Josepha, gdy tylko wróci do domu.

Goodbye Yellow Brick Road Eltona Johna dobiegło końca, a rozpoczęło się *Band On The Run* Paula McCartneya i Wings.

Michelle wyłączyła radio tranzystorowe i nadśluchiwała chwilę, ale z góry nie dochodził żaden dźwięk. Na dworze robiło się coraz ciemniej, chociaż było dopiero po trzeciej. Z okna wychodzącego na trawnik widziała niskie chmury zasłaniające słabe słońce jak dworzanie strzegący umierającego monarchy. Liście pociemniały, przybierając barwę szpinaku konserwowego. Nagie gałęzie wiśni stukały o okno na coraz większym wietrze.

- Daisy, co robisz? - krzyknęła.

Na górze rozległ się tupot małych stopek.

- Bawię się.

- Napijesz się mleka?

- Nie, dziękuję. - Cienki dziecięcy głosik, precyzyjny i grzeczny. Michelle wzruszyła ramionami i skierowała się do kuchni, by zrobić herbatę. W wieku dwudziestu trzech lat zachowała pulchną figurę i brzydką cerę, które miała będąc nastolatką, i pogodziła się z myślą, że dopóki nie schudnie, nie znajdzie chłopca. Nie żeby jakoś szczególnie starała się go znaleźć. Czasopisma rozpi-sywały się o szukaniu partnera zupełnie jakby to była jedyna rzecz w życiu mająca znaczenie.

Michelle wolała towarzystwo małych dzieci. Przez lata opiekowała się młodszymi siostrami. Jej odpowiedzialna postawa odzwierciedlała autentyczne uczucie, jakie żywiła do swych młodych podopiecznych. A jednak nigdy nie spotkała takiego dziecka jak Daisy. Chuda kruszynka o blond włosach, bladej skórze i wielkich błękitnych oczach, które patrzyły na wszystko beznamiętnie. W wieku siedmiu lat Daisy nie miała w ogóle przyjaciół. Nigdy nie wracała ze szkoły z koleżankami z klasy, a wolny czas spędzała, bawiąc się sama w domu.

Jej brat Tarquin miał teraz jedenaście lat i został wysłany do szkoły z internatem. Daisy przyzwyczała się do samotnego życia. Jej rodzice w ogóle rzadko bywali w domu. Ojciec pracował w jednym z banków w City, a matka była wiecznie zajęta organizowaniem wieczorków charytatywnych. Michelle miała wrażenie, że pani Whitstable jest współczesną panią Jellyby¹, spędzającą tak wiele czasu na martwieniu się o środki na potrzebujące dzieci, że nawet nie dostrzegała, jak skryta stała się jej własna latorośl.

¹ Bohaterka powieści *Bleak House* Charlesa Dickensa (przyp. tłum.).

Zapaliła światło w kuchni. Wystraszyła się, ponieważ zabzyczało i na chwilę przygasło. Kiedy czajnik elektryczny pstryknął, Michelle wrzuciła torebkę herbaty ekspresowej - ostatnia nowość, do której jeszcze nie zdążyła się przyzwyczaić - do kubka. Przełączyła radio na program z telefonicznym udziałem słuchaczy i dlatego nie słyszała melodyjki, która rozbrzmiewała po drugiej stronie ulicy.

Daisy wstała z podłogi i zaczęła nadśłuchiwać. Dźwięk był inny niż zazwyczaj. Michelle powiedziała jej, że ten utwór nosi tytuł *Greensleeves*. Nowy był o wiele ładniejszy. Pomyśleć tylko, że lodziarz przyjechał w okolicy świąt! Popatrzyła na mały złoty zegar stojący na kominku. Obok niego stała świnka-skarbonka.

- Michelle, mogę kupić lody? - zawołała, ale na tyle cicho, że opiekunka mogła jej nie usłyszeć. Wiedziała, że było za blisko pory podwieczorku, by pozwoliła jej na taki smakołyk.

Na dworze znów zabrzmiała melodyjka. Latem furgonetka zatrzymywała się przy końcu ulicy, dzisiaj dziewczynka odniosła wrażenie, jakby lodziarz zatrzymał się tuż pod ich drzwiami, jakby przyjechał specjalnie do niej.

Daisy podbiegła do schodów i spojrzała w dół. Lampki na choince stojącej w holu były już włączone, a za oszronioną szybą drzwi frontowych zapadał mrok. Nie pozwalano jej wychodzić samej przed dom z powodu dużego ruchu. Ale mamusia i tatuś pojechali do Londynu, a Michelle była w kuchni, pewnie robiąc herbatę.

To było nie w porządku. Zjadłaby lody i wciąż byłaby na tyle głodna, żeby zjeść podwieczorek. Melodyjka wybrzmiała do końca. Pomyślała chwilę, po czym sięgnęła do skarbonki i wysypała monety na rękę. Potem odłożyła skarbonkę na miejsce, poprawiła spódniczkę i zeszła po schodach.

Z kuchni dobiegał brzęk naczyń stołowych. Michelle pewnie robiła sobie coś do jedzenia. Nic dziwnego, że jest taka gruba. Daisy cichutko otworzyła drzwi, mając nadzieję, że jeszcze zdąży. Furgonetka stała przy krawężniku. Była inna niż ta, którą widywała latem, biała, a nie błękitna, i nie zauważyła mężczyzny podającego lody przez okienko. Wyszła na chodnik i spojrzała w górę, zmieszana. Ze środka dobiegał zapach czekolady. Potem melodyjka znów się rozległa, a furgonetka ruszyła.

- Poczekaj, proszę. Poczekaj!

Daisy pobiegła naprzód z monetami w zaciśniętej dłoni. Furgonetka jechała wolno w stronę zapomnianego wiaduktu kolejowego przy końcu ulicy, jej zniekształcona melodyjka leciała cały czas z taśmy. Daisy obejrzała się na dom i otwarte drzwi frontowe. Było zimno, padało i nie widziała żadnych klientów. Kierowca furgonetki nie zauważył jej. Teraz pragnęła lodów bardziej niż kiedykolwiek. Biegła za samochodem, który nagle zatrzymał się pod łukiem wiaduktu, a jego czerwone tylne światła się zapaliły.

Daisy zobaczyła, że kierowca wstał zza kierownicy i stanął za ladą. Pewnie jednak ją zobaczył. Melodia odbijała się od ścian tunelu. Daisy stanęła pod

okienkiem, unosząc piąstkę zaciśniętą na monetach. Wnętrze samochodu było ciemne. Jak mężczyźnie uda się w takiej ciemności odpowiednio napełnić rożek?

Miała już go właśnie o to zapytać, kiedy nagle wychylił się przez okienko, podniósł ją jednym ruchem i przyłożył rękę do jej ust. Lada podniosła się, zamykając furgonetkę i pojazd odjechał szybko w mrok tunelu.

20 TONTYNA

Stację metra Earl's Court wypełniała większa liczba walizek i plecaków niż jakikolwiek hol w hotelu. Wiktoriańskie kamienice, które ją otaczały, zamieszkiwali Australijczycy, Grecy i Azjaci. Elewacje budynków przesłaniały neony barów z kebabem i hamburgerami.

Nowy pokój Josepha był tak mały, że Sam, siedząc na przykrywającej łożko młdą różowej pluszowej narzucie, widziała zasnutą deszczem Old Brompton Road. Nie był elegancki, ale przynajmniej suchy i tani.

Joseph wstał z łożka i położył ręce na zimnej szybie. Było już późno, ale wieczór pasował do tego miejsca, a ulice pozostawały niemal tak samo zatłoczone jak w czasie dnia. Nad nimi zimne i wilgotne chmury świeciły jak polakierowane, płynąc ponad czerwonymi cegłami budynków i śliskimi łupkami setek dachów.

Pokój był kiepsko oświetlony i to napełniało Sam niepokojem.

- Czy możesz zapalić jeszcze jedną lampkę? - zapytała.

Joseph podszedł do łożka i usiadł przy niej. Czują zapach jego mydła do golenia i piżmową woń jego przepeconego czarnego podkoszulka.

- Nie, pozwólmy ciemności zapaść. - Przebiegł palcem po szwie jej dżinsów na wysokości uda. - Nic ci się tu nie stanie, Sam.

Wszyscy uważali, że wystarczy, jeśli po prostu będzie mocno pragnąć, by strach odszedł, ale racjonalizowanie nie przynosiło efektu.

- To nie takie proste - wyjaśniła. - Kiedy patrzę w ciemność, czuję, jak każdy mięsień mi się napina.

Przysunął się i jego twarz skryła się w cieniu.

- Czy teraz też to czujesz?

Światło było przyćmione, kreśląc wzory na tapecie. Pocałował ją w ramię, potem w szyję. Popchnął na plecy, gorąco jego ciała ogrzewało jej piersi. Zamknęła oczy i pozwoliła mu się objąć. Potem wsunął rękę za pasek jej spodni. Leżeli na narzucie, a ich ciała delikatnie się dotykały. Dłonie sunęły po ramionach, udach i brzuchach. Kiedy odpiął guzik z przodu jej dzinsów, ogarnęło ją ciepło.

Przesunął ręce w górę i przykrył dłońmi jej piersi, podczas gdy ona pieściła jego twarde mięśnie pod podkoszulkiem. Hałas uliczny za oknem brzmiał jak zakłócenia radiowe. Rozpiął jej bluzkę i zaczął całować czubki jej piersi, zwilżając jej ciało swoim językiem. Zdążyła się już rozluźnić, pozwalając myślom odpłynąć, kiedy nagle zobaczyła postać w alejce, potwora ze swoich koszmarów. Otworzyła oczy. Było już prawie zupełnie ciemno. Czuła się tak, jakby nagle oslepla.

A na niej leżał mężczyzna, pragnący osiąść jej ciało, obnażyć ją, zdławić jej usta swymi.

Odepchnęła go z taką siłą, że wylądował na podłodze, uderzając głową o listwę przypodłogową i zrzucając lampkę ze stolika nocnego. Nie słyszała nic prócz bicia własnego serca, nie mogła oddychać w dusznym powietrzu, nie widziała nic w tym malutkim pokoiku. Myślała tylko o tym, by znaleźć drzwi i je otworzyć.

Wpadł za nią na podest schodów. Oddychała z trudem i patrzyła na neon za oknem, jakby chciała wyciągnąć z niego światło.

- To o mnie chodzi, prawda? - zapytał. Nie odpowiedziała. - Pewnie nie chcesz się zadawać z czarnym, co? - Powinien być wściekły, ale zamiast tego ukucnął przed nią, wyciągając do niej rękę. Wpatrzyła się w nią, nie chcąc jej chwycić, ponieważ mógłby to opacznie zrozumieć. To, że tak lubił noc, lokoowało go po drugiej stronie barykady. Był kimś, komu lepiej nie ufać, a nie kimś, kogo można pokochać.

Nie bała się seksu. Wiedziała, że pierwszy raz nie będzie najlepszy w jej życiu. Jednak w miarę jak zapadała ciemność, rosły jej lęki. Traciła władzę nad otaczającym światem. Seks wymagał energii, a ona z powodu nyktofobii nie była w stanie z siebie jej wykrzesać. Jeśli chodzi o sam akt - co do którego nie miała żadnego doświadczenia - bała się utraty kontroli. Może Joseph miał rację i przeszkadza jej kolor jego skóry? Ale przecież jest rok 1973, na miłość boską,

co za różnica, czy ktoś jest czarny, czy biały? Uprzedzenia rasowe zostały pokonane w latach sześćdziesiątych. Ona i jej przyjaciele niedawno brali udział w demonstracji przeciwko zabijaniu wietnamskich chłopów, więc jak mogła przejmować się czymś kolorem skóry? Rasizm to groteskowy anachronizm.

Chociaż nie dla jej rodziców. Czyżby podświadomie obawiała się ich reakcji?

Wzięła swój kożuszek i wyszła bez słowa przeprosin czy wyjaśnienia, niepewna w stosunku do kogo powinna być lojalna - i przede wszystkim niepewna, czy jest przy zdrowych zmysłach.

- Nie mogę przez niego spać, przez całą noc chodzi wte i wewte po pokoju na górze. Nie wiem, co się z nim dzieje. Mam nadzieję, że nie urządza kolejnej z tych swoich burz mózgu, kopcąc to okropne paskudztwo w fajce i słuchając płyt. Już przyprowadził Hiawathę o załamanie nerwowe.

To prawda. Za każdym razem, kiedy jej lokator otwierał drzwi frontowe, kot uciekał w popłochu. Alma Sorrowbridge szła korytarzem z lekkością, pulchne ręce unosząc do góry, a łokcie trzymając w pobliżu swych rozłożystych bioder. Jak zawsze miała na sobie czerwone rękawice do zmywania naczyń i fartuch w malutkie chabry; May nigdy nie widział jej w innym stroju.

John May wniósł ze sobą złą pogodę. Jego parasol tworzył małe jezioro na wypastowanym linoleum, podczas gdy gospodyni prowadziła go do schodów. Odwiedzał tutaj swego przyjaciela od wielu lat, a Alma zawsze nalegała, że go zaprowadzi na górę. Przypuszczał, że postanowiła obsadzić się w roli dziwacznej północnolondyńskiej wersji pani Hudson, gospodyni Sherlocka Holmesa.

- Arthur wspominał, że ostatnio kiepsko sypia - powiedział May, kiedy przechodzili obok wypchanej pustułki stojącej pod oknem w kącie korytarza.

- To mi nie przeszkadza, ale bez przerwy puszcza muzykę. Chorały gregoriańskie, *The Gondoliers*, Pink Floyd... A wczoraj w nocy jeszcze to brzęczenie! Jakby rzucał naczyniami stołowymi po całym pokoju! Moje łóżko stoi dokładnie poniżej. Czy mógłby pan z nim porozmawiać?

- Zrobię, co tylko się da. - May zastukał w drzwi wiktoriańską mosiężną kołatką w kształcie głowy diabła. Zza drzwi dobiegło zduszone przekleństwo i dźwięk tłuczonej porcelany. Zasuwka została cofnięta i w szparze ukazała się

niezadowolona żółtawą głową okoloną nieuczesanymi włosami.

- A, to ty - wymamrotał Bryant. - Wejdz. Byliśmy umówieni?

- Nie, ale chciałem pogadać. - May wszedł do przedpokoju, patrząc na obrazki w ramach wiszące na ścianach: Winston Churchill, Drakula, Camus, Nietzsche, Anna Mae Wong, Laurel i Hardy. Wszystko, co gromadził jego przyjaciel, dobierane było według niejasnego klucza. Pod nutami i programem *Orfeusza w piekle* Offenbacha stało wyjątkowo ohydne popiersie kompozytora Williama Waltona; dlaczego znajdowało się w posiadaniu Bryanta, nie wiadomo, ale z pewnością po raz ostatni odkurzano je wiele lat temu.

May pochylił się przed lustrem i przyglądał włosy. Jego przyjaciel był kolekcjonerem, lecz nie materialistą. Wszystko miał z określonego powodu. Często przynosił coś do swojego mieszkania, by ocalić to przed zniszczeniem. Kiedyś powiedział Mayowi, że przystosował się w sposób naturalny do wymogów wieku dojrzałego.

- Spędzamy młodość, próbując zmienić przyszłość - wyjaśniał - a resztę życia, próbując ocalić przeszłość.

Z kuchni dobiegł gwizd czajnika i Bryant poszedł się z nim uporać, narzucając na ramiona sweter.

- Zjawiłeś się w samą porę, John. Wejdz do salonu, ale uważaj, gdzie stawiasz kroki. Jak widzę, pogoda dalej pod psem. Myślałby kto, że mieszkamy w Finlandii. Co cię przyniosło o tak wczesnej porze?

- Jedno z dzieci Whitstable'ów zaginęło.

Bryant stanął w drzwiach kuchni z dzbankiem do herbaty w rękach.

- Które?

- Daisy. Ma siedem lat. Wyszła z domu wczoraj między trzecią a czwartą po południu i odtąd jej nie widziano.

- Wczoraj? Dlaczego, na miłość boską, nikt mnie...

- Dopiero co otrzymaliśmy tę informację. Chciałbym, żebyś porozmawiał z jej opiekunką. Oczywiście jest zrozpaczona. Cały zachodni Londyn przeszukuje ponad setka policjantów i cywili. Nie zawiadomili Mornington Crescent, bo podobno nikt nie zauważył związku z naszą sprawą. Albo to, albo specjalnie nas ignorują.

- Jak, w takim razie, się o tym dowiedziałeś?

- Byłem przy Bow Street i przypadkowo usłyszałem komunikat radiowy.
- Ktoś nam utrudnia pracę. Mam nadzieję, że to nie jest część wendetty na rodzinie Whitstable'ów. Nie może być, prawda? Nie mściliby się na dziecku? W jakim stanie są rodzice?

- Matka na środkach uspokajających. Oboje są w domu.

- A jej brat Tarquin?

- On dopiero co... skąd wiesz, że ma brata?

- Mówiłem ci już, idź do salonu.

Kiedy May to uczynił, ujrzał wszystkie filiżanki, spodeczki, talerze, wazy i salaterki ustawione na podłodze jak figury szachowe. Na każdym naczyniu niebieskim lub czerwonym flamastrem wypisane były imię i data. Krzesła zostały odsunięte pod ścianę, gdzie stały obok głośno tykającego zegara szafkowego.

- Drzewo genealogiczne rodziny Whitstable'ów - wyjaśnił Bryant, wchodząc i stawiając tacę. - Tylko w ten sposób mogłem ułożyć to sobie wszystko w głowie. Musiałem zobaczyć dokładnie, kto pochodzi od kogo. - Pokazał na dzbanek na mleko. - Daisy Whitstable znajduje się na dole, w lewym rogu, przy kominku. Obok niej stoi kieliszek do jajek, czyli jej brat Tarquin, właściwie brat przyrodni, bo to syn Isobel z pierwszego małżeństwa.

Pośrodku porcelanowego labiryntu stały dwie odwrócone wazy i dzbanek - dwóch nieżyjących braci i ich siostra, zrozumiał May, patrząc na daty.

- Co znaczą niebieskie i czerwone znaczki? - zapytał. Niektóre naczynia miały przyczepione kawałki papieru.

- Członkowie rodziny, którzy zginęli w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Zapytałem siebie, dlaczego te morderstwa wydają się nie przystawać do naszych czasów. Najoczywistsza odpowiedź brzmi: bo mają początek w wydarzeniach z przeszłości. - Bryant usiadł i pochylił się do przodu z łokciami na kolanach, przypatrując się podłodze.

- To znaczy? - zapytał May, siadając na krześle naprzeciwko. Na zewnątrz deszcz znów zaczął uderzać o szyby.

- Nie wydaje ci się, że możemy mieć do czynienia z jakimiś starymi parachunkami? - odparł Bryant. - William, Bella i Peter, jedno po drugim, cała gałąź drzewa rodowego została odcięta z powodu - z rozmysłem lub nie - wyrządzonej dawno temu krzywdy.

Mayowi przebiegło przez myśl, że Bryant patrzy na tę sprawę przez pryzmat swojej fascynacji przeszłością. Po chwili jednak postanowił nie zawracać sobie na razie tym głowy.

- Myślisz, że to jakaś długofalowa zemsta rodzinna?

- Cóż, z pewnością tych morderstw nie dokonano z powodów finansowych. Akurat ta gałąź drzewa rodowego była bez pieniędzy. Nikt z rodzeństwa nie miał za dużo gotówki. Z tego, co wiem, dysponowali tylko niewielkimi sumami, odrobiną akcji i wartościowymi meblami na strychu. A także obrazami, oczywiście, ale nikt nie rości sobie do nich praw. Wręcz przeciwnie, nikt nawet nie wiedział o istnieniu szkicu Waterhouse'a. A teraz podaj mi Marion i Alfreda Whitstable'ów.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Musimy się z czegoś napić.

Kiedy siedzieli przy herbacie, Bryant wyjął plik odręcznych notatek. Maya irytowało, że pracował bez konsultacji z nim, ale wiedział, że to jego ulubiony sposób działania. W każdym razie zdążył się już do tego przyzwyczaić.

- William, Bella i Peter Whitstable'owie nie byli żadną potęgą, finansową czy jakkolwiek inną - wyjaśnił Bryant, zakładając okulary. - Jedyne, co można było osiągnąć, zabijając ich, to osobista satysfakcja. Ale czy sprawca wywodzi się z rodziny czy spoza niej? Nie wiem, czy wiesz, że wszyscy Whitstable'owie znajdują się pod opieką Czcigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów. W wypadku nadszarpnięcia zdrowia wypłaca się im rentę. W wypadku śmierci zaś - rodzina zmarłego otrzymuje pewną sumę, chociaż morderstwo nie daje prawa do roszczeń.

Na wzmiankę o tym Mayowi przyszło coś do głowy.

- Nie sądzisz, że wspólny majątek Whitstable'ów zwiększył się dzięki tym zgonom? - zapytał. - No wiesz, może to działa jak tontyna? - Tontyny były modnymi w czasach wiktoriańskich polisami ubezpieczeniowymi, ale działały na wadliwych zasadach. Kiedy członek tontyny umierał, oszczędności rosły, a w końcu przypadły ostatniemu pozostałemu przy życiu członkowi rodziny. Pokusa, by pomóc losowi, była tak wielka dla niektórych posiadaczy polis, że zdecydowali się wejść na drogę przestępstwa. System wkrótce został zabroniony.

- Zastanawiałem się nad tym. Jeśli jeden z nich wykańcza swoich krewnych, niedługo stanie się jasne, który.

- Czyżby? A nie sądzisz, że prawnik zginął z powodu znajomości struktury rodziny?

- Finanse Whitstable'ów nie są tajemnicą. Podobnie jak i ich testamenty. Leo Marks zarządził już dla mnie kontrolę wszystkich dokumentów, które mogą się wiązać ze śledztwem.

Bryant doprowadzał Maya do rozpacz.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś? - zapytał.

- Rozmawiałem z nim zaledwie wczoraj. Ale zniknięcie Daisy Whitstable zmienia wszystko. Ktoś naprawdę źle życzy tej rodzinie, skoro porwał dziecko.

- Może to wszystko z powodu zniszczenia obrazu przez Williama. Albo dlatego, że wszyscy należeli do cechu zegarmistrzowskiego. Nawet jeśli panuje tam rywalizacja, wzmianki o tym nie znajdziemy oczywiście w żadnym dokumencie. Chciałbym spróbować innej taktyki. Cech posiada dużą nieruchomość w Londynie. W grę wchodzi ogromne pieniądze. Musimy porozmawiać z jakimś członkiem cechu albo, jeszcze lepiej, z kimś, kto został z niego usunięty. W przeciwieństwie do masonów członkowie cechu mogą rozmawiać z ludźmi z zewnątrz. Niestety, Tomlins nie odpowiada na moje telefony. Musimy zdobyć nakaz rewizji. To zajmie trochę czasu, chociaż zniknięcie Daisy jest bardziej nagłą sprawą.

- Tymczasem porozmawiamy z panem Lugsea. - Bryant dopił herbatę i postawił filiżankę z powrotem na „drzewie”. - Z pewnością będzie w stanie udzielić nam cennych informacji.

- Kto to? - zapytał May. - Jeden z twoich znajomych historyków?

- Nie - odparł Bryant. - To mój rzeźnik.

Napis na szyldzie głosił: *Reginald Lugsea, najmilszy rzeźnik w Battersea*, ale zwalisty osiłek zawieszający króliki w oknie nie wyglądał wcale na miłego. Spoglądał gniewnie, marszcząc czerwone spocone czoło. Wyraz jego twarzy zmienił się, kiedy Bryant uchylił kapelusza, dając znać o swojej obecności.

- Rany koguta! - krzyknął do swojego ucznia, eterycznego bladego chłopaka, który stał z melancholijną miną w kącie sklepu, ważąc mielone mięso. -

Ostatnio nie widzimy tu zbyt często Arthura, co, Phil? - Odwrócił się do policjanta i uśmiechnął szeroko, kładąc na ładzie kurczaka.

- A myśmy już myśleli, żeś został jaroszem. - Uniósł jedną z nóg kurczaka i pokazał ją czubkiem noża starszej kobiecie, która stała przy ładzie.

- Nie będzie za duża, kochanieńka?

Zapytana zerknęła w górę spod swej wełnianej czapki i uśmiechnęła się.

- Och, nie, doskonała, dziękuję!

- Czym mogę służyć, panowie? - Rzeźnik z głuchym szczękiem ostrza odciął jedną z nóg kurczaka. - Jakiś ładny udziec barani?

- Herby londyńskich cechów rzemieślniczych - odparł Bryant. - Co o nich wiesz?

Lugsea wlepił wzrok w sufit, odrąbując drugą nogę kurczaka.

- Chodzi ci o informacje ogólne czy o jakiś konkretny cech?

- Chodzi mi o Czcigodne Stowarzyszenie Zegarmistrzów.

- Późno założone, w pierwszej połowie siedemnastego wieku. Pierwsze cechy tworzono dookoła dzielnicy portowej i były związane z owocami i rybami. Potem powstały stowarzyszenia farbiarzy, kupców winnych, szewców, sprzedawców drewna, rymarzy, tynkarzy, jedno na każdy zawód. - Uniósł kurczaka ze szyję i krzyknął do starszej kobiety:

- Chce pani podroby, kochanieńka?!

- O tak, proszę.

Położył ptaka i odrąbał mu głowę.

- Oczywiście skorzystali na likwidacji klasztorów przez Henryka VIII i reformacji. Cechy zajęły opuszczone budynki klasztorne, tak jak na przykład zrobili to garbarze w przypadku St. Helen Bishopsgate około roku 1542. Zegarmistrzowie jednak tego nie uczynili, bo podlegali złotnikom i zajmowali część ich budynków, a poza tym powstał o wiele później.

- Wszyscy mieli swoje własne herby, prawda? - zapytał Bryant.

- Zgadza się - przyznał Lugsea. - Garbarze mieli korony i pióra na, liberii, handlarze ryb - śledzie w kapeluszach, poważnie mówię. Zegarmistrzowie - dewizki i złote łańcuszki, pomarańczowo-błękitne, jeśli mnie pamięć nie myli. - Wyciągnął wnętrze kurczaka, po czym wrzucił je do plastikowej torby. Przypomniał Mayowi ich patologa Oswalda Fincha.

- A czerwono-żółty płomień? - zapytał Bryant. - To nie jest znak cechu zegarmistrzów?

- Nie wydaje mi się - odparł z namysłem Lugsea. - Chociaż chyba go gdzieś widziałem. - W zamyśleniu zawiązał torbę i wytarł umazane krwią ręce, plamiąc wnętrzościami kurczaka swój fartuch rzeźnicki. Mam wrażenie, że ten symbol pojawił się względnie niedawno. Przez „niedawno” rozumiem jakieś sto lat temu. Czasami rzemieślnicy tworzą „wewnętrzne kręgi” z nowymi symbolami, które mają ich oddzielić od ich stowarzyszeń-matek. Tak, to prawdopodobnie właśnie to. Musicie jednak porozmawiać z kimś z takiego kręgu.

- Dziękuję, Reg - powiedział Bryant, dotykając róna kapelusza. - Okazałeś wielką pomoc.

- Zawsze do usług, panie Bryant - odparł Lugsea z uśmiechem. - Na pewno nie chcesz nóżki wieprzowej? - Wybrał jedną i położył na ladzie. - Świeżutka. Ta świnka hasała sobie na wolności jeszcze w czwartek.

- Nie dzisiaj, Reg.

Kiedy policjanci wyszli ze sklepu, May pokazał kciukiem do tyłu.

- Skąd ty go wystraszałeś?

- Rozmawiam z miejscowymi - odrzekł Bryant. - Czasem też powinieneś tego spróbować, zamiast tylko siedzieć za biurkiem.

- Skąd tyle wie o heraldyce?

- Reg jest dość znany. - Bryant uśmiechnął się znacząco. - Dwa lata temu wygrał *Brain of Britain*¹ z tematu historia kupiectwa za czasów Tudorów. Samouk. Pamiętaj, że nie należy nie doceniać obsesji członków naszego społeczeństwa. Zastanawiam się, czy ten znak płomienia jest wspólny dla wszystkich Whitstable'ów, czy tylko dla niektórych z nich?

¹ Nadawany od 1967 roku quiz radiowy (przyp. tłum.).

- Wewnętrzny krąg w cechu. Nie wydaje mi się, żebym zdołał wydusić z Tomlinsa coś więcej, nie robiąc mu krzywdy. Nie ma się jednak co martwić. - May otworzył drzwi swojego samochodu i wepchnął Bryanta do środka. - Wydaje mi się, że może mi się udać wprowadzić tam kreta.

- Co zamierzasz zrobić? - zapytał Bryant.

- Wrócić do cechu zegarmistrzów. Co, niestety, oznacza, że musisz sam się jakoś dogadać z opiekunką Daisy Whitstable.

- Dlaczego dogadać? - zapytał Bryant, zapinając pas bezpieczeństwa.

- Słyszałem, że rodzice Daisy zamierzają zaskarżyć nas za coś, co się nazywa zaniedbaniem środków bezpieczeństwa.

- Chcą nam wytoczyć proces? - Bryant był zdumiony. - Dlaczego ktoś miałby pozywać policję? Czy przedstawiciele władzy nie cieszą się już ani odrobiną zaufania?

Kiedy Bryant zjawił się w siedzibie wydziału, Michelle Baskin siedziała niezgrabnie na pomarańczowym plastikowym krzeselku w korytarzu. Sierżant Longbright wyrzała ze swojego gabinetu i odciągnęła policjanta na bok, wręczając mu plik kartek.

- Zaparzę herbaty - powiedziała cicho. - Dużo płakała, więc proszę potraktować ją łagodnie. Niestety, w pana gabinecie dalej są robotnicy. Aha, dzwoniła pani Armitage. Prosiła, żeby pan niezwłocznie się z nią skontaktował. Nie mówiła, o co chodzi.

- Zajmę się tym, dziękuję. - Odwrócił się do zrozpaczonej niani.

- Panno Baskin, czy mogę prosić?

W gabinecie dwóch robotników lampą lutowniczą zdzierano farbę ze ściany. Pod spodnią warstwą widać było jeszcze dwa kolory: zielony, a pod nim brązowy. W pomieszczeniu śmierdziało benzyną. Bryant poprosił ich, by zaczekali na zewnątrz, i otworzył okno.

- Zaraz się wywietrzy - powiedział, prowadząc z uśmiechem Michelle w kierunku krzesła.

Dziewczyna wyciągnęła mokrą chusteczkę z kieszeni swetra i wydmuchała nos.

- Nie ma żadnych nowych wiadomości, prawda?

Bryant podał jej świeżą lnianą chusteczkę.

- Wie pani, nieraz dzieci giną na o wiele dłuższy czas, a potem i tak wszystko kończy się szczęśliwie.

- Pani Whitstable przykazała mi, żebym szczególnie uważała na Daisy, zanim wyszła - powiedziała Michelle, pociągając nosem.

- Dlaczego?

- Z powodu tego, co stało się z jej wujkami i ciotką.

- Ma pani na myśli Williama, Petera i Belle?

Michelle skinęła głową, odgarniając włosy z twarzy.

- Czy oni żyli w bliskich stosunkach z panem i panią Whitstable? Czy kiedykolwiek ich odwiedzali?

- Z tego, co wiem, nigdy. Luke - pan Whitstable - ledwie ich znał. Isobel - matka Daisy - czasami się z nimi widywała.

- Jak scharakteryzowałaby pani Daisy?

Michelle opanowała się i wyprostowała, zastanawiając się przez chwilę.

- Bardzo ciche, skryte dziecko. Tak jak jej kuzyni raczej blade i odrobinę za niskie na swój wiek. Humorzaste. Wywodzi się z głównej linii Whitstable'ów, podobnie jak jej mama i jej babcia Peggy.

- Chodzi pani o to, że w ich żyłach płynie ta sama krew?

- No tak.

- Trochę się w tym wszystkim pogubiłem - przyznał Bryant, siadając za biurkiem. - Czy Isobel zachowała panięskie nazwisko po ślubie?

- Większość pań Whitstable tak robi. Tak długo, jak pozostają w rodzinnym interesie. - Tak długo, jak pozostają w cechu, pomyślał Bryant.

- Myślę, że to ma swoje dobre strony. - Bryant przyjrzał się zeznaniom. - Tu jest napisane, że Daisy miała na sobie jasną letnią sukienkę. Wczoraj było bardzo zimno. Dlaczego, pani zdaniem, wyszła z domu w takim stroju?

- Nie mam pojęcia - odparła Michelle. - W domu było ciepło. Pani Whitstable lubi, jak jest ciepło.

- Czy jakieś drzwi albo okna były otwarte, na przykład, żeby wywietrzyć?

- Nie, proszę pana. A Daisy miała zakaz wychodzenia z domu bez opieki.

- Ale kiedy wyszła pani z kuchni, drzwi frontowe były otwarte.

- To prawda. Ktoś je otworzył.

- Nie słyszała pani, jak Daisy wychodziła?

- Nie, proszę pana.

- Proszę się zastanowić. Chciałbym wiedzieć o wszystkim, co się stało od chwili, kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Daisy, niezależnie od tego, czy wydaje się to pani ważne, czy nie.

Michelle skinęła głową.

- Zaczniemy od tego, kiedy ostatni raz miała pani dowód obecności Daisy w domu. Była pani w kuchni, robiąc herbatę...

Godzinę zajęło im ustalenie przebiegu wydarzeń tamtego feralnego popołudnia. Michelle kilka razy wybuchła płaczem. Kilka minut po tym, jak zobaczyła, że drzwi są otwarte, i przeszukała ulicę, przyjechali rodzice Daisy i wywiązała się kłótnia. Potem pani Whitstable zarzuciła jej niekompetencję i zaniedbanie obowiązków służbowych. W końcu ją zwolniła. Michelle wyjaśniała ze łzami, że dla niej to było coś więcej niż tylko praca - że naprawdę kocha swoich podopiecznych, nawet tych sprawiających kłopoty, że o wiele bardziej martwi się losami Daisy niż swoją przyszłością.

Bryant postukał w jej zeznania ołówkiem.

- Tu jest coś, czego nie rozumiem - powiedział. - Włączyła pani czajnik. Wyłączyła radio. A potem słyszała Daisy biegnącą przez pokój na górce. O, tutaj... - przypatrzył się kartce, poprawiając okulary. - „Poprzez muzykę dochodził tupot jej nówek”. Ale przecież w tym czasie radio było już wyłączone. Czy jednak zostawiła je pani włączone?

- Nie, wyłączyłam.

- W takim razie, jaką muzykę pani słyszała?

Michelle zamyśliła się.

- To była jakaś melodia.

- Rozlegała się w domu?

- Nie, nie w domu.

- Dobiegała z sąsiedztwa? Albo z ulicy? Co to była za muzyka?

- Naprawdę nie pamiętam.

- Radio samochodowe?

- Nie, raczej coś w rodzaju melodyjki sprzedawcy lodów. Tylko że nie przyjeżdżałby przecież o tej porze roku, prawda?

- Czy Daisy lubiła lody?

- Uwielbiała, ale miała zakaz jedzenia ich między posiłkami.

- Czy miała jakieś pieniądze w swoim pokoju?

- Tak, skarbonkę. Chyba nie myśli pan, że...

- Nie wie pani, ile dokładnie pieniędzy miała w skarbonce?

- Ja nie, ale Daisy notowała sobie sumy. Była bardzo praktyczną dziewczynką.

Bryant zadzwonił do Luke'a Whitstable'a, po czym polecił, żeby ktoś sprawdził firmy lodziarskie i grafik wyjazdów furgonetek.

W ciągu godziny odebrał dwa telefony. Pierwszy od ojca Daisy, potwierdzającego, że zapiski córki wykazują rozbieżność z tym, co znajdowało się w skarbonce. I drugi od policjanta, który poinformował go, że furgonetka z lodami przydzielona na teren, gdzie mieszkali Luke i Isobel Whitstable, miała tam pojawić się dopiero w kwietniu przyszłego roku.

Ze ściśniętym sercem Bryant musiał przyznać, że rodzina mogła stracić kolejnego swego członka, i to tym razem, z pewnością, całkowicie niewinnego.

21 POWIĄZANIA

Nadszedł czas, by Joseph zaczął rozglądać się za następną pracą. Postanowił zostać w Londynie, dopóki nie skończą się mu pieniądze. Wracając do domu, przyznałby się do porażki. Poza tym musiał pomóc Sam, chociaż nie wiedział jak i czy w ogóle mu się uda. Chodziła już przecież na jakąś terapię. Cierpiała z powodu zbyt wybujałej wyobraźni, a to, że wietrzyła wszędzie spiski, wyprzedzało go z równowagi. Zdawała się z chorobliwym zainteresowaniem podchodzić do policyjnego dochodzenia. Nie mógł jej rozgryźć. Kiedy mówiła o swoich rodzicach albo o otaczających ich spiskach, odnosił wrażenie, że ma na myśli coś zupełnie innego; zupełnie jakby to on miał dopiero odkryć jej prawdziwe intencje.

Właśnie wychodził, kiedy zadzwonił telefon.

- Tym razem moja kolej, żeby przeprosić. Za wczorajszy wieczór.
- Nie ma sprawy. Jesteś w pracy?
- Tak. W jednej z sal konferencyjnych dziś rano ma się odbyć zebranie komitetu w sprawie odbudowy teatrów na West Endzie. Czy byłeś kiedyś kelnerem?
- Tak, w college'u.
- Czy to jest łatwe? To znaczy, dałabym sobie radę? Wszystko, co muszę robić, to stać przy dzbanku do kawy i nalewać ją, kiedy będą mieć przerwę, prawda?
- Sam, co ty knujesz?

- Bufet jest zaraz przy sali. Mam nadzieję, że będę słyszała ich każde słowo.

- Chwila, moment - zaprotestował Joseph. - Zamierzasz udawać kelnerkę, żeby...

- Czemu nie? Mogę przestawić dyżury, chociaż Nicholas stał się ostatnio prawdziwą mendą. Nawet mi dodatkowo zapłaca. Już sprawdziłam.

- Ale po co to wszystko?

- Wokół same morderstwa, a ty mnie pytasz, po co to wszystko? Jak dotąd nikt tego nie powstrzymał.

- To mi pachnie teorią spiskową.

- Afera Watergate też ci tak pachniała? Ludzie władzy nadużywają stanowisk. Zwykli ludzie powinni wziąć sprawy w swoje ręce...

- Dobrze, już dobrze - przerwał - zrób to, ale obiecaj, że jeśli usłyszysz coś podejrzanego, powiadomisz policję.

- Zgoda.

Joseph odłożył słuchawkę. Musiał przyznać, że jest zaintrygowany. Jeśli naprawdę stracił pracę dlatego, że Miyagawa był szantażowany, mógł zaskarżyć go o bezprawne zwolnienie.

Posterunkowy Charlie Bimsley znajdował się na samiułku końcu łańcucha poleceń policji londyńskiej. Kiedy przydzielano najbardziej przykre obowiązki i wydawano najtrudniejsze do wykonania rozkazy, zwykle obarczano nimi potężnego Charliego. Jeśli trzeba było przejrzeć pojemniki na śmieci na tyłach restauracji w poszukiwaniu wyrzuconej broni albo wyjąć rozkładające się zwłoki zaklinowane w rurze kanalizacyjnej, jego koledzy patrzyli po sobie i proponowali: „niech Bimsley to zrobi”. Tak to w każdym razie się wydawało młodemu posterunkowemu. Charlie nie miał pojęcia, że za kilka lat zostanie ojcem chłopca, który podobnie jak on zostanie policjantem. Colin Bimsley miał nawet pracować w Wydziale Przestępstw Osobliwych.

Tego dnia Bimsley był jednym z trzydziestu kilku funkcjonariuszy chodzących w ulewnym deszczu od domu do domu i wypytyjących ludzi o malutką Daisy Whitstable. Jak na razie to wypytywanie niewiele dało. Trudno się dziwić, myślał Bimsley, otwierając kolejną furtkę ogrodową. Na tym terenie

mieszkały typowe rodziny z klasy średniej. Większość mieszkańców pracowała cały dzień, ich domy oddane były we władanie sprzętaczek, niań i ogrodników, z których tylko nieliczni mówili po angielsku.

Kiedy Bimsley naciskał dzwonek i lustrował wzrokiem zadbane trawnik, zastanawiał się, czy jego awersja do tej okolicy nie wynikała z faktu, że nigdy nie będzie miał wystarczająco dużo pieniędzy, by zamieszkać w podobnej.

- Słucham pana? - Staruszka, która otworzyła drzwi, wpatrzyła się w niego podejrzliwie, mimo że miał na sobie mundur. Zażądała, by pokazał jej swój identyfikator, zanim zgodziła się odpowiedzieć na pytania. Bimsley wyjaśnił pospiesznie, że stara się ustalić dokładny czas i miejsce pobytu furgonetki rozwożącej lody.

- Dobrze ją pamiętam, nie musi pan mówić dalej - przerwała mu tonem, który zwykle jest zarezerwowany do dawania komend psu. - Kiedy ją usłyszałam, wyrzałam przez okno.

Nie licząc mglistych wspomnień skandynawskiej *au pair* z sąsiedniej ulicy, to była pierwsza dająca jakąś nadzieję informacja, jaką dotąd otrzymali policjanci.

- Czy mogłaby pani opisać ten samochód? - zapytał ostrożnie. Deszcz zaczął coraz mocniej. Widział obłoczki pary wydobywające się z ust. - Może mógłbym wejść na chwilę?

- Niech pan zostanie tam, gdzie jest. Zabłocone buty na moim axminsterze, doskonały pomysł, nie ma co! Proszę być cicho, kiedy myślę. - Przecisnęła się obok niego na ganek i spojrzała na ulicę, mrużąc oczy.

- Wczoraj została uprowadzona dziewczynka - dodał. - Prawdopodobnie przez kierowcę furgonetki, której szukamy.

- Nie przepadam za dziećmi. Są zbyt absorbujące. Nie mam telewizora i nie czytam gazet. Te z kolei są zbyt przygnębiające. - Wskazała dom Whitstable'ów. - Tam się zatrzymała. Pamiętam, pomyślałam, że to dziwne słyszeć melodyjkę furgonetki z lodami zimą.

- Co było w niej szczególnego? - zapytał Bimsley, robiąc notatki.

- Była biała, bardziej przypominała karetkę pogotowia. No i jeszcze ten człowiek w środku.

- Widziała pani kierowcę?

- Tylko za szybą. Nie miał kurtki. Zwykle lodziarz ubrany jest w białą kurtkę. Ten nie był.

- Czy coś jeszcze może pani o nim powiedzieć?
- Był ciemnoskóry.
- Czarny?
- Nie, był Hindusem. I miał długie włosy. To niehigieniczne w zawodach, w których ma się kontakt z jedzeniem.
- Nie widziała pani dziewczynki?
- Tylko rzuciłam okiem, potem zaciągnęłam zasłony.
Bimsley przez chwilę się zastanawiał.
- Dlaczego w ogóle pani wyglądała?
- Jak już mówiłam, o tej porze roku to dziwne, że zjawia się tutaj samochód lodziarza - wyjaśniła, kręcąc z roztargnieniem luźną obrączką. - A poza tym melodyjka była inna niż zwykle. Zwykle puszczają „Greensleeves”. Ten grał melodię z opery.
- Czy pamięta pani, co to była za melodia? - zapytał Bimsley.
- Nie - odparła staruszka, potrząsając głową - ale na pewno coś Gilberta i Sullivana.

- Zwykle jesteś w recepcji, no nie? - wyszeptała młoda dziewczyna stojąca obok niej. - Jestem Sandra. - Wyciągnęła rękę. Sam potrząsnęła nią z uśmiechem.

- Jestem tu dzisiaj na zastępstwie - skłamała z poczuciem winy. Mamy małe kłopoty z personelem.

Przez ostatnie dziesięć minut stały pomiędzy termosami ze stali nierdzewnej wypełnionymi herbatą, za niskim stolikiem pełnym talerzy z kanapkami. Aż do teraz żadna z nich nic nie mówiła. Sandra była nieśmiała i dodatkowo speszona gośćmi. Włosy spadały jej na ospowatą twarz. Sam chciała powiedzieć coś, co trochę by ją rozluźniło, ale uświadomiła sobie, że może to wyjść trochę protekcyjnie. Dzieliła je bariera klasowa. W odróżnieniu od koleżanki Sam nie bała się tych ludzi. Widywała ich codziennie w domu.

Członkowie komitetu siedzieli w sali za dębowymi drzwiami, które szczelnie zamknięto. Dochodził zza nich jedynie przytłumiony szmer.

To była strata czasu. Sam poprawiała bez przerwy swój źle dopasowany strój kelnerki. Kierownik mógłby się trochę bardziej postarać i znaleźć jej strój, który by na nią pasował. Całe wieki zajęło jej ułożenie niesfornych włosów

pod białym czepkiem. Zobaczyła, że Sandra uśmiecha się przepraszająco.

- W taką pogodę ciągle jest mi zimno w nogi - poskarżyła się dziewczyna, pochylając głowę. - Włożyłam więc grube wełniane rajstopy i teraz mnie swędzi jak diabli. Zaraz powinni skończyć. - Skinęła w kierunku sali konferencyjnej.

- Kim oni są? - zapytała Sam. - Znasz ich?

- Przyjaciele Savoyu czy jakoś tak - wyszeptała jej nowa znajoma. - To ma coś wspólnego z tym teatrem obok. - W środku rozległo się skrzypienie odsuwanych krzesel. Zebranie skończyło się, a Sam nie była ani trochę mądrzejsza niż przedtem.

Kiedy dębowe drzwi otworzyły się i członkowie komitetu zaczęli podchodzić do stołu, patrzyła na ich twarze, starając się dostrzec w nich konspiratorów, ale to było niemożliwe, bardziej niewinnie wyglądających ludzi trudno było sobie wyobrazić. Przypominali przeciętnych parafian kościoła anglikańskiego. Większość kobiet była w średnim wieku i miała na głowach kapelusze. Panowie nosili okulary i garnitury skrojone przez rodzinnych krawców.

Napełniając filiżanki i podając je zgromadzonym, usiłowała usłyszeć strzępki rozmów. Po dziesięciu minutach zrezygnowała. Poza zdawkowo wymienianymi uwagami odnoszącymi się do inwestycji i zysków nie rozmawiano prawie o interesach. Z osób najbliższej stojących jedna roztrząsała problem rozmokłych trawników, a druga skarżyła się na obsceniczną jej zdaniem sztukę wystawianą w National Theatre. Beznadziejna sprawa. Równie dobrze mogła spędzić poranek w recepcji z Nicholasem, niż marnować czas tutaj.

Po następnych dziesięciu minutach sala wyludniła się i Sandra zaczęła uprzątać swój koniec stołu.

- Czy mogę liczyć na jeszcze jedną filiżankę kawy? - zapytała rumiana starsza kobieta w wyliniałym futrze.

Uśmiechając się żałośnie, Sam wzięła jej filiżankę i powtórnie napełniła.

- Widzę, że ta praca pobudza pragnienie - zauważyła.

- Och nie, zupełnie nie. - Starsza pani wzięła filiżankę i zaczęła wsypywać do niej cukier. - Niemniej jednak jest bardzo ekscytująca. - Pochyliła się do niej konspiracyjnie. - Kupujemy teatr - wyznała.

- Naprawdę? - Sam również pochyliła się nad stołem. - My, to znaczy kto?

- Kot - odparła kobieta.

Sam zasępiła się. Czyżby kręcił się tu jakiś dachowiec?

- Słucham?

- Komitet Odbudowy Teatrów - padła odpowiedź. - W skrócie KOT.

- Ach, rozumiem. I kupujecie teatr obok?

- Właśnie. Dwa lata temu pomogłam uratować wydry; w zeszłym roku - ofiary tyfusu; ale to jest o wiele bardziej interesujące. Skąd wiesz, moje złotko, który teatr kupujemy? To miała być tajemnica.

- Och - odparła Sam - mieliśmy tu pewnego Japończyka, który zamierzał kupić Savoy. - Czekwała, podczas gdy starsza pani mieszała kawę. - Ale w końcu się wycofał.

- Wcale się nie dziwię. Słyszałam, jak mówiono, że jen w tej chwili nie stoi za mocno czy coś w tym guście.

- Rachel, moja droga, jedziemy do Brompton Oratory, może cię podwieźć?

- zawołał jeden z pozostałych jeszcze mężczyzn. Starsza pani uśmiechnęła się z roztargnieniem do Sam i dołączyła do niego.

KOT, pomyślała Sam. To towarzystwo musiało być gdzieś zarejestrowane i mogło ją doprowadzić do mordercy.

22 LUX AETERNA

John May szedł wyłożonym marmurowymi płytami korytarzem. Jego ciemne włosy opadały na kołnierzyk koszuli. Zniecierpliwiony tym, że Tomlins nie oddzwaniał, postanowił mu złożyć niezapowiedzianą wizytę.

Otworzył drzwi na końcu korytarza i wszedł do środka, mijając dwie onieміałe sekretarki. Tomlins siedział przy biurku, wieczne pióro trzymał nad plikiem dokumentów. Na widok policjanta oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

- Przecież mówiłem panu, że oddzwonię, kiedy tylko znajdę kogoś, kto będzie mógł z panem rozmawiać - powiedział, starając się wyprzedzić pretensje Maya.

- A kiedy to nastąpi? - zapytał policjant. - Z tego, co widzę, rozmyślnie usiłuje pan utrudniać śledztwo.

- To nie takie proste, jak pan sobie wyobraża - odrzekł Tomlins spokojnie, natykając z przesadną starannością skuwkę na pióro. - Wspominałem, że chce pan porozmawiać o rodzinie Whitstable'ów kilku osobom, które ich znały, ale, niestety, spotkałem się z niewielkim odzewem. Być może ludzie nie chcą źle mówić o zmarłych.

- Dlaczego ktoś miałby źle o nich mówić? - May usiadł na krześle. - Nie byli lubiani? Wspominał pan, że ledwie ich znał. Ilu członków liczy cech?

- Och - Tomlins machnął ręką - trudno oszacować...

- Proszę pozwolić, że panu pomogę. - May zaczynał tracić cierpliwość. Spotykał takich ludzi na każdym etapie swego życia - mężczyzn, którzy używali przywileju członkostwa w klubie czy stowarzyszeniu jak broni klasowej. - Chcę dokładnych liczb, i to już, dzisiaj rano, albo aresztuję pana, a całą dokumentację zajmę jako dowody. Chcę wiedzieć, ilu członków liczy Czcigodne Stowarzyszenie Zegarmistrzów i ilu z nich należy do małego wewnętrznego kręgu posługującego się świętym płomieniem, symbolem, którego rzekomo pan nie zna. Potem zaczniemy przesłuchania kolejnych osób na liście.

Tomlinsowi uśmiech zastygł na twarzy.

- Musi pan zrozumieć, że tego rodzaju informacji nigdy nie ujawniamy... - Jego głos stał się jeszcze wyższy niż zwykle.

May machnął tylko ręką.

- Wysyłacie listy do swoich członków, każda organizacja tak robi.

Pańska sekretarka musi mieć ich nazwiska i adresy. Poproszę ją o nie.

- Położył ręce na kolanach, po czym wstał.

- Dobrze, przygotuję panu listę - powiedział Tomlins pośpiesznie.

- Ale nie wiem, co ma pan na myśli, mówiąc o wewnętrznym kręgu.

- Najpierw zajmiemy się nazwiskami - oświadczył May - a potem wrócimy do świętego płomienia. Do tego czasu niech pan się zajmie swoją pracą. Nie uwierzy pan, o ile rzeczy zamierzam pana jeszcze poprosić.

Alison Hatfield czekała na niego u stóp schodów, drobna w porównaniu z posągami czterech pór roku. Idąc do niej, May zastanawiał się, czy podjęła

decyzję. Poprzedniego wieczoru zadzwonił do niej i poprosił o pomoc. Ponieważ nie była członkiem cechu zegarmistrzów, jednocześnie znajdując się w środku tego samego systemu, wydawała mu się idealną osobą do pomocy.

- Dziękuję, że pani przysłała, panno Hatfield - powiedział, kiedy prowadziła go do opustoszałej sali posiedzeń w północno-zachodnim skrzydle budynku. - Potrzebuję przewodniczki po tym wszystkim. - Postukał palcem w swoją teczkę.

- Prosiłam już, żeby mi pan mówił po imieniu. Tu nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Otworzyła ciężkie, rzeźbione drzwi. Mayowi opadła szczęka na widok misternie złożonych i srebrzonych ozdób.

- Robi wrażenie, prawda? - Alison wskazała przeciwległą ścianę. - Za fotelem przewodniczącego może pan zobaczyć rzymski ołtarz z drugiego wieku. Robotnicy odkryli go w fundamentach budynku jakieś sto pięćdziesiąt lat temu. Figura z boku to Diana albo Apollo, nie jesteśmy pewni.

- Wspaniały - przyznał. - Aż dziw bierze, ile jeszcze wspaniałych rzeczy w Londynie czeka na odkrycie. - Usiedli przy ogromnym mahoniowym stole. - Myślałem, że cechy zostały stworzone z myślą o wspomaganiu rzemieślników i ich rodzin.

- Zajmowanie się dobroczynnością nie przeszkodziło im zgromadzić okazałe majątki.

May wyrzucił zawartość teczki na blat stołu.

- Będę z tobą szczery, Alison - powiedział z westchnieniem. - Wywiera się na nas naciski z góry i rozpaczliwie potrzebuję czyjejś pomocy. Te morderstwa zdarzyły się w szanowanej rodzinie podczas konferencji państw Wspólnego Rynku w ciągu dwóch tygodni. Czy William Whitstable zginął z powodu eksplozji mechanizmu, który sam skonstruował? Jego przodkowie byli ludźmi o zdolnościach technicznych. Czy to członkowie rodziny stoją za tymi morderstwami? Jeśli tak, dlaczego porwali małe dziecko? Czy Whitstable'owie są członkami jakiejś prywatnej organizacji, która istnieje wewnątrz cechu zegarmistrzów? Jak się mogę o tym przekonać? - Spojrzał Alison prosto w oczy. - Takie właśnie mam problemy.

- Jak mogę pomóc?

May postukał w papiery.

- Musisz znaleźć nazwisko osoby, która powie mi prawdę o Whitstable'ach. Tomlins albo za bardzo się boi, żeby mówić, albo naprawdę nic nie wie o tym, co się dzieje, albo sam jest w to uwikłany. Czy możesz uczciwie powiedzieć, że nikt tutaj nigdy nie widział na oczy tego znaku? - Pokazał jej obrazek przedstawiający święty płomień. Wolał nie dodawać, że jedyną osobą, która do tej pory rozpoznała ten symbol, był rzeźnik Arthura.

Alison wzięła od niego obrazek i uważnie się przyjrzała.

- Już gdzieś to widziałam - powiedziała.

- Gdzie?

- Wydaje mi się, że w broszurze. Pomagaliśmy zegarmistrzom je wysłać. Nie wiem nawet, czy ten znak był z nimi bezpośrednio związany, jest tak wiele różnych pobocznych towarzystw. To chyba ma jakiś związek z ich działalnością dobroczynną.

- Czy została ci jakaś broszura? - zapytał May.

- Powinno leżeć ich jeszcze trochę w piwnicy. Wszystkie, które zostają, pakujemy do pudeł. Nigdy nic nie wyrzucamy.

- Możemy tam pójść?

- Tam jest zimno i ciemno. I panuje prawdziwy bałagan. Nikt tam się nie zapuszcza.

- To będzie prostsze, niż gdybym tego szukał na własną rękę.

- Niech będzie - skapitulowała. - Pójdziemy tam. Ale musimy mieć latarki.

Stara winda towarowa trzęsła się i skrzypiała, kiedy zjeżdżali w zatęchły mrok. Gołe betonowe ściany wznosiły się dookoła. May miał wrażenie, jakby zapuszczali się do świątyni Diany, która leżała głęboko pod budynkiem cechu.

- Dlaczego tu nie ma światła? - zapytał policjant, patrząc na obłoczki wydychanego powietrza, które robiły się szare na zimnie.

- Nie wiem. Jest oświetlenie awaryjne, ale ma oddzielne zasilanie. - Alison wskazała małą czerwoną żaróweczkę na suficie windy. Stojąc w ciemności, z uniesioną głową i włosami zaczesanymi do tyłu i opadającymi na długą szyję, Alison wyglądała jak jedna z bohaterek płócien prerafaELITÓW. Chciał dotknąć jej skóry, żeby się przekonać, czy jest tak miękka i delikatna, jak się wydawało.

Winda zazgrzytała. May przypomniał sobie słowa Bryanta, że złe rzeczy zdarzają się, kiedy gasną światła. Zatrzymali się z głuchym odgłosem i Alison odsunęła kratę. Zapaliła latarkę i oświetliła korytarz.

- Tędy - powiedziała. Minęli kilkanaście otworów drzwiowych, zanim skręciła do wysokiego, pozbawionego okien pomieszczenia i skierowała promień latarki na rzędy pudeł.

- Jeśli te broszury w ogóle tu są, będą w jednym z nich.

- Dobrze, ty zaczniesz od jednego końca, a ja od drugiego - powiedział May.

Przez następne pół godziny otwierali pokryte kurzem pudła i przeglądali ich zawartość. May otwierał właśnie jeden z kartonów, kiedy w ciemności za sobą usłyszał jakiś hałas, zupełnie jakby ktoś przeciągał gwoździem po kafelkach.

- Co to było?

Alison spojrzała na niego, jej blade oczy odbijały światło, jakby była jakimś nocnym stworzeniem.

- To mogą być szczury - odparła. - Mało kto tu się zapuszcza z powodu dziury w korytarzu.

- Jakiej znowu dziury? - May spojrzął na latarkę. Jej światło zaczęło przygasać.

- Pod nami biegną kanały rzeki. Czasami, po obfitych deszczach, można usłyszeć tępe dudnienie pod podłogą. To naprawdę przyprawiający o gęsią skórkę odgłos. W jednym z korytarzy poniżej jest dziura. Dostają się przez nią szczury rzeczne. Podobno mogą być wielkości kotów.

- Czy pod tym jest jeszcze jedno piętro?

- Tak, ale zostało wypełnione cementem z powodu niebezpieczeństwa zalania.

May zaczął nad słuchiwać szumu podziemnego nurtu. Światło latarki zamrugało. Postukał w szkiełko.

Po drugiej stronie izby Alison rozerwała kolejny karton i opróżniła go.

- Chyba je znalazłam! - zawołała.

May przelazł przez pudła i dołączył do niej w chwili, kiedy jego latarka zgasała. Dziewczyna uniosła jedną z broszur i oświetliła promieniem swojej latarki.

Na tylnej stronie znajdował się złocisty płomień. Poniżej, starannym tudorowskim pismem napisano słowa LUX AETERNA, a pod nimi wydrukowano nazwę: *Przymierze Światłości Wiekuistej*. May wziął broszurę i odwrócił ją.

Tytuł na górze głosił: *Renowacja najpiękniejszych teatrów Londynu: jak możesz pomóc*. Poniżej znajdowała się reprodukcja wiktoriańskiego obrazu przedstawiającego rozentuzjasmowaną publiczność uczestniczącą w przedstawieniu. May zajrzał do środka broszury i ujrzał dwie fotografie w eleganckich złotych ramkach.

Pierwsza przedstawiała zmarłego Williama Whitstable'a. Druga była portretem Jamesa Makepeace'a Whitstable'a, człowieka, który umarł blisko sto lat temu. Człowieka, pomyślał May, wpatrując się w jego surową twarz, który wciąż wywierał tak potężny wpływ na swych potomków, że nic, nawet śmierć, nie mogło skłonić ich do podzielenia się tajemnicami z resztą świata.

23 PRZEWINA

GUARDIAN, WTOREK, 21 GRUDNIA 1973

NIEKOMPETENCJA POLICJI POWODEM ZWŁOKI W ODNALEZIENIU DAISY

POSZUKIWANIA DAISY WHITSTABLE, LAT SIEDEM, PORWANEJ Z DOMU W CHELSEA W NIEDZIELĘ PO POŁUDNIU, ROZPOCZĘŁY SIĘ NIEFORTUNNIE Z POWODU CZTERNASTOGODZINNEGO OPÓŹNIENIA, Z JAKIM WYDZIAŁY POLICJI LONDYŃSKIEJ PRZEKAZYWAŁY SOBIE NAJWAŻNIEJSZE INFORMACJE. ZAGINIĘCIA DZIEWCZYNKI NIE POWIĄZANO Z TRWAJĄCYM DOCHODZENIEM W SPRAWIE ŚMIERCI INNYCH CZŁONKÓW TEJ RODZINY. Z TEGO POWODU ŚLEDZTWO ZOSTAŁO OPÓŹNIONE W NAJWAŻNIEJSZYM MOMENCIE.

DAILY MAIL, WTOREK, 21 GRUDNIA 1973

NIE MA ŚWIĄTECZNEJ RADOŚCI W DOMU ZAGINIONEJ DAISY
ŚWIĄTECZNA SKARPETA WISI NAD RADOŚNIE PALĄCYMI SIĘ POLANAMI, CZEKAJĄC, AŻ ZOSTANIE ZAPEŁNIONA. POD BŁYSZCZĄCĄ, POKRYTĄ ŚWIECIDEŁKAMI CHOINKĄ STOI SPODECZEK Z WODĄ, UMIESZCZONY TAM PRZEZ DZIECKO Z MYŚLĄ O ZMĘCZONYM RENIFERZE. ALE JEŚLI NIE ZDARZY SIĘ CUD, W TYM DOMU NIE ROZLEGNIE SIĘ RADOSNY ŚWIĄTECZNY ŚMIECH, TYLKO PŁĄCZ UDREKI.

A WSZYSTKO DLATEGO, ŻE TO DOM MAŁEJ DAISY WHITSTABLE, DZIEWCZYNKI PORWANEJ W NIEDZIELĘ PO POŁUDNIU. ZAMIAST JOWIALNEGO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA, ZOSTAWIAJĄCEGO PREZENTY W STOPACH ŁÓŻKA, ZAGOŚCIŁ TAM NIEPROSZONY, BARDZIEJ PONURY GOŚĆ - I ZAMIAST OPRÓŻNIĆ SWÓJ BOŻONARODZENIOWY WÓR, ZAPEŁNIŁ GO. PATRZ RÓWNIEŻ: NASZ KOMENTARZ REDAKCYJNY PT. „CZY NIKT JUŻ NIE JEST BEZPIECZNY WE WŁASNYM DOMU? DLACZEGO POWINNIŚMY SIĘ WSZYSCY BAĆ”.

LIST DO „EVENING NEWS”, WTOREK, 21 GRUDNIA 1973

SZANOWNY PANIE,

PANSKA NIEDAWNA SUGESTIA, ŻE „ŚWIĘTY PŁOMIEN” ZWIĄZANY Z MORDERSTWAMI WHITSTABLE'ÓW ŁĄCZY SIĘ Z NAZISTOWSKIMI ZABÓJCAMI, JEST KOMPLETNĄ BZDURĄ.

SYMBOL, KTÓRY OBECNIE MOŻNA ZNALEŹĆ NA ŁAMACH NIEMAL WSZYSTKICH GAZET, NIE JEST PODOBNY POD JAKIMKOLWIEK WZGLĘDEM DO TEGO, KTÓRY POJAWIŁ SIĘ W CZASIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ, JEST NATOMIAST BARDZO PODOBNY DO ŚWIĘTEGO PŁOMIENIA NIEKTÓRYCH WIKTORIAŃSKICH TOWARZYSTW OKULTYSTYCZNYCH.

DALEKIE OD BYCIA SIEDLISKIEM MORDERCZYCH ZAMIARÓW, PODOBNE TOWARZYSTWA STANOWIŁY JEDYNIEMIEJSCIE SPOTKAŃ NIESZKODLIWYCH ANGIELSKICH DŻENTELMENÓW, KTÓRZY PRAGNĘLI OD CZASU DO CZASU POBYĆ Z DALA OD ŻON I POWZYWAĆ SOBIE BELZEBUBA W TOWARZYSTWIE KILKU PODOBNIEMYŚLĄCYCH KOMPANÓW.

Z WYRAZAMI SZACUNKU,

WIELEBNY GEORGE BARTLETT

- Chcę się widzieć z Johnem Mayem - oświadczyła Sam, próbując złapać oddech po pokonaniu zepsutych schodów ruchomych prowadzących na górę stacji metra Mornington Crescent.

Sierżant Longbright popatrzyła na nią znad sterty raportów.

- Dzień dobry, panno Gates - przywitała ją chłodno. - Wcześniej pani dziś zaczyna.

Zegar stojący na biurku wskazywał siódmą trzydzieści trzy. Sam niezbyt dobrze spała, ale to sierżant wyglądała, jakby pracowała całą noc.

- Jednak pan May był tu wcześniej od pani. I już wyszedł - uśmiechnęła się.
- Właśnie zajmuje się przesłuchaniami. Ma wrócić w południe. Chce pani zostawić jakąś wiadomość?

Sam chciała podzielić się swoimi odkryciami dotyczącymi KOT-a, ale zmusiła się do zatrzymania ich dla siebie, dopóki nie będzie mogła porozmawiać z policjantem osobiście.

- Panno Gates. - Longbright postukała kredką do brwi w biurko i popatrzyła na dziewczynę z marsową miną.

- Co?

- Jeśli nie ma pani tu czegoś konkretnego do załatwienia, czy mogłaby pani wpaść później? My naprawdę jesteśmy zajęci.

- Przepraszam. Myślałam, że może będę mogła, no wie pani, pomóc albo co. - Już miała wychodzić, kiedy dostrzegła na biurku sierżant pomarszczoną od wilgoci broszurę. Na okładce znajdował się rysunek przedstawiający wnętrze teatru Savoy. May najwyraźniej szedł tym samym tropem, co ona. To tyle, jeśli chodzi o obietnicę, że będzie ją informował o postępach w śledztwie.

- Przynajmniej niech pani pozwoli, że kupię jej kawę. Wygląda pani na zmęczoną. - Sam uśmiechnęła się krzepiąco.

- Z chęcią bym się napiła - przyznała sierżant. - Nie mogę się ruszyć zza biurka.

- Pójdę. Ma pani drobne?

Kiedy Longbright odwróciła się do płaszcza wiszącego za nią i zaczęła obszukiwać kieszenie, Sam włożyła broszurę pod kozuch. Czowała, że ma do tego prawo. Joseph został niesprawiedliwie pozbawiony pracy, a policja nie jest w stanie mu pomóc. Sama musi to zrobić.

- Powiedziałeś, że mam to zostawić, jeśli nic nie odkryję, ale ja odkryłam. - Siedzieli w kafejce naprzeciwko Savoyu, gdzie Sam miała zacząć zmianę dziesięć minut temu. - Pójdę tylko do niej i z nią porozmawiam. Co może mi się stać? - Wpatrzyła się w filiżankę z gorącą, spienioną herbatą i westchnęła. - Niewykluczone, że policja nigdy nie odkryje prawdy.

- Jeśli myślisz, że tobie się to uda, to wszystkiego najlepszego. - Joseph uniósł ręce w akcie kapitulacji. - Zdażyłaś już dzisiaj ukraść policji dowód rzeczowy, a nie ma nawet dziewiętej. Aż strach pomyśleć, co wywiniesz w

porze lunchu. Dobrze, jedź sobie do tej kobiety, udawaj, że jesteś dziennikarką, czy jaki tam inny głupi pomysł ci przyjdzie do głowy. Nie mogę cię zatrzymać.

Sam bardzo zależało na wyjaśnieniu tej sprawy, a to oznaczało, że musi dowiedzieć się jak najwięcej o Komitecie Odbudowy Teatrów. Peggy Harmsworth była jego współprzewodniczącą i jedyną osobą oprócz Williama Whitstable'a wymienianą w broszurze z imienia i nazwiska. Czytając biografie, odkryła, że pani Harmsworth po mężu nazywała się Whitstable. Była żoną Olivera Whitstable'a i babką porwanej Daisy, czyli kolejną niezbadaną gałęzią tej niekończącej się rodziny.

- Wyświadczysz mi przysługę? Powiedz Nicholasowi, że jestem przeziębiona i nie przyjdę dziś do pracy. - Chciała dotknąć jego ręki, ale odsunął ją.

- Ostatni raz - zaznaczył.

Deszcz padał przez korony drzew, kiedy Sam otwierała bramę ekskluzywnego osiedla Holly Lodge. Pochodzące z lat dwudziestych i naśladowujące styl epoki Tudorów budynki na West Hill ciągnące się do Highgate, leżały za podobnymi do stołów bilardowych trawnikami. Sam wcześniej zadzwoniła do pani Harmsworth, proponując jej wywiad dla nowego luksusowego czasopisma dla pań. Obracała się wśród takich ludzi przez większą część swego życia i wiedziała, jak z nimi postępować. Peggy Harmsworth zgodziła się na wywiad, ponieważ mogła opowiedzieć o swojej działalności dobroczynnej i dostać jeszcze za to pieniądze.

Sam poprawiła spódnice i nacisnęła dzwonek do drzwi. Jej uniform z Savoyu był elegancki i otaczał ją aurą powagi. W odróżnieniu od innych Whitstable'ów Peggy zmieniła nazwisko po ślubie. W konsekwencji Wydział Przestępstw Osobliwych nie wezwał jej na spotkanie w poprzednią niedzielę.

Peggy siedziała w salonie, oczekując swego gościa. Była po sześćdziesiątce, a jej twarz zdążyła już nabrać zgorzkniałego, ponadczasowego wyglądu. Siedząc w wykrochmalonej, błękitnej bluzce ozdobionej pojedynczym sznurem pereł, wpatrywała się w przeprowadzającą wywiad spod półprzymkniętych powiek. Miała lśniące ciemne włosy uczesane w kok i spięte złotą klamrą. U jej stóp leżał mały piesek. Peggy nie wyglądała na osobę, której wmówi się każdą bzdurę. Nie była też, sądząc po szklaneczce szkockiej przy jej boku, całkowicie trzeźwa. Po krótkiej, acz szczerzej rozmowie na temat honorarium, zabrały się do pracy.

Sam spojrziała na głowy antylop zawieszane na ścianach.

- Czy to pani je zabiła? - zapytała.

- Och, człowiek dziedziczy tyle okropieństw... - Peggy zgasiła papierosa w popielniczce z kopyta antylopy.

Nie zaproponowała herbaty ani ciasteczek, pomyślała Sam ponuro. Wstała i przyjrzała się popielniczce.

- Rozumiem, że muszą tu być jeszcze trzy takie.

- Moje dziecko, myślałam, że przyszła tu pani, żeby zadawać impertynencje pytania dotyczące mojego życia, jestem już trochę za stara, żeby mi dawać lekcje ekologii. - Wyjęła kolejnego papierosa sobranie i zapaliła go. - Na miłość boską, proszę usiąść, zaczyna mi pani działać na nerwy. Przejdźmy już do tych pytań. - Wydmuchała obłoczek siniego dymu i rozparła się w fotelu, niczym Kirke czekająca na efekt zaklęcia.

Sarn odchrząknęła.

- Zajmiemy się przez chwilę pani działalnością charytatywną na rzecz teatrów londyńskich, ale oczywiście nasze czytelniczki chcą przede wszystkim wiedzieć, jak pani sobie radzi z ostatnimi tragediami. Czy uważa pani, że porwanie wnuczki ma jakiś związek z wcześniejszymi zabójstwami?

- Cholera, oczywiście, że tak!- wybuchnęła Peggy. - Nikt nie widzi, że jesteśmy dziesiątkowani.

- Ale kto mógłby was nienawidzić tak bardzo, żeby robić takie rzeczy?

Odrzuciła do tyłu głowę i wypuściła kolejny obłoczek dymu w sufit.

- Niezłe pytanie. Wszystkie międzynarodowe spółki mają wrogów. Kiedy twoim głównym celem jest wykończenie konkurencji, nie cofniesz się przed niczym. - Wpatrzyła się w papieros, tak jakby do niego adresowała swoje słowa. - Oczywiście, w dzisiejszych czasach nikt nie manifestuje swojej wrogości. Rywale nie są zrównywani z ziemią, oni są delikatnie wyciskani, jak pryszczce. Nie jesteśmy braćmi Kray.

Peggy odpędziła ręką dym od swojej twarzy.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. Świat wielkiej finansjery jest tak samo okrutny jak zawsze, ale działa subtelniej. Whitstable'owie nie zniszczyli nikogo od lat. Nasi dziadowie zachowywali się jak dranie, ale w tamtych czasach było to normalne. Kompania Wschodnioindyjska dała dobry przykład na początku poprzedniego wieku, eksportując opium do Chin, monopolizując tamtejszy rynek i powodując uzależnienie Chińczyków, dzięki czemu Wielka Brytania

mogła czerpać korzyści z importu herbaty i jedwabiu. Brytyjczycy zawsze walczyli o swoje przywileje handlowe. Oburzyli się po czarnej dziurze¹ w Kalkucie, ale to była pestka w porównaniu z tym, co sami robili tym biednym Hindusom. Mimo niepodległości Indie ciągle dźwigają schedę po nas - przykładem choćby ta beznadziejna biurokracja, która tam panuje. Nie wydaje mi się, żeby uczyli jeszcze o tym w szkole. - Spojrzała podejrzliwie przez kłęby dymu na Sam.

¹ Czarna dziura w Kalkucie (lub czarna jama w Kalkucie) - tragedia, która miała miejsce 20 czerwca 1756 roku, kiedy to ponad 140 brytyjskich żołnierzy i cywilów zostało wtrąconych do lochu, w którym mogło się pomieścić najwyżej kilkanaście osób. Przeżyły jedynie 23 osoby (przyp. tłum.).

- W świecie biznesu zawsze obowiązywała zasada: po trupach do celu.

Może lepiej porozmawiamy o moich działaniach na rzecz teatrów.

- Czytałam waszą broszurę. Skąd pochodzi symbol KOT?

- To symbol Przymierza Światłości Wiekuistej. Wbrew napuszonej nazwie to tylko skromne towarzystwo założone przez jednego z członków Czcigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów.

- Kogo konkretnie? Jamesa Makepeace'a Whitstable'a, którego zdjęcie znajduje się w broszurze?

- Tak, powstała z inspiracji Jamesa. Bez wątpienia nazwę wymyślił, kiedy wpadł w jeden z tych swoich religijnych transów.

- Na czym obecnie polega działalność tej organizacji?

- To fundacja charytatywna, wspomagająca głównie kościoły i szpitale, chociaż w pierwotnym zamyśle miała stać się pewnego rodzaju receptą na szybkie wzbogacenie się. Rodzinne szkatuły były prawie puste i James opracował plan ponownego ich wypełnienia. To, co zrobił, świetnie się sprawdzało przez długie lata. Większość swojego bogactwa Whitstable'owie zawdzięczają właśnie jemu. Obecnie Przymierze jest holdingiem zapewniającym byt takim organizacjom jak na przykład KOT. Właśnie przystępujemy do remontu teatru Savoy. Zajmowało się tym pewne japońskie konsorcjum, ale nagle się wycofało i udało nam się kupić budynek po bardzo korzystnej cenie. To wprost niewiarygodne!

- Dlaczego?

- Dlatego że zawsze chcieliśmy kupić Savoy. Teraz, dzięki pomocy Przymierza, będziemy w stanie otworzyć teatr już w Nowy Rok.

- Kto w tej chwili zarządza Przymierzem?
- Cała rodzina musi pomagać od czasu do czasu. Nie dopuszczamy tam nikogo z zewnątrz.

Sam była rozczarowana, słysząc, że wewnętrzna organizacja istniejąca w cechu okazała się zaledwie rodzinną fundacją charytatywną. Czy jednak Peggy powiedziałaaby jej, gdyby była czymś więcej?

- Czy Przymierze dokumentuje w jakiś sposób swoją działalność?
- Myślę, że tak - odparła Peggy, schylając się, by podrapać psa za uchem. - Prawdopodobnie wszystkie dokumenty są ukryte w siedzibie cechu. Ale nie rozumiem, czemu pyta pani o takie rzeczy.

- Chcielibyśmy jak najwięcej opowiedzieć naszym czytelniczkom o państwa pożytecznej działalności. A propos, dlaczego akurat teatry?

- Co pani ma na myśli?
- Dlaczego nagle zaczęliście państwo zdradzać szczególne zainteresowanie teatrami, skoro zwykle wspieraliście kościoły i szpitale?

- Przymierze jest powiązane ze sceną londyńską od początku swojej działalności, proszę jednak nie pytać mnie dlaczego. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek to teraz pamiętał.

- Spodobała mi się państwa broszura. - Sam wyjęła ją z kieszeni. - Czy można wiedzieć, kto ją opracował?

- Zatrudniamy od czasu do czasu wolnych strzelców do wydawania takich rzeczy - odparła Peggy bez większego zainteresowania.

Sam otworzyła broszurę.

- Nie mogę przestać podziwiać reprodukcji, które zdobią tę publikację. Holyoake, Sickert, Chapman, Crowe, większość z nich to członkowie Royal Academy. Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego zamieściliście właśnie ich prace?

- Oczywiście. Nigdy nic nie robimy bez powodu. Royal Academy była i jest silnie powiązana z fundacją Przymierze. James Whitstable był członkiem honorowym akademii. Nie jestem pewna dlaczego. Powinna pani o to zapytać kogoś stamtąd. - Wpatrzyła się z tęsknotą w swoją szklaneczkę szkockiej. - Najciekawsze rzeczy, jakie przydarzyły się naszej rodzinie, były czynione dla Boga, pieniędzy i dobra wspólnego. Przynajmniej tak było do teraz. Może pani myśleć, że zostaliśmy ukarani za jakieś dawne przewiny. Ale morderstwa i porwanie? Cóż to za olbrzymia przewina musiałaby być, żebyśmy na coś takiego zasłużyli?

24 ZWIERANIE SZEREGÓW

Bryant nalegał, by pojechali jego zdezelowanym żółtym minicooperem. Choć jego umiejętność pokonywania największych skrzyżowań tylko nieznacznie polepszyła się w ostatnich latach (jedyne użyteczne efekty uboczne niekończących się egzaminów na prawo jazdy, które regularnie oblewał od końca lat pięćdziesiątych), nadal uważał pewne znaki drogowe za zbyt liczne, wliczając w to również te, które nakazują zmianę pasa ruchu, informują o pierwszeństwie przejazdu, czy oznaczają przejście dla pieszych. Jazda przez zatłoczone w porze lunchu ulice była nie lada wyzwaniem logistycznym, ale Bryant pozostawał niewzruszony na krzyki i trąbienie osłupiałych współużytkowników drogi. Nawet zaprawieni w jeździe po autostradach kierowcy ciężarówek bledli i wciskali pedał hamulca w obliczu niefrasobliwych poczynań policjanta.

- Leo Marks przysłał nam masę dokumentów opisujących finansową historię imperium Whitstable'ów - powiedział May. - Janice właśnie się przez nie przedziera, ale to żmudna robota. Przewijają się tam nazwy setek firm. Od lat interesy rodziny nie idą najlepiej. Jej działalność charytatywna jest prowadzona bez zarzutu, czego nie można powiedzieć o praktykach biznesowych. Procesy sądowe, wyzysk robotników, zatrudnianie nieletnich, dyskryminacja rasowa, niedozwolone praktyki i tak dalej.

- Wiktorianie przestali być wielkoduszni, kiedy rozwijali swoje imperium - odrzekł Bryant, patrząc przez przednią szybę na zielone światło, a potem wciskając pedał gazu. - Czuli, że Bóg jest po ich stronie. Nie powinno się nigdy mieszać religii i interesów. Zobacz, co się stało, kiedy żołnierze Chrystusa weszli do Kompanii Wschodnioindyjskiej. We wczesnych latach handlu szczyłi się swoim szacunkiem dla innych narodów i wyznań, ale szybko o nim zapomnieli, kiedy wzrosła żądza posiadania. Musimy znaleźć kogoś, kogo Whitstable'owie skrzywdzili w interesach. Może wtedy usłyszymy kilka znanych prawd.

- Zwarli szeregi przeciwko obcym, odkąd przystąpiliśmy do przesłuchań. Ich odpowiedzi na pytania sprawiają wrażenie wyuczonych.

- W takim razie musimy ich rozdzielić.

Bryant i jego przyjaciel szli szybko drogą biegnącą wzdłuż rzeki w Vauxhall, ponurej części Embankment, nieco rozweseleni przez słońce odbijające się od powolnych wód Tamizy. Daisy Whitstable zaginęła ponad trzydzieści sześć godzin temu. Nie było żadnego postępu w poszukiwaniach fałszywej furgonetki z lodami, tymczasem stolica zaczynała pustoszeć na święta.

May kopnął kamień. Nigdy nie czuł się tak bezradny i napięcie ostatnich dwóch tygodni zaczynało zbierać swoje żniwo.

- Wydaje mi się, że rozmów z nami zakazał im jakiś senior rodu.

- Nie mam pojęcia, kto to miałyby być. Rozmawialiśmy dosłownie ze wszystkimi.

- Każda rodzina jest do pokonania, Arthurze. Musi być jakieś słabsze ogniwo. Nie możemy po prostu czekać, aż się zerwie.

Poprzedniego wieczora policjanci próbowali porozmawiać z Miną Whitstable, przykutą do łóżka matką Williama, Petera i Belli. Przez ostatnie pięć lat staruszka miała słaby kontakt z rzeczywistością, a śmierć dzieci zepchnęła ją ostatecznie w afazję. Teraz nadzieję wiązali z Edith Eleanor Whitstable, swego rodzaju czarną owcą, sądząc z wypowiedzi reszty rodziny na jej temat.

Edith była porywczą sześćdziesięciosiedmioletnią matrona, która nie zachowała ani odrobiny lojalności wobec tych, którzy ją otaczali. May wiedział z jej wcześniejszego przesłuchania przeprowadzonego przez Longbright, że często wyrażała się krytycznie o imperium finansowym Whitstable'ów, w którym odgrywała niegdyś znaczącą rolę. Trzy miesiące wcześniej wyprowadziła się z dzielnicy, w której spędziła większą część swojego życia, do małego, otoczonego murem osiedla przy rzece. May chciał wiedzieć dlaczego. Bryant poklepał go po ramieniu i pokazał mu duże budynki z czerwonej cegły z łukowatymi oknami.

- Musiałem źle zapisać adres. Przecież to stara fabryka octu Sarsona.

- Już nie - odparł May. - Wygląda na to, że została przekształcona w domy jednorodzinne.

- To raczej osiedle dla samotnych yuppie, nie dla starych wdów. Co ją, u licha ciężkiego, podkusiło, żeby się tu przeprowadzić?

- Może jej stary dom był dla niej za duży.

Policjanci znaleźli się na pseudoelżbietańskim dziedzińcu z cegieł ułożonych w jodelkę.

- Jaki miała głos przez telefon? - zapytał May, kiedy szukali numeru mieszkania starszej pani.

- Nerwowy. Z pewnością nie był to głos żolży, jakiego się spodziewałem. Tu jest.

Edith Whitstable rezydowała w domku po drugiej stronie osiedla. Miała mały wypielęgowany ogródek i mosiężne lampy na frontowej ścianie. Wydawało się to niezbyt w stylu Whitstable'ów. Naciskając dzwonek, Bryant posłał Mayowi zdziwione spojrzenie, po czym poluzował swój gruby szal.

Drobna kobieta, która otworzyła drzwi, przywitała ich z ujmującym uśmiechem.

- Znaleźliście nas, panowie - powiedziała, biorąc ich płaszcze. - Zaparzyłam już herbatę, ale może wolelibyście coś mocniejszego w taki zimny i deszczowy dzień?

- Znakomity pomysł, jest tak zimno, że... - zaczął Bryant, ale widząc spojrzenie Maya, dokończył: - ...poprosimy o herbatę.

Mieszkanie miało oszczędny wystrój wnętrza, do którego dopiero co wprowadzili się nowożeńcy. Nawet jeśli Edith Whitstable wzięła ze sobą stare meble, nie było ich widać. W korytarzu wisiały żelazne krucyfiksy, a w salonie - kilka prostych obrazów religijnych.

- Rozumiem, że chcecie, panowie, zadać mi więcej pytań - powiedziała starsza pani, umieszczając na stole tacę i zaczynając rozstawiać filiżanki. Na jej palcach widać było blade obwódki po pierścionkach. Jej ubranie było tanie, nie szyte na miarę, ale ze sklepu. Na szyi nosiła duży srebrny krzyż. Bryant podejrzewał, że nie wie, jak jej się najlepiej. Chociaż pamiętał, że kiedy była w Mornington Crescent, miała broszkę z perłą i futro z norek.

- To nie powinno długo potrwać. - May popatrzył do swojego notesu. - Pani mąż Samuel umarł dwa lata temu, prawda?

- Tak, na raka kręgosłupa. Długo cierpiał. Dzieci okazały nam wielką pomoc.

- Ma pani dwóch chłopców, zgadza się? Jacka i Harry'ego?

- Raczej trudno nazwać ich chłopcami, panie May. Obaj są po czterdziestce.

- Jaki stopień pokrewieństwa łączył panią z Williamem, Peterem i Bella Whitstable'ami?

- Byli moimi kuzynami. Wywodzimy się od Jamesa i Rosamunde, którzy żyli w połowie ubiegłego wieku. Ale pewnie panowie o tym wiecie?

- Nie, nasze dochodzenie nie sięga tak daleko w przeszłość.

- A powinno! James był fascynującym człowiekiem - zycliwym, czarującym, żarliwym chrześcijaninem. Dokonał wielu wspaniałych czynów, podobnie jak jego dzieci. Alfred, jego starszy syn, ufundował kilka misji charytatywnych.

- A co z Daisy Whitstable?

- Straszna sprawa - powiedziała Edith bez wahania. - Jej dziadkowie też są moimi kuzynami. Jej dziadek ze strony ojca zginął w czasie drugiej wojny światowej.

Z sąsiedniego pokoju dobiegł jakiś brzęk, po czym rozległo się stęknienie. Edith nie zareagowała.

- Ostatnio zmieniła pani dom - zauważył Bryant, rozglądając się. - Musi pani tęsknić za starym. W końcu wychowywała się pani w nim. Recesja nie była zbyt łaskawa dla majątku rodziny.

Edith wydawała się zaskoczona tym stwierdzeniem.

- Sprzedaż domu miała dobre i złe strony, panie Bryant - oświadczyła, nerwowo przesuwając palce prawej ręki po krzyżu na piersiach. - Dzięki niej nasza rodzina zbliżyła się do siebie. I pomogła mi odkryć na nowo wiarę w Zbawiciela.

- Podejrzewam, że pieniądze również - dodał Bryant.

- To żadna tajemnica, że po śmierci Samuela mieliśmy kłopoty finansowe. Po sprzedaniu domu znów stałam się wypłacalna.

- Nie mogła pani zapożyczyć się u kogoś z rodziny? - zapytał May.

- Dobry zwyczaj, nie pożyczaj, panie May. Poza tym żadne z nas nie jest już tak zamożne jak kiedyś, więc nie możemy się wspierać finansowo.

W sąsiednim pokoju rozległo się kolejne brzęknięcie, a potem jęk.

- Wspomniała pani, że staliście się bliżsi sobie jako rodzina. Jakiś cynik mógłby powiedzieć, że to z powodu zagrożenia. Może po prostu chcecie mieć na siebie oko.

- Chyba nie sugeruje pan, że mordercą jest ktoś z rodziny?

- To pani powinna odpowiedzieć na to pytanie. - Bryant zaczynał się irytować. Nie cierpiał przedzierania się przez rodzinne tajemnice.

- To wykluczone - stwierdziła urażona Edith. Jej ręka tym razem zacisnęła się na krzyżu. - Może i jesteśmy bardziej liczni i odrobinę bardziej ekscentryczni

od przeciętnej angielskiej rodziny, ale w głębi duszy, bardzo do siebie przywiązani. Po prostu nie demonstrujemy na każdym kroku swojego oddania i uczuć. Tak samo jak nie wierzymy w histerię czy komedianstwo. Staramy się wieść uczciwe życie Anglików, którzy ciężko pracują dla swojej rodziny i dzieci. W tym sensie jesteśmy jak najbardziej normalni.

Bryant wydawał się mieć wątpliwości. Brzęk i przekleństwo po raz kolejny dobiegły zza ściany. Edith uśmiechała się spokojnie. May spojrzał na przyjaciela.

- Czy w sąsiednim pokoju ktoś jest, pani Whitstable? - zapytał.

- Musicie panowie wybaczyć chłopcom - wyjaśniła. - Mieszkam z wnukami, synami mojego Harry'ego. Właśnie ćwiczą. - Odwróciła się i zawołała: - Steven, Jeffrey, czy moglibyście tutaj przyjść?

Do salonu weszło dwóch młodzieńców w dresach. Wyglądali identycznie: obaj blondyni, obaj barczyści, o oczach jak szparki i ostrych rysach. Dźwigali ciężarki i ciężko oddychali. Obaj mieli srebrne krzyże na szyjach.

Jeden z nich pochylił się i dotknął ramienia babki.

- Wszystko w porządku, Edith? - upewnił się, patrząc krzywo na policjantów. Jego wystudiowany akcent sugerował naukę w prywatnej szkole.

- Jak najbardziej, chłopcy. Panowie właśnie wychodzą - powiedziała, uśmiechając się nerwowo.

Policjanci podnieśli się niezgrabnie i zostali wyprowadzeni z salonu. Bryant usiłował zajrzeć do pozostałych pokoi, ale jeden z bliźniaków zagroził ręką korytarz, tarasując mu drogę.

- Odprowadzimy panów do drzwi, jeśli chcesz - zaproponował.

- To nie będzie konieczne - odparła Edith. - Wszystko w porządku. C

hłopak popatrzył w oczy bratu, uśmiechając się.

- Bogu dzięki! - powiedział.

- Zupełnie jak normalna rodzina - zżymał się Bryant w drodze powrotnej.

- Cóż, nie wygląda na przetrzymywaną wbrew woli - odparł May.

- Może i nie, ale zauważ, jak ostrożnie dobierała słowa. Założę się, że wnukowie zostali tam umieszczeni, żeby mieć na nią oko.

- Bo ja wiem... Nie możemy wszystkich podejrzewać. Sprawiała niewinne wrażenie.

- Co się tyczy Whitstable'ów - powiedział Bryant - „niewinne” to ostatnie słowo, jakie przychodzi mi do głowy. - Rozmowa z Edith o Jamesie Makepeace'ie Whitstable'u potwierdziła jego podejrzenia. Mimo że sprzymierzeńcy i wrogowie rodziny żyli w odległej przeszłości, ich wpływy sięgały teraźniejszości. Obowiązek musiał być spełniony. To właśnie było brakujące ogniwo: wszechogarniające wiktoriańskie poczucie obowiązku.

Miał pewność, że nawet teraz trop był daleki od zatarcia, a niebezpieczeństwo realne. Porwanie Daisy Whitstable rozпалиło ciekawość prasy do niebotycznych rozmiarów. Nie daj Boże, żeby została zamordowana, ponieważ zaowocuje to tak powszechnym oburzeniem, że może to zniweczyć całe dochodzenie. Muszą znaleźć sprawcę, i to szybko.

Bryant miał przecucie, że nie powinni szukać we współczesności. Rozwiązanie zagadki mogło leżeć pogrzebane w zawiłym rodowodzie rodziny Whitstable'ów, ale był pewien, że jest proste - i ciągle czeka na odkopanie.

25 SIÓDEMKI

- Dalej jestem głodna.

Daisy Whitstable oparła się na ławce i wytarła usta z czekolady. Miała brudne ubranie i chociaż drzwi były zamknięte, drżała w przejmującym zimnie. Od momentu porwania nie jadła nic oprócz lodów. Mokre cegły łuku nabrały bardziej złowieszczyego wyglądu, odkąd akumulator furgonetki się wyczerpał i jej światła zgasły. W murze umieszczono neonówkę, która rzucała w sam raz tyle światła, żeby trzymać z dala robaki.

Daisy była odporna, ale opuściła ją pewność siebie. Nie wiedziała już, czy jest dzień, czy noc. Jej kostki były luźno związane nylonowym sznurkiem i miała dosyć szorowania kolanami po szorstkiej betonowej podłodze. Już nawet nie płakała. Łzy tylko bardziej denerwowały jej porywacza.

- Nie ma czegoś, co nie byłoby lodami? - Spojrzała w jego kierunku i ucieszyła się, w pierwszej chwili go nie widząc. Był tam jednak. Zawsze tam był, wśród baniek na olej i zwojów liny, przycupnięty w najciemniejszym kącie, z głową na kolanach. Kiedy podchodził, starała się odsunąć, mimo że nie okazywał

chęci uczynienia jej krzywdy. Cały czas zastanawiała się, dlaczego mama i tata nie przychodzą i nie zabierają jej do domu. Może miała być ukarana? Może już nigdy nie zobaczy ich ani brata? Wbrew woli zaczęła kwilić.

Porywacz wstał powoli. Usiłowała powstrzymać łzy, ale było już za późno. Szedł w jej kierunku i pewnie pchnie ją w kąt ławki, jak już to zrobił przedtem.

A w każdym razie tak myślała do momentu, gdy zobaczyła, że tym razem w ręce trzyma zakrzywiony nóż.

Twarz Maggie Armitage wydawała się stworzona do uśmiechu. Działała kojąco na klientów, jej oczy zamieniały się w dwa półksiężycy i gładziła ich po rękach, kiedy napełniała ich serca wiarą. To była najważniejsza spośród jej cech, ponieważ jako szefowa zgromadzenia czarownic Camden Town była często posłańcem przynoszącym złe wieści.

W każdy poniedziałek wieczorem spotykała się z sześcioma pozostałymi członkiniami sekty w mrocznym mieszkaniu nad pubem World's End naprzeciwko stacji metra Camden Town, usiłując być swego rodzaju balsamem na rany miasta. Zło nie mogło być całkowicie powstrzymane, ale przynajmniej ofiary otrzymywały pomoc, a nawet, jeśli to możliwe, były zawczasu ostrzegane.

John będzie wściekły, kiedy odkryje, że zgodziłem się na to spotkanie, pomyślał Bryant. May nie wierzył w jasnowidztwo, na szczęście jednak on - Bryant - był człowiekiem o otwartym umyśle. W przeszłości informacje podawane przez wesołą białą wiedźmę sprawdzały się i pomogły zamknąć wiele ciągnących się przez lata śledztw. Nie, żeby doceniła to wszystko policja londyńska, która traktowała jasnowidztwo i białą magię z taką samą nieufnością, z jaką lekarze podchodzą do medycyny alternatywnej. „News of the World” zbyt wiele razy zamieszczał informacje o sabatach czarownic, które okazywały się potem wyssane z palca. W późniejszych latach miały zastąpić je artykuły o wybrzykach seksualnych sławnych i bogatych, ale na razie czytelnicy znajdowali na łamach pisma fotografie nagich kobiet drepczących wokół ogniska.

Bryant rozglądał się po Victoria and Albert Museum, zastanawiając się, czemu Maggie poprosiła go o spotkanie właśnie tutaj, w tym mrocznym gmachu

z marmuru i kamienia. Odwrócił się i zobaczył ją idącą szybko pomiędzy oszklonymi gablotami. Miała na sobie tyle dyndających plastikowych ozdób, że wystarczyłyby ich na przybranie małej choinki.

- Mój drogi, świetnie wyglądasz! - wykrzyknęła, sprawiając, że kilkoro spośród zwiedzających odwróciło się i spojrzało na nią z dezaprobatą. - Przepraszam, że cię tutaj ścigałam, ale jestem z Maureen, a nie chcę spuszczać jej z oczu. W przyszłym tygodniu zdaje egzamin z brytyjskich obrzędów pogańskich i obiecałam jej pomoc w gromadzeniu informacji, ale jest kleptomanką i ma tendencję do otwierania cudzych torebek, kiedy nie patrzę. Zanim się spozstrzeżesz, gotowa wsunąć pod sweter łyżki do zupy Aleistera Crowleya.

Bryant uśmiechnął się jowialnie, czując, że udziela mu się jej radosny nastrój.

- Więc jesteś tutaj ze względu na zapomniane obrzędy? - zapytał.

- Właściwie byłam w sklepie z pamiątkami, podziwiając naczynia żaroodporne, ale jestem na diecie, więc nie ma o czym mówić. Maureen broni pracę o Dion Fortune - zawsze wydaje mi się, że to brzmi jak nazwisko piosenkarki z lat pięćdziesiątych - i ostatnio rozwinęła zwyczaj wpadania w trans, więc potrzebuje kogoś, kto będzie miał na nią baczenie, zwłaszcza kiedy jedzie na skuterze. Wydaje mi się, że miałeś okazję ją poznać.

- Pamiętam tylko, że kilka lat temu poznałem bardzo ładną Jamajkę.

- Och, Katherina ciągle jest z nami, ale na imię ma teraz Freya i nie rozmawia z nikim, kto nie uznaje jej boga Odyna. Jej mąż nie jest z tego za bardzo zadowolony. - Maggie przerwała dla nabrania oddechu i założyła okulary. Jej oczy wpatrzyły się w Bryanta zza plastikowych oprawek. - Chciałam porozmawiać z tobą zaraz po tym, jak się to stało. Mamy numerologa o imieniu Nigel. Jest bardzo dobry w teorii chaosu, co się wiąże z tym, że jego umiejętności matematyczne są beznadziejne, i w tej chwili ma świra na punkcie siódemek. Siódemki są wszędzie i wszystkie mają z tobą związek. A raczej z twoim śledztwem. Chodź ze mną.

Poprowadziła go pomiędzy przeszklonymi gablotami z wiktoriańskimi wachlarzami, laskami, kartami do gry i tabakierami, podczas gdy ponad nimi wieczorny deszcz bębnił jednostajnie o świetliki.

- Bardzo niewielu ludzi zapuszcza się do tej części muzeum - wyjaśniła, skręcając w korytarz, który był oddzielony od głównego piętra. - Chciałabym ci coś pokazać.

Lampy na górze były tu rzadsze, a wielobarwny sweter okultystki błyszczał jak łuski ryby, kiedy szła pomiędzy kręgami światła.

- Oczywiście śledzimy tę sprawę w gazetach i dzięki temu wykryliśmy pewien związek. Nigel przypomniał sobie, że czytał wiktoriański tekst o mocach światła i ciemności.

Na końcu korytarza czerwona lina zagradzała drogę na pogrążone w mroku schody. Maggie zdjęła haczyk i skinęła na Bryanta. Wcisnęła kontakt z boku i na dole zapaliło się przyćmione światło.

- Dokumenty przechowywane tutaj są niesamowicie wrażliwe na światło - wyjaśniła, kiedy zaczęli schodzić. - Nasza grupa ma do nich dostęp, chociaż nie mogą już przynosić ze sobą zupy jarzynowej po nieszczęśliwym wypadku z Necronomiconem. Nigel sprawdzał pewne dane, kiedy wpadł na trop siódemek. Wiesz w ogóle cokolwiek na temat mocy liczb? - Dotarli do stóp schodów. Spojrzała na niego. Jej oczy skryte w cieniu już nie były tak wesołe.

Zatrzymała się, by wpisać się do książki gości, po czym zaczęli chodzić pomiędzy słabo oświetlonymi gablotami, sprawdzając ich zawartość.

- Siedem to szczególna liczba. Przecina historię jak szerokość geograficzna, zawsze pojawiając się w czasach wielkich wstrząsów. Jest schizofreniczna, ma Janusowe oblicze, często reprezentuje zarówno dobro, jak i zło. W dziejach świata było wiele splamionych krwią siódemek: na przykład bitwa siedmiodniowa generała Lee w czasie wojny secesyjnej czy bitwa pod Siedmioma Dębami. Była też wojna siedmiotygodniowa między Austrią i Prusami w 1866 roku i, oczywiście, wojna siedmioletnia, która objęła prawie całą Europę w 1750 roku. Są też inne siódemki, takie jak skala siedmionutowa, siedem wzgórz Rzymu, siedem dni tygodnia, siedem lat chudych. A także mnóstwo legendarnych siódemek: siedmiu przeciw Tebom, siedmiu mędrców z lasu bambusowego, siedmiu świętych założycieli, siedmiu bogów szczęścia, siedem cudów świata, siedem złotych miast, siedmiu mędrców z indyjskich mitów i siedmiu śpiących braci z Efezu, którzy obudzili się po dwustu latach...

- Chyba rozumiem - przerwał jej Bryant. - Ale co to ma wspólnego z zabójstwami Whitstable'ów?

- Wszystko to, o czym mówiłam do tej pory, nie wiązało się z nimi bezpośrednio, ciekawa jednak jestem, co powiesz na to. - Zatrzymała się przed ostatnią gablotą i odkurzyła jej szybę rękawem. Bryant dołączył do niej. Ujrzał kilka nadpalonych stron wiktoriańskiej broszury cechu. Kartki były ozdobione złotymi listkami, co zapewne stanowiło hołd dla złotników, którym cech zegarmistrzów zawdzięczał tak wiele. Akwarelowe ilustracje mocno wyblakły, jednak fotografia pośrodku nadal była dość wyraźna.

Przedstawiała ponurego mężczyznę z błyszczącymi, groźnymi oczami, bokobrodami i krzaczastymi brwiami, stojącego pośrodku pokoju. Po obu jego bokach siedziało trzech mężczyzn. Każda z postaci została podpisana odręcznym pismem.

Bryant włożył okulary i pochylił się nad gablotą. Zmroziło go, kiedy odczytał napisy: Arathron, Bethor, Phaleg, Hagith, Ophiel, Phul. Ponury mężczyzna pośrodku podpisan był: Och.

- To imiona Siedmiu Sług Niebios - powiedziała Maggie, stukając w szybę gabloty pomalowanym paznokciem. - Bóg rządzi światem za ich pośrednictwem. Są również znani jako duchy olimpijskie i mogą być wywołani przez czarnoksiężników. Każdy ma przyporządkowany określony dzień tygodnia, podobnie jak konkretną planetę w Układzie Słonecznym. Postać pośrodku, ten wysoki mężczyzna, to Pan Słońca, Przynoszący Światło. Zastanawiałam się, czy natrafiłeś już na jego trop podczas swojego śledztwa.

- Och, Maggie - westchnął Bryant, przecierając okulary - zdecydowanie tak. Nie dalej jak wczoraj widziałem jego zdjęcie. Co on tutaj robi?

- Wydaje mi się, że ci starannie ubrani wiktoriańscy dżentelmeni należą do jakiegoś towarzystwa, nie sądzisz? - Okultystka uśmiechnęła się smutno. - Popatrz na te tajemnicze przyrządy na stole. Fotografia nie jest datowana, ale podejrzewam, że została zrobiona w roku 1870, może trochę później. Nie sposób ustalić personaliów tych dżentelmenów, z wyjątkiem jednego. - Jej palec powędrował do postaci pośrodku, a potem do napisu: James Makepeace Whitstable. - Wiktorianie mieli upodobanie do dziwnych sekt i ruchów - wyjaśniła - ale Słudzy Niebios to starożytny i bardzo potężny system religijny związany

z tajemną mocą ciemności i światła. Noc i dzień, dobro i zło, utrzymywane w idealnej równowadze.

- Przypuszczam, że ta sekta już nie istnieje?

- I to od wieków, choć wygląda na to, że przodkowie waszych ofiar usiłowali przywrócić ją do życia. Ponieważ w dzisiejszych czasach mało kto słyszał o Siedmiu Sługach Niebios, sądzę, że nie udało im się zgromadzić zbyt wielu wyznawców.

- Może ta sekta wcale tak do końca nie zniknęła - wyszeptał Bryant. - Może po prostu aż do tej pory była uspiwna.

- Też już o tym myślałam - powiedziała Maggie, odwracając się od gabloty.

- Jak na alternatywny system religijny, akurat ten działał na naprawdę dużą skalę. Niektóre towarzystwa miały zwyczaj wznawiać działalność, gdy istniały ku temu warunki. Ich wzrost i upadek odbywały się w regularnych cyklach.

- Jak długo taki cykl może trwać?

- To może być dowolny okres, aż do stu lat. W sumie najczęstsze są właśnie cykle stuletnie.

Nagle Bryant przypomniał sobie obraz Waterhouse'a. Na *The Favourites of the Emperor Honorius* znajdowało się siedmiu mężczyzn.

Ponownie zajął się gablotą, w umyśle nakładając obraz na fotografię. W pomieszczeniu zrobiło się nagle zimno. Zadrżał.

- Sto lat - wyszeptał. - To oznacza, że James Whitstable powinien powrócić w latach siedemdziesiątych.

- To bardzo potężna siła - powiedziała Maggie. - Wygląda na to, że wasze kłopoty dopiero się zaczynają.

Posterunkowy Steven Burrige ponownie rozważał swą decyzję wstąpienia w szeregi policji londyńskiej. Jego tyczkowate ciało było zdrętwiałe i zmarznęte, a lodowaty deszcz zaczynał przeciekać przez czapkę. Miał nocny obchód: ponury i przygnębiający. Trudno sobie wyobrazić mniej świąteczną atmosferę.

Bądź spostrzegawczy, zawsze mu mówili, nie trać czujności. Tu jednak, pod wiaduktami Embankment, nie trzeba wcale było być czujnym. Co najwyżej od czasu do czasu spotkało się jakiegoś włóczęgę. Nic dziwnego, że nazywają nas krawężnikami, pomyślał, wlokąc się ciężko przez tunel, by wynurzyć się

niedaleko Mermaid Theatre. A będzie jeszcze gorzej: premier przegrał walkę ze związkami zawodowymi i Burridge niedługo będzie przemierzał ulice w całkowitej ciemności.

Cienkie, odbijające się echem zawroźnienie wyrwało go z zamyślenia. Płacz dobiegał z tunelu, który miał za plecami. Odwrócił się i stanął w wejściu, rozglądając się. Ten dźwięk przypominał miauczenie kota. Może zwierzę ugrzęzło we wnęce mokrej ściany?

Posterunkowy zatrzymał się i zaczął nadśłuchiwać. Nagle płacz zaczął się od nowa, przybierając na sile. Zmrużył oczy i wpatrzył się w mrok. Wydawało mu się, że obok sterty mokrych szmat widzi przemoczonego kota.

Kiedy wszedł do tunelu, kot uciekł, i ujrzał, że to, co wziął za szmaty, w istocie było małym ciałkiem.

Posterunkowy Burridge otoczył ramionami dziecko i uniósł je. Czyżby od-tąd miał być znany jako policjant, który znalazł Daisy Whitstable? Przycisnął ucho do dziecięcej piersi i usłyszał słabe bicie serca. Zawinąwszy dziewczynkę w kurtkę, wezwał przez radiotelefon karetkę, modląc się, by przybyła na czas.

26 OPĘTANA

Na Mornington Crescent rozpętało się piekło.

Dziennikarze czyhali tuż za progiem, telefony się urywały. Wszystkie gazety chciały znać jak najwięcej szczegółów szczęśliwego odnalezienia Daisy Whitstable. Powiadomiono rodziców dziecka i Isobel Whitstable musiała skorzystać z pomocy lekarza. Była jedenasta rano. Bryant jeszcze się nie pojawił, zostawiając swego współpracownika sam na sam z gniewem ich szefa.

- Gdzie ona była cały ten czas? Miała suche ubranie. Gdzie ten świr ją trzymał? Nic jej nie jest, nie licząc ogólnego osłabienia, ale nie pozwolą nam porozmawiać z nią przynajmniej przez najbliższą dobę. - Raymond Land opadł bez życia na sofę i zapalił kolejnego player's special. W ciągu ostatnich kilku minut jego twarz pokryła się czerwonymi plamami. May zastanawiał się, czy ich szef nie dostanie przypadkiem ataku serca, ale w miarę, jak się uspokajał, plamy znikaly jedna po drugiej. - Dlaczego w ogóle ją porwał? Porwania

dzieci mają zwykle motyw seksualny. To w ogóle nie ma sensu. Rozumiesz, w jakim świetle to wszystko nas stawia?

- Nie możemy nic zakładać, dopóki nie dostaniemy wyników badań jej ubrania - powiedział May.

- Czy mamy jakieś informacje o furgonetce z lodami?

- Wygląda na to, że zniknęła z powierzchni ziemi. Przeszukujemy wszystkie dzierżawione garaże i magazyny w Londynie.

- Czy bierzecie pod uwagę, że to porwanie może nie mieć nic wspólnego z wcześniejszymi morderstwami? - zapytał Land.

- To raczej mało prawdopodobne. Porwanie Daisy musi być z tym wszystkim powiązane. Jej suche ubranie sugeruje, że porzucono ją w tunelu, żeby została odnaleziona żywa. - May odsunął się, by uniknąć spotkania z kłębam dymu, które wydobyły się z nozdrzy Landa.

- Od dwóch dni nie dostałem od was niczego nowego - wypomniał mu szef.

- Zamiast konstruktywnych raportów otrzymałem tylko litanię skarg, najpierw od Whitstable'ów na waszą nieżyczliwą postawę i brak postępów w śledztwie, a potem od tego marudnego neptka, który jest podsekretarzem stanu w ministerstwie sztuki i chce, żebyśmy wrzucili tę sprawę do teczki z napisem „rozwiązane”. - Zaciągnął się tak mocno papierosem, że ten aż zaskwierczał. - Gotowi rzucić nas na pożarcie lwom, zdajesz sobie z tego sprawę? To będzie koniec naszych karier. Z MSW dzwonili do mnie dwa razy w ciągu ostatniej godziny. Muszę się przed nimi ukryć. Naprawdę nie masz nic, co mógłbym im sprzedać?

May widział już taki stan u Raymonda, stan pełen paniki i napięcia. To mogło tylko przynieść jeszcze więcej kłopotów. Błagał o coś, czym zatka buzie dziennikarzom, ale jak mogli mu pomóc? Nie mieli nic, co można by uznać za konkretny dowód.

Wczoraj po południu Bryant niepewnie opisał mu swoje odkrycie. May wyobrażał sobie, jak zareagowałby Land na wiadomość, że ich jedynym podejrzanym jest człowiek, który nie żyje od prawie stu lat.

- Cholerny ziąb na dworze - powiedział Bryant, nagle pojawiając się za swoim przełożonym. - Cześć, Raymond, co ci wszyscy barbarzyńcy robią u bram Rzymu?

- Co takiego? - zapytał Land, kompletnie zaskoczony.

- No wiesz, reporterzy kryminalni. - Bryant machnął ręką w kierunku okna.
- Są wszędzie, terroryzują taksówkarzy i rozpełzają się po całym terenie, wrzeszcząc wniebogłosy.

- Znalaziono Daisy, Arthurze - poinformował go May. - Żyje. Zawieźli ją wczoraj wieczorem do St. Thomas'. - Przeczytał na głos wstępne orzeczenie lekarza z izby przyjęć. Bryant wysłuchał go w milczeniu, po czym usiadł za biurkiem.

- To co, dostanę w końcu coś od was? - upomniał się Land. - Cokolwiek powiem pismakom, nie będzie to gorsze od tego, co sami są w stanie wymyślić. Nie mogą ich wiecznie zbywać.

- Już trochę za późno, żeby się tym martwić - odrzekł Bryant. - Zarzucają nam niekompetencję od dwóch tygodni. Przypuszczam, że John już opowiedział ci o naszym nowym tropie.

- Wyjaśniłem mu, że rozpoczęliśmy nowy etap śledztwa - odparł May, dając znak Bryantowi, żeby nic nie mówił - ale nie jesteśmy jeszcze gotowi, żeby go zaprezentować.

- Jaki znów nowy etap śledztwa? - zapytał Land, zbity z tropu. - Jeśli trzymacie coś przede mną w tajemnicy... - Właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i do gabinetu weszło dwóch robotników z puszkami i wiadrami. Land odwrócił się i spojrzał na nich. - Ożeż w mordę, musicie się tu cały czas kręcić?

- Musimy, jeśli chcecie, żebyśmy dokończyli robotę - odparł starszy z mężczyzn. - W piątek przerywamy na dziesięć dni. Święta idą, kolego. Masz pan pojęcie, ile warstw farby musimy jeszcze zedrzeć, żeby się wziąć do malowania?

- No nie, jak pragnę zdrowia... - zachnął się Land, gasząc papierosa i wstając.

- Przynajmniej robimy dobry użytek z naszego czasu - powiedział młodszy malarz. - Zostawiacie klasie robotniczej najbardziej gównianą robotę.

- Zgadza się - przytaknął jego kompan. - Spróbujcie złapać kilku przestępców, zamiast upominać podatników, gdzie nie można parkować.

- Nie mogę już dłużej zwlekać z raportem dla MSW. Powiem im, że śledztwo zostanie zamknięte do końca tygodnia - oświadczył Land, nie bacząc, że mówiąc to w obecności robotników, zdradza tajemnicę służbową. - I powiem to samo prasie, jeśli będę musiał.

- Dlaczego nie przedstawisz im hipotetycznego przebiegu zdarzeń? - zapytał May. - Zarzuć ich masą faktów, liczb i dat, pozwalając, żeby wyciągnęły z nich własne wnioski. Nikt na tym nie ucierpi. Kto wie, może nawet będą w stanie nam pomóc.

- Niezły pomysł - przyznał Land, nieco udobruchany. - Lepiej jednak będzie, jeśli to wy z nimi pogadacie. Przynajmniej możecie wyjść z jakimś wiarygodnym wyjaśnieniem, jak cały ten bajzel powstał. Musimy ich zapewnić, że to, co wywołało te ataki, jest już ostatecznie skończone.

- Zamierza zamieść wszystkie śmieci pod dywan - stwierdził Bryant po wyjściu Landa. - Gra na zwłokę. - Rozwinął szal i rzucił go na fotel. - Cztery morderstwa i porwanie, a jego nic nie obchodzi dotarcie do prawdy. Chodzi tylko o to, żeby miał święty spokój.

- Panikuje, bo ktoś go naciska, żeby ukrećić tę całą sprawę - powiedział May. To zrozumiałe, że porwanie dziecka było sprawą budzącą silne emocje i media będą chciały wycisnąć z niej tyle, ile się tylko da. Do dziś najgłośniejszą sprawą grudnia było to, że dom towarowy Bourne and Hollingsworth poczynił zapasy świeczek i lamp naftowych, przygotowując się na przerwy w dostawie energii elektrycznej spowodowane strajkiem.

- To próba zatuszowania faktów przez rząd, co nie? - zapytał jeden z robotników, włączając lampę lutowniczą. - To jasne jak słońce. Tak samo było z Kubą Rozpruwaczem.

- Dziękujemy, Sherlocku - odrzekł Bryant, lustrując bałagan za swoim biurkiem. Połowa gabinetu była teraz w szpitalnobiałej farbie, którą robotnicy zeszkrobali z pomarańczowej tapety z lat trzydziestych.

- To pomieszczenie zaczyna mi działać na nerwy - stwierdził May, rzucając Bryantowi kapelusz. - Idziemy.

- Ale dopiero co przyszedłem - zaprotestował przyjaciel. - Na dworze jest gęsta mgła.

- Tutaj jest nie lepiej - odparł May, mając na myśli kłęby dymu papierosowego, które zostawił po sobie Land. - Chodź. Postawię ci piwo.

- Jest o wiele za wcześnie jak dla mnie.

- Musimy porozmawiać w miejscu, w którym nikt nas nie znajdzie.

Pub Nun and Broken Compass okazał się na szczęście opustoszały. Jedyne obrzydliwy pies, który leżał przy kominku, zaprzestał na chwilę niecnego

procederu wydrapywania kępek sierści z uszu, by na nich spojrzeć.

- Dwa dni na dokonanie przełomu w śledztwie - powiedział May, przynosząc z baru dwa piwa bishop's finger. - Czterdzieści osiem godzin. Szanse na rozwiązanie tej zagadki w tym czasie są prawie żadne. Miasto jest już do połowy puste. Czy znalazłeś coś jeszcze na temat stowarzyszenia Jamesa Whitstable'a? - Pierwszym zadaniem Bryanta tego ranka miały być dalsze poszukiwania dotyczące Przymierza Światłości Wiekuistej.

- Tylko to, że jego rodzina zaprzecza, jakoby cokolwiek wiedziała o jego działalności - odrzekł Bryant, rozkoszując się pierwszym łykiem piwa. - W latach dwudziestych spisano jego biografię, ale British Library nie ma tego na stanie, więc Janice szuka w prywatnych kolekcjach.

- Wszystko w tej sprawie jest postawione na głowie - stwierdził May. - Wyliminowaliśmy wszystkich podejrzanych i zostało nam tylko grzebanie w przeszłości. Żadna z tradycyjnych metod śledczych nie przyniosła efektu, a na wszystkie dowody natrafiamy przypadkiem.

Ledwo wypowiedział te słowa, a drzwi otworzyły się i w pubie pojawiła się sierżant Longbright.

- A, tu pan jest - powiedziała do Bryanta, oddychając z ulgą. - Dzwonił pan na przyjaciela Summerfield. Chce się pilnie z panem spotkać. Podobno coś odkrył.

Triumph 250 zatrzymał się pod przemokniętym drzewem. Joseph zsiadł z tyłu siodełka i zaczął masować sobie pośladki, podczas gdy Sam kopnęła nóżkę motoru. Udało jej się pożyczyć ten motocykl od kolegi.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - powiedział Joseph, wpuszczając sweter w dzinsy. - Co zamierzasz powiedzieć, kiedy otworzy drzwi?

- Nie wiem. Coś wymyślę. Mogę cię przedstawić jako fotografa, który ze mną pracuje. Ona jest jedynym tropem, jaki mam, i z pewnością wie więcej, niż mi dotąd powiedziała. - Nie było sensu mówić Josephowi, że to beznaziejny pomysł, aby jej towarzyszył; nie podzielał i nie rozumiał jej obsesji na punkcie tych morderstw. Ale nie mógł zostać i patrzeć, jak wpędza się w jeszcze większe kłopoty.

Sam spojrzała na zegarek. Prawie wpół do dziesiątej wieczorem. Ulica za nimi była ciemna i cicha. W domu Peggy Harmsworth paliły się światła, ale

nie mieli żadnego dowodu, że kobieta jest w ogóle w domu.

- Nie mam pojęcia, jak zamierzasz wydobyć z niej więcej informacji bez wzbudzania podejrzeń. Nikt nie odbywa spotkań zawodowych o tej porze. - Joseph naciągnął rękawy swojej skórzanej kurtki na ręce. Gałęzie nad ich głowami pokrywał szron. To nie był wieczór do pozostawiania na dworze. Skryta za szafranowymi aureolami latarni ulicznych Holly Lodge Estate nabierała nierealności planu filmowego.

- Albo zapukaj do drzwi, albo wróć do domu - powiedział w końcu. - Zdecyduj się na coś. Krew mi w żyłach zamarza. - Patrzył, jak dziewczyna, zgrzytając zębami, spogląda na dom leżący za skrzącym się trawnikiem. - Może jednak powinienem tam z tobą pójść.

- Nie, poradzę sobie sama. - Zacisnęła pięści.

- Jak chcesz. Co zamierzasz zrobić, kiedy zaczniesz coś podejrzewać? Dać jej po łbie? Czynna napaść. Świetnie.

Już mu miała odpowiedzieć, kiedy, ku ich zaskoczeniu, drzwi frontowe się otworzyły. Peggy Harmsworth stanęła w nich, spojrzała na zegarek, po czym wyszła przed dom w długim futrze z nerek i chustce na głowie. Skryli się za drzewami, patrząc, jak starsza pani się oddala.

- Wskakuj na motor - polecił Joseph. - Możemy jechać za nią z wyłączonym silnikiem. - Kopnął nóżkę i wsiedli na triumph, wyjeżdżając cicho na drogę. Pani Harmsworth doszła zdecydowanym krokiem do końca ulicy, po czym skręciła w zasnutą grubą mgłą ślepa uliczkę.

- Nie może stamtąd wyjść - wyszeptał Joseph.

- Może odwiedza sąsiadów.

Kiedy dotarła do końca uliczki, weszła pomiędzy dwa wysokie pseudotudorowskie budynki mieszkalne i zniknęła im z oczu.

- Cholera jasna, tam jest alejka. - Joseph pchał motor po asfalcie. Po kilkuset jardach alejka zaczynała piąć się na wzgórze. Po drugiej stronie wznosiła się stalowa brama cmentarza Highgate.

- Dokąd ona lezie? - Joseph zatrzymał motocykl. Pani Harmsworth szcęknięła kłódką i weszła przez furtkę obok głównego wejścia. - Kurczę, ma swoje klucze.

Kłódką została zamknięta i postać w futrze z nerek raz jeszcze rozplynęła się we mgle.

- Zgubimy ją, jeśli się nie pospieszymy - powiedziała Sam, pomagając Josephowi oprzeć motor o drzewo. Schowała w kieszeni kluczyk do stacyjki i skierowała się w stronę wejścia.

- Zaczekaj - powstrzymał ją chłopak. Zgodził się wraz z Sam zadać tej kobiecie kilka pytań, a nie śledzić ją na cmentarzu. - Nie uda nam się tam wejść, a nawet gdyby się udało...

Było już jednak za późno. Sam zaczynała wspinać się po bramie. Nie pozostawało mu nic innego, jak pójść w jej ślady.

Buty na wysokich obcasach stukały o beton, kiedy postać w futrze szła we mgle. Podążali za nią na tyle blisko, na ile tylko się odważyli, zostawiając za sobą wejście na cmentarz. Główna aleja była oświetlona, by odstraszyć zażywających narkotyki hipisów, ale światło ledwo docierało do ziemi.

Pani Harmsworth z pewnością wiedziała, dokąd idzie. Skręciła w mniejszą alejkę, która biegła do góry, przez mniej dostępną część cmentarza. Sam i Joseph ledwo za nią nadążali. Tutaj nowe groby wyznaczały drogę do starych grobowców rodzinnych.

Mimo ogólnej atmosfery zaniedbania na kilku pomnikach leżały świeże wieńce. Sam widziała na wpół zniszczone, wykute w kamieniu epitafia z modnymi w czasach wiktoriańskich imionami i komunałami w stylu „powiększyły grono aniołków” na grobach dzieci i „opuścił ten padół łez” - na grobach dorosłych, zupełnie jakby śmierć była zaszczytem. Wyczuwała, że kryło się za tym życie pełne znoju spędzane na oczekiwaniu na przyjęcie do Królestwa Bożego. Widziała rozpadające się pomniki będące w jakiejś mierze odzwierciedleniem wiktoriańskiego wyobrażenia życia wiecznego. I patrzyła, jak Peggy Harmsworth zatrzymuje się przed pokrytym bluszczem pseudogreckim ogromnym grobowcem.

Sam schowała się za nagrobek. Widząc to, Joseph uczynił to samo. Pani Harmsworth zeszała po kilku kamiennych schodkach i wyjęła kolejny klucz, by otworzyć nim drzwi, w których tkwił standardowy zamek yale. Weszła do środka, pozostawiając drzwi uchylone. Sam odwróciła się do Josepha i wyszeptwała:

- Co teraz?

- Czekamy - odszepnął.

Zimno przenikało ich do szpiku kości. Krople deszczu powlekły kożuszek Sam szronem. W oddali na wzgórzu wjeżdżała ciężarówka, warkot silnika

zakłócał ciszę. Dziewczyna wyciągnęła szyję. Za uchylonymi drzwiami grobowca widać było światło.

- Co ona tam może robić? - wyszeptał Joseph. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask gałązki pod butem. Popatrzyli po sobie i z powrotem skryli się za nagrobkami. Obok grobowca pojawiła się jakaś postać, poruszający się z kocią zwinnością mężczyzna w brązowym miękkim kapeluszu i znoszonym szynelu. Kiedy zatrzymał się przed drzwiami, Sam spojrzała zmieszana na swojego towarzysza.

Po odczekaniu kilku chwil mężczyzna wślizgnął się do środka. Cierpliwość Sam wyczerpała się.

- To ten człowiek - powiedziała, pokazując przed siebie. - Ten, który napadł mnie w teatrze. A przynajmniej tak mi się wydaje. - Nagle ogarnęły ją wątpliwości.

- Więc w końcu jak: to on czy nie?

- Jest podobny, ale o wiele wyższy.

- Świetnie - prychnął Joseph. - Morderca, który zmienia wzrost. W sumie, czemu nie? - Wstał, zirytowany. - Dlaczego nie dodasz tego do reszty? Dodaj to do wybuchów i otruc. A tak nawiasem mówiąc, z tobą też jest coś dziwnego. Jeśli tak panicznie boisz się ciemności, to co my, do jasnej cholery, robimy w nocy na cmentarzu?

Zanim zdążyła wymyślić odpowiedź, rozległ się gardłowy jęk, po czym drzwi grobowca się otworzyły i pojawił się w nich mężczyzna. Za nim widać było Peggy Harmsworth, która leżała na posadzce grobowca. Mężczyzna rzucił się do ucieczki. Sam pobiegła za nim, a Joseph zbiegł po schodkach do grobowca.

Mężczyzna wyrzucił po drodze jakiś błyszczący przedmiot. Sam biegnąc co sił w nogach, nie mogła go jednak dogonić. Przemierzał szybko śliską trawę pomiędzy nagrobkami, a poły płaszcza furkotały za nim. Przez chwilę tunel drzew i uciekająca ciemna postać przypominały Sam jej koszmary senne i potknęła się, uderzając biodrem o płytę nagrobka.

Zanim się pozbierała i rzuciła z powrotem w pościg, mężczyzna zdążył już prawie dobiec do głównego wejścia. Wypadła na aleję i utykając, dobiegła do wejścia dokładnie w chwili, gdy mężczyzna jednym kopnięciem otworzył furtkę, przez którą weszła Peggy Harmsworth.

Sam czuła, że uda zaczynają ją już boleć. Postać przed nią wybiegła na drogę, po czym wsiadła do małej białej furgonetki zaparkowanej na poboczu. Kilka chwil później Sam dotarła do triumpha, z wysiłkiem wsiadła na niego i włożyła kluczyk do stacyjki.

Furgonetka zjeżdżała ze wzgórza z piskiem opon. Sam ruszyła za nią, usiłując myśleć racjonalnie. Mimo że już przedtem pożyczła motor, nigdy nie jeździła tak szybko. Starła się utrzymać furgonetkę w zasięgu wzroku, ale mgła była coraz gęstsza.

Furgonetka i motocykl przemknęły przez jedno skrzyżowanie, potem drugie. Ulice były puste. Przez dobrą chwilę żaden inny pojazd nie pojawił się na ich drodze. Potem furgonetka skręciła w prawo tak raptownie, że wydawało się, że się przewróci, i przejechała tuż przed nadjeżdżającym z drugiej strony autobusem.

Sam wpadła w poślizg i wjechała na chodnik, ale po chwili przyspieszyła. Furgonetka i motocykl pomknęły Dartmouth Park Road i dalej w stronę centrum.

Usiłowała wyprzedzić furgonetkę, zamierzając zmusić ją do zatrzymania się, ale wysepki i mrugające żółte światła robót drogowych powstrzymały ją przed tym. Uciekający wciąż przyspieszał, jadąc w kierunku Kentish Town.

Sam wiedziała, że musi zajechać furgonetce drogę. Dodała gazu, modląc się, by opony utrzymały się na błyszczącej jezdni.

W następnej chwili zrównała się z samochodem. I wtedy kierowca otworzył okno i wystawił rękę zaciśniętą na jakimś przedmiocie. Gdy tylko zdała sobie sprawę, że to pistolet, zwolniła i wróciła za furgonetkę. Koła jej motoru ślizgały się na asfalcie.

Wjechali na Kentish Town Road z prędkością siedemdziesięciu siedmiu mil na godzinę. Nadjeżdżające z przeciwka wolseley i ford cortina zostały odepchnięte na bok, kiedy furgonetka wyłoniła się z mgły, uderzając w przedni zderzak pierwszego samochodu i stawiając go na drodze drugiego. Ścigany przez Sam pojazd odbił w prawo, skręcając w jedną z uliczek i jadąc w kierunku czerwono-zielonych świątecznych świateł Camden.

Sam skorzystała z okazji i wyprzedziła go, po czym zaczęła zwalniać, usiłując do tego samego zmusić kierowcę za nią. Kiedy jednak zderzak samochodu

musnął jej błotnik, domyśliła się, że kierowca zamierza ją staranować.

Przechodzący przez ulicę podpici mężczyźni na ich widok rozbiegli się w popłochu. Sam zwolniła i wróciła na swoje miejsce za pędzącym samochodem. Sytuacja wydawała się patowa.

Furgonetka mogła równie dobrze przejechać przez całe miasto. Gdzie, u licha ciężkiego, podziewają się policjanci, kiedy są naprawdę potrzebni? Zwykle pełno ich było na West Endzie w święta. Twarz i ręce Sam były zdrętwiałe, jej palce zgrabiałe, oczy piekły od patrzenia we mgłę. Była zaskoczona, jak dobrze radzi sobie z prowadzeniem motoru, ale wiedziała, że musi się zatrzymać, zanim zabije siebie albo kogoś innego.

Furgonetka zaczęła zwalniać.

Przejechała skrzyżowanie na czerwonym świetle, przecinając Camden High Street i wjeżdżając w Delancey Street. Sam nagle zrozumiała, że kierowca się zgubił. Mężczyzna wyraźnie nie znał tej okolicy.

Wiedziała, że furgonetka musi się w końcu zatrzymać. W tej części północnego Londynu wszystkie ulice były przecinane rozchodzącymi się promienście torami kolejowymi. Trójkątny teren przed nimi był znany miejscowym jako Wyspa, otoczona przez Regent's Park, tory i kanały.

Z następnym piskiem opon przy skręcaniu w lewo zobaczyła, że furgonetka ma kłopoty. Samochody zwykle skręcały tutaj w lewo, żeby włączyć się do ruchu. Kierowca furgonetki zrobił to samo. Wjechali na ulicę z prędkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę i Sam wiedziała, że to już koniec. Na wprost był ceglany mur, garbaty mostek dla pieszych i zbocze opadające do linii kolejowej. Było wszystko z wyjątkiem drogi.

Furgonetka zapiszczała hamulcami. Nadaremnie. Samochód jechał dalej, zarzucając po asfalcie, jakby hamulce w ogóle nie działały. Uderzył w metalowe ogrodzenie obok muru i wyrwał dwa betonowe słupki. Przez chwilę Sam myślała, że siatka ogrodzeniowa go utrzyma. Furgonetka rozerwała ją jednak i zaczęła się zsuwać ze skarpy na tory poniżej.

Dziewczyna zahamowała i zsiadła z motocykla, chcąc pobiec w dół, kiedy na murze przed nią zaświeciły odbite niebieskie światła. Gdy się odwróciła, ujrzała zatrzymujące się obok niej dwa samochody policyjne.

Kiedy Joseph zbiegł do grobowca rodziny Whitstable'ów do Peggy Harmsworth, drzwi zamknęły się za nim i ogarnęła go całkowita ciemność.

Przez chwilę nic nie słyszał i nie widział i zrozumiał nagle, jak musi się czuć Sam w ciemności. A potem usłyszał obok siebie czyjś oddech. Z ostrym śmiechem Peggy wysunęła przed siebie ręce, przejeżdżając paznokciami po jego twarzy. Stracił równowagę i upadł ciężko na posadzkę. A wtedy skoczyła mu na plecy, ciągnęła za włosy, usiłując zatopić palce w jego oczach.

Sięgnął do jej gardła, a przynajmniej tak mu się wydawało, bo zamiast tego uderzył w kamień. Próbując zepchnąć ją z siebie, ruszył w stronę drzwi, ale stracił rozeznanie w przestrzeni.

Zanim zdołał zastanowić się nad tym, co ma robić, znów była na nim, śmiejąc się głośno i zatapiając paznokcie w jego skórze, a zęby w ramieniu, kopiąc go, krzycząc i smagając włosami jak pensjonariuszka szpitala psychiatrycznego.

Kiedy wyrwał się do drzwi, mając na plecach wrzeszczącą wariatkę, wydało mu się, że porzucił świat zdrowych na umyśle na rzecz koszmaru. Upadł boleśnie na kolana, gdy kobieta wczepiła się w niego, krzycząc i wyjąc niczym opętana.

27 WINOWAJCY

- Witamy ponownie, panno Gates - powiedział May ze znużeniem. - Już prawie za panią tęskniliśmy.

Sam rozpaczliwie pragnęła położyć się i zasnąć. Było już po północy, a biodro bolało ją jak diabli. Kilka minut temu dzwoniła do Gwen. Rozmowa z nią szybko przeistoczyła się w awanturę. Ostatnia rzecz jakiej chciała teraz, to przesłuchanie: zarówno to policyjne, jak i rodzicielskie.

- Gdzie Joseph? - zapytała zachrypniętym głosem.

- Twój przyjaciel jest w sąsiednim pokoju - odparł Bryant. - Nic mu nie jest. Moje gratulacje, nieczęsto zdarza nam się widywać cię w towarzystwie żywych.

- Czy mogłabym napić się herbaty? Nie mogę mówić.

May przez chwilę przyglądał się jej podejrzliwie, po czym otworzył drzwi i coś do kogoś powiedział.

- Dodamy ci tam kropelkę czegoś mocniejszego. Tylko dlatego, że są święta. Trzeba być dobrym dla bliźnich. Właśnie wybierałem się do domu, kiedy cię przywieźli. - Wysunął krzesło dla swego współpracownika. - Peggy Harmsworth została napadnięta w grobowcu rodzinnym na cmentarzu Highgate - wyjaśnił. - Nie będziemy mieli z niej wielkiego pożytku.

- Dlaczego?

- Zdaje się, że wzięła rozbrat z rzeczywistością. Musieli położyć ją związaną na noszach, gadała od rzeczy.

- Co ona robiła w grobowcu, na miłość boską?

- Naprawdę nie wiem, ale wiesz co? Ta młoda dama była o krok od zatrzymania napastnika. Na wypadek, gdybyś stracił rachubę: to już trzecie krytyczne doświadczenie z panną Gates jako świadkiem. - May odwrócił się do dziewczyny. - Jeśli kiedyś wyrzucą cię z Savoyu, śmiało możesz się ubiegać o posadę jednego z czterech jeźdźców Apokalipsy. A teraz bądź tak łaskawa i wszystko nam opowiedz, ze wszystkimi drastycznymi szczegółami. Nie musisz się spieszyć.

Sam chciała wyjaśnić, jak ona i Joseph się tam znaleźli, ale żeby to zrobić, musiała wrócić do sprawy szantażowania Kaneto Miyagawy i wycofania się z remontu Savoyu japońskiego konsorcjum, na miejsce którego pojawiło się stowarzyszenie teatralne Peggy Harmsworth. Co znaczyło, że musiała opowiedzieć wszystko, co się jej przydarzyło, włączając w to napaść w teatrze.

W miarę, jak opowiadała, May wydawał się coraz bardziej wściekły, a Bryant kiwał co chwila głową, dając do zrozumienia, że domyślał się tego.

- Więc z premedytacją zatajałaś przed nami ważne informacje - westchnął w pewnej chwili. - Myślałem, że masz więcej rozumu. - Sam z zakłopotaniem piła swoją herbatę z kropelką czegoś mocniejszego.

- Pan Herrick został zupełnie zbity z tropu rozwojem wypadków - powiedział May. - Biedak myślał, że ci pomaga, realizując twoje niewydarzone plany. Zamiast tego spędził większą część nocy zamknięty w grobowcu z wariatką. Całe szczęście, że hałas zwabił mieszkającego na terenie cmentarza stróża. Inaczej tkwiłby tam do teraz.

- Powinniście mi być wdzięczni - oświadczyła Sam z przekonaniem. - Złapałam waszego mordercę. Widziałam, jak uciekał z grobowca chwilę po tym, jak napadł na panią Harmsworth.

- Twoim zdaniem to on zabił Maxa Jacoba? - zapytał May.

- Tak.

- A także Petera, Williama i Bellę Whitstable'ów?

- No tak.

- A co z porwaniem Daisy Whitstable? To również jego sprawka?

- Prawdopodobnie. Sami go zapytajcie.

- I to on napadł cię w teatrze?

- Chyba tak. - Sam zawahała się.

- Nie jesteś pewna.

- No cóż, jest o wiele wyższy, niż zapamiętałam. Inaczej wygląda, chudszy.

- No dobrze - westchnął May, po czym dokończył pić herbatę. - Cieszę się, że jest jakaś luka w twojej argumentacji. Przez chwilę wydawało mi się, że wyjaśniłaś całą sprawę, nad którą biedzimy się od tygodni, i nie pozostaje nam nic innego, jak iść do domu.

Jego sarkastyczny ton zmartwił Sam. To nie było w jego stylu. Obu policjantów oskarżano o niekompetencję i rozmyślne opóźnianie śledztwa. Wyglądali, jakby byli u kresu wytrzymałości.

- Aresztowaliście go, prawda? - zapytała. - Nie puściliście go wolno?

- Właściwie to i tak nie mógłby uciec - odparł May. - Miał złamane obie nogi. Wpadł z furgonetki, kiedy spadała ze skarpy.

- Nie żyje?

- Na to wygląda.

- Czy był członkiem rodziny? - zapytała Sam nerwowo. - Czy był jednym z Whitstable'ów?

- Nie, pochodził z Indii. Zajmował się myciem okien.

- Co takiego?

- Najwyraźniej nie zauważyłaś napisu z boku furgonetki pana Denjhiego. Sam była przerażona.

- To znaczy, że on tego nie zrobił? Ale przecież widziałam go...

- Nie możemy powiedzieć, co zrobił, dopóki nie będziemy znali jego grupy krwi i odcisków palców, a ubranie nie wróci z laboratorium. Mamy tam teraz

małą kolejkę. Ciągle jeszcze jest kilku Whitstable'ów przed nim. Ale nie ma żadnego powodu, by uważać, że w jakikolwiek sposób był powiązany z tymi morderstwami.

- To musiał być on - jęknęła Sam z rozpaczą. - W gazetach pisali, że mężczyzna, który porwał tę dziewczynkę, jeździł białą furgonetką. Widziałam, jak wychodził z grobowca, oboje go widzieliśmy. To nie mógł być nikt inny.

- Czy dobrze mu się przyjrzałaś?

- Nie, niezupełnie. Jego głowa i ramiona byty skryte w cieniu.

- Jednego nie rozumiem - powiedział Bryant. - Co chciałaś osiągnąć, śledząc Peggy Harmsworth? Rozumiem chęć pomocy przyjacielowi w odzyskaniu pracy. Ale czy naprawdę nie było prostszego sposobu, żeby to zrobić? Motocykl nie jest na ciebie zarejestrowany. Czeka cię mandat za niebezpieczną jazdę. Masz ubezpieczenie?

- Nie.

- A prawo jazdy?

- Też nie.

- Po co ja w ogóle pytam. Przecież ty uważasz, że stoisz ponad prawem, prawda?

Sam poruszyła się z zażenowaniem na krześle.

- Ten człowiek próbował mnie zabić.

- Czy ty przypadkiem nie zamierzasz nas wyręczyć? - zapytał Bryant. - Zawsze udaje ci się być we właściwym miejscu i właściwym czasie. To tylko makabryczne zainteresowanie przedmiotem prac policji, czy planujesz złapać sama mordercę?

Sam chciała opisać, jak się czuje, ale wydawało jej się, że w ostrym świetle sali przesłuchań wszelkie wyjaśnienia zabrzmiały głupio. May wpatrzył się w nią.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie, Sam - powiedział, wyczuwając, że coś jest na rzeczy.

- Rodzina. - Potrząsnęła głową, jakby nie mogła zrozumieć tego słowa. - Kiedy ich pan pozna, wszystko pan zrozumie. Gwen śledzi całą sprawę w gazetach. Naprawdę podziwia Whitstable'ów. Firma mojego ojca nawet kiedyś dla nich pracowała. Reprezentują wszystko, do czego moi rodzice aspirują, a ja powinnam być taka jak oni. Whitstable'owie doskonale wiedzą, co się dzieje.

Takie rodziny zawsze wiedzą. Po prostu starają się chronić siebie przed czymś, przed czym nie chcą stanąć twarzą w twarz.

- Jeśli ich zdyskredytujesz, twoi rodzice już ich nie będą szanować - domyślił się May. - Chcą decydować o twojej przyszłości, ale ty nie zamierzasz im na to pozwolić.

Sam nie odpowiedziała. Praca w firmie ojca byłaby ostatecznym potwierdzeniem, że jej trudny charakter został poskromiony. Już słyszała Gwen: Popatrz na moją córkę. Była trudnym dzieckiem, ale teraz prowadzi z nami interesy - przemawia przez nią prawdziwy duch rodziny.

Chciała zobaczyć upadek Whitstable'ów. Gdyby on nastąpił, może w końcu Gwen i Jack by jej zaufali.

Bryant widział wzburzenie dziewczyny i postanowił przejąć pałeczkę.

- Będziesz przesłuchana przez policję londyńską odnośnie do swojego udziału w wypadku, w którym pan Denjhi stracił życie - stwierdził. - To oni zdecydują, co z tobą zrobić, nie my. Możemy jednak ochronić cię do pewnego stopnia, umieszczając pod swoją kuratelą. Tak między nami, zgadzam się z tobą. Też uważam, że Whitstable'owie rozmyślnie ukrywają powód swoich prześladowań. Rodzice Daisy odmówili zgody na jej przesłuchanie. Nikt nie chce z nami otwarcie rozmawiać.

- Mogę zdobyć pewne informacje - zaproponowała Sam, prostując się.

- Wykluczone - odrzekł Bryant.

- Mówił pan, że nie chcą z wami rozmawiać, ale mogą rozmawiać ze mną.

- Do domu, Gates, spać! - zagrzmiał policjant, trąc ze zmęczenia czoło. - Skontaktujemy się z tobą w stosownej chwili. Do tego czasu masz nic nie robić, zrozumiano?

Patrzyli, jak dziewczynę wyprowadzano z sali.

- Włączenie jej do śledztwa może się wiązać z ogromnym ryzykiem - ostrzegł May.

Jego współpracownik machnął tylko ręką.

- Coś mi mówi, że i tak ciągnęłaby tę sprawę.

Nie było mowy o pójściu do domu, skoro ciało mężczyzny, który napadł na Peggy Harmsworth, czekało w kostnicy. Kiedy Bryant podniósł się z krzesła, złapał go skurcz. Nie mógł już pracować tak długo bez przerwy.

- Nie wygląda na to, żeby tej nocy udało nam się położyć spać - stwierdził May.

Bryant otoczył szyję szalem niby pytonem.

- W naszym świecie jedynie niewinni mogą sobie pozwolić na sen. Chodźmy obudzić Oswalda Fincha. Nikt nie może odpoczywać, kiedy ja jestem na nogach. Opowiedz mi o Peggy Harmsworth.

- Umieścili ją na obserwacji w Royal Free Hospital. Zaatakowała załogę karetki i ugryzła jedną z pielęgniarek. Krzyczy i śmieje się, uważając, że może to być efekt działania jakichś środków halucynogennych.

- Przynajmniej ona jedna będzie miała wesołe święta.

- To była naprawdę niesmaczna uwaga, Arthurze. Zaordynowali jej płukanie żołądka. Tego jeszcze w tej całej sprawie trzeba było oprócz morderstw i porwania: wariatki na cmentarzu.

- Zaraz, zaraz... - oczy Bryanta zaśniły nagle radośnie. - Oczywiście! „Jestem wariatka? I to jaka! Ale dlaczego? To zagadka!” - wykrzyknął.

- Niby co to miało być? - wyjąkał zdziwiony May.

- Peggy to inaczej Margaret, prawda?

- No tak. Ale dlaczego pytasz?

- Nie rozumiesz? Ona stała się Szaloną Margaret. Obląkaną kobietą przedzierającą się przez cmentarz w nocy. Postać z *Ruddigore*. Znowu Gilbert i Sullivan.

Kiedy Sam prowadzono korytarzem, zajrzała do następnego gabinetu i zobaczyła Josepha. Leżał na rzędzie krzeseł, zawinięty w gruby szary koc, spod którego wystawały jego wielkie buty. Miał zamknięte oczy, a twarz okoloną koroną włosów. Wyglądał jak Perseusz na obrazie Burne-Jonesa, tyle że był cały podrapany i posiniaczony, a poza tym czarny.

Chciała objąć go i pocałować jego zabandażowaną szyję, wtulić się w niego. Chciała mu powiedzieć rzeczy, których nigdy nie mówiła żadnemu mężczyźnie. Tyle że on pewnie już nie będzie w ogóle chciał z nią rozmawiać. Ściągnęła na niego tylko kłopoty. Nie dała żadnego powodu, żeby ją choćby lubił. Teraz już pewnie było za późno.

Stała przez chwilę w drzwiach, po czym wyszła z policjantem na mroźną ulicę.

28 NAWIEDZENIE

David Balbir Denjhi, dwadzieścia dziewięć lat, pozostawił żonę i trójkę dzieci, zauważyła Janice Longbright, przeglądając akta. On i jego przyszła żona poznali się w Londynie. Oboje wyemigrowali swego czasu z rodzicami do Anglii. David kilka razy był na bakier z prawem. Za pierwszym razem zadarł z inspektorami podatkowymi, za drugim - został oskarżony o paserstwo. To przyciągnęło uwagę władz imigracyjnych, ale udało mu się pozostać w kraju.

Kobieta siedząca przed Longbright wyglądała spokojnie i rozsądnie. Jeśli nawet wcześniej płakała, to nie było tego po niej widać. Pani Denjhi popijała herbatę i siedziała prosto na krześle, czekając na dalsze pytania. Sierżant wiedziała, że jej życie zamieniło się w koszmar, którego kulminacją była identyfikacja zwłok. Spędziła kilka godzin na składaniu zeznań policji, a teraz czekało ją jeszcze jedno przesłuchanie. Sytuacja tylko się pogorszy, kiedy dziennikarze przestaną jej współczuć.

- Dzieci zostawiłam u przyjaciółki - powiedziała - dopóki najgorsze nie minie.

Longbright wiedziała, że Sirina Denjhi odzyska spokój, kiedy dowie się prawdy, nieważne, jak trudne może się to dla niej okazać. Ból niewiedzy był problemem ustawicznie podnoszonym przez członków grup wsparcia dla ofiar zbrodni. Dopiero jednak w przyszłości miano coś z tym zrobić.

- Muszę wiedzieć, co się stało z moim mężem - wyszeptała Sirina.

Przepisy nie pozwalały sierżant ujawniać szczegółów toczącego się śledztwa, nawet jeśli czuła, że mogłoby to ułatwić rozmowę. Zamiast tego skoncentrowała się na pochodzeniu Davida Denjhiego.

- Nasze rodziny znają się w Indiach - wyjaśniła Sirina - i chociaż nasze małżeństwo nie zostało zaaranżowane, nie ulegało wątpliwości, że pewnego dnia weźmiemy ślub. Widzi pani, nasi rodzice byli partnerami w interesach.

- Co to za interesy? - zapytała Longbright.

- Eksport jedwabiu. Na początku szły bardzo dobrze, ale potem umarł ojciec Davida. Włożyliśmy pieniądze w firmę, która upadła. Straciliśmy wszystko. David był dobrym ojcem i potrafił zapewnić rodzinie godziwe życie.

Ciężko pracował, żeby utrzymać firmę na powierzchni, marząc, że pewnego dnia przejmą ją dzieci. Wyszło jednak inaczej. - Położyła ręce na kolanach, odwracając wzrok.

- Co się stało po upadku firmy?

- David założył firmę myjącą okna. Rozwijał ją, biorąc zlecenia od biur.

Miał głowę pełną pomysłów.

- Czy pani mąż miał wielu przyjaciół?

- My byliśmy jego przyjaciółmi. My, jego rodzina. Nie miał innych. Ludzie patrzyli na niego na ulicy, w pracy, ale nie sądzę, żeby go naprawdę widzieli. Ludzie nie robią tego, rozumie pani? Nie zauważają nas. Pracujemy, spędzamy czas z naszymi rodzinami, ale dla większości Anglików jesteśmy niewidzialni. Oczywiście zauważają nas wrogowie. Pozostali nie są ani źli, ani szczęśliwi na nasz widok - po prostu się nami nie interesują. Kiedy przyjechaliśmy do tego kraju, myśleliśmy, że podział kastowy został za nami, ale to nieprawda. Tu jest tak samo.

W sali zapadła cisza. Longbright zmusiła się do wyrwania młodej kobiety z zamyślenia.

- Musimy porozmawiać o zniknięciu Davida - powiedziała. - Wiem, że już złożyła pani zeznania, ale muszę poprosić, żeby pani nad tym wszystkim się jeszcze zastanowiła. Wspominała pani, że coś się martwił.

Sirina Denjhi wyjęła chusteczkę i wytarła nos.

- To prawda. To się stało w piątek rano. Wstąpił w niego diabeł. Nie poszedł do pracy i nie powiedział mi dlaczego. Złościł się na dzieci. Nasza najmłodsza córka zbiła spodek. Uderzył ją w twarz. Nigdy przedtem nie podniósł na nikogo ręki. Miał coraz gorszy humor. W końcu, niedługo po dziesiątej rano, wyszedł bez słowa.

- Pytała pani, dokąd idzie?

- Oczywiście, ale nie odpowiedział. Patrzyłam przez okno, jak odjeżdża furgonetką.

- Czy kiedykolwiek przedtem zdarzało mu się coś takiego?

- Nie, nigdy.

- A czy kiedykolwiek w pani obecności wspominał o Peggy Harmsworth?

Sirina potrząsnęła głową. Zwróciła swoje bursztynowe oczy na sierżant.

- Musicie wyjaśnić, jak to się wszystko stało. Może był opętany. Wszystko,

co wiem, to to że nawiedziły nas demony i nie zaznamy spokoju, dopóki nie poznamy prawdy.

W porze lunchu wiatr zmiótł z nieba chmury i dwaj policjanci siedzieli w siedzibie nad stacją Mornington Crescent skąpani w zimowym słońcu. Bryant starał się ze wszystkich sił nie zasnąć - długie godziny na nogach zaczynały mu się dawać we znaki. Czekali na wstępne ustalenia sekcji Davida Denjhiego. Finch pracował całą noc. Początkowe wyniki mogły przynieść tylko ogólne wnioski, ale były przydatne w śledztwie, w którym czas odgrywał niepoślednią rolę.

- Nie znaleźliście żadnego związku między Denjhim i Whitstable'ami? - zapytał Bryant.

- Na pierwszy rzut oka nie, ale nie można wykluczyć, że drogi tych rodzin przecięły się gdzieś w przeszłości. Muszę przejrzeć dokumentację firmy Denjhiego. I sprawdzę, czy kiedykolwiek mył okna w którymś z domów Whitstable'ów. Mój Boże, Arthurze, to nie ma najmniejszego sensu. - May odsunął od siebie teczkę z dokumentami. - Sam widziała, jak wychodził z grobowca kilka chwil po tym, jak pani Harmsworth zaczęła krzyczeć, więc nie ma wątpliwości, że to on ją napadł.

- Przyszły! - krzyknęła Longbright, wchodząc energicznie pomiędzy maszyny do pisania z dwoma plikami dokumentów. Bryant był oczarowany efektowną sierżant, podobnie jak przed laty jej matką. Ostatniej nocy, bez jednego słowa skargi, została z nimi, by pomóc nadrobić zaległości w przesłuchaniach. - Finch początkowo nie chciał mi ich przesłać, nie rozmawiając najpierw z panami, ale udało mi się go przekonać.

- Wiecie, co to oznacza - powiedział Bryant, biorąc od niej dokumenty. - Musiał coś znaleźć. Mam nadzieję, że nikt jeszcze tego nie widział?

- Obawiam się, że wysłał kopię również do Raymonda Landa, proszę pana.

- Szlag by to trafił. To odbiera nam przewagę. - Bryant przyjrzał się pierwszemu z dokumentów. - Nie mam okularów. Czy mógłbyś to przeczytać?

May wziął od niego papiery.

- Mamy wiele śladów. Odciski palców w całym grobowcu i na nożu do wykładzin, który Denjhi wyrzucił w trawę. Z jakiegoś powodu nie zdecydował

się go użyć. Krew Peggy Harmsworth na posadzce grobowca i na ubraniu Denjhiego. Wygląda na to, że uderzyła się w głowę w czasie walki. Wreszcie klucze do grobowca znalezione przy jego ciele. To chyba ostateczny dowód. Na razie żadnych śladów tożsamyh ze śladami znalezionymi przy innych ofiarach, ale to dopiero początek badań. Muszą je jeszcze porównać ze śladami na kawałkach bomby, która zabiła Williama Whitstable'a. - Sięgnął po drugą kartkę i zwrócił uwagę Bryanta na kolumny na dole. - Zdecydowanie żadnego związku ze śladami, które znaleźliśmy na brzytwie w zakładzie fryzjerskim hotelu Savoy. Więc mamy do czynienia przynajmniej z dwiema różnymi osobami. Aha, Finch potwierdza, że Denjhi poniósł śmierć w wypadku.

- Też mi nowość - prychnął Bryant. - Do tego akurat nie trzeba było przeprowadzać sekcji.

- Dwóch lub więcej napastników - zadumał się May. - To chyba pasuje do twojej wiktoriańskiej teorii spiskowej, nie, żeby był w tym jakiś sens. Nic nowego na tym froncie?

- Kilku moich ludzi właśnie się tym zajmuje.

- Bez wątpienia jasnowidzów i chiromantów.

- Nie ma najmniejszego powodu, żeby pokładać więcej wiary w technikę niż w siły nadprzyrodzone.

- Właśnie, że jest. I kto tu cokolwiek mówił o siłach nadprzyrodzonych? - zapytał May, zaniepokojony. - Technika opiera się na rzetelnych prognozach, a to więcej niż mogą ci powiedzieć twoi specjaliści od szklanych kul. Wiem, że znowu się z nimi widziałeś, Arthurze, nawet nie próbuj zaprzeczać.

W tym właśnie momencie światło na chwilę przygasło.

- To tyle, jeśli chodzi o niezawodność nauki - powiedział Bryant z kpiącym uśmieszkiem. - Jesteśmy do niczego bez elektryczności, prawda? Bez niej nagle znów zostajemy przeniesieni w czasy średniowiecza. - Odwrócił się do sierżant. - Janice, twoje przesłuchanie pani Denjhi było bardzo wnikliwe, ale chcę wiedzieć jeszcze jedno. Skąd on wziął pieniądze?

- Słucham, proszę pana?

- Denjhi stracił wszystko, kiedy upadła jego firma. Nie można zacząć nowego interesu bez kapitału początkowego. Dowiedz się, skąd wziął pieniądze.

Zadzwoił telefon. Bryant odebrał. Podsekretarz stanu sprawiał wrażenie nadzwyczaj wesołego.

- Chciałem być pierwszym, który złoży gratulacje panu i pańskiemu kole-dze! - ryknął. - Dobra robota, można powiedzieć. Nie otrzymałem jednak jesz-cze pełnego raportu, więc gdyby pan mógł...

- Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi - warknął Bryant, choć w jego umyśle zrodziło się straszliwe podejrzenie.

- Jak to o czym? O złapaniu naszego wandala - wyjaśnił Faraday. - Ta wia-domość nie mogła nadejść w lepszym momencie. Muszę powiedzieć, że nasze stosunki z Australijczykami stały się już nader nieprzyjemne.

Bryanta nagle olśniło. Raymond Land przeczytał raport i natychmiast skon-taktował się z MSW. Zasugerował Faradayowi, że nieżyjący zamachowiec odpowiedzialny jest również za akt wandalizmu. Land musiał udowodnić, że nowy wydział odnosi jakieś sukcesy.

Bryant wiedział, że oczekuje się po nim, iż potwierdzi słowa zwierzchnika. Wiedział również, że robiąc to, sprzeniewierzyłby się wszystkiemu, w co wierzył.

- Przykro mi, że muszę pana rozczarować, panie Faraday - powiedział w końcu. - Ustaliliśmy tylko tożsamość osoby, która ostatniej nocy napadła na panią Harmsworth, to wszystko.

- Jak to? Nie rozumiem - jęknął Faraday.

- Mówiąc prosto: morderca dalej jest na wolności.

- To znaczy, że dalej nie wiecie, kto to jest?

- Gorzej - odparł Bryant. - Ich jest wielu. I nie wiemy, kim oni są.

29 STOWARZYSZENIE

Po nocy pełnej koszmarów Arthur Bryant obudził się zmęczony i usiadł na brzegu łóżka, próbując zebrać myśli. Musiał przyznać, choć niechętnie, że przegrali. I to na całej linii. Nie czuł tak wielkiego przygnębienia od lat. Zaraza dalej trawiła rodzinę Whitstable'ów, a oni nie zdołali wykryć jej przyczyny. Przeglądając notatki, które zostawił na stoliku nocnym, zadzwonił na numer domowy Sam Gates.

- Wczoraj wspomniałaś coś o tym, że twój ojciec pracuje dla Whitstable'ów - powiedział.

- To prawda, prowadzi interesy z kilkoma ich firmami. On i matka właśnie ślęczą nad gazetami. Czują się z tym wszystkim związani.

- Czy możesz coś dla mnie zrobić?

- Co tylko pan chce.

- Mogłabyś dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy są z tym związani? Wiem, że możesz to uznać za nielojalne wobec ojca. Potrzebuję dokumentów, które dotyczą interesów z wytwórcami jedwabiu i eksporterami w Kalkucie i Bombaju. Mogłabyś porozmawiać z ojcem i dowiedzieć się, czy widział albo słyszał coś niezwykłego. Znasz tę sprawę prawie tak dobrze jak my. Będziesz wiedzieć, o co pytać i czego szukać.

- Spokojna głowa. Zaraz się za to wezmę.

- Zadzwon, jeśli coś odkryjesz, ale nie rób nic sama. Znasz bezpośredni numer do mnie?

- Nie.

- To tak jak ja. Miałem go tu gdzieś zapisanego...

- Nie ma sprawy, poradzę sobie - zapewniła go.

Ranek był zimny i mglisty, pogoda, jakiej Bryant z całego serca nienawidził. Niebo nad jego mieszkaniem w Battersea zasłoniły zbite szare chmury, tak że wyjście na ulicę i dojście do parku naprzeciwko nie przyniosło mu ulgi.

Popatrzył na zegarek i ruszył w kierunku rzeki. Umówił się z Peregrine'em Summerfieldem na godzinę dziewiątą. Mógł sobie pozwolić na to, żeby dojść do Vauxhall Bridge, a stamtąd złapać taksówkę. Wielka szkoda, że w 1952 roku przestały kursować tramwaje; przystanek znajdował się dokładnie przed drzwiami domu, w którym mieszkał. Brakowało mu szumu i trzasku wagoników.

Na tym właśnie polegała różnica między nim a Mayem. John nie był przywiązany do przeszłości. Interesował go postęp. Postrzegał życie jako serię lekcji, które należy przyswoić, wyrzucając wszelkie zbędne informacje.

Dla Bryanta historia była jak powietrze. Nie mógł na to nic poradzić; przeszłość fascynowała go niczym klasyczna piękność, której nigdy do końca się nie poznało i która pozostawała na zawsze poza zasięgiem. Jedną tajemnicę musiał jednak koniecznie wyjaśnić. Gotów był poświęcić całe życie na odpowiedź, dlaczego rodzinie Whitstable'ów pod koniec ubiegłego wieku nagle tak dobrze zaczęło się wieść. Czy naprawdę kryło się za tym jakieś wydarzenie takiej wagi, że włączyło w to całą rodzinę? Coś tak potężnego, że nawet teraz,

blisko sto lat później, zbierało krwawe żniwo?

Kiedy doszedł do wschodniej granicy parku, przypomniał sobie nagle zdanie: Synowie poniosą karę za grzechy ojców¹. James Whitstable i jego duchy olimpijskie, Siedem Sług Niebios, Wewnętrzny Krąg, Przymierze Światłości Wiekuistej. Wszyscy byli jednym i tym samym. Jakżeż wiktorianie kochali te swoje tajemne stowarzyszenia, kluby dla dżentelmenów i hermetyczne obrządkie, wywoływanie duchów, wieczorki i rytuały, spotkania, na których wykluczano innych.

¹ Niedokładny cytat biblijny - por.: Księga Liczb 14, 18, Księga Wyjścia 34, 7 (przyp. tłum.).

Czy to o to chodziło? Kogo James Makepeace Whitstable i jego przyjaciele chcieli wykluczyć? Ich stowarzyszenie siedmiu nie było zwyczajną salonową zabawą dla szlachetnie urodzonych, ucieczką od rodzinnych obowiązków. Ich Przymierze zostało zbudowane wewnątrz rodziny.

Jeśli jednak celem stowarzyszenia nie było wykluczenie, w takim razie musiało służyć do ochrony.

Do ochrony życia klanu Whitstable'ów? Nie, ci ludzie byli powszechnie szanowani i potężni. Musieli być niebezpiecznymi wrogami. Co jeszcze chcieli chronić? Swoje pieniądze? Czy to nie było o wiele bardziej prawdopodobne? Patrzył na Tamizę, krzywą oliwkową wstążkę długą na 215 mil, przyptywającą i odpływającą z cyklem księżycy.

Historyk sztuki spóźnił się, jak zwykle. Miał na sobie tradycyjny angielski uniform historyków sztuki: starą tweedową marynarkę ze skórzanymi łatami na łokciach, brązowy wełniany krawat, workowate spodnie sztruksowe i zniszczone mokasyny. Prawdopodobnie ten strój miał za zadanie odróżnić ich od cywili. Summerfield przywitał hałaśliwie Arthura, wołając do niego przez plac przed Royal Academy, po czym klepnął go w plecy, kiedy weszli razem do Burlington House.

Mimo że był tu stałym gościem w młodości, Arthur nie zaglądał do tego budynku od dawna i ucieszył się, że nic się w nim nie zmieniło. Marmurowe tondo Michała Anioła *Madonna z dzieciątkiem, i świętym Janem* zajmowało to samo miejsce, co kiedyś. Utrwalił się zwyczaj, że każdy członek akademii ofiarowywał jej jakąś swoją pracę. W efekcie na ścianach wisały obrazy Reynoldsa, Gainsborougha, Constable'a i Turnera. Letnia wystawa akademii - wydarzenie niespotykane bezbarwne - otwarta dla wszystkich artystów bez względu

na narodowość czy doświadczenie, wprawiała w przerażenie krytyków od ponad dwóch stuleci.

- Cieszę się, że udało ci się tu dotrzeć - zagrzemiał Summerfield, rozglądając się. - Straszne landszafty wiszą na tych ścianach. Moi uczniowie obecnie są bardziej zainteresowani udziałem w marszach protestacyjnych niż malowaniem, a to może oznaczać początek czegoś nowego. Wiesz, ta wasza sprawa pochłonęła mnie bez reszty. Piętro niżej potwierdzono autentyczność szkicu Waterhouse'a. Mówiłem im, że jest prawdziwy, ale uparli się, żeby to sprawdzić. Durnie.

Przeszli przez hol na marmurowe schody wiodące do pracowni, w których były rozpakowywane i badane obrazy i rzeźby. Bryant wciągnął powietrze, wyczuwając zapach chemikaliów, który sugerował, że gdzieś w pobliżu odbywa się renowacja jakiegoś dzieła sztuki.

Summerfield otworzył drzwi, na których wisała tabliczka z napisem „Nie-upoważnionym wstęp wzbroniony”, i wszedł do dużej, pomalowanej na biało pracowni z jedną ścianą z matowego, podświetlanego szkła. Skierował swe kroki do zagraconego drewnianego stołu, na którym leżał obraz znaleziony przez Bryanta w piwnicy domu Belli Whitstable. Zobaczywszy go, policjant przypomniał sobie to nieprzyjemne doświadczenie.

- Powiedz mi, jaki związek, twoim zdaniem, może mieć ten obraz z naszym śledztwem - poprosił, patrząc, jak historyk pochyla swe zwaliste cielsko nad stołem. - Poza faktem, że jedna z ofiar go zniszczyła.

- Wydawało mi się, że domyślasz się, dlaczego cię tu zaprosiłem - odparł Summerfield. - Ciekawe, czy to zauważysz.

Arthur stanął przed szkicem i przyjrzał mu się raz jeszcze. Chociaż tylko dwie trzecie długiego na pięć stóp obrazu pokryto farbą, a wszystkie z wyjątkiem dwóch postaci były jedynie z grubsza naszkicowane, można już było bez trudu rozpoznać zamysł twórcy.

- Może powinienem wyjaśnić swój sposób myślenia - powiedział Arthur, przejeżdżając kciukiem po czarnym czubku jednego z pędzli. - Na początku śledztwa przekonałem się, że odpowiedź leży w rodzinnej przeszłości. Była w tym wszystkim jakaś szaleńcza logika, która sugerowała pewną wiktoriańską wrażliwość. Każde z tych morderstw to majstersztyk, tak różny od tego, co spotykamy na co dzień w naszym współczesnym świecie. Oczywiście mój

współpracownik nie zgodził się z tym, więc musiałem podążać tą drogą sam. - Przerwał, by zastanowić się przez chwilę, drapiąc się w swój duży nochal końcem pędzla. - Miałem tylko mało precyzyjną datę, jakiś czas na początku lat osiemdziesiątych XIX wieku i liczbę siedem. Siedmiu mężczyzn w przymierzu, sześciu dworzan i cesarz na obrazie. Usiłowałem wyobrazić sobie siedmiu bogatych biznesmenów, głowy odnoszących sukcesy handlowe rodzin, zakładających stowarzyszenie, które ma na celu ochronę ich majątków, stowarzyszenie z szacowną twarzą na pokaz i mniej szacownymi formami spędzania wolnego czasu. Ale jak mogliby upamiętnić jego powstanie bez zwracania na siebie uwagi? Co zrobiliby tradycyjni wiktorianie?

- Zamówiliby obraz - odparł Summerfield.

- Właśnie. Twoje słowa o wiktorianach przemycających erotykę w obrazach o tematyce mitologicznej dały mi do myślenia. Ale z tą teorią jest pewien kłopot. Kiedy dowiedziałem się więcej o Przymierzu Światłości Wiekuistej, okazało się, że data powołania go do życia przypada na rok 1881. A ty mówiłeś, że Waterhouse namalował swój obraz pod koniec 1883 roku. Czyli dwa lata później...

- Mogę to łatwo wyjaśnić - odrzekł Summerfield. - Pierwszy olejny szkic powstał na starym kawałku deski w 1882 roku. Więc z łatwością mógł zostać zamówiony przez twoje stowarzyszenie. Masz jednak większy problem.

- Jaki?

- Popatrz na to. - Summerfield pokazał na obraz. - Jeśli został naprawdę zamówiony, żeby uczcić powstanie stowarzyszenia, to nie przysłużył się mu za bardzo. Pomyśl o jego tematyce. Skończony obraz przedstawia ludzi pozbawionych przywództwa. Doradcy Honoriusa nie mogą zwrócić jego uwagi, bo jest zbyt zajęty swoimi ptaszkami. Już ci mówiłem - jako władca imperium był pacanem co się zowie. - Summerfield przygryzł wąsa, zamyślony. - Może ten cały Whitstable wybrał Waterhouse'a do namalowania obrazu, a potem malarz odkrył jego prawdziwą naturę? Postanowił zrobić coś, żeby i wilk był syty, i owca cała. Wykonał zamówienie, a przy okazji zagrał na nosie swojemu mecenasowi, obrażając go za pomocą aluzji na obrazie.

- Nie ma sposobu, żeby to udowodnić.

- Może i nie, dopóki nie przypominisz sobie, jak wygląda skończony obraz.

- Summerfield wyjął pogniecioną fotokopię, którą następnie położył na czystej części stołu.

- Proszę - powiedział. - Pamiętasz, jak ci mówiłem, że główna postać się zmieniała? Na szkicu główną postacią jest sługa cesarza. Na skończonym obrazie stoi w tle. Pierwszy obraz przedstawia grupę odpoczywających mężczyzn. Aluzja zdecydowanie jest tu wycieniowana. Drugi przedstawia mistrza otoczonego przez pochlebców. To tak, jakby Waterhouse zamierzał dać lekkiego prztyczka swojemu mecenasowi, podobnie jak to robiło wielu artystów, ale potem - gdzieś pomiędzy rokiem 1882 a 1883 - odkrył, że sytuacja jest o wiele gorsza, niż myślał. Więc zmienił obraz.

- James Whitstable był wykształconym człowiekiem. Z pewnością rozumiał aluzję i się obraził?

- Wydaje mi się, że tak właśnie było. Obraz został sprzedany do australijskiej galerii niedługo po ukończeniu. Waterhouse pozostał wierny swojemu kodeksowi etycznemu. Stworzył wspaniałe dzieło sztuki. Tyle że posunął się za daleko.

- Co by wyjaśniało, dlaczego William Whitstable wylał kwas na obraz. Był on afrontem dla jego przodka, a pośrednio dla całej rodziny. Wystawiano go u nas po raz pierwszy od stu lat.

- Mam jeszcze jedną siódmkę dla ciebie - dodał Summerfield. - John Waterhouse był malarzem Royal Academy. Bractwo Prerafaelitów zostało założone przez siedem osób. Rossetti, Millais, Holman Hunt i czterech innych poświęciło się „dziecinnemu poddaniu się naturze”. Aktorka Ellen Terry powiedziała kiedyś Bernardowi Shaw, że zawsze odwiedzała Burne-Jonesa w jego pracowni, kiedy była mgła, bo wyglądał jak anioł, malując przy świecach. Później do grupy dołączyło wielu innych artystów i Oscar Wilde zaczął się zachwycać zmysłowością prerafaelitów, bo to pasowało do jego afektacji. To, że mieli za swego rzecznika tłustą starą ciotę - nawet tak błyskotliwą jak Wilde - wcale im nie pomogło i niedługo wszyscy zaczęli się z nich śmiać.

- Włączając w to Gilberta i Sullivana...

- To prawda. Jedna z ich oper parodiowała Bractwo Prerafaelitów...

- ...a została wystawiona w teatrze Savoy. - Arthur sięgnął po swój kapelusz i nałożył go na głowę. - Peregrinie, trudno mi wyrazić, jak wielką pomoc mi okazałeś.

- Daj mi znać, jak ci idzie! - krzyknął historyk sztuki. - Chcę wiedzieć, jak to się skończy.

Jednak jego przyjaciel zdążył już wyjść z pracowni.

30 MACHINA W RUCHU

Rozglądała się gorączkowo na wszystkie strony, wypatrując demonów. Zegar ścienny wskazywał czwartą pięćdziesiąt pięć nad ranem. Zmusiła się do skupienia na nim, odganiając halucynacje. Pielęgniarka powinna sprawdzić jej stan za pięć minut. Może uda się w jakiś sposób dać jej znać o swoim bólu. Mięśnie paliły ją jak ogień. Głowę wypełnioną miała potwornymi obrazami. Jeszcze pięć minut. To nie jest długo, musi wytrzymać.

„Szalona Margaret” leżała na oddziale psychiatrycznym Royal Free Hospital, zaledwie o rzut kamieniem od cmentarza, na którym została napadnięta. Między zęby włożono jej gumowy ochraniacz, który miał zapobiec przegryzieniu języka. Specjalne pasy krzyżowały się na piersi i biodrach, zatrzymując ją w łóżku. Chciała krzyknąć, że nie jest wariatką. Bała się jednak, że odbiorą to jako dowód jej niepoczytalności.

Zostały trzy minuty. Teraz tylko same racjonalne myśli. Próbowiła policzyć do stu, przypomnieć sobie tytuły filmów i programów telewizyjnych, cokolwiek, byle tylko pozostać przytomną - *The Two Ronnies*, *Steptoe and Son*, *Armchair Theatre*...

Kilka chwil przed tym, jak pielęgniarka weszła do sali, Peggy Harmsworth zapadła w śpiączkę. Chemikalia uderzyły w jej system nerwowy ze zdwojoną siłą, wypełniając jej sen niewyobrażalnymi koszmarami.

Od kiedy o morderstwach zrobiło się głośno, Gwen unikała jakichkolwiek wzmianek o nich. Tego ranka Sam przerwała ojcu śniadanie, żeby zwrócić jego uwagę na ten temat, tylko po to, by usłyszeć, jak matka szybko kieruje rozmowę na o wiele bezpieczniejsze tory. Sam rozejrzała się po jadalni. Popatrzyła na kryształowe lichterze na wyczyszczonym do połysku mahoniowym stole, lustro o ramach bogato zdobionych cherubinami, wiszące nad marmurowym kominem, otaczające ją antyki i zrozumiała, że nienawidzi tego wszystkiego.

Wszystko, co posiadali rodzice, miało ich przeżyć. Ojciec powiedział jej kiedyś: „mebli się nie kupuje, meble się dziedziczy”. Z zadowoleniem myśleli o sobie jako o właścicielach wartościowych dóbr. Nie mogąc mieć więcej dzieci, rozpaczliwie pragnęli zostawić po sobie coś cennego.

Sam zastanawiała się, jak matka zareagowałaby na wieść o tym, że mają pomiędzy sobą szpiega. Ten szpieg czekał teraz, aż rodzice wyjdą z domu, żeby móc rozpocząć przeszukanie gabinetu ojca. Widziała, jak Jack wycina artykuły z gazet, ale co z nimi robił? Była pewna, że znajdzie w jego biurku coś ciekawego.

Jeśli Whitstable'owie wiedzieli, dlaczego się ich zabija, czy nie powinni przedsięwziąć jakichś kroków, by zabezpieczyć się przed dalszymi nieszczęściami? Co zrobiła ta rodzina, że zasłużyła sobie na takie przesładowania?

Trzaśnięcie drzwi za wychodzącym Jackiem to jedyny sygnał, jakiego potrzebowała, by zacząć myszkowanie. Gabinet ojca był jego królestwem. Mogła tam wchodzić tylko wtedy, gdy jej na to pozwolił. Drzwi nigdy nie zamykano, ale jasne było, że nikt nie powinien przekraczać jego progu nieproszony.

Wypełniony książkami pokój wyłożono bogato zdobioną boazerią. Na ciężkim chińskim dywanie pod oknem stał wiktoriański sekretarzyk. Pod jedną ze ścian znajdowały się dwa stoliki z czasów króla Jerzego V, na jednym z nich ustawiono nijakie marmurowe popiersie Disraelego. Błękitną kryształową popielniczkę wypełniały niedopałki. To było jedyne pomieszczenie w całym domu, w którym Jack mógł palić swoje cygara.

Sam usiadła za biurkiem i sprawdziła szuflady. Żadna nie była zamknięta. Każdą przejrzała, ale nie znalazła niczego interesującego.

Kiedy była młodsza, często się zastanawiała, co ojciec całymi popołudniami robi w swoim gabinecie. Teraz, przedzierając się przez stosy rachunków i korespondencji biznesowej, zrozumiała, że Jack używa tego miejsca jako schronienia przed żoną. Nagle pokój wydał się jej mniej niezwykły, jakby pomniejszony przez prozaiczne sprawy.

Otworzyła najniższą szufladę, nie spodziewając się znalezienia niczego poza korespondencją. Zamiast niej ujrzała jednak starą fotografię matki. W chwili gdy ją robiono, musiała być ledwie po dwudziestce. Stała w ogrodzie z bukietem

kwiatów w ręce, uśmiechając się szeroko i osłaniając oczy przed słońcem. Sam widziała to zdjęcie po raz pierwszy w życiu. Trudno uwierzyć, że jej matka kiedykolwiek była tak młoda.

Wpatrując się w tę fotografię, odkryła coś jeszcze. Gwen wydawała się szczęśliwa. Wprost promieniała. Zanim jej życie wypełniły niezaspokojone ambicje, gorycz i wzajemne oskarżenia, była atrakcyjna i beztraska. Dopiero potem zaczęły się kłopoty: wiadomość, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci, utrata zainteresowania Jacka i destrukcyjny gniew jej jedynej córki.

Nagle Sam ogarnęły wyrzuty sumienia. Sprawiała im wszystkim zawód.

- Mój Boże, ale tu zimnica - poskarżył się Bryant, klepiąc się rękami po ramionach. - Gdybym wiedział, że przyjdzie mi spędzić Wigilię w grobowcu, ubrałbym się cieplej. Widziałeś te tłumy kłębiące się przed bramą?

Policjanci mieli uczestniczyć w nabożeństwie dziękczynnym za uratowanie Daisy Whitstable w St. Peter's Church w Highgate. Przedtem jednak poszli na znajdujący się w sąsiedztwie cmentarz, na którym została zaatakowana Peggy Harmsworth, by raz jeszcze rzucić okiem na grobowiec, w którym się to stało. Technicy policyjni skończyli już swoją robotę, ale cmentarz na razie był zamknięty. Przyciągał gapiów. Stali za ogrodzeniem, pokazując sobie grobowiec.

Mimo że porastały go paprocie, wewnątrz z białego marmuru było czyste i dobrze utrzymane. Spoczywało tu ośmioro członków rodziny Whitstable'ów, wliczając męża Peggy. Ciała znajdowały się za drzwiczkami oznaczonymi mosiężnymi tabliczkami. Do każdego drzwiczek przyczepiony był mosiężny wazonik z pojedynczym białym kwiatem. Z tyłu znajdował się niewielki otwór, przez który wpadało poranne po: wietrze.

- Muszę powiedzieć, że człowiek nie spodziewa się takiego zachowania po powszechnie szanowanej kobiecie w kwiecie wieku - powiedział Bryant, spoglądając na ścianę grobowca.

- W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo - odparł jego towarzysz, rozglądając się. - A już zwłaszcza z tą rodziną. - Rutynowa kontrola wykazała, że Peggy Harmsworth była notowana. Cztery lata wcześniej została skazana za posiadanie kokainy. Wczoraj znaleziono kilka gramów białego proszku w

jednym z mosiężnych wazoników w grobowcu. Nie mogąc trzymać narkotyków w domu, Peggy najwyraźniej nabrała zwyczaju przechowywania ich w niedalekim grobowcu rodzinnym. Skąd mogła wiedzieć, że w latach osiemdziesiątych goście na przyjęciach otwarcie będą układać kokainę na swoich stolikach.

- Umówiła się z przyjaciółką na popijawę w środę w nocy - powiedział May. Jego staranna fryzura potargała się o niski sufit. - Zatrzymała się po drodze, żeby wziąć narkotyki. W jej torebce znaleźliśmy pustą fiolkę. Albo jej zapasy zostały spreparowane, albo Denjhi zmusił ją do wzięcia czegoś innego.

- Longbright mówiła, że technicy uzyskali sprzeczne wyniki - stwierdził Bryant, zaglądając do jednego z wazoników. - Widziałeś listę, którą sporządzili? Atropina, muchomor plamisty, betel. Są jeszcze inne składniki, których nie zidentyfikowali. Nikt nie wie, jaki efekt może dać ta mieszanka. Myślisz, że wyjdzie z tego?

- Nie wiem. To chyba naprawdę bardzo niebezpieczna mikstura.

Kiedy wychodzili z grobowca, Bryant muskał palcami tabliczki na drzwiczkach.

- Spróbujmy ułożyć wydarzenia we właściwej kolejności. Zaczyna się od tego, że Max Jacob zostaje wezwany do Londynu przez swojego starego przyjaciela i klienta Petera Whitstable'a. Peter chce, żeby nadzorował on wycofanie się Japończyków z umowy w sprawie Savoyu. Przeznacza teatr dla swojego towarzystwa charytatywnego KOT. Peterowi bardzo zależy na przejęciu teatru Savoy. Ucieka się do podstępu, szantażując jednego z prezesów Tasaka Corporation kompromitującymi materiałami. W terminarzu Jacoba zapisana jest liczba 216, numer pokoju hotelowego, do którego został podrzucony obciążający materiał. Jacob pełni tu rolę pośrednika. Niewykluczone, że pomagał Peterowi już przedtem w podobnych przypadkach. Przyjeżdża do hotelu, ale tu zachodzi nieporozumienie. Otrzymuje nie ten pokój. I zanim udaje mu się doprowadzić sprawę do końca, zostaje zabity.

- Ale fotografie i tak spełniają swój cel - zauważył May.

- Właśnie. - Arthur podłożył szal pod siedzenie i usiadł na pograżonej w ciemności ławeczce przed grobowcem. - Ktoś włamuje się do pokoju i

wyjmuje w pośpiechu zdjęcia, niechcący zostawiając jedno. Kompromitujące materiały zostają pokazane biznesmenowi i Japończycy się wycofują.

- Jacob został zamordowany, zanim Japończycy się wycofali, czyli to nie mogła być zemsta z ich strony.

- To prawda. Biblia znaleziona przez Sam w pokoju Maxa Jacoba należała do Williama Whitstable'a. Być może był to prezent albo prawnik chciał ją oddać. Jacob był żydem, więc możemy przypuszczać, że miała ona dla niego tylko symboliczne znaczenie. Podkreślone fragmenty tekstu sugerują jakieś głębsze znaczenie, jakiś głębszy sens.

- Zapomniałem o tym - przyznał May. Spojrzał na zegarek. - Nabożeństwo zaraz się zacznie. - Pod nimi rozciągało się blade miasto spowite mroźną mgłą. Arthur zapatrzył się na horyzont. Nie wiadomo, o czym myślał.

- Jesteśmy o krok od stracenia wszystkiego, na co tyle lat pracowaliśmy - powiedział. - Ta sprawa może oznaczać koniec naszych karier. Metody naszej pracy zostaną gruntownie prześwietlone. Mogą nam nawet postawić zarzuty.

- Trafiłeś w samo sedno - przyznał May. - Sprawę przydzielą komu innemu, powołają nowy zespół. Będą mieli akta sprawy, ale zabraknie im naszego doświadczenia. Zanim połąpią się, co i jak, nastąpią kolejne morderstwa.

Bryant nie odpowiedział.

- Wiem, że nie mówisz mi o wszystkich swoich podejrzeniach, Arthurze. Zawsze tak jest.

Bryant popatrzył na współpracownika.

- Chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę? - zapytał, spoglądając w dół na postacie, które właśnie zaczynały wchodzić do kościoła. - W 1881 roku James Makepeace Whitstable założył Przymierze Światłości Wiekuistej. Na pozór prowadziło ono pożyteczną działalność - budowało schroniska, pomagało biednym, organizowało akcje charytatywne, odnawiało budynki. W rzeczywistości było pewnego rodzaju tajnym karterem mającym polepszyć sytuację finansową rodziny Whitstable'ów. I faktycznie, po założeniu fundacji interesy zaczęły iść znacznie lepiej. Ta poprawa miała jednak swoją cenę, którą teraz rodzinie przyszło zapłacić. - Jego wzrok stał się twardy. - Dopóki nie zrozumiemy maszyny, która została wprawiona w ruch, nie uda nam się tego powstrzymać.

Nabożeństwo było krótkie i ponure, przypominało bardziej czuwanie przy zwłokach niż ceremonię dziękczynną. Pod kościołem policjanci zostali zaczepieni przez Isobel Whitstable. Przez całe nabożeństwo dzielnie się trzymała, wspomagana przez męża i syna. Kiedy jednak uniosła woalkę, Bryant dostrzegł w jej oczach przeżycia ostatnich dni. Przez chwilę myślał, że kobieta chce rzucić się na nich z pięściami.

- Wy dwaj! - krzyknęła z furią. - To wasza wina! - Pokazała ręką za siebie. - Nie zrobiliście nic, żeby ochronić moją córkę. Nie może dojść do siebie. Nawet wtedy, gdy już trwał cały ten koszmar, nic nie zrobiliście. Jak wielu z nas musi zginąć? - Łzy spływały jej po policzkach. - Co mamy zrobić, żeby otrzymać ochronę przed tym... tym...

- Pani Whitstable, każda osoba obecna tutaj ma policyjną ochronę - powiedział May. - Państwa domy są strzeżone na okrągło. Dopóki nie zdobędziemy informacji potrzebnych do aresztowania sprawcy, nie możemy nic więcej zrobić.

- Za to ja mogę coś zrobić - wysyczała, zbliżając do nich wściekłą twarz. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ten wasz mały eksperymentalny wydział został zamknięty na cztery spusty, a śledztwo przekazane komuś bardziej kompetentnemu. Lepiej postarajcie się o przejście na emeryturę, bo, wiercie mi, to jest wasza ostatnia sprawa.

Odwróciła się i odeszła w eleganckich butach na wysokich obcasach w stronę czekającego na nią bentleya.

31 CEL

Fakt, że ich ostatnie dwa spotkania skończyły się zamknięciem Josepha w ciemności, niezbyt dobrze zapowiadał trzecie. Sam zastanawiała się, czy chłopak nie przyszedł tylko po to, żeby się pożegnać. Stał w drzwiach przed nią.

- Jak twoje biodro? - zapytał.

- Przede wszystkim dzień dobry. Mam siniaka wielkości Belgii.

- No tak. - Rozejrzał się. - Nie wpuścisz mnie? W końcu któryś z sąsiadów zadzwoni na policję, widząc czarnego stojącego tutaj.

- Przepraszam - wyszeptała. - Wejdz. Mam zły dzień.
- Skoro już ty coś takiego mówisz, to musi być naprawdę kiepsko. Wszedł do holu i rozejrzał się po nim z zachwytem.
- Ładnie tu. W które dni otwarte dla publiczności?
- Tutaj to my jesteśmy publicznością. W tej dzielnicy nawet kolędniczki śpiewają wyćwiczonymi głosami i dostają dychę za trud. - Usiłowała się jakoś trzymać, odgarniając włosy i uśmiechając się odrobinę zbyt szeroko. Ten wysiłek może cię zabić, pomyślała. W sumie, miło go było widzieć. - W ogóle nie czuje się, że już święta, prawda? Czy masz ochotę na świąteczny toast?
- Poprowadziła go do dużej, jasnej kuchni ozdobionej ogromnymi miedzianymi rondlami. - Moja matka to wszystko urządziła, choć ledwie umie ugotować jajko - powiedziała, wyjmując z szafki butelkę whisky i dwie szklaneczki.
- Nigdy nie masz dla niej miłego słowa.
- To reakcja obronna. Jak tam twoje obrażenia wojenne?
- Przeżyję. - Ostrożnie dotknął plastra nad lewym okiem. Były jeszcze dwa, jeden na brodzie, a drugi na czole. - Czuję się, jakbym miał niewiarygodnie zły sen.
- Naprawdę się na ciebie zawzięła, co? - Sam podała mu szklaneczkę i uniosła swoją. - Wesołych świąt!
- Słyszałem, że nieźle sobie radziłaś na motorze.
- Tak dobrze, że policja chce mnie pociągnąć do odpowiedzialności - odparła. - Słuchaj, znowu potrzebuję twojej pomocy.
- Chyba z byka spadłaś. Mowy nie ma! Wcale mnie nie potrzebujesz. Przyszędłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, że wracam do Edynburga.
- Nie możesz tego zrobić! - Sam odwróciła się do niego zagniewana, z wyrazem zawodu na twarzy. - Jesteś moim jedynym przyjacielem! Jedynym, któremu mogę zaufać.
- Wiesz co, kiedy się poznaliśmy, było mi cię żal. Biedne dziecko, pomyślałem, powinienem postarać się być dla niej dobry...
- Nie wiedziałam, że musiałeś się starać - zachnęła się. - Miałam jednak rację co do morderstw i wszystkiego innego.
- Dobrze, przyznaję, to było na początku niesamowite, ale potem przekonałem się, że ty po prostu chcesz zrobić na złość rodzicom.

- Myślałam, że jesteś po mojej stronie.
- To nie jest kwestia stron, Sam. - Wyraźnie wyprowadziła go z równowagi.
- Widzę, jak mieszkasz. Życie nie jest dla ciebie bezwzględne. Nudzisz się i szukasz rozrywek, a ja nie jestem za bardzo rozrywkowy. Dlaczego cię posłuchałem? Mieszkam w zarobczonym pokoju w Earl's Court. Nie mam pieniędzy. Nie mogę znaleźć pracy. Nie mam przed sobą przyszłości. Nie mam nawet za co wrócić do domu. Rozmawiałem z rodzicami. W Szkocji leży pełno śniegu. Po prostu prawdziwe święta. Poczęstuj mnie jeszcze jednym drinkiem. - Podał jej pustą szklaneczkę.

Nalała mu trunku, po czym otworzyła lodówkę.

- Zjesz coś? - zapytała, usiłując być miłsza. - Jest bażant na zimno, *foie gras*¹, pieczeń wieprzowa. My, bogaci, mamy wszystko.

¹ Foie gras (fr.)- pasztet z gęsiich wątróbek.

- To żarcie was zabije. Nie masz jajek?

Sam zrobiła omlety z serem. Patrzył, jak z wprawą odwraca je na patelni.

- Jak zamierzasz się dostać do domu, skoro nie masz pieniędzy? - zapytała.

- Coś wymyślę - odparł z pełnymi ustami. - Wrzuciłem najpotrzebniejsze ciuchy do torby i wymknąłem się z pensjonatu bez płacenia rachunku. Biorąc pod uwagę robactwo w pokoju, nie mam wyrzutów sumienia z tego powodu. BBC mogłaby nakręcić tam film przyrodniczy. Poradzę sobie - jak zawsze.

Zamyśliła się na chwilę, patrząc na niego.

- Może mógłbyś zostać tutaj do czasu, aż wykombinuję jakąś forszę.

- Nie, podjąłem już decyzję. Pojadę stopem. Przykro mi, Sam. Było zabawnie w przewrotny, masochistyczny sposób, ale muszę przemyśleć swoje życie na nowo.

Włożyła do ust kawałek omleta, maskując rozdrażnieniem swoją rozpacz.

- Daj spokój, ty możesz pomóc mnie, a ja tobie. Sama tego nie zrobię.

- A ja nie zrobię tego dla ciebie. - Odsunął talerz i wstał.

- Dobrze, ale naprawdę chcę dać ci trochę pieniędzy, po prostu żeby pomóc ci przetrwać. Weź, ile potrzebujesz.

- I tak ci nie pomogę, Sam.

- Już mówiłeś. - Podeszła bliżej.

- Ani kroku dalej. To niebezpieczne dla mojego zdrowia.

- Proszę cię, daj mi dziesięć minut.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Chyba nie zamierzasz wyjść z kolejną ze swoich niewydarzonych teorii, co?

- Nie - odparła. - Obiecuję.

Siedział na podłodze w gabinecie jej ojca, podczas gdy ona przeglądała zawartość niższych szuflad biurka.

- Nie boisz się, że twój tata może w każdej chwili wrócić?

- Oni nie wracają do domu przed wieczorem. Zobacz, znalazłam je, kiedy szukałam umów Jacka z Whitstable'ami. Miałam czternaście lat, kiedy je wysyłałi. - Rozłożyła kartkę białego papieru welinowego i podała mu. Przez chwilę wpatrywał się w pismo, po czym zaczął czytać.

Kochana Gwen,

mówiłaś, żeby nie dzwonić. Nie bardzo wiem, co ci powiedzieć na temat Samantha. Oczywiście jestem przerażony tym, co się stało. Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby cofnąć czas... Jako jej matka musisz podjąć decyzję, co będzie najlepsze dla nas wszystkich.

CW

- Jezu Chryste, coś ty zrobiła, zamordowałaś kogoś? - zapytał, oddając jej list.

Podawała mu drugi.

- Ten został napisany kilka dni później.

Kochana Gwen,

wszystko zostało uzgodnione, tak jak prosiłaś. Zacznie w poniedziałek. Dojdzie w połowie semestru, ale nic nie szkodzi. Nikt nie powinien zadawać pytań. Lepiej jej nie odwiedzać. Mam na względzie tylko jej dobro. Cała nadzieja w tym, że nie pamięta nic z tego, co się stało.

CW

Sam siedziała, ostrożnie gładząc kopertę. Patrzyła na Josepha, czekając na to, co powie.

- Naprawdę nic z tego nie pamiętasz? O co tu chodzi? Co się, do jasnej cholery, stało, kiedy miałaś czternaście lat?

- Mówiłam ci już, miałam załamanie nerwowe. Pamiętam tylko, że byłam wściekła. Gwen miała steinwaya, który należał do jej matki. Wzięłam dętkę i wyryłam swoje imię na wieku, a potem przecięłam wszystkie struny. Oddali mnie na terapię, a potem, kiedy okazałam się zbyt agresywna, wysłali do zakładu wychowawczego. Całymi tygodniami faszzerowali mnie prochami. Wyparłam większość z tego, co się stało.

- Sądząc z tych listów, to musiałaś wyprzeć coś jeszcze. Są dosyć obciążające, dlaczego ktoś chciał je zachować? Dlaczego tak bardzo nienawidzisz swojej matki?

Sam siedziała na podłodze po turecku, obejmując się rękami. Pamiętała tamten rok jak przez mgłę. Nigdy o nim nikomu nie mówiła. Waylanda, jej terapeutę, opłacała matka, a ojciec unikał jakiegokolwiek zaangażowania.

- Gwen zawsze niepokoiła się z powodu mojego zachowania - wyjaśniła. - Kiedyś odwołała przyjęcie, bo zwymiotowałam w salonie. Rzuciła wszystko i wróciła do domu. Zrobiła mi supkę, położyła do łóżka. Ale nigdy nie zostawała za długo. Macierzyństwo nie okazało się tak satysfakcjonujące, jak myślała, więc wróciła do robienia kariery. Obserwowała takie rodziny jak Whitstable'owie i zżerała ją zazdrość. Nigdy nie miała takiego statusu społecznego, na jaki, we własnym odczuciu, zasługiwała. To w ogóle nie miało związku z pieniędzmi, to miało związek z pochodzeniem. Matka robiła właściwe posunięcia, ale zawsze pozostawała na zewnątrz, z nosem przyciśniętym do szyby. To była moja wina. Właśnie wtedy, gdy już zaczynała otrzymywać właściwe zaproszenia, zaczęłam się źle zachowywać. Potem ludzie zaczęli odrzucać zaproszenia na uroczyste kolacje mojej matki. Nigdy nie wiedzieli, co może ich spotkać, kiedy tu przyjdą. W trakcie jednego z takich spotkań udałam, że mam zamiar podciąć sobie żyły. To dlatego wysłała mnie na terapię. Ale nawet wtedy nie mogła zaprzestać popisywania się. Wybrała najbardziej ustosunkowanego lekarza w mieście. Mówiła wszystkim, że chodzę do psychoanalityka.

- W twoich słowach jest tyle goryczy, ile według ciebie jest w twojej matce.

- No cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni. - Pochyliła się, włosy opadły jej na oczy. - To jednak nie wszystko. Udowadniają to listy. Powinnam zapytać o to Gwen, ale trochę się boję.

- Dlaczego myślisz, że to coś zmieni? Przeszłość nie może wrócić.

- Joseph wstał i uniół torbę. - Nie mogę dłużej zostać. Muszę ruszyć w drogę, zanim się ściemni.

- Nie możesz tak sobie po prostu wyjechać. - Naprawdę wierzyła, że z nią zostanie. Nigdy przedtem jej niczego nie odmawiano.

- Jak ci to powiedzieć? - Uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

- Savoy pasuje do ciebie. Nie jest w moim stylu. Zbyt wiele nas dzieli.

- Nieprawda - zaprzeczyła, chcąc dodać: nie wtedy, jeśli się kogoś kocha. - Proszę, boję się tego, co się może stać. Nie chcę zostać tu sama.

- Nie jesteś sama. Tylko zostaw śledztwo policji. To się może dla ciebie źle skończyć.

- Dlaczego nie chcesz mi już pomagać? - zapytała, stojąc w otwartych drzwiach.

- Dlatego - odrzekł, przytulając ją - że masz teraz powód, żeby pomóc sama sobie. - Pocałował ją delikatnie w policzek, po czym wyszedł prosto na deszcz. - Zadzwoń.

- Akurat! - krzyknęła. - Tak się tylko mówi.

Uniół rękę w pozdrowieniu, nie odwracając się do niej. Naprawdę to zrobił, pomyślała. Jestem zdana tylko na siebie. Kiedy jednak zamknęła drzwi, jej smutek ustąpił poczuciu celu.

32 ZEBRANI RAZEM

Mróz, który tego wieczora kreślił wzory na oknach wydziału policji nad stacją metra Mornington Crescent, dał się odczuć zarówno na zewnątrz budynku, jak i wewnątrz; robotnicy ciągle jeszcze nie uporali się z podłączeniem centralnego ogrzewania.

Na ulicy poniżej grupy powracających do domu sekretarek, chwiejąc się na nogach, śpiewały zapijaczonymi głosami kolędy, niezniechęcone przez strajki i grożące wszystkim przerwy w dopływie energii elektrycznej. Ruch zamarł, kiedy dojeżdżający wrócili do domów, do swoich rodzin. W wydziale jednak nie było świąt. Zlikwidowano dni wolne od pracy i ustanowiono nowy grafik dyżurów. W gabinecie policjantów wisało kilka nędznych papierowych łańcuchów. Na biurku Bryanta stały dwie kartki świąteczne. May dostał ich

dziesiątki, ale nie miał nawet czasu, żeby je przeczytać.

Policjanci wrócili z kolejnego bezsensownego spotkania w siedzibie policji londyńskiej, by zastać Raymonda Landa siedzącego w ich gabinecie z markotnym wyrazem twarzy. Jedno spojrzenie powiedziało im, że zarówno jego cierpliwość, jak i ich termin dobiegły końca.

- Siadajcie, wy dwaj - wycedził, czekając niecierpliwie, aż Bryant uwolni się z nowego świątecznego szala, prezentu od gospodyni, który wydawał się bardziej pasować do Halloween niż do Bożego Narodzenia.

- Co możemy dla ciebie zrobić? - zapytał May niedbałym tonem. Bryant odebrał znak od przyjaciela i zaprezentował szefowi nieśmiały uśmiech.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego podważyliście mój raport dla Faradaya.

Bryant uniósł nieśmiało rękę.

- Nie wiedzieliśmy, że skontaktujesz się z ministrem sztuki, zanim przedyskutujesz tę sprawę z nami. Skoro się to jednak zdarzyło, nie zgadzamy się z wnioskami, jakie wyciągnąłeś z raportu zakładu medycyny sądowej.

- Może zechcielibyście powiedzieć coś bliższego na ten temat? Jakie to, waszym zdaniem, wnioski wyciągnąłem?

- Dobrze - zgodził się Bryant, patrząc znacząco na przyjaciela. - Powiedziałeś Faradayowi, że Denjhi jest odpowiedzialny za śmierć Williama Whitstable'a, którego według ciebie zabił w wyniku jakiejś sprzeczki o obraz. Wiesz dobrze, że nie ma żadnego śladu, który łączyłby Denjhiego z jakimkolwiek innym członkiem rodziny Whitstable'ów poza Peggy Harmsworth.

- Ale to tylko kwestia czasu. Właśnie przeszukujemy jego dom i...

- Zarządziłeś to? - zapytał May gniewnym tonem. - Nie miałaś prawa. - Wdowa po Denjhim przeszła i tak wystarczająco dużo. Nie trzeba jej jeszcze dokładać niedelikatnych łap wydziału specjalnego, rozpruwających jej poduszki.

- Dopóki nie przyjdziecie do mnie z solidnym dowodem, mam prawo robić, co mi się podoba - odparł Land z nutką rozpaczony w głosie. - Mogliście sobie rządzić przy Bow Street i na West End Central. Tutaj, dopóki nie zostanie przyśłany ktoś na moje miejsce, to ja wydaję rozkazy. - Westchnął i potarł palcami ziemiste czoło. - Musicie zrozumieć, pod jaką presją działamy. To są wyrachowani zabójcy, na miłość boską. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Pierwsza strona „Daily Mail”, trzecia „Express”. „Mirror” poświęcił nam dzisiaj cztery strony: mapki, diagramy, zdjęcia dzieci. Gdyby nie ten bajzel z He-athem i związkami, rozszarpałyby nas także poważne gazety. Isobel Whitstable próbuje oskarżyć wydział o celowe opóźnianie dochodzenia. Zamierza też oskarżyć was dwóch o niekompetencję, która spowodowała uraz psychiczny jej córki.

- Wiesz dobrze, że niemożliwe jest zrekonstruowanie przebiegu wydarzeń, dopóki nie pozwala nam na przesłuchanie Daisy - powiedział Bryant. - Nie znaleźliśmy żadnych śladów z wyjątkiem kilku włókien na jej ubraniu. Nie możemy przedstawić teorii, których nie potrafimy udowodnić.

- Dziś rano nasz dział prawny otrzymał pisma procesowe od kilku innych członków rodziny Whitstable'ów - ciągnął Land.

- O co nas oskarżają?

- O liczne zaniedbania.

- Mogą nam coś zrobić?

- Zostałem poproszony o zamknięcie wydziału. Ale zrobię wszystko, żeby tego uniknąć. Wiesz dlaczego? Widzę, że coś przede mną ukrywacie. Nie jestem idiotą. - Zaległa cisza. Nie doczekawszy się zaprzeczenia ze strony swych pracowników, Land ciągnął dalej. - Nie ma możliwości zamknięcia śledztwa w najbliższym czasie, ale wiem, że coś odkryliście. Jediną szansą, żeby nie zabrano wam tej sprawy, jest dopuszczenie mnie do pełnych informacji. Choć nawet wtedy nie jestem pewien, czy się uda.

- Och, Raymondo, stary druhu, ukrywamy przed tobą to, co odkryliśmy, tylko dlatego, że z pewnością byś w to nie uwierzył.

- Zaryzykujcie - zachęcił ich Land. - Wiercie mi, jestem naprawdę łatwo-wierny.

Bryant zerknął na swego przyjaciela, po czym przystąpił do zdawania rela-cji z ich odkryć. Potem patrzył już tylko na pełen niedowierzania wyraz twarzy szefa, czekając na jego reakcję.

- Twoim zdaniem tę rodzinę zabija coś w rodzaju stuletniej sekty satani-stycznej?

- Akurat tak bym tego nie nazwał, ale...

- Nie bądź taki mądry, Bryant.

- W takim razie mogę ci powiedzieć coś innego - zaproponował policjant. - Myślę, że Denjhi porwał Daisy Whitstable, ale nie był w stanie jej zamordować. Po prostu nie mógł zmusić się do wykonania rozkazu.

- To szaleństwo. Sekta satanistyczna! I co, rodzina o niej wie?

- Nie powiedziałem, że to sekta satanistyczna. Ale ktoś musi oczywiście wiedzieć.

Land położył dłonie na blacie biurka.

- Jak mam powiedzieć o tym mądralom z ministerstwa?

- Teraz rozumiesz nasz dylemat - odrzekł May. - Musimy prosić cię, żebyś jeszcze przez jakiś czas nas ochraniał. To znaczy, o zatrzymanie akt sprawy tutaj, w tym budynku. Nic więcej nie może stąd wyciec.

- A co z Whitstable'ami? - zapytał Land, obgryzając paznokcie.

- Zostaw ich nam - odparł Bryant z uspokajającym uśmiechem.

Rodzina zareagowała na żądania policjantów w sposób łatwy do przewidzenia: gwałtownym oburzeniem.

To May wymyślił, żeby zgromadzić ich wszystkich w domu Williama Whitstable'a. Był ogromny i stał pusty. Łatwo go ochronić zarówno od zewnątrz, jak i wewnątrz. Poza tym zebranie wszystkich w jednym miejscu pozwoli zaoszczędzić podatnikom masę pieniędzy.

Dwadzieścioro czworo członków rodziny zostało na święta w Anglii mimo groźby strajków. Dwoje z nich było w domach opieki, a jedna osoba przykuta do łóżka. Zostawało dwadzieścia jeden osób do umieszczenia tutaj bez zamieszania i rozgłosu. Policjanci poinformowali rodzinę, że każdy, komu nie pasują te ustalenia, może się wycofać, ale żaden inny dom nie będzie tak dobrze chroniony jak ten w Hampstead.

Czworo z młodszych członków rodziny, Christian i Deborah Whitstable oraz ich dzieci Justin i Flora, skorzystali z tej możliwości i pozostali w swoim domu w Chiswick. Inni przystali na warunki policjantów, choć nie omieszkali dać wyraz swej irytacji.

Kilku nieoznakowanym furgonetkom policyjnym udało się dyskretnie przewieźć ubrania, pościel, rzeczy osobiste i zapasy żywności. Siedemnaścioro Whitstable'ów zostało dowiezionych do tylnego wejścia domu i umieszczonych

w posępnych pokojach. Nieco później Bryant i May odważyli się złożyć im wizytę, by upewnić się, czy oporni podopieczni już się zadomowili.

- Niezależnie od tego, co usłyszysz, masz trzymać nerwy na wodzy - powiedział May, kiedy mijali wozy policyjne zaparkowane przed posesją. - Postaraj się pamiętać, że jesteście na służbie.

- To nie powinno być trudne - odparł Bryant. - Cały czas traktują nas, jakbyśmy byli służącymi.

May wszedł na jasno oświetlony ganek i nacisnął dzwonek w umówiony sposób.

- Twoja postawa nie ułatwia sprawy. Postaraj się być miły.

- Niby co mam mówić? - zapytał Bryant. - To demoralizujące, starać się pomóc bandzie aroganckich niewdzięczników, którzy nie chcą poświęcić nam ani chwili. Co czyni ich lepszymi? Posiadanie kilku śmierzących pastwisk z owcami i otrzymanie Nagrody Królowej? Gdyby nie to, że wykonujemy swoje obowiązki i zapewniamy im ochronę, pozostawalibyśmy dla nich niewidoczni. To jest właśnie system klasowy. Zawsze tu był i zawsze będzie. Powinniśmy pozbyć się go dwieście lat temu, kiedy zabójcy przeprowadzały gruntowne porządki. „Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciastka”¹. Spróbuj powiedzieć to z odciętą głową.

¹ Słowa przypisywane królowej Francji Marii Antoninie, która miała tak zareagować na demonstracje odbywającą się pod oknami jej pałacu (przyp. tłum.).

- Anarchista - orzekł May. - Jesteś tak samo winny jak reszta. Popatrz, jak traktujesz robotników remontujących nasz gabinet.

- To co innego - prychnął Bryant. - To prostytutki.

- Więc co proponujesz? Wystrzelać rodzinę królewską?

- Skoro już o tym mowa, to nie takie...

- Widzę, że w końcu przyjechaliście panowie, żeby nad nami triumfować. - W drzwiach stała Berta Whitstable, postawna, wystrojona kobieta po pięćdziesiątce. Wołała nosić na sobie swoją najcenniejszą biżuterię, niż zostawić ją w domu. Wyglądała jak pani burmistrzowa przyjmująca niemile widzianych gości. - Zamarzniemy tu na śmierć - poskarżyła się. - Przynajmniej pokażecie nam, jak się włącza bojler. Wyglądacie mi na złote rączki.

Policyjanci weszli do środka. W holu grupka hałaśliwych dzieci ganiała się u stóp schodów, zachwycona, że może dokazywać o tak późnej porze. Kilkoro

dorośli siedzieli z ponurymi minami w salonie, zupełnie jakby czekali, że ktoś im powie, co mają robić. Bryant znał większość z nich ze spotkania w wydziale.

- Czy będą bażanty? - zapytał pryszczaty wyrostek. - Zawsze w święta jemy dzikie ptactwo.

- Nie mam pojęcia - odparł zgodnie z prawdą Bryant. - A pamiętaliście o nich?

- U nas takimi sprawami zajmuje się kucharka. - Chłopak podrapał się w grdykę, myśląc. - Prawdopodobnie przyjdą jacyś ludzie, żeby gotować i sprzątać?

- Z pewnością jest tu państwa na tyle dużo, żebyście sobie poradzili z obowiązkami domowymi.

- Nigdy nie gotujemy. Annie robi wszystko, ale nie pozwolili jej tu przyjechać, bo jest tylko służącą.

- No cóż, to może się okazać fascynującym doświadczeniem, prawda? - odrzekł Bryant złośliwie. - Po wszystkim będziesz mógł napisać o tym książkę. Na przykład: *Jak przeżyłem bez kogoś, kto ściele za mnie łóżko.*

- Arthurze... - zaczął May ostrzegawczym tonem.

- Czy to znaczy, że będziemy musieli sami ścieleć łóżka? - zapytał ktoś inny. Bryant odwrócił się i ujrzał młodą kobietę z blond włosami ułożonymi w wymyślny kok i w niebieskiej garsonce Chanel 9.

- Obawiam się, że tak... Pippa, prawda? Przez jakiś czas musicie się państwo pomęczyć, ścieleć łóżka, odkurzając i tak dalej. To okrutne, ale jestem pewien, że dacie sobie radę. Przywieźliśmy zapasy i będziecie mogli wychodzić w parach z ochroniarzem, ale tylko na krótko. Wiem, że to jak pobyt w więzieniu.

Rozległ się zbiorowy jęk rozpacz. Sami sobie winni, pomyślał Bryant. Chcieli wzmoczonych środków bezpieczeństwa, to je mają.

- Oczywiście będę mogła iść do siłowni, prawda? - zapytała Pippa. - I muszę się zajmować Gawainem. To mój koń. - Odwróciła się do pozostałych i uśmiechnęła. - Dostałam go na gwiazdkę od taty.

- Tu nie powinno być przeszkód, pod warunkiem że przyjdzie na panią kolej w grafiku - powiedział Bryant, upajając się poczuciem władzy. - Niestety, nie będziecie państwo mogli telefonować ze względu na ryzyko, że przypadkiem zdradzicie miejsce swojego pobytu.

- Jak długo zamierzacie nas tu trzymać? - zapytała Berta Whitstable, przekrzykując innych.

- Nikt państwa tutaj nie trzyma siłą - odrzekł May. - Proszę o tym pamiętać. To dla państwa własnego bezpieczeństwa. Do momentu gdy odkryjemy, dlaczego to wszystko się dzieje i kto za tym stoi.

- A ile to może potrwać?

Bryant spojrział na współpracownika.

- Mam nadzieję, że nie dłużej niż dwa, trzy dni - powiedział. - Codziennie rano i wieczorem będą odbywać się apele. I, niestety, wprowadzimy godzinę policyjną. - Znowu rozległy się jęki.

Kiedy już wszystkie pytania zostały zadane, policjanci przeczytali listę, żeby sprawdzić, czy wszyscy są. Bryant spojrział w osłupieniu na kartkę. Figurowało tam imię, którego nie rozpoznawał.

- Kto to jest Ch.? - zapytał.

Zapadło niezręczne milczenie. Kilku z zebranych skierowało nagle uwagę na swoje dzieci. Przed Bryantem stanęła Berta Whitstable. Wyglądała na jedynego członka rodziny, który może wiedzieć, jak rozesłać prześcieradło. Wyglądała również na kogoś, kto może powiedzieć prawdę.

- Wie pani? - zapytał.

- To może być... to chyba jest... Charles - wydukała.

Bryant zasępił się. Na drzewie genealogicznym nie było żadnego Charlesa Whitstable'a.

- Nie rozumiem. Myślałem, że uwzględniliśmy wszystkich.

- Pana drzewo genealogiczne pokazuje tylko Whitstable'ów mieszkających w kraju. Charles mieszka za granicą.

- Gdzie konkretnie?

- W Indiach. W Kalkucie, żeby być dokładnym.

- Jest pani tego pewna? - zapytał May.

- Oczywiście, że tak - odrzekła Berta. - W końcu jest moim synem.

- Czy ma pani jego numer telefonu?

- Berta! - krzyknął jeden z mężczyzn, dochodząc do niej. - Nie masz prawa wciągać w to Charlesa. Lepiej zostawić go tam, gdzie jest.

Zainteresowanie Bryanta wzrosło.

- Wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać - powiedział, kładąc rękę na ramieniu Berty Whitstable i wprowadzając ją z pokoju.

33 W CIEMNOŚĆ

The Imperial miał okna wychodzące na Tamizę i został na nowo umeblowany, by wyglądał na stary. Jego sięgające od podłogi do sufitu okna czyniły sale lżejszymi niż cokolwiek w menu i przestronniejszymi, a kelnerzy zostali specjalnie wyselekcjonowani spośród najbardziej aroganckich. Podobne lokale miały wdzięk dla zamożnych pań po czterdziestce, które dosalały potrawy, zanim ich jeszcze spróbowały i nazywały deser puddingiem. Lata siedemdziesiąte nie były dobrymi czasami dla angielskich smakoszy, chyba że lubiło się *coq au vin*¹ pstrąga w migdałach i połówkę grapefruita na przystawkę.

¹ Coq au vin (fr.)- potrawka z kurczęcia w czerwonym winie.

Gwen jadała regularnie w The Imperial. Oczywiście bez męża. Sam była zaskoczona, widząc restaurację tak zatłoczoną w Wigilię. Miała na sobie ciemny kostium Chanel i odświętną bluzkę. Ten strój postarzał ją i nie cierpiała go, ale wiedziała, że sprawi nim przyjemność matce, ponieważ kupiła go jej na przyjęcie, na które Sam złośliwie nie przyszła.

Ujrzała matkę siedzącą za szkarłatnym obrusem, ponuro wpatrującą się w dekorację pośrodku stołu. Wyglądała mizernie, zupełnie jakby jakiś ciężar leżał jej na sercu. Kilka fałdek na jej kostiumie podkreślało spadek wagi. Uśmiechnęła się blade na widok córki, niepewna jej reakcji.

- Dzień dobry, mamó - powiedziała Sam, całując lekko Gwen w oba policzki. Wiedziała, że matka lubi być tak nazywana.

Wpatrywała się w córkę, gdy ta usiadła i położyła serwetkę na kolanach.

- Myślałam, że przynajmniej część świąt spędzimy razem - westchnęła. - Niestety, nie uda się. Ojciec przeprasza. Ma jedną z tych swoich migren. - Obie wiedziały, co to znaczy: poprzedniego wieczora wypił za dużo na kolacji świątecznej w firmie. Zawsze przesypiał Wigilię, bojąc się zmasowanego ataku na swoją wątrobę.

Raz kozie śmierć, pomyślała Sam.

- Mamó, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać - powiedziała.

Gwen uniosła rękę.

- Jest Wigilia, Samantho. Nie mam siły wysłuchiwać kolejnej deklaracji niepodległości. Proszę, nie mów mi, że chcesz uczyć się u Maharishiego albo jechać do Tybetu. Postarajmy się cieszyć swoim towarzystwem. Może ten miły kelner mógłby przynieść ci coś do picia. Ja zamówię kolejne wytrawne martini.

Sam uniosła widelec i udawała, że jest nim bardzo zainteresowana. Przez chwilę siedziały w milczeniu.

- Jestem już zmęczona hotelem - wyznała w końcu. - Chcę mieć nieco bardziej odpowiedzialną pracę. Udowodniłam sobie, że mogę coś robić, i myślę, że mam pewne zdolności. - Postanowiła nie wspominać, że od kilku dni nie pojawia się w pracy. - Chcę zacząć pracować u taty.

Gwen wyglądała, jakby miała się udławić oliwką. W ogóle tego się nie spodziewała.

- Nie oczekuję, że na początku będę zbyt wiele zarabiała. Muszę się dużo nauczyć, ale postanowiłam spróbować.

- Cóż... Nie wiem, co powiedzieć... - wyjąkała zaskoczona matka. - Zawsze sprzeciwiałaś się temu pomysłowi. Wszystkie te wykłady, jakie robiłaś Jackowi na temat kapitalistycznych świń... To ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się od ciebie usłyszeć.

- Jeśli twoim zdaniem to niezbyt dobry pomysł...

- Nie o to chodzi - zapewniła pospiesznie. - Jeśli mówisz poważnie, na pewno coś ci znajdziemy. Jesteś pewna? Zdajesz sobie sprawę z tego, co to za sobą pociągnie?

Mówili jej o tym wystarczająco często. To oznaczało praktyki w jednej z nudnych firm ojca, kursy księgowości, rachunkowości albo maklerstwa, jeśli woli. To oznaczało bycie kontrolowaną.

Musiała rozwiać wszelkie podejrzenia, jakie mogły się zrodzić w głowie matki. Podczas kolacji próbowała wyjaśnić tę nagłą zmianę, jaka w niej zaszła, opisując swe nadzieje związane z przyszłością. Zanim skończyły, Gwen tak trudno było powstrzymywać radość, że sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała eksplodować.

- Myślę, że mamy co świętować - oświadczyła, zamawiając bardzo drogiego szampana. - Chcesz sama o tym powiedzieć ojcu, czy zostawisz to mnie?

- A dlaczego nie miałybyśmy powiadomić go o tym razem? - zapytała Sam, unosząc z uśmiechem kieliszek.

- To naprawdę wspinała wiadomość - powiedział Jack, cudownie wyleczony z bólu głowy. - Nie masz pojęcia, ile to dla nas znaczy, Samantha. Cieszę się, że zaczęłaś myśleć o swojej przyszłości. Nagle wydorosłałaś. Myślę, że już niedługo przekonasz się, że dokonałaś właściwego wyboru. Nie mam syna... - Przerwał, by wydmuchać nos, po czym zaczął szukać szampana.

- Zawsze chcieliśmy dla ciebie jak najlepiej - stwierdziła Gwen, napełniając kieliszki. - Zobaczysz, że twoja decyzja nas do siebie zbliży. - Matka wyraźnie nie mogła już się doczekać ponownego wprowadzenia jej do przyzwoitego towarzystwa. Była w tym aż karykaturalna. Córka miała być dla niej przepustką do lepszego świata. Sam nie czuła złości do ojca, tylko smutek. Jack zawsze robił, co mu kazano. Poczwała gorycz i jej niechęć do Gwen wzrosła.

Przed wszystkim jednak czuła dreszczyk podniecenia.

- Jaki będzie następny krok? - zapytała, patrząc na nich.

- Chyba uda mi się załatwić ci jakieś praktyki - odrzekł ojciec. - Będziesz miała okazję zobaczyć, jakie możliwości stoją przed tobą, i która firma najbardziej ci odpowiada. Możemy wybierać do woli. Czy myślałaś o czymś konkretnym?

Starła się, by jej głos brzmiał niedbale.

- Zastanawiałam się, czy nie mogłabym zacząć od pracy u Charlesa Whittstable'a. - Cały czas nie dawały jej spokoju inicjały, którymi podpisane były listy znalezione w gabinecie ojca. - Nie wydaje mi się, żeby mnie pamiętał. W końcu ostatni raz widzieliśmy się dawno temu.

Jack milczał przez chwilę.

- Oczywiście, że cię pamięta - powiedział. - W końcu huśtał cię na kolanie. Traktował cię jak córkę. To jeden z moich najlepszych klientów.

Jak przez mgłę przypominała sobie zagracone mieszkanie w Chelsea, ale niewiele więcej. Znała tak wielu kolegów ojca... To, co było ważne, to związek z...

- Oczywiście to było przed jego wyjazdem do Indii. Ale zdaje się, że niedawno wrócił.

- I mógłbyś z nim porozmawiać?

Jack spojrzął na Gwen, jakby prosił ją o zgodę.

- Może uda nam się go złapać.

Sam zastanawiała się, jak długo jeszcze będą w stanie powstrzymać się od wybuchu entuzjazmu. Jack wyszedł z pokoju, aby zadzwonić, mimo że aparat stał również na stoliku przy jego fotelu w salonie. Gwen usiadła, po czym poklepała Sam po rękach i uśmiechnęła się do niej, niezdolna do dalszej rozmowy.

Żadne z nich nie zgłębiało powodu tej nagłej zmiany zdania. Miała nadzieję, że już do tego nie wróci.

Po kilku minutach Jack pojawił się z powrotem w pokoju.

- Nic prostszego - oznajmił pogodnie. - Nie ma co dalej tracić czasu. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Umówiłem was na jutro rano.

- W pierwszy dzień świąt?

- To będzie po prostu świąteczny kieliszeczek przed lunchem. Tak się akurat składa, że Charles szuka świeżej krwi, jest szalenie wpływowym, a poza tym stoi na czele Czeigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów. Sprawiał wrażenie szczerze ucieszonego telefonem ode mnie.

Mieszkanie Johna Maya na Muswell Hill nie mogło być mniej podobne do mieszkania jego współpracownika. Nie było nic w jego otoczeniu, co mogłoby przypominać mu o przeszłości. Ściany były gołe i jasne. Spośród zwojów kabli wystawały: faks, najnowocześniejszy zestaw hi-fi z ogromnymi kolumnami, nierówne stosy książek, longplayów, kaset, czasopism i sterta brudnych naczyni.

Tego wieczora wrócił do domu późno, przygnębiony nastawieniem Landa, ale ciesząc się zarazem, że udało im się zyskać trochę więcej czasu. Był przeziębiony. Zapewne zaraził się od Bryanta, który przechodził zwykłe zimowe choroby bez zbytniego cierpienia, niczym ognisko zarazy. W pracy gardło i głowa bolały go coraz bardziej - przypuszczał, że złapał grypę - i Longbright w końcu wysłała go do domu, zapewniając, że z łatwością poradzi sobie z żądaniami Whitstable'ów.

Przygnębiało go, że był nerwowym, rozdrażnionym i nie mógł spać. Dotąd ignorował coraz bardziej nachalne prośby Whitstable'ów, ponieważ nie chciał odrywać się od śledztwa, ale teraz, kiedy ich zebrali wszystkich razem, wiedział, że będzie to o wiele trudniejsze. Kilko z nich ciągle wydzwaniało z protestami, skargami i żądaniami, mimo że prosili, by nie korzystali z telefonu.

Fakt, iż znajdowali się tam z własnej woli, wydawał się uchodzić ich uwagi; jedno z dzieci Whitstable'ów domagało się, by przywieziono mu jego króliki, w innym wypadku powie tacie, żeby zadzwonił do MSW. I tak było cały dzień.

May zrobił sobie gorący napój z cytryny i dodał kropelkę brandy. Przez okno w kuchni spoglądał na zamgloną panoramę Londynu. Czteropiętrowy budynek był położony na szczycie wzgórza i zapewniał piękny widok miasta w dzień.

Teraz ulice poniżej były ciche i opustoszałe. Samochody stały w garażach. Światła w domach paliły się. To jedyny wieczór w roku, który rodziny powinny spędzać razem. Liczba ofiar śmiertelnych w mieście wzrośnie dopiero jutro. Zawsze wzrasta w pierwszy dzień świąt. Zaskakujące, jak wiele ataków serca następuje po lunchu i przemówieniu królowej, kiedy wybuchają zwykle awantury między mężczyznami i żonami.

May myślał o Jane, swojej żonie, i o tym, jak długo już jej nie było. Myślał również o fatalnym małżeństwie swojej córki Elizabeth i o tym, jak jej może pomóc. I zastanawiał się, czy to nie był egoizm, że pracował, podczas gdy powinien być z nimi.

Od kilku godzin nie miał żadnej wiadomości od Bryanta. Ta sprawa dużo ich kosztowała. Zadziwiająca ilość pracy papierkowej narosła w biurze i musieli się w końcu z nią uporać. Wydział Przepływów Osobliwych od wcześniejszych eksperymentalnych jednostek policji londyńskiej różniło między innymi to, że pewne procedury zostały scedowane na pracowników w innych wydziałach, dzięki czemu oficerowie śledczy mogli skoncentrować się na najważniejszych aspektach dochodzenia. Setki godzin przesłuchań, badań zakładu medycyny sądowej, oddzielania włókien, zbierania dowodów, ustalania grup krwi, dokumentowania zeznań świadków i wiele innych rutynowych czynności - wszystko to zostało oddane do zespołów w West End Central. Nie podobało się to funkcjonariuszom policji londyńskiej. Ten stan nie mógł długo potrwać.

Nagły dzwonek telefonu sprawił, że May zaczął się zastanawiać, czy to jego przyjaciel dzwoni, by spytać o zdrowie. Zamiast tego w słuchawce usłyszał głos Alison Hatfield z Goldsmith's Hall.

- Przepraszam, że niepokoję o tak późnej porze w Wigilię, ale pani sierżant powiedziała mi, że mogę śmiało dzwonić - wyjaśniła.

- Nie ma sprawy - odparł. - Wesołych świąt. Zdaje się, że straciłem poczucie czasu.

- Mówiąc szczerze, nie jestem wielką miłośniczką Bożego Narodzenia. Całe to obżarstwo! Moja współlokatorka ma dyżur w szpitalu, więc rozkoszuję się ciszą w domu. Mam pewną wiadomość, która zapewne pana zainteresuje. Wydaje mi się dosyć ważna. Czy mógłby pan przyjechać do naszej siedziby?

- Będę tam za pół godziny - odparł May, rozpogadzając się. Przynajmniej będzie mógł się czymś zająć. - Czy możemy się spotkać przed głównym wejściem?

- Oczywiście. Przyniosę termos z herbatą i brandy. Przynajmniej wzniesiemy toast świąteczny.

- Jest pani bardzo rozsądną kobietą, panno Hatfield. - Rozłączył się, po czym zadzwonił do wydziału, ale okazało się, że Bryant jeszcze nie wrócił z domu Whitstable'a. May wiedział, że nie powinien wychodzić na taki ziąb, ale był pewien, że jeśli rozwiążą tę sprawę, to dzięki odkryciom kogoś takiego jak panna Hatfield, a nie dzięki analizie włókien.

Dwadzieścia minut później dotarł do głównego wejścia Goldsmith's Hall. Alison już na niego czekała. Znów była zakutana w ciepłe ubrania, które wydawały się dla niej zbyt poważne, i zupełnie jakby ponure otoczenie próbowało wyciągnąć z niej młodość.

- Mam nadzieję, że nie odciągnęłam pana od czegoś ważnego - zaczęła przeproszać, potrząsając jego ręką.

- Cieszę się, że zadzwoniłaś, Alison - zapewnił ją May, przypominając sobie, że prosiła, by zwracał się do niej po imieniu.

- W środku nikogo nie ma. Wszyscy wyjechali na święta. Wszystko pozamykane na cztery spusty. Mamy cały budynek do dyspozycji.

Poszli pustą alejką do siedziby cechu zegarmistrzów.

- Wczoraj dzwonił do mnie pan Leo Marks - powiedziała Alison, otwierając drzwi. - Chciał się dowiedzieć, gdzie znajdują się pewne dokumenty.

May przypomniał sobie, że prosił prawnika o sprawdzenie historii finansowej cechu. Wyglądało na to, że w końcu zamierzał spełnić tę prośbę.

- Pracuję tu od sześciu lat - kontynuowała Alison - a wciąż nie mam pojęcia, gdzie się znajdują starsze akta. Ta okolica ucierpiała bardzo podczas Blitzu¹. Tu musiało być mnóstwo dokumentów. Zostały wywiezione dla

bezpieczeństwa, ale wszystko to robiono w takim pośpiechu, że nie segregowano ich. Kiedy wróciły po wojnie, okazało się, że nie ocalał nikt, kto by pamiętał, jak powinny być ułożone.

¹ Blitz - długie i intensywne bombardowanie Wielkiej Brytanii przez Luftwaffe od września 1940 do maja 1941.

Doszli do windy. May odciągnął ciężką kratę, świadom, że ubrudzi płaszczyznę wysmarowaną olejem prętami.

- Powiedziała panu Marksowi, że będzie trudno znaleźć to, czego szuka, bo moje akta są niekompletne. - Alison zasunęła kratę i wcisnęła mosiężny przycisk. Winda szarpnęła, po czym zaczęła zjeżdżać.

- Co dokładnie go interesowało?

- Szczegóły zagranicznych operacji finansowych religijnych fundacji charytatywnych, tego rodzaju rzeczy. Myślałam, że tutaj coś znajdę. Przynajmniej będę mogła powiedzieć, że się starałam. Nie udało się, ale znalazłam za to coś, co zapewne pana zainteresuje.

Wilgoć wypełniła ich nozdrza, kiedy winda zatrzymała się na dole. Alison podała policjantowi latarkę i wyszli na pogrążony w mroku korytarz. Po obu jego stronach na ścianach widać było czarne ślady od wody.

- Czy nie wspomniałaś, że pod nami jest jeszcze jedno piętro? - zapytał May. Pod stopami wyczuwał odległe dudnienie pociągów.

- Tak, i przypuszczalnie jest tam jeszcze dużo dokumentów, ale nie jest tam bezpiecznie. Pod tymi starymi budynkami znajdują się rzeczy, których nikt nigdy nie znajdzie. Na pewno zna pan targ rybny Billingsgate przy Lower Thames Street. Chciano go zamknąć, ale okazało się, że w środku jest dwustu-letnia zmarzlina, której najmocniejsza stal nie może przeciąć. Rzeka utrzymuje naturalną epokę lodowcową w podziemiach. Więc Bóg jeden wie, co w tej chwili znajduje się pod nami. - Zatrzymała się przed pomalowanymi na brązowo drzwiami przy końcu korytarza. May ujrzał kolejny ciemny korytarz biegnący w dwóch kierunkach.

- Co tam jest? - zapytał.

- Pojęcia nie mam i chyba nie ja jedna. - Zadrżała i otworzyła drzwi. W świetle latarki widać było obłoczki wydychanego powietrza. - Tu zawsze jest zimno, nawet w środku lata. - Nacisnęła mosiężny włącznik na ścianie i nad

nimi zapaliła się brudna słaba żarówka. Pomieszczenie było wypełnione pokrytymi pleśnią kartonami. Kiedy Alison poruszyła jeden, po podłodze przebiegły dziesiątki małych brązowych robaków.

- Poprosiłam portiera, żeby włączył światło awaryjne, zanim pójdzie do domu - powiedziała. - Diabli wiedzą, skąd ono się bierze. Tutaj.

Otworzyła pudło i poświeciła latarką do środka. Z ciemności wynurzył się znajomy płomień - znak Przymierza. Wyciągnęła oprawioną w skórę teczkę i podała mu, wycierając z pajęczyn.

- Wolałam nie wynosić tego stąd bez pana, na wypadek oskarżenia o niszczenie dowodów czy coś w tym stylu. - Ostrożnie sięgając do kartonu, wyjęła drugą teczkę.

- Co to jest? - zapytał zmieszany.

- Wydaje mi się, że w pierwszej znajduje się część oryginalnej umowy handlowej Przymierza. Wygląda, jakby brakowało kilku kartek, ale spróbuję je znaleźć. W drugiej tezcze są czyjeś notatki, ale pismo jest nieczytelne. Pochodzą z tego samego okresu, więc myślę, że mogą okazać się przydatne.

- Jest tam jeszcze coś? - zapytał May, pokazując pudła.

- Nie wydaje mi się, żeby było tam jeszcze coś równie starego. Pozostałe dokumenty w tym kartonie pochodzą z połowy lat pięćdziesiątych. Szczerze mówiąc, nie chciałam szukać dalej, bo bałam się szczurów.

- Nie szkodzi, i tak znalazłaś coś ważnego. - Spojrzał na tył dokumentu. Na ostatniej stronie przeczytał: „Porozumienie niniejsze podpisane i poświadczone zostało 28 grudnia roku pańskiego 1881 w hotelu Savoy, Strand, Londyn, Anglia”.

Pod spodem widniało siedem podpisów, ten na samej górze należał do Jamesa Makepeace'a Whitstable'a.

- Czy możemy już wracać? - zapytała Alison. Rękami obejmowała swe szczupłe ramiona i trzęsła się z zimna.

May przestał czytać.

- Oczywiście, ale jestem bezmyślny. Musiałaś przemarznąć do szpiku kości.

Kiedy dotarli do ciepłego głównego holu, uściśnął czule jej rękę.

- To już drugi raz, kiedy mi pomagasz - powiedział. - Gdy tylko to śledztwo dobiegnie końca, pozwolę sobie zaprosić cię na kolację.

Alison roześmiała się.

- Podoba mi się ten pomysł. Ale ostrzegam: mam wilczy apetyt.

Nagle zrobiło mu się przykro, że spędza święta sama.

- Może cię podwieźć? - zapytał.

- Dziękuję, mam samochód.

- Jeśli będziesz miała dosyć samotności, wpadnij do naszego wydziału - zaproponował. - Nie będziemy zbyt hucznie świętować, ale zawsze będziesz mile widziana.

- To bardzo uprzejme z pana strony. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Chętnie skorzystam. - Podniósłszy kołnierz, wyszła szybko na deszcz.

Wracając do samochodu, May kichnął tak mocno, że dokumenty, które trzymał pod ramieniem, omal nie wpadły do rynsztoka. Głowa mu pękała, ale przynajmniej miał nowe dowody. Gdy tylko wrócił do domu, zadzwonił do Bryanta.

- Czy wie pan, która jest godzina? - zapytała Alma Sorrowbridge. May odniósł wrażenie, że była na lekkim rauszu. - Jeszcze nie wrócił. Obiecał, że spędzimy Wigilię razem. Zrobiłam jego ulubioną zapiekankę. Otworzyłam butelkę sherry. - Wyglądało na to, że nie tylko otworzyła. - Nigdy nawet nie przyjdzie mu do głowy, żeby zadzwonić z przeprosinami.

- Almo, przecież doskonale wiesz, że w jego wypadku praca ma pierwszeństwo.

- Wiem, ożenił się ze swoją pracą i tak dalej. Mówił mi to setki razy.

- Czy nie wiesz przypadkiem, jakie ma plany na pierwszy dzień świąt? - zapytał May.

- Owszem, wiem - odparła gospodyni z dezaprobatą. - Zamierza iść w odwiedziny do tej szalonej bezbożnicy, tej w jaskrawych ciuchach i śmiesznych kolczykach.

Tylko jedna znajoma Bryanta pasowała do tego opisu: szefowa Zgromadzenia Camden Town.

- Masz na myśli Maggie Armitage? - zapytał.

- Tak, tę wariatkę.

- Może byłabyś tak dobra i poprosiła go, żeby zadzwonił do mnie przed wyjściem. Przykro mi z powodu świąt - dodał. - Wierz mi, że żaden z nas nie ma za bardzo czasu na świętowanie.

Przy wtórce deszczu dzwoniącego o szyby May wydmuchał nos i otworzył pierwszą teczkę. Kartki pachniały stęchlizną i zgnilizną, zupełnie jakby

zostały skażone przez słowa, które się na nich znajdowały. Zaczął czytać. Boże, żadnych więcej fałszywych tropów, błagał w myśli. Zabierz mnie w ciemność...

34 NAPASTNIK

Mam już tego dosyć, pomyślała Pippa Whitstable, gniewnie wpatrując się w telefon przy łóżku. Miała nadzieję, że spędzi Wigilię z Nigelem w RAC Club. Zamiast tego była zmuszona bawić się w niańkę bandy bachorów. Ledwo je w ogóle znała. Rodzina spotykała się tylko przy okazji wesel i pogrzebów. I oto przyszło im żyć pod jednym dachem, a policja wydawała się traktować to wszystko jak niezły żart.

Poprawiła szpilkę tkwiącą w blond włosach i usiadła na brzegu składanego łóżka. Było po północy, za późno na telefon do Nigela; na pewno już wyszedł do klubu.

Mogła pójść tam, żeby się z nim zobaczyć. To byłaby idealna świąteczna niespodzianka. Słyszała, że kupił jej coś naprawdę wyjątkowego. Boże, robiła wystarczająco dużo aluzji do nowego mercedesa. Chyba nie okaże się skąpy i nie wciśnie jej jakiegoś byle świecidełka?

Dzięki Bogu, wzięła ze sobą małą czarną. Ale jak wymknąć się niepostrzeżenie z domu? Dobrze przynajmniej, że mieszkała w osobnym pokoju, chociaż nie wietrzono go od wieków i był wielkości klatki na króliki. Nie wszyscy jeszcze się położyli. Zastanawiała się, ilu jej krewnych dalej przesiaduje w salonie. Chociaż nawet gdyby udało się jej zejść niepostrzeżenie po schodach, to i tak na ganku stali policjanci. A ci z pewnością powiedzieliby o wszystkim jej matce, która zawsze była gotowa pozbawić ją przyjemności. Szkoda że kiedy wybuchło Lato Miłości, była za młoda, żeby w nim uczestniczyć. Młodych dam z jej sfery nie dopuszczano do tego rodzaju grzesznych przyjemności.

O wiele bardziej obiecujące było okno w sypialni. Otworzyła je najciszej, jak tylko mogła. Przynajmniej deszcz zelżał do mżawki. Znajdowała się na pierwszym piętrze, jakieś piętnaście stóp od ziemi. Za wysoko, żeby skakać. I wtedy zauważyła rynnę. Miała ozdobne uchwyty. Niech Bogu będą dzięki za

wiktorianów! Szybko przebrała się w czarną sukienkę i czólenka, po czym włożyła portmonetkę i kosmetyczkę do małej czarnej torebki. Bardzo ostrożnie wyszła przez okno na pierwszy uchwyt, sprawdzając jego wytrzymałość.

Ani drgnął. Uśmiechnęła się do siebie w ciemności, po czym przymknęła okno. Kilka chwil później stała już na trawniku.

Wytarłszy brudne ręce o mokre liście, rozejrzała się za najdogodniejszym wyjściem z ogrodu. Po prawej stronie rozciągał się las. Nie najlepszy pomysł w tych butach. Po lewej zobaczyła furtkę, a za nią alejkę. Po chwili już nią szła. Furtkę zostawiła uchyloną dla umożliwienia sobie powrotu.

Cieszyła się jak dziecko. Nie miało znaczenia, ile czasu będą zamknięci w tym domu; znalazła drogę ucieczki. Łatwo złapie taksówkę z Hampstead High Street. Pytanie tylko, w którym kierunku musi iść. Alejka tonęła w ciemności.

Ze swojej kryjówki w ogrodzie musiał widzieć, jak otwierała okno, bo ledwo ruszyła alejką, już ją złapał, przyciskając lodowatą dłoń do jej ust i odciągając od światła latarń. Pierwszy atak paniki minął, kiedy uświadomiła sobie, jak drobny jest napastnik. Wziął ją przez zaskoczenie i dlatego udało mu się pozbawić ją równowagi, ale teraz wyprostowała się i wbiła mocno obcasy w ziemię. Tym razem naprawdę wybrałaś niewłaściwą ofiarę, pomyślała, przygotowując się do kontrataku. Naucz się go, co to znaczy zadzierać z posiadaczką zielonego pasa.

Czuła jego żebra na swoich plecach i ze wszystkich sił uderzyła go łokciami. Uścisk jego ręki zelżał. Otworzyła usta i ugryzła go mocno w palec.

Wyrwała się i zaczęła biec, ale napastnik rzucił się na jej nogi i wylądowali razem na chodniku. Jego ręce wślizgnęły się we włosy, uderzył jej głową o mokrą kamienną płytę. Ostry ból przeszył ciało, dając jej bodziec, żeby się przekręcić na plecy. Kiedy w końcu mogła go dojrzeć, była zaskoczona, widząc twarz staruszka, wyłysiałego i śniadego, z cienkimi kosmykami długich włosów nad uszami. Miał zapadnięte oczy, prawie nieprzejrzyste od katarakty. Najbardziej uderzający ze wszystkiego był wyraz jego twarzy, wyraz męki i zdezorientowania. Kiedy oparł się na jednej nodze, uniosła pięść i uderzyła go z całej siły w twarz, powalając na ziemię.

Nie spodziewała się, że wstanie i nie dostrzegła kukri¹ w jego lewej ręce. Kiedy zadawał nim cios, patrzył w dół, zupełnie jakby się wstydził, że próbuje pozbawić ją życia.

¹ Zakrzywiony nepalski nóż używany zarówno jako broń sieczna, jak i narzędzie (przyp. tłum.).

35 NADEJŚCIE CIEMNOŚCI

W pierwszy dzień świąt, o jedenastej pięćdziesiąt pięć Sam spoglądała na zamarznięte białe pola Hertfordshire i rozmyślała o swoim spotkaniu z Charlesem Whitstable'em. Według jej ojca, na wieść o zabójstwach Charles zostawił niedokończone sprawy i wrócił do Anglii. To on mógł znać odpowiedź na pytanie, co spotkało jego rodzinę.

Zapał Jacka do wprowadzenia jej w rodzinne interesy zatarł poczucie winy, jakie czuła w związku z oszukiwaniem rodziców. Chciała być obecna przy rozwiązaniu tej zagadki i odkryć znaczenie korespondencji matki. Tej części jej życia, która była zamknięta tak samo jak nowa - otwarta.

Czarny mercedes Jacka zatrzymał się przed bramą, jego spaliny tworzyły chmurki w mroźnym porannym powietrzu. Ze stróżówki wyszedł młody Hindus, mówiąc do Jacka nienaganną angielszczyzną.

Kiedy ruszyli drogą dojazdową, zza zasłony poskręcanych od wiatru drzew wynurzyła się wspaniała georgiańska posiadłość Charlesa Whitstable'a. Ojciec uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Całkiem niezła, co?

- Przepiękna. Byłeś tu już kiedyś?

- Nie, ale Charles często wspominał mi o tym miejscu.

- Jak go poznałeś?

- Zgadaliśmy się lata temu na kolacji i pomogłem mu przy imporcie bawełny. Stoi za nim cech, a to stanowi najlepszą z możliwych rekomendację. Ale Charles ostatnio rzadko bywa w kraju. Wrócił tylko dlatego, że cała ta sprawa z jego rodziną może niekorzystnie wpłynąć na interesy. Musi uspokoić akcjonariuszy.

- Wygląda na to, że ma pełne ręce roboty. Jesteś pewien, że zechce się ze mną zobaczyć?

- Słyszałem, że szuka asystenta. Na pewno nie będzie chciał wtajemniczać w swoje sprawy kogoś całkowicie z zewnątrz. Myślę też, że nie będzie miał nic przeciwko kobiecie. - Jack mrugnął okiem. - Świat wielkich interesów nie jest

już domeną mężczyzn. Zmieniłaś zdanie w idealnym momencie.

Sam miała uczucie, jakby rodzice radośnie oddawali ją lwu na pożarcie. Ojciec zgasił silnik i poprawił krawat. Miał wiele powodów do zdenerwowania. To spotkanie było tak samo ważne dla niej, jak i dla niego.

Drzwi otworzyła atrakcyjna, młoda hinduska pokojówka. Zaprowadziła ich do pokoju śniadaniowego, gdzie, jak ich zapewniła, pan Whitstable za chwilę do nich dołączy, po czym wyszła.

Usiedli wśród skarbów epoki wiktoriańskiej. Tapeta przedstawiała listki róży splecione z atłasową wstążką. Trzciniowe krzesła stały wokół dębowego stołu. Na zielonym atłasowym chodniczku znajdowały się figurki zwierząt z brązu, złocene kufarki, wyszukane pudełeczka i posążki dzieci i psów. Panował zaduch, bo pokój od dawna nie był wietrzony.

Milczeli. Słychać było jedynie niespieszne tykanie zegara szafkowego. Kilka minut później w pokoju pojawił się Charles Whitstable.

Był to wysoki, mierzący co najmniej sześć stóp i dwa cale, dobrze zbudowany mężczyzna pod czterdziestkę. Jego konserwatywny czarny garnitur i zaczesane do tyłu włosy przywodziły na myśl kogoś pomiędzy maklerem giełdowym a dziedzicem. Roztaczał naturalną aurę władzy.

- Aleś wyrosła! - wykrzyknął na jej widok. Uścisk ręki miał pewny i zimny. Sam uśmiechnęła się do niego. Ich oczy się spotkały. Czy naprawdę ten człowiek traktował ją kiedyś jak córkę? Miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy w życiu. Jego opalona twarz była niemal całkowicie nieruchoma. Sam momentalnie zaczęła się denerwować. Charles przywitał się z jej ojcem. - Jack, przykro mi, że tak rzadko się widzujemy. Przyjechałem, żeby uspokoić inwestorów. Nie polecam Liverpoolu zimą.

Usiadł na jednym z trzciniowych krzeseł.

- No, młoda damo, przebyłaś daleką drogę od naszego ostatniego spotkania. - Przez chwilę Sam wydawało się, że przejrzał jej prawdziwe pobudki. - Zobaczmy - porzuciłaś szkołę i przysporzyłaś trosk rodzicom. Wpędziłaś się sama w chorobę, narażając tych, którzy cię żywili i karmili, na koszt. Wystarczająco długo zachowywałaś się jak dziecko. - Charles wcisnął mosiężny przycisk. - Niedługo skończysz osiemnaście lat, ale skąd mam mieć pewność, że zaczniesz się zachowywać odpowiedzialnie?

W drzwiach pojawiła się pokojówka. Charles przywołał ją gestem. Sam poprawiła się na krześle, wygładzając fałdki na kostiumie i usiłując ukryć zdenerwowanie.

- Doceniam pana szczerłość. Wiem tylko tyle, co wyczytałam na temat pana rodziny w gazetach, więc ma pan nade mną przewagę. Moi rodzice już dawno chcieli zatrudnić mnie w rodzinnej firmie. - Nie mogła powstrzymać się od spojrzenia na Jacka. - Ojciec uważa, że się panu przydam, a ja chcę się uczyć.

- Nie idziesz na studia, nie masz za sobą praktyki w cechu. Skąd wiesz, że poradzisz sobie z naszym szkoleniem w dziedzinie zarządzania?

- Sukcesy w biznesie odnoszą indywidualiści, nie konformiści. To czyni ze mnie Whitstable'a, nawet jeśli noszę inne nazwisko.

Charles Whitstable wstał i podszedł do sięgających do podłogi okien, z których rozciągał się widok na spowite mgłą tereny posiadłości.

- Potrzebny mi ktoś, komu będę mógł zaufać. W naszej rodzinie nie zostało zbyt wielu młodych ludzi. Za mało dzieci.

- Rozumiem. Potrzebuje pan świeżej krwi.

- Właśnie. - Charles odwrócił się od okna. - Jack, czy mógłbyś zostawić nas na chwilę samych?

- Wolałbym zostać z Sam - odparł jej ojciec, unosząc się na krześle. Przez ułamek sekundy widziała zakłopotanie w jego oczach. On się bał Charlesa! Ale dlaczego?

- To nie będzie konieczne. Daj spokój, Jack, jest Boże Narodzenie. Powinieneś być z żoną. Sam dotrzyma mi towarzystwa podczas obiadu.

- Ale dzisiaj nie jeżdżą autobusy... - zaczął Jack.

- W takim razie zostanie na noc. Muszę tylko przewietrzyć jeden z pokoi. Odbierzesz ją jutro rano.

Chociaż nie uzgodniono jeszcze warunków zatrudnienia, Sam wiedziała, że została schwytana w zatrute objęcia rodziny Whitstable'ów.

Maggie Armitage zapaliła kadzidełko i umieściła je w nozdrzu afrykańskiej maski.

- Tak będzie lepiej - powiedziała. - Dzięki temu pozbędziemy się zapachu wilgoci, który tutaj panuje. - Stali w pokoju nad pubem World's End, naprzeciwko

stacji metra Camden Town. Ulice były jasne i puste jak opuszczony plan filmowy. Okna mieszkania zasnuła skroplona para. Woda kapała miarowo przez czarną plamę na suficie. Kilka wyblakłych łańcuchów papierowych zwisało smętnie z sufitu w daremnej próbie wprowadzenia świątecznej atmosfery.

Maggie miała niewiele ponad pięć stóp wzrostu, jednak to, co traciła przez wzrost, nadrabiała żywym temperamentem. Wszelkie problemy, ogólnokrajowe, lokalne czy osobiste, rozwiązywała z taką samą werwą i życzliwością. Przy całej złożoności swych wierzeń była osobą praktyczną, co pozwalało utrzymać Zgromadzenie Świętego Jakuba Starszego przy życiu w czasach, kiedy tak wiele innych tego rodzaju grup kończyło działalność.

W ich szeregach znajdowało się obecnie wielu członków honorowych (każdy z nich płacił kilka funtów miesięcznie na rachunki i koszty poczęstunku). Zbierali się w tym mieszkaniu w poniedziałki wieczorami i kończyli bardziej hałaśliwie w pubie na dole. Wiele ich prac miało prozaiczny charakter: prowadzili korespondencję z innymi zgromadzeniami i powielali biuletyn. Odpowiadali poza tym na pytania, dyskutowali o wydarzeniach na świecie i wymyślali nowe wymówki, by uniknąć eksmisji.

- Widzę, że udaje wam się jakoś tu utrzymywać - zauważył Bryant, nieufnie patrząc na przemoczony sufit.

- Właściciel od lat stara się nas stąd pozbyć, ale ostatnio stracił do tego serce - odparła Maggie. - Zwłaszcza po tym, jak Doris rzuciła zły czar na jego samochód.

- Myślałem, że nie bawicie się w takie rzeczy.

- No cóż - westchnęła - to wbrew naszym zasadom, ale on był naprawdę jak wrzód na dupie.

- I co? Udało się?

- Chyba tak. Za każdym razem, kiedy przyjeżdża po czynsz, spóźnia się o pół godziny i ma ręce całe w smarze. Czy skusisz się na moją świąteczną herbatkę?

- Sam nie wiem... - wyznał Bryant, patrząc na nią spod oka. - Czy jest pełna dziwnych ziół i aromatycznych przypraw?

- Nie, to PG Tips z kropelką winiaku.

- A, to co innego. - Przesunął stertę czasopism i usiadł. - Gdzie są wszyscy?

- Skończyliśmy dziś wcześniej, bo Maureen robi świąteczny obiad dla swojej rodziny. Wbrew swoim zasadom, bo jest przecież praktykującą poganką. Inni poszli do pubu na dole. Nie przyłączymy się do nich. Są zajęci kłótnią o pochodzenie Yggdrasil - Drzewa Świata. Dyskusja jest naprawdę zażarta.

- Obawiam się, że nie jestem w temacie - wybałał Bryant.

- Wstydź się, powinieneś być! - odrzekła Maggie, nalewając szczerą dawkę calvadosa do swojej filiżanki. - To właśnie dlatego kładziemy prezenty pod choinką. Yggdrasil w mitologii nordyckiej to drzewo, które łączy nasz świat z niebem i piekłem. Przystrajanie drzewka jest aktem, który symbolicznie przynosi nam dary mądrości. I tak się dziwnie składa, że ma coś wspólnego z twoim śledztwem.

Bryant nie mógł się doczekać, kiedy to usłyszy. Maggie przemierzyła pokój, zwinnie omijając dwa wiadra, do których wpadała deszczówka, i zdjęła z jednego z niezliczonych regałów ogromne tomiszcze.

- Zagłębiłam się w tę twoją sprawę i chyba coś odkryłam. - Położyła książkę na stole. - To album świątecznych zwyczajów, wydany w Skandynawii pod koniec XIX wieku. Po naszym ostatnim spotkaniu zaczęłam myśleć o panu Whitstable'u i jego Sługach Niebios. Nie mogłam zrozumieć, co zainspirowało go do założenia takiego akurat towarzystwa, chociaż zupełnie mnie nie zdziwiło, że je założył.

- Nie zdziwiło?

- Oczywiście, że nie. Nie zapominaj, że oni byli wiktoriańskimi twórcami imperium. Panowie przemysłu, ujarzmiający dzikusów, a jednocześnie głoszący słowo Boże. Za jak wielkich musieli się sami uważać! Po prostu boskich! Ludzie pokroju Jamesa Whitstable'a postrzegali siebie jako nadludzi, wykształconych, oświeconych i potężnych. Chcieli odgradzić się od motłochu, być doceniani przez siebie równych. I szukali metod rozwoju duchowego. Czasami jednak nabierali złych nawyków. Obecnie uważa się, że epoka wiktoriańska była czasem bezmyślnego imperializmu. Szok wywołuje przypomnienie, że młoda królowa Wiktoria chciała zapoczątkować nową erę demokracji, tolerancji i wolności dla wszystkich. Sprawy ułożyły się kompletnie nie po jej myśli z powodu rygorystycznie przestrzegane systemu klasowego, a także dlatego, że ludzie tacy jak Whitstable'owie postawili się ponad innymi. Władza daje nieograniczone możliwości, a prywatne towarzystwa tworzone, żeby je ograniczać.

Otworzyła księgę tam, gdzie tkwiła zakładka, i pokazała dwa wspaniałe akwarelowe obrazki. Na pierwszym znajdował się święty Mikołaj z reniferem. Drugi przedstawiał boga Odyna dosiadającego ośmionogiego konia z rogami. Wyglądali zadziwiająco podobnie. Te dwie mityczne postaci dzieliło o wiele mniej, niż Bryantowi się wydawało.

- Myślę, że to symptomatyczne, że Whitstable postrzegają siebie jako Ocha - kontynuowała Maggie. - Mężczyźni na zdjęciu skojarzyli mi się z czymś, ale nie bardzo wiedziałam z czym. Później udało mi się przypomnieć. Pokój, w którym znajdowało się tych siedmiu mężczyzn, był przystrojony na święta. Na kominku widać ostrokrzew. Obecnie Boże Narodzenie to jedyne w swoim rodzaju święto, pierwotnie jednak czciło się nie narodziny Jezusa, ale odrodzenie światła następujące po najkrótszym i najciemniejszym dniu zimy. Chcesz ciasteczko? - Potrząsnęła puszką, która zabrzęczała tak, jakby w środku były kamienie. - Przesilenie zimowe zawsze uważano za bardzo niebezpieczny czas. Człowiekowi prymitywnemu musiało się wydawać, że noce będą coraz dłuższe, aż wreszcie zapadnie całkowita ciemność. Nasi przodkowie szukali sposobu odparcia tej wszechogarniającej ciemności rytuałami i obrzędami i robili to przez ponad pięć tysięcy lat. Co za ulgę musieli odczuwać za każdym razem, kiedy okazywało się, że dni znów stają się coraz dłuższe! Cóż za okazja do świętowania! Zapewne wiesz, że świętowanie Bożego Narodzenia wzięło się właśnie stąd: z obchodów triumfu światła nad ciemnością, a co za tym idzie - zwycięstwa dobra nad złem. Ludzie biadolą, że Boże Narodzenie za bardzo się skomercjalizowało, ale prawda jest taka, że zanim niebiańskie chóry aniołów uczyniły je takim mdłym i uroczystym, było wyjątkowo hałaśliwym pogańskim świętem, czasem wielkiego używania.

- Wszystko pięknie, tylko co to ma wspólnego z Jamesem Makepeace'em Whitstable'em?

- Wybacz, myślałam, że wyrażam się jasno. Założmy, że fotografia członków Przymierza Światłości Wiekuistej została wykonana pod koniec grudnia. Przesilenie zimowe przypada dwudziestego pierwszego lub dwudziestego drugiego grudnia. Rozumiesz?

- Ani w ząb - wyznał Bryant.

- Popatrz na te ilustracje - ciągnęła Maggie cierpliwie. - Święty Mikołaj jest ugrzecznoną chrześcijańską wersją przerażającego, jednookiego pogańskiego

boga Odyna. Koń Odyna, Sleipnir, stał się reniferem Rudolfem. Kiedy zdarzyło się pierwsze morderstwo?

- Szóstego grudnia.

- W dzień świętego Mikołaja. Pierwszy dzień walki między światłem i ciemnością. Walki, która kończy się dopiero wtedy, gdy światło zaczyna znów przeważać, po dwudziestym pierwszym grudnia. - Zamknęła książkę i podała mu ją. - Obawiam się, że te morderstwa jeszcze się nie skończyły.

- Ale mamy Boże Narodzenie. Dni znów zaczęły się wydłużać.

- Czyżby? - zdziwiła się Maggie obłudnie. - Przy tej okropnej pogodzie, jaka nam towarzyszy od kilku tygodni, jesteśmy poniżej średniej. Zamiast tego mamy coraz więcej ciemności. A co z tymi wszystkimi przerwami w dostawach prądu? Rząd nie poddaje się. Przewiduje się, że będą trzy godziny ciemności każdego wieczora, a może być jeszcze gorzej. Chyba ofiary nie skutkują.

- Nie chce mi się wierzyć, że świat pograża się w ciemności dlatego, że jakimś tajemnemu stowarzyszeniu nie udało się przywrócić światła. Edward Heath jest nieudolny, ale trudno go raczej uznać za wyznawcę szatana. Następną rzecz, w którą będziesz chciała, żebym uwierzył, to sala pełna zamaskowanych polityków, trzymających noże nad ołtarzem ofiarnym. - Bryant potarł nieogolony podbródek. - Zakładasz, że Przymierze Whitstable'a działa, ale nie znaleźliśmy najmniejszego śladu tej działalności. Dlaczego miałoby się uaktywnić po tak długiej hibernacji?

- Nie wiem. Może to jakaś rocznica.

- Nie, wielką rocznicą będzie z pewnością stulecie powstania. A do niego zostało jeszcze trochę lat. Sugerujesz, że członkowie Przymierza prowadzą coś w rodzaju magicznej wojny, mordując ludzi, ale gdyby tak było, to mordowali by swoich faktycznych wrogów, wrogów dnia i światła. A ofiarami są ich krewni. Dlaczego mieliby świadomie niszczyć swoją rodzinę?

- Zgadzam się z tobą - przyznała Maggie niechętnie. - To bez sensu. Ale dużo się może zdarzyć w ciągu stu lat. System mógł się jakoś sam odwrócić. Może nie można tego powstrzymać.

- To zabijanie jeden po drugim, Maggie... Gdyby Whitstable'owie zdawali sobie sprawę, że niebezpieczeństwo tkwi w tym stowarzyszeniu, nie sądzisz, że próbowaliby to ujawnić?

- Może nie ośmielili się wtajemniczyć w to policji. Może są za bardzo przerażeni tym, co może się stać.

Bryant pomyślał o niepokojącej ciszy, która zapadła na wzmiankę o Charlesie Whitstable'u.

- Może wiedzą, że nie mogą nic zrobić, żeby to zatrzymać - powiedział w końcu.

36 WEWNĘTRZNY KONFLIKT

Obładowany książkami dotyczącymi pogańskich rytuałów, które pożyczyła mu Maggie Armitage, Bryant wrócił z Camden Town do swojego mieszkania w Battersea. Zastał w nim przyjaciela, który z wściekłością chodził tam i z powrotem.

- Gdzieś ty się, do jasnej cholery, podziewał? - warknął May. - Dzwoniłem na twój pager, ale nie odpowiadałeś.

- Dziwne - odparł Bryant, wyjmując butelkę wina z lodówki. - Mój pager leży w szafie. Powinieneś go stąd słyszeć. - Zaczął szukać otwieracza. - Przyrzekam, że zacznę używać tych nowych wynalazków jeszcze przed śmiercią jednego z nas.

- Arthurze, mieliśmy kolejny atak.

- Co ty wygadujesz? Dzwoniłem tam dziś rano i wszystko było w porządku.

- Ponieważ odkryli, że nie ma Pippy Whitstable, dopiero gdy weszli do jej sypialni. Posterunkowy zapomniał zrobić apel poranny.

- Pippa... - Bryantowi mina zrzędła.

- Wymknęła się w nocy i została napadnięta w alejce obok domu. - May przebiegł dłonią po swojej kasztanowej czuprynie. - Żyje, ale jest niezbyt przydatna jako świadek. Twierdzi, że napastnik był Hindusem, a wszyscy oni „wyglądają tak samo”.

- Żyła w otoczeniu prawie samych białych - powiedział Bryant. - To wszystko zakrawa na szaleństwo. To jak epidemia - im bardziej lekarze starają się ją powstrzymać, tym bardziej zajadła się staje.

- Musimy szybko coś zrobić. - May wpatrzył się w niego, zaniepokojony. - Jadłeś w ogóle coś dzisiaj?

Bryant potrząsnął głową.

- To była ostatnia rzecz, o jakiej mogłem pomyśleć.

Znaleźli zapiekankę, którą gospodyni Bryanta przygotowała na Wigilię.

- Á propos, gdzie się podziewa Alma? - zapytał Bryant, podejrzliwie zerka-
jąc na parującą miskę, kiedy rozwiązywał szal.

- Nie doczekała się ciebie i pojechała do siostry w Tooting. - May wyłożył
zapiekankę na talerze. - Opowiedz mi, czego się dowiedziałeś od tej spirytu-
alistki.

- Ona nie jest spirytualistką, John. Te dziedziny są jedynie odległe powią-
zane. To tak, jakbyś nazwał swojego dentystę okulistą. Udało jej się ustalić,
skąd wywodzi się nasze tajne stowarzyszenie.

- Przymierze Whitstable'a?

- Tak, i to ci się nie spodoba. Komuś w rodzinie nie udało się dopełnić ry-
tuału, który miał zapewnić światu powrót światła.

- Co takiego?! - May zaniósł załadowaną tacę do jadalni. - Mamy dwudzie-
sty wiek, nie dziewiętnasty. Chcesz mi wmówić, że to mordy rytualne?

- Nie jestem tego pewien - odrzekł Bryant, podejrzliwie patrząc na swój ta-
lerz i wachając znajdującą się na nim potrawę. - Niby czemu James Whitstable
miałby rozmyślnie poświęcić przyszłe pokolenia swojej rodziny? Wciąż mi się
wydaje, że coś straciłem.

- Ani chybi część swojej mózgownicy - wymamrotał May, siadając przy
stole. - Nie chcę cię rozczarować, ale Przymierze Whitstable'a zostało założone
w bardziej przyziemnym celu.

- To znaczy?

- Musimy wrócić do wydziału. Schowałem umowę w biurku. Będzie tam
bezpieczna do momentu, kiedy uda się ją dokładnie przeanalizować. - Technicy
sądowi nie podlegali bezpośrednio pod Wydział Przepływów Osobliwych i w
święta większość z nich odpoczywała.

- Zdaje się, że przegapiliśmy świąteczne przemówienie królowej - powie-
dział Bryant ponuro, napełniając kieliszki.

- Nie rozumiem cię - stwierdził May. - Jesteś republikaninem, a chcesz słu-
chać królowej.

- To dobra kobieta. Nie jej wina, że otacza ją banda kretynów. Każda prze-
starzała zhierarchizowana instytucja jest taka sama. Spójrz na Whitstable'ów,
ciągle darzą szacunkiem swoich przodków, ale ten szacunek został zrodzony

przez strach. Nie ma nic szlachetnego we władzy zdobytej w taki sposób. A oprócz tego to okropni ludzie. Jak ta zapiekanka?

May odłożył na brzeg talerza kawałek niezidentyfikowanego warzywa i dźgnął go widelcem.

- Jeśli twoja gospodyni robi podobne paskudztwo, dlatego że się o ciebie troszczy - powiedział, krzywiąc się - boję się myśleć, co zrobi, jeśli się pokłócicie.

Pojechali do siedziby nad stacją metra Mornington Crescent, by zastać drzwi swojego gabinetu otwarte. Robotnicy przerwali pracę na czas świąt. Woda wlewała się przez niezabezpieczone framugi. Śmierdziało terpentyną. Ponieważ wszystkie wolne dni zostały zawieszono, reszta zespołu wykorzystywała przerwę na lunch, żeby przynajmniej zjeść szybki świąteczny obiad ze swoimi rodzinami.

May otworzył biurko i wyjął umowę.

- Ten dokument został napisany, żeby wspierać rodzinne interesy - powiedział, rozciągając wilgotne kartki na suszce. - Whitstable'owie mieli niewiele wspólnego ze swoimi ciężko pracującymi braćmi z północy, którzy prowadzili fabryki i budowali linie kolejowe. Byli za starzy i za delikatni, żeby być przemysłowcami. Byli przedsiębiorcami, otwierającymi rynki zbytu dzięki potężnym powiązaniom z Ministerstwem Spraw Zagranicznych i regularnie opłacającymi jego urzędników, żeby zapewnić sobie korzystne warunki handlu. - Postukał w kartki palcem.

- To wszystko jest tutaj wyłuszczone, oczywiście nie wprost. James Makepeace Whitstable powołał do życia Przymierze, żeby chronić majątek swojej rodziny przed dostaniem się w niepowołane ręce. Tych siedmiu mężczyzn sformułowało w tym dokumencie swoje główne cele. Mieli zainwestować w żelazo, stal i kolej żelazną, koncerty jubilerskie i złotnicze i, oczywiście, w zegarmistrzostwo. Pamiętasz, jak mówiłeś, że Whitstable'owie to imperium wiktoriańskie w miniaturowym? Zapisy umowy sugerują, że byli czymś więcej, pravicową organizacją mającą na celu założenie dynastii. Popatrz na to. - Pokazał jeden z zapisanych ręcznie paragrafów umowy. - „W wypadku nieuczciwych praktyk konkurencyjnych Przymierze jest w pełni przygotowane do skutecznego zniechęcenia rywali”. Zastanawiam się, czy byli przygotowani również na zabijanie.

Bryant przejrzał dokument. W końcu popatrzył na Maya.

- Czy to sprawdziłeś?

- Zadzwoiłem do Leo Marksa. Myślałem, że może ma gdzieś pozostałe kartki, ale twierdzi, że w ogóle pierwszy raz o czymś takim słyszy. Umowy starsze niż pięćdziesięcioletnie są przechowywane we wspólnym skarbcu - trzeba czasu, żeby je znaleźć. Jego biuro jest zamknięte do trzeciego stycznia. Janice sprawdziła w Savoyu, czy przetrzymują stare księgi meldunkowe. Poprosiła o sprawdzenie dwóch ostatnich tygodni grudnia 1881 roku. Księgi hotelowe zachowały się w idealnym stanie. Okazało się, że pan James Whitstable i jego kompani - opłacił pokoje pozostałej szóstce - spędzili w hotelu tylko jedną noc. Ale nie dwudziestego pierwszego grudnia 1881 roku, lecz dwudziestego ósmego.

Bryant zmarkotniał.

- To znaczy, że byli tam tydzień po przesileniu zimowym?

- Niestety, tak. Twoja teoria jest do luzu, Arthurze. Zbieżność dat była dziełem przypadku.

- Z ksiązek Maggie wynika, że dzień każdej śmierci pasuje do dnia walki pomiędzy dniem a wieczną nocą. Kulminacja przypada na koniec grudnia. Sam uznałbym to za przypadek, gdyby nie to, że widziałem fotografię Sług Niebios podpisujących umowę w Savoyu. Cała ta sprawa pełna jest dziwnych zbiegów okoliczności. Zauważyłeś, że światła zawsze przygasają na chwilę przed każdym morderstwem?

- To śmieszne! - nie wytrzymał May. - Nie wmówisz mi, że oni rzucili czar na swoich potomków.

- Zapewne nie, ale wydaje mi się, że ta umowa wiązała ich zarówno prawnie, jak i mentalnie. Oni musieli ją podpisać. Nie ośmielili się odmówić.

- Jesteś pewien, że wszystkie daty pasują?

- Idealnie.

- Więc lepiej sprawdź, jaka jest następna data, żebyśmy mogli się przygotować.

Bryant wpatrzył się w kartki. Myślami był daleko. May znał to spojrzenie. Znaczyło, że jego przyjacielowi przyszło do głowy coś, o czym jeszcze wolał nie wspominać.

Bryant na chwilę otworzył usta.

- No dobrze - powiedział w końcu May. - O co chodzi?

- Tak sobie myślę... Dlaczego on wybrał właśnie Savoy? Ten hotel zbudowano zaledwie dwa lata wcześniej. Dlaczego podpisali dokument właśnie w nim? Dlaczego nie w kancelarii prawniczej?

- Bez wątplenia Savoy był na tyle eleganckim miejscem, że nadawał się na goszczenie partnerów w interesach.

- Wydaje mi się, że gdyby chcieli potajemnie podpisać dokument, zależałoby im na prywatności. Zastanawiam się, czy był jakiś związek z hotelem, który dał Jamesowi Whitstable'owi powód do podpisania umowy właśnie w nim.

- Możemy przejrzeć księgi, ale wydaje mi się, że zbaczamy z drogi.

- Popatrz na tę umowę - powiedział Bryant. - Jest spisana ręcznie, pełna błędów gramatycznych i formalnych, zupełnie jakby powstawała w pośpiechu. - Rozpostarł szeroko kartki przed sobą. - Są tu trzy różne charaktery pisma. Jedna osoba nie dała rady spisać tego wszystkiego jednego wieczoru. Whitstable nakłonił swoich współników do stworzenia strategii finansowej. Myślę, że ta umowa to tylko część większego rytuału.

- Arthurze, spędziliśmy już wystarczająco dużo czasu, grzebiąc w przeszłości. Musimy mieć kogoś, kto żyje.

- Zgadzam się. Ale dopóki policja londyńska nie znajdzie choćby strzępka dowodu obciążającego, naszą jedyną szansą znalezienia motywu jest zrozumienie przodków rodziny. Znajdź motyw, a znajdziemy sprawcę.

- I według ciebie tym motywem jest składanie ofiary z ludzi, żeby powróciło światło? - May potrząsnęła głową. - Nie żyjemy w czasach średniowiecza. Chciwość, zazdrość, zemsta - to są jedyne nieprzemijające motywy morderstw. Natura ludzka nie zmienia się od wieków. Ta umowa została podpisana w wiktoriańskiej Brytanii, w wieku oświecenia. Wiązanie ze śmiercią rodziny czegoś, co zostało stworzone z myślą o jej ochronie, nie ma sensu, naprawdę tego nie widzisz?

- Wszystko, co widzę - odparł Bryant - to twoją odmowę przyznania, że wszyscy mamy dług wobec przeszłości.

- Nie możesz naginać faktów do swoich teorii. Whitstable nie powołał do życia swojego Przymierza w dniu przesilenia. Ilu jeszcze dowodów potrzebujesz?

- Klnę się na wszystkie świętości, że mam rację. Wszystko wskazuje na jakiś rytuał.

- Jesteś pewien? Patrzysz na to przez pryzmat swoich zainteresowań. Uwielbiasz wszystkie te brednie o pogańskich kultach. Czy naprawdę w śledztwie

powinno być na to miejsce? Też mam swoją teorię, ale nie staram się za wszelką cenę jej przeforsować.

- Mógłbyś ją zdradzić? Bardzo jestem ciekaw.

- Grupa wynajętych morderców wykonuje rozkazy jednego z członków rodziny, który nosi w sercu urazę. Wnoszę to ze sposobu, w jaki wszystko to zostało drobiazgowo zaplanowane, wręcz wyliczone.

- I kto tu patrzy przez pryzmat swoich zainteresowań? - obruszył się Bryant. - Zobacz - pokazał na okno. - Dni są ciągle ciemne.

- Raymond Land rozgłasza na prawo i lewo, że masz nie po kolei, że jesteś uparty i złośliwy. Powiedziałem mu, żeby nie był taki cholernie gruboskórny. Ale jeśli nie zaczniesz ze mną współpracować, zamiast wysnuwać te szalone przypuszczenia, zastanowię się, czy nie ma racji. - May wyszedł z gabinetu i trzasnął drzwiami.

Bryant zamknął oczy. To, co przytrafiło się Whitstable'om, przytrafiło się także im. Śledztwo może ucierpieć na skutek wewnętrznego konfliktu. Mógłby rozwinąć teorię Maya, ale to oznaczałoby pominięcie własnej. Zaczął układać daty wydarzeń w pogańskiej walce światła i ciemności. Artykuły w książkach Maggie pochodziły z niepewnych źródeł. W końcu jednak udało mu się ustalić listę najważniejszych dat.

Spojrzał w dół na latarnie Camden, świecące jasno na mokre ulice. Gdyby tylko mógł wrócić do tego zimowego wieczora dawno temu, gdyby tylko mógł zobaczyć to, co widzieli oni...

Musiał się przewietrzyć. Kiedy wkładał płaszcz, jego uwagę przyciągnęła plama pod oknem. Bezmyślnie wpatrywał się w kawałek ściany, z którego robotnicy oderwali warstwy farby, uwidaczniając jej własne nieokreślone migawki z przeszłości.

37 MECHANIZM ZEGAROWY

Pod białym łukiem szklarni rosły storczyki, bugenwille i strzałkowce, kufliki i strelcje, otoczone przez palmy i sagowce (niektóre z nich miały ponad osiem stóp wysokości).

- Ten dom należał do mojego pradziadka Jamesa Makepeace'a Whitstable'a, a to są rośliny, które sadił. Do niedawna były takie jak nasza rodzina: głęboko zakorzenione, mocne, żyjące. Teraz oni mogą pozbawić życia nas wszystkich.

Charles przyprowadził ją tutaj po obiedzie - idealne miejsce do wyciągnięcia się w fotelu pod szklanym dachem. Jego zainteresowanie Sam rosło przez cały dzień, tak jakby przygotowywał się do tej chwili. Przez całe popołudnie zadawał niekończące się pytania o jej dzieciństwo i udzielał skomplikowanych wyjaśnień na temat sposobu, w jaki cech prowadzi swoje interesy. Był stanowczym mężczyzną, twardym i energicznym, i z niewiadomych powodów chciał wprowadzić ją w swój świat. Opowiadał, że kontroluje wymianę handlową między Anglią a Indiami, i to brzmiało niewiarygodnie, nie do wytrzymania nudnie.

Ponad szklarnią krwawy zmierzch zalał niebo cynobrową kąpielą. Charles ucłowieczył się nieco, przebierając się w niebieskie dzinsy i gruby zielony sweter z bawełny. Przez całe popołudnie ani razu się nie uśmiechnął. Często podskakiwał przestraszony hałasami w ciemnym lesie za domem. Wydawał się bardzo zdenerwowany. Teraz, kiedy siedział, ogrzewając w rękach kieliszek koniaku, wyglądał, jakby wreszcie nabierał do niej zaufania.

- Myślę, że strasznie się dzisiaj nudziłaś - powiedział, wpatrując się w kieliszek. - W święta pewnie wolałabyś przebywać z przyjaciółmi, z kimś w twoim wieku. Nie jestem przyzwyczajony do młodych ludzi. Nasza rodzina zawsze była stara.

- Sądziłam, że poza mną będą tu jeszcze inni goście.

- W normalnych okolicznościach byliby, ale w tym roku moja wizyta ma niewiele wspólnego z normalnością. - Spojrzał na budynek. - Moje wspomnienia z dzieciństwa są pełne niedołącznych krewnych przemierzających chwiejnym krokiem te pokoje. Jako dziecko zawsze byłem rugany za zakłócanie snu starszym krewnym. - Oparł głowę na zagłówek, wspominając dzieciństwo spędzone w ogromnym, zakurzonym domu za nimi. - Nasza rodzina to w równej mierze błogosławieństwo, jak i przekleństwo. Do niedawna walczyliśmy tylko o być albo nie być w interesach. Spójrz na nas teraz. W jakim żalonym położeniu się znajdujemy. Przypuszczam, że czytałaś w gazetach.

Popatrzył na nią, jego szare oczy pozostały nieruchome i niesamowicie błyszczące w promieniach zachodzącego słońca. Posmakował koniaku.

- Masz niezmiernie upartą matkę, Samantha. Zapewne zdajesz sobie sprawę z jej ambicji.

Ta uwaga zbiła ją z tropu. Czy Gwen zawsze musiała stawać się tematem jej rozmów?

- Dlaczego tak uważasz?

Charles uniósł kieliszek.

- To Gwen chciała, żebyś dla nas pracowała, prawda?

- Nie ma z tym nic wspólnego.

- Zastanawiałem się, czy jesteś równie ambitna. - Uśmiechnął się. - Ale nie, ty jesteś inna. Wyczuwam w tobie pewną antypatię do rodziców. Wiem, że przyjechałaś tu z własnej woli. Musisz coś zrozumieć. - Znów się uśmiechnął, samymi kącikami ust. - Jedyna droga do rodziny Whitstable'ów wiedzie przez interesy. Nasza rodzina zawsze broniła dostępu do siebie. Nawet kosztem utraty własnej wolności.

Dopił koniak i odstawił kieliszek.

- Trudno wyjaśnić czyjeś zachowanie w obliczu niebezpieczeństwa. Heath dalej nie będzie mógł się dogadać ze związkami, a to dopiero początek. Świat tylko czeka, żeby zagrabić nasze dobra. Przed nami mroczne czasy i tylko silni przetrwają. Kiedyś to my rozdawaliśmy karty. Teraz nie możemy się porównywać z potężnymi, nowoczesnymi konsorcjami. To oni są nowymi imperialistami, nie my. British Associated Tobacco wkracza na Daleki Wschód. Coca-Cola wchodzi na rynek nieruchomości. - Otworzył szufladę w dębowej komódce obok i wyjął z niej grawerowany złoty zegarek kieszonkowy, po czym podał go jej, żeby się przyjrzała.

- Tego rodzaju rzeczy robił nasz cech. Kto teraz chce czegoś takiego? Kogo na to stać? Kiedyś rzemiosło było niezbędne jak powietrze. Teraz takie mechanizmy zegarowe są ciekawostką, osobliwą i zbędną. Żeby pozostać przy życiu, byliśmy zmuszeni poszerzyć ofertę. - Ponownie napełnił kieliszki, podczas gdy ona oglądała zegarek. - To James Makepeace Whitstable skierował rodzinę i cech na właściwą drogę.

- Jak tego dokonał? - zapytała Sam, pijąc niespiesznie. Chciała jak najwięcej zapamiętać.

- Był utalentowanym biznesmenem, człowiekiem wielkiego dobra i uczciwości, praktykującym chrześcijaninem. Kiedy stanął na czele rodziny, wiedział, że trzeba czegoś więcej niż tylko zdolności finansowych, żeby wyjść z długów i rozwinąć nasze interesy. Blisko sto lat temu, 28 grudnia 1881 roku, zgromadził sześciu najbardziej zaufanych członków cechu. Tego wieczora stworzyli przymierze dla ochrony rzemieślników. James wymyślił sposób na utrzymanie naszej kompanii we właściwych rękach przez następne pokolenia. Przyszłość jawiła się wielce obiecująco. Imperium znalazło się u szczytu możliwości. Szanse rozwoju - nieograniczone. Nowe światy wabiły. James był wizjonerem. Zrozumiał, że Imperium Brytyjskie może zmaleć w obliczu innej rosnącej potęgi. Amerykanie w niewiarygodnym tempie rozwijali handel. Japończycy zaczęli prowadzić interesy z obcymi. Nadchodziła epoka konsumpcjonizmu. Import i eksport zaczęły wyznaczać trendy. Gilbert i Sullivan napisali *The Mikado*, korzystając z tego, że w Londynie zapanowała moda na wszystko, co japońskie. Dom handlowy Liberty przy Regent Street zyskał wystrój japońskiej pagody. Już wtedy modne stały się zakupy związane z innymi grupami etnicznymi. Ludzie zaczęli się rozglądać za czymś nowym. Jaką nadzieję mógł mieć stary londyński cech wobec tak wielu rywali na horyzoncie? Rywali, którzy nic sobie nie robili z rzemiosła i tradycji. Po tym wieczorze w Savoyu interesy znów zaczęły nam iść. A kiedy nasi rywale stawali się na tyle silni, żeby nam zagrozić, zawsze znikali. Byli już tak blisko, że czuliśmy na plecach ich oddech - i nagle wypadali z interesu.

- Czy James powiedział komukolwiek w rodzinie, co jego Przymierze robi albo jak działa? Czy ludzie się nad tym nie zastanawiali?

- Nikogo to nie obchodziło tak długo, jak kompania przynosiła kokosy. Cech był szczęśliwy, że Przymierze Światłości Wiekuistej zadbało o jego interesy. James Whitstable zobowiązał swoich partnerów do zachowania tajemnicy.

- Co stało się z Przymierzem po śmierci jego założycieli?

- Umarło wraz z nimi. W końcu wszyscy o nim zapomnieli. Do czasu, kiedy ja objąłem kierownictwo, administracja cechu przypominała stajnię Augiasza. Stare umiejętności zostały zapomniane. Udało mi się zacząć wszystko od nowa. Zwolniłem większość zagranicznego personelu i stworzyłem nowe strategie biznesowe. W Anglii Whitstable'owie wciąż posiadają pakiet kontrolny.

Byłabyś zaskoczona, jak wielu naszych pracowników to potomkowie założycieli Przymierza.

Sam zaczęła się zastanawiać, czy to byli ci sami ludzie, którzy w końcu stawali się ofiarami. Wiedziała teraz o Whitstable'ach o wiele więcej, ale w dalszym ciągu niewiele jej to dawało. Musiała się dowiedzieć, jak wymyślona przez jednego człowieka recepta na sukces mogła spowodować masakrę prawie sto lat później.

Charles Whitstable uniósł kieliszek.

- Wchodzisz do niezwyklej rodziny, Sam - stwierdził. - To wielka odwaga stać się jedną z nas.

- Dlaczego?

Popatrzył prosto na nią. W zapadającym mroku tylko jego oczy zachowały światło.

- Dlatego, że plan Jamesa Makepeace'a Whitstable'a, dzięki któremu mieliśmy przetrwać, właśnie nas niszczy - powiedział, prawie roześmieszony przez ten paradoks.

- Czy mogę o coś zapytać? - ośmieliła się. - Nie musisz odpowiadać.

- Dobrze mi się z tobą rozmawia. Jestem ci winny szczerą odpowiedź.

- Czy wiesz, jak działał system Jamesa Whitstable'a?

Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak straszliwie ciemno się zrobiło.

- Jestem jego potomkiem w prostej linii - odrzekł. - Oczywiście, że wiem.

38 SZEPT

May wiedział, że nie powinien pytać, czy ktoś ma jakieś potrzeby. Wszyscy zgromadzeni unieśli ręce.

Rodzinnie Whitstable'ów przypadło w udziale nowe doświadczenie mieszkania razem i napięcie związane z przebywaniem z tak wieloma trudnymi ludźmi zaczynało dawać się wszystkim we znaki. Matka Pippy załamała się na wieść o napadzie na córkę i pozostawała obecnie pod opieką w sypialni.

Ponieważ wszyscy zaczęli mówić jednocześnie, May przywołał ich do porządku, dmuchając w zawieszony na szyi gwizdek sportowy, po czym wskazał na Isobel Whitstable.

- Ma pani jakieś pytanie?

- To pozostawianie w zamknięciu jest czymś, czego nie mogę już znieść. Jedzenie jest fatalne, a poza tym musimy korzystać ze wspólnych łazienek. Jak długo to jeszcze potrwa? - Rozległ się natychmiastowy szmer aprobaty.

- Do momentu, kiedy niebezpieczeństwo zostanie zażegnane - odparł May.

- Sami państwo widzieli, co się stało, kiedy Pippa wymknęła się z domu.

Poziom hałasu wzrósł gwałtownie i znów musiał interweniować.

- Nie uszło mojej uwagi, że niektórzy z państwa starali się poskarżyć prasie na swoje położenie. - Członkowie rodziny udzielili kilku gorzkich, sarkastycznych wywiadów, winą za godną pożałowania sytuację, w jakiej się znaleźli, obarczając policję. Ochrona odnotowała kilka wykonanych w tajemnicy telefonów. - Obawiam się, że musimy z tym skończyć.

To stwierdzenie wywołało falę pełnych złości protestów.

- Wygląda na to, że przestraszyliście się, że gazety wyślą do tej sprawy swoich dziennikarzy śledczych - zauważyła Edith Whitstable, której wnukowie w dalszym ciągu nie odstępowali ani na krok. - Wszystko nam jedno, kto złapie tego szaleńca, chodzi tylko o to, żeby stało się to przed kolejnym zabójstwem.

- W tym punkcie wszyscy się zgadzamy - odrzekł May. - Rzecz w tym, że niektórzy dziennikarze przejawiają wyjątkowy brak odpowiedzialności, goniąc za tanią sensacją. Mogą nieumyślnie ujawnić wasze miejsce pobytu.

Zanim May dał znak do kolejnych pytań, do pokoju weszła sierżant Longbright.

- Dzwoni Alison Hatfield - powiedziała.

May popatrzył na niezdyscyplinowane grono matek, ojców, synów, dziadków, córek i dzieci, którzy kłócili się zawzięcie ze sobą.

- Powiedz jej, że oddzwonię. Chociaż nie, pójdę odebrać.

W przedpokoju było względnie cicho. Uniósł słuchawkę.

- Witaj, Alison. Co słyhać?

- W porządku. Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam, ale powiedział pan, żebym zadzwoniła, gdyby coś...

- Dobrze zrobiłaś. Co się stało?

- Grzebałam trochę w papierach, które przyniosłam do domu z piwnicy, i natrafiłam na korespondencję pomiędzy Jamesem Makepeace'em Whitsable'em i jednym z członków Przymierza. To przede wszystkim korespondencja handlowa, ale są tam również wzmianki o tym wieczorze, kiedy podpisano umowę, i stwierdzenie, że cały przebieg tego wydarzenia został opisany. Niestety, nie ma tam żadnych informacji, co znalazło się w tym sprawozdaniu.

- Twoim zdaniem został spisany protokół?

- Właśnie o tym myślałam. Wszystkie dokumenty i rzeczy osobiste odnoszące się do cechu w końcu trafiły do jego siedziby, wiele z nich dzięki zapisom w testamencie i darowiznom. Niedługo jadę do biura. Czy chce pan, żebym tego poszukała?

- Tak, jeśli ci to nie sprawi kłopotu. Mamy przerwę świąteczną. Powinnaś się bawić.

- Ja właśnie w ten sposób się bawię. Ledwo pana słyszę... - Sądząc z hałasu, który dobiegał z salonu, rozgorzała w nim zażarta kłótnia.

- Muszę już iść - westchnął May. - Proszę, zadzwoń, jeśli coś znajdziesz.

Jedno z dzieci Whitstable'ów pociągnęło go za nogawkę spodni.

- Niech pan przyjdzie, panie policjancie - powiedziało z uśmiechem. - Nasze mamusie próbują się pozabijać.

Zacisnąwszy zęby i pięści, May udał się z powrotem do zakładu dla umysłowo chorych, który kiedyś znany był jako salon.

Alison Hatfield kręciła się po swoim mieszkaniu, nie mogąc usiedzieć w jednym miejscu, zanim podjęła decyzję, by wrócić do cechu. Ekscytował ją fakt, że policja liczy na jej pomoc. Nie mogła się już doczekać kolejnego spotkania z Johnem Mayem. Było coś intrygującego, a zarazem nieskończenie smutnego w tym człowieku.

Archiwa w podziemiach przez tak wiele lat pozostawały zamknięte, że ci, którzy utrzymywali je w porządku, przeszli już na emeryturę. Zasunęła kratę i kiedy winda zaczęła zjeżdżać, pomyślała o pudłach zgromadzonych pod nią.

Wiktorianie byli zapalonymi kronikarzami, pamiętnikarzami i autorami listów. Bardzo prawdopodobne, że ich dokumenty przetrzymywano tutaj, w cechu, i po prostu zostały zapomniane. Rzadko się je przeglądało, a nieciekawe dokumenty, takie jak bilanse księgowe, pozostawały poza zainteresowaniem historyków.

Jej oddech tworzył chmurki, kiedy odsuwała kratę. Korytarz przed nią był pogrążony w mroku. Tym razem nie poprosiła o włączenie światła awaryjnego, bojąc się wzbudzić podejrzenia.

Jeśli jeszcze jakieś ważne dokumenty znajdowały się tutaj, to na pewno w pomieszczeniu, które przeglądała z Mayem. We wszystkich innych swoje papiery przechowywał cech złotników. Kiedy doszła do drzwi, ze zdumieniem stwierdziła, że są uchylone. Była pewna, że je zamykała. Pchnęła je i poświeciła latarką do środka.

Ktoś tam był. Krzesła i pudła zostały przesunięte. Zasepiona, weszła do środka i poświeciła do wnętrza pierwszego kartonu. Jeszcze tego ranka leżały w nim związane trzy pliki listów; pozostały zaledwie dwa. Nie miała prawa wynosić stąd żadnych dokumentów, ale nie wiadomo też, kto za nie odpowiadał. Poślizgnęła się na kartkach papieru. Na podłodze zobaczyła kilka listów, które zostały upuszczone albo odrzucone na bok. Podniosła je z ziemi i oświetliła.

Poza portierem nikt nie wiedział, że się tu zapuszczała. Kto tutaj był?

Jej myśli przerwał cichy szelest dobiegający z korytarza. Skierowała promień latarki na drzwi, ale nie dojrzała niczego niepokojącego. Wiedziała o szczurach wychodzących z kanałów; wołała jednak nie zastanawiać się, ile ich mogło zamieszkiwać te stare piwnice. Chciała już wznowić poszukiwania, kiedy ogarnął ją nagły niepokój.

Alison była praktyczną kobietą, nie dopuszczała łatwo do siebie lęków, ale nagle zrozumiała, że nie jest sama. Opuściła promień latarki na posadzkę i cicho zaczęła wychodzić z izby. Kiedy już znalazła się na korytarzu, wyczuła czyjąś obecność.

Ciemność była nieprzenikniona. Delikatny podmuch musnął jej twarz. Zaczęła wolno iść, trzymając promień latarki przy butach.

Ktoś był obok niej, nie miała wątpliwości. Wpatrzyła się w światło latarki. Wydawało się, że dostrzega parę wydobywającą się z czyichś ust. Szła wolno

w kierunku windy. W końcu dzieliły ją od niej nie więcej niż trzy jardy. Daleko w dole kanały przemierzała biegnąca w ciemności woda.

Za nią rozległ się szmer, jakby ktoś lub coś oderwało się od ściany. Nie mogąc dłużej powstrzymać paniki, z wyciągniętymi przed siebie rękami ruszyła biegiem do windy, szarpnęła mosiężną rączkę i odsunęła kratę, po czym wbiegła do środka.

Ledwo zasunęła kratę, ujrzała niewyraźny kształt biegnącego człowieka. Przez romboidalny otwór między kratami do środka dostała się ręka, chwytając ją za sweter. Krzyknęła i uderzyła w nią latarką, ale palce mocno ją trzymały i pociągnęły. Latarka była lekka i plastikowa i wypadły z niej baterie, kiedy ponownie uderzyła napastnika w rękę.

Wcisnęła guzik i winda drgnęła, po czym wolno ruszyła do góry. Dłoń dalej trzymała ją za rękę, ściskając mocno. Napastnik został uniesiony z podłogi i zaklinował się pod sufitem. Mechanizm windy zaczął skrzypieć, próbując unieść ciężar.

To była sytuacja patowa: winda nie mogła jechać dalej, ale napastnik nie mógł też jej ściągnąć. Po pierwszym ataku paniki Alison zaczęła rozpaczliwie zastanawiać się, co robić. Zgięła nogi, po czym całym ciężarem swego ciała uderzyła napastnika w rękę. Puścił jej sweter i winda ruszyła.

Dopadła do tylnej ściany, stojąc tam, dopóki nie dotarła na parter. Hol był pusty. Portier zjawi się dopiero jutro. Do tego klucze do głównego wejścia znajdowały się w jej torebce w biurku. Zamierzała zamknąć drzwi, wychodząc.

Obcasy jej butów stukały na marmurowej posadzce, echo rozchodziło się w ciemnej klatce schodowej na górze. Była zbyt przerażona, by patrzeć za siebie. Czuła mocne bicie serca. Za nią otworzyły się drzwi. Wiedziała doskonale, że nie może ani chwili dłużej pozostawać w tym budynku. Nie zawracając sobie głowy zabieraniem płaszczu czy torebki, wybiegła na zewnątrz.

Ulice były całkowicie opustoszałe. O tej porze nawet w normalnym dniu pracy panował tu niewielki ruch; teraz, w drugi dzień świąt, nie było żywej duszy.

Jej samochód stał w ciemnej, wąskiej uliczce obok Goldsmiths' Hall. Nie miała kluczyków, więc nie było sensu do niego iść. Ruszyła pustym chodnikiem w kierunku St. Paul's Cathedral.

Za nią z siedziby cechu wyszedł mężczyzna w sięgającym do kostek płaszczu przeciwdeszczowym i turbanie. Przyspieszyła kroku, sprawdzając, czy nikt nie jedzie, kiedy przechodziła przez jezdnię. Niedawno zmieniono tutaj ruch na jednokierunkowy, a kilka ulic wokół w ogóle zostało zamkniętych dla pojazdów. Mężczyzna za nią również przyspieszył, zraniona ręka wyraźnie go bolała, a poły rozpiętego płaszcza uderzały o jego nogi, kiedy zmniejszał odstęp między nimi, sadząc wielkimi susami.

Słyszała za sobą stukot butów, kiedy skręciła i przeszła przez ulicę. St. Paul's Cathedral była zawsze otwarta. Skierowała się do wejścia głównego. Powinien tam ktoś być.

Kiedy wbiegała po schodkach wiodących do katedry, ścigający rzucił się za nią, ale dopadła do wejścia przed nim, dziękując Bogu, że jej się udało.

W środku duchowny gasił właśnie światła.

Zatrzymała się, usiłując złapać oddech.

- Proszę księdza... tam jest mężczyzna...

Młody duchowny w okularach i z rzadkimi włosami spojrział na nią z lekkim zdziwieniem, wyraźnie nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji. Spróbowała raz jeszcze, świadoma, że jej prześladowca wszedł za nią. - Ktoś mnie goni... Duchowny spojrział na młodą kobietę.

- Nabożeństwo już się skończyło. Zamykamy na noc.

- Ale to przecież kościół! - krzyknęła Alison. - Nie możecie go zamykać!

- Przykro mi, ale musicie wyjaśnić swoje sprawy na zewnątrz.

On myślał, że jest świadkiem kłótni kochanków! Obejrzała się. Mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym ruszył szybko w jej kierunku.

Duchowny potrząsnął głową i unióśł ręce, żeby zagrozić jej wejście. Zanurkowawszy pod jego ręką, wbiegła do nawy głównej, spodziewając się znaleźć tam innych duchownych, bardziej skorych do pomocy. Nikogo jednak nie zobaczyła. Czy to możliwe, żeby powierzono bezpieczeństwo całego budynku jednej osobie?

Odgłosy przepychania sprawiły, że Alison odwróciła się z przerażeniem. Jej prześladowca szarpał się z duchownym, który bezskutecznie próbował go zatrzymać. Nagle człowiek w płaszczu przeciwdeszczowym uderzył duchownego

mocno w twarz, powalając go na posadzkę. Odgłosy walki rozchodziły się po katedrze w głuchym huku.

Mężczyzna ominął leżącą bez przytomności postać i ruszył w jej stronę.

W zasięgu jej wzroku pojawiło się wąskie wejście do nawy poprzecznej. Dopadła go bez zastanowienia i znalazła się na stromych schodach wiodących do Galerii Szeptów. Obejrzała się. Mężczyzna był tuż za nią.

Pozostała jej już tylko jedna droga ucieczki.

Kiedy wbiegała po schodach, serce waliło jej jak młotem, a w boku czuła kolkę. Mężczyzna wyciągnął do niej ręce. Kopnęła go. Jej obcas uderzył go w klatkę piersiową.

Dotarła do galerii. Zimna kamienna balustrada biegła po każdej stronie. Zamierzała iść wzdłuż niej, wiedząc, że będzie dzięki temu widziała, czy zmienił kierunek.

Nad nimi wznosiła się ogromna kopuła, dająca przyprawiające o zawrót głowy poczucie przestrzeni, pokrywające ją malunki były przerażające i surowe. St. Paul's Cathedral to ponura chrześcijańska świątynia, odzwierciedlenie poglądu, że odkupienie powinno budzić obawę, a nie przynosić pociechę.

Sapał głośno, kiedy ukazał się w wejściu. Zabrakło czasu, żeby zwiększyć dystans między nimi. Zatrzymała się i spojrzała na niego. Słabe światło napisu „wyjście ewakuacyjne” rzucało cień na jego twarz.

- Czego ode mnie chcesz?! - krzyknęła.

Nie odpowiedział. Oddychał ciężko, ślaniając się lekko na nogach. Odniosła wrażenie, że ledwo zdaje sobie sprawę z tego, co robi.

- Nic tam nie znalazłam. - Zrobiła krok do tyłu, kiedy wolno zaczął się do niej zbliżać. - Przysięgam, chciałam tylko pomóc. Nie wyrządę ci żadnej krzywdy. Proszę, nie chcę skończyć jak tamci.

Im dłużej mówiła, tym mocniej wierzyła w to, że ma szansę ratunku. Ale jak? Zostali sami w budzącym groźbę bezmiarze katedry. Nie było dla niej ocalenia, tylko sroga kara. Stał teraz tuż obok niej, wyciągając rękę do jej ramienia. Jego dotyk był delikatny, prawie uspokajający.

- Przykro mi, proszę pani. To nie moja wina.

Mówił cicho, ze wschodnim akcentem. Alison była tak zaskoczona, że coś powiedział, że nie mogła się poruszyć, kiedy nagle chwycił ją, a jego grube

palce zatkaly jej usta. Był silnym mężczyzną i bez wysiłku ją dźwignął. Dostrzegła gorzką ironię w tym, że miała ją spotkać śmierć w otoczeniu zabytków, które przez całe swoje życie kochała i starała się zrozumieć.

Spojrzała w jego brązowe oczy. Nie dostrzegła w nich gniewu, jedynie poczucie obowiązku.

- Naprawdę bardzo mi przykro - wyszeptał z niekłamany żalem. Uniósł ją nad balustradę, po czym puścił. Wymachując rękami i nogami, spadła z wysokości stu stóp na posadzkę.

Ostatnią rzeczą, jaką widziała, była wirująca szybko ponad nią kopuła katedry, a echo jej upadku odbijało się od grobów świętych, którzy umarli.

39 DESZCZOMIERZ

Język Sam był gruby i wyschnięty od koniaku wypitego poprzedniego wieczora. Po raz pierwszy od lat zasnęła przy zgaszonym świetle. Wolno uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju. Patrzyła na ściany pokryte ciemną tapetą z misternym wzorem, ceramiczną umywalkę i dzbanek, mahoniową toaletkę i szafę. Wstała z wysokiego mosiężnego łóżka i rozsunała zasłony.

Szare strugi deszczu przesłaniały pola. Stado żałośnie wyglądających owiec stało pod bukami. Zegarek wskazywał dziewiątą piętnaście. Zastanawiała się, czy jej gospodarz już wstał.

Dlaczego Charles jej się zwierzył? Czy wydawała mu się atrakcyjna? Chociaż odmówił rozwinięcia ostatniej uwagi na temat Jamesa Makepeace'a Whitstable'a. Może więc nie miał zamiaru zwierzania się swojej nowej praktykantce.

Po umyciu się i ubraniu zaczęła zwiedzać dom. Słyszała bębnienie deszczu o dach. Wyczuwała woń starego drewna wypolerowanego środkiem do pielęgnacji mebli, wilgoci, czasu i pustki. Pokoje były utrzymane w tak nienaganym stanie, że przypominały jej projekty Josepha. Chyba tylko wyjątkowo niesforna rodzina wniosłaby w nie trochę życia.

Szerokie główne schody prowadziły na dół do pokoju śniadaniowego, w którym Charles Whitstable, ubrany w sweter i sztruksy, siedział już nad gazetą. Jedno spojrzenie na jego twarz, kiedy wstał, by przywitać swego gościa,

wystarczyło, by Sam domyśliła się, że stało się coś złego.

- Proszę bardzo - powiedział, wskazując na wazy stojące na stole - częstuj się. Dzwoniła moja matka. Doszło do kolejnego ataku na naszą rodzinę.

- Co się stało? - zapytała.

- Pippa Whitstable leży w szpitalu, jest niewiele starsza od ciebie.

- Przykro mi - wyszeptwała, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. - Byliście bliskimi krewnymi?

- Dalekimi kuzynami. Widzieliśmy się ledwie parę razy. Myślałem, że wszyscy znajdujemy się pod ochroną. Nie wiadomo, kto ją napadł.

- Dzwoniłeś na policję, żeby się dowiedzieć czegoś więcej?

- Moi krewni nie życzą sobie, żebym się wtrącał. Ich zdaniem to wszystko przez mojego pradziadka. Wiedzą, że zarządzam Przymierzem. Ale znajdę jakiś sposób, żeby im pomóc.

- Myślisz, że będziesz musiał wrócić do Anglii na stałe? - zapytała, siadając za stołem.

- Może. Niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie, potrzebują mnie. A ja potrzebuję żony. Tak wielu z nas nie żyje, że najwyższy czas zadbać o to, by mieć spadkobierców. Dotąd rodzinne interesy pochłaniały cały mój czas. Wszyscy liczyli, że Przymierze wyciągnie ich z kłopotów za każdym razem, gdy następował kryzys, ale teraz system obrócił się przeciwko nim. Udaremniłem ich przestarzałe pomysły, ale wszystko, co zyskałem w zamian, to wrogość. Uważają, że ich oszukałem. Nie rozumieją, że nie ma już „imperium Whitstable’ów”. Ziemia, którą mają, zostanie zlicytowana. Niedługo nie pozostanie im nic oprócz domów, w których mieszkają. Usprawiłem wszystko, inwestując w technologie, o których nie mają pojęcia, i dzięki temu pojawiła się przynajmniej szansa przeżycia. Ale słuchając ich, mogłabyś pomyśleć, że włożyłem ich topniejące pieniądze w biznes narkotykowy. - Dopił kawę i spojrział na zegarek.

- To dlatego właśnie tak ważne dla mnie jest sprowadzanie ludzi ze świeżymi pomysłami. Dzwoniłem do twojego ojca i zaprosiłem go na lunch. Zostaniesz do jutra? Jeszcze o wielu rzeczach chciałbym porozmawiać. Poza tym jesteś uroczą towarzyszką i rozświecisz te stare mury.

Wpatrzyła się w niego badawczo. Miał w sobie stanowczość, która ją fascynowała. Zdawał się ogarniać wszystko. Nigdy jeszcze kogoś takiego nie

spotkała. Charles był dojrzały i wytworny. Traktował ją jak kobietę, wydawał się gotowy do powierzenia jej obowiązków. Jej akcja sabotażowa zyskała nowy, interesujący aspekt.

- Czy twoim zdaniem policja kogoś złapie?

- Morderstwa skończą się tak nagle, jak się zaczęły, i nikt nigdy nie będzie w stanie powiedzieć dlaczego.

- Skąd ta pewność?

- Stąd, że to samo przytrafiało się naszym zagranicznym rywalom przez cały ostatni wiek. Oczywiście, ataki nigdy nie następowały z takim nasileniem i miały miejsce na innym kontynencie, więc śledztwa nigdy nie zostały doprowadzone do końca. Brytyjski system sprawiedliwości nie przejmował się zgonami kilku hinduskich biznesmenów. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i jest wielka draka.

- Jakie są Indie? - zapytała, patrząc, jak kończy śniadanie.

- Wspaniałe. Okropne. Kloaka i raj w jednym. - Uniósł wzrok, kiedy mówił. Jego oczy zachowywały pogodny spokój. - W Indiach cykl życia jest szybki i gwałtowny. Rytuály narodzin i śmierci są ze sobą blisko związane. My, Anglicy, trzymamy na wodzy emocje. Smutek, a często i radość, zachowujemy dla siebie. Ich uczucia są na wierzchu i to czyni ich silnymi. Podziwiam ich wolę przetrwania w samym środku tak wielkiego zniszczenia i zamętu. Moi krewni mogliby się nauczyć od nich paru rzeczy.

Gdyby sprawdziła się w nowej pracy, prawdopodobnie zabrałby ją tam z sobą. Musiała pamiętać, że nie miała tak naprawdę zamiaru przyjmować jego oferty, nawet jeśli umożliwiałoby to ucieczkę z domu w Chelsea. Myśl o powrocie tam napełniała ją rozpaczą. Była zszokowana odkryciem, jak bardzo zdążyła już polubić Charlesa.

- Mam dzisiaj kilka ważnych telefonów - powiedział, wstając od stołu. - Może zwiedzisz posiadłość? Spotkamy się ponownie przed lunchem.

- Będę naprawdę szczęśliwa, jeśli wolno mi będzie posiedzieć w bibliotece. Masz jakieś dokumenty, które mogłabym przejrzeć?

- To jest ten przejaw inicjatywy, który najbardziej lubię - odrzekł, uśmiechając się po raz pierwszy tego ranka. - Zobaczę, co mi się uda dla ciebie znaleźć. - Na odchodnym czule ścisnął jej ramię i poczuła, że, podobnie jak jemu, sprawiło jej to przyjemność.

Pozostawienie jej samej w bibliotece było oznaką zaufania. Ten pokój nie mógłby być bardziej męski w charakterze, nawet gdyby na ścianach wisiły trofea łowieckie. Ustawiono tu pełno stojaków na fajki i sprośne hinduskie posążki, które przypominały jej dom Peggy Harmsworth w Highgate. Cieszyła się, że na tym podobieństwa się kończyły. Zbiory zgromadzone w bibliotece były zaskakująco różnorodne i pośród nich znalazła wiele pierwodruków. Przez resztę poranka czytała wszystko, co tylko udało jej się znaleźć, o Whitstable'ach, ale sądząc z dziwnych luk na półkach, wszelkie obciążające materiały zostały usunięte.

Do dopiero kiedy nauczyła się posługiwać składaną drabinką, odkryła najwyższą półkę z wiktoriańskimi książkami. Chociaż każda z nich z osobna była interesująca, nie wprowadziły jej w tajemnice Jamesa Makepeace'a Whitstable'a i jego Sług Niebios. Usiadłszy w jednym z głębokich skórzanych foteli przy oknie wykuszowym z widokiem na zamrażnięte pola, zaczęła czytać.

Tuż przed pierwszą w holu rozległ się dzwonek.

- To bez wątpienia twój ojciec - powiedział Charles, który zaszedł do niej. - Nie wstawaj, dokończ lekturę. Powiem mu, żeby poczekał w salonie.

Uczynił tę uwagę najwyraźniej po to, by zrozumiała, że władza rodziców nad nią została mocno ograniczona. Teraz, kiedy została przyjęta do rodzinnego interesu, cieszyła się ochroną Charlesa. Jej ojciec musi czekać potulnie na zewnątrz, aż skończy czytać książkę. Ta myśl sprawiła jej pewną satysfakcję. Biedni Gwen i Jack. Chcąc zaspokoić własne ambicje, złożyli ją w ofierze - i po raz kolejny nie zostali dopuszczeni dalej.

Lunch z Charlesem i ojcem był uciążliwy. Jack wyraźnie nie był zachwycony malejącą sferą swoich wpływów. Po posiłku został, praktycznie rzecz biorąc, odprawiony i poproszony o powrót do Londynu. Charles zapewnił, że Sam wróci do domu cała i zdrowa w poniedziałek rano.

Przez resztę dnia ona i Charles pracowali razem w gabinecie. Wtajemniczył ją w swoje długofalowe plany odnośnie do cechu. Praca nie wydawała jej się już taka nudna, jak początkowo. Co więcej, mogła nawet sobie wyobrazić, że spędzenie całego dnia z Charlesem może być prawdziwą przyjemnością.

Ich wspólny wieczorny posiłek miał intymny klimat kolacji przy świecach, mimo że odbywał się przy świetle elektrycznym.

John May siedział przy biurku, usiłując zapanować nad przerażeniem, jakie wzbudziła w nim śmierć Alison.

W tej chwili wszelkie sentymenty należało odłożyć na bok; później będzie czas na smutek. Najlepsze, co można teraz zrobić, to znaleźć sposób, by ją pomścić. May był człowiekiem myślącym logicznie. Szukał porządku w chaosie. Myślał o wykresie, który sporządził Arthur. Zastanawiał się, czy te napady można ułożyć w jakąś sekwencję, nawet jeśli nie tworzyły łatwo rozpoznawalnego wzoru. Więcej niż jeden zabójca. Jak to możliwe? Ostatnie morderstwo zbiło go z tropu. Nie pasowało do wzoru i było po prostu inne. Mordercę widziano, ale nie został zatrzymany.

Jak morderca wybierał daty? Jeden termin wydawał się pewny: 28 grudnia. Nie zostało wiele czasu. May każdą śmierć, każdy napad umieścił na oddzielnej kartce.

Nie widział w tym żadnego porządku. Czyżby daty wybierano na chybił trafił? Może to było coś w rodzaju maszyny Turinga? Alan Turing wymyślił maszynę, która dzięki podawanym za pomocą papierowej taśmy liczbom miała wykonywać określone działania. Dlaczego jednak ktoś miałby sobie czymś takim w ogóle zawracać głowę?

Musiało być jakieś logiczne wytłumaczenie. Morderstwa popełniano w nieregularnych odstępach czasu, ale musiał istnieć jakiś wzór. Co nim jednak rządziło?

Od szóstego do dwudziestego ósmego grudnia. Dlaczego nie od pierwszego dnia miesiąca do ostatniego? To byłoby bardziej logiczne. Dlaczego to nie wiązało się z cyklem księżycy? A może w grę wchodziło przypadkowe morderstwo, które wywołało reakcję łańcuchową? Do głosu doszła panika, a ta jest niebezpieczna.

Nagle spojrział na leżącą na biurku Bryanta zwiniętą gazetę.

„Najbardziej wilgotny grudzień od czasów wojny” - głosił nagłówek.

Odwrócił gazetę i przeczytał cały artykuł. Daty morderstw i daty dni z największymi opadami pasowały do siebie.

Wyciągnął obgryziony ołówek i narysował na kartce dwie linie. Wzdłuż linii zaznaczył daty - od 6 do 28. Na pierwszej linii zaznaczył dni, w których

następowały zabójstwa. Na drugiej - dni największych opadów.

Odstępy były jednakowe. Największe opady następowały dokładnie dziesięć godzin przed każdą śmiercią, z wyjątkiem napadów na Alison Hatfield i Pippę Whitstable.

Co, na miłość boską, miał począć z tą informacją?

Cokolwiek to było, musiał zacząć szybciej myśleć; właśnie znów zaczynało padać.

40 ŚWIT

- Ale przecież ksiądz go widział. Nawet z nim rozmawiał - powiedział zirytowany Bryant. - Musi ksiądz wiedzieć, jak wyglądał.

Młody duchowny zrobił przeproszącą minę. Dopiero co wyszedł ze szpitala. Miał zabandażowaną głowę, a z nozdrzy wystawała mu wata, przez co trudno było zrozumieć, co mówi. Przeniósł wzrok z policjanta na idącą obok niego sierżant, mając nadzieję, że kobieta okaże nieco więcej współczucia. Dopiero świeża i w nawie głównej St. Paul's było przeraźliwie zimno. Z powodu morderstwa nabożeństwa tego dnia zostały odwołane po raz pierwszy od wojny.

- Jak państwo widzą, ta część katedry jest kiepsko oświetlona - wyjaśniał napadnięty duchowny. - Większość głównych górnych świateł była wczoraj wieczorem zgaszona. Zwykle gasimy je po opróżnieniu skarbonek.

- Jakich znów skarbonek? - zapytał Bryant.

- Puszek na datki wiernych.

- Więc trzeba opłacać sobie miejsce w niebie? - zakpił policjant. Był w bluźnierczym nastroju, przemarznięty i wściekły na duchownego za to, że dopuścił do śmierci Alison Hatfield. Nie miał pojęcia, jak powiedzieć o tym wszystkim Johnowi.

- Ten człowiek stał pod łukiem. Myślałem, że ma na głowie bandaż. Spadł mu, kiedy mnie uderzył, i wtedy zobaczyłem, że to turban. Jego twarz była ukryta w cieniu. Oczywiście nie spotykamy tutaj zbyt wielu Hindusów. Myślałem, że ta dziewczyna pokłóciła się ze swoim chłopakiem. Pary często przesiadują na dziedzińcu.

- W środku zimy? W pierwszy dzień świąt? Ona nie miała chłopaka. Czy ten człowiek w ogóle coś do niej mówił?

- To wszystko stało się tak szybko... Tłumaczyłem im, że nie mogą wejść, ale on rzucił się na mnie.

Bryant potarł rękami o uda, usiłując poprawić krążenie.

- Czy w ogóle pamięta ksiądz jakieś szczegóły z nim związane?

- Mogę myśleć tylko o jego bezwzględności. Wszedł tu za nią z zamiarem zamordowania. Zupełnie jakby po prostu wykonywał swoje obowiązki.

- Gdyby wszyscy je wykonywali, Alison Hatfield wciąż by żyła - stwierdził Bryant. - Przybiegła do katedry, licząc, że znajdzie tutaj schronienie. - Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Opierał się o balustradę na Embankment i patrzył na niską mgłę snującą się ponad wirującą, połyskliwą powierzchnią Tamizy. Motorówka policyjna z warkotem przepłynęła obok, walcząc z prądem. To właśnie to, co robimy, pomysłał, walczymy z prądem. Staramy się odganiać mrok, który potężnieje z każdą chwilą.

Wyglądało na to, że nikt już nie jest bezpieczny. Alison Hatfield zginęła z określonego powodu. Szukała dokumentów Przymierza, nie zdając sobie sprawy, że szuka ich ktoś jeszcze. Jej śmierć była najtrudniejsza do zniesienia. Chciała im pomóc, a oni zachęcili ją do wyprawy w mrok. Nie spocznie, dopóki nie znajdzie jej zabójcy. Jest jej to winien.

Właśnie teraz pospiesznie zebrana ekipa techników wynosiła wszystkie pudła z podziemi siedziby cechu. Był pewien, że nie znajdą tam niczego ważnego. Ktoś ubiegł Alison. Czyżby kolega z pracy podsłuchiwał jej rozmowę telefoniczną? Budynek został zamknięty na święta. Musiała go specjalnie otworzyć, więc raczej mało prawdopodobne, żeby ktoś jeszcze tam był. Tomlins prawdopodobnie miał swój zestaw kluczy, ale nie pasował do rysopisu zabójcy.

Mewy krążyły nisko na pociemniałym niebie, dając sygnał do otwarcia parasoli. Bryant włożył dłonie w rękawy płaszcza i myślał.

Śmierć w katedrze. Nikczemne morderstwo w świętym przybytku. Co wiedział o tym miejscu? Starał się przypomnieć sobie, co kiedyś czytał.

W osiemnastym wieku St. Paul's Cathedral nie cieszyła się popularnością. Dziwki przechadzały się po jej terenie, używając nawy głównej jako drogi na skróty. Wiele osób uważało to miejsce za w równej mierze pogańskie jak i chrześcijańskie. I czegoż to, do diabła; dokonał Ivor Novello¹, że zasłużył na pochowanie w krypcie obok lorda Nelsona? To było bez sensu; kiedy Bryant najbardziej potrzebował swego umysłu, wyskakiwał z jakimiś bzdurami rodem z teleturnieju.

¹ Pieśniarz, kompozytor i aktor angielski popularny w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Po latach sportretowany w filmie *Gosford Park* Roberta Altmana (przyp. tłum.).

Stał przy balustradzie, patrząc, jak światło usiłuje się przedrzeć przez chmury. Chłód poranka przenikał go do szpiku kości. Tupiąc nogami o chodnik, zmusił się, by oczyścić umysł z nieważnych szczegółów i pomyśleć jasno.

Tak wiele przypuszczeń już wysnuwano i wszystkie okazywały się błędne. Tak wiele ślepych uliczek. Konferencja państw Wspólnego Rynku. Nazistowski symbol. Święty płomień. Przedrzyj się przez nie. Popatrz dalej.

Czy to akt zemsty? A może po prostu robiono to dla pieniędzy? Dlaczego wszyscy ich podejrzani byli Hindusami? Teoria Maya: zatrudniono wielu zabójców, każde morderstwo zostało dokładnie zaplanowane od samego początku. Czy to możliwe, że mimo wszystko miał rację, i że śmierć Alison to pomyłka wynikająca z paniki?

Coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

Te wszystkie daty. Przesilenie zimowe przypadało dwudziestego drugiego grudnia. Dokument powołujący do życia Przymierze Światłości Wiekuistej został podpisany w Savoyu dwudziestego ósmego. Jeśli James Makepeace Whitstable był rzeczywiście zainteresowany symbolicznym aktem przywrócenia światła, powinien zgromadzić swoich ludzi pełny tydzień wcześniej.

Świt wstał nad Londynem.

Nagle latarnie na Embankment zaczęły gasnąć. Perelki poświaty, znajome i zyczliwe, ciągnące się w mglistych naszyjnikach wzdłuż rzeki, znikwały, jedna po drugiej.

Bryant patrzył jak nikły przez całą drogę w dół do South Bank, obok Coin Street i Gabriel's Wharf, budynku Oxo i pubu Anchor, Spice Wharf, St.

Katharine's Dock i Tower Bridge, aż do odległych światła Greenwich.

- Mój Boże.

Otworzył wolno usta, ponieważ ujrzał nagle odpowiedź na swoje pytania.

- Ależ ze mnie niewiarygodny, nieodwracalny bęcwał - powiedział głośno.

- Jak mogłem dotąd tego nie zauważyć?

Oderwał się od balustrady, poprawił szal, po czym ruszył tak szybko, jak tylko jego zmarznięte nogi mogły go ponieść.

41 AUTOMAT

- Na miłość boską, Arthurze, nie było cię przez cały dzień. Jest już późno. Może przyjdiesz rano? - powiedział May, który po powrocie do domu zastał swego przyjaciela stojącego w progu i wyglądającego jak zmokła kura.

- Nigdy już nie miej do mnie pretensji o to, że nie biorę ze sobą pagera - odparł Bryant. - Przez ostatnie cztery godziny próbowałem się dodzwonić na twój. - Tylko oczy i uszy Bryanta wystawały ponad szalik. Czubek jego głowy miał dziwny odcień szarej siności. - Kilka minut temu zatrzymał się samochód i jakiś miłosierny samarytanin zapytał mnie, czy nie potrzebuję łóżka na noc. Musiałem pogonić go łaską. Gdzieś ty się, na miłość boską, podziewał?

- Chodziłem i myślałem - odrzekł May, wyjmując klucze i otwierając drzwi.

- Coś takiego! I co, doszedłeś do czegoś? - Bryant powlókł się za Mayem na górę do jego mieszkania. Jego buty chlupotały na schodach.

- Morderstwa są powiązane z miesięczną ilością opadów.

- Wybacz, ale chyba zaczynam tracić słuch - stwierdził Bryant, rozwijając szal i rozcierając uszy, kiedy weszli do pokoju. - Przez chwilę wydawało mi się, że powiedziałeś, że te morderstwa są powiązane z opadami. Jak świat światem zwałało się winę na kamerdynera. Teraz ty twierdzisz, że to prezenter prognozy pogody?

- Wyjaśnię to, jeśli ty mi powiesz, co tu robisz. - May przywykł do tego, że pracował ze swoim przyjacielem całymi nocami, nigdy jednak jeszcze się nie zdarzyło, żeby zastał go czekającego przed swoim domem.

- Skoro już wymieniamy się informacjami, muszę się pochwalić, że wiem, dlaczego James Makepeace Whitstable założył swoje Przymierze dwudziestego ósmego grudnia. Wiem, po co je utworzył, i wiem, dlaczego ludzie giną. Lepiej nastaw wodę na herbatę. To zajmie nam trochę czasu.

Podczas gdy May robił herbatę, Bryant podkręcił ogrzewanie, po czym odszukał butelkę brandy.

- To zabawne, jak niektóre rzeczy nagle do nas docierają. Dziś rano stałem przy balustradzie na Embankment...

- Jezu, gdzieś ty się podziewał całutki dzień?

- Sprawdziałem szczegóły. Wiesz, jaki jestem.

- Musisz być przemarznięty - zauważył May, stawiając tacę.

- Mam na sobie kalesonki. - Bryant poklepał się po nogach. - Potrzebowałem wiatru znad rzeki, żeby oczyścić mój umysł. W każdym razie nastał świt i nagle pogasły wszystkie światła wzdłuż Embankment. I to było to. Znalazłem związek. A związkiem byli Gilbert i Sullivan, rozumiesz.

- Nie, nie rozumiem.

- James Whitstable zaprosił swoich ludzi do miasta, żeby przedyskutowali pomysł, na który wpadł. Pomyśl o jego pozycji. To byli jego zaufani przyjaciele, członkowie cechu z dziada pradiada, ludzie, których znał całe życie. Chciał wykorzystać ich wierność, żeby chronić i wzmocnić cech zegarmistrzów. Uważał, że uda mu się tego dokonać, zapoznając członków cechu z grupą osób o podobnych zapatrywaniach. Pragnął, żeby brytyjskiemu rzemiosłu nie zagrażał żaden zagraniczny rywal. Wiktorianie budowali z myślą o wieczności. James Whitstable chciał się upewnić, że cech zegarmistrzów będzie trwać wiecznie.

- Nie bardzo rozumiem, Arthurze, dokąd to wszystko prowadzi...

- Cele Przymierza zostały wyznaczone w podpisanej umowie. James Whitstable wezwał swoich ludzi i zameldował ich w Savoyu w południe dwudziestego ósmego grudnia 1881 roku. Zjedli lunch w hotelowej restauracji, a Whitstable dokonał kolejnej rezerwacji na dwudziestą drugą trzydzieści. To jest również udokumentowane. Co Whitstable zaplanował na resztę dnia? Wiemy, że spędzili większą część wieczoru w jego apartamencie, przygotowując umowę i podpisując ją. Ale co z popołudniem? Było mnóstwo pełnokrwistych rozrywek bez wątplenia trafiających w ich upodobania. Pamiętaj, to był czas wielkiej rozwiązłości na West Endzie.

- Whitstable prowadził towarzystwa dobroczynne. Z pewnością krzywo pa-trzyłby na coś tak pikantnego.

- Wiktorianie nie byli wcale tak niewinni, jak nam się wydaje. Prostytucja się szerzyła, mimo różnych wysiłków, żeby oczyścić ulice. W czasie dnia dziwki przemierzały Rotten Row. W nocy Leicester Square był oazą wszelkiego rodzaju występku. Trzy lata po utworzeniu Przymierza pobudowano tam Empire Variety Theatre, który stał się wymarzonym miejscem dla prostytutek. Jego gipsowa bariera chroniła je przed niesolidnymi klientami. Nie, na tę okazję James Whitstable miał w zanadrzu coś innego. Byłem pewien, że wiem, co to jest, i moja teoria się potwierdziła, kiedy powtórnie przejrzałem dokumenty zdobyte przez Alison Hatfield. Pomiędzy wszystkimi tymi luźnymi kawałkami papieru znalazłem fragment biletu. - Uniósł podłużny skrawek zielonego papieru. - To bilet do mieszczącego się po sąsiedzku teatru Savoy, który został dopiero co oddany do użytku. Nie zapominaj, że Whitstable był zapalonym me-nasem sztuki. Gilbert i Sullivan wystawiali właśnie *Patience*. Przedstawienie początkowo grano w Opera Comique od dwudziestego trzeciego kwietnia, a potem przeniesiono do Savoyu... chwileczkę, niech sprawdzę... - przekartkował swój czarny notes z oślimi uszami - dziesiątego października. Na premierze byli obecni książę Walii i Oscar Wilde. Oczywiście byłoby ciężko utrzymać go z daleka. *Patience* parodiowała oprócz prerafaelitów także jego i cały ruch estetów.

- No dobrze, to właśnie tam James Whitstable zabrał swoich towarzyszy. - May wzruszył ramionami. - I co z tego?

- Nie uważasz, że to dziwne? Akurat ta opera była żartem dotyczącym aktualnych spraw. Aluzje w niej zawarte nawet wtedy nie były w pełni zrozumiałe dla kosmopolitycznej publiczności. Wiemy z ksiąg meldunkowych Savoyu, że większość towarzyszy Whitstable'a przyjechała z prowincji. Takie dziwaczne widowisko z pewnością nie mogło przypaść im do gustu. Nie, on nie chciał, żeby uczestniczyli w tym przedstawieniu tylko dla czystej przyjemności.

- Mam nadzieję, że to dokądś zmierza, Arthurze.

Bryant posmakował swojej herbaty z brandy i uśmiechnął się.

- Są takie momenty w historii, które zmieniają nasze widzenie świata, nie sądzisz? - Zawsze czerpał przyjemność z tego, że wie więcej na temat prowadzonego śledztwa niż jego kolega. Przerwał, by pociągnąć kolejny łyk, delektując się przez chwilę. - Niektóre są takimi oczywistymi wydarzeniami, że wszyscy się z tym zgadzamy. Władcy padają, bitwy są wygrywane lub przegrywane. Sarajewo, 28 czerwca 1914. Londyn, 3 września 1939. Dallas, 22 listopada 1963. Inne są zmianami na mniejszą skalę, a niektóre w ogóle przechodzą bez echa. Wieczorem 28 grudnia 1881 roku James Whitstable i jego towarzysze byli świadkami wyjątkowego wydarzenia. Po raz pierwszy budynek publiczny miał zostać oświetlony przez światło elektryczne. Ciemność została wygnana z zakamarków nocy. W tym przypadku przez ponad tysiąc dwieście elektrycznych żarówek. Próbowano to już kiedyś zrobić, dziesiątego października tego roku. Z tej okazji cały zespół teatru wyszedł na scenę i odśpiewał „Boże, chroń królową” w nowej aranżacji Sullivana, ale zaraz potem nastąpiła klęska. Generator znajdujący się na niezabudowanej parceli niedaleko teatru nie był w stanie wyprodukować wystarczająco dużo elektryczności i scena pozostała przy oświetleniu gazowym. Jednak na popołudniowym spektaklu 28 grudnia wszystko w końcu poszło dobrze. Richard D'Oyly Carte, jak zawsze wielki showman, wszedł na scenę i ogłosił, że światło gazowe zostanie wyłączone. Wygłosił prelekcję na temat bezpieczeństwa elektryczności. To była prawdziwa nowość dla widzów; wielu z nich sądziło, że jest ona groźna. Potem wziął kawałek muślinu i okręcił nim zapaloną lampę, którą następnie zbił młotkiem. Kiedy uniósł nieprzypalony muślin, udowadniając publiczności, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ta po prostu oszalała. Światło gazowe było nieczyste, żółtawe, śmierdzące i gorące. Nowe, elektryczne oświetlenie pozostało już tutaj. Wyobraź to sobie, John! Dla tych ludzi - biznesmenów, rzemieślników - to musiało wyglądać tak, jakby mity i tajemnice ciemnej przeszłości zostały usunięte przez zimne, jasne światło nauki. Trudno o bardziej odpowiedni symbol.

- Twoim zdaniem to przypadek, czy James Whitstable o tym wiedział?

- Oczywiście, że wiedział. Wykorzystał przedstawienie jako dowód, że podpisując z nim umowę, zrobili właściwą rzecz. Cóż za nadzwyczajny

początek nowej wspaniałej ery! Nic dziwnego, że James mówił o zimowym przesileniu, zwycięstwie światła nad ciemnością. Czyż sama Wiktoria nie została królową w dzień przesilenia letniego?! To był początek jasnej, nowej Brytanii. Koniec mitów i magii i, jak myślę, koniec pewnego rodzaju mrocznego ciepła. Koniec zabobonów, które mogły przetrwać tylko w mroku. Wiemy, że od tej pory Przymierze kwitło. Po śmierci założycieli majątki przejęli ich najstarsi synowie. Pieniądze i władza pozostały w rodzinie. Nie jestem pewien, co nastąpiło później.

- W tym akurat mogę ci pomóc - odparł May, ciesząc się, że może w końcu coś dodać. - Każdy, kto kiedykolwiek wchodził w drogę cechowi, zawsze albo wycofywał się, albo w ogóle zniknął. Jeden po drugim wszyscy rywale rozplynęli się we mgle. Najprawdopodobniej bito ich lub zabijano. To wszystko znajduje się w dokumentach zagranicznych kompanii, jeśli się wie, gdzie szukać. Nie było zbyt dużo takich przypadków u nas, bo śledztwo mogłoby doprowadzić do Przymierza. Whitstable i jego banda brali, a nie dawali za dużo w zamian. I mieli pewność, że nawet po ich śmierci tak będzie. Ich majątki były przekazywane przyszłym pokoleniom pod jednym warunkiem: że gdy kiedyś w przyszłości ich potomkowie zostaną poproszeni o ochronę interesów kompanii przez wykonanie prostego, niesprecyzowanego zadania, czegoś, o czym zostaną powiadomieni w odpowiednim czasie, muszą się zgodzić.

- Twoim zdaniem ojcowie czynili ze swoich synów zabójców?

- Och nie, nikt z osób o wysokiej pozycji nie brudził sobie rąk krwią, ale tak myślę, że ten skuteczny sposób eliminowania wrogów - sposób, który wyprzedzał swój czas, powinienem dodać - wiązał się z zobowiązaniami wobec firmy.

- To mocny motyw.

- Seria zabójstw, która zapewniła przetrwanie finansowemu imperium, została dokonana przez potomków członków Przymierza. Śmierć *per procura*. Rozmawiałem już z Longbright. Godzinę temu dostała teleks od policji w Bombaju. Ojciec i dziadek naszego czyściciela okien Davida Denjhiego pracowali dla kompanii, której właścicielem była rodzina Whitstable'ów. Konkretnie w przedsiębiorstwie należącym obecnie do Charlesa Whitstable'a.

- Ale skąd Przymierze wiedziało, kiedy ktoś już jest na tyle niebezpieczny, że należy go usunąć? I jeśli wciąż wyznaczają ofiary, dlaczego mordują członków swojej rodziny?

- Członkowie cechu zegarmistrzów są rzemieślnikami. Myślę, że Whitstable kazał swojemu wewnętrznemu kręgowi stworzyć system automatycznego wskazywania wrogów. A teraz, blisko sto lat później, nikt nie wie, jak go zatrzymać.

- Raymond Land nigdy w to nie uwierzy.

- Lepsze to niż twoje nadprzyrodzone brednie.

- To zależy, kogo uważa się za gorszych: kapitalistów czy satanistów. Dokąd nas to wszystko prowadzi?

- Do bezpośredniego potomka Jamesa Whitstable'a, którym jest Charles Whitstable - powiedział May. - Przeoczyliśmy go z powodu jego pozycji; jak łatwo wciąż ochraniamy tych u władzy. Berta Whitstable jest beznadziejną kłamczucha. Im bardziej obstawała przy tym, że jej syn nic nie wie, tym bardziej zastanawiałem się, czy on właśnie nie może nam pomóc. Jeśli ktokolwiek coś wie o mechanizmach działania Przymierza, to z pewnością on. Podejrzewam, że był w siedzibie cechu, kiedy Alison do mnie dzwoniła. Mógł też wysłać kogoś do podziemi przed nią. Z Goldsmiths' Hall do St. Paul's Cathedral jest naprawdę niedaleko.

Bryant zmarszczył brwi.

- Wspomniałeś o mechanizmie działania Przymierza. Rozumiem, że masz na myśli jakąś formułę usuwania wrogów.

- Nie, Arthurze, mam na myśli mechanizm w dosłownym znaczeniu tego słowa. Nie zapominaj, że oni byli rzemieślnikami. Myślę, że powinniśmy szukać jakiegoś rodzaju automatu.

42 TYGRYS! TYGRYS!

O piątej dwadzieścia siedem następnego ranka elegancki dom w Chiswick należący do Christiana i Deborah Whitstable był pogrążony w ciemności i pozostanie taki aż do momentu, gdy alarm zadzwoni za godzinę i trzy minuty. Tylko małe światło na ganku, działające na wyłącznik czasowy, pozostało włączone.

Dwaj funkcjonariusze, których May wyznaczył do ochrony domu, kończyli właśnie służbę i stali razem w ogrodzie przed domem, czekając na zmienników.

Christian Whitstable kiepsko znosił dramat swojej siostry Isobel. Mała Daisy po uratowaniu pozostawała milcząca. Zdrowie jej matki pogorszyło się w święta tak bardzo, że musiano ją umieścić w prywatnej klinice w Fulham. I słyszał, że matka Pippy wcale nie czuje się lepiej.

Mimo niebezpieczeństwa Christian odmówił przeniesienia się do strzeżonego przez policję budynku, woląc spędzić święta we własnym domu. Postanowił sam chronić swoją rodzinę, lego krewni za bardzo polegali na policji, a co ona zrobiła oprócz tego, że cały czas zawodzi?

On i Deborah dyskutowali zawzięcie na ten temat. Widząc, co się stało Daisy, Deborah była skłonna raczej trzymać swoje dzieci pod ochroną policji, ale jej mąż odmówił przyłączenia się do reszty klanu zebranego w mrocznym domu Williama Whitstable'a. Wierzył, że jest panem swojego losu, i rozciągał tę filozofię na własne dzieci, nawet jeśli nie były jeszcze na tyle duże, by to docenić.

Deborah skarżyła się, że mąż naraża życie ich wszystkich na niebezpieczeństwo.

- Bzdura - odparł Christian podczas kolacji poprzedniego wieczoru. - Mamy ochronę przez całą dobę. Bez przerwy przed domem stoi dwóch policjantów, dzieci zawsze ich mogą widzieć. A nawet jeśli, uchowaj Boże, komuś udałoby się wślizgnąć do domu, to przecież bylibyśmy w stanie wezwać pomoc, zanim cokolwiek niefortunnego by się zdarzyło. Są tylko jedne drzwi od frontu i jedne z tyłu domu. Nikomu nie uda się stąd uciec.

- Może i masz rację - westchnęła Deborah, wiedząc, że nie wygra się kłótni z żadnym Whitstable'em. Poszła spać z nożem pod poduszką. O ile miała niewielkie zaufanie do męża, o tyle w ogóle go nie miała do stojących na straży policjantów. Znudzeni i przemarnięci kursowali na zmianę do baru kanapkowego przy głównej ulicy po kawę. Jeden z nich, posterunkowy Graham Watson, wyglądał na siedemnaście lat i był chudy jak patyk. Większość czasu spędzał na ganku, dłubiąc w nosie i czytając książki Iana Fleminga.

Teraz stał przy bramie, wpatrując się w czarne niebo, poprawiając pasek przy kasku i mając nadzieję, że zmiennicy przyjdą, zanim znów zacznie padać.

Wyglądał swojego kolegi, który poszedł zrobić ostatni obchód i jeszcze nie wrócił.

Za nim, gdzieś po prawej stronie ogrodu, krzaki zatrzęsły się, a z liści spadły krople.

- To ty, Dez? - Jego zażywny kolega, posterunkowy Derek Brownlow, nie był zbyt obowiązkowym policjantem i miał zwyczaj zaszywać się w komórce w ogrodzie z batonikiem mars i egzemplarzem „Health & Efficiency”¹. Teraz wyglądało na to, że gdzieś się zgubił.

¹ Ukazujące się od 1900 roku angielskie pismo, które propaguje naturyzm, nie stroniąc przy tym od zamieszczania na swych łamach „nagich” zdjęć (przyp. tłum.).

- Dez, co ty tam robisz? - Watson wyjął latarkę z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Światło na ganku właśnie zgasło, pogrążając ogród w ciemności. Musi powiedzieć panu Whitstable'owi, żeby naprawił regulator czasowy.

Poświecił w krzaki i poszedł wolno ścieżką, patrząc na krople deszczu błyszczące w świetle. Krzaki przed nim poruszyły się raz jeszcze.

- Dez?! - zawołał. - Jeśli to ty, daję słowo, zabiję cię. Wylaż zaraz, bo dostanę przez ciebie nerwicy.

Deborah Whitstable odwróciła się na brzuch, usiłując się wygodniej ułożyć. Nie spała zbyt dobrze od porwania Daisy. Co innego jej mąż. Leżał na plecach, lekko chrapiąc. Drzwi sypialni były uchylone i do środka wpadał chłód. Nie czuła go, kiedy szła spać. O tej porze zawsze było chłodniej, bo termostat przełączał się i piec ogrzewał dzieci, zanim sennie schodziły na śniadanie.

Wyślizgnęła się cichutko z łóżka, podeszła do okna i odsunęła zasłonę. Ani śladu policjantów, którzy powinni ich strzec.

W sypialni na pewno czuć przeciąg, zupełnie jakby ktoś otworzył drzwi. Włożyła szlafrok i wyszła na podest schodów. Od razu poczuła tę zatęchłą woń. Czyżby zapomniała wynieść śmieci? Włączyła światło i wyrzała przez poręcz do holu. Odniosła wrażenie, że coś zostało porzucane po szarych kaflach podłogowych. Potem uświadomiła sobie, że to podarte gazety. Wyglądało na to, że ktoś naniósł błota. Gazety były poukładane, kiedy szli spać. Kto to zrobił?

Wciąż usiłowała rozwiązać tę zagadkę, kiedy usłyszała czyjś oddech. Głęboki i chrypiący, astmatyczny i ohydny. I zobaczyła, że drzwi pokoju dzieci wolno się otwierają.

Jej pierwszą myślą była ucieczka z powrotem do sypialni i obudzenie męża. Zastanawiała się, czy nie krzyknąć do niego, ale wiedziała, że zwykle twardo śpi i pewnie jej nie usłyszy. Kiedy jednak zobaczyła, co stoi w drzwiach, i tak nie mogła z siebie wydobyć głosu.

Osiem stóp od niej, w wejściu do pokoju, w którym spali Justin i Flora, stał pełnych rozmiarów tygrys bengalski.

Myśl, że to zwierzę znajduje się w domu na przedmieściach Londynu, wydawała się czystym szaleństwem. Ale było tam, patrzyło na nią żółtymi ślepiami i rytmicznie uderzało ogonem o framugę drzwi.

Tygrys miał ponad sześć stóp długości i sięgał do gałki u drzwi. Był stary i zdenerwowany nieznanym otoczeniem. Długie białe włosy zwisały z jego zapadniętych policzków. Sierść miał pomarańczowo-brązową, pięknie znaczoną ciemnymi poprzecznymi pręgami. Dolna część ciała była brudnokremowa, a wielkie, rozczapierzone łapy pokryte błotem i uzbrojone w straszliwe czarne pazury.

Kiedy zwierzę uniosło swoją olbrzymią głowę i rozszerzyło nozdrza, wciągając jej zapach, zaczęło iść w jej stronę i ujrzała jego wystające zębra. Czytała gdzieś, że stare lub chore tygrysy mogą jeść ludzkie mięso, kiedy są głodne i uważają ofiary za słabsze niż one. Zbliżające się zwierzę wyglądało na oszalałe z głodu.

Gdy Deborah odzyskała głos i jej krzyk wypełnił powietrze, tygrys rzucił się do przodu z wyciągniętymi przednimi łapami i przewrócił ją na podłogę. Słyszała krzyki syna i córki, a nawet Christiana zrywającego się z łóżka, ale w następnej chwili zwierzę pozbawiło ją przytomności, uderzając w głowę pazurami.

Tygrys otworzył paszczę, pokazując rzędy długich brązowych zębów, i ślina skapnęła na jej twarz, a potem sięgnął w dół, by zacisnąć zęby na jej głowie i wbić się w nią, rozrywając skórę i ścięgna swej bezbronnej ofiary.

Kiedy Christian wybiegł na podest schodów w piżamie, z otwartymi szeroko oczami, tygrys porzucił ofiarę. Zwabiony krzykiem dzieci przeniósł uwagę na delikatniejsze mięso.

43 PROPOZYCJA

Arthur Bryant stał w holu pod figurkami świętych, składając kapiący parasol i wolno rozwijając mokry szal, który dostał w prezencie świątecznym. Co on tu robi, zachodziła w głowę Sam. Jeśli ją rozpozna, zostanie zdekonspirowana. Co gorsza, może zechcieć wyjaśnić okoliczności ich poznania. Szybko odsunęła się pod ścianę, wychodząc z zasięgu jego wzroku.

Na szczęście Bryant odwrócił się i stanął plecami do drzwi salonu. Obserwowała, jak rozmawia z Charlesem, ale była za daleko, by usłyszeć, o czym mówią. Podeszła więc do drzwi.

- ...rozumiem, że został pan ściągnięty do kraju przez matkę w zeszłym tygodniu, tak?

- Niezupełnie. Przedtem rozmawiałem jeszcze z Bertą. Oczywiście była wstrząśnięta tym, co się stało, ale powiedziała, że mój powrót do domu nic nie da, szczególnie że kilku członków rodziny ma żal o to, jak prowadzę sprawę.

- W takim razie czemu pan wrócił?

- Zmartwiłem się, że niepotrzebny rozgłos może spowodować odpływ akcjonariuszy. I otrzymałem wezwanie od wspólnika w interesach, który chciał, żebym pomógł mu rozwiązać pewien problem.

- Jaki problem?

- Stara się odnaleźć dokument, który należał do mojego pradziadka.

- Panie Whitstable, muszę wiedzieć, co to za dokument.

- To żadna tajemnica. - Charles wrzucił ramionami. - James Makepeace Whitstable prawdopodobnie zostawił pamiętnik ukazujący najważniejsze wydarzenia z jego życia. Niewykluczone, że to rzuci nieco światła na to, co się obecnie dzieje. Bałem się o bezpieczeństwo matki w Londynie, więc podjąłem decyzję o podróży i zajęciu się nią.

- Czy udało się panu znaleźć ten pamiętnik?

- Niestety, nie udało mi się pomóc. Ledwo znalazłem czas, żeby zacząć poszukiwania. Miałem na głowie tak dużo innych spraw. Wieczorem w drugi dzień świąt zadzwonił mój wspólnik i powiedział, że już nie muszę szukać.

Mówiąc szczerze, nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Prawnicy zawsze są tacy, kiedy coś koliduje z ich planami.

- To był Leo Marks, prawda?

- Tak.

- Muszę zadzwonić do Londynu - powiedział policjant, pokazując na aparat stojący w holu. - Mogę?

- Oczywiście.

Arthur Bryant był wściekły na siebie. Oczywiście, że kancelaria prawnicza musiała być wtajemniczona w sekrety swoich najstarszych i najcenniejszych klientów. Max Jacob miał Biblię Williama Whitstable'a. Były w niej zaznaczone fragmenty odnoszące się do doktryny światła i ciemności. Wiedział o Przymerzu. Był jego częścią.

May pochopnie wyrzucił Leo Marksa z głowy ze względu na jego młodość i brak doświadczenia, ignorując fakt, że działał on w imieniu swojego chorego ojca. Marks prawdopodobnie przeszukał siedzibę cechu, chcąc znaleźć pamiętnik, ale wydawało się nieprawdopodobne, żeby zamordował Alison Hatfield. Mógł jednak nieświadomie przyczynić się do jej śmierci.

A jeśli pamiętnik znajdował się w posiadaniu Leo i jego ojca, co z nim zamierzali zrobić? Jeśli ujawniał powód zniszczenia rodziny Whitstable'ów, z pewnością chcieliby chronić życie swoich klientów, przekazując go policji.

Bryant chciał zrozumieć sposób myślenia prawników. Musiał mieć pewność, że Leo Marks znajdzie się szybko i bezpiecznie pod ich kuratelą. Jutro będzie 28 grudnia. Kto wie, co przyniesie ten dzień?

Po wyjściu Bryanta Charles poszedł do Sam.

- Kto to był? - zapytała.

- Jeszcze jeden policjant. Zadzwonił do Londynu i wyszedł w wielkim pośpiechu. Sądząc z jego miny, otrzymał jakąś złą wiadomość.

Zastanawiała się, co Bryant odkrył. Miała rację, że działała na własną rękę. Policja nigdy nie dotrze do prawdy. Gdyby tylko mogła sprawić, że Charles jej w pełni zaufa... Zeszłego wieczora był bardzo bliski otwarcia przed nią serca. Potrzebowała więcej czasu.

- Obiecałem, że odstawię cię dziś rano do Londynu - przypomniał - więc powinniśmy się zbierać. Muszę załatwić kilka spraw w City, a potem zajrzeć do matki.

Umów się, pomyślała. Nie pozwól mu się wyślizgnąć.

- Jutro muszę iść do pracy, ale dziś wieczorem jestem wolna - powiedziała.

Podszedł do niej i stanął odrobinę zbyt blisko, patrząc i uśmiechając się lekko.

- Więc spotkamy się później. Mam mieszkanie w Mayfair. Nie jestem zbyt dobrym kucharzem, ale znam świetną hinduską restaurację w pobliżu i mogę coś z niej zamówić. Przynekam, że nie będziemy rozmawiali o interesach. Opowiedz mi wszystko o sobie.

- Świetnie - odparła. - A ty opowiedz mi wszystko o swojej rodzinie.

John May nie mógł spać. Deszcz go rozpraszał. Pogoda jeszcze się pogorszyła. Wstał i pojechał do wydziału. Przybył do siedziby nad stacją metra Mornington Crescent o szóstej czterdzieści pięć, akurat na czas, żeby odebrać drugi telefon z domu Christiana i Deborah Whitstable'ów.

Przeglądając nocne raporty, zobaczył, że pierwszy, pięć po szóstej, donosił, że dwoje członków rodziny nie żyje. Raymond Land to jedyny wysokiej rangi funkcjonariusz, który był na służbie i odpowiedział na to zgłoszenie.

Zanim May dojechał na miejsce zbrodni, cały dom został otoczony przez samochody. Zauważył trzy karetki, wóz strażacki, dziesiątki fotoreporterów, kilka wozów policyjnych, tłum gapiów i coś, co wyglądało na wóz cyrkowy. To się nazywa nie nadawać sprawie rozgłosu, pomyślał, wchodząc do ogrodu.

- Udało nam się go okrążyć, proszę pana - powiedział jeden z policjantów. - Musieliśmy trzy razy strzelić nabojami ze środkiem usypiającym, żeby padł. - Początkowo May myślał, że rozmawiają o człowieku, ale zanim zdołał zadać dalsze pytania, ujrzał nieprzytomne zwierzę niesione przez policjantów na długim brezencie.

Kiedy dotarli do bramy ogrodu, oślepiły ich flesze aparatów.

- May! Tutaj! - krzyknął Land, przedzierając się przez morze niebieskich mundurów. Wyglądał, jakby zbierało mu się na wymioty.

- Na miłość boską, nie pozwalaj fotoreporterom zaglądać przez te okna, człowieku! - krzyknął May, kiedy doszli do schodów. - Jeśli wejdą na drzewa naprzeciwko, będą mogli trzaskać zdjęcia wszystkiego w środku.

Policjant, do którego adresował te słowa, zasunął zasłony i włączył reflektory punktowe. Smród odchodów zwierzęcia zmieszany z ostrą wonią resztek leżących w holu wypełniał cały dom. May wszedł na podest schodów, na którym Deborah Whitstable spotkała się ze swoim przeznaczeniem.

Rozległe plamy krwi pokrywały ściany i zbierały się w czarne jeziora na chodniku na schodach. Kolejne plamy i krwawe odciski znaczyły pomalowaną na biało poręcz. Na szczęście ciała zostały już sfotografowane i wyniesione.

- Jakim cudem to zwierzę się tutaj dostało? - zapytał zbity z tropu May.

- Staraliśmy się ustalić przebieg wydarzeń - odparł Land - i wszystko wskazuje na to, że stało się to niedługo przed piątą trzydzieści, kiedy policjanci stojący na straży czekali już na zmienników. Jeden z nich był na tyłach domu. Drugiego pozbawiono przytomności. Drzwi frontowe zostały otwarte jego kluczem zapasowym i do środka wpuszczono tygrysa. Pieprzonego tygrysa, John. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby zrobić coś takiego?

- Gdzieś w pobliżu musiała być zaparkowana duża furgonetka albo ciężarówka. Zaczniemy wypytywać sąsiadów.

- To nie powinno być trudne. Wszyscy stoją na gankach w szlafrokach.

- Co się stało, kiedy tygrys został zamknięty w środku?

- Wygląda na to, że cała rodzina spała. Weterynarz, którego wezwaliśmy z zoo, twierdzi, że zwierzę musiało być od dłuższego czasu głodzone i przygotowywane do ataku.

- Czy zgłaszano zaginięcie jakiegoś zwierzęcia?

- Nie zajmie dużo czasu uzyskanie takiej informacji. Tygrys poczuł zapach ludzi i wszedł po schodach tutaj. - Land wskazał ślady pazurów. - Najpierw musiał obudzić Deborah, bo wyszła na podest schodów w szlafroku. Tu właśnie ją zaatakował. - Pokazał poczerwiony kąt. - Potem jego uwagę przyciągnął chłopiec. Załoga pierwszego radiowozu, który tu przyjechał, znalazła męża zabarykadowanego z córką w sypialni dzieci. Zostałdzielony łapą, ale nic mu się nie stało. Zwierzę skończyło jeść Deborah i ściągnęło chłopca po schodach za głowę. Pewnie chciało go sobie zostawić na później. - Land zniżył głos. - To kompletne szaleństwo, John. Wyobrażasz sobie nagłówki w gazetach? - May zauważył, że najważniejszym zmartwieniem jego przełożonego była prasa, a nie tragedia rodziny.

- To nie szaleństwo - odparł. - To spryt. Ci, którzy to zaplanowali, wiedzieli, że ktoś, kto wejdzie tutaj, by zabić członków tej rodziny, będzie miał problem z wydostaniem się, więc wybrali mordercę, z którym nie będzie potem kłopotu. Kogoś - czy też raczej: coś - niebędącego w stanie powiedzieć ani słowa w razie złapania. - Spojrzał przez okno na tłum gapiów. - Wydarzenia nabierają tempa. Nie czujesz tego?

- Jeśli tak, lepiej znajdź sposób, żeby to zatrzymać - powiedział Land, idąc w kierunku schodów.

Tuż przed południem John May, który przyleciał helikopterem policyjnym do Norwich, przez fale zacinającego deszczu przedzierał się do siedziby kancelarii prawniczej Jacob & Marks; strajkujący kierowcy ciężarówek zablokowali autostrady. Znalazł budynek otwarty i wypełniony policjantami przeszukującymi każdy zakamarek. Leo Marks został zatrzymany na miejscowym posterunku do czasu przetransportowania na przesłuchanie do Wydziału Przesłuchaw Osobliwych.

- Czego dokładnie szukamy, proszę pana? - zapytał jeden z funkcjonariuszy.

- Według Bryanta - odrzekł May, siadając na najbliższym krześle - to będzie napisany ręcznie dokument albo po prostu kilka luźnych kartek papieru. To ma ponad dziewięćdziesiąt lat, więc powinno być w jakiejś plastikowej teczce albo w czymś takim.

- Czy chodzi panu o coś takiego? - Posterunkowy Bimsley uniósł teczkę z kremowymi kartkami papieru welinowego w środku.

- Bimsley, to mi się wprost nie mieści w głowie. Po raz drugi w waszej, pożałujcie Boże, karierze udało wam się zrobić coś pożytecznego. - May wziął od niego teczkę i otworzył ją, patrząc na pierwszą kartkę. Była zatytułowana „Przymierze Światłości Wiekuistej: Propozycja zapewnienia finansowego rozkwitu Czcigodnemu Stowarzyszeniu Zegarmistrzów Wielkiej Brytanii”. Gdzieście to znaleźli?

- W skrytce pod biurkiem, proszę pana.

May włożył teczkę do plastikowej torebki, tak żeby można było zebrać odciski palców.

- Myśli pan, że to pomoże w śledztwie? - zapytał Bimsley.

- Mam nadzieję, że je zakończy - odparł May.

44 MECHANIZM

Leo Marks denerwował się jak zapędzony w ślepią uliczkę kot.

- Mówiłem już: działałem na zlecenie ojca - powiedział. - Zadzwoń do panny Hatfield i poproś o pomoc w znalezieniu dokumentów dotyczących systemu finansowego rodziny. Zrobiłem to na prośbę ojca.

- I pojechał pan szukać ich osobiście? - zapytał May.

- Tak, bo jej się nie udało ich znaleźć. Chyba była zbyt zajęta, bo pomagała wam.

- Kiedy to dokładnie było?

- Już panu mówiłem.

- Proszę powiedzieć jeszcze raz.

- Wczesnym popołudniem drugiego dnia świąt. Moja dziewczyna czekała w samochodzie, kiedy tam poszedłem. Była na mnie wściekła z powodu tego wyjazdu do Londynu. Możecie to sprawdzić. - To oznacza, że wizyta prawnika nastąpiła przed pójściem tam Alison, pomyślał May. Jej poszukiwania odbyły się wieczorem.

- Jedno mnie zastanawia: jak się udało panu tak szybko znaleźć dokument, którego panna Hatfield tak długo szukała.

- Właśnie o to chodzi. Nie znalazłbym go bez jej pomocy. Przeszukała połowę kartonów stojących w piwnicy. A ja po prostu wiedziałem, gdzie szukać. Ojciec powiedział mi, w którym kartonie może być. Jest w zbyt ciężkim stanie, żeby przyjechać do Londynu osobiście.

- Słyszałem, że leży w szpitalu. Przykro mi. Czy nie dziwi pana, że panna Hatfield została zamordowana niemal natychmiast po pana wizycie w cechu?

- Nie... To znaczy, tak... Sam nie wiem. - Ukrył twarz w dłoniach, po czym zaczął masować skronie. - Wiem, jak to wygląda, ale ja jej nie tknąłem. Nawet się z nią nie widziałem.

- Uporządkujmy fakty. - May wstał zza biurka i podszedł do młodego prawnika. - Panna Hatfield próbowała znaleźć dla pana pewien zapomniany dokument i została przez to zabita. Panu udało się go znaleźć i ująć z życiem. Nie uważa pan, że to dziwne?

- Nie, to tylko...

- Niby dlaczego nie?! - krzyknął May. - Dlaczego ona zginęła, a panu pozwolono wyjść stamtąd jak gdyby nigdy nic?

- Dlatego, że mogła zostać zamordowana z jakiegoś innego powodu - odparł prawnik. - Była osobą z zewnątrz, która mieszała się w cudze interesy.

- Dlaczego nie przyniósł pan tego dokumentu do nas? Musiał pan wiedzieć, że ma związek ze śmiercią panny Hatfield.

- Dlatego, że mój ojciec otrzymał surowy zakaz ujawniania jakichkolwiek dokumentów komukolwiek spoza rodziny, choćby się waliło i paliło.

- Kto wydał ten zakaz?

- Jego ojciec. A on otrzymał go od Jamesa Makepeace'a Whitstable'a w 1883 roku.

May skinął na przyjaciela.

- Chodźmy stąd - powiedział. - Muszę się przewietrzyć.

W korytarzu z ich ust wydobywała się para.

- Dlaczego tu jest tak zimno? - zapytał Bryant, kiedy weszli do sekretariatu.
- Krew zamarza mi w żyłach.

- Nie udało nam się odpowietrzyć kaloryferów - wyjaśniła sierżant Longbright. - Musiałam wysłać większość ludzi do domu. Powinni to naprawić do przyszedłego weekendu.

- Do tego czasu zamarznę. Czy stan Peggy Harmsworth chociaż trochę się poprawił?

- Lekarz twierdzi, że jeśli jej obecny stan szybko się nie zmieni, może to oznaczać, że doznała uszkodzenia mózgu. Z powodu zniszczeń, jakich dokonały narkotyki, mogą podawać jej tylko ograniczone dawki leków. - Sierżant nie spała już drugą dobę. We włosach miała cztery ołówki, a na biurku pięć na pół dopitych kubków kawy. Pisała w rękawiczkach i po raz pierwszy, odkąd policjanci pamiętali, nie miała oczu podkreślonych czarną kredką.

- Gdzie Raymond?

- U Whitstable'ów. Zagrozili, że jeśli ktoś bezzwłocznie się z nimi nie zobaczy, opuszczą budynek i złożą skargę w MSW, a potem zawiadomią prasę. Żaden z panów nie był dostępny.

- I Bogu dzięki - odparł Bryant. - Czy oni naprawdę nie zdają sobie sprawy, że jest o wiele bezpieczniej, kiedy są tam razem? Czy nie oglądali nigdy starych horrorów? Każdy, kto sam wchodzi do piwnicy z latarką, kończy z szyją przebitą nożem.

- Zabieraj swoje rzeczy i wychodzimy - powiedział May.

Bryant słyszał ludzi krzyczących przed budynkiem. Przeszedł przez pokój i wyjrzał przez okno.

- Tylko popatrzcie na ten żądny krwi tłum.

Wydział Przestępstw Osobliwych przeżywał obłęd. Do godziny jedenastej dziennikarze otoczyli siedzibę wydziału i zaczęli wznosić okrzyki pod oknami. Byli wściekli, że Raymond Land nie zwołał konferencji prasowej poświęconej śmierci Deborah i Justina Whitstable'ów, i pozostali przed budynkiem, żądając, by pojawił się przed nimi z wyjaśnieniami. Udało mu się jednak jakoś wymknąć tylnym wyjściem. Teraz było wpół do szóstej, a mimo to nic nie wskazywało, że tłum się rozproszy.

- Lepiej wyjdźcie panowie tylnym wyjściem - poradziła im Longbright, która zadbała o to, by dostęp do uliczki za budynkiem został ograniczony. - Zawiadomię panów, jeśli sytuacja się pogorszy.

- Trudno mi sobie wyobrazić, żeby mogła być jeszcze gorsza - stwierdził May. - Nie widzę sensu w przetrzymywaniu tu dalej Marksa. Ma solidne alibi. Nie możemy nawet go oskarżyć o wzięcie bez zezwolenia pamiątnika, bo miał pozostawać pod opieką jego ojca. Czy ktoś widział Sam Gates?

- Nie było jej od kilku dni - odparła Longbright. - Co się stało, proszę pana?

- Bryant oparł się o ścianę. Wyglądał, jakby miał się przewrócić. Nad nimi rozległ się złowrogi grzmot.

- Chyba zaraziłem się od Johna grypą. Dojdę do siebie, kiedy coś zjem - wyjaśnił. - Potrzebuję węglowodanów. Ziemniaków. Sosu.

Pojechali taksówką na północną stronę Fitzroy Square, gdzie Gog and Magog już otworzył podwoje. Restauracja, która wzięła swoją nazwę od posągów Goga i Magoga, zdobiących Guildhall aż do bombardowania podczas drugiej wojny światowej, serwowała wybór wiktoriańskich i edwardiańskich przysmaków, które niewtajemniczeni uznawali za zbyt wyszukane.

Bryant przyprowadzał tu przyjaciela tylko z okazji urodzin i wielkich wydarzeń. W sumie więc rzadko widywali tutejsze menu częściej niż raz w roku.

May miał poczucie winy, że opychają się, podczas gdy zbierają się nad nimi chmury, ale czasami więcej dawało siedzenie przy stole w restauracji niż w sali przesłuchań.

- „Natura rozrywa pęta sztuki” - zacytował Bryant, zdejmując mokry płaszcz. - Pamiętasz, kto to powiedział?

- To było tej nocy, kiedy spotkaliśmy Williama Whitstable'a przed jego domem. Twierdziłeś, że gdzieś to już słyszałeś.

- Zgadza się, słyszałem. Dziś rano przypomniałem sobie gdzie.

Chociaż jadali tu rzadko, powitano ich jak starych znajomych, wiodąc do stolika pod zawieszoną na ścianie liniejącą głową łosia.

- To Gilbert i Sullivan, oczywiście - wyjaśnił Bryant. - Ale nie mogłem sobie przypomnieć, która opera. Potem uzmysłowiłem sobie, że poeta Bunthorne śpiewał ten wers w *Patience*. W zestawieniu z fragmentami zaznaczonymi w Biblii to potwierdza...

- ...że William Whitstable wiedział o istnieniu Przymierza.

- Właśnie. Może wszystkie ofiary wiedziały. Wydaje mi się, że rodzina Whitstable'ów dzieli się na tych, którzy wiedzą o Przymierzu, i na tych, którzy nie mają o nim pojęcia. Mój Boże, jak oni uwielbiają sekrety. Teraz dopiero widać prawdziwy powód, dla którego William zniszczył obraz w to deszczowe poniedziałkowe popołudnie w National Gallery. - Bryant położył na kolanach serwetkę. - Wyobraź to sobie. Po poważnym pożarze teatr Savoy został wystawiony na sprzedaż i ku przerażeniu wszystkich wygrała oferta Japończyków. Rząd nie był zbyt skłonny do pomocy. Premier miał za dużo roboty ze związkami, żeby zawracać sobie głowę tym, czy jakiś teatr pozostanie w brytyjskich rękach. Peter Whitstable wymyślił z prawnikiem rodziny, że przejmą Savoy, kompromitując Japończyków. Whitstable'owie rozpaczliwie tego pragnęli ze względu na jego symboliczne znaczenie w historii rodziny. Ich system nie zdawał już egzaminu - z jakiegoś tajemniczego powodu nie działał właściwie, i to już od ładnych paru lat. Rodzina toczyła swoje własne biznesowe walki. Peter i jego prawnik musieli opanować sytuację. Przedyskutowali plan z Williamem, ale on go nie zaaprobował. Japończycy mieli szlachetne zamiary. Whitstable'owie natomiast byli o krok od zachowania się jak zwykli oszuści. Czy William powiedział Peterowi i Maxowi, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, że ideały rodziny zostaną zdradzone? Nie, w typowy dla Whitstable'ów, przesadny sposób wydał publiczne oświadczenie, niszcząc obraz, który upamiętniał wszystko, co Przymierze kiedyś sobą reprezentowało.

- W takim razie William musiał nie wiedzieć, że jego brat planował po prostu kontynuowanie praktyki swojego przodka.

- Na tym polega cała ironia sytuacji. - Bryant wziął menu. - Peter i prawnik doskonale wiedzieli, co tak naprawdę powołał do życia James Makepeace Whitstable, ale wygląda na to, że William nie miał o tym pojęcia. Gdybyśmy tylko mogli porozmawiać z nimi teraz...

- Nie musimy. Mamy zapiski samego staruszka. - May postukał bok swojej teczki.

- Masz przy sobie pamiętnik?

- To właściwie nie jest pamiętnik, po prostu krótkie sprawozdanie, coś, co miało być czytane przez partnerów w przyszłości. Ale na końcu dodał garść swoich przemyśleń.

- Pokaż - poprosił Bryant.

- Za chwilę. Najpierw zjedzmy.

Kelner poinformował ich, co jest daniem dnia, bez wyjaśniania, co się na nie składa, najwyraźniej zakładając, że ci, którzy tu przychodzą, wiedzą, czego się spodziewać.

- Polecamy zupę wiosenną - powiedział – *chaudfroid*¹ ze szparagami, comber barani...

¹ *Chaudfroid* (fr.) - potrawka z drobiu w galarecie.

- A co na deser? - zapytał Bryant, niezbyt grzecznie przerywając mu w pół zdania.

- Pudding z sokiem malinowym, bezy i galaretkę agrestową.

Bryant rozparł się wygodnie na krześle, zachwycony. Menu restauracji wydało mu się cudownie wiktoriańskie. Po raz pierwszy od tygodni policjanci mogli przez chwilę pomyśleć o czymś innym niż o rodzinie Whitstable'ów.

May otworzył teczkę i wyjął z niej pożółkłe kartki.

- Mówiąc szczerze, miałem trudności z odczytaniem - przyznał. - To jest napisane takimi hieroglifami, że lepiej będzie, jeśli zostawię przetłumaczenie tego tobie.

Bryant nie był pewien, czy może to uznać za komplement. Wziął dokument, usiłując przeczytać tytuł, po czym sięgnął po okulary.

- Propozycja zapewnienia finansowego rozkwitu? Już samo to wygląda podejrzanie. - Każda strona była wypełniona czarnym atramentem. Potem był

oddzielny dokument, również pisany odręcznie. Duże pochylenie liter czyniło go trudnym do odczytania. Podczas gdy May smakował wino, jego towarzysz czytał. Po chwili uderzył pięścią w stół tak mocno, że dwóch kelnerów siedzących z tyłu sali restauracyjnej aż podskoczyło.

- Więc to tak! - krzyknął. - Wiedziałem, że to musiało być coś w tym stylu.

- To znaczy? - zapytał May.

- Chociaż robię to niechętnie, muszę przyznać, że miałeś rację. Dlaczego James Whitstable zaprosił do swojego Przymierza rzemieślników, a nie ekspertów finansowych? Zaproponował skonstruowanie pewnego mechanizmu. Posłuchaj tego:

Jeśli nasi prawnicy potrafili wymyślić system ubezpieczeniowy, w którym całkowita dywidenda powiększa się po śmierci każdego subskrybenta, dlaczego nie skonstruować pewnego rodzaju mechanicznej tontyny? W dzisiejszych czasach nie powinno być trudne skonstruowanie mechanizmu, do którego subskrybenci i beneficjenci Czcigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów będą mieć dostęp długo po naszej śmierci, przez proste zastosowanie konstrukcji do powstrzymania zapędów naszych rywali.

Mój Boże, nic dziwnego, że ten kraj jest w takim stanie, jeśli został zbudowany na takim języku jak ten.

Bryant pociągnął łyk wina i pochylił się do przodu, kładąc kartki przed sobą.

- James Whitstable rozumiał, że cech podupada. Zagraniczni konkurenci produkowali tańsze wyroby. Musiał działać szybko, jeśli nie chciał, aby ich imperium rozpadło się i nic nie zostało dla spadkobierców. Rzucił załóżek pomysłu i zaprosił do Londynu ludzi, którzy mogli mu pomóc we wprowadzeniu planu w życie. Tego popołudnia 28 grudnia 1881 roku zjadł lunch ze swoimi kompanami, napelniając podatne głowy rzemieślników gadką o świetle i ciemności, zachowaniu siły i nienaruszalności cechu i Bóg jeden wie, o czym jeszcze. Bez wątpienia ci lojalni, ciężko pracujący ludzie z łatwością dali się skusić. Zapewne byli i tak oszołomieni pobyt w Londynie - a jeszcze do tego zostali zabrani na lunch w Savoyu! Po posiłku zaprowadził ich do sąsiedniego budynku, żeby stali się świadkami pokazu. Nagle zrozumieli, że wszystko, o czym mówił, było prawdą; James Makepeace Whitstable przewidział przyszłość, w której światło na zawsze zatriumfuje nad ciemnością. Otrzymali dowód, że nowa era elektryczności właśnie się zaczyna. Któż nie byłby pod wrażeniem? Whitstable zaprowadził ich,

wciąż pełnych podziwu, z powrotem do swojego apartamentu i wyjął umowę do podpisania. Wręczył każdemu wykonany przez cech zegarmistrzów pamiątkowy złoty zegarek kieszonkowy z wygrawerowanym świętym płomieniem. Walnął im bełkotliwą mowę o Sługach Niebios. Potem kazał przysiąc, że utrzymają to wszystko w sekrecie, i na koniec napomknął, że oczekuje szybkiego rozwiązania problemu. I jego wysiłek opłacił się. Rzemieślnicy pomyśleli i skonstruowali elektrycznie zasilany mechanizm, który miał obliczać wpływy cechu na podstawie włożonych węń informacji. Maszyna identyfikowała również właścicieli akcji.

- Chcesz mi powiedzieć, że oni skonstruowali coś w rodzaju prymitywnego komputera?

- Nie, bo ich system nie był binarny. Niestety, byli przede wszystkim rzemieślnikami, a nie matematykami. Ale jesteś na dobrym tropie. Jestem dopiero w połowie. Daj mi doczytać do końca.

- Jedzenie stygnie - zauważył May.

Bryant jednak nie odrywał się od czytania. Przez dobrą chwilę wydobywał z siebie różnego rodzaju „hm” i „aha!”. W końcu oderwał wzrok od dokumentu, uświadomił sobie, że jego posiłek wciąż znajduje się przed nim, i zaczął łapczywie jeść. Żaden z nich nie odezwał się, dopóki talerze nie były zupełnie puste.

- Tak - powiedział Bryant, wycierając usta serwetką - maszyna została zrobiona z mosiądzu.

- To wszystko? - zapytał May. - Nie ma tam nic więcej?

Bryant odłożył serwetkę i znów przyjrzał się kartkom.

- Dwa lata zajęło im skonstruowanie i skalibrowanie tego urządzenia.

- Mój Boże, jakiej ono jest wielkości?

- Nie wiem, nie ma o tym ani słowa. Ale to urządzenie mechaniczne zasilane elektrycznością. Czy to możliwe, żeby wciąż działało? To przecież nie jest *perpetuum mobile*.

- Czy on wspomina coś o sposobie jego działania?

- Tylko to, że maszyna przekazuje informacje do źródła na zewnątrz, gdzie są podejmowane „stosowne kroki”.

- Dobre i to. A co jeśli chodzi o lokalizację?

- Znów żadnego tropu, prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa. Jeden człowiek z pewnością to wie. Musimy porozmawiać z ojcem Leo Marksa.

Dowiem się, w którym szpitalu leży. Jeśli jednak to on miał być strażnikiem tego dokumentu, dlaczego nie miał go przy sobie?

- Alison Hatfield mówiła mi, że wszystkie cenne dokumenty cechu w czasie wojny ze względów bezpieczeństwa zostały przeniesione do podziemi. Wiadac Marks uważał, że to dla nich najbezpieczniejsze miejsce. Potem, kiedy zaczęły się napady na Whitstable'ów, rodzina zwarła szeregi i Marks senior uświadomił sobie, że nie dotrzymał przyrzeczenia, zostawiając dokument w cechu. Zastanawiam się, ilu Whitstable'ów wiedziało w ogóle, co w nim jest.

- Nawet jeśli słyszeli opowieści o mechanicznej tontynie, wątpię, by dawali im wiarę. I nigdy nie przyznają się do tego, że coś o tym wiedzą.

- Starsze pokolenie z pewnością musiało dziwić się swojemu niesłabnącemu powodzeniu w interesach. Cech miał pieniądze nawet w roku strajku generalnego. Założę się, że rodzina zarządziła palenie dokumentów, kiedy usłyszała, że William Whitstable został zamordowany.

May wstał od stołu.

- Gdyby mniej się martwili topniejącymi finansami, a choć odrobinę bardziej zajęli sobą nawzajem, może bylibyśmy w stanie powstrzymać rozlew krwi już na początku. Nie odchodź. Muszę gdzieś zadzwonić.

Bryant z westchnieniem oparł się na krzesło. Wiedział, że ten wieczór zakończy wizytą w szpitalu. Szanse na to, żeby cieszyć się w spokoju deserem, malały podobnie jak możliwość wyspania się.

45 WIERNOŚĆ

W taksówce jadącej do Wentworth Clinic w Gloucester Terrace Bryant przeczytał pozostałe dokumenty. Znajdował się wśród nich fragment dziennika Jamesa Makepeace'a Whitstable'a.

28 grudnia 1881 roku, wieczór

Niedługo po przedstawieniu wróciliśmy do naszych pokoi. Jedno spojrzenie w oczy moich kolegów powiedziało mi, że nasza eskapada do rozświetlonego elektrycznością teatru przekonała ich o wiarygodności mojego projektu. Ci uczciwi rzemieślnicy zobaczyli przyszłość i nie odmówią już żadnej mej prośbie. Wszyscy zgodzili się na zostanie Sługami Niebios, chociaż bez wątplenia

nie do końca wiedzieli, co to znaczy. Czy wciąż będą, chcieli uczestniczyć w konstruowaniu urzędnia, kiedy zrozumieją, że oznacza to koniec życia niektórych spośród ich bliźnich?

Rozpoczęliśmy zebranie niedługo po ósmej. Przykazałem pokojowym, by pod żadnym pozorem nie przeszkadzano nam tego wieczora. Zaciągnąłem ciężkie zielone zastawy i przygasilem światła, zdejmując obie lampy ze stołu, by zebrani lepiej zdawali sobie sprawę z powagi naszego przedsięwzięcia.

Radford był pierwszy, wślizgnął się do pokoju, jakby przeprasając, jego szpotawe stopy dudniły po podłodze. Zaraz za nim weszli Lamb, Chambers, a potem Suffling. Tak jak przykazałem, wszyscy mieli atlasowe szarfy. Poprosiłem ich teraz, żeby je przywdziali. Chambers nieśmiało zapytał o coś, co najwyraźniej nie dawało mu spokoju, jeśli tego wieczoru uzgodnimy warunki skonstruowania naszego mechanizmu, jaki jest cel naszej obecności jako Sług Niebios?

- Cieszę się, że pan o to zapytał - powiedziałem, wskazując mu miejsce naprzeciwko siebie - ponieważ to nakieruje naszą dyskusję na rolę wiary i magii w nadchodzącym wieku nauki. - Ich uwaga została podtrzymana i moi Słudzy zajęli miejsca wokół ośmiobocznego, przykrytego sukniem stołu. - System, który ma zachować nasze majątki i na zawsze usunąć naszych wrogów, osiągnie cel, gdyż oparty jest na naukowych przesłankach - dowodziłem, patrząc kolejno na ich twarze. - Na razie została wam przedstawiona jedynie propozycja skonstruowania urzędnia, które wyrówna nasze nakłady i oszacuje zniszczenia dokonane przez naszych wrogów. Zgadza się pan, panie Lamb, że tego rodzaju urządzenie jest możliwe do skonstruowania?

- Ależ naturalnie, panie Whitstable - przyznał zapytany - chociaż rodzi się pewien problem.

- Mianowicie? - zapytałem.

Jego palce pociągały za fular, kiedy zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Utrzymanie tego w tajemnicy - powiedział w końcu. - jak uda nam się strzec tak dużego urzędnia, a jednocześnie nie zaniedbywać jego konserwacji?

- Nie musi się pan o to martwić - zapewniłem go. - Tontyna zapewni nam porady. Ale jak mamy wprowadzić w życie jej instrukcje? Czy nauka usunie naszych przeciwników? Nie. Do tego potrzebujemy nieprzeciętnej wierności.

Panowie, nasza organizacja wyprzedza swój czas. Pewnego dnia wszystkie interesy będą w ten sposób prowadzone. My jednak będziemy pierwsi. Nawet teraz członkowie cechu pracują nad rozwiązaniem problemu usunięcia naszych wrogów. Bez ich pomocy ziarno zniszczenia wkradnie się w nasz system. Przypuśćmy, że jeden z nas zostanie zatrzymany z powodu pokonania zniechęconego rywala. Że będzie musiał wyjaśniać pobudki swego czynu. A jeśli to któryś z was miałby dokonać owego czynu? Jak czułby się potem? Nawet najbardziej słuszna sprawa przynosi brzemień winy, jeśli wymaga czyjejs śmierci. Rozwiązanie leży w Indiach. Panowie, nie proszę was o działanie przeciw Bogu. To dlatego pozyskałem pogan. To oni będą naszymi wiernymi zabójcami.

Wstałem z za stołu i podszedłem do kominka, by ogrzać ręce. Sześć par oczu śledziło każdy mój ruch. Tego wieczora wierność moich najbardziej zaufanych ludzi została poddana próbie. Byłem pewien, że pójdą za mną. Nie wliczałem w to naturalnie Radforda.

- Niech mnie diabli, jeśli zostanę jednym z was! - krzyknął, zrywając się na równe nogi.

- Nie zezwalam ci na opuszczenie naszego kręgu - odparłem.

- Nie masz prawa mnie zatrzymywać - oświadczył, odwracając się do pozostałych, by zyskać ich poparcie. Wiedziałem jednak, że są ze mną. Nadszedł czas, by udowodnić Radfordowi, jak wielką siłą dysponuję. Kiedy mój niemądry pracownik szarpał za drzwi (z których zamka wyjąłem klucz), włożyłem szkarłatną szatę Ocha i zacząłem recytować bluźniercze frazy. Zaiste, dziwny widok: Radford skrobie w drzwi w panice, podczas gdy pozostali, milczący i nieruchomi, stoją wokół swego mentora.

Kiedy uniosłem ręce i skończyłem przyzywać gestami Bethora i Ophiela, powietrze w pokoju stało się duszące, a płomienie w lampach zadrżały.

Zaraz potem z pokoju obok wszedł Rajeev, mój wierny sługa. Stanął, czekając na rozkazy.

Radford odwrócił się, po czym, na jego widok, oparł się plecami o drzwi. Chciał krzyknąć, ale Rajeev, na mój znak, otoczył jego szyję czerwonym jedwabnym sznurkiem. Kiedy mój pracownik osunął się na podłogę, służący podążył za nim, zaciskając sznurek coraz mocniej. Radford przez dłuższą chwilę

szamotał się w milczeniu, aż wreszcie siły go opuściły. Kiedy już przestał oddychać i zaległ w bezruchu na dywanie, Rajeev zdjął sznurek z jego nabrzmiałego gardła i wyszedł z pokoju. Lamb rozsunał zastony i otworzył okno. Powiew powietrza sprawił, że płomienie w lampach znów się wyprostowały.

Radford odszedł, nosząc na ciele mały ślad po nieszczęśliwym wypadku, jaki mu się przydarzył. Jego śmierć lekarze uznali za efekt nadużycia alkoholu. Sprawę zatuszowano dla ochrony reputacji hotelu.

Wciąż wstrząśnięci pozostali zebrani odwrócili się i skoncentrowali na sformułowaniach dokumentu założycielskiego Przymierza.

Tego wieczora nie było już żadnych więcej incydentów.

Bryant włożył poźółkle kartki z powrotem do teczki.

- Wszystko jest tutaj, spisane własnoręcznie przez Jamesa Makepeace'a Whitstable'a.

May przetarł okno i wyjrzał.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

Wieczorne wizyty dobiegły już końca. Grecki portyk budynku w kolorze kremowobiałym wyglądał lepiej od strony Regent's Park, niż gdy się na niego patrzyło, stojąc na obrzeżach Notting Hill. Klinika Wentworth była drogim prywatnym ośrodkiem rehabilitacji dla pacjentów z chorobami serca i cieszyła się wsparciem finansowym bogatych klientów z całego kraju.

Kiedy taksówka zatrzymała się przed wejściem, Bryant zerknął na swojego podniszczonego timexa. Kupił go pod wpływem widzianej w latach sześćdziesiątych reklamy, na której czasomierz znajdował się na nodze galopującego konia. Niestety, działał tak, jakby ten koń na nim usiadł.

- Jeśli ojciec Leo Marksa nie będzie chciał mówić, nie wydobędziemy z niego informacji - powiedział, patrząc na licznik i przeszukując kieszenie, żeby zapłacić kierowcy. - Trzy funty? - zawodził. - Toż to rozbój w biały dzień!

- Możemy mu powiedzieć, że mamy jego syna w areszcie - zaproponował May. - Chodźmy.

- Nie dostanie pan napiwku - ostrzegł Bryant.

- Nie martw się, koleś - odparł kierowca, biorąc od policjanta pieniądze. - Czytałem o tobie w gazetach. Sam też się go nie doczekasz.

W wyłożonym marmurem holu kliniki siedziała elegancka recepcjonistka w czarnym kostiumie, czytając przy świetle lampki.

- Popatrz na to miejsce - zadumał się Bryant. - Powinniśmy zostać prawnikami. Wszyscy cię nienawidzą, ale przynajmniej chorujesz w komfortowych warunkach.

- Dzwoniłem wcześniej - powiedział May odrobinę za głośno. - Przyszliśmy do pana Marksa.

Recepcjonistka podniosła słuchawkę i coś do niej wyszeptała. Kilka chwil później u podstawy schodów stanęła młoda kobieta w stonowanym fartuchu.

- Stan pana Marksa jest stabilny - poinformowała, wchodząc z nimi na pierwsze piętro. - Godzinę temu prosił o whisky, więc najwyraźniej powraca do zdrowia.

- Nigdy już nie skorzystam z usług publicznej służby zdrowia - oświadczył Bryant, rozglądając się. - Czy ktoś był u niego z wizytą?

- Tak - odparła pielęgniarka - jesteście panowie jego drugimi gośćmi tego wieczoru.

- Kto jeszcze tu był? - zapytał May.

- Jakiś Hindus, nie dosłyszałam nazwiska. Wydaje mi się, że jeszcze nie wyszedł.

May chwycił przyjaciela za rękę i zaczął biec.

- W którą stronę?! - krzyknął do pielęgniarki.

- Do końca korytarza i w prawo - odrzekła, wytrącona z równowagi. - Trzecie drzwi po lewej. Ale nie ma pośpiechu...

Dobiegli do końca korytarza, ich buty ślizgały się po świeżo wypastowanej podłodze. Korytarz przed nimi tonął w ciemności, ale zdążyli już zobaczyć, że drzwi do sali, w której leżał Marks, były otwarte na oścież.

Przebiegli całą długość korytarza i zatrzymali się w wejściu. Pacjent był do połowy wyciągnięty z łóżka, kropiółka została wyrwana z jego ręki, zamykał i otwierał usta jak ryba pozbawiona wody.

Prawy przegub miał rozcięty. Krew plamiła białą pościel. Kiedy pielęgniarka weszła i zdała sobie sprawę z sytuacji, natychmiast przystąpiła do zamykania rany.

- Zdążyliśmy w ostatniej chwili - stwierdził Bryant. - Panie Marks, wiemy o tontynie. Musi nam pan powiedzieć, gdzie ona jest. Trzeba ją zatrzymać.

- Powiedzcie Charlesowi - wycharczał stary człowiek. - Powiedzcie Charlesowi... rzece... musi zadbać... o cech... przy rzece.
- No jasne - wyszeptał Bryant. - Gdzie indziej mogłaby być?

46 SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM ZEGARÓW

W drodze powrotnej do Londynu Sam zastanawiała się nad swoim położeniem. Jej kariera miała zapewnić ojcu nowego kolegę, a matce lepszy status społeczny. Żadne z nich nie wyobrażało sobie, że mogła stać się dla Charlesa Whitstable'a kimś więcej niż tylko pracownikiem.

Wróciwszy do domu zrozumiała, że Jack musiał już przekazać Gwen złe wieści: Charles Whitstable postanowił uczyć ich córkę bez zapewnienia jej rodzicom awansu społecznego. Nie mogąc znieść niezręcznego milczenia, wyszła z domu. Podjęła też jeszcze jedną decyzję: o opuszczeniu Savoyu. Nie było powodu, by tam zostawać. Może to wszystko zmusi rodziców do przemyślenia tego, czego chcą: od niej i od siebie nawzajem.

Postanowiła też trzymać się z daleka od Wydziału Przepływów Osobliwych. W normalnych okolicznościach skierowałyby się tam w nadziei na znalezienie kogoś, z kim mogłaby pogadać, i skończyłoby się na tym, że pomagałaby sierżant Longbright robić fotokopie. To tyle jeśli chodzi o uroki bycia policjantem. Wszystko to miała już teraz za sobą. Od tego wieczoru rozpoczyna nowe życie.

A teraz stała w uliczce odchodzącej od Curzon Street, wciskając wypolerowany mosiężny dzwonek z napisem C. WHITSTABLE.

Popatrzyła do góry na ciemne okna, ale nie zobaczyła tam nikogo. Z pewnością nie zapominałby o tym, że byli umówieni. Naciągnąwszy swoją krótką czarną sukienkę równo na uda, usiadła na schodkach.

Tuż przed dziewiątą wieczorem dwaj policjanci wpadli do siedziby nad stacją metra Mornington Crescent.

- Janice! - krzyknął Bryant - potrzebujemy Charlesa Whitstable'a. Coś ty z nim zrobiła?

- Cały czas jest w sali zatrzymań na pierwszym piętrze - odparła sierżant. - Raymond chciał go wypuścić...

- Przecież wydałem jasne polecenia, że nie ma prawa opuścić tego budynku.

- Wiem, dlatego nie dopuściłam do tego.

- Prawdziwy z ciebie skarb, wiesz o tym? - odrzyknął, po czym obaj policjanci wybiegli. Sierżant Longbright uśmiechnęła się do siebie i poprawiła fryzurę, jak większość policjantek nie przywykła do tego, że jest chwalona.

Charles Whitstable siedział zakutany w swoją marynarkę i jeden z szalików Bryanta. Sala zatrzymań była wychłodzona.

- Jestem umówiony, wasze umundurowane błazny przerwały mi bardzo ważne spotkanie biznesowe, a do tego dochodzi jeszcze brutalne domaganie się przesłuchania przez policjantów.

- Obawiam się, że takie były rozkazy naszego szefa komisarza Landa - wyjaśnił May.

- Wasz szef jest bardzo strachliwym człowiekiem. Myśli chyba, że nasza rodzina z rozmysłem zamierza zniszczyć mu karierę.

- Nieco ponad godzinę temu ojciec Leo Marksa został napadnięty w swoim szpitalnym łóżku - powiedział May. - Przez jakiś czas nie będzie mógł wycinać hołubców, ale przeżyje.

- Gratuluję - odrzekł Charles, na którym ta wiadomość najwyraźniej nie zrobiła wrażenia - w końcu udało wam się ocalić komuś życie. Czy macie jakieś podejrzenia, kto to mógł zrobić? Przynajmniej wiecie, że to nie ja.

- Myślę, że pan doskonale wie kto. - Bryant okrążył Charlesa i usiadł na krześle. - Muszę dowiedzieć się dokładnie, co pan robił w Indiach.

- Znam swoje prawa. Nie możecie mnie tutaj przetrzymywać bez powodu. Czy mogę zadzwonić do swojego adwokata?

- Nie - odparł Bryant. - Pozostanie pan tutaj przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny, podczas gdy będziemy czekać na informacje od policji w Kalkucie. Potem wrócimy do tego przesłuchania. - Bryant klepnął swego współpracownika w ramię, po czym obaj wyszli z sali.

- Janice, nie będzie nas przez chwilę. O której kończysz służbę?

- Nie kończę - odpowiedziała, wzdychając. - Nie ma w tej chwili nikogo, kto mógłby mnie zastąpić. Czy mam iść z wami?

Bryant zlustrował ją wzrokiem.

- Napnij mięśnie - powiedział.

Longbright spełniła jego prośbę.

- Phi! - prychnął policjant. - Sama skóra i kości. Do niczego nam się nie przydasz. Gdzie znajduję jakiś kilof?

- A czy może być młot? - Przypomniała sobie, że widziała torbę na narzędzia, którą robotnicy zostawili w gabinecie.

- Myślę, że tak.

Neon nad nimi zabyczał i na chwilę zgasł. Bryant rzucił przyjacielowi znaczące spojrzenie.

- Na miłość boską, przestań - zachnął się May. - Zaczynasz mnie przerażać.

Wsiedli do minicoopera Bryanta i ruszyli przez skąpane w deszczu miasto. May prowadził, więc mogli bez przeszkód rozmawiać. Gdy Bryant rozmawiał i prowadził jednocześnie, miał tendencję do obalania pacholków stojących na jezdni.

- Kiedy Alison zaprowadziła mnie do piwnic cechu - powiedział May - zapytałem ją o hałas pod naszymi stopami. Wyjaśniła, że to kanał rzeczny i że część piętra poniżej została wypełniona cementem na początku tego stulecia z powodu kłopotów z wylewaniem rzeki. James Makepeace Whitstable odciął jednak te pomieszczenia z innych powodów. Rzeka była dobrą wymówką, dzięki której nikt nie zamierzał ryzykować przebijania się przez ścianę. Wydaje mi się, że znajdziemy za nią tę diabelską maszynę. Oczywiście, jeśli się mylę, pewnie utoniemy.

Kiedy już udało im się wysiąść z małego autka, May spojrzał w górę na ponury gmach cechu zegarmistrzów. Był przekonany, że Charles doskonale wiedział o wewnętrznym kręgu cechu. Trudność polegała na udowodnieniu mu tego.

- Jak my się tam dostaniemy o tak późnej porze? - zapytał Bryant, który zdążył już zabrać torbę z narzędziami z tylnego siedzenia i próbował właśnie wypłatać swój szal z pasa bezpieczeństwa.

- Jedna dobra rzecz wynikała z zatrzymania Charlesa Whitstable'a - udało mi się wyjąć z kieszeni jego marynarki klucze. Wolałem nie prosić go o nie, żeby nie próbował kogoś ostrzec.

Po otwarciu drzwi i wyłączeniu systemu alarmowego May odnalazł włączniki światła i oświetlił hol, ale i tak byli uzależnieni od latarek, nie mogąc się zdać do końca na system oświetlenia awaryjnego w podziemiach.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem.

- Jesteśmy ciągle na pierwszym poziomie pod ziemią - zauważył May, zamysłony. - Alison mówiła, że jest jeszcze jeden poziom poniżej.

- Może trzeba tam zejść po schodach.

- Właśnie! - Odsunął kratę. - Tu jest oddzielna linia elektryczna. Zejdźmy niżej.

Drzwi pożarowe na końcu korytarza wyraźnie nie były otwierane od lat. May nie mógł ich poruszyć i musiał wykonać kilka uderzeń młotem, żeby odebrać skobel. Kiedy w końcu udało im się otworzyć, ich latarki wystraszyły hordy brązowych szczurów, które czmychnęły w ciemność. Ściany były wilgotne.

- Uważaj na schody - ostrzegł May. - Cement miejscami rozmiękł.

- Śmierdzi, jakby tu ktoś zmarł.

Schody przed nimi zakręcały. Bryant schodził ostrożnie, a mimo to omal nie upadł, kiedy poślizgnął się na okazałych rozmiarów martwym szczurze. Skierowawszy promień latarki w dół, ujrzał małe robaczki rojące się przy głowie gryzonia. Szum wody był teraz wyraźny. Doszli do stóp schodów i poświecili latarkami w ciemną dziurę korytarza przed nimi.

- Który z nas idzie pierwszy?

- Ja mogę - zgłosił się na ochotnika May.

- Uff, ulżyło mi - odetchnął Bryant.

Ślizgali się na oleistych kałużach. Ściany były pokryte błotem. Co jakiś czas widzieli nieregularne ślady w miejscach, w których kiedyś były drzwi, ale zostały zamurowane i zatynkowane.

- To nie mogą być żadne z nich - powiedział May. - Ślady są za świeże.

- Co najmniej z lat trzydziestych - przyznał Bryant. - A co powiesz na te przy końcu korytarza? - Doszli do kolejnych zamurowanych drzwi. Wejście było prawie dwa razy większe od poprzednich i zamurowano je cegłami standardowych rozmiarów.

- To muszą być te - stwierdził May, kucając, by przyjrzeć się z bliska.

- Najlepszym sposobem byłoby rozebranie ściany. - Bryant przebiegł palcami po spleśniałej powierzchni. - To nie powinno być trudne. Cegły są miękkie. To przez tę wilgoć. Potraktuj je młotem.

May zamachnął się.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Pierwsze uderzenie wyrzyło płytki rowek w przegniłej zaprawie. May znów się zamachnął, koncentrując się na jednej części ściany. Jego towarzysz odsunął się na bok, słysząc, jak szum wody przybiera na sile. Następne uderzenie oderwało dwie cegły.

May opuścił młot i poświecił latarką do środka.

- Oj, coś czuję, że ci się to spodoba - powiedział.

Zanim przyjaciel zdążył zajrzeć, May wrócił do uderzeń młotem i pracował niestrudzenie aż do chwili, kiedy dziura była na tyle duża, że można się było przez nią przecisnąć. Wtedy odsunął się i zrobił przejście Bryantowi.

- To ty odkryłeś, gdzie to jest - powiedział. - Więc ty pierwszy powinieneś tam wejść.

- Hm... dziękuję - odparł Bryant niepewnie, schylając głowę i wchodząc do środka. Podłoga pomieszczenia znajdującego się za ścianą była zalana głęboką na sześć cali lodowatą wodą. Coś w ciemności wolno tykało, głośno niczym gigantyczny zegar szafkowy. Bryant oparł się plecami o ścianę i zapalił latarkę.

Jej promień padł na matowy inkrustowany mosiądz. Urządzenie było wysokie na jakieś dwadzieścia - dwadzieścia pięć stóp, okrągłe, leżało na podstawie z czterech cylindrycznych, mosiężnych rur. Jego wygląd skojarzył się Bryantowi z dawnymi przyrządami astronomicznymi, takimi jak astrolabium czy sfera armilarna, składającymi się z okręgów, które obracały się niezależnie od siebie.

Pośrodku znajdowała się najbardziej skomplikowana część urządzenia, częściowo osłonięta stalowa kopuła z trybami i zębatkami, które wprowadzały w ruch metalowe ramiona. Kiedy tak patrzyli, jedna z wewnętrznych obręczy przesunęła się odrobinę, wprowadzając nieznaczną zmianę w kompozycji całości.

Niespodziewanie rozległ się brzęk i pośrodku urządzenia rozbłysło na moment niebieskie światło.

Kiedy Bryant zbliżył się, dostrzegł, że każde metalowe ramię było wyskalowane z niewiarygodną precyzją. Potem zauważył, że na wszystkich ramionach znajdowały się symbole oznaczające minuty, godziny, dni i lata. Na innych: wyliczenia odsetek i finansowych konfiguracji uwzględniających każdą

możliwość. Do końca każdego ramienia przytwierdzony był mały zegar umieszczony w grawerowanym złotym wsporniku.

- Popatrz na te wszystkie zegary - powiedział May. - Są ich dziesiątki.

- Po jednym na każdego potomka i rywala w imperium Whitstable'ów - dodał Bryant z trwogą, patrząc na imiona i nazwiska umieszczone przy nich. Policzył je szybko. - W sumie siedemdziesiąt siedem.

- James Makepeace Whitstable podarował swoim Sługom Niebios pamiątkowe zegarki. Wszystkie ofiary miały wiktoriańskie złote czasomierze, nawet Daisy.

Bryant wiedział, że spogląda właśnie w zimne, zniszczone serce imperium Whitstable'ów, uosobienie wszystkiego, co najgorsze w imperialistycznej Anglii.

Policjanci stali jak zahipnotyzowani przy ogromnej, niepostrzeżenie obracającej się maszynie, promienie ich latarek oświetlały to jedną jej część, to drugą. W pomieszczeniu było cicho, z wyjątkiem głośniego tykania dobiegającego ze środka urządzenia i cichszego dziesiątków mniejszych zegarów.

- To jak jeden z tych mechanicznych modeli układu słonecznego - powiedział Bryant z podziwem.

- Piękne - zgodził się jego towarzysz, wolno odsuwając się pod ścianę.

W tym momencie otarł się o kogoś. Jego krzyk wypełnił pomieszczenie, odbijając się echem o metalowe ramiona astrolabium, które podziały jak kamertony, wzmacniając jego głos do nieznośnego hałasu.

47 WIELKIE IMPERIUM

- Już przepraszałeś za spóźnienie - powiedziała Sam. - Nie musisz jeszcze zasypywać mnie do tego pochopnymi obietnicami.

- One wcale nie są pochopne, zapewniam cię - odparł Charles, ponownie napełniając kieliszek winem. Tak jak obiecał, zamówił jedzenie w hinduskiej restauracji. Ten wybór okazał się nieprzypadkowy, bowiem mieszkanie było pełne indyjskich posążków i tkanin. Starożytne figurki kobiet pochodzące z Harappy stały obok kunsztownie rzeźbionych tygrysów i słoni. - Chciałbym

pokazać ci Indie. Moja praca tam dopiero się zaczęła. Jak na ważny, uprzemysłowiony kraj, eksportują bardzo mało. Próbujemy coś na to poradzić. Kiedy mam czas, jadę na wielkie równiny za miastami, gdzie nocne niebo ma barwę głęboko granatową i jest tak ogromne i ciemne, że myśli się, iż już nigdy nie ujrzy się świtu.

- Musi być piękne - powiedziała, powstrzymując drżenie.

- Nie tak piękne jak ty. Jesteś już kobietą. - Pocałował ją delikatnie. Poczuli zapach wina i przypraw korzennych. Oczekiwała tej chwili, nawet jeśli nie chciała się do tego przyznać. Wszystko w jej życiu nabrało posmaku nierealności, zupełnie jakby tylko część jej przeżyć była prawdziwa, a reszta halucynacją. Bała się pozostania z Charlesem sam na sam, wiedząc, że może go zawieść. Kiedy zamknęła oczy, a on pocałował ją raz jeszcze, próbowała go dotknąć, lecz jej ręce nie mogły oderwać się od boków.

- Co się dzieje? - Jego twarz była wciąż blisko jej, ale patrzył na nią dziwnie. Uświadomiła sobie nagle, jak napięte jest jej ciało. Kiedy nie odpowiedziała, odsunął się. - Sam, wszystko w porządku. Obiecuję, że nie stanie się nic, czego sama byś nie chciała.

- Boję się. - W końcu udało jej się wydobyć głos. Nie potrafiła wyartykułować tego Josephowi, ośmieliła się jednak powiedzieć to teraz. - Nigdy tego nie robiłam.

- Przepraszam, nie wiedziałem. - Delikatnie wziął ją za rękę. - Myślałem... no cóż...

- Chciałabym, ale coś... - Potarła dłonią czoło, usiłując zebrać myśli. - Tu chodzi o ciemność. Nie mogę... wpadam w panikę.

- No dobrze, boisz się ciemności. Ale to tylko jakiś problem psychosomatyczny. Można się z tego łatwo wyleczyć.

- Nie, nie można. - Potrząsnęła głową. Naprawdę dużo sesji terapeutycznych spędziła na roztrząsaniu tego problemu.

- Fobia jest nabytą reakcją emocjonalną - odparł, puszcżając jej rękę. - To pochodna lęku, który towarzyszy budzącym emocje zdarzeniom. Wiem, jak się czujesz, ale nic ci się nie stanie. - Spojrzała w górę i zobaczyła jego jasne oczy wciąż skupione na niej, nieporuszające się. Widziała światło lampy odbijające

się w mokrych szybach okiennych, łagodnie oświetlony kominek. On naprawdę w nią wierzył.

- No dobrze - wyszeptła, odchylając się do tyłu na sofie.

Dotknął delikatnie jej twarzy opuszkami palców.

- Po prostu rozluźnij się i zamknij oczy. Pomyśl o czasach, kiedy byłaś mała, kiedy byłaś szczęśliwa. - Słyszała głos Charlesa dobiegający z oddali, jak bzyczenie pszczoł w czerwcu. Ton jego głosu był niski i melodyjny. Poczuli się spokojniejsza, i czystsza. Mogła zajrzeć do własnego wnętrza.

Widziała odpryski przeszłości, które dawno temu usunęła z pamięci. Złe zachowanie w szkole. Twarz krzyczącej nauczycielki. Stanie w pustym korytarzu przed klasą. Gwen, wściekła, krzycząca. Coś zbitego, porcelana, woda na żółtym dywanie, łyż. Goście wokół stołu w jadalni, wpatrujący się w nią. Wigmore Street w deszczu. Wysiadanie z taksówki. Czekanie przed gabinetem terapeuty.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Charles trzyma przepaskę na oczy.

Przestraszona, usiadła.

Pokój zawirował przed nią. Zdezorientowana, wyciągnęła rękę, żeby utrzymać równowagę. Wstała i zachwiała się.

- Zaczekaj, Samantha, nie odchodź...

Ale ona włożyła już rękę do rękawa płaszcza i wybiegła z mieszkania.

- Myślę, że pan wystraszył mnie o wiele bardziej niż ja pana.

Twarz oświetlona przez latarkę była chuda, zniszczona życiem i należała do starego Hindusa. Nieliczne siwe włosy biegły poprzez poznaczoną bliznami łysą czaszkę. Człowiek, który stał przed nimi, miał na sobie niebieski kombinezon i wyglądał jak konserwator.

- Gdybyście, panowie, zechcieli przejść do mojego gabinetu... - Pokazał na małe drzwi z tyłu. Oniemiali Bryant i May zastosowali się do prośby staruszka.

Pomieszczenie za salą, w której znajdowało się astrolabium, było rozświetlone blaskiem małego żyrandola. Jego wyposażenie stanowiły: tanie biurko i krzesło, szafa, sterty dokumentów, maszyna do pisania, kosz na śmieci, kubek i kalendarz ścienny z wyblakłymi krajobrazami Norwegii.

Po chwili Bryant zauważył, że kalendarz pochodzi sprzed ponad czterdziestu lat, a dokumenty są spleśniałe. W tym czasie malutki Hindus rozglądał się gorączkowo za czymś, na czym mógłby posadzić swoich gości. Skojarzył się Bryantowi z naczelnikiem stacji wciąż opiekującym się dawno zamkniętą linią.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, przesuwając dokumenty na tył biurka. - Nigdy tu jeszcze nie miałem gości. - Wyciągnął rękę, by się przywitać. - Nazywam się Malcolm Rand i do moich obowiązków należy opieka nad urządzeniem, które widzieliście panowie w sąsiednim pomieszczeniu.

- Od jak dawna pan tutaj pracuje? - zapytał May.

- Jestem związany z cechem przez większą część życia, od ukończenia praktyki. W 1957 roku przejąłem obowiązki swojego stryja, niech spoczywa w pokoju.

- Jak pan się tutaj dostaje? Przecież wychodzi pan na zewnątrz, prawda?

- Oczywiście, proszę pana. Widziałem pana kilka razy, ponieważ jestem również kierownikiem zespołu konserwatorów naszej siedziby. Ten gabinet połączony jest z korytarzem biegnącym z tyłu. Doglądam sprzętu dwa razy dziennie, rano i przed wyjściem, wieczorem, żeby być pewnym, że jest dobrze naoliwiony i będzie działać prawidłowo.

Dopiero teraz May przypomniał sobie, że widział Randa stojącego przy schodach w czasie swojej pierwszej wizyty.

- Czy ktoś jeszcze wie o tym wszystkim? - zapytał.

- Nie, proszę pana, i nikt nie może się dowiedzieć. To jest zapisane w mojej umowie o pracę. Nie powinno panów tutaj być. Mogę stracić posadę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by tak się nie stało - obiecał May. - Czy przed panem byli tu inni konserwatorzy?

- Z całą pewnością. Nasze obowiązki polegają na pilnowaniu, by urządzenie nie zostało zniszczone.

- Ale to już się stało. Czy wie pan, co to w ogóle jest?

- Oczywiście, proszę pana - odrzekł cicho Rand. - To maszyna finansowa wielkiego imperium Whitstable'ów. Sprawdza, czy zyski Czcigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów są dzielone sprawiedliwie i czy nie trafiają w niepowołane ręce. Kiedy straty finansowe osiągają pewien poziom, maszyna ustala

winowajcę i przekazuje dane tej osoby odpowiednim władzom w świecie zewnętrznym.

- Komu konkretnie? - zapytał Bryant. - I w jaki sposób?

- Maszyna jest podłączona do systemu telefonicznego, proszę pana. Nie wiem, dokąd idą te komunikaty. - Pan Rand był zmieszany napiętą atmosferą, jaka panowała w pokoju. - Czy coś z tym nie tak?

- Czy wie pan, co się dzieje, kiedy maszyna przekazuje wiadomość? - zapytał May.

Konserwator potrząsnął niepewnie głową.

- Doprowadza do śmierci osób, których nazwiska przekazała dalej.

- Nie, nie. To przecież niemożliwe, prawda? - pytał zszokowany staruszek.

- To nie może być prawda.

- Obawiam się, że to jednak prawda - odrzekł Bryant, przysiadając na skraju biurka. - I myślę, że pan Charles Whitstable będzie w stanie nam o tym wszystko opowiedzieć.

Policjanci popatrzyli do tyłu na tykającą maszynę.

48 RUCH CHANDLERA

Rand zapalił słabą żarówkę na suficie. Mosiężne urządzenie załśniło w jej blasku; upiornie piękna machina śmierci. Cień metalowych ramion obracał się pod kołyszającym się światłem. Zegary zabłyśły, tykając cicho.

- Mechanizm obraca się niepostrzeżenie, odznaczając kolejne miejsca na podziałce. Znaki odpowiadają członkom rodziny i ich powiązaniom biznesowym - wyjaśniał Rand. - Dane nowych firm są mi przekazywane przez prawników. Dodaję je i na ich podstawie aktualizuję nazwiska. - Wskazał kilkanaście kartek papieru przyklejonych na mosiężnych ramionach. - Chciałem przyprowadzić tu kogoś, żeby wrył tak jak trzeba nowe nazwiska w mosiądzu, ale to by było pogwałcenie mojej umowy. - Wcisnął jedną z podniszczonych etykiet z powrotem na miejsce. Rand był wyraźnie dumny ze swojej pracy, mimo że nie rozumiał jej prawdziwej śmiercionośnej natury.

- Jeśli urządzenie namierza nieodpowiednich ludzi, musiały się zmienić jego ustawienia - powiedział Bryant. - Czy ostatnio była w pobliżu jakaś budowla?

- O tak - odparł Rand - bardzo dużo. Miasto szybko się zmienia. Od czasów wojny przybyło wiele budynków.

- Czy czuł pan kiedyś jakieś drgania?

- Do niedawna nie. Ale w zeszłym miesiącu wyburzano stary bank w sąsiedztwie i wszystko zaczęło podskakiwać. Myślałem już, że to trzęsienie ziemi, ale przecież w tym kraju się ich nie spotyka.

- No i mamy rozwiązanie zagadki - oświadczył Bryant, schylając się i wchodząc pod urządzenie, a następnie prostując się w środku mechanizmu obrotowego. - Jakie powinny być ustawienia w tym wewnętrznym kręgu? - zapytał Randa. - Pamięta pan?

- Proszę poczekać, zaraz sprawdzę. - Wrócił po chwili z podkładką i płachtami perforowanego papieru i przebiegł palcem po rzędzie liczb. - 162337,918. Ta liczba powinna być umieszczona obok drążka przy pana lewej ręce.

Bryant wyjął okulary do czytania i sprawdził numer.

- 162338,984. Jest dalej tylko o jedno nacięcie, ale ten błąd uruchomił reakcję łańcuchową. I wszystko wzięło w łeb. Mamy tu do czynienia z czymś w rodzaju ruchu Chandlera.

- Co to jest? - zapytał May.

- To zakłócenia w ruchu obrotowym Ziemi - wyjaśnił Bryant. - Powodują zmianę szerokości geograficznej. To właśnie nastąpiło tutaj. Wibracje wywołane rozbiórką spowodowały przeskoczenie mechanizmu o jedno nacięcie i tony zaczęła wybierać nie tych ludzi, których powinna.

- Sądziłem, że problemem może być woda - powiedział Rand. - Za każdym razem, kiedy pada, dostaje się tu woda i godziny mijają, zanim opadnie. Zastanawiałem się, czy to nie spowoduje zakłóceń w pracy mechanizmu. To urządzenie elektryczne. To może być niebezpieczne.

- Nie o to chodzi - odrzekł Bryant. - Przypuszczam, że woda dostaje się tutaj dlatego, że ekipa rozbiórkowa doprowadziła do częściowego zniszczenia kanału i rzeka obrała inną trasę.

- Chodźmy stąd, Arthurze - powiedział May. - Musimy znaleźć sposób, żeby wyłączyć to piekielne urządzenie.

- Jak, na miłość boską, mamy to zrobić? Skąd biegnie linia wysokiego napięcia?

- Nie jesteśmy podłączeni do głównej linii - odparł Rand. - Napięcie płynie z niezależnego generatora. Koszty pokrywa cech.

Bryant wciąż był w środku urządzenia, kiedy jedna z mosiężnych obręczy przeskoczyła na następne nacięcie, wywołując elektryczną iskrę w centrum maszyny.

- Przewód jest wpuszczony w podłogę - powiedział. - Musimy wyłączyć to cholerstwo przed dwudziestym ósmym grudnia.

- Która godzina?

- Gdzieś przed północą.

- Czy mógłbyś być nieco bardziej dokładny, Arthurze?

- Nie ma takiej możliwości. Mam timexa.

May popatrzył na zegarek na ręce Randa.

- Mam około dwunastu minut, żeby coś z tym zrobić.

- Musi być jakiś sposób, żeby odłączyć to ustrojstwo.

- To nie takie proste. - Rand, rozchlapując wodę, podszedł do urządzenia. - Tu jest naprawdę dużo przewodów.

- W takim razie musimy je rozwalić - stwierdził May, unosząc młot. - Arthurze, w końcu masz szansę zadać cios brytyjskiej arystokracji. Walnij sobie.

Podał młot Bryantowi, który chwycił go jak kij do krykieta, szacując jego ciężar.

- Szkoda niszczyć coś tak kunsztownego. - Uderzył w jedną z mosiężnych obręczy. - Wiktorianie naprawdę robili trwałe rzeczy - powiedział z podziwem.

Dopiero za szóstym uderzeniem metalowe ramię wygięło się i uderzyło o zewnętrzne ramiona, przytrzymując obracające się części w miejscu. Jedna z zewnętrznych obręczy usiłowała się poruszyć, ale została powstrzymana. Tykanie nagle ustało.

- Wynośmy się stąd, Arthurze. Nie wiadomo, co się stanie, kiedy to wszystko runie - powiedział May, wyciągając rękę. Rozległ się zgrzyt metalu i całe urządzenie zadrżało, próbując wznowić pracę. Tym razem jednak obręczy udało się przesunąć o jedno nacięcie. Kiedy Bryant wgramolił się pomiędzy zacięte części, rozległ się głośny szczęk. W centralnym mechanizmie z trzaskiem rozbłyły elektryczne iskry. Dwa zegary spadły na ziemię.

- To wysła polecenia! - krzyknął Rand. - Ten dźwięk oznacza nawiązanie połączenia.

- Ile poleceń? - zapytał Bryant, próbując wyplątać szal z maszyny.

- Nie wiem - przyznał Rand. - Dwa, dziesięć, dwadzieścia, trudno powiedzieć.

- Nie ma żadnego sposobu, żeby to sprawdzić, nic, co moglibyśmy... czy ktoś mógłby mi pomóc wyrwać się z tego pieprzonego ustrojstwa? - Bryant szarpał szalem, który zaplątał się między wewnętrzne i zewnętrzne obręcze. May podbiegł i zaczął mu pomagać.

- Już wiem, proszę chwilę zaczekać. - Rand pobiegł do swojego gabinetu. Po chwili wrócił. - Ta transmisja nie idzie za granicę.

- Skąd pan wie? - zapytał May.

- Każdy sygnał jest inny, w zależności od miejsca przeznaczenia. Ten ma kod telefoniczny Londynu.

- John, ta maszyna wysła kolejne cholerne zlecenie zabójstwa. - Bryant dał za wygraną, jeśli chodzi o zapasy z szalem, odwijając go z szyi i zostawiając w maszynie. Poziome ramię wewnętrznej obręczy próbowało się poruszyć do przodu, ale zostało zatrzymane przez szal. Rozległ się trzask i skwierczenie, kiedy nastąpiło spięcie w centrum urzędu.

Bryant właśnie wychodził z wnętrza maszyny, kiedy ta nagle wybuchła, rozrzucając ceramiczne bezpieczniki, i zajęła się płomieniem. Drugi wybuch nastąpił, kiedy kable zetknęły się z wodą.

Wszyscy podskoczyli w przerażeniu, kiedy niskie napięcie poraziło ich w kostki.

- Woda zgasi ogień - powiedział Rand, popychając ich w stronę gabinetu. - Nigdy jeszcze nie było jej tak dużo. Musicie się panowie pospieszyć, jeśli zamierzacie zatrzymać komendę, zanim zostanie wypowiedziana do końca.

- Musimy odkryć, dokąd te sygnały poszły - stwierdził Bryant.

- Czasami rozchodzą się po całym świecie - odparł Rand. - Nie tylko do Indii albo do ludzi, którzy są obecnie związani z cechem, ale też do tych, którzy wzbogacili się dzięki niemu w przeszłości.

- Już za późno, żeby to zatrzymać, ale może uda nam się przynajmniej namierzyć cel - powiedział May, wchodząc po schodach. - Na szczęście cała rodzina ciągle jest pod jednym dachem.

- Niezupełnie. Christian Whitstable i jego córka leżą w Royal Free Hospital - sprostował Bryant. - Tak samo jak i Peggy Harmsworth. Pojadę tam. Ty jedź do domu Whitstable'a. Wyszadzisz mnie po drodze. - Było siedemnaście minut po północy.

- Arthurze, masz swój pager? - zapytał May.

Bryant poklepał się po kieszeniach.

- Nie, musiał mi gdzieś wypaść.

- Co ty z nimi robisz, sprzedajesz je? Musimy obdzwonić wszystkie wydziały. Nie mam zamiaru wchodzić w to bez wsparcia.

Zmęczeni i przemoczeni, pokryci pajęczynami i kurzem policjanci wrócili do holu. May zadzwonił z recepcji do sierżant Longbright.

- Potrzebujemy wszystkich, których tylko zdołasz znaleźć - oznajmił - włączając w to Raymonda Landa. Powtórz mu to, co ci właśnie powiedziałem. Musisz wyjaśnić, że nie ma sposobu, żeby dowiedzieć się, ilu zabójców jest w to zamieszanych. Jestem pewien, że zmrozi go, gdy to usłyszysz. I musisz sprowadzić Charlesa Whitstable'a.

- Dopiero co go wypuściłam.

- Tym razem go aresztujesz. - Odłożył słuchawkę. - Jedziemy.

- Muszę postarać się to wszystko zrozumieć - powiedział Bryant, kiedy skręcili minicooperem w stronę King's Cross.

- Wolałbym, żebyś skoncentrował się na prowadzeniu - odrzekł May.

- Musisz się zgodzić, że Rand był nieświadomym uczestnikiem tych zbrodni. On po prostu wypełniał swoje obowiązki.

- Myślę, że tak - przyznał May.

- W takim razie kto, na miłość boską, zabił Alison Hatfield? To jedyna ofiara, która nie mogła zostać wyznaczona przez astrolabium. Jak słusznie zauważył Leo Marks, była osobą z zewnątrz.

- Myślę, że oprócz Randa są jeszcze jacyś inni opiekunowie maszyny, którzy wiedzą o systemie. I podejrzewam, że nie wszyscy są tak życzliwie nastawieni jak on. Może uznali, że Alison ingeruje w wewnętrzne sprawy cechu, i zdecydowali, że musi zginąć.

- Musi być przynajmniej jeszcze jeden opiekun - przyznał Bryant. - Ten, kto otrzymał zadanie wyeliminowania Christiana i Deborah Whitstable'ów, potrzebował pomocnika przy wpuszczaniu tego pieprzonego tygrysa do ich domu. Są

jeszcze inni. Ich przodek wydawał się człowiekiem, który był zdolny przewidzieć każdą możliwość. Idę o zakład, że obserwują nas od dnia, kiedy to wszystko się zaczęło. Wpadłem na jednego z nich w piwnicy domu Belli Whitstable. Sam Gates wystraszyła innego w teatrze Savoy. To prawdopodobnie płatni mordercy. Zabójców zawiadamia przez telegramy maszyna. Zabójstwo majora Whitstable'a musiało być starannie zaplanowane. A dostanie się tak blisko Williama Whitstable'a, żeby mu podrzucić ładunek wybuchowy, wymagało dużej wprawy. Gdyby te morderstwa nie były takie osobliwe, moglibyśmy nigdy nie wpaść na pomysł, żeby obarczyć za nie winą Jamesa Makepeace'a Whitstable'a.

- Myślisz, że to on zaplanował szczegóły śmierci swoich rywali?

- Oczywiście - odparł Bryant, naciskając pedał gazu. - To dlatego nie zastosowano żadnych nowoczesnych metod egzekucji. Mordercy mieli za zadanie napełnić strachem rywali.

- Rodzi się pytanie, jak sumienie Jamesa Whitstable'a pozwalało mu na zrobienie tych wszystkich rzeczy. - May spojrzał przez przednią szybę i zbladł.

- Uważaj na ten autobus, Arthurze.

- Przypuszczam, że uważał się za lepszego chrześcijanina od innych - odparł Bryant. - Pomyśl o czasach, w których żył. Szczerze wierzył, że jego rodzina jest więcej warta niż inne.

- Hm, czy nie lepiej, żebym to ja poprowadził?

Mały samochodzik gwałtownie skręcił w poprzek jezdni w następną ulicę, cudem unikając potrącenia dwóch rowerzystów jadących obok siebie, po czym przyspieszył, przejeżdżając na żółtym świetle.

- Zachowywał się identycznie jak nasi misjonarze - powiedział Bryant - zastępujący relikwie jednej cywilizacji własnymi. Jestem pewien, że połowa Anglików ciągle uważa, że ich religia jest lepsza od innych.

- Nie śmiem pytać, ale czy nie mógłbyś jechać trochę szybciej?

- Mamy na liczniku ponad pięćdziesiątkę i przejeżdżamy na czerwonych światłach, co nie jest złe jak na Gray's Inn Road w deszczu, biorąc pod uwagę fakt, że mam tylko jedną wycieraczkę i tyse opony i nie widzę nic w lusterku wstecznym.

Mały minicooper przeciął pięciopasmowe skrzyżowanie, powodując, że ciężarówka obróciła się w poprzek drogi i zrzuciła ładunek na jezdnię.

Kiedy dojechali do stacji metra Chalk Farm, zauważyli, że na ulicach zaczyna przygasać światło. Gdy chwilę później wysiedli, cała ulica pogrążyła się w ciemności.

- Ostrzegano nas, że to się może stać - powiedział May. - Zakład energetyczny oszczędza energię z powodu strajków. Będą wyłączać prąd w całym Londynie.

- Cudownie - warknął Bryant. - Zatoczyliśmy pełne koło. W końcu mają ciemność po swojej stronie.

49 PRZYWRÓCIĆ ŚWIATŁO

- Wiedziałaś o wszystkim.

- Samantha, niezależnie od tego, co sobie myślisz, nie zapominaj, że jestem twoją matką i nie masz prawa - w ogóle nie masz prawa - mówić do mnie takim tonem.

Patrzyły na siebie przez salon jak para równorzędnych aktorek w melodramacie. Gwen miała nawet w ręce szklaneczkę whisky. Bóg jeden wie, gdzie był Jack, pewnie zaszył się w swoim gabinecie, ciągle boleśnie odczuwając sukces córki.

Sam była jak w transie. Miała wrażenie, że całe jej dotychczasowe życie opierało się na kłamstwie.

- Zawsze wiedziałaś! - wybuchła, zmuszając się do pozostania po przeciwnej stronie pokoju.

- To niewybaczalne. - Gwen odstawiła szklaneczkę i sięgnęła drżącą ręką po karafkę. - Nie wiem, dlaczego tak się zachowujesz.

- Wmówiliście mi, że jestem nienormalna, a cały ten czas to nie ja byłam chora. - Sam zrobiła jeden krok do przodu. Bała się, że może rzucić się na matkę, jeśli podejdzie jeszcze choć trochę bliżej. - Powiedział, że chce córkę. I mnie oddaliście. Wreszcie to wszystko pamiętam, więc nie możesz już udawać. Przyjechałam z tobą do jego mieszkania. To ty mnie tam zawiozłaś, nie Jack. Zostawiłaś mnie z nim. Wtedy zaczął mnie hipnotyzować, delikatnie mnie usypiając. Czy kiedykolwiek powiedział wam, co zrobił?

- Samantha, musisz mi uwierzyć, byłam przerażona, kiedy to odkryłam...

- Pamiętam jego ręce sunące po całym moim ciele. Posłużył się przepaską na oczy, wiedziałaś? Powiedział, że to taka zabawa. - Była teraz rozhisteryzowana, krzyczała.

- On nigdy... nie posunął się do...

- Zrobiłby to, gdybyś go nie nakryła.

- Pewnego dnia przyjechałam po ciebie wcześniej. Drzwi zastałam otwarte, więc weszłam. On... jego ręce były pod twoją bluzką. Spałaś, nie czułaś, co robi, ani że w ogóle coś robi. Zaczęłam go bić, krzyczeć na niego. Przyznał, że robił to już kilka razy przedtem. Zasłaniał ci oczy przepaską, bo wstydził się tego, co robi. Nie mógł jednak się powstrzymać. Powiedział, że nie będziesz nic pamiętać.

- Pamiętałam dotyk w ciemności. Całe to gówno, którym mnie karmiliście, o tym, że mam nyktofobię! To nie był wcale lęk przed ciemnością. - Nic dziwnego, że zabarykadowała się przed Nicholasem i uciekła z pokoju Josepha. Nic dziwnego, że drżała pod wpływem dotyku Charlesa.

- Chciałam dla ciebie jak najlepiej - powiedziała matka. Gładziła się po twarzy i szyi, jakby chciała się przekonać, czy jeszcze istnieje. - Mieliśmy tylko twoje dobro na względzie. Gdybym zgłosiła to na policję, skandal, który by wybuchł, zmieniłby nasze życie w piekło.

- Więc pomogłaś mu wszystko ukryć. A po latach pozwoliłaś, żebym do niego pojechała, chociaż znałaś prawdę. Jak mogłaś? Wiedząc, czego będzie ode mnie chciał?

- Nie masz pojęcia, kim on jest. - Drzenie głosu świadczyło o jej przerażeniu. - Najmniejszego pojęcia. Znał moje układy z Jackiem i wykorzystał to. - Trzęsącymi się rękami ponownie napełniła szklaneczkę. - Jest naprawdę potężnym człowiekiem. Zagroziłam mu, że pójdę na policję, ale przekonał mnie, żebym tego nie robiła. Powiedział, że pomoże twojemu ojcu w interesach. Nie zgodziłam się, żeby spotkał się jeszcze kiedykolwiek z tobą. Powiedział, że nie mógł się powstrzymać. Co miałam robić? Był bardzo ceniony, znał rodzinę królewską. Mógł stracić wszystko, gdyby wybuchł skandal. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi było wstyd. - Otarła ręką oczy, po czym podeszła do barku. - Kiedy twój ojciec i ja poznaliśmy się, Jack był innym człowiekiem. Pełnym energii, fascynującym. Potem stracił zainteresowanie mną. A także zapał, ambicję.

- Ty go jej pozbawiłaś.

- Powiedział, że już nie interesuje go wspinanie się po drabinie społecznej. Dostał ofertę przewodniczenia jednemu z najlepszych cechów w Wielkiej Brytanii i odrzucił ją! Zwróciłam się z prośbą o pomoc do Charlesa, ale jego głupi błąd wiele nas wszystkich kosztował. Po nakryciu go z tobą myślałam, że zyskałam przewagę. Oczywiście myliłam się. On po prostu nawijał mi makaron na uszy. Potem zaczęłam robić, co w mojej mocy, żeby trzymał się od nas z daleka.

- Jack musi naprawdę tobą gardzić - powiedziała Sam. - Inaczej nie trzymałby w biurku waszych listów.

- Jakich listów? - Gwen odstawiła z brzękiem swoją szklaneczkę na barek. Whisky rozlała się po podłodze.

- Tych, które ty i Charles wysyłaście do siebie, kiedy nie mógł dzwonić do domu. Jack je znalazł i przechowuje. Na dowód. Oto, jak bardzo cię nienawidzi.

Gwen rozplakała się, rozmazując szminkę dłonią.

- Chciałam jak najlepiej dla nas wszystkich. Wiem, że powinnam myśleć przede wszystkim o tobie. Ale to było również moje życie.

- A teraz zostałam z niczym.

Sam wyszła z pokoju i zamknęła drzwi, podczas gdy matka siedziała w fotelu z twarzą ukrytą w dłoniach.

Royal Free Hospital to nowoczesne betonowe gmazysko stojące na stoku wzgórza po drodze do Hampstead. Tej nocy był jednym z niewielu budynków w północnym Londynie, w których paliło się światło, i wyglądał jak świecąca we mgle latarnia morska. Szpital miał swój własny generator. Za oknami widać było w półmroku pacjentów oraz pielęgniarki.

Dwa wozy policyjne zdążyły już przyjechać przed nimi. Oba stały puste. May przesiadł się na siedzenie dla kierowcy.

- Jeśli wszystko tutaj będzie w porządku - zawołał Bryant, idąc w kierunku głównego wejścia szpitala - dołączę do ciebie.

- Powodzenia. - May zaczął wycofywać samochód. Bryant był już blisko wejścia, kiedy jego przyjaciel wrócił.

- Co się stało? - zapytał policjant, stając jak wryty.

- Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli zrobimy to razem - odparł May.
- Nie chcę, żeby ci się coś stało. - Wysiadł z auta, nadśluchując. - Słyszysz coś dziwnego?

Wydawało mu się, że słyszy jakiś stłumiony odgłos, czyjś krzyk.

- Nie pozwól, żeby zawałdnęła tobą wyobraźnia. - Bryant już miał wejść do szpitala, kiedy sam usłyszał ten odgłos. Ktoś uderzał w szybę nad nimi. Kiedy spojrzeli w górę, rozległ się trzask podobny do wystrzału pistoletu.

Na ziemię spadły kawałki szkła, a chwilę później postać w białej szpitalnej koszuli. Jej krzyk zmieszał się z okrzykami przerażenia dochodzącymi z sali na szóstym piętrze.

Policjanci w ostatniej chwili zdążyli odskoczyć w bok. Odgłosu, z jakim ciało uderza o beton, nie da porównać się z niczym innym. Ofiara leżała przed nimi, w takiej pozycji, że było jasne, że musi mieć złamany kręgosłup.

Prawie w tej samej chwili przed gmachem pojawili się policjanci. Jeden z posterunkowych zrobił się błądy i zwymiotował pod ścianą szpitala. Sierżant Longbright wybiegła z budynku i zatrzymała się przed Bryantem.

- Udało mu się dostać do sali - powiedziała, próbując złapać oddech. - Miał na sobie fartuch lekarski i przeszedł obok pielęgniarki dyżurnej. Przyjechaliśmy chwilę później i tamten posterunkowy - pokazała na wymiotującego - wszedł do sali akurat w momencie, gdy dusił pacjentkę. Zjawiliśmy się w samą porę.

- Co to wszystko znaczy? - zapytał Bryant, spoglądając na trupa.

- Peggy Harmsworth jest na górze. Kilka godzin temu zaczęła budzić się ze śpiączki. Powinno z nią być wszystko w porządku. To facet, który próbował ją zabić. - Bryant popatrzył na ciało. Zauważył, że to, co wziął początkowo za koszulę szpitalną, w rzeczywistości było fartuchem lekarskim.

- Mój Boże - westchnął. - Jeśli pierwsze, co zobaczyła po obudzeniu, to ktoś duszący ją, to dziwne, że z powrotem nie zapadła w śpiączkę.

- Podbiegł do okna, zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać. Dlaczego on to zrobił?

- On po prostu wykonywał polecenia, Janice - odrzekł Bryant, poklepując ją po ramieniu. - Lepiej chodźmy do Christiana Whitstable'a i jego córki. - Poszedł

do wejścia, ciągnąc za sobą Maya. - W drodze jest więcej takich jak on. Nie mamy pojęcia, ilu.

Sierżant dołączyła do nich.

W korytarzach na piątym piętrze przyćmione światła awaryjne wydłużały ich cienie. Hol przed nimi był opustoszały i cichy. Longbright zwolniła.

- Nie rozumiem... - zaczęła, przestraszona. - Odkomenderowałam kilku ludzi do ochrony tej sali. Byli tu jeszcze kilka minut temu.

- Gdzie leży Christian Whitstable?

- On i jego córka leżą w oddzielnej sali, ostatnie drzwi po lewej.

Ledwo odzyskała świadomość, Christian Whitstable zaczął się domagać umieszczenia w prywatnej klinice, ale pielęgniarka odmówiła zgody, tłumacząc mu, że będzie w tym samym budynku, co Peggy Harmsworth, i że jest bezpieczniej, jeśli członkowie rodziny są razem.

Bryant, May i Longbright weszli do sali tak szybko i cicho, jak tylko mogli. Linoleum tak wypastowano, że każdy krok wywoływał piszczenie. Drzwi były otwarte na oścież. W półmroku Bryant ujrzał Christiana półleżącego na łóżku i posyłającego mu ostrzegawcze spojrzenie. Po chwili zrozumiał dlaczego.

- On ma moją córkę - powiedział Christian, nie odrywając wzroku od postaci w białym fartuchu i w maseczce chirurgicznej na twarzy, stojącej pod przeciwległą ścianą. Obok stali dwaj policjanci z opuszczonymi rękami. Flora Whitstable tkwiła przed napastnikiem. Ręką w rękawiczce zatykał jej usta, a skalpel przyłożył do szyi.

- Niech nikt nie rusza się ani o cal - szepnął Bryant, unosząc ręce. - On nie ma nic do stracenia. Musi wypełnić do końca rozkaz, który otrzymał, albo zginie.

Zamachowiec nie zdradzał zainteresowania swoją ofiarą. Podobnie jak jego wspólnik wykonywał zadanie wbrew swojej woli; płacił dług honorowy, który wymagał poświęcenia życia.

Jak wielu zabójców zmagalo się z sumieniem? To wyjaśniało, dlaczego Daisy Whitstable została uwolniona. Jakiż straszliwy dylemat musiał przeżywać jej niedoszły zabójca. Nie mogąc pojąć, dlaczego tak młoda istota została wyznaczona na cel, musiał wiedzieć, że uwalniając ją, naraża na niebezpieczeństwo siebie.

Czy człowiek stojący przed nim miał pojęcie, jaka siła wysłała go tutaj tej nocy? Czy przygotowywał się do wykonania do końca swego zadania z czystym

sumieniem, jak zabójca Belli Whitstable, czy też przeżywał, katusze, musząc się tu pojawić?

- Wiem, że nie chcesz skrzywdzić dziewczynki - przemówił łagodnie Bryant. - Wiem wszystko o zadaniu, które zobowiązałeś się wykonać. Jeśli ją puścisz, obiecuję ci pomóc.

Zrobił krok w ich stronę. Ręka napięła się, ostrze jeszcze bardziej zbliżyło się do szyi dziecka. Usłyszał cichy jęk zamachowca dobiegający zza maseczki. Nie ruszał się dalej. Longbright stała w bezruchu w drzwiach.

- Posłuchaj - powiedział. - Miałeś sam dokończyć sprawę po tym, jak tygrys tego nie zrobił. Żadne z tych dwojga nie może pozostać przy życiu. Mam rację? Skiń głową. Po prostu kiwnij, jeśli mam rację. Nie podejść bliżej. - Uniósł ręce w pokojowym geście. - Proszę, kiwnij głową. Pokaż nam, że rozumiesz.

Zabójca wolno skinął głową.

- Odłóż skalpel - ciągnął Bryant. - Rozkazy, które otrzymałeś, nie są już ważne. To była pomyłka. Nie musisz już tego robić. Wiem, jak straszliwy ciężar nosisz, i chcę cię od niego uwolnić. Jesteś na pewno człowiekiem honoru. Wokół nas wydarzyły się straszliwe rzeczy. Nie musisz już robić nic więcej, błagam cię, pozwól sobie pomóc.

Oczy nad maseczką zabłyśły i zaszklily się, mężczyzna zaczął się trząść. Skalpel upadł na podłogę, a Flora pobiegła naprzód. Longbright i dwaj kolejni policjanci weszli do środka.

- Dajcie temu smoluchowi to, na co zasłużył - powiedział nagle Christian Whitstable.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, udręczony morderca osunął się na podłogę z przerażającym gardłowym jękiem.

- Musimy zabezpieczyć dom, zanim stracimy następnych - stwierdził Bryant, zapinając płaszcz. Wrócili na dziedziniec szpitalny, odgradzony teraz prowizorycznymi barierkami. Ulice nadal pogrążone były w ciemności, a deszcz dalej padał. Bryant czuł, że ciało mu drętwieje. Jego ręce i nogi przypominały kłoc drewna. Nie miał jednak czasu na myślenie o sobie. Nie wiedzieli, ilu zabójców znajdowało się w drodze do domu w Hampstead.

May, wsiadając do minicoopera, spojrział na szpital.

- Najwyższy czas przywrócić światło - powiedział.

50 OBŁĘŻENIE

Chwilę po tym, jak reflektory przeżartego rdzą minicoopera wyłowiły z ciemności znak drogowy przy Mulberry Avenue, policjanci odkryli, że droga do domu Williama Whitstable'a wytyczona jest milami żółtej plastikowej taśmy. Samochody policyjne blokowały drogę przed nimi, kilka z nich miało wciąż włączone światła.

- Prosiłem ich, żeby zachowali dyskrecję - zżymał się May. - Zobacz tylko. Nie pojedziemy dalej. - Kiedy szli w kierunku domu, na spotkanie wybiegł im Raymond Land.

- Co tu, do cholery jasnej, się dzieje? - zapytał. Deszcz padał grubymi kroplami. Land wyglądał, jakby przed chwilą wpadł do stawu. - Nie możecie stawić w stanie pogotowia całych sił policyjnych Londynu bez mojej zgody. Wasza sierżant powinna być lepiej obeznana z procedurami. A jeśli tej nocy wydarzy się jakiś inny wypadek?

Chwała niech będzie najwyższemu za dzielną, wspaniałą Longbright, pomysłał Bryant.

- Wtedy odkomenderujemy kogoś stąd - odrzekł. Stojący za nim May kichnął. - Na twoim miejscu trzymałbym się od nas z daleka, Raymond. Jesteśmy coraz bardziej przeziębieni.

- Spędziliśmy część tego wieczoru, brnąc po kostki w brudnej, lodowatej wodzie - wyjaśnił May.

- Nic mnie nie obchodzi stan waszego zdrowia - warknął Land. - Czy ktoś mógłby mnie poinformować, jak się przedstawia aktualna sytuacja?

- Dotarliśmy właśnie do końca długiej, dziwnej podróży...

- W takim razie co my tu wszyscy robimy? Wasza sierżant wyskoczyła z jakąś szaloną historią...

- No cóż, zostało jeszcze co nieco do wyjaśnienia.

- Na przykład co?

- Grupa zamachowców jest właśnie w drodze do tego domu, żeby pozabijać pozostałych Whitstable'ów. To zamienia ten budynek w drugi fort Alamo.

- O czym ty mówisz? Ilu ma być tych „zamachowców”?

- Trudno powiedzieć. Nie wiem, ile osób otrzymało polecenie zabicia członków rodziny, ale jeśli potrafili wpuścić tygrysa bengalskiego do domu na przedmieściach, myślę, że powinniśmy być przygotowani na najgorsze, nie sądzisz?

Policjanci minęli swego ośłupiałego szefa i skierowali się do domu.

- Mówiąc szczerze, trochę mnie dziwi, że macie czelność znowu tu przychodzić - powiedziała ze skwaszoną miną Berta Whitstable, przyglądając się policjantom w świetle lampy sztormowej. Mimo że była już noc, miała na sobie drogie, eleganckie ubranie. Wyglądała jak Joan Crawford grająca pierwszą żonę Rochester'a. - Nie zdziwiłoby mnie, gdyby się okazało, że jesteście zamieszani w te zbrodnie.

- Mogę panią zapewnić, że nie mam z tym nic wspólnego - odrzekł Bryant, zdejmując mokry kapelusz filcowy i umieszczając go na wieszaku. Na spodeczkach i popielniczkach w całym holu stały świeczki. Migoczący żółty mrok nadawał budynkowi oryginalny wiktoriański wygląd. - Proszę zebrać całą rodzinę razem.

- Wie pan co, to już przechodzi ludzkie pojęcie - oświadczyła oburzonym tonem Berta. - Nie ma pan prawa wydawać nam rozkazów. To wciąż jest dom Williama Whitstable'a, a pan tu bezprawnie wkroczył i...

- Proszę po prostu ich zawołać, dobrze? - przerwał jej Bryant zmęczonym głosem. Odwrócił się do pozostałych i potrząsnął głową. - Jest późno, a noc zapowiada się na długą.

Berta wbiegła ze złością po schodach, zwołując wszystkich urażonym, drżącym głosem.

- Ilu policjantów tutaj mamy? - zapytał May Landa, który pojawił się za nimi w holu.

- Ośmiu - odrzekł. - Dziewięciu razem ze mną.

- Tylko tyłu? - May nie posiadał się ze zdumienia. Powinno być szesnastu.

- Czterech jest w szpitalu z waszą sierżant - wyjaśnił Land. - A reszta ogłosiła akcję protestacyjną, bo nie podoba im się sposób, w jaki prowadzicie tę sprawę.

- Boże, czemu spośród wszystkich innych nocy wybrali właśnie tę? - desperował May. Spodziewał się czegoś w tym stylu, od kiedy Land ostrzegł go o

złych nastrojach panujących w zespole. - Czy mamy obstawione wszystkie okna?

- Na tyle, na ile się dało - odparł szef.

- Dobrze przynajmniej, że nasi ludzie są uzbrojeni. Za posiadłością rośnie gęsty las. Obawiam się, że nie ma sposobu, aby wypatrzeć snajpera, jeśli się tam ukryje.

- Widzisz? - triumfował Bryant. - Gdyby William Whitstable mieszkał w bloku, nie mielibyśmy tylu kłopotów. - Spojrzał do góry na tłum kłócących się ze sobą krewnych, którzy ze wściekłymi minami schodzili po schodach z latarkami i świeczkami. - Mój Boże, wyglądają, jakby szli podpalić zamek Frankensteina. Dobra, zbierzmy ich w jadalni.

Jak zwykle wszyscy zaczęli mówić naraz, ale tym razem widać było wyraźnie, że gniewem usiłują maskować strach. Jadalnię oświetlał wielki kryształowy żyrandol ze świeżymi świeczkami. Cienie tańczyły na suficie. Bryant nie zdziwiłby się, gdyby ujrzął w kącie Edgara Allana Poe robiącego notatki.

Odwrócił się do rodziny, podczas gdy May posadził ostatnie z dzieci na krześle.

- Możecie państwo sobie z tego nie zdawać sprawy, ale ten dom znajduje się w niebezpieczeństwie - powiedział. - Naszym zdaniem zamachowcy przypuszczą atak jeszcze tej nocy. - Trzeba ich solidnie nastraszyć, żeby zachowywali się, jak należy, pomyślał. - Chcę, żebyście trzymali się z dala od drzwi i okien. Będziemy strzec terenu na zewnątrz najlepiej, jak tylko się da, ale nie możemy zagwarantować państwu stuprocentowego bezpieczeństwa. Obiecuję jednak, że po tej nocy nie będziecie już musieli się niczego bać.

- Chce pan powiedzieć, że w końcu udało się wam kogoś złapać? - prychnęła Berta Whitstable. - Może w takim razie zechce nam pan powiedzieć, kto to jest.

- Nie czas teraz na to - włączył się May, odciągając przyjaciela na bok. - Mamy obowiązek ich chronić - wyszeptał, wiodąc go do drzwi, podczas gdy zebrani zaczęli obrzucać ich obelgami. Jedno z dzieci rzuciło w nich plastikowym kubkiem.

- Jesteście parą beznadziejnych nieudaczników! - krzyknęło.

- Jak można być tak niegrzecznym - obruszył się May.

- Wiesz, to wszystko jest dla nich koszmarem - powiedział Bryant.

- Nawet nie wiedzą, czy doczekają ranka. - Odwrócił się do jednego z policjantów stojących na ganku. - Widzieliście tu kogoś? W ogóle coś podejrzanego?

- Jeszcze nic, proszę pana.

- Może widok policjantów ich odstraszy. - Potarł w zamyśleniu podbródek. - Z drugiej strony, ci zabójcy są bardziej lojalni i sumienni od tych, którzy ich zatrudnili. Będą chcieli wypełnić instrukcje co do joty. To dla nich jedyny sposób, żeby ocalić życie.

- Mam wrażenie, że znowu wiesz więcej, niż mówisz - poskarżył się May.

- John, przeczytałem sobie trochę książek Maggie Armitage na temat kultów w Indiach. Ci ludzie mogą wprawić się w stan podwyższonej świadomości. Nie ma sensu, żebyś jeszcze bardziej moknął. Dlaczego nie obejmiesz dowodzenia wewnątrz domu? Ja mogę się zająć terenem wokół.

- Myślę, że to lepsze niż pozostawienie cię tam, żebyś się z nimi kłócił - westchnął May. - Uważaj na siebie.

Deszcz zaczął coraz mocniej, a krople przedzierały się przez gałęzie na poszycie, trzeszcząc, jakby las się palił. Land siedział w wozie patrolowym, rozmawiając przez radiotelefon. Wokół w parach stali niepokieszeni, przemoczeni policjanci, którzy nie wiedzieli nawet, gdzie mają patrzeć.

Zapowiada się długa noc, pomyślał Bryant.

Wewnątrz domu sytuacja też nie przedstawiała się najlepiej. Mayowi spory kłopot sprawiało utrzymanie rodziny w jednym pokoju. Dzieci miały zwyczaj wymykania się, ilekroć tylko się odwrócił, nastrój mężczyzn przemienił się ze strachu w grubiaństwo, a kobiety zawzięcie się ze sobą kłóciły.

- Muszę skorzystać z łazienki - oświadczyła Berta Whitstable, wstając z fotela i idąc do drzwi wśród brzęku biżuterii. - Naprawdę w głowie mi się nie mieści, że jesteśmy więźniami w swojej własnej posiadłości. PRYWATNEJ posiadłości.

Kiedy doszła do schodów, zawahała się. Kilka świec na podeście zgasło i pierwsze piętro pogrążyło się w mroku. Wchodząc, wsłuchiwała się w dźwięki dobiegające z góry. Policjant zamknął za nią drzwi salonu i już nie słyszała odgłosów rodzinnej kłótni.

Gdzieś na gorze deszcz bębnił o świetlik. Co za ulga znaleźć się chociaż na chwilę z dala od krewnych. Zdążyła już zapomnieć, jak przerażająco samolubni byli, kiedy zbierali się razem. Zastanawiała się, gdzie jest Charles. Jego miejsce

było przy rodzinie. Obiecał, że przyjedzie. Dlaczego go tu jeszcze nie ma?

Na szczycie schodów pochyliła się do przodu i wpatrzyła w ciemny korytarz. Łazienka była po prawej stronie, przy jego końcu. Tylko jedna świeca jeszcze się paliła. Nic dziwnego - panował tu przeciąg. Poczowała kilka kropel deszczu na karku. Jakiś kretyn zostawił świetlik otwarty. Szła korytarzem, a mokre powietrze wiało na jej ramiona.

Dotarła do łazienki i zobaczyła, że drzwi są uchylone. Świece na umywalce zgasty, ale obok nich leżało pudełko zapalek. Już po nie sięgała, kiedy poczuła dotyk czyjejś zimnej ręki. Stała twarzą w twarz z mężczyzną o szeroko otwartych oczach, który zatkał jej usta ręką i przyciągnął do siebie, jednocześnie zatrzasnął drzwi.

- Nie pójdą ulicą, bo zobaczyli wozy policyjne - powiedział posterunkowy Bimsley. - Gdybym miał kogoś zabić, wspiąłbym się na drzewo w lesie i strzelił do niego przez okno. Najlepiej z łuku, żeby nie robić hałasu.

- To nie wchodzi w rachubę - odrzekł Bryant. - Ci ludzie mają wyznaczone konkretne cele ataku. Nie zobaczą ich, nie wchodząc do środka.

Stali przy pojemnikach na śmieci na końcu ogrodu, świecąc latarkami w kierunku lasu. Deszcz przecinał ich promienie niczym błyszczące stalowe igiełki. Bryant spojrzął na zegarek. Druga czterdzieści pięć. W butach miał pełno lodowatej wody.

- Od jak dawna służy pan w policji, panie Bryant? - zapytał młody posterunkowy.

- Dłużej niż wy macie lat - odrzekł policjant z nieskrywaną dumą.

- Musicie być najstarszym zespołem w policji.

- Ukrywamy przed innymi nasz prawdziwy wiek.

- Założę się, że przez ten czas pracowaliście nad wieloma naprawdę ciekawymi sprawami.

Policjant spojrzął mu w oczy.

- Była jedna sprawa z kufrem, którego za nic bym nie oddał.

- Gdyby pan był mordercą, jak dostałby się pan do domu?

- Ja? - Zamyślił się na chwilę. - Po pierwsze, poczekałbym do momentu, aż początkowa aktywność ustanie, powiedzmy do teraz. To niebezpieczna godzina. Wszyscy są zmęczeni i zaczynają czuć się trochę bezpieczniej. Przystają

być czujni. Niektórzy z nich pewnie wyszli z pokoju, bo nie chcieli, żeby jakiś durny policjant dyktował im, co mają robić. Ochrona jest teraz nieco rozluźniona. Niektórzy policjanci myślą, że się mylimy, że nic się w ogóle nie stanie. Właśnie teraz bym zaatakował. Zjawiłbym się w przebraniu kogoś zaufanego. Powiedzmy, policjanta.

- Jednego z tych, którzy strzegą domu?

Spojrzeni po sobie, a potem bez słowa zaczęli biec przez rozmokły ogród.

51 WIELKA OFIARA

Posterunkowy Bimsley trzymał go rozciągniętego na trawie. Młody Azjata miał na sobie granatową policyjną kurtkę i czapkę.

Kiedy posterunkowy go zauważył, zamachowiec stał pod oknem salonu, próbując dojrzeć coś przez zasłony.

- To przez jego buty - wyjaśnił, ciężko dysząc. - Czarne tenisówki.

- Dobra robota, Bimsley - pochwalił go Land. - Możecie już zdjąć stopę z jego gardła.

Razem podciągnęli milczącego mężczyznę na nogi.

- Popatrz na jego oczy - powiedział Bryant do szefa.

- Mój Boże. - Land odsunął się. Oczy zabójcy miały mętny, zamglony wygląd, zupełnie jakby zostały wygotowane.

- Biedaczysko, jest prawie ślepy, a mimo to chciał spełnić swój obowiązek - zdumiał się Bryant. - W furgonetce uważajcie na niego. Może próbować coś sobie zrobić.

Posterunkowy usiłował ruszyć zamachowca, ale nie udało się. Nagle Hindus osunął się w milczeniu na kolana, a potem runął na ziemię.

- Jest w transie. - Bryant był wyraźnie zafascynowany. - To wschodni rytuał łączący elementy nauki, hipnozy i magii. Dużo o tym czytałem, ale nigdy jeszcze nie miałem okazji widzieć tego na własne oczy.

- Boże Wszechmogący, Bryant, to nie jest uniwersytet otwarty - westchnął poirytowany Land. - Wierzę ci na słowo. Jestem pragmatykiem. Lubię jasne wyjaśnienia. To coś - trącił czubkiem buta leżącego zamachowca - nie pasuje do niczego, co znam. Nie ma reguł w tego rodzaju sytuacjach. Do diabła, skąd

mamy wiedzieć, czy już wszystkich ich wyłapaliśmy? Weźcie go stąd, Bimsley, na miłość boską.

- Telefon do pana w samochodzie - powiedziała do Bryanta sierżant Longbright, która właśnie przyjechała ze szpitala.

Bryant poszedł z nią szybko do wozu. - Bryant, słucham.

- Tu Rand z cechu.

- Czy tontyna się spaliła?

- Tak, proszę pana. Jest całkowicie zniszczona. Taka szkoda! Po tylu latach... - W głosie starego konserwatora dało się słyszeć żal. - Rozszyfrowałem końcówkę transmisji. W sumie było siedem telefonów, wszystkie do północnego Londynu. Chyba uda mi się ustalić numery.

- Proszę je przekazać oficerowi dyżurnemu zaraz po tym, jak pan skończy ze mną rozmawiać - przykazał mu Bryant. - A kto jest celem ataku?

- Właśnie dlatego do pana dzwonię. Oni wszyscy.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Cała rodzina Whitstable'ów?

- Zgadza się, proszę pana, co do jednego.

Bryant myślał gorączkowo. Ostatnia komenda maszyny zbiegła się z rocznicą powstania Przymierza. Próbując wyeliminować wszystkich wrogów naraz, urządzenie wycelowało w złą stronę.

- Dziękuję za ostrzeżenie, panie Rand, jest jeszcze coś, o co chciałem już wcześniej pana zapytać. - Pomyślał o tym, kiedy zobaczył pokój Randa, ale potem miał na głowie o wiele pilniejsze sprawy. - Kiedy pan potrzebuje jakichś części, kto zatwierdza zamówienia?

- Pan Tomlins, proszę pana. Zgłaszam to tylko jemu.

Bryant był przekonany, że sekretarz cechu musi być w to zamieszany. Tomlins od samego początku usiłował utrudniać śledztwo.

- Czy wie pan, gdzie on mieszka?

Podczas gdy Rand podawał mu adres, Bryant nie odrywał wzroku od frontu domu, patrząc przez zalaną deszczem przednią szybę samochodu. Zauważył nagłe poruszenie w krzakach. Zostawiając Randa na linii, wyskoczył z auta i zaczął biec w tym kierunku. Policjant na ganku stał odwrócony plecami do postaci, która pojawiła się za nim z uniesioną ręką.

- Za tobą, uważaj!

Posterunkowy odwrócił się w samą porę, by zmienić kierunek uderzenia, ale

nie był w stanie uniknąć go w ogóle. Poślizgnął się do tyłu i upadł na trawę. Napastnik wylądował na nim. Zanim Bryant do nich dotarł, nadbiegła Longbright i z całej siły przyłożyła zabójcy latarką w tył głowy.

- Baterie Eveready - powiedziała, ściągając nieruchome ciało z posterunkowego. - Jak zwykle niezawodne.

- Siedmiu zamachowców - wystękał Bryant, usiłując złapać oddech.

- Oczywiście, powinno być ich siedmiu. Siedem Sług Niebios.

Bryant chciał sprawdzić, czy w budynku wszystko gra. Na wolności pozostawało jeszcze pięciu zabójców.

- Nie dopuszczajcie tego człowieka w pobliże tamtego - powiedział.

- Lepiej zadzwonicie po następną furgonetkę. Będziemy jej potrzebować. - Zostawił ich i poszedł wzdłuż budynku, świecąc latarką w krzaki. Deszcz zaciął coraz mocniej i promień latarki tworzył jedynie tunel szarej mgły.

Kiedy skręcił za róg, w pierwszej chwili myślał, że postać idąca prosto na niego, to policjant. Potem światło jego latarki wyłowiło błysk stali w lewej ręce postaci i uświadomił sobie, że to trzeci zabójca. Ten był potężny i młody.

Bryant spojrział w stronę domu, ale pozostali policjanci najwidoczniej pomagali Longbright uporać się z jej więźniem.

Nie miał żadnej broni. Był sam.

Poczuł gęsią skórkę i zrozumiał, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazł. Zrobił dokładnie to, przed czym ostrzegał innych. Zabójca prawie go miał. Bryant przysunął się do ściany i zaświecił mu latarką w oczy. Na chwilę mężczyzna przystanął, oślepiony, a wtedy policjant oderwał się od ściany i skoczył na trawnik.

Poślizgnął się i upadł na plecy. Zamachowiec stanął nad nim, trzęsąc się nieznacznie na deszczu. Potem pochylił się z uniesionym nożem. Bryant poczuł zimną dłoń śmierci chwytającą go za serce.

Nagle ktoś skoczył napastnikowi na plecy. To była Longbright.

- Niech pan ucieka, panie Bryant! - zawołała. Niespodziewanie jej przeciwnik wyrwał się i ugodził ją nożem w pierś.

Sierżant krzyknęła, a Bryant zerwał się na równe nogi i zaczął wzywać pomocy. Nadbiegli pozostali policjanci. Dwóch z nich uratowało Longbright, łapiąc zabójcę za ręce i zmuszając do wypuszczenia noża. Bryant podtrzymał sierżant. Rozpiął jej płaszcz przeciwdeszczowy i przyjrzał się ranie. Na szczęście

było to ledwie draśnięcie. Gruby materiał pochłonął impet uderzenia.

- Całe szczęście, że noszę usztywniany biustonosz - powiedziała, nie mogąc uwierzyć, że nic jej nie jest.

- Będziesz miała małą, intrygującą bliznę - odparł, zmierzwiając jej włosy.

- Wiedziałem, co mówię, kiedy kazałem ci się ciepło ubrać.

Longbright spojrzała spod oka na młodego Azjatę stojącego z wykręconymi rękami. Wciąż nie mogła dojść do siebie.

- Na wolności jest jeszcze czterech - oświadczył Bryant. - Myślę, że jeden wszedł już do środka. Popatrz na dach.

Longbright spojrzała w górę i zobaczyła, że jeden ze świetlików jest otwarty.

Land wracał do wozu patrolowego, kiedy wychodząc zza muru ogrodu, wszedł prosto na starego Hindusa. Jego krzyk zaalarmował policjantów w samochodzie, którzy przybiegli na pomoc dokładnie w chwili, gdy zabójca musnął nożem jego gardło. Land zatoczył się na mur, ciężko dysząc.

- Nie chciałem tego - usprawiedliwił się staruszek. - Robiłem to dla syna. - Policjanci zabrali go do samochodu.

Kiedy Bryant otworzył drzwi domu, Susan Whitstable przydzwoniła mu w głowę patelnią.

- Strasznie mi przykro - powiedziała, chociaż widać było, że wcale tak nie jest. - Myślałam, że to jeden z nich. Musicie tak hałasować na dworze? Dzieci nie mogą zasnąć.

- Gdzie mój kolega? - zapytał Bryant, trzymając się za głowę i idąc w stronę schodów.

- Mamy za dużo problemów z naszymi krewnymi, żeby jeszcze zajmować się pana ludźmi - odparła, po czym weszła do jadalni, wciąż dzierżąc w ręce patelnię. Kiedy Bryant zaczął wchodzić po schodach, promień latarki nagle przygasał.

- O nie, tylko nie to. - Był głęboko przekonany, że duch Jamesa Makepeace'a Whitstable'a obserwuje dom, pomagając w walce o przywrócenie ciemności. Zanim doszedł do podestu schodów, światło już zupełnie zgasło. Z korytarza dobiegł jakiś szmer. Potem w mroku błysnęła czyjaś ręka i ktoś pchnął go na ścianę.

- Trzyma tam związaną Bertę Whitstable - wyszeptał May. - Wydaje mi się, że uzbraja ładunek wybuchowy. Widziałem, jak odpinał z paska jakiś duży przedmiot z przewodami.

- Zastanawiałem się, czy nie posuną się do czegoś takiego - odszepnął Bryant. - Cóż prostszego, jak wysadzić w powietrze cały dom. Zabójcy otrzymali rozkazy zabicia tej nocy wszystkich Whitstable'ów. Co robić?

- Wracaj na dół i zacznij wyprowadzać wszystkich z domu, najciszej, jak tylko się da. Przyślij mi tu jednego uzbrojonego policjanta. Ale tylko jednego. Potrzebny mi element zaskoczenia, ale nie dam rady wejść tam sam. On może w każdej chwili włączyć zapalnik.

Bryant zbiegł po cichu po schodach i wszedł do jadalni. Wszyscy siedzieli dookoła jednej z dziewczynek, która czytała na głos. Jakie to typowe dla Whitstable'ów - oddawać się lekturze, podczas gdy ich życie znajduje się w niebezpieczeństwie, pomyślał. Przywołał dwójkę policjantów, wysłał jednego na górę do Maya.

- Proszę o uwagę - powiedział, wchodząc do środka kręgu. - I to wszystkich. - Kilka osób pokazało mu, żeby wyszedł.

- Czytamy właśnie *Opowieść wigilijną* - oświadczyła jedna z córek Susan Whitstable. - Zawsze to robimy w święta. Już prawie kończyliśmy, a pan nam wszystko popsuł.

- Na końcu Scrooge pobił na śmierć Małego Tima, bo go wkurzał - oznajmił Bryant bezdusznie. - A teraz wszyscy muszą wyjść, najciszej i najszybciej, jak tylko się da.

Rozległ się zgodny jęk protestu.

- Ale na dworze leje!

- Czy dziewczynki mogłyby się przebrać? - zapytała Susan, wskazując na swe latorośle patelnię.

- Wszyscy muszą wyjść w tej chwili w ubraniach, które mają na sobie.

- Ja mam na sobie sweter od Cecila Gee – zawodził Nigel Whitstable. - Jeśli zafarbuje, przyślę wam rachunek.

- Jeśli sami nie opuścicie tego pokoju w ciągu dwudziestu sekund, usunę was stąd siłą - zagroził Bryant, stawiając na nogi dwoje mniejszych dzieci. - Nie powinnyście słuchać Dickensa w waszym wieku, to może być szkodliwe.

- Tatusz powiedział, że możemy robić, co chcemy, bo wy jesteście na naszej służbie - oświadczyła wnuczka Berty, Delilah Whitstable. Pozostali zaczęli wychodzić, skarżąc się głośno.

- Naprawdę tak powiedział? - zainteresował się Bryant, rozglądając się za ojcem dziecka. - Muszę koniecznie sprawdzić, czy nie zalega z podatkiem drogowym.

Na zewnątrz, w ciemności i w strugach deszczu, stała samotnie Longbright. Wpatrywała się w drzewa. Przetarła latarkę o przemoczone spodnie. Kiedy ją uniosła, zobaczyła zabójcę idącego prosto na nią z końca ogrodu. W lewej ręce trzymał widły, pewnie jedyne niebezpieczne narzędzie, jakie udało mu się znaleźć w szopie pod murem.

Wyszła mu naprzeciw. Była ostrożna, ale nie bała się.

Przystanął i wpatrzył się w nią. Deszcz przyliżał mu włosy, czyniąc go podobnym do kościotrupa.

- Pani jest z Whitstable'ów? - zapytał niezręcznie.

- Nie, jestem policjantką. Proszę odłożyć broń.

Wyglądał tak załóżnie, że prawie zrobiło się jej go szkoda. Ruszył na nią z uniesionymi widłami, ale potraktowała go kawałkiem cegły, który trzymała w ręce. Upadł w zielsko bez przytomności.

Longbright odrzuciła cegłówkę i odeszła. Zwykle nosiła dyżurny kawałek cegły w swojej ogromnej torbie, ale tym razem zostawiła ją w siedzibie wydziału.

Na górze May i posterunkowy zostali zdekonspirowani. Zamachowiec stanął w drzwiach łazienki, nie wiedząc, co robić. Za nim widać było leżącą na podłodze Bertę związaną ręcznikiem i z myjką do twarzy wetkniętą w usta. Obok niej leżało pudełko podłączone do prymitywnego elektrycznego detonatora. Po oszacowaniu sytuacji zabójca ukląkł i spokojnie kontynuował swoje prace nad ładunkiem.

- Musimy ją jakoś wyrwać z jego rąk - wyszeptał May do posterunkowego.

- Zamierza dokończyć misję, nie troszcząc się o swoje życie. - Podczas całej swojej kariery w policji nigdy nie spotkał bardziej niebezpiecznego typu zabójcy: fanatyka przygotowanego na wielką ofiarę, niedbającego o własne ocalenie. W latach siedemdziesiątych XX wieku tacy ludzie wciąż jeszcze należeli do rzadkości.

Odwrócił się do policjanta, który szacował odległość między sobą a celem.

- Zdołasz go trafić z tej odległości?
- Nie mam pewności. Jest za blisko kobiety.
- W takim razie wstrzymaj się. Poczekaj chwilę. - May zaczął wolno iść, nie odrywając wzroku od detonatora.

- Rozkazy, które otrzymałeś, były pomyłką! - krzyknął nagle, sprawiając, że zamachowiec znieruchomiał, a Berta Whitstable wzdygnęła się. - Nie musisz wyrządzać krzywdy tym ludziom. Wiem, że kazano ci to zrobić, ale rozkaz został odwołany. Proszę, nie ruszaj się. - Wiedząc, że może się nie udać, May odwrócił się. Dał znak policjantowi.

- Ubezpieczaj mnie - wyszeptał. - I pomyśleć, że matka mówiła mi, że będę nieszczęśliwy, siedząc za biurkiem.

Zaczął wolno iść, noga za nogą. Zamachowiec skończył podłączać przewody do detonatora. Włączył zegar, przesunął ładunek i odszedł o krok. Berta wypluła myjkę i zaczęła krzyczeć.

May spojrzał na podłogę, oceniając pozycję zamachowca i jeńca. Ręczniki zostały ściągnięte z poręczy nad kaloryferem, kilka z nich leżało na podłodze pod ścianą. To było wszystko, co musiał wiedzieć.

Zabójca wciąż stał nieruchomo, wpatrując się w niego i czekając na wybuch. May rzucił się do przodu. Poruszając się z prędkością, która wszystkich zaskoczyła, wyciągnął przed siebie ręce i wskoczył do łazienki, odpychając skrzynkę. Prześlizgnęła się po płytkach łazienki jak hokejowy krążek i uderzyła w ręczniki, które leżały pod przeciwną ścianą.

Berta ryknęła ze strachu i odskoczyła do tyłu. W tej samej chwili do łazienki wpadł policjant, kopiąc zamachowca w brzuch. Hindus wylądował na podłodze, podczas gdy May wyłączył zegar.

- Sprowadź tu pomoc, szybko! - krzyknął, podrywając na nogi szlochającą Bertę i wypychając ją z łazienki. Kiedy na schodach rozległy się kroki policjantów, May oparł się o ścianę, usiłując złapać oddech, i uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony.

Za nim zegar przy ładunku wybuchowym znów zaczął odliczać czas do wybuchu.

- Weźcie go szybko na dół - powiedział May swoim ludziom. - Ciągłe jest jeszcze jeden zamachowiec na wolności w domu albo na zewnątrz. Nikt nie jest bezpieczny, dopóki go nie znajdziemy.

52 GŁÓWNY WINOWAJCA

- Czy możemy już wrócić do domu? - zapytał Nigel Whitstable.

Kolory jego swetra zaczynały zlewać się w jeden. Niektóre dzieci rozplakały się. - To po prostu oburzające. - Rozejrzał się, zupełnie jakby dopiero teraz zauważył wozy policyjne. - Może zechcielibyście wyjaśnić, co macie nadzieję osiągnąć przez to całe... niedorzeczne zamieszanie.

Bryant i sierżant Longbright byli zajęci, próbując ulokować jak najwięcej dzieci w samochodach. Większość podchodziła do wydarzeń nocy jak do świetnej przygody i trzeba je było odciągać od desek rozdzielczych wozów.

May zaprowadził szlochającą matkę Charlesa Whitstable'a do reszty rodziny. Wyglądała słabiotko i raczej żałośnie w deszczu. Kiedy Bryant umieścił ostatnie dziecko w samochodzie, uświadomił sobie, że wszyscy na niego patrzą, czekając, aż im powie, co robić dalej.

Przez chwilę było mu ich prawie żal. Stojący na deszczu, bez płaszczy i kurtek, przemarznięci, przemoczeni, skołowani i przygnębieni Whitstable'owie wyglądali całkowicie bezradnie. Cokolwiek jeszcze się stanie, na zawsze zapamięta ich jako takich: przemoknięte niedobitki ongiś wspaniałej rodziny, podejrzliwe w stosunku do wszystkich, niemające już nawet siły się skarżyć i czekające, aż ktoś nimi pokieruje.

To wrażenie zostało zakłócone przez Nigela Whitstable'a, który znów wpadł w złość.

- Kiedy gazety się o tym dowiedzą - krzyknął, dźgając Landa kościstym paluchem w pierś - będziecie prawie tak popularni jak gestapo. Jesteście skończeni, wszyscy. A zwłaszcza tych dwóch nieudaczników, których nazywa się policjantami.

Bryant miał dość. Wyszedł przed nich i poprosił o ciszę. Kątem oka dostrzegł sąsiadów, którzy z wielką uwagą przyglądali się tej scenie, stojąc w drzwiach albo wyglądając zza zastonek. Kiedy wszyscy w końcu przestali narzekać, policjant zaczął mówić.

- Prosiłście mnie wcześniej, żebym powiedział wam, jaki jest powód tego wszystkiego. Chcieliście, żebym wskazał winowajcę. Powiem wam teraz, jeśli

jeszcze się nie domyślacie. - Wyprostował się i wpatrzył się w twarze przed sobą. - To wy, Whitstable'owie, jesteście temu winni. Wasza kompania. Przymerze. Rodzina. Imperium. To wy sami zgotowaliście sobie ten los.

Rozległ się szmer oburzenia. Ponad innymi górował głos Berty.

- O czym ty, na miłość boską, mówisz, śmieszny mały człowieczku?! - wykrzyknęła. - Nigdy świadomie nie robilibyśmy sobie krzywdy. Wiemy, jak chronić siebie.

- Właśnie to, proszę pani, doprowadziło do tragedii - odparł Bryant, dając się ponieść emocjom. - Jeśli koniecznie chce pani kogoś za to winić, przede wszystkim proszę winić Jamesa Makepeace'a Whitstable'a. Gdyby wasz przodek tak rozpaczliwie nie pragnął pieniędzy waszych rywali, zabijając ich, a wy nie przekazywalibyście swojego sekretu z pokolenia na pokolenie, nie sprowadzilibyście przez przypadek na siebie zagłady. - Chodził gniewnie przed nimi. - Mój Boże, zamiast pomagać odganiać ciemność i podtrzymać ogień wolnej konkurencji - ten cenny znak płonącego płomienia, o którym rzekomo nic nie wiedzieliście - staliście się częścią ciemności. Zbierała się cały czas nad wami, a żaden z was tego nie dostrzegał. Wszystko, żeby tylko zachować wartości waszego cechu. Czystość. Przyzwoitość. Nowe jasne światło. - Wskazywał na każdego po kolei, nie mogąc opanować tłumionej wściekłości, którą od śmierci Alison Hatfield czuł także May. - Mieliście być solą tej ziemi, a jesteście jej zakałą. Jedyne, czym się wyróżniacie, to umiejętność oszukiwania. Oszukiwaliście wszystkich - nas, samych siebie i siebie nawzajem. A teraz, kiedy usiłujemy was ocalić, okazujecie swoją wdzięczność, strasząc nas wyrzuceniem z policji. Cóż, róbcie tak dalej. Nasza praca na tym się kończy.

Odwrócił się do nich plecami i odszedł. Patrzyli na niego oszołomieni.

- Proszę pana! - zawołał posterunkowy Bimsley. - Właśnie widziałem kogoś wbiegającego do domu.

- To nie może być żaden z naszych ludzi - stwierdził May. - Wszyscy są teraz na zewnątrz. Wygląda na to, że znaleźliście ostatniego zamachowca. Biegnijcie za nim.

- Tak jest - odparł Bimsley i ruszył do domu.

Nagle jednak całe pierwsze piętro domu Williama Whitstable'a eksplodowało z ogłuszającym hukiem, który odbił się echem od innych domów i był

słyszalny chyba w całym mieście. Nocne powietrze buchnęło gorącą falą. Po-
bliskie drzewa wypełniły się odpryskami szkła. Małe kawałki płonącego drewna
spadły na zgromadzonych. W oknach na piętrze pojawiły się płomienie.

Podczas gdy przerażona rodzina usiłowała pozbiierać się i oczyścić, May
pobiegł w kierunku domu, szukając Bimsleya. Posterunkowy wpatrywał się w
płonący budynek z oszołomioną miną.

- Na waszym miejscu nie zawracałbym już sobie głowy z tym pościgiem,
Bimsley - powiedział May. - Aha, wasza kurtka płonie.

Górne piętra domu paliły się szybko, czyniąc go podobnym do latarni, której
światło przyćmiło gwiazdy i rozjarzyło ciemność nocy.

53 ZATOPIENIE

- Dobrze przynajmniej, że udało nam się wyciągnąć stamtąd wszystkich na
czas - powiedział May, kiedy wracali minicooperem do siedziby nad stacją
metra Mornington Crescent. O tak wczesnej porze Bryant nie stanowił zagro-
żenia dla ruchu, pod warunkiem że nie było się kotem albo gołębiem. - Zasta-
nawiam się, czy nie zachowałeś się wobec nich odrobinę za ostro. Nie przyszło
ci do głowy, że dla nich też może być trudne bycie tym, kim są?

- Jeśli im się to nie podoba, mogą się wycofać - odparł Bryant. - To działa
tylko w jedną stronę. Bogaci zawsze mogą dobrowolnie stać się biednymi.
Biedni - bogatymi, nigdy. - Wpatrzył się w zamyśleniu na opustoszałe ulice
Camden Town.

- Sam Gates ma szansę zostania jedną z nich. Słyszałeś, że Charles Whit-
stable zaproponował jej posadę? Ciekawe, co zdecyduje się zrobić po tym
wszystkim. - May wydmuchał nos. - Nie sądzisz, że to początki zapalenia płuc?

- Całkiem możliwe - przyznał Bryant z charakterystycznym dla siebie pe-
symizmem. - Istnieje też duża szansa na to, że tej nocy umrę we śnie. Takie
tempo jest już dla mnie za szybkie. Mam płaskostopie, żyłaki, a teraz jeszcze
do tego moje zawory się zatkały. Wkroczyłem w wiek średni, nigdy nie będąc
młodym.

- Wiem, o czym mówisz. Nie mieliśmy takiego urwania głowy od czasu sprawy diabła z Deptford pięć lat temu.

- Zaraz, nie możemy jeszcze jechać do domu - powiedział nagle Bryant, uderzając dłońmi w kierownicę. - Musimy zajechać po Tomlinsa i zawieźć go do naszej siedziby.

- Litości, jest dziesięć po piątej. Niech ktoś inny to zrobi.

- Nie możemy tego zostawiać innym, John. To zbyt ryzykowne. Ktoś musi opowiedzieć całą historię Landowi, zanim skończy raport. Nikt inny nie wie o astrolabium. Zadzwon do Longbright i powiedz jej, dokąd jedziemy.

Zawrócił minicoopera i skierował się na adres w Maida Vale, który podał mu Rand.

Ulice miasta wciąż były pogrążone w ciemności. Dom, pod który podjechali, był willą z lat trzydziestych o ścianach pokrytych tynkiem kamyczkowym i oknach wykuszowych, o wiele skromniejszą od domów Whitstable'ów. Po piątym dzwonku drzwi otworzyła kobieta w średnim wieku, usiłując stłumić ziewnięcie. Bryant i May wylegitymowali się i poprosili jej męża.

- Niestety, minęliście się z nim, panowie - odparła, machając ręką w kierunku garażu. - Miał telefon, powiedział, że musi wyjść, że to ma coś wspólnego z pracą. Nie rozumiem, co to znaczy. On nie jest lekarzem, nie ma wizyt domowych.

- Kiedy wyjechał?

- Jakies pół godziny temu.

- Czy nie mówił, dokąd jedzie? - zapytał Bryant.

- Nie mam pojęcia. - Potarła blade policzki, zastanawiając się. - Zaraz, powiedział, że musi się zobaczyć z jakimś Randem.

Miasto ciągle jeszcze było opustoszałe, kiedy o piątej czterdzieści dwie żółty minicooper zatrzymał się przed wejściem do siedziby Czcigodnego Stowarzyszenia Zegarmistrzów. Pozostawało ono zamknięte od śmierci Alison Hatfield.

- Nie chciałbym, żeby nas usłyszał, bo może zwać - powiedział May. - Jak się tam dostaniemy?

Bryant uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni płaszcza.

- Cały czas mam klucze Charlesa Whitstable'a - przypomniał Mayowi. - Powinniśmy znaleźć tu też biednego starego Randa. Założę się, że Tomlins będzie usiłował rzucić wszystko na niego.

- Chcesz, żebym zadzwonił po wsparcie? - zapytał May.

- Po tym wszystkim, co przeżyliśmy tej nocy, myślę, że poradzimy sobie sami.

Wysiedli z samochodu i podeszli do drzwi. Bryant otworzył je tak cicho, jak to tylko możliwe, i weszli do środka. Hol był ciemny i pusty. Włączywszy latarki, skierowali się w stronę schodów z tyłu budynku. Użycie windy mogłoby niepotrzebnie zwrócić na nich uwagę.

- Zaczynam się czuć jak kret - wyszeptał Bryant, ostrożnie schodząc na niższe piętro. - Słyszysz coś?

Z ciemności pod nimi dochodził podniesiony głos. Zwolnili kroku, idąc przez rozmokły korytarz. Gabinet Randa był pusty. Weszli do pomieszczenia, w którym znajdowało się astrolabium. Światła awaryjne ewidentnie czerpały moc z generatora, ponieważ żarówka nad wielkim mosiężnym urządzeniem cały czas się świeciła.

Ujrzeni Tomlinsa stojącego przed małym Hindusem z młotem uniesionym nad głową. Rand leżał na podłodze, co sugerowało, że został już uderzony.

Tomlins wpatrzył się w nowo przybyłych.

- Wynoście się! - krzyknął. - Mam tu coś do załatwienia. - Odwrócił się do leżącej przed nim postaci i zamachnął się młotem, uderzając Randa w plecy. - Muszę roztrzaskać mu łeb za to, co zrobił - wyjaśnił beznamiętnym tonem.

- A co takiego zrobił? - zapytał May podchodząc.

- Zniszczył wszystko. Sprzeniewierzył się swojej przysiędze. Wobec Przymerza, cechu i rodziny.

- Nie wiedział, do czego służy maszyna.

- I tak jest już do niczego, prawda? - Uniósł ponownie młot. - Cała praca, lata wiernej służby, wyrzeczeń i obowiązków, wszystko to na nic.

Kiedy młot zaczął opadać, May złapał Tomlinsa za przedramię. Z jękiem przerażenia Rand rzucił się do swojego gabinetu. Bryant pospieszył przyjacielowi na pomoc.

Sekretarz okazał się silniejszy, niż się spodziewali. Odepchnął Bryanta jedną ręką i rzucił się do tyłu, uderzając Mayem mocno o ścianę raz, a potem drugi.

Bryant usłyszał odgłos uderzenia czaszki o cegły i zobaczył, że jego towarzysz wpadł do wody. Tomlins odwrócił się i zamachnął się młotem.

Bryant odskoczył do tyłu, wpadając na astrolabium. Potknąwszy się, znalazł się w środku urządzenia, mosiężne okręgi chroniły go przed rozjuszoną nastnikiem.

Młot uderzył w urządzenie. Zadzwońnię donośnie. Bryantowi latarka wypadła z ręki. Ukląkł. Po kolejnym uderzeniu w mechanizm cała maszyna zgrzytnęła i zaczęła się przewracać. Bryant próbował podnieść się z wody, ale ujrzał spadające na niego mosiężne ramię. W następnej chwili astrolabium przesunęło się i uwięziło go w środku.

- Nie uda ci się wywinąć! - krzyknął policjant, z trudem łapiąc oddech, ponieważ jedno z mosiężnych ramion przygniatało mu pierś. - To już koniec. Wasi rywale pozostali przy życiu. Tontyna nawaliła. Przetawiała się i zamiast wrogów zaczęła wyznaczać członków rodziny. Zawiodła na całej linii.

Tomlins podszedł do ściany, tak że Bryant musiał odwrócić głowę, żeby go widzieć. Nic nie mówił. Zamiast tego zamachnął się młotem, celując we właz, za którym znajdował się kanał. Bryant zrozumiał, co chce zrobić.

Jego umysł wciąż pracował na najwyższych obrotach. Rand nie wiedział o zamachowcach, więc musiał być jakiś nadzorca. Ktoś, kto umiałby zadbać o szczegóły, opłacić zlecenia, pomóc w zatuszowaniu faktów. Początkowo policjant podejrzewał, że tym kimś jest Charles Whitstable, ale on przebywał w Indiach.

Musiał być ktoś na miejscu. Tomlins widział, że Alison Hatfield coraz bardziej zbliża się do odkrycia prawdy. W końcu został zmuszony do usunięcia jej. Bryant jednak musiał dowiedzieć się więcej.

- Jeśli wiedziałeś o istnieniu tego urządzenia, musiałeś wiedzieć też o tym, że zaczęło wybierać złe cele! - krzyknął, usiłując wysunąć się spod żelastwa, które go przygniatało. Właśnie czarnooki szczur przepływał tuż obok jego twarzy.

Tomlins opuścił na chwilę młot i otarł pot z czoła.

- Kto powiedział, że cele były złe? - odrzekł. - Ta maszyna została stworzona z myślą o ochronie interesów cechu zegarmistrzów. Whitstable'owie zrobili sobie z niego krowę dojną. W razie ich śmierci pieniądze wróciłyby do

zarządu cechu. - Uderzył młotem we właz i tym razem rozległ się trzask. Na krawędziach pojawiło się kilka kropel wody.

- Jeśli ktoś zasługuje na ten majątek, to rzemieślnicy! - krzyknął Bryant. - Bez nich nie byłoby w ogóle cechu.

- Trzy pokolenia mojej rodziny pracowały dla cechu - odparł Tomlins, śmiejąc się z zadowoleniem, kiedy młot zrobił wgniecenie we włazie. - Wszyscy dostawali nędzne grosze za ochronę fortuny kogoś innego i wszyscy zostali zaprzysiężeni, że utrzymają to w sekrecie. Dokąd nas to doprowadziło?

Uświadomiwszy sobie, że astrolabium się przestawiło, Tomlins odkrył możliwość pozbycia się swoich pracodawców.

- Rozumiem. Pieniądze miały przejść na ciebie - powiedział Bryant z trudem. Starał się uwolnić, ale nie był w stanie. Kątem oka widział nogi Maya. Jego przyjaciel nie ruszał się. Bryant miał nadzieję, że nie utonął.

- Tak by się stało, gdybyś mi nie przeszkodził - odparł Tomlins.

Następne uderzenie zrobiło szczelinę. Czarna woda chlusnęła przez pomieszczenie. Bryant wiedział, że Tomlins z łatwością je zaleje i nikt nawet nie znajdzie ich ciał. Byłby wtedy w stanie odzyskać swoją część pieniędzy.

Policjant czuł lodowatą wodę. Jej poziom szybko wzrastał. Temperatura spadła gwałtownie.

Bryant naciskał z całej siły na żelastwo. Głowa Maya leżała na cegle, dzięki czemu woda nie sięgała mu jeszcze do nosa i ust. Tylko Longbright wiedziała, że tu są, ale nie miała powodu do zaniepokojenia. Wręcz przeciwnie, spodziewała się, że po wszystkim obaj zrobią sobie kilka godzin odpoczynku.

To straszne zginąć w tak upokarzający sposób. Umrzeć pod ulicami miasta, które kochał z całego serca. Bryant pragnął, by stało się to w domu, w otoczeniu jego płyt, książek i wspomnień. Ta śmierć wydawała się groteskowa, niegodna życia, które zostawiał za sobą.

Odwrócił głowę i zobaczył, że Tomlins uderza wściekle w ścianę. Zniszczenie włazu najwyraźniej mu nie wystarczało. Ściana pękła w kilku miejscach i ze szpar zaczęła lecieć woda.

Sekretarz jeszcze raz uderzył w cegły. I wtedy woda chlusnęła na niego i poniosła go prosto na astrolabium.

Bryant chciał skorzystać z okazji, żeby się wyrwać na wolność. Nie miał już jednak zbyt dużo siły. Lodowata woda przytępiła jego zmysły. Napiął wszystkie mięśnie. Nagle zobaczył, że przytłaczające go żelastwo podnosi się bez jego udziału.

- Tym razem chyba pan się cieszy na mój widok, co? - zapytała Sam Gates, wyciągając do niego rękę. Zszokowany, nie mogąc złapać tchu, by odpowiedzieć, Bryant dał się wyciągnąć spod astrolabium.

- John - wysapał, pokazując na postać w wodzie.

Sam rzuciła się na ratunek jego przyjacielowi.

Bryant zaczął brnąć w wodzie, żeby jej pomóc. Za dziurą w ścianie widział czarny strumień przepływający obok, część wody zaś wpływała do pomieszczenia. Prąd był coraz szybszy.

Nagle para mokrych rąk pochwyciła go za gardło i wciągnęła w odmęty.

Ręce Tomlinsa zaciskały się coraz bardziej. Kiedy Bryant usiłował się wyrwać, jedna z nich złapała go za czubek głowy. Nie otwierał oczu ani ust, wiedząc, że to jedyna szansa na przetrwanie w zanieczyszczonej wodzie. Teraz już dwie ręce trzymały go mocno za głowę, wpychając go coraz głębiej.

Głuchy łomot rozległ się w jego uszach. Pod powiekami eksplodowało czerwone światło. Jego płuca zaczęły się wypełniać ogniem.

I wtedy nagle ręce go puściły i Bryant wynurzył się na powierzchnię. Tomlins tonął. Jego ramię zaplątało się w części astrolabium.

Urządzenie zgrzytnęło i po raz kolejny się przesunęło. Bryant pozwolił nieść się prądowi. Sam pospieszyła w jego kierunku. Nie miał pojęcia, czy jego przyjaciel żyje, czy nie.

Obejrzał się i zobaczył, że ręka Tomlinsa uniosła się, kiedy jego ciało zostało wciągnięte przez dziurę w ścianie i poniesione przez wodę prosto w ciemność.

Wszyscy troje siedzieli z tyłu wozu patrolowego, przemoczeni i zszokowani, zawinięci w koce, podczas gdy jeden z policjantów wioził ich do najbliższego szpitala.

- Czy można otworzyć okno? - zapytał funkcjonariusz. - Nie mogę oddychać.

- Chcecie powiedzieć, że śmierdzimy? - zapytał Bryant.

- Cóż, cali jesteście państwo w gów... to znaczy, chciałem powiedzieć, w nieczystościach, proszę pana.

- No dobrze, niech będzie.

May odwrócił się do Sam. Wyglądała, jakby dobrze się bawiła.

- Dlaczego pojechałaś za nami do cechu? - zapytał.

- Poszłam do waszej siedziby do sierżant Longbright. Dowiedziałam się, że jest w domu Whitstable'ów. Byłam z nią w samochodzie policyjnym, kiedy powiedział pan przez radio, dokąd jedziecie. Drzwi do budynku były otwarte i jakiś nieprawdopodobny hałas dochodził z, dołu. Po prostu poszłam za nim.

- Ale dlaczego w ogóle chciałaś nas znaleźć?

- Chciałam oddać panu Bryantowi jego pager - wyjaśniła, wyciągając go z kieszeni. - Znalazłam go. Musiał mu wypaść.

- Dlaczego nie poczekałaś i nie postanowiłaś go oddać kiedy indziej? - zapytał May zszokowany. - On i tak nigdy nie używa tego cholerstwa.

- Musiałam go oddać jak najszybciej - odparła Sam - bo były do niego przyklejone jego klucze do mieszkania.

May otworzył ze zdziwienia usta.

- No właśnie! - zatriumfował Bryant, biorąc pager i pokazując klucze przyklejone do jego tylnej ścianki taśmą klejącą. - Pomyślałem sobie, że go nigdy nie zgubię, jeśli będę go potrzebował, żeby dostać się do mieszkania.

- Chcesz powiedzieć, że zawdzięczam życie...

- Zgadza się - odparła Sam zadowolona z siebie. - Gdyby nie denerwujące nawyki pana przyjaciela, już by nie było pana wśród żywych.

Wóz policyjny pomknął mostem w kierunku jaśniejącego horyzontu.

54 GRUBA RYBA

Po raz pierwszy w życiu Charles Whitstable nie wiedział, co powiedzieć. Wciąż miał na sobie ubranie z poprzedniego dnia i nie spał całą noc.

- Chcemy tylko wiedzieć, jak pan to robił - wyjaśnił May, pochylając się na krześle. Robotnicy niespodziewanie wrócili do siedziby wydziału nad stacją

Mornington Crescent i teraz po całej podłodze wałały się narzędzia. Z niewiadomych powodów zrobili też dziurę w suficie.

- Nie jestem nawet pewien, jakie zarzuty zostaną panu postawione - dodał Bryant - ale z pewnością w akcie oskarżenia będzie coś o współudziale w morderstwie. Proszę spróbować wyjaśnić, co się stało.

Wtedy podejmiemy decyzję, co trafi do pana oficjalnego zeznania.

Charles uniósł głowę i podjął daremny trud poprawienia fryzury.

- No dobrze - westchnął, zdając sobie sprawę, że to pierwsze z całej serii przesłuchań. - Kiedy pojechałem do Kalkuty, odkryłem, że firmy cechu działają według przestarzałych zasad. Budynki wyglądały tak jak na początku wieku. Żadnego postępu technicznego, żadnych zmian w infrastrukturze. Biura były okupowane przez wnuków pierwszych właścicieli, a biurokracja przerośnięta, nawet jak na indyjskie standardy. Nic się nie zmieniło od czasów Jamesa Whitstable'a. A w Londynie Peter i Bella jęczyli z powodu topnienia wpływów. Wszyscy się skarżyli, nawet cholerni prawnicy, a nikt nic nie robił, żeby posprzątać ten bałagan. Wszystko spoczywało na moich barkach. Wcześniej zauważyłem, że pracownicy wypełniali pewne „instrukcje” nadchodzące drogą telefoniczną z Londynu. Po każdym z takich telefonów jeden z nich wyjeżdżał na kilka dni w „sprawach służbowych”. Wyjazd zawsze finansowała kancelaria prawnicza w Norwich. Potem pracownicy wracali i bez słowa wyjaśnienia przystępowali do wykonywania swoich zwykłych obowiązków. Wyraźnie działo się tak od lat. Zauważyłem, że do tych tajemniczych zadań wyznaczany jest określony typ ludzi. To byli zawsze synowie i wnukowie członków cechu, którzy w przeszłości otrzymali od niego jakąś pomoc.

- Jakiego rodzaju pomoc?

- Zwyczajne rzeczy: prezent w postaci czeku dla nowożeńców, stanowisko kierownicze dla syna... Jakąś przysługę, która wymagała odwdzięczenia się w przyszłości - wyjaśnił Charles. - Czasami chodziło po prostu o nisko oprocentowaną pożyczkę. W zamian na ich adres domowy przychodziła przesyłka, którą miano otworzyć w czasie wyznaczonym przez kompanię. Kiedy ten czas nadchodził, instrukcje musiały zostać wypełnione co do joty. Umowę rozwiązywano, kiedy rywal został wyeliminowany. Nie było przypadków niewywiązania się z umowy. Przynajmniej tak system działał w przeszłości. Ja natrafiłem

już na sprzeciw. Ludzie zaczęli odmawiać honorowania tych „instrukcji”. Przysięgali swoim ojcom, dziadom, ale nie rozumieli, czemu mieliby wyświadczać jakiegokolwiek przysługi Anglikom. Rządy królowej Wiktorii się skończyły. Utrzymywały ich na miejscu groźby i przesady, ale nie bali się już potęgi Przymierza. W końcu Indie są teraz niezależne.

Charles Whitstable wyglądał na zakłopotanego.

- Nie mogłem zniszczyć tego systemu. Ale policja w Kalkucie stała się podejrzliwa. Musiałem przejąć kontrolę nad nim. Leżało mi na sercu dobro rodziny. Urządzenie dostarczało nazwisk osób przeznaczonych do likwidacji, bo lista była regularnie uzupełniana przez Tomlinsa. Nie miałem pojęcia, że system zaczął szwankować i zwróci się przeciwko mojej rodzinie. James Makepeace Whitstable wykorzystywał wszystkich - swoich rzemieślników, prawników, potomków swoich najbardziej wiernych pracowników. Na tym polegało piękno jego planu. Czarna robota była wykonywana za granicą, żeby członkowie rodziny mieli czyste ręce. Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia przeniesie się to do Anglii.

- To dlatego zamachowcy stosowali tak przestarzałe metody - uświadomił sobie May. - Pracowali w oparciu o wypróbowane zasady. Zabójca Maxa Jacoba użył jadu mokasyna błotnego zapewne dlatego, że nie udało mu się zdobyć jadu węża z Indii.

- Jakież to wiktoriańskie - zżymał się Bryant. - Wykończ rywali, oszukaj sąsiadów i pomnóż fortunę. Jeśli ktoś zostałby złapany, to tylko jakiś cudzoziemiec, obywatel trzeciej kategorii. Kto dałby wiarę jego słowom? Przodkowie takich ludzi jak biedny Denjhi zniszczyli życie swoim potomkom. Sumienie nie pozwalało mu zabić Daisy Whitstable, więc został wykorzystany raz jeszcze. Ale nie udało mu się i za drugim razem. Zamiast śmiertelnie otruć Peggy Harmsworth, rozcieńczył mieszankę, mając nadzieję ocalić jej życie, a jednocześnie wykonać zadanie. - Bryant wstał i zapiął swój bezkształtny brązowy sweter. - Ma pan na sumieniu śmierć członków własnej rodziny. Ciekawe, czy uda nam się doprowadzić do pana skazania.

55 MATKA I CÓRKA RAZ JESZCZE

Gwen Gates zaciągnęła się mocno sobranie, po czym wydmuchała dym. Patrząc na żarzący się koniuszek papierosa, uśmiechnęła się z żalem. Salon zalewało zimne słońce, które odbijało się od kałuż na dworze. Nie miała makijażu i była zawinięta w ciężki biały płaszcz kąpielowy. Sam rzadko miała okazję widzieć ją w tym, jak to Gwen określała, „niekompletnym stanie”.

Wciąż jeszcze było wczesnie. Jack pojechał grać w golfa. Gwen musiała usłyszeć wchodzącą do domu Sam i zeszła na dół, zupełnie jakby wyczuła, że stanie się coś ważnego. Patrzyła teraz na córkę i przez chwilę dziewczynie było jej zwyczajnie żal. Odkrycie, że pragnienie poprawy statusu społecznego było ważniejsze dla Gwen od miłości do córki, stanowiło szok, ale Sam właściwie zawsze to podejrzewała.

Wiedza ta nie dała jej satysfakcji, tylko gorzki posmak zawodu. Jej miłość stanowiła towar, który można wymienić na coś cenniejszego. A mimo to pozostał jakiś ślad więzi między nimi.

- Jeśli to może cię jakoś pocieszyć, to jest mi wstyd, że nie powstrzymałam cię od wyjazdu do domu Charlesa - powiedziała Gwen.

- Po prostu chciałaś, żebyś dla niego pracowała i została zaakceptowana przez rodzinę Whitstable'ów - odparła Sam, zamykając nylonowy plecak. - Wmówiłaś sobie, że niczego nie pamiętam. Nawet gdybym była zainteresowana jego ofertą, i tak nie dostaniesz tego, czego pragnęłaś. Kiedy wyjdzie z więzienia - zakładając, że w ogóle do niego pójdzie - ani ty, ani ja nie będziemy mu potrzebne do szczęścia. Wszystko wróci do normy. Whitstable'owie przetrwają cały ten skandal, wszystkie te relacje telewizyjne i prasowe. Nie potrzebują nikogo. Biedna Gwen, wzgardzona przez kolejnego mężczyznę. Najpierw Jack, potem Charles Whitstable.

- Jesteś bardzo okrutną dziewczyną.

- Ja już nie jestem dziewczyną, mamu. Musisz zrozumieć, że nic się dla nas nie zmieni. Na co w ogóle liczyłaś? Naprawdę myślałaś, że odzyskasz szacunek Jacka? Zbyt dawno temu go straciłaś. Chcesz więcej zaszczytów? One nie zrobią z nas innych ludzi. - Włożyła do plecaka jeszcze kilka książek. Chciała

je mieć ze sobą, niezależnie od tego, gdzie będzie.

- Miałam nadzieję, że dobrze wyjdiesz za męż. - Głos Gwen był cichy i zmęczony.

- Gdybym naprawdę chciała mieć to, co ci ludzie, musiałabym być tak nieuczciwa jak oni.

- Nigdy nie zamierzałam cię oszukiwać, Sam. - Gwen nagle przestał smakować papieros i zgasiła go. - Po prostu nie byłam szczerą względem siebie. Nie masz pojęcia, jak to jest być tak blisko nich, a zarazem tak daleko. Chodzić na paluszkach na peryferiach ich życia. Chciałam, żebyśmy obie miały to, co mają oni. To, że tego nie miałyśmy, było niesprawiedliwe.

- W każdym razie, to na pewno nie jest to, czego chcę. - Sam dokończyła pakowanie i podeszła do drzwi. - I dlatego muszę odejść. Chcę dokonać zmian sama. Masz rację, Whitstable'owie są niesprawiedliwi. Pozostają tym, kim są, budując bariery. Cały ten przegniły kraj opiera się na nich. To kraj barier i murów. Głównie murów.

- Jesteś naiwna, jeśli wydaje ci się, że możesz coś zmienić. Dla mnie nic się nie zmieniło. - Na twarzy Gwen pojawił się wyraz lęku. - Nie masz pojęcia, jak to wszystko wyglądało.

- Może i nie - przyznała Sam. - Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Co miałam mówić? Jak mogłam opisać wyraz pogardy na ich twarzach? - Opanowała się, próbując nadać swemu głosowi beznamiętne brzmienie. - Połowa rodziny nie odzywała się do mnie przez lata. Uśmiechali się chłodno, kiedy byłaś w pobliżu, i odtrącali mnie za twoimi plecami. Wszystkie te drobne złośliwości, niekończące się aluzje. A wszystko to przez ciebie i twoje zachowanie. Przez kłopoty, które sprawiałaś.

- Przykro mi, Gwen, nie wiedziałam.

- No cóż - westchnęła matka - wielu rzeczy jeszcze nie wiesz. Ludzie to potwory. Kiedy chronią cię pieniądze, masz tysiące sposobów, żeby ranić innych. - Wyraźnie nie chciała, by córka się nad nią litowała i zmieniała temat. - Jakie masz plany? Dokąd się wybierasz?

- Jeszcze nie wiem. Ten kraj jest dla mnie skończony. Postaram się znaleźć miejsce, w którym nie ma tak wielu ograniczeń.

- To będzie trudniejsze, niż ci się wydaje. Boże, tylu jeszcze rzeczy musisz się nauczyć.

- Więc będę się uczyć.

Jej kariera w Savoyu dobiegła końca. Musiała odejść po tym, jak się okazało, że to Nicholas zabrał z pokoju zdjęcia dla Petera Whitstable'a. May odkrył to przypadkowo podczas przesłuchania. Kierownik przyłapał ją na tym, jak dawała Nicholasowi w twarz. Ale miała przynajmniej satysfakcję, że to zrobiła.

Jej matka stanęła przed drzwiami salonu.

- Ledwo znasz tego Jacoba.

- Ma na imię Joseph. Chce podróżować przez jakiś czas, tak jak i ja.

- Chyba nie planujecie się pobrać, prawda? - zapytała podejrzliwie.

- Oczywiście, że nie. Mamy lata siedemdziesiąte. Nikt już nie musi się pobierać. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.

- Nie sądzę, żebym mogła powiedzieć ci coś, co sprawi, że zmienisz zdanie.

- Gwen wzięła nowego papierosa, żeby zająć czymś ręce.

Sam była dumna, że do niego zadzwoniła. Czuła, że to właściwe posunięcie. Joseph mówił o podróży po Europie i ujrzała w tym szansę dla siebie. Jego święta, w odróżnieniu od jej świąt, przebiegły spokojnie.

Zrozumiała, że matka nie będzie już próbować wybić jej tego wyjazdu z głowy i odetchnęła.

- Ucałuj ode mnie tatę. Niech się nie martwi.

- Myślę, że raczej się ucieszysz. Zwłaszcza jeśli ujrzy w tym moją porażkę.

- Och, mamó. Co zamierzasz zrobić?

Spojrzała na zegarek.

- Za godzinę przewodniczę zebraniu jednego z moich komitetów.

- Więc lepiej się szykuj - powiedziała Sam z uśmiechem.

Gwen zapaliła papierosa i wyjrzała przez okno.

- Nie wiem. Może zamiast tego gdzieś pójdę.

- W parku powinno być ładnie.

- Myślałam raczej o zakupach w Harrodsie.

Odwróciła się do Sam, jej oczy zwężyły się nieznacznie.

- Powiedz mi, jaki jest sens posiadania dzieci, jeśli nas opuszczają?

- Miłość - odparła Sam. - Zawsze chciałam cię pokochać.

- Tak - zgodziła się Gwen, podchodząc do niej. - Może cię zaskoczę, ale miłość istnieje.

- Dam znać, gdzie jestem - obiecała Sam. Kiedy obejrzała się w drzwiach na matkę, stojącą pośrodku korytarza, zrozumiała, jak kruche było jej życie i jak o wiele bardziej puste będzie teraz.

- Wrócę - powiedziała.

- Bardzo bym chciała, Sam. Chciałabym...

- Co takiego?

- Chciałabym gdzieś wyjechać. Zacząć się uczyć na nowo. - Uśmiechnęła się niewesoło.

- Możesz się uczyć tutaj - odrzekła Sam. - Nie musisz nigdzie wyjeżdżać.

- Łatwo ci mówić. Wszystko jest łatwe dla młodych.

- Przynajmniej powinnaś spróbować, mamo.

- Mamo... - powtórzyła Gwen, jakby słyszała to słowo po raz pierwszy. W końcu uniosła rękę w pożegnalnym geście, patrząc, jak córka dochodzi do końca ulicy. Ale nawet kiedy skręciła za róg, Sam wiedziała, że Gwen będzie stać w drzwiach długo po tym, jak jej zniknie z oczu.

56 DO PRZODU

Tower Bridge to brama Londynu; pierwszy most, który statek napotyka, płynąc po Tamizie. Jego gotyckie wieżyczki strzegą rzeki od zaledwie wieku, mimo że stały się równie charakterystycznym elementem stolicy, jak Tower of London. Pod mostem klenie, płotki, stynki, okonie i węgorze płyną w gęstych, słonawych wodach Tamizy. Brzeg rzeki był kiedyś skarżą z pomarańczowym piaskiem znaną jako Tower Beach. Od lat trzydziestych do pięćdziesiątych rodziny pływały tu i bawiły się, zupełnie jakby były w Brighton.

W piątkowy wieczór pod koniec stycznia 1974 roku, kiedy zachód słońca zócił dach południowej wieżyczki, dwóch dżentelmenów w średnim wieku patrzyło na rzekę. Most został niedawno pokryty farbą w kolorze letniego nieba. Było pusto, kiedy szli niespiesznie z rękami w kieszeniach. W mieście, które dopiero przystosowywało się do parkometrów, panował zaskakująco mały ruch.

John May oparł się na drewnianej balustradzie i spojrzął w dół. Arthur Bryant miał na sobie kolejny szal ze swojej niekończącej się, przygnębiającej kolekcji i wyglądał jak nieżywa żaba. Czubek głowy Maya wciąż był owinięty bandażem, który nadawał mu cokolwiek orientalny wygląd.

- Nie mam pojęcia, co ta kobieta z gołym biustem i perwersyjnymi butami miała niby symbolizować - powiedział, zmieszany. - I dlaczego, na miły Bóg, miała na głowie hełm centuriona?

- To była Brytania - wyjaśnił Bryant. - Mówiłem ci, to bardzo nowoczesna inscenizacja. W każdym razie miło było znów zobaczyć Sabaudczyków.

- Tak - przyznał May - sympatyczni jak na ludzi, którym wyraźnie brakuje piątej klepki. Obawiam się, że jestem bezpowrotnie stracony dla teatru. Morderstwa w Palace obrzydziły mi go do reszty. Muszę jednak powiedzieć, że muzyka była niezła.

Teatr Savoy w końcu otworzył na nowo swe podwoje inscenizacją *Patience*. Bryant zaciągnął tam swego przyjaciela pierwszego wolnego wieczoru, jakim dysponowali.

- Mam nieodparte wrażenie, że w drugim akcie trochę się zdrzemnąłem - wyznał May.

- Wiem. Słyszałem. Tak samo zresztą jak i pozostali widzowie. Masz chyba jakiś kłopot z zatokami. Patrz. - Stał na środku mostu i spojrzął w kierunku St. Paul's. - Miło wiedzieć, że katedra nadal góruje nad innymi budynkami.

- Tylko dlatego, że ratusz nie dał zgody na pobudowanie czegoś wyższego w okolicy - odparł May.

- Lubię patrzeć na te dachy. Może nie jest to tak spektakularny widok jak w innych miastach, ale zawsze, kiedy patrzę na te wszystkie kopuły i iglice, nie mogę się nadziwić, że przetrwały wojnę.

- Stajesz się strasznie sentymentalny, Arthurze. To niezbyt pociągająca cecha. Popatrz na te rozpadające się bloki. Przypomnij sobie strajki i ogólny klimat niezadowolenia. Chciałbym, żeby wróciły lata sześćdziesiąte. Naprawdę czuło się wtedy, że jesteśmy na początku czegoś nowego.

- Widzę, co się dzieje, ale nic na to nie poradzę. Przypuszczam, że te budynki pewnego dnia zostaną wyburzone. Przedsiębiorcy budowlani zaczynają krążyć jak sępy. Niedługo nie zostanie nic z miasta, w którym się wychowałem.

- Może nowi politycy coś zmieniają na lepsze. Słyszałem, że o pani Thatcher mówi się jako o wschodzącej gwiazdce. Jest członkinią Partii Konserwatywnej, ale dobrze by było mieć premiera-kobietę. Niektórzy uważają, że kobieta będzie bardziej życzliwa. Ktoś mający sumienie może skończyć z nierównością i wydostać nas z tej wszechogarniającej kultury chciwości. - Wyjął cygaro i zapalił. Pozwalał sobie na wypalenie jednego cygara na koniec każdego śledztwa. - Wiesz, co mi przypomina Tower Bridge? Kradzież brylantów z Shepherd's Market, naszą drugą sprawę.

- Mój Boże, masz rację - zgodził się z nim Bryant. - Pamiętasz Sidneya Dobsona, głuchego specjalistę od materiałów wybuchowych? Mózg najlepszego gangu kasiarzy w Mayfair. Jego stary ojciec w czasie wojny stał na czele mafii kiełbasianej. Pomyśleć tylko, że Sidney mógłby uciec z brylantami, gdyby wybrał London Bridge zamiast Tower.

- To prawda. Prawie mu współczułem. Utknął tutaj na północnym brzegu w ciężarówce pełnej świń, podczas gdy most unosił się, żeby rzeką mogła przepłynąć barka z przemycanymi bananami.

- Zachowywał się bardzo przyzwoicie. Ostatni dżentelmen-włamywacz. Miał okropnego trzynogiego kota, na którego wołał Wilfred. Odwiedziłem go w Strangeways.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Niezupełnie - przyznał Bryant. - Jego szwagierka sprzedała mi forda prefecta bez hamulców. Starłem się od niego wyciągnąć, gdzie ją mogę znaleźć. Sidney powiedział mi, że wyemigrowała do Nowej Zelandii, ale wracając od niego z więzienia, widziałem ją na przystanku autobusowym.

- I co się stało?

- Nic. Nie mogłem zatrzymać samochodu. Przemknąłem obok, ale na pewno słyszała moje krzyki. Podejrzewam, że tacy ludzie jak Sidney robią teraz kanty na nieruchomościach. Wydaje mi się, że to dosyć perfidny rodzaj oszustw. Stare przestępstwa miały w sobie więcej uczciwości.

- Wystarczy, Arthurze - powiedział May, unosząc rękę. - Patrzeć wstecz jest niezdrowe. Chyba wolę już, jak zrzędzisz. - Przyłożył dłonie do zimnej balustrady. - W każdym razie teraz też jest całkiem sporo ciekawych przestępstw.

- Mówiłem ci? Dostałem kartkę od tej denerwującej dziewczyny, Sam Gates, jest w drodze do Indii z jakimś chłopakiem. Lepiej, żeby trzymała się z dala od biur kompanii Whitstable'ów w Kalkucie. Nie, żeby ktoś jeszcze pozostał pod adresami, które mi dał Charles Whitstable.

- Raymond Land twierdzi, że Charles zamierza obalić nasz materiał dowodowy.

- Widzieliśmy to urządzenie na własne oczy. Jak można to podważyć?

- Żaden dowód nie ocalał, Arthurze. Nawet Land w to nie wierzy, a przecież tam był. To, o czym my myślimy jako o anachronicznym absurdzie, dla przeciętnego wiktorianina mogło być całkiem logicznym wynalazkiem technicznym. Za kilkadziesiąt lat będziemy tak samo patrzeć na maszyny do pisania.

Brukowce wypełniały dziesiątki teorii na temat sprawy rodziny Whitstable'ów. Kapryśna prasa uznała zwycięstwo wydziału nad stacją metra Mornington Crescent. Było nie było, przez tygodnie dostarczał im on makabrycznych wiadomości. Mimo że sprawa sądowa jeszcze się nie zaczęła, wydział mógł być spokojny o swoją przyszłość.

Zakończyli przesłuchania Charlesa Whitstable'a, którego los leżał teraz w rękach sądu. May musiał przyznać, że system Jamesa Makepeace'a Whitstable'a okazał się naprawdę pomysłowy. Nie można było ustalić, ile rodzin zmuszono do wykonywania jego rozkazów. Wiele zapewne wciąż trzymało gdzieś w ukryciu przesyłki od cechu - na wypadek, gdyby pewnego dnia system jednak powrócił.

Śmierć Alison Hatfield ledwie zauważono. May jako jeden z niewielu uczestniczył w jej pogrzebie. Starał się nie myśleć o tym, co by było, gdyby żyła. Wiedział, że najlepiej ją uczci, niszcząc wszystkie gałęzie organizacji, która spowodowała jej śmierć. Smutne, ale nigdy mu się to w pełni nie uda. Zbyt wiele kompanii cieszyło się poparciem rządu. Dalej będą się rozwijać, wspomagane przez potężne subwencje.

Śmiech Bryanta wyrwał go z zamyślenia.

- Co cię tak bawi? - zapytał, opierając się plecami o pomalowaną balustradę.

- Po prostu pomyślałem o Whitstable'ach - odparł Bryant. - Gilbert z pewnością by o nich napisał.

- Tak? Dlaczego?

- Uwielbiał paradoksy. Ośmieszał instytucje państwowe, stawiając prawników i ministrów w absurdalnych sytuacjach. Nieświadomie Whitstable'owie stworzyli paradoks godny pióra Gilberta. Na przykład astrolabium.

- Chodźmy już stąd. Uszy mi zaraz odpadną od mrozu.

- Astrolabium zniszczyło dzieci arystokratów, którzy wprawili je w ruch. Zaczęło zabijać tych, których miało chronić. - Westchnął, ruszając dalej. - Oczywiście to nie koniec paradoksów. Żyjemy w kraju, w którym na każdego człowieka chcącego pomóc tym, którym powiodło się gorzej niż jemu, przypada dziesięciu innych, którzy są gotowi ich wykorzystać. Przez takie rodziny jak Whitstable'owie pewnego dnia znów na miejsce światła może nadejść ciemność.

Przystanęli na południowym końcu mostu, patrząc na rzekę. Ponad dachem stacji Charing Cross chmury błyszczały lekkim cytrynowym światłem.

- Nie sądzę, żeby Londyn kiedykolwiek znów pograżył się w kompletnych ciemnościach - powiedział May.

- Wielka szkoda, naprawdę - odparł Bryant. - W świecie przed 28 grudnia 1881 roku oprócz całkowitej ciemności istniało zbiorowe ciepło, ukryta siła wszystkich ludzi. Łączyły ich zabobony i tradycja ludowa, mity i fantazje. Myślę, że straciliśmy coś bezpowrotnie tego dnia, kiedy włączyliśmy światła. Coś nieokreślonego i bardzo ważnego.

- Wydajesz się dobrze czuć w ciemności. Ja wolę świat jasno rozświetlony. Więcej można zobaczyć.

- To właśnie dlatego wzajemnie się uzupełniamy. - Bryant wpatrzył się w brązową wodę, wzburzoną przez przepływający holownik. - Spójrz na tę rzekę. Tak bardzo za nią tęsknię, John. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślał.

- Przez cały ten czas nie wspominałeś nigdy o Nathalie. - May już całe wieki nie myślał o francuskiej narzeczonej Bryanta. Wolał nie pamiętać, że przed laty utonąła w wartkim nurcie rzeki pod nimi.

- Nie mogłem jej uratować, więc zawsze będę pamiętać o służbie, jaką winien jestem innym. A ty myślałeś, że czemu codziennie wracamy na londyńskie

mosty? To ona nas tu przyzywa. Muszę co dzień widzieć jej twarz.

- Arthurze, to minęło i nie wróci. Powinniśmy szanować przeszłość, ale musimy też iść do przodu. Nie ma innej możliwości.

- Wiem. Ale nic nie zmniejszy siły tych, których pozostawiliśmy za nami.

Nie wiedząc, co powiedzieć, May poklepał przyjaciela po plecach i poprowadził go w kierunku świateł miasta. Ich cienie wydłużały się na opalizującym chodniku, na którym drobinki krzemienia tańczyły niczym odbite gwiazdy.

POSŁOWIE

Niniejsza książka ma osobliwe korzenie, ponieważ wiele pomysłów wykorzystalem już we wcześniejszej powieści zatytułowanej *Darkest Day*. Od dłuższego czasu zamierzałem przekształcić ją w jedno ze śledstw Bryanta i Maya, stworzyć coś w rodzaju wersji reżyserskiej, znacznie się różniącej od pierwotnego wzoru. Wychodząc z założenia, że cykl książek o Bryancie i Mayu będzie miał formę chronologiczną, ale nielinearnej historii ich dochodzeń, akcję *Siedemdziesięciu siedmiu zegarów* umieściłem w czasach katastrofalnych rządów premiera Edwarda Heatha i jego „trzydniowego tygodnia pracy”, robiąc z tej książki trzeci z planowanego cyklu sześciu tomów. Starsi czytelnicy z pewnością pamiętają zaciemnienia, jakie musieliśmy znieść, kiedy widmo pozbawienia narodu elektryczności było jak najbardziej realne. Ci ze szczególnie dobrą pamięcią mogą wskazywać na pewne nieścisłości. Jednak trzeba pamiętać, że są to przecież wspomnienia pana Bryanta, a co za tym idzie, mają prawo być niedoskonałe.

Pomysł tontyny zawdzięczam Robertowi Louisowi Stevensonowi, który oparł na nim fabułę *The Wrong Box*. Nie jest on wcale tak naciągany, jak mogłoby się wydawać, zważywszy na to, jak wiktorianie bliscy byli wynalezienia komputera, aczkolwiek w prymitywnej formie. Takie urządzenie wydawało się idealnie pasować do wyznaczania ofiar, kiedy zestawiało się to z morderczymi pobudkami rozbudzonymi przez niemoralny system gromadzenia bogactw.

Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy pomogli mi wylecieć z ciemności w światło dnia: mojej energicznej amerykańskiej redaktorce Kate Miciak, mojej zadziornej i nieustraszonej brytyjskiej agentce Mandy Little i mojemu spokojnemu i czarującemu amerykańskiemu agentowi Howardowi Morhaimowi. Jak zwykle wiele zawdzięczam również przyjaciołom, którzy wybudowali pas startowy i przygotowali mnie do lotu: Jimowi, który zawsze był Bryantem dla mojego Maya, Sally, Simonowi, Maggie, Andrew, Mike'owi i Sarah, a zwłaszcza Peterowi Chapmanowi, który wstrząsnął moim światem.

Więcej informacji na temat cyklu książek o przygodach Bryanta i Maya znajdziecie na stronie www.christopherfowler.co.uk.

Christopher Fowler,
Londyn, maj 2005